

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

INSTYTUT



LITERACKI

Wybór z rocznika

1987

CDN

red. Jerzy Giedroyc

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

Wybór z rocznika

1987

INSTYTUT



LITERACKI

ZBIORY OŚRODKA KARTA

Wydawnictwo



Warszawa 1988

© COPYRIGHT BY INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.

Zagranicznym przedstawicielem
Wydawnictwa **OH** jest



BCM Box 697
Londen WC1N 3XX
United Kingdom

"Kultura", marzec 1987

Gustaw Herling-Grudziński

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Neapol, 7 stycznia 1987

Gdyby Szekspirowi pod koniec życia do ręki wpadła "Historia Longobardów" Paola Diacona, napisana w VIII wieku, u schyłku dwóchsetletniego przeszło podboju longobardzkiego Włoch, zatrzymałby się długo nad rozdziałem, w którym do głosu dochodzą równocześnie dwa wątki...

Druga połowa VI wieku. Z górą trzy lata Pavia stawia czoło oblężeniu króla Alboina. Poddaje się wreszcie. Gdy zwycięski Alboin wkracza do miasta, jego rumak upada w bramie, nieczuły na ostrogi i różgi. Jeden z longobardzkich wojowników zwraca się wówczas do króla: "Pamiętaj, mój królu i panie, jaki uczyniłeś ślub. Złam ten okrutny ślub i wejdiesz do miasta. Lud Pavii jest chrześcijański". W trakcie oblężenia Alboin ślubował, że do nogi wybijie oblężonych, którzy z takim uporem odpierali ataki najeźdźcy. Posłuchał teraz rady swego wojownika, złamał ślub i obiecał pokonanym pobłażliwość. Jego rumak poderwał się natychmiast z ziemi i wniósł królewskim jeźdźcą do miasta. Alboin przyjął hołd mieszkańców Pavii z balkonu pałacu zbudowanego przez Teodoryka. Panował we Włoszech trzy lata i sześć miesięcy. Zginął z poduszczenia swej żony Rosemundy. Ucztował w Weronie, podпиты i wesoly nad miarę, i kazał nagle podać wino Rosemundzie w czasie zrobionej z czaszki jej ojca, króla Kunimonda /Diacono nie wyjaśnia, dlaczego i w jakich okolicznościach Alboin zgładził swego teścia/. Królowej pociemniało w oczach z bólu, zawrzała gniewem /nie pokazując go po sobie/ i w duchu powzięła zamiar zamordowania męża dla pomśzczenia ojca. Wyjawiła później ten zamiar Helmechisowi, młcznemu bratu Alboina. Wyznaczony na mordercę Peredeo, znany ze swej ogromnej siły, odmówił podniesienia ręki na króla. Rosemunda posłużyła się chytrym fortelem. Wiedząc, że Peredeo co noc zakrada się do jej służebnej, zastąpiła ją w łóżku. Kochanek, nieświadomy z kim w ciemnościach i milczeniu zażywa rozkoszy, usłyszał po miłośnych uściskach straszne słowa: "Jestem Rosemunda. Taką popełniłeś zbrodnię, że albo ty zabijesz Alboina, albo Alboin zabije ciebie". Wybrał ocalenie własnej skóry. Zabił króla z pomocą królowej. Pochowano Alboina, wśród płaczu i lamentu wszystkich Longobardów, pod stopniami schodów pałacowych. Helmechis, poślubwszy Rosemundę i przez nią podjudzany, usiłował sięgnąć po królewską koronę. W walce o tron ledwie uszedł z życiem, z Rosemundą i ze skarbem Longobardów. Uciekł do

Rawenny, gdzie dał im schronienie longobardzki namiestnik królewski Longin. Rosemunda zapragnęła zostać przynajmniej panią Rawenny. Uległa namowom Longina, który obiecał jej małżeństwo w zamian za zabicie Helmechisa. Podała Helmechisowi puchar z zatrutym winem. Odgadł skrytobójczy plan po pierwszym łyku i mieczem przymusił ją do wypicia reszty. "Tak - kończy Diacono - z woli wszechmocnego Boga obydwójcie niegodziwi mordercy umarli w tej samej chwili".

Jakie więc wątki odkryłby Szekspir w rozdziale "Historii Longobardów"? Najpierw, w Weronie, cień longobardzkiego Hamleta /w spódnicy/. Potem, w Weronie i w Rawennie, cień longobardzkiej Lady Makbet.

9 stycznia

Powstanie może kiedyś pękaty katalog największych kreacji aktorskich Hamleta. Otworzył go Richard Burbage, pierwszy na scenie Hamlet, prosto z szekspirowskiego pieca dramaturgicznego. Miał trzydzieści pięć lat, lecz wyglądał na starca. Był otyły, nosił brodę, cierpiał na zadyszkę. Skoro takiego królewicza duńskiego zaakceptował i pobłogosławił jego twórca, należy odnosić się z szacunkiem do zapoczątkowanej przez Goethego tradycji Hamleta "drżącego płomienia świecy", Hamleta jako personifikacji "wahania i niezdecydowania". Mamy zresztą tę tradycję za sobą w epoce rozlicznych i mnożących się wciąż wersji Hamleta "naszego współczesnego".

Najsilniej przemówił do mnie Hamlet według "klucza" interpretacyjnego, jaki podsunął reżyserowi Salvador Madariaga w wydanej po wojnie książeczce o szekspirowskiej tragedii. Widziałem go w Londynie około roku 1950. Powiniennem dodać: udało mi się go zobaczyć, bo wygwizdany przez publiczność został po dwóch przedstawieniach zdjęty z afisza. Grał go Alec Guinness: z hiszpańską brodką w szpic, z okrągłym brzuszkiem, przebiegły książę w duchu renesansowym, wytrawny gracz nawykły do intrygi, operujący wieloznacznie: z słowem niby zatrutym floretem, z kilkoma w zanadrzu maskami do wyboru /między innymi z maską "chorobliwego wahania"/, z własnymi uczuciami trzymanymi na łańcuchach jak sfera gotowych do skoku psów. W giełdowsko-olwierowskim Londynie rzecz była nie do strawienia.

Ile ma twarzy Szekspir? Tyle ile mają zawsze i wszędzie namiętności ludzkie, gdy "wyskakuje z zawiadów".

15 stycznia

Papież nazwał swoje spotkanie z Generałem "historycznym". Przymiotnik jest nadużywany a więc i zbanalizowany, ale w każdym razie przywołuje na myśl koniec jednego rozdziału i początek następnego. Powien korespondent watykański użył w telewizji, mówiąc o "Solidarności", zwrotu "rozdział zamknięty". Korespondent ów jest z natury prędki w reakcjach i sformułowaniach, wolno jednak sądzić, że w tym wypadku powtórzył wiernie "historyczny" werdykt usłyszany za Spizową Bramą.

Polsko-watykańskie "spotkanie na szczycie" nie było tylko protokolarne: trwało wyjątkowo długo, chłód przywitania przemieniło w powściąganą lekko serdeczność pożegnania. Generał nazwał spotkanie "niezapomnianym", podkreślił "rozumienie" okazane mu przez rozmówcę, zapowiedział dojrzwane owoców wizyty w niezbyt odległej przyszłości. W wywiadzie udzielonym przez Generała włoskiemu dziennikowi przed wyjazdem do Rzymu padło zdanie: "Jeśli chodzi o konieczność zmian i korektur w Polsce, także ja należę do opozycji". W tym przypuszczalnie charakterze, "opozycjonisty godnego tej nazwy" /w przeciwieństwie do "tak zwanych opozycjonistów zagrażających fundamentalnym interesom państwa"/, rozmawiał z Papieżem. Bez odpowiedzi musi pozostać pytanie, czy miał rzeczywiście prawo pochwalić się spotkaniem u rozmówcy "rozumieniem".

W moim zapisie dla pamięci nie chciałbym wyjść poza ramy kroniki: Toasty Gene-

rał - Craxi były swoistym pojedynkiem na traktaty. Generał wspomniał o Jałcie i Poczdamie, Craxi o Helsinkach. Prezydent Cossiga zabawiał Generała rozważaniami o starożytności i sztuce. Nader ożywiony adwokat Agnelli z Fiata przedstawił interesy swego koncernu w Polsce czyli kraju taniej robocizny, ku zadowoleniu Generała. Sekretarze syndykatów /komunista, socjalista i chadek/ uparcie bronili swych kolegów z "Solidarności", ku zgorszeniu a nawet oburzeniu Generała. Demonstranów ulicznych z partii radykalnej Generał zbył pogardliwie epitetem "barbarzyńcy".

Monte Cassino stało się widownią ceremonii osobliwej i zaiste "historycznej". Przy dźwięku hymnu narodowego Generał objął symboliczną komendę nad duszami tysiąca poległych, mianując ich dowódcą w zaświatach generała Ducha na miejsce zignorowanego ostantacyjnie Andersa.

Obserwatorzy spotkali i chwil "historycznych" oraz "tak zwani opozycjoniści" w Polsce rozporządzają teraz obfitym materiałem do refleksji.

19 stycznia

Często portretorzy nowi emigranci, niegdyś dość wysoko postawieni w hierarchii partyjno-rządowej, robią mi ustnie i listownie wymówki, że schodzę "poniżej poziomu" /w sumie ocenianego pochlebnie/, upierając się przy obrazie sowietyzmu jako systemu wzorowanego na mafii. Co, rzecz jasna, jest skutkiem i zarazem dowodem mojego "oderwania". Na mapie kolejnych fal migracyjnych oderwani dzielą się na całkowicie oderwanych, półoderwanych i ćwierćoderwanych. Moja wysługa lat na obczyźnie kwalifikuje mnie - automatycznie, nieodwołalnie i beziluznie - do kategorii pierwszej. Moi krytycy, ubolewając szczerze nad ześlizgami mojego pióra "poniżej poziomu", skłonni bywają niekiedy zaserwować mi dodatkową, obok oderwania, okoliczność łagodzącą: oto mieszkam od trzydziestu przeszło lat na południu Włoch, oświadczam się codziennie o działalność mafii, lubię czytać jej pisarskiego znawcę Leonardo Sciascia. Mają tu trochę racji, zwłaszcza gdy się pamięta, kto w dziejach sycylijskiej mafii potrafił jej zadać dotkliwy cios, nie cios śmiertelny, o nie!, ale naprawdę dotkliwy. Faszyści, którym totalitarna mentalność i totalitarne metody ułatwiły zwalczanie mafijnego bezprawia, bronią własnego bezprawia. Bo najgłębszą istotą mafii jest właśnie bezprawie i w tym sensie uważam mafijność za główną cechę sowietyzmu i jego demoludowych pochodnych, całą zaś resztę za kostium "ideologiczny" na beneficjariuszy i ofiar bezprawia. Dokładnym "ideologicznym" odpowiednikiem Nomenklatury sowieckiej jest w mafii sycylijskiej Onorata Societá, Czcigodne Stowarzyszenie.

Że jednak nie jestem aż tak "oderwany" i uwarunkowany bliskim sąsiedztwem Sycylii, może świadczyć tekst który przeczytałem wczoraj w miesięczniku "Encounter". Specjalista od tasiemcowych i wyczerpujących wywiadów George Urban wziął w krzyżowy ogień pytań sławną śpiewaczkę rosyjską Galinę Wiszniewską, żonę M. Sciascia Rostropowicza, emigrantkę /pozbawiono i ją i jej męża obywatelstwa sowieckiego/ od dziesięciu zaledwie lat. Obraz systemu sowieckiego wzorowanego na mafii przewija się w jej wypowiedziach niemal obsesyjnie. "Związek Sowiecki jest krajem bezprawia, albo ściślej krajem, w którym prawo dyktują odgórnie rządzący. Rosją rządzi dziś jedna wielka, rozgałęzioną mafia. Jej macki sięgają do każdego kąta, do każdej szpary w ZSSR". "Klasa rządząca typu mafijnego na skalę ogólnonarodową, klasyczna mafia łącznie z takimi atrybutami jak Ojcowie Chrzestni".

W opowieści Leonardo Sciascia "Dzień puszczyka" lokalny mafioso zauważa filozoficznie, że "pod nosem mamy usta, nie tyle do mówienia co do jedzenia". Trup z wciśniętym do ust kamieniem przypomina od czasu do czasu członkom Onorata Societá podstawowe przykazanie mafijnych Tablic Kamiennych: zasadę tajności. Galina Wiszniewska powołuje się dla przykładu na historię nowoczerkaskiej rewolty robotniczej w roku 1962. Obracała się wtedy w Moskwie w najwyższych sferach przywódców partyjnych i rządowych, nigdy nie usłyszała słówka o Nowoczerkasku, dowiedziała się o nim dopiero w dziesięć lat później w Anglii.

Czy mafia sowiecka wytrzyma głośność Gorbaczowa, samobójczą z mafijnego punk-

tu widzenia zasadę jawności? Osobiście bardzo w to wątpię, ale chwilowo Gorbaczow porusza się jeszcze w obrębie "socjotechnicznych" sztuczek na pokaz, można zatem darować sobie odsmażanie zjeżdżającego tematu "reformowalności" systemu. Widzę raczej Gorbaczowa z nieniem w ustach, jeśli Związek Sowiecki ma przetrwać do końca obecnego stulecia /i tysiąclecia/.

20 stycznia

Umarł najgłośniejszy malarz włoski, rodem z Sycylii, Renato Guttuso. Nie należę do admiratorów jego malarstwa, chociaż trudno mu odmówić ekspresjonistycznego rozmachu i mistrzostwa w wielkich, tłumnych scenach: ucieczka z Etny, rynek w palermitańskiej dzielnicy Vucciria, chłopci okopujący ziemię na Sycylii, pogrzeb Togliattiego.

Był komunistą od wojny, a po wojnie przez wiele lat członkiem KC partii i senatorem z Listy komunistycznej. Od jakiegoś czasu oziębiły się jego stosunki z partią: wołał Togliattiego od Berlinguera, Breżniewa od Gorbaczowa. Przed śmiercią pojednał się z Kościołem, o czym opowiada zaprzyjaźniony z nim arcybiskup Angelini. Skandal wśród duchowieństwa włoskiego wywołało w roku 1941 jego "Ukrzyżowanie" z nagą Magdaleną. Arcybiskup Angelini zżyma się na małoduszność zgorzognionych księży, obraz uważa za arcydzieło, podkreśla że nagą Magdalenę namalował Guttuso odwróconą plecami do patrzących. Jedna z dzisiejszych gazet przytacza krótkie wspomnienie Guttuso z lat komunistycznego ferworu: "Widziałem Stalina w Moskwie. Przechodził między gośćmi na wielkim przyjęciu kremłowskim, niezgrabny starzec w ładnym szaro-błękitnym mundurze, ozdobionym jedną tylko dekoracją; szedł żwawym krokiem, z pięknym spojrzaniem. Mogłeś w nim podejrzewać wszystko, ale nie to że był okrutnym satrapą. Mnie wydawał się Madonną". Madonna, informuje arcybiskup Angelini, odegrała główną rolę w przedśmiernym powrocie Guttuso na łono Kościoła.

28 stycznia

Dowiedziałem się wczoraj przypadkiem od znajomych o setnej rocznicy urodzin architekta P., który dziesięć lat temu stracił w ciągu kilku tygodni wszystko co posiadał, łącznie z rodziną /mniejśo o to, w jakich okolicznościach/ i wkrótce potem wyniósł się z Neapolu do rodzinnej wsi abruzyjskiej. Ponieważ znany był ze swej pobożności, nazwano go wtedy "nowym Hłobem". Nigdy się z nim nie zetknąłem, raz tylko po tragedii pokazano mi go z daleka, siedzącego samotnie na ławce w parku miejskim. Skąd więc mój sen, tak przy tym dziwaczny, o zupełnie dla mnie obcym człowieku?

Istnieje specjalna odmiana snów, dosyć rzadkich, których nierealna atmosfera ma w sobie coś z "tamtego brzegu" Kubina. Kto zna Kubina, wie że chodzi o symbiozę rzeczywistości doczesnej i /że się tak wyrażę/ pośmiertnej. Sekret polega na stopieniu w jedno dwóch czasów: płynącego jeszcze i już zatrzymanego. Przenikają się nawzajem tak dokładnie, że żadnego z nich nie można doświadczyć osobno. "Tamten brzeg" jest naszym, nasz brzeg "tamnym". Nie tylko most między nimi nie został zerwany, ale on właśnie, i wyłącznie on, posiada cechy trwałości. Most zbudowany z materii snu.

Wspinałem się w moim śnie do wsi abruzyjskiej oblodzoną, śliską i wąską drogą, obsuwając się z uporem wracając, zmuszony często do chwytania się nagich gałęzi drzew na zboczech. Ze wsi, mimo że widziałem dobrze jej zabudowania z kościołem w środku, nie dochodziły najmniejsze odgłosy życia. Różne bywają postacie bez ruchu, ta była czystą martwością. Odgadłem, że jubilat mieszka na samym szczycie wsi; jego dom na skarpie, oddalony od reszty domów, ogrodzony murem, bez okien, robił wrażenie małej twierdzy. Nie odrywałem od niej wzroku, od niej i od krzyża na kościele. Wymyślałem zabity deskami kościół, wszedłem w uliczkę prowadzącą do małej twierdzy. Towarzyszyły mi spojrzenia z szybami okien w domach po obu stronach uliczki; wszystkie były patrzących były bardzo stare.

Drzwi małej twierdzy otworzyła mi niska, przygarbiona i zasuszona staruszka. Wpuściła mnie bez słowa, bez słowa też zaprowadziła mnie do pokoju Jubilatą. Leżał w ubraniu na łóżku, przykryty futrem, z wyglądu zdumiewająco krzepki, o przyciętych tylko, wypłowiałych oczach. Naprzeciw łóżka tykał głośno staroświecki zegar ze złotym talerzem wahadła. "Come sta?" – zapytałem odruchowo. Uśmiechnął się: "Sto morendo". I po przerwie: "Jestem zanadto filozofem by nie rozumieć, że byłoby straszne gdyby człowiek nie mógł nigdy umrzeć, zamknięty w więzieniu jakim jest życie". Były to – wyjaśnił zaraz – słowa jego "ulubionego filozofa". Spostrzegłem na podłodze obok wężłowa otwartą książkę, jakby wypadła mu z rąk przed moim wejściem do pokoju. "To Księga Hioba – powiedział, – czytam ją stale! i przeczytałem chyba wszystko co o niej napisano. Nie rozstaję się z nią, bo napełnia mnie uczuciem dumy. Za dużo w niej, stanowczo za dużo, mów: za dużo mówi Hiob, za dużo mówią jego przyjaciele, za dużo nawet mówi sam Bóg. Ja znalazłem godniejszy sposób: na wierność Bogu w cierpieniu, w nieszczęściu. Milczenie. Żyję tak długo – sto lat! – gdyż Bóg jest zaskoczony moim milczeniem, oczekuje wciąż moich skarg. Nie usłyszy ich nigdy. W'ac w końcu będzie musiał uszanować i nagrodzić godność mojego milczenia, uwolni mnie z więzienia jakim jest życie". W tej chwili rozległ się wybuch czyjegoś śmiechu. Im bardziej wzmagał się ten śmiech, wprawiając w drżenie ściany domu, tym wolniej poruszało się wahadło w zegarze, aż znieruchomiło i wstrzymało tykanie. Ostatnie co z mojego snu pamiętam, to wykrzywiona przerażeniem twarz "nowego Hioba".

3 lutego

Wielotomowy "Dostoevsky" komparatysty amerykańskiego Josepha Franka zbliża się stopniowo do tego, co zwykle się określać jako "monografię definitywną". W wydanym świeżo trzecim tomie "The Stir of Liberation 1860-1865" Frank poświęca osobny rozdział przeoczanym na ogół "Zimowym zapiskom o letnich wrażeniach", widząc w nich słusznie prelude do zwrotnego punktu w twórczości Dostojewskiego, "Zapisków iz podpolja". W "Zimowych zapiskach" z roku 1863 Dostojewski opisał swoją podróż na Zachód latem poprzedniego roku. W Londynie odwiedził parokrotnie Herzena. Podczas pisania miał ustawicznie w myślach /i na biurku/ "Listy z Francji i Włoch" Herzena, choć ze względów cenzuralnych nie mógł ich cytować. Co chrześcijańskiego poczwiennika łączyło z oświeconym ateistą i liberalnym przeciwnikiem caratu? Awersja do "bezdusznego" zachodniego racjonalizmu i materializmu, zatrutych źródeł wschodzącego nihilizmu rosyjskiego. "Ojcowie" dojrzeli na Zachodzie chorobę, która miała niebawem wtargnąć do ich kraju i krok po kroku opanować organizm "dzieci". Obojętne w jakie, każdy po swojemu, wierzyli lekarstwa. Jednoczyły ich lęk przed szerezeniem się bezdusności, indyferentyzmu i relatywizmu moralnego, pod naporem triumfującego, wszechwładnego rozumu.

Czytam, że Miłan Kundera wytoczył proces Dostojewskiemu w obronie wgardzonych przez niego skarbów Zachodu: racjonalizmu, sceptycyzmu, zdrowego rozsądku. Cała zatem konstrukcja, którą migawkowo przedstawiłem na marginesie trzeciego tomu monografii Franka, odwrócona zostaje do góry nogami. Na przykład /wojno mniemać, wybiegając do przodu/ "socjalizm naukowy" za swój przyjęli i później w życie wprowadzili nie czytelnicy racjonalnych "nowinek" i książek "zbójceckich" przemycanych do Rosji z Zachodu, lecz czytelnicy Dostojewskiego. Jakże się to czytelnikom Dostojewskiego mogło udać, skoro jego świat jest przeciwieństwem "naukowości" i wszechwładzy rozumu? Kundera bowiem tak oto wspomina swoją lekturę Dostojewskiego po inwazji Czechosłowacji w 1968 roku: "Drażnił mnie u Dostojewskiego sam klimat jego powieści: świat, gdzie wszystko obraca się w uczucie; innymi słowy, gdzie uczucia podnosi się do rangi wartości i prawdy". Ten "klimat" drażnił również, ba – do furii doprowadzał, Lenina. Ten widocznie "klimat" spowodował zakaz wznowienia "Biesów" w okresie stalinizmu, do momentu gdy po inwazji niemieckiej w roku 1941 utworowała im drogę przedmowa o "wyrażnym w powieści przecuciu hitleryzmu". Oskarżycielski ton Kundery zakrawa na kpinę ze zdrowego

/sławionego przez niego samego/ rozsądku. Można Dostojewskiego lubić albo nie; nie lubił go Nabokow. Można, jak to zrobił Kundera w roku 1968, uciec z ulgą od "Idioty" do "Kubusia Fatalisty" Diderota. Ale oglądać Dostojewskiego przez pryzmat czołgów sowieckich na ulicach rągi, czy też na odwrot?!

"Był to /pyta Kundera/ antyrosyjski refleks Czecha, wstrząśniętego okupacją swego kraju? Nie /odpowiada/, bo nie przestałem kochać Czechowa". A jednak /podejrzewam/ tak. Zdaje się, że począwszy od roku 1968 nowonarodzona rusofobia czeska dogania szybko zakorzenioną polską. A może nawet już ją przegania, zważywszy że najbardziej niegdyś rusofilski naród w tej części Europy przeżył szok zawiedzionej miłości, czego nie da się przecież powiedzieć o Polakach. Fałszywy stereotyp "dostojewszczyzny" zaszczerpiony jest na fałszywym – jak wszystkie stereotypy narodowe – obrazie "Rosjanina w ogóle", który przesłania sowieckie oblicze najeźdźcy i wroga. Dlatego odnoszę się także z pewną nieufnością do rozwiniętego nagłe przez Kunderę sztandaru nostalgicznego Środkowej Europy, wężąc w nim sposób na ignorowanie Rosjan w imię "naszych związków z Zachodem". Dla narodów podbitych i zniewolonych przez ZSSR byłby to ciężki, jeśli nie zgubny, grzech krótkowzroczności.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

"Kultura", kwiecień 1987

Sławomir Mroczek

PILNA SPRAWA

"Bawmy się, bo nie wiadomo czy świat potrwa jeszcze dwa tygodnie" – powiedział Hrabia i nieomal kupił sobie lody.

Nieomal, ponieważ lodów zabrakło.

Wobec tego postanowił oddać się rozpuście. Lewą ręką ujął tę część aparatu telefonicznego, która niezbędna jest, aby owym aparatem się posłużyć, zaś prawą, przy pomocy palca wskazującego też, dokonał odpowiedniej czynności. Głos znajomej pani oznajmił, że jest zajęta. A był już trzynasty dzień przed końcem świata.

W dwunastym Hrabia kontemplował możliwość zmiany upodobań. Jednakże te nie poddały się pracy wyobraźni. Nieubłagany kaprys natury skazywał go na heteroseksualność.

Z równym brakiem powodzenia rozważał Hrabia uroki współżycia ze światem zwierząt, a później nawet roślin i materii nieożywionej – w dniu jedenastym.

Ponieważ konieczność zabawy rosła proporcjonalnie do czasu, który mijał, w dniu numer dziesięć Hrabia postanowił zabawić się w chowanego. Schował się, ale znaleziono go od razu przy pomocy Ewidencji Centralnej /Central Intelligence Data/. Następne trzy dni spędził w areszcie śledczym, zanim udowodnił, że ukrył się tylko dla zabawy.

W dniu szóstym odpoczywał, co było zupełnie zrozumiałe.

W piątym wyszedł na miasto i odwiedzał znajomych, których błagał, aby mu opowiedali dowcipy. Nie wszystkie były zabawne, a te, które były – Hrabia znał je wszystkie, podobnie jak i tamte, należące do pierwszej kategorii. Bowiem nowych dowcipów już nie było.

W czwartym – na zabawę taneczną. Lecz miał za ciasne buty.

W trzecim – do cyrku. Lew nie chciał skakać przez płonącą obręcz.

W drugim – czytał gazety. Formy byłyby zabawne, gdyby nie ich treść i na odwrót.

W ostatnim dniu przed końcem świata Hrabia przygotował kanapki z jajkami na twardo, postawił krzesło na balkonie, owinął się w koc i usiadł, aby nie przegapić momentu, w którym świat się skończy. Miał nadzieję, że przynajmniej to zdarzenie, tak wyjątkowe, nie będzie pozbawione elementu rozrywki.

Nazajutrz świat trwał nadal.

Hrabia z ulgą zaprzestał usiłowań. Okazało się, że zabawa to nic pilnego.

Sławomir MROŹEK

"Kultura", czerwiec 1987

Marek Nowakowski

ŻYDOWSKI HRABIA

Byłem wtedy w komitywie z Platerem. Hrabia, ale bardzo warszawski, swojski. Mieszkał w starej czynszowej kamienicy w sercu miasta. Znał doskonale życie bazarów i knajp. Namiętnie grywał na wyścigach konnych. Przegrywał i wygrywał z jednakową pogodą ducha. Nie posiadał żadnych kosztowności rodzinnych, bransolet, kołli czy złotych monet. Z dawnej świetności pozostał mu jedynie sygnet. Nosił go zawsze na przedostatnim palcu prawej dłoni. W latach stalinowskich był zamiataczem ulic i jego opowieści o tym zajęciu skrzyły się przewrotnym humorem, urodą życia i komizmem.

Kiedy się poznaliśmy, czas swój dzielił na wyścigi i blacharkę samochodową. Pracował dorywczo w warsztacie u prywaciarza. Prywaciarz był snobem i hrabia wprowadzał go w arkana heraldyki, herbarzy i genealogii starych rodów.

Często wyglądało to mniej więcej tak: Zasiłuchany szef w wyszmelcowanym kombinie, z uniesionymi na czoło okularami i palnikiem acetylenowym w rękach, a z ciemnego kąta szopy dochodził przyjemny głos hrabiego: Książęta Thun und Taxis spokrewnieni są z Radziwiłłami przez... I tak dalej. W dodatku lekko grasejował.

Tego dnia hrabia otrzymał tygodniówkę od swego pracodawcy i ruszyliśmy w obchód po knajpach. W barze "Metro" przywitał się serdecznie z brodatym śmieciarzem o wyglądzie patriarchy. Niegdyś gościł tego bezdomnego włóczęgę w swoim mieszkaniu. Gdzie indziej wdał się w dyskusję z człowiekiem w okularach. Był to wybitny muzykolog ze skłonnością do alkoholu. Obaj ze znanstwem rozprawiali o wirtuozerii pianistycznej Józefa Hoffmana. Dzwoniło szkło. Hrabia miał szeroki gest i wszędzie gdzie wstępowałyśmy stawał hojnie znajomym i nieznanym. Potrzebującym udzielał pożyczek.

Podziwiałem jego bez troskę: ojciec czworga dzieci, piąte było w drodze. Hołdował zasadzie dni chudych i tłustych. Dziś był dzień tłusty. I zawędrowaliśmy jeszcze do nocnego lokalu, który w tamtych latach cieszył się największą estymą w mieście. Plater pobiegł od razu po schodkach do cocktail-baru. Tam zbierało się doborowe towarzystwo bywalców.

Natomiast ja zostałem zatrzymany przez znajomych oficerów zajmujących lożę na podwyższeniu w sąsiedztwie orkiestry. Było ich trzech. Wszyscy z pionu armijnej kultury i propagandy. Najstarszy był podpułkownikiem, dwaj jego koledzy w randze majorów. Podpułkownik wojsk lotniczych był wiceszefem wydawnictwa. Drugi piastował jakieś stanowisko w zarządzie politycznym armii. A trzeci prowadził dział odpo-

wiedzi na listy czytelników w tygodniku żołnierskim.

Powitali mnie serdecznie. Istniała między nami więź sympatii i podpułkownik w stalowym mundurze teraz już proponował mi wydanie książki w swoim wydawnictwie.

- Umowę masz u mnie na piu! - wabił. - Od razu! - Obiecował wyższą stawkę za arkusz.

- Mamy możliwości - powiedział i mrużył jedno oko, drugie było martwe, szklane. Na imię miał Apoloniusz. Major z zarządu politycznego koniecznie chciał zorganizować dla mnie cykl spotkań autorskich z żołnierzami w jednostkach i na poligonach.

- Dwadzieścia, trzydzieści wieczorków... ile chcesz!

Dotąd nie skorzystałem z tych życzliwych ofert, ale od towarzyskich spotkań z nimi nie stroniłem.

Miałem pewną słabość do oficerskiego munduru i grały tu niepoślednią rolę atawizmy z dzieciństwa. Mglista pamięć wujka ułana, albumy ze zdjęciami Legionistów Piłsudskiego, opowieści o sławnych zagońcach, partyzckiej wojnie z okupantem, o tych wszystkich "Kmicicach", "Bohunach", "Wirach", "Młotach" i "Ponurych".

Patrzyłem więc na trzech roślących, krzepkich mężczyzn z sympatią. Prezentowali się okazale, z baretkami odznaczeń na mundurowych kurtkach. Jednooki podpułkownik Apoloniusz wyglądał jak prawdziwy weteran rozmaitych bitew i szarż, choć nie był frontowcem, tylko po wojnie, jak powiadał, ścierał się z reakcyjnym podziemiem.

Ponadto pili gorzałkę jak wodę, tężyżnę w tym względzie mieli imponującą. Podpułkownik Apoloniusz im więcej przyjmował, tym bardziej stawał się skąpy w słowach, gestach. A ten z zarządu politycznego, najmłodszy, Grzegorz, śpiewał dźwięcznym głosem rosyjskie, sprośne piosenki, znał też ukraińskie dumki, ale śpiewania dumek wystrzeżał się w miejscach publicznych.

Zasiadłem w tej oficerskiej kompanii i uraczyli mnie gościnnie wódką. Oni nie lubili pić kieliszkami, używali angielek i opróżniali szkło jednym haustem do dna. Często żądali na zakąskę razowego chleba i po wypiciu wachali chleb z rozkoszą.

Emanowała z nich spokojna pewność, siła i energia. Rozmawiali jak zwykle o jakichś naradach, spotkaniach, jak zawsze powoływali się na generała Moczara.

- Mietek powiedział... - używali takiego zwrotu i miało to charakter ostatecznego argumentu.

Tej nocy przedmiotem rozmowy była niedawna uroczystość w pałacyku pod Warszawą, gdzie po części oficjalnej nastąpił piknik na łonie natury i piękli w ognisku baranie mięso, popijali wódką z blaszanych kwart i generał Moczara coś ważnego im powiadzał. Musiało to być szczególnie dla nich ważne, gdyż sięgając po szklaneczkę już drugi raz wznosili toast: - Żeby niedługo!

Wyglądali na bardzo zadowolonych i moje pytanie co takiego wkrótce ma nastąpić, zbyli pobłażliwymi uśmiechami, a jednooki podpułkownik Apoloniusz poklepał mnie po plecach.

- Pożyjesz, zobaczysz - rzekł krótko.

Wraz z orkiestrą występowała śpiewaczka i najmłodszy z nich Grzegorz podbiegł do podium, pocałował ją szarmancko w rękę i poszeptał chwilę. Zaraz ta śpiewaczka w sukni mieniącej się kolorowo niby rybia łuska, ujęła w dłoń mikrofon i zaśpiewała - "O mój rozmarynie, rozwijaj się...".

- To dla nas - szepnął Grzegorz.

Wszyscy trzej słuchali tej żołnierskiej piosenki w nabożnym skupieniu. Wydało mi się nawet, że to żywe oko podpułkownika Apoloniusza zalaśniło łzawo. Występ śpiewaczki nagrodzili oklaskami. Biłem w dłońe wraz z nimi.

- Nadchodzą wielkie dni - rzekł major Parobczyk, który odpowiadał na listy w żołnierskim tygodniku; wpatrzył się w sufit ozdobiony migoczącymi gwiazdkami.

- Czysztki i porządki - dodał jednooki podpułkownik Apoloniusz i wałną szeroką jak łopata dłonią w blat stołu, aż zadzwoniły rozpaczliwym chórem butelki, szklanki, kieliszki i talerze.

Akurat na schodkach prowadzących do cocktail-baru pokazała się wysoka postać Platera. Zawołałem go. Niech pozna moich wojskowych kompanów. Zbliżył się powolnie. Wysoki i ciemnowłosy, ze swoją małą w szpic przystrzyżoną bródką, wyglądał jak hiszpański grand. Oficerowie przyglądali mu się z ciekawością. On im też.

1 - stanawszy przed naszym stolikiem niedbale wyciągnął dłoń. Uczynił to takim charakterystycznym gestem, jakby podsuwał im ją do całowania i jednocześnie wycedził - hrabia Plater jestem!

Oficerowie wyglądali na skonsternowanych. Wlepili oczy w jego dłoń. Niedbale i luźno podsunęła na wysokość ich ust. Z sygnetem na przedostatnim palcu. Mimo pracy fizycznej dłoń miał czyste, wypielegnowane o długich, smukłych palcach. Wyzywające. Patrzyli jak zahipnotyzowani. Plater zaś czując swą przewagę, wyłącznie już był pochłonięty kreacją. Wydał lekko wargi i oczyma zdawał się mówić: "Na kolana, chamy!".

Pierwszy osunął się jednooki podpułkownik Apoloniusz. Jego twarz spurpurowiała. Zerwał się z krzesła. Chłop był jak dąb, w złości niebezpieczny. Kiedyś jednym ciosem znokautował znanego autora pieśni patriotycznych, który obraził jego żonę. Wściekły był również major Parobczyk, publicysta z tygodnika żołnierskiego. Zbiełały mu palce, którymi trzymał szyję butelki po wodzie mineralnej. Może z powodu nazwiska? Parobczyk i hrabia. Nasuwało się to skojarzenie. Spokój zachował major Grzegorz, ten z zarządu politycznego armii. Stanowczym ruchem ręki powstrzymał gotującego się do ataku podpułkownika Apoloniusza. Roześmiał się i podniósł kieliszek: - To ci łażen! Abyśmy! - Choć najmłodszy wiekiem, był niewątpliwym autorytetem w tym gronie. Rozładował napięcie. Uspokoił się trochę.

A ja czym prędzej odpędziłem Platera od naszego stolika. Oddalił się majestatycznie. Odprowadzili go ciężkimi spojrzzeniami.

Próbowałem poprawić popsutą atmosferę.

- Polek! - zwróciłem się do podpułkownika Apoloniusza. - To oryginał. Zresztą autentyczny hrabia. Stary ród, tradycje. No wiesz, Emilia Plater, dziewczica bohater...

Przerwał mi wściekle.

- Jaki tam hrabia! - warknął. - Gudłaj jakiś! Tak wygląda!

- Ależ Polek!

- Mało to razy arystokracja parzyła się z plutokracją. Mieszali się skurwiele! - Kłął długo i szpnie.

- Gudłaj - powtórzył major Parobczyk i to stwierdzenie jakby mu ulżyło.

Grzegorz, major z zarządu politycznego, uśmiechnął się i kręcił młynka palcami. Jego uśmiech był grymasem gracza; oczy pozostawały skupione.

Potem zaczęli rozmawiać ściszonymi głosami. Wyraźnie ignorowali moją obecność. Opuściłem ich i udałem się do baru w poszukiwaniu hrabiego Platera.

Był to luty, od marca zaś moi oficerowie niby orły zaczęli się wzbijać w hierarchii rang i stanowisk.

Apoloniusz został pełnym pułkownikiem. A wkrótce po tym awansie dyrektorem wydawnictwa. Jego zapalczywą twarz zacząłem widywać na szklanym ekranie telewizora, zabierał głos w sprawach wagi państwowej i obywatelskiej.

Major Parobczyk z kierownika działu w tygodniku żołnierskim przesunął się na po-

zycję zastępcy naczelnego redaktora.

Najwyżej awansował major Grzegorz, który w bardzo szybkim tempie został generałem brygady i ważną czyszką w armijnej propagandzie. Jego nazwisko wymieniano w samej czołówce nazwisk z okazji uchwał i oświadczeń zapadających na konferencjach, plenach i zjazdach.

Raz widziałem go jak wysiadał z czarnego samochodu. Generalskie lampasy zdołały jego spodnie.

W tym samym czasie Plater rozpoczął starania o wyjazd emigracyjny. Podał się za Żyda. Przystosował się należycie do nowej kreacji: puścił sobie brodę, długą i dziką, rabinacką, można powiedzieć, jego płonące czy wzmacniały ortodoksyjną sugestywność wyglądu. Był jak Josie Kałb z powieści Singera, którą akurat czytałem.

Otrzymał tzw. paszport w jedną stronę. Sprzedał dobytek, mieszkanie; wraz z żoną i pięciorgiem dzieci gotował się w daleką podróż. Jednak w odpowiednim wydziale resortu, zajmującym się pochodzeniem obywateli odkryto jego szyderyczy żart i cofnięto go z pociągu przed samą granicą.

- Nie wyszedł wam ten numer - oświadczył cywil, który asystował wopistom przy wysadzaniu go z pociągu.

Plater jednak wcale nie upadł na duchu i jeszcze bardziej umocnił się w swojej roli.

Nosić zaczął czarny kapelusz i czarną jesionkę z aksamitnymi wylogami na kołnierzu, broda urosła mu do pasa, oczy miał króliczko zaczerwienione, jakby od nocnego ślęczenia nad Talmudem. Istny chasyd, który dziwnym zbiegiem okoliczności zmartwychwstał na tej ziemi.

Nadal uczęszczał na wyścigi i nad wyraz spokojnie znosił spojżenia i kpiny braci Słowian.

Dalsze dzieje trzech oficerów są mi znane dość powierzchownie. Oto co mogę o nich powiedzieć: żelazny organizm jednookiego pułkownika Apoloniusza nie wytrzymał w końcu naporu wody ognistej. Pewnego razu wracał o świcie z libacji i spostrzegł nagle jak otaczają go zewsząd niedobici syjoniści. Odrażając postacie wynurzyły się z bram i piwnic. Prali go ze wszystkich stron. Nie dał się dzielny wojak. Zaczął ostrzeliwać się z parabelki. Postrzelił bezdomnego włóczęgę, który w tę letnią noc spał pod śmietnikiem. W ataku delirium tremens przewieziony został do szpitala dla wariatów. Jego kariera załamała się definitywnie. Przeniesiono go w stan spoczynku. Generał brygady Grzegorz w tajemniczych okolicznościach zdegradowany został do szeregowca i ostatecznie usunięty z wojska. Podobno pracuje jako księgowy w spółdzielni inwalidów wojennych. Można sobie wyobrazić jego upadłe życie. Płacz i zgrzytanie zębów. Na placu boju pozostał jedynie major Parobczyk. Picia alkoholu zaprzestał z powodów wątrobowych. Natomiast Plater po kilku latach koczowania kątem u krewniaków /mieszkanie i cały dobytek sprzedał przeciw/ otrzymał paszport i wyjechał do Szwecji. Tam wiedzie mu się nieźle. Z rzadka pisuje kartki z pozdrowieniami i wyraźnie zaznaczoną tęsknotą za wyścigami konnymi na Służewcu.

Niedawno spotkałem na spacerze w parku jednookiego Apoloniusza, pułkownika w stanie spoczynku. W cywilnym stroju nie prezentuje się tak okazałe jak dawniej. Garnitur przyciasny i pomięty, porusza się niezgrabnie.

Opowiedziałem mu o losach hrabiego Platera.

- Żydowski hrabia! - zazgrzytał sztuczną szczęką. - Jak szczur opuścił nasz okręt!

I szeptem podzielił się ze mną swoimi najnowszymi podejrzeniami. Dotyczyły osoby generała Jaruzelskiego.

Przyłożył dłoń pod brodę. Gest ten symbolizuje sławetne pejsy.

- Rozumiesz?

Poczułem lekką woń alkoholu. Jednak popija nadal.

"Kultura", czerwiec 1987

Alicja Iwańska

BRAZYLIJSCY POTOMKOWIE SCARLETT O'HARA

Uroczystości związane z 200-leciem istnienia Stanów Zjednoczonych nasunęły mi pomysł zbadania amerykańskiego uchodźstwa z wojny o niepodległość i wojny domowej. Kilka lat później wyruszyłam w podróż po Kanadzie w poszukiwaniu potomków pierwszych uchodźców, tak zwanych British American Loyalists, którzy zorganizowani są w Lojalistyczne Stowarzyszenia kultywujące pamięć przodków i własną odrębność. Jest wśród nich wielu historyków-amatorów, którzy utrzymują kontakt z kanadyjskimi uniwersytetami. Po dwóch wyprawach do Kanady udało mi się spędzić całe lata w Brazylii, w miasteczku Americana, stolicy amerykańskich uchodźców z wojny domowej. Rezultatem tych wypraw, badań i szperaniny w archiwach i rodzinnych dokumentach tych "wóch fal pierwszych uchodźców z kraju mego własnego uchodźstwa jest przygotowana do druku książka pt. "Exiles from the United States".

- Powieść Margaret Mitchell "Przeminęło z wiatrem" była podczas okupacji najbardziej poczytną książką w Polsce. Fascynowały nas wówczas losy wysiedlonych ziemian z piękną Scarlett O'Hara na czele, radzących sobie tak dzielnie w "okupowanej przez Yankesów" Atlantycie. Tak jak i inni czytelnicy "Przeminęło z wiatrem" byłam wówczas przekonana, że większość owych ziemian miała ogromne plantacje i wielu niewolników. Dopiero przy okazji moich badań dowiedziałam się, że zaledwie 2% sześciomilionowej ludności Stanów Południowych¹, nazywanych skrótowo "Dixie Land", posiadało ponad stu niewolników, a znaczna większość /70 %/ była ubogimi, samowystarczalnymi farmerami. Reszta mieszkała w miastach i miasteczkach: byli to rzemieślnicy, robotnicy, pastorzy, nauczyciele, adwokaci, lekarze itd. Prawie wszyscy jednak zamożni, biedni, miejscy czy więjcy podziwiali /i w miarę możliwości starali się imitować/ styl życia bogatych ziemian, nie kwestionowali niewolnictwa, pogardzali "zmaterializowanymi i gburowatymi Yankesami" i znaczna ich większość wspierała konfederatów podczas wojny domowej.

Czytając podczas wojny "Przeminęło z wiatrem" nie zdawałam sobie również sprawy z rozmiarów uchodźstwa z "Dixie Land" po klęsce. Według korespondenta "New York Herald" /rok 1965/ aż 50 tysięcy osób starało się opuścić wówczas Stany Zjednoczone. Udało się to tylko 10-ciu tysiącom. Reszta zdecydowała się na upokarzającą przysięgę lojalności /do której nawoływał zresztą przywódca konfederatów, generał Lee/ lub wewnętrzną emigrację /ukrywali się pod zmienionymi nazwiskami na Południu lub uciekali do New Yorku, gdzie ich nikt nie znał/.

Wiele można by pisać o tragicznych ucieczkach konfederatów do Meksyku, Wenezueli, Hondurasu. Niezorientowani w geografii, klimacie, polityce i kulturze tych krajów, pakowali się w wojny domowe i pułapki oszustów. Ci, którzy te wyprawy przeżyli, wrócili do Stanów Zjednoczonych zrozpaczeni i upokorzeni.

✱

Jedną częściowo udaną emigracją okazała się dwutysięczna emigracja do Brazylii. Pozostała po niej garstka /300 do 400 osób/ urodzonych już w Brazylii "uchodźców", schłodne miasteczko Americana w zasobnym stanie Sao Paulo, a na jego przedmieściach konfederacki cmentarz, miejsce ich corocznych lub częstszych spotkań.

Ci potomkowie Scarlett O'Hara są obecnie bardzo dobrze zakotwiczeni w brazylij-

1. Stany Zjednoczone miały wówczas trzydzieści i pół miliona mieszkańców.

skim cudzie ekonomicznym, zatrudnieni przeważnie w amerykańskich /"yankesowskich"/ firmach lub międzynarodowych gigantach. Dumni są ze swego wkładu w brazylijskie życie, ze statusu społecznego i kulturowego przetrwania. Czy równie dumni byłiby z tych osiągnięć ich i rodzokwie konfederacji?

Bardzo możliwe, że tak. Inna była bowiem ta ich emigracja od naszej, w każdym razie od jej pierwszej powojennej fali. Czy tak bardzo jednak inna od następujących po niej emigracyjnych fal?



Gdy po raz drugi, w Americana, przeczytałam "Przeminęło z wiatrem", zdałam sobie sprawę, jak bardzo inny od naszego był patriotyzm mieszkańców "Dixie Land". Był to głównie patriotyzm lokalny i rodzinno-klanowy. Wielu z nich dołączało do wojsk konfederacji dopiero wówczas, gdy ich okolice i rodziny, ich samodzielność i honor zagrożone były przez "obcych".

Tylko niektóre kościoły protestanckie oraz masoneria miały na tym bardzo prowincjonalnym Południu jakieś szersze koncepcje i międzynarodowe powiązania. Jeszcze przed końcem wojny domowej, w przewidywaniu klęski "kraju protestanckich pastorów i dwóch wysoko postawionych masonów" udało się do Brazylii. Pastorzy nawiązali kontakt z protestanckimi misyjami, masoni rozpoczęli pertraktacje emigracyjne z samym cesarzem, Pedro II, masonem-filozofem.

Gdy w 1865 roku pierwsi uchodźcy z wojny domowej przybyli do ówczesnej stolicy Rio de Janeiro /między innymi również dwóch wybitnych masonów-konfederatów, pułkownik William Norris i jego syn Robert/ zostali serdecznie przyjęci nie tylko przez swoich urzędzonych już w Brazylii "braci", ale również przez samego cesarza. Przez pięć lat przybijały do Rio de Janeiro statki z konfederackimi uchodźcami. Witano ich uroczystie serenadami i prezentami i umieszczano w specjalnie dla nich przygotowanym ogromnym hotelu "Emigrantes", gdzie odwiedzał ich cesarz Pedro. Mimo tak gościnnych powitań autorzy wielu dzienników rozpoczętych podczas wielomiesięcznych często morskich przepraw przez ocean notują z oburzeniem swe reakcje na nazwę przygotowanego dla nich hotelu. "Nie jesteśmy żadnymi emigrantami" - piszą. - "Przecież nigdy byśmy nie opuścili przedwojennego 'Dixie Land'... jesteśmy uchodźcami politycznymi!".

Czy rzeczywiście byli uchodźcami politycznymi? Czy chodziło im o odzyskanie podległości przez Yankesów "Dixie Land"? Czy mieli jakieś polityczne koncepcje i plany?

Nic podobnego! Nawet najwcześniejsi, najbardziej zagrożeni uchodźcy, ci którzy z niezdemobilizowanymi jednostkami wojskowymi przekroczyli Rio Grande do Meksyku, nawet ci uważali swą klęskę za ostateczną i nie odzyskania "Dixie Land" pragnęli, lecz rekonstrukcji swego "stylu życia" w utopijnych koloniach "uchodźczych". Niektórzy z uciekających konfederatów zakradali się do swoich domów, pałac je lub przynajmniej tłukąc porcelaną, aby nie dostała się w ręce Yankesów. Przed przekroczeniem Rio Grande /w pełnym uzbrojeniu i nawet z armatą/ oddział konfederatów spalił swoje flagi i wrzucił popioły do rzeki. Nie przewieziono żadnego konfederackiego sztandaru do Brazylii. Konsulat amerykański /"yankesowski", jak mówią potomkowie konfederatów/ dostarcza im dzisiaj papierowe chorągiewki konfederackie na ich "uchodźcze" cmentarne zebrania, nie mają jednak swego Mroźka, który by to opisał!



Dopiero w Americana, rozmawiając z potomkami konfederatów i wertując ich rodzinne dokumenty, zorientowałam się, że owi "polityczni uchodźcy" przed wypłynięciem do Brazylii brali często od "zwycięskich Yankesów" paszporty amerykańskie, "tak na wszelki wypadek, gdyby się nie udały te ich wyprawy". Niektórzy w Rio de Janeiro zgłaszali się po te paszporty do amerykańskich konsulatów. Wielu zatrzymało je przez całe życie, "bo nie chcieli być zmuszeni do brania udziału w brazylijskich

2. Bracia Charles i Georges Natham ze stanu Louisiana.

rewolucjach" – jak mnie zapewnili ich potomkowie.

Pod kilkutygodniowym pobycie w Rio de Janeiro emigranci pod egidą swoich płomiennych przywódców wyruszyli na zakładanie utopijnych kolonii w brazylijskich tropikach. Wszystkie te wyprawy skończyły się tragicznie: niewolnicy zakupieni w Rio de Janeiro do prac na wymarzonych plantacjach już w drodze pouciekali i nie sposób ich było złapać, bo instytucja niewolnictwa była już wówczas w rozkładzie. Emigranci nie potrafili dać sobie sami rady z karczowaniem dżungli, nie wytrzymywali tropikalnego upału, wielu z nich zginęło od ukąszeń węzów i nieznanych chorób roznoszonych przez tropikalne insekty. W opłakanym stanie dotarli w końcu do Rio de Janeiro i większość zdecydowała się wrócić do Stanów Zjednoczonych na koszt amerykańskich konsulatów.

W Rio de Janeiro zostało jednak 350 rodzin i znowu ich ratowaniem zajęli się masoni. Pułkownik Norris z synem Robertem kupili wielką fermę w okolicy dzisiejszej Americana i bez żadnych planów budowania tam "utopii", sprowadzili garstkę uchodźców do pracy na roli. Stopniowo dołączyła do nich reszta. Niektórzy pracowali na fermie Norrisów, innym udało się usamodzielnic. Założono masońską lożę imienia Washingtona i zbudowano kościół. Pastorzy i masoni zaczęli ostro rywalizować o "rząd dusz" wśród uchodźców, wkrótce jednak dla dobra ogółu ustalili kompromisowy, uzupełniający modus vivendi. Masoni zamknęli amerykańską lożę Washingtona i włączyli się do loży brazylijskich. Poprzez kontakty z brazylijską masonerią mogli coraz skuteczniej pomagać swoim rodakom. Podczas gdy masoni pracowali nad wzmocnieniem kontaktów uchodźców z brazylijskim establishmentem, pastory zajęli się podtrzymywaniem ich amerykańskości. Zakładali amerykańskie: szkoły, szkoły, z czasem nawet wyższe uczelnie i poprzez różne przykościelne organizacje izolowali uchodźców od kontaktów z "nieodpowiedzialnymi katolikami", z jakich uważali Brazylijczyków.

*

Cmentarz konfederatów, wokół którego wyrosła ich "emerytalna stolica" Americana ("emerytalna"), bo rozproszeni po całej Brazylii potomkowie Scarlett O'Hara starają się tam osiedlać po przejściu na emeryturę/ to duży, zaplanowany na dziko park. Wśród ciemnych amerykańskich sosen, jasnych brazylijskich palm, wysokich chwastów i polnych kwiatów prawie nie widać skromnych grobów, na których ledwo odczytać można krótkie, rzeczowe informacje o zmarłych. Na grobach nie stawia się świeczek i nie kładzie kwiatów, "bo to brazylijski zwyczaj".

Cmentarz ten ma swoją historię. Był on kiedyś ogrodem przy fermie pułkownika konfederacji i gdy katolicki ksiądz odmówił pochowania jego żony protestantki, pułkownik pochował ją w swoim ogrodzie. Od tej chwili ogród zamienił się w cmentarz.

Podczas dorocznego zjazdu "uchodźców", na który przyjechało również wielu krewnych ze Stanów Zjednoczonych, zauważyłam ze zdziwieniem młodego chłopca niosącego ogromną donicę z rudymi chryzantemami. Postawił ją pod małym drzewkiem i odszedł. Drzewko okazało się akacją. Pod nim, za chryzantemami zauważyłam niewielką metalową tablicę ku czci nieistniejącej już od dawna amerykańskiej loży masońskiej imienia Washingtona.

*

Jeszcze raz trzeba to zaznaczyć: mimo że opuścili "Dixie Land" ze względów politycznych, mimo że uważali się za politycznych uchodźców i że za takich ich nadal uważają ich potomkowie, konfederaci nie byli emigrantami politycznymi, bo nie próbowali nawet w jakikolwiek sposób wpłynąć na swój "okupowany" kraj i wiedzeli, że jeżeli kiedykolwiek go odwdzięczą, to jedynie jako "pielgrzymujący turyści".

Zachowanie języka, kultury, tożsamości i wysoki status społeczny zawdzięczają głównie:

1. rywalizującą współpracą protestanckich kościołów z masonerią /która jest "religią religii" i "śmietanką polityki", jak to określili jeden z moich rozmówców/;

2. umiejętności wykorzystania języka angielskiego, od dość dawna już niezbędnego w przemyśle brazylijskim;

3. kultywowaniu te. . . języka /czytają nieomal wyłącznie czasopisma i książki amerykańskie/ oraz podróżom firmowym i "turystycznym pielgrzymkom" do Stanów Zjednoczonych.

Alicja IWANŃSKA

Londyn, 27 lutego 1987 r.

"Kultura", lipiec – sierpień 1987

Konstanty A. Jeleński

JAK ŻOŁNIERZE W OKOPACH...

Konstanty Jeleński udzielił mi wywiadu o Gombrowiczu w c. . . rwcu 1984 roku, kiedy zaczynałam pracę nad zbiorem "Gombrowicz w Europie". Był pierwszą osobą, do której się zwróciłam o rozmowę, bo dzieje książek Gombrowicza w Europie zaczęły się od niego. To Jeleński doprowadził do przełożenia na francuski – i na inne języki – utworów, które Gombrowicz pisał "tam, daleko", w swoim pokoiku przy ulicy Wenezuelskiej w Buenos Aires. To on dyrygował czarodziejską różdżką. Przyzwyczytał nas do uważania za naturalne, że niez mordowanie walczy o Gombrowicza, bo walczył z miłości. Wojciech Karpiński nazwał go "pełnym energii sobowtorem". Jeleński był także jednym z ostatnich świadków przedwojennego świata Gombrowicza, świata, który bezpowrotnie zginął. Był jego tłumaczem, alter ego, świadkiem, wtajemniczonym. Wraz z Jeleńskim Gombrowicz w pewnym sensie umiera po raz drugi.

Rita GOMBROWICZ

Paryż, 15 czerwca 1987

Poniedziałek

Jeleński... kto to? Pojawił się na moim horyzoncie, hen, w Paryżu, i walczy o mnie... od dawna, może nigdy, nie zdarzyła mi się afirmacja tak zdecydowana i zarazem bezinteresowna tego, czym jest, tego, co piszę. Tu nie wystarczy sama tylko chętność, chwytność, także współbrzmienie może się wydarzyć tylko na gruncie pokrewieństwa natur. Użera się o mnie z polską emigracją. Wykorzystuje wszystkie atuty swojej sytuacji paryskiej i rosnącego osobistego prestiżu w intelektualnym beau-mondzie, żeby mnie popchnąć. Biega do wydawców z moimi tekstami. Zdobył mi już kilku popleczników, wcale nie takich. /Uznanie, zgoda, podziw nawet... to ostatecznie rozumiem /homosum/... ale ta pracowitość? to że podziw nie ogranicza się do podziwu?...

Nie uważam za dziwne, że on z taką łatwością wchłania i przyswaja sobie moją łatwość... on cały jest łatwy, nie piętrzy się, jak rzeka na przeszkodzie, płynnie wartko w tajnym porozumieniu ze swoim łożyskiem, nie druzgocze, przenika, przecieka, modeluje się wedle przeszkód... on nieomal tańczy z trudnościami. Otóż ja po trosze też jestem tancerzem i mnie ta perwersja /żeby "łatwo" podejść do tego, co "trudne"/ jest bardzo właściwa, mniemam że to jeden z fundamentów mego literackiego udołnienia. Ale co mnie dziwi, to iż Jeleński prze-

do stał się także do mojej trudności, ostrości, nasze stosunki na pewno nie sprowadzają się do tańca jedynie i on rozumie mnie, jak bardzo niewiele, właśnie w tym gdzie jestem najleśniejszy. Mój kontakt z nim, to wyłączenie listy, nigdy na oczy go nie widziałem, i nawet te listy są przeważnie pośpieszne, rzeczowe – a jednak wiem na pewno, że w naszym stosunku nie ma nic z ckliwego cackania się duchowego, że to stosunek surowy, ostry, napięty, i w samym rdzeniu swoim śmiertelnie poważny.

Nieraz kojarzę Jeleńskiego /który jest podobno gładkim salonowcem/ z proletariacką prostotą żołnierza... to jest, mam wrażenie, że w nim łatwość jest łatwością w obliczu walki, śmierci... Że obaj jesteśmy, jak żołnierze w okopach, zarazem lekkomyślni i tragiczni.

Witold GOMBROWICZ^x

Żaden mój portret nie sprawił mi nigdy takiej przyjemności. Pewno to narcyzm z mojej strony. Każdy ma jakiś obraz samego siebie, być może fałszywy, ja w każdym razie nie cierpię tego obrazu gładkiego salonowca. Odebrałem rzeczywiście światowe wychowanie, pozostały mi z niego odruchy, nie myślę jednak, bym był salonowcem. Zgadzałem się natomiast na proletariacką prostotę żołnierza. Brandys mi powiedział, że w Warszawie mówią o mnie: "Biedny Kot, ma trzy powody, żeby być nieszczęśliwym: nie jest Żydem, nigdy nie był komunistą i nie pochodzi z ludu". Tak jakbym czuł się winny z powodu mego pochodzenia i chciał je zatrzeć snobizmem à rebours. Większość moich przyjaciół uwierzyła w ten goszystowski snobizm, natomiast Witold świetnie wyczuł, że proletariackość fascynuje mnie – podobnie jak jego – z powodów psychologicznych. Doskonale rozumiał te dwie strony mojej osobowości, chociaż mnie wówczas nie znał. Wydało mi się to dowodem wielkiej przenikliwości. Była to na pewno kwestia jego intuicji, ale i lektury moich tekstów. Ludzie się jednak odstawiają w tym, co piszą.

Mój podziw nie ograniczył się do podziwu, bo książki Witolda nie ograniczały się do sprawiania mi przyjemności estetycznej. To, co dla niego zrobiłem, zrobiłem przede wszystkim dla siebie, bo spotkałem kogoś, kto był mi duchowo pokrewny. U źródła było prawdziwe, rzeczywiste zainteresowanie. Z wiekiem zainteresowanie dla innych staje się coraz trudniejsze, bo są często entą wersją tej samej postaci. Uwagę przykuwa niepowtarzalność, ludzie o silnej osobowości, którzy nie mogliby być nikim innym niż są. Witold nie mógł. Poza tym zawsze bardzo bałem się nudy. Kiedy coś wnosi do mojego życia dodatkowe ożywienie, kiedy mogę się tym bawić, rzucam się oczywiście na taką okazję. Witold wniósł do mojego życia szalenie dużo przyjemności, zaciekał mnie, rzucił nowe światło na mnie samego i na świat. Był jakby projekcją mnie samego, tylko bardziej udaną, lepiej zarysowaną, doskonalszą, a zarazem znacznie bardziej nieszczęśliwą. Ale wiedziałem też, że taka była cena tej doskonałości. Przychodzi mi w tej chwili na myśl Miłosz, dla którego też dużo zrobiłem. Naprawdę lubię jego poezję, ale to co zrobiłem robiłem dla niego, dla innego człowieka, dla kogoś zewnętrznego wobec mnie, dla przyjaciela różnego ode mnie, który nazywa się Czesław Miłosz i którego podziwiam. Natomiast z Witoldem miałem uczucie, że poprzez lektury jego książek i poprzez naszą korespondencję obcuję ze wspaniałym, podziwu godnym sobowtorem. Nie chodziło o to, że sam chciałyby być pisarzem. Pisałem zawsze tylko na prośbę przyjaciół lub na zamówienie. Nigdy nie cierpiałem nad tym, że nie jestem twórczy. Zresztą nie wiem dlaczego.

^x Ten tekst nie figuruje w wydanych przez nas "Dziennikach", gdyż Gombrowicz napisał go 25 czerwca 1963 specjalnie do wydania francuskiego z poleceniem dla tłumacza, aby umieścił go pod koniec 1956 roku.

Lektura "Ferdydurke"

Po raz pierwszy przeczytałem "Ferdydurke" po jej ukazaniu się w Warszawie, w 1938 roku. Miałem osiemnaście lat. Nie znałem Witolda, ale słyszałem o nim w domu. Moja ulubiona ciotka, Magda Skarżyńska, była rówieśnicą i bliską przyjaciółką Reny, siostry Witolda. Obie były wiceprezeskami Związku Młodych Ziemianek. Jedyne moje wspomnienie o Renie Gombrowicz, to jak gra w tenisa z moją ciotką Magdą pod rozłożystymi drzewami pięknego starego parku na wsi. Obie noszą plisowane spódniczki i białe opaski na głowach, jak Suzanne Langlin. W rodzinie uchodziłem za pożeracza książek i któregoś dnia ciotka powiedziała mi: "Chciałabym, żebyś przeczytał tę książkę i powiedział mi, co o niej myślisz. Napisał ją Witold, brat Reny. Boją się, że zwariował". Preczytałem i byłem wstrząśnięty. Po raz pierwszy czytałem książkę jak list, i to list nie tylko zaadresowany do mnie, ale mówiący o mnie. Jakby ktoś wprost do mnie mówił. Był to wierny opis mojego życia. Przygody bohatera tej podróży inicjacyjnej, jaką jest "Ferdydurke" toczyły się w tym samym środowisku co moje. Rozpoznałem w nich samego siebie, moją rodzinę, moją szkołę, moje środowisko, mój kraj, i wszystko zostało naświetlone i zinterpretowane. Weźmy szkołę. Witold dojrzał w Polsce liberalniejszej, ale podział na nacjonalistów i antykonformistów nadal istniał. Począwszy od 1935, od śmierci Piłsudskiego, narastał polski nacjonalizm i antysemita partia endeków. Większość "patriotów" mojego pokolenia to byli okropni nacjonalisci. Uświadomiłem to sobie już na jakie dwa-trzy lata przed przeczytaniem "Ferdydurke". Mój najlepszy przyjaciel w szkole był Żydem. Któregoś dnia ktoś mu ubliżył podczas lekcji matematyki. Wynikła z tego straszna bójka. Polała się krew. Tylko jedna trzecia klasy stanęła w obronie mojego przyjaciela. Linia podziału była wyraźna: albo było się za antysemitą partią narodową, albo przeciw niej. W tzw. sferach wypadało być w harcerstwie, wielbić bohaterów narodowych, zwalczać Żydów, masonów, zdradców i w ogóle wszelkich podejrzanych. A ja zawsze byłem podejrzany. Witold doskonale opisał tę szkolną wojnę między przegrzanymi antykonformistami a nacjonalistami, którzy chcieli sobie przywłaszczyć całą kulturę narodową i idealizowali naszą historię. W "Ferdydurke" odnalazłem rzeczy, które znałem. Otworzyło mi to oczy i równocześnie dodało pewności siebie. Po "Ferdydurke" naprawdę żyłem inaczej. Zrozumiałem, że należy zajmować stanowisko. Przedtem byłem raczej miękki i zamknięty w sobie. Nie uciekałem od życia, bynajmniej, uczestniczyłem we wszystkim. Byłem nawet raczej lubiany, ale kiedy ludzi coś bawiło, ja miałem zawsze uczucie, że udaję, że mnie to bawi. Byłem trochę zgubiony. Nie rozumiałem ani w żąb absurdalnych wydarzeń, jakie się wokół mnie rozgrywały. Ludzie widać mieli jakiś klucz. Mnie klucza dostarczyła "Ferdydurke". Myślałem, że łączyło mnie z Witoldem jakieś pokrewieństwo duchowe i że pokrewieństwo to zwieliokrotnił fakt, że pochodziliśmy z tej samej sfery. Wrodzone pokrewieństwo rozwinęło się na tej samej pożywce, in vitro. Ta sfera to było przede wszystkim ziemianstwo z jego absurdalnością, jego pozorną poczciwością, jego niestęchanym zowoleniem z siebie. Poza tym istniało postępowe, lewicujące mieszczaństwo, ów świat literacki w którym obracał się Witold w Warszawie i który był też częściowo środowiskiem moich rodziców. W Paryżu liczyli do swoich przyjaciół wellsovskich postępców w rodzaju rodziny Lejeune z "Ferdydurke". Nasze rodziny miały podobne odruchy, podobne przesady i ten sam nieublagany snobizm, często skryty pod maską antysnobizmu. Wszystko w "Ferdydurke" było odbiciem mojego własnego świata. Jednak na to, by książka odmieniła życie szesnastoletniego chłopca, musi ona przekształcić jego świat w dzieło sztuki. "Ferdydurke" była zarazem wspaniałą powiastką filozoficzną i powieścią sowiżdralską, w której wszystko zostało ośmieszone z absolutnie zaleźnym humorem, radością, złośliwością i pomysłowością. "Ferdydurke" odmieniła moje życie i byłem za to Gombrowiczowi zawsze wdzięczny.

1. Znana francuska tenisistka z lat dwudziestych.

Snobizm

Snobizm Witolda – czy jego kompleksy wobec arystokracji – tłumaczą sobie jego sferą. Trudno sobie wprost wyobrazić snobizm ludzi, którzy należeli do beau monde, ale nie byli arystokracją. We Francji i Niemczech nie rozróżniano między szlachtą a arystokracją. "Szlachectwo" już było "arystokracją". Polacy natomiast uznają nie więcej niż dziesiątek rodów arystokratycznych. Istnieją nawet rody utytułowane i bardzo stare, jak Czapscy – hrabiowie od wiek wieków – które nie uchodzą za prawdziwą arystokrację. Arystokracja ogranicza się do rodów magnackich, tzn. bardzo bogatej szlachty, która przez wieki rządziła Polską, posiadała pałace w Warszawie, ogromne dobra na wsi, upudrowaną i z francuska ubraną służbę. Arystokracja to byli ci wielmoże, którzy podejmowali księcia d'Albe² na polowaniach, jeździli na Boże Narodzenie do Malborough, zapraszali Windsorów po ich ślubie. Szlachta, nawet z najlepszych rodzin, wiodła spokojny prowincjonalny żywot, bo była uboższa.

Snobistyczni Polacy, którzy patrzyli na te rzeczy od wewnątrz, mierzyli wartość rodziny wedle liczby senatorów, jakich w ciągu wieków wydała. Przed rozbiorem senatorami byli wielcy dygnitarze Korony, wielki kanclerz, hełman, odpowiednik konstabla, i zarządcy prowincji. Na przykład Jeleńscy wydali trzech senatorów, co już było niezłe, a Czapscy mają około dwudziestu, a Radziwiłłowie pewnie z sześćdziesięciu. Gombrowiczowie nie mieli ani jednego, ale byli spowinowaceni z rodzinami "senatorskimi". Snobizm Polaków jest legendarny. Pod tym względem mój ojciec przypominał Witolda. Znał na pamięć almanach gotajski i nigdy się z nim nie rozstawał. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności jak powiedzieć: "Mówił mi Jimmy d'Alba...³" albo "Jimmy d'Alba nigdy by się na to nie zgodził". Jak wielu ludzi z jego sfery, czuł na sobie zawsze oko pewnych arystokratów. Miał stałe uczucie, że zdaje egzamin. Budziło to w nim równocześnie bunt, podobnie jak w Witoldzie, który przedstawił archetypiczny obraz arystokratów w "Biesiadzie u hrabiny Kołubaj". Witold bardzo słusznie powiedział o arystokracji, że jest szanowana nawet kiedy jest głupia, brzydka i wulgarna.

Inny aspekt polskiego snobizmu polegał na tym, że beau monde sprowadzał się do środowiska bardzo nielicznego, ale bardzo przemieszanego, zupełnie jak u Prousta, w przeciwieństwie na przykład do arystokracji niemieckiej, która jest bardzo prowincjonalna i zhierarchizowana. Nie było wiadomo, dlaczego ktoś należy do salonów. Nie decydowały o tym koligacje rodzinne. Pewna fortuna była konieczna, przede wszystkim jednak trzeba było być zarażonym wirusem snobizmu. Wtedy zaczynało się tę społeczno-salonową wspinaczkę. Decydującym kryterium była przynależność do Klubu. Istniał w Warszawie Klub Myśliwski, odpowiednik Jockey Clubu. Kto tam został przyjęty, należał do salonów. Zarazem jednak ten, kto został przyjęty do arystokracji musiał żyć ponad stan, co było niepokojące. Zapraszano go na wszystkie bale. Wchodziło się do swojego rodzaju kasty.

Tu zrobię małą dygresję, która może się wydać błaha, ale która wiele mówi o regułach, jakich należało przestrzegać. Otóż Polak musiał zwracać się do księcia i księżnej per "książe" i "księżna", natomiast pod żadnym pozorem nie wolno mu było do nikogo powiedzieć "hrabio, hrabino lub baronie, baronowo". To byłoby w najgorszym guście. Do hrabiów, baronów i wszystkich utytułowanych osób poza księżętami zwracano się per "pan". Zwrócić się np. do Potockiej per "hrabino" byłoby taką samą gafą co powiedzieć do Radziwiłłowej "pani". O hrabinie Potockiej nie mówiono nigdy "hrabina Helena", lecz "pani Helena", natomiast mówiono "księżna Bichetta". Dla Witolda to nie były żarty!

2. Wielki grand hiszpański.

Pierwsze spotkanie

W 1963 roku zwrócono się do Nabokowa³, który był wówczas radcą artystycznym senatu berlińskiego, i sporządził listę artystów, których w pierwszej kolejności należało zaprosić do Berlina. Nabokow poprosił mnie o zaproponowanie kandydatów. Sporządziłem listę, na której figurowali Borges, Beckett, Masson i kilku innych, młodszych. Nie w czółtacie rzecz jasna, ale gdzieś pośrodku, pod literą G, umieściłem Gombrowicza. Pamiętam doskonale reakcję Nabokowa: "Ach, Polacy, Polacy! Zawsze tacy sami! Zawsze chcecie wepchnąć kogoś ze swoich! Kto to jest, ten pan Gombrowicz?". Nie wiedział. Powiedziałem mu, że w Niemczech Gombrowicz jest już znany. Kilka dni później Nabokow wrócił do Paryża i oświadczył mi, że rozmawiał z Günterem Grassem i Uwe Johnsonem, którzy obaj z entuzjazmem zareagowali na zaproszenie Gombrowicza. Wówczas napisałem do Gombrowicza do Argentyny. List ten do niego nie dotarł – wsunięty pod drzwi, przeleżał tam przez całą jego wakacje. Wreszcie w ostatniej chwili udało mi się go złapać telegraficznie. Potem ukradziono mu pieniądze na statku, tak że przez całą podróż był bez grosza. Pech za pechem! Wreszcie przejechał. Zatelefonował: "No jestem. Tylko proszę Cię, żadnych wylewności. Udajmy, że się znamy od dawna i że widzieliśmy wczoraj". Poszedłem do niego do hotelu Helder⁴. Jego nosowy głos trochę mnie zaskoczył. Mówił naturalnie tak, jak ludzie z jego sfery, cicho i śpicwnie, przeciągając trochę samogłoski. Mam bardzo złą pamięć. Nie przypominam sobie szczegółów tego spotkania, raczej tylko rodzaj gry, która się natychmiast ustaliła między nami. Witold uważał, że spontaniczność jest niemożliwa. A ponieważ "naturalność" była dla niego największym horrendum – naiwnym pastiszem spontaniczności – myślał, że łatwiej osiągnąć porozumienie poprzez stylizację. Wystarczy znaleźć swój styl, a wtedy wszystko może ujść. Wystylizowaliśmy więc nasz stosunek na znajomość dwóch polskich szlachciców, sąsiadów przez miedzę, z których jeden jest starszy i ważniejszy od drugiego. Ja na przykład od czasu do czasu cmokałem go – cium! – w przedramię, w okolicę łokcia. Witolda trochę to irytowało, ale też bawiło. Ten polski obyczaj sięga XIX wieku. Chłop całował pana w rękę, natomiast ludzie z podobnej sfery całowali na znak miłości szacunku w przedramię. Dla mnie Witold był bardzo polski, był Polakiem z mojej sfery, jak jakiś mój wujek czy kuzyn po kądzieli. W sztucznych konwenansach czuł się absolutnie naturalnie. Był jedną z najbardziej naturalnych osób, jakie spotkałem. Właśnie wskutek nieufności, jaką żywił do spontaniczności. Kiedy ktoś stanowi do tego stopnia jedno ze swoim wyglądem i swoją psychiką, trudno sobie wyobrazić, by mógł być inny. Nie mogłem sobie wyobrazić innego Witolda.

Paryż

Teorie Witolda o Paryżu irytowały mnie i żenowały. Miałem wrażenie, że wyda się wszystkim szalenie prowincjonalny. Z jego strony była to prowokacja. Paryż był symbolem czego innego niż Paryża. Pod karykaturą Paryża istniało coś autentycznego. Na przykład powiedzieć Nadeau⁶ albo Geneviève Serreau⁶, że Paryż jest salonowy... Toż oni byli niemal anarchistami! Chodzili do małych knajpek przez swoistą ascezę, która należała wtedy do kanonu elegancji intelektualistów paryskich. Tymczasem Witold, opisując w "Dzienniku" obiad z nimi, wymyślił jakieś wystawne menu. Uznali to oczywiście za skandaliczne. Witold nie zdawał sobie sprawy, że przypisywał im styl, który nie był ich i że ich prawdziwy styl był bez wątpienia bardziej "elegancki".

3. Mikołaj Nabokow, kuzyn pisarza, kompozytor, jeden z założycieli Kongresu Wolności Kultury, którego sekretariat mieścił się w Paryżu.

4. W pobliżu opery, na rogu rue Helder i Boulevard des Italiens.

5. Redaktor działu "Les Lettres Nouvelles" u Julliarda. Maurice Nadeau był pierwszym zagranicznym wydawcą Gombrowicza.

6. Pisarka i tłumaczka, przełożyła wraz z Jeleńskim "Operetkę", "Iwonę księżniczkę Burgunda" i "Trans-Atlantyk". Zmarła w 1981.

A opis koktajlu, jaki rzekomo wydała na jego cześć Leonor⁷! Leonor, która nigdy w życiu nie wydała koktajlu! Sam pomysł koktajlu...! Niektórzy Polacy, przeczytawszy ten fragment "Dziennika", też chcieli być zaproszeni na koktajl! Leonor żywała dla Witolda szacunek i podziw, ale nie przenikała tak w jego twórczość jak ja. Witold był dla niej kimś fascynującym, oryginalnym, dziwnym – Leonor uwielbiała dziwactwo – ale za mocnym i zbyt zamkniętym. Oboje zresztą są ludźmi wyciosanymi z jednej bryły i nie mogą być inni niż są. Leonor żyje w świecie zamkniętym. W każdym razie doskonale się rozumieli. Przypominam sobie, że razem bardzo się ze mną przekomarzali. Wracając do ataków Witolda na Paryż, mówiłem mu: "Słuchaj, nie mów takich rzeczy, to nikogo nie szokuje". Ale naprawdę byłem zażenowany, bo "obnażał". Robił dokładnie to, co robi z erotyzmem w swoich książkach. Nie znalazłem się w nich ani jednej sceny dosłownie seksualnej, ale trudno o większą obsceniczność. W Paryżu wszystko obnażał. Dla Francuzów był całkowicie inny od wszystkich. Ja – nad czym może należy ubolewać – zawsze przestrzegałem wszystkich konwenansów. Witold był ich zdecydowanym wrogiem. Podziwiałem Nathalie Sarraute i nadal ją podziwiam. W jej "Tropizmach", w tej masie drobnych incydentów jest jakieś pokrewieństwo z podskórną rzeczywistością Gombrowicza. Mówiłem Nathalie Sarraute o Witoldzie. Podeszła do niego, mówiąc, że jest szczęśliwa, iż może go poznać, że czytała jego książkę, którą uważa za wspaniałą, prawdziwe arcydzieło. Na to Witold: "Tak, dziękuję Pani. Pani Nathalie Sarraute? Ach tak, słyszałem o Pani książkach...". I ani słowa więcej.

Witold doskonale umiał zachowywać się jak człowiek światowy, ale też, jak sam mówił, jak naddunajski chłop. Bądźmy szczerzy: jak wielu twórców, nie interesował się zbyt twórczością innych. Nathalie Sarraute nigdy nie czytał.

Anachronizm

Kiedy Witold przysłał do "Kultury" pierwsze strony swojego "Dziennika", powiedziałem do Giedroycia: "To szalenie ciekawe i kiedy będzie tego więcej, trzeba to będzie naturalnie wydać jako książkę, ale na razie, dla pisma, lepiej wybrać najciekawsze fragmenty". Uważałem "Dziennik" za nierówny! Nie rozumiałem, że fragmenty "nierówne" były integralną częścią dzieła sztuki, jakim jest "Dziennik". Kiedy byłem młody, wyobrażałem sobie, że jeśli człowiek nie oscyluje między marksizmem, psychoanalizą i egzystencjalizmem, to jest prowincjuszem. Tymczasem książki Witolda, jak każde wielkie dzieło, są powiązane tysiącem nici z najrozmaitszymi ideami, które wisiąły w powietrzu. Ja czeptałem się kurczowo tego, co w nich było najnowocześniejsze, najbardziej paryskie, co mogłem pokazać przyjaciółom i powiedzieć: patrzcie, kogo my tu mamy! Kiedy przychodziły jego teksty z Argentyny, wydawały mi się czasem niezgodne z duchem czasu, podczas kiedy były sto razy bardziej "na fali" niż wszystko, co w Paryżu było "na fali". Człowiek dopiero wtedy rozumie, jak małe znaczenie mają teorie, kiedy kilka ich serii przedefiniuje mu przed oczyma. Teorie obumierają. Ładują na śmietniku historii. Anachronizm Witolda wynikał nie tylko z faktu, że był z dala od wszystkiego, ale i z tego, że rozumiał jego wartość. Kultura była dla niego środkiem wyrazu, sposobem lepszego zrozumienia siebie i innych. Nie uważał jej za obszar "piękna" ani nie przypisywał jej żadnej wartości utylitarnej. Wstyd mi dziś, że za wszelką cenę chciałem wciągnąć Witolda do nowoczesności. Być może była to rozsądna taktyka. Być może oddałem mu tym przysługę. Działalem w dobrej wierze. Byłem naprawdę olśniony zetknięciem tego anachronicznego dzieła z duchem czasu. Z całych sił windowałem go na wyżyny Zachodu, gdy tymczasem jego uniwersalność – jeden z powodów, dla których interesuje Zachód – polegała właśnie na tym, że był również anty-zachodni. Na przykład zawsze broniłem Witolda, ilekroć go gdzieś atakowano. Broniełem go z tym większą łatwością, że spontanicznie zawsze się z nim zgadzałem. Kiedy "Trans-Atlantyk" zaczął ukazywać się w "Kulturze",

7. Leonor Fini, malarka, z którą K.A. Jeleński mieszkał od 1950 roku.

8. "Trans-Atlantyk" ukazywał się w odcinkach w "Kulturze".

jakis londyński Polak napisał, że to nic nie warte, że awangarda polega na czymś zupełnie innym. Odpowiedziałem mu bardzo ostro. A Witold potem napisał w "Dzienniku", że wolałby, gdybym nie bronił go tym, że jest podobny do Sartre'a albo do Pirandello... Inny przykład: w przeczytaniu rękopisu "Pornografii" napisałem Witoldowi, żeby zatarł trochę swoje ślady. Napisałem tak z myślą o Robbe-Grilletcie i Nathalie Sarraute. Pomyślałem sobie: jest to nouveau roman zbudowany z sensacyjnych tropizmów, po co tak staromodnie wyklądać kawę na ławę?

Tymczasem w "Pornografii" właśnie o to chodzi, żeby "najświeższe trucizny przewozić na starej prowincjonalnej bryczce", jak napisał Gombrowicz w przedmowie do francuskiego wydania. Nie rozumiałem tego. A jeśli rozumiałem, to w każdym razie nie zgadzałem się z tym tak całkowicie, jak się zgadzam dzisiaj. Teraz wiemy, że na tym właśnie polega siła i wielkość Gombrowicza. Choć być może to duch czasu uznał regionalizmy, tradycje itd., a ja znowu idę krok w krok za modą... Byłoby to okropne. Miejsmy nadzieję, że tak nie jest.

Vence

Witold wrócił z Berlina. Wydał mi się zmieniony. Odwiedziłem go kilka razy w Royaumont. Często uczestniczyłem w obiadach ze starym panem d'Hormon. Witold świetnie opisał w "Dzienniku" swój pobyt w Royaumont. Kręciono tam film z "Les Amitiés particulières". Kręciło się dużo młodych studentów. Kiedy myślę o Witoldzie w Royaumont, widzę go głównie w parku, który mi przypominał "Pornografię": labirynt stawów, rozłożyste drzewa, cały ten aspekt voyeuryzmu, który zdarza się w parkach. Witold nie miał z paryskimi intelektualistami niczego wspólnego. Stał zupełnie z boku. Nudzili go. Musieli mu się wydawać jeszcze bardziej prowincjonalni niż w Warszawie, bo uważali się za uniwersalnych. Trzeba przyznać, że Royaumont było miejscem trochę groteskowym, niewygodną i pretensjonalną mieszanką bogatego domostwa i zabytkowego klasztoru, trochę jak angielski college. To było wtedy, kiedy Witold chciał, żeby się dowiedział u jakiegoś lekarza o najlepszy sposób na samobójstwo /nie istniał jeszcze podręcznik samobójcy doskonałego/. Byłem szczęśliwy, że pojedzie do Vence. Myślę, że mógłby być podobnie żyć w jakimś małym polskim miasteczku, na przykład w Kazimierzu: małe mieszkanko w domu z początku wieku, małe potrzeby, małe przyzwyczajenia, mały samochód, przyjęcia dla przyjaciół /był bardzo gościnnie/. Vence było idealne. Ktoś powiedział, że zamieszczania. Czyż on w ogóle mógł zamieszczanie? Tak samo nigdy nie mógłby należeć do cyganerii. Witold był taki sam w Argentynie śpiąc na gołej ziemi w Mauron czy mieszkając u poczciwej pani Elzy przy ulicy Wenezuelskiej co w Vence, przy placu du Grand Jardin: ślimak był nieskończenie mocniejszy od skorupy. Myślę, że przedmiot były mu obojętne. Mieszkanie meblował wyobraźnią. Tu strzałka: do lasu, tam: do banku, trochę jak w teatrze szekspirowskim. Mam kilka fotografii Witolda: Witold w sypialni, na łóżku. Witold idący do stołu. Witold na balkonie. Z lornetką. Byłem przekonany, że jeszcze będzie pisał. Powiedział mi, że chciałby napisać sztukę o musze. Pod koniec "Rozmów z Dominikiem de Roux" napisał, że chciałby się wyzwoić z własnej postaci, ale że jest już za późno. Mimo wszystko myślę, że było go jeszcze na to stać. Gdyby nie był tak chory, spłatałby nam jeszcze figla, jestem o tym przekonany. Nie spodziewałem się zupełnie jego śmierci, która się dziwnie wiąże ze śmiercią mojej matki¹⁰, kiedy miałem czterdzieści siedem lat i zamknął się rozdział mojego życia.

/Rozmawiała Rita Gombrowicz/

Konstanty A. JELEŃSKI

Paryż, 15 i 22 czerwca 1984

/Z francuskiego przełożyła Julia Juryś/

9. Jean Delannoy kręcił adaptację filmową tej książki Roger-Peyrefitte'a w 1964 r.
10. Matka Konstantego Jeleńskiego umarła kilka tygodni przed Gombrowiczem.

"Kultura", lipiec - sierpień 1987

Gustaw Herling-Grudziński

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Maisons-Laffitte, 28 marca 1987

Rano z Kotem Jeleńskim w Grand Palais. W kilku salach wystawa na zadany temat: "Terrae Motus" czyli "Naples, tremblement de terre et art contemporain". Pokazano sto czterdzieści dzieł siedemdziesięciu artystów parmi les plus prestigieux de la scène contemporaine. Ile ten jarmark próżności /i pustki/ kosztował i kto za niego zapłacił, skoro "najbardziej prestiżowi" artyści z "post-moderny" za darmo się w takie turnieje sztuki nie bawią? Ile za te wyrzucone na śmietnik pieniądze można było zbudować domów dla ofiar trzęsienia ziemi?

Nasz obchód wystawy trwał pół godzinki, może nawet mniej. Szliśmy szybko, wymieniając wrażenia bez słów: to Kot wzruszał ramionami, to ja, to zaglądaliśmy sobie w oczy, to kwitowaliśmy eksponaty /zwane "dziełami"/ trochę rozbawionym a trochę rozdrażnionym chichotem. Warto wystawę odnotować w dzienniku, choćby bez przytaczania nazwisk /z litości/ jej sławnych niekiedy uczestników? Warto, warto. Ale po to tylko, by raz jeszcze wytknąć nędzę "sztuki nowoczesnej". Abstrakcyjne nic pomnożone przez abstrakcję nicności. Nie do wiary prawie jest ta absolutna, nieuleczalna już chyba atrofia wyobraźni, wrażliwości, inteligencji. Szarlataneria, błaźństwo, w najlepszym wypadku zręczne kuglarstwo techniczne, jak gdyby temat nie miał tu żadnego w ogóle znaczenia. Toteż z siedemdziesięciu "prestiżowych" artystów należy wyróżnić trzech, którzy przynajmniej postanowili przyznać się otwarcie do swojej bezradności wobec tematu, wyrzekając się własnego widzenia w imię ubogiej "przedmiotowości" i "autentyczności". Jeden ustawił kopczyk z wulkanicznych kamieni. Drugi zbił kilka osmalonych desek. Trzeci zaprezentował prawdziwe łóżko z wymiętoszoną pościelą, co miało naturalnie sugerować scenę nocnego przebudzenia po pierwszym wstrząsie. Ten skromny wątek "figuratywny" nakazywałby posunąć się na malarzkiej ?? wystawie "Terrae Motus" o krok dalej, do żywych obrazów w wykonaniu ocalałych terremotati.

3 kwietnia

Zapomnianą książeczkę Bertranda Russella "The Practice and Theory of Bolshevism" wymienił dziś marginesowo w swoim świetnym wykładzie O. Bocheński, fetowany przez Pallotynów w 85-lecie urodzin. Wymienił ją z pochwałami, co sprawiło mi pewną przyjemność. W roku 1950, gdy wznowiono książeczkę Russella w Anglii po trzydziestu latach, omówiłem ją w szkicu "Fałszywy Bóg" wraz z książką Carew-Hunta "The Theory and Practice of Communism" i zbiorową spowiedzią sześciu pisarzy eks-komunistów "The God That Failed".

Zdumiała mnie wtedy dalekowzroczność Russella. Spędził miesiąc zaledwie w Rosji w roku 1920. Trzeba pamiętać, że wycieczka Labour Party, w której brał udział, odbywała się w atmosferze sympatii a nawet podziwu dla rewolucji rosyjskiej /one of the great heroic events of the world's history, czytamy o roku 1917 w "The Practice and Theory of Bolshevism"/, była częścią polemiki z atakami na bolszewizm w brytyjskiej prasie konserwatywnej. A jednak Russell dostrzegł od razu w Rosji to, co w trzy lata po obaleniu caratu mogło być jasne tylko dla wyjątkowo bystrego i rozumnego obserwatora z "nieuprzedzonej lewicy" na Zachodzie, i co w trzydzieści lat później pozwalało czytać z pożytkiem jego pre-giđe'owską "podróż do ZSSR".

"Być może bolszewizm da się obronić jako okrutna dyscyplina, dzięki której uprzemysławia się szybko kraj zacofany; ale poniósł on klęskę jako eksperyment komunistyczny". W "okrutnej dyscyplinie" widział Russell "odgrzebanie metod Piotra Wielkiego". A "eksperyment komunistyczny"? Przeistoczył się natychmiast w religię. "Przez religię rozumiem zespół wierzeń o charakterze dogmatów, które kierują życiem ludzkim, wykraczając poza oczywiste dowody lub występując przeciwko nim, i posługują się metodami uczuciowymi albo autorytatywnymi, a nie intelektualnymi. W takim ujęciu bolszewizm jest religią: że jego dogmaty wykraczają poza oczywiste dowody lub występują przeciwko nam, postaram się wykazać później. Ci, co przyjmują bolszewizm, stają się nieczuli na dowody naukowe i popełniają samobójstwo intelektualne. Nawet gdyby wszystkie doktryny bolszewizmu były słuszne, nie zmieniłoby to jeszcze postaci rzeczy, zważywszy że niedozwolone jest ich bezstronne badanie".

W roku wznowienia książeczki Russella jego pogląd był już obiegowy. O komunizm jako religii pisał w swojej książce Carew Hunt. "Zbankrutowanemu Bogu" złożyli pisarscy ikonoklasta eks-komunistyczni. O Wetter z Papieskiego Instytutu Orientalnego nazwał "peryfrazą Boga" materializm dialektyczny Lenina, a dogmatyczny i autorytatywny ton filozofii sowieckiej porównał do roli autorytetu i dogmatu w Kościele katolickim.

Co z owej "religii" zostało w następnych dziesięcioleciach, po śmierci Stalina, nowego Boga w starej koronie Piotra Wielkiego? "Kapiąńska" kasta wyzyskiwaczy z Nomenklatury wokół ołtarza nagiej Władzy. Miliony "wiernych", określone ostatnio przez Gorbaczowa mianem "plebsu". Dalekowzroczność Russella zasługuje wciąż na pochwały, lecz jej zasięg okazał się ograniczony.

Neapol, 12 kwietnia

Wczoraj, w Turynie. Była dziesiąta rano, kiedy stróżka roznosząca lokatorów pocztę zapukała do drzwi na trzecim piętrze dużej kamienicy. Otworzył jej starszy pan z siwą brodą, powitał ją jak zwykle grzecznym słowem i uśmiechem, podziękował za pocztę. W kwadrans później, siedząc już w stróżówce, usłyszała nagle ciężkie uderzenie o ziemię. Wybiegła przestraszona. Lokator z trzeciego piętra leżał w kałuży krwi obok wejścia do windy. Jego żona wracała właśnie z porannych zakupów.

Lokator z trzeciego piętra, doktor chemii Primo Levi, był więźniem oświęcimskim. Po wojnie opisał swoje przeżycia w książce "Se questo é un uomo", którą wielokrotnie wznawiano, przełożono na wiele języków, a we Włoszech włączono do kanonu lektur szkolnych. Tytuł "Jeśli to jest człowiek" przywołuje na myśl motto "Medalionów" Nałkowskiej: "Ludzie ludziom zgotowali ten los". Levi był w literaturze włoskiej, przy odmiennym sposobie patrzenia i opowiadania, odpowiednikiem Tadeusza Borowskiego w naszej. Inaczej żyły się jego dalsze losy. Nie przestał pisać, trzymał się skromnie na uboczu, pracując po dawnemu w laboratorium chemicznym. Ale z oświęcimskiego "kamiennego świata" nie wyszedł naprawdę nigdy, jak Szalamow nie wyszedł nigdy z kołmyńskiego "innego świata". I Oświęcim zabił go, w czterdzieści lat potem, dokładnie tak jak Borowski.

Samobójstwo jest aktem tak intymnym i tajemniczym, że powstrzymuje pióro każdego kto chciałby o nim pisać. Jakże bowiem wyobrazić sobie ten krótki moment, w którym dusza długo zatruwana owym "jeśli to jest człowiek" popycha naraz statecznego pana, cenionego naukowca i pisarza, ku otchłani klątki schodowej w zeszcwiecznej kamienicy turyńskiej? Primo Levi, bez pożegnalnego słowa i bez ostatniego krzyku prawdziwy koniec Wielkiej Wojny.

15 kwietnia

Na spacerze w Pompei mój towarzysz, angielski psychiatra skierowany do mnie przez wspólnych przyjaciół, zapytał czy znam "fantazję pompejańską" Wilhelma Jensena "Gradiwa". Tak, znam nowelę Jensena, znam również – bo do tego oczywiście

zmerzał mój towarzysz – "studium analityczne" Freuda o "majaczeniach i snach w 'Gradivie' Jensena". I dorzuciłem tonem rozmyślniej prowokacji: "Doradzam zawsze lekturę obu tekstów wszystkim, którzy mają nabożny stosunek do freudowskiej teorii czy interpretacji snów". W oczach mojego towarzysza łatwo było odczytać mieszaninę pobłażliwości i wyższości. Nie przerwał mi jednak: nie mógł nie wyczuć od pierwszej chwili swojej nieoczekiwanej i niezapowiedzianej wizyty, że dałem się wyciągnąć do Pompei contre coeur, że byłem czymś zbulwersowany i nie w nastroju do wychylenia się za próg własnego pokoju. Naraz, w trakcie mojego monologu, przypomniło mi się, że przed laty Kot i ja znęcaliśmy się do spółki nad "Gradivą" i freudowskim do niej "kluczem" w długiej rozmowie półzartem półserio, w jednej z tych rozmów które nadawały tak niezwykły urok naszej przyjaźni. Przyniosło mi to ulgę, jak gdyby bez znaczenia była obecność mojego przypadkowego towarzysza na pompejańskim spacerze.

To Jung wskazał Freudowi nowelę Jensena, drugo- czy trzeciorzędnego pisarza niemieckiego. "Gradiva" jest historią młodego archeologa, który zakochuje się w dziewczynie z autentycznej płaskorzeźby, zachwycony szczególnie jej pełnym wdzięku sposobem stapania. Nadaje jej imię Gradiva, myśli o niej bez przerwy, widzi ją we śnie na ulicy Pompei w dniu wybuchu Wezuwiusza. Pod wpływem tego dramatycznego snu postanawia jechać do Pompei. Tam pojawia się Gradiva w ostrym słońcu południowej godziny, tradycyjnej "godziny duchów". Następują "majaczenia" archeologa. Od "majaczenia" do "majaczenia" okazuje się w końcu, że ożywionym majakiem z płaskorzeźby jest młoda Niemka z rodzinnego miasta archeologa, która w tym samym czasie przyjechała z ojcem do Pompei. Ma równie wdzięczny jak Gradiva sposób stapania. Archeolog poznał ją był niegdyś jako młodziutką dziewczynę, przeżył na jej widok krótkie olśnienie, ale niezbyt w ogóle czuły na żywe powaby niewieście pogrążył się z powrotem w swych archeologicznych badaniach. I oto po latach pompejańską przygodę archeologa, na granicy snów i przywidzeń, zamyka happy end z krwi i kości.

Okropny banał noweli posłużył Freudowi do sustronicowego "studium analitycznego", w którym główną rolę odgrywa naturalnie mechanizm zepchnięcia uczucia do podświadomości i jego wypłynięcia poprzez sen na powierzchnię świadomości. Banałowi pisarza towarzyszy wiernie krok w krok banał psychoanalitka. Pasują do siebie znakomicie. Trzeba Jensenowi oddać sprawiedliwość, że nie dał się w tę operację naukową wciągnąć. Na listy Freuda odpowiadał powściągliwie, odmawiając wynurzeń osobistych i broniąc prawa pisarza do "fantazji poetyckiej" przed racjonalistycznym wsłabstwem uczonego. Innymi słowy, nie chciał się położyć i "rozluźnić" na kozetce psychoanalitycznej.

Mówiliśmy wtedy z Kotem o snach banalnych /ludzkie sny są w większości banalne/ i o tym, że dzięki nim właśnie prosperuje dobrze banalność freudyzmu. Wytłumaczyć, wyjaśnić! Zaspokoić potrzebę człowieka wytłumaczenia i wyjaśnienia wszystkiego w sposób "naukowy"! A co ze snami, których nie tylko zinterpretować, ale nawet odtworzyć nie można, mimo że po przebudzeniu pozostawiają wspomnienie czegoś zagadkowego, niedocieczonego i niezmiernie zarazem ważnego? Co z teorią /bardzo mi bliską/ snów jako stanów przedśmierci, błyskawicznych i ulotnych wypraw na "tamtą stronę"? Kot zawsze słuchał lekko nastraszony wywodów trącących "transcendencją", robił wyjątek /za przykładem Jana Potockiego/ tylko dla cudów, "jedynego dowodu na istnienie Boga". Nastraszony, tak, lecz równocześnie z wyrazem pragnienia w oczach.

Wieczorem, pozbywszy się nareszcie angielskiego psychiatry, usiadłem w fotelu ze "Zbiegami okoliczności". W szkicu o "Ziemii Ulro" Miłosza: "Interesowali mnie ontologiczni mistycy, jasnowidzący – teraz i dziś – ukryte związki pomiędzy poszczególnymi przedmiotami i istnieniami". W szkicu o "bohaterskim niebohaterstwie Gombrowicza": "Wydaje mi się, że wielkość Gombrowicza tkwi nie tyle w jego zawsze oryginalnej inteligencji, nie tyle w jego intuicyjnej, własnej wizji psychologii egzystencjalnej, ile w wysiłku zbliżenia nas do najbardziej skrytych, tajemnych głazów bytu. Gombrowicz, który tyle wyjaśnia, jest wielkim artystą poprzez wysiłek pokładania nam tych spraw, których ani on, ani nikt inny, wyjaśnić nie może".

Łączyło nas w przyjaźni uparte krążenie wokół "tych spraw".

22 kwietnia

W porannej prasie "bomba": za parę dni ukaże się w francuskich księgarniach autobiografia Wałęsy "En chemin d'espoir". Zapowiadane są dalsze przekłady, francuski ma charakter "prapremiery światowej".

"Corriere" przytacza z książki odpowiedź Wałęsy na pytanie, jaki byłby bez Jałty los Polski: "Przeżylibyśmy powolne i niepowstrzymane dryfowanie w stronę Wschodu i w końcu zostalibyśmy wchłonięci. Jałta uchroniła nas przed tym i pozwoliła nam uniknąć przekreślenia naszej tożsamości narodowej. Wprowadziła również do naszego organizmu narodowego skuteczne przeciwciała, które umożliwiły nam doświadczenie ostatnich lat". Któryż to doradca naszeptał Wałęsę na ucho myśl o swoistym dobrodziejstwie Jałty? Podobną myśl szeptał kiedyś na ucho Mikołajczykowi jego protektorzy anglo-amerykańscy. Akceptując "mniejsze zło" Jałty. Próżno wierząc na ościeniu przeciw "mniejszemu złu" polskich rządów komunistycznych pod kuratelą sowiecką, łącznie z "mniejszym złem" stanu wojennego, końskiego zastrzyku obliczonego na zwalczanie owych "skutecznych przeciwciał". "Stampa" wylawia z książki "rewelację" /jak ją nazywa/ Wałęsy: "W poufnej rozmowie generał J...uzelski zrobił mi obietnicę. Miał mnie uprzedzić, gdy wypadki przybiorą bieg nieodwracalny. Nie dotrzymał tej obietnicy".

Do polskiego wydania autobiografii Wałęsy powinien być dołączony, jako absolutnie nieodowny suplement, wywiad z płk. Kuklińskim "Wojna z narodem widziana od środka". Dopiero w takim poszerzonym kontekście stanie się jaśniejsze, co może być "drogą nadziei", trudną, niebezpieczną, lecz wbrew pozorom realną, a co jest tylko daremną pogonią za umykającą zjawą nadziei.

Maisons-Laffitte, 27 kwietnia

Cnotą jest dar uwagi, a jego brak więcej niż przyrodzoną ułomnością: ciężkim grzechem. Każde nieszczerście skłania do grzebania się w przeszłości i pozwala nagle zobaczyć na ile znaków, sygnałów było się ślepy i głuchy; i jak brak uwagi albo jej niedowład sprzyjał powolnemu dojrzewaniu nieszczęścia. Myślę czasem, że porażanie, stępanie, zabijanie uwagi jest jednym z głównych dowodów na istnienie Diabła.

2 maja

Przez cały ten tydzień nie miałem ani razu impulsu pojechania do nieprzytomnego Kota w szpitalu. Chcę go pamiętać takim, jaki był przed atakiem choroby. Często za to chodziłem do Leonor. Rozbita, przerażona, zgubiona, opowiadała o nim i słuchała moich o nim opowiadań, przerywając co jakiś czas cichym okrzykiem: Kot, Kot, non c'est ne andare! Ten okrzyk Kot, Kot, nie odchodź! dźwięczy mi ciągle w uszach.

Neapol, 4 maja

Umarł Kot.

Ból, prawdziwy i zastygający już na zawsze ból, odezwie się później, utrwali go a nie zładodzi czas. Najpierw jest drętwość, jak po fizycznym zranieniu. I oszołomienie, niedowierzenie, z domieszką paniki. Paryż bez Kota? Nasz polski tutaj świat bez Kota? Odszedł naprawdę? Nie, to niemożliwe! Obraz czarnej dziury, suchy skurcz w gardle, gęsta ciemność za oknem, martwa cisza delle piccole ore, małych godzin między północą i świtem. Zakłócana o tej porze tylko szarpaniną beapańskich kotów w krzewach na murze sąsiedniego domu.

Z czarnej dziury oszołomienia, niedowierzenia, wydobywa się Kot, jakiego muszę odcisnąć w pamięci, zanim pokryje go cementarna ziemia w Saint-Dye nad Loarą, nad

tą Loarą która na przedwieczornym spacerze przed kilku laty przypominała nam oczyste rzeki odgłosami pohukiwań i prostymi słupami dymów na tamtym brzegu. Byłem wtedy na jego przyszyłym grobie, pokazał mi go z pogodnym uśmiechem i krótkim: "Tu będę leżał". Nie nosił sentymentalno-dramatycznych tonów, brzydził się nimi po rytersku, miał niewyznany nigdy głośno lecz surowo przestrzegany kodeks indywidualnego męstwa. Pod tym pancernem biło gorące i czułe serce.

Niesamowicie inteligentny, błyskawiczny i błyskotliwy w rozpoznawaniu i przyspilananiu rzeczy naprawdę istotnych, wprost niewiarygodnie czytany i zadomowiony we wszystkich dziedzinach sztuki i myśli /przy żartobliwie niechętnym stosunku do "zawodowej erudycji"/, naładowany energią, tak szybki w pisaniu i mówieniu jakby nie nadążał za obrotami własnego umysłu, takomy na "nowinki" ale bezwzględny gdy ocierały się o efekciarską błagę, zakochany po uszy w swoich wybranych artystach, nienawidzący kłamstwa i obłudy, wrażliwy na każdy przejaw przemocy i zniewolenia. Szkic do portretu twórcy? Nie jestem pewien, czy Kot rzeczywiście chciał nim być. W roku 1961, po ogłoszeniu w "Kulturze" naszego wielogłosu o Hostowcu, pisał do mnie Jerzy Stempowski: "Czuję się tym wszystkim bardzo wzruszony i zarazem zakłopotany, bo ambicją moją było raczej pozostanie w cieniu jak pan Chlewaski, co słusznie zauważył Jeleński". Może Kot "słusznie to zauważył", bo i jemu bliski był pan Chlewaski, ajemniczy korespondent Couriera, którego "ambicją było przejść przez życie jak zjeździć i dobroczynny cień", posłuszny wolteriańskiej dewizie *aimer et penser c'est la véritable vie de l'esprit*.

Podobnie więc jak Hostowiec, Kot nie przepadał /ulubione słówko jego i Reny/ za procederem "czernienia papieru". Był wybitnym eseistą, jednym z najwybitniejszych we współczesnej literaturze polskiej, wolał jednak konwersację od pisania. Był zresztą, w zarodku, nie tylko eseistą. Z roku 1979 pochodzi jego trzydziestostroniowy tekst autobiograficzny o dzieciństwie i wczesnej młodości, pisany odręcznie po włosku w gorączkowym pośpiechu. Przeczytałem go dziś na nowo. Jest wyborny, widać się w nim rozmach powieści z niektórymi zarysowanymi już wyraźnie scenami. Cóż z tego! Istnieje w dwóch egzemplarzach: oryginał dla przyjaciela włoskiego, jedyna fotokopia dla przyjaciela polskiego.

Nie tak dawno byłem świadkiem, jak znany wydawca francuski zaproponował mi przygotowanie tomu esejów. Wzruszył ramionami i propozycję pokwitował zdawkową formułką grzecznościową, bez krzty bodaj zainteresowania. Kiedy poszliśmy potem we dwójkę na kawę, usiłowałem go nakłonić do cofnięcia odmowy. Zaśmiał się: "Za dużo się teraz pisze i wydaje, grozi nam utonięcie w morzu zadrukowanego papieru". A przecież... W "sympozjonie poliglottów", zorganizowanym przez Hostowca w roku 1961 w "Kulturze", głos Kota kończył się tak: "Dlaczego pisarz-poliglota nie zawsze decyduje się na emigracji przestawić się ostatecznie na jeden język literacki? Zdarza się to czasami - i rezultaty są często doskonałe: angielski Pietrkiewicz, francuski Cioran czy Ionesco. W moim wypadku, 'krzytka' czy 'publicysto', sprawa przedstawia się nieco inaczej. Najwięcej satysfakcji sprawia mi pisanie do 'Kultury', po prostu dlatego, że artykuły moje wywołują pewne echo wśród bardzo szczonego zresztą grona przyjaciół... Czytelników francuskich czy angielskich mam może więcej, ale jestem dla nich jednym z tysiąca anonimowych pismaków". Miał kult przyjaźni, był w niej szczodry, a czasem nawet rozrzutny.

Pamiętam też dzień, w którym przywoziłem mu pierwsze egzemplarze "Zbiegów okoliczności". Ledwie rzucił na nie okiem, ale kiedy po herbacie odprowadził mnie na przystanek autobusowy, widziałem z okna autobusu jak wyciągnął spod płaszcza egzemplarz, kartkował go w chodzie łapczywie, zamykał go i znowu otwierał, ważył go w dłoniach i gładził. Gdyby był podniósł na chwilę wzrok, zobaczyłbym w nim na pewno niepowściąganą niczym radość.

"Gdybym miał przedstawić czym jest dla mnie świat
Wziąłbym chomika albo jeża albo kreta
Posadziłbym go na fotelu wieczorem w teatrze
I przytykając ucho do mokrego pyszcza

Śluchałbym co mów: o świetle reflektorów
O dźwiękach muzyki i ruchach baletu."

Ten wiersz Miłosz kochał chyba najbardziej. I zaopatrzył go w komentarz: "Nikt pięknie nie wyraził jedynej rewolucji filozoficznej naszych czasów /wobec której neo-marxizm, egzystencjalizm, strukturalizm są odpowiednikami krótszych czy dłuższych spódnic w modzie kobiecej/ – wynikającej z przeświadczenia, że człowiek nie jest ani 'królem stworzenia', ani ośrodkiem wszechświata. że wobec tego wszelki 'humanizm' jest dziś niemożliwy".

W naszych czasach "niemożliwego humanizmu" przyjaźń z takimi ludźmi jak Kot, piętami i szlachetnymi, jest szczęściem i skarbem. Skarbem, którego drococość trudno odmierzyć w słowach; i którego utratę oplakuje się, w milczeniu już, do końca życia.

15 maja

Przed laty, kiedy po raz pierwszy wybrałem się do pei, przy wejściu na teren wykopalisk stała duża szklana gabłota ze skamieniałymi zwłokami śpiącego mężczyzny. Robił wrazenie rzeźby. Zalany we śnie przez potok lawy i ziemi, Pompejańczyk zachował w kamiennej powłoce gest przedśmiertnego przerażenia: rękę osłaniającą głowę i jakby grymas ust w momencie krzyku. Wczoraj odnalazłem szklaną gabłotę w bocznej i ciemnej komnacie "Villa dei Misteri". Przeniesiono ją słusznie ze światła dziennego w półmrok, ale grymas ust stał się teraz prawie niewidoczny.

Wielki fresk w "Villa dei Misteri", jedyny zdaje się /i doskonały/ okaz malarstwa antycznego, składa się z dziesięciu scen na tle "czerwieni pompejańskiej", tak gęstej że przypomina zakrzepłą krew. Ich sens nie został nigdy jednoznacznie rozszyfrowany, poza wspólnym u wszystkich interpretatorów twierdzeniem, że chodzi o obrzęd wtajemniczenia poślubionej kobiety w misterium kultu dionizyjskiego. Można tylko wyłowić z całości główne motywy religijnej tajemnicy: ofiarę, miłość fizyczną, mistyczny sekret płodności, maski rozkoszy, orgiastyczny taniec, bicz w rękach skrzydlatego demona. Muszą pewnie być klamrami o ukrytych związkach pierwsza i przedostatnia scena fresku. W pierwszej odbywa się przygotowawcza lektura rytuału; w przedostatniej amerek podstawa lustro gotowej do zaślubin kobiecie. Nieuchwytna i religijna w fresku jest jego ciągłość cykliczna. A ciemna komnata obok, ze szklaną gabłotą? Jest ciemnym lustrem pompejańskiego epilogu, przyczepionym do cyklu w blisko dwa tysiące lat później.

17 maja

Judith Brown, historyczka Renesansu włoskiego na uniwersytecie w Stanford, natknęła się w archiwum państwowym w Florencji na pokryty kurzem zwój dokumentów z napisem: "Papiery dotyczące procesu Siostry Benedetty Carlini we wsi Vellano, przeoryszy klasztoru w mieście Pescia, która podawała się za mistyczkę, a okazała się być kobietą złej sławy". Obfita i dość szczegółowa dokumentacja umożliwiła amerykańskiej uczonemu napisanie książki "Immodest Acts – The Life of a Lesbian Nun in Renaissance Italy".

Uwielbiam, jak Stendhal, takie znaleziska archiwalne. Ale wątpię, czy Stendhal potrafiłby zrobić dobry użytek ze spraw Siostry Benedetty. Skoncentrowałby się prawdopodobnie na wątku lesbijskim, na miłości ziemskiej, z pominięciem albo w każdym razie lekceważeniem wątku mistycznego. Współczesną /przełom XVI i XVII stulecia/ Siostry Benedetty Carlini z klasztoru między Lucją a Pistoią była słynna Siostra Virginia Maria de Leyva z klasztoru w Monzy pod Mediolanem, uwieczniona w moralistycznej otoczce przez Manzonię w "Promessy Spózi": kobieta o wielkim temperamencie, oddana do zakonu wbrew woli i bez najmniejszych oznak powołania, kochanka /już w habitach/ urodzonego awanturnika i uwodziciela, która podległy jej

jako przeoryszy klasztor przekształciła stopniowo w siedlisko uciech zmysłowych także dla kilku innych mniszek, a swoją niepomaganą i ślepą na wszystko namiętność przypłaciła latami zamurowania żywcem w celi i wreszcie śmiercią w przytułku porprawczym dla prostytutek. To ona, mediolańsko-hiszpańska arystokratka, była uosobieniem zachwałej miłości stendhałowskiej, wypranej z wszelkich domieszek mistycznych. Zupełnie inaczej przedstawiał się wypadek Siostry Benedetty, prostej tokańskiej dziewczyny wiejskiej.

Miała dziesięć zaledwie lat i dziecięcą główkę zajęta wyłącznie modlitwami, gdy ją rodzice zawieźli ze wsi do klasztoru w mieście. Rodzona i szczęśliwa matka oddała ją, szczęśliwą, Matce "prawdziwej" czyli Boskiej. Benedetta przeszła przez długi nowicjat, została zakonnicą i wkrótce potem stała się nawiedzaną regularnie nosicielką "cudownych znaków": widzeń, objawień, prorocत्व, stygmatów, ekstaz, przemawiających jej ustami głosów Chrystusa i nieodstępnego Anioła. Wybrana przeoryszą w wieku trzydziestu lat, urządziła swoje zaślubiny mistyczne z Chrystusem. Nękały ją po nocach straszne bóle, w klasztorze więc nie sprzeciwiano się aby wraz z nią spała w celi młodszą od niej zakonnica imieniem Bartilomea. Przez cały ten czas nie była sama pewna, czy "cudowne znaki" są łaską Boga, czy zwodniczym mamieniem Szatana. Podobne wątpliwości skłoniły jej zwierzchników kościelnych do wszczęcia dochodzenia, orzy czym zawieszono ją w czynnościach przeoryszy. Z pierwszego dochodzenia wyszła zwycięsko: uznano ją za prawdziwą wizjonerkę, przywrócono jej funkcje przeoryszy. Drugie dochodzenie, zarządzone w parę lat później i zakończone wyrokiem skazującym, ujawniło jej lesbijskie stosunki z Siostrą Bartolomeą /w których była stroną "uwodzicielską"/. Przyjęła wyrok z godnością i pokorą. Spędziła trzydzieści pięć lat w izolacji więziennej, umarła "skruszona" ale /jak sądzę/ bez rzeczywistej świadomości winy. Po śmierci przyodziano ją w habit zakonny i trumnę ustawiono w kościele. Mieszkańcy Pescii ruszyli tłumnie do kościoła; trzeba było w pewnej chwili zaryglować kościelne wrota "w obawie przed zamieszkami". Wierni, którym udało się wcisnąć do środka, dotykali ciała zmarłej, całowali je, odrywali kawałki jej habitu jak relikwie świętej.

Skąd ta pośmiertna adoracja wobec grzesznicy, bohaterki klasztornego skandalu, w trzydzieści pięć lat po wtrąceniu jej do ciemnicy? Być może /zdaniem Judith Brown/ nie bez znaczenia był fakt, że ćwierć wieku wcześniej sprawdziło się jej prorocत्व o rychłym nadejściu dżumy do miasta; być może przeważała w końcu nieufność do aktu oskarżenia i zniesławienia przeoryszy, wyrządzoną jej krzywdę chciano naprawić milczącym pokłonem. Może, może. Dla mnie lesbijska pasja Siostry Benedetty była częścią jej doświadczeń mistycznych, szamotania się między jasnością i ciemnością w ekstatycznym poszukiwaniu miłości, i dlatego podejrzewam że piętna swej hańby w ogóle nie pojmowała. Tak to odczuwałem podczas lektury "Immodest Acts". Nie jest wykluczone, że tak to również odczuwali mgliście ciągnący do kościoła mieszkańcy Pescii.

19 maja

Flaubert, pasowany na "ojca realizmu": "To dlatego że nienawidziłem realizmu, napisałem 'Panią Bovary'".

Okrzyk Flauberta: "Je suis mystique et je ne crois á rien!"

Z listu Flauberta /1876/: "Wie pani, co stoi na moim biurku od trzech tygodni? Wypchana papuga. Stoi na warcie. Jej widok zaczyna mnie irytować. Ale trzymam ją, by zapełnić sobie głowę ideą papugowatości. Gdyż piszę właśnie o miłości między starą panną i papugą".

Julian Barnes wymyślił śliczne skrzyżowanie studium krytycznego z opowieścią "Flaubert's Parrot". Opowieścią "czystą" jest lament narratora, z zawodu lekarza, by zapełnić sobie głowę ideą życia Flauberta, po samobójczej śmierci żony; współczesny, zdradzany i niekochany, doktor Charles Bovary oplakuje ukochaną Em-

mę. Studium krytyczne zbudował Barnes /a raczej narrator, doktor Braithwaite/ w dużej mierze z cytatów z Flauberta i z odprysków jego biografii. Samotnik i "niedźwiedź" z Croisset nie 7nosił biograficznych intruzów i tropicieli, wiedział /każdy wybitny pisarz powinien o tym wiedzieć/, że liczą się tylko utwory. Melanz krytyczno-biograficzny przyrządzony przez Barnes'a jest jednak, dzięki jego umiejętności dozowania, zadziwiająco odkrywczy. Oto Flaubert, nareszcie autentyczny Flaubert. "Gdy piszesz biografię przyjaciela, musisz ją pisać tak jakbyś brał za niego od wet". Tym zdaniem z listu Flauberta stworzył Barnes, jako mottem, "Papugę Flauberta". "Odwet" polega tu na oczyszczeniu Flauberta z komunałów; ściagał i tępił je sam bez pardonu całe życie, oblażył go po śmierci jak robactwo. Oczyszczony z komunałów Flaubert wpatruje się w wypchaną papugę na biurku, stara się przeniknąć "idei papugowatości", pracując nad opowiadaniem o "miłości między starą panną i papugą". Bo papugę z "Prostego serca" wywindaował przeciw Barnes do tytułu swej książki. W jakiś sposób jest dla niego najważniejsza w twórczości autora "Pani Bovary" i innych, o ileż sławniejszych od krótkiej noweli, powieści. Dla mnie też. Dokładnie siedem lat temu, w dzienniku z maja 1980, uśiłowalem wyjaśnić dlaczego.

W jaki sposób jest najważniejsza dla Barnes'a, a w ja! dla mnie? Barnes zdaje się widzieć w niej przede wszystkim źródło "idei papugowatości", którą dałoby się rozciągnąć na wiele innych postaci flaubertowskich, a nawet na świat oglądany oczami wielkiego pisarza. Ja ograniczam się do służącej Félicité i jej papugi Lulú z "Prostego serca". Dopóki Lulú żyje, wolno mówić o "miłości między starą panną i papugą", przez miłość rozumiejąc stop przywiązania i samotności. Gdy papuga zdęchła i została wypchana, w prostym sercu Félicité narodziło się i zapuszczało z roku na rok głębiej korzenie uczucie ubóstwiania. W kościelnym wizerunku Ducha Świętego dopatrzyła się podobieństwa z Lulú. Wpadła w zwyczaj odmawiania na kłęczkach modlitw przed papugą. W ekstazę wprawiało ją światło, wykrzesywane przez promień słońca w szklanym oku ptaka. Lulú zżerały robaki, jedno ze skrzydeł było złamane, pakuły wylaziły z brzucha. Ale Félicité /w cudownej scenie śmierci podczas procesji Bożego Ciała/ wchłaniała zapach kadzideł z "mystyczną zmysłowością", zdawało jej się, że widzi "w rozchylonych niebiosach ogromną papugę szybującą nad jej głową".

Potrzeba wyjścia poza, połączona w prostym sercu Félicité z wiarą. Nie miał jej i nie pragnął Flaubert, odpychał ją nawet gniewnie. Stąd okrzyk, niezauważony lub świadomie pominięty przez Barnes'a: "Je suis mystique et je ne crois á rien!" To jedna z odmian portretu Flauberta, której mi bardzo brak w książce pisarza angielskiego: mistyczny drzątek, na nim przytwierdzona łańcuszkiem papuga powtarza w nieskończoność skrzekliwym głosem rien, rien, rien...

22 maja

Wziąć "Serce" De Amicisa, utrzcć je należycie z filozofią Panglossa z "Kandyda" Woltera, ocukrzyć na wierzchu złotymi myślami z "Dzieł zebranych" Lenina. Co to za przysmak? Tasiemcowy wywiad z Gorbaczowem w "Unitá", przeprowadzony w Moskwie przez członka kierownictwa włoskiej partii komunistycznej Gerardo Chiaromonte. "Serce" De Amicisa, bo w gruncie rzeczy wszyscy ludzie są dobrzy, szczególnie zaś patriotyczni do szpiku kości ludzie sowieccy. Pangloss z "Kandyda", bo wszystko idzie ku lepszemu: na przykład, większość nalogowych pijaków sowieckich domaga się /w petycjach do rządu/ zakazu produkcji i sprzedaży alkoholu, a mniejszość trudniąca się po kryjomu produkcją samogonu zostanie niebawem otrzeźwiona podwojonymi grzywnami. "Dzieła zebrane" Lenina, bo "nie ma innej drogi do socjalizmu jak tylko poprzez demokrację, poprzez wolność polityczną" /tom 12, str. 44/. Sądziłem my - wyznaje Gorbaczow - że prawdziwą /a nie formalną tylko/ demokrację można wprowadzić dopiero po zbudowaniu socjalizmu; byliśmy w błędzie, prawdziwy /a nie formalny tylko/ socjalizm można zbudować dopiero po wprowadzeniu demokracji. Demokracja bowiem jest "wartością samoistną". Włoski boss komunistyczny przebąkuje delikatnie o trudnościach, przeszkodach, hamulcach, oporach /partia włoska odnosi się w ogóle z niezbyt zawaolowanym sceptycyzmem do perspektyw "przebudowy", większym znacze-

nie niż jej kapitalistyczni wrogowie klasowi, chociaż nie daje im się prześcignąć w rozkoszy szafowania po rosyjsku słowami perestrojka i głośność/. Gorbaczow zbywa tonkije namioki na tołstoje obstojatelstwo z buńczuczną dosyć miną: kto chce przebojem iść naprzód, nie może nadmiernie zważać na dąsy i wybrzydzenia się marduców: zmiecie ich i tak z równej drogi Historia o przypiesionym rytmie. Co nie przeszkadza, że ostrożny przywódca włoski zatyka sobie woskiem uszy, ilekroć sowiecki "car reformator" wspomina o konieczności zwołania światowej konferencji partii komunistycznych.

Zauważyłem ostatnio pewne ostudzenie zapalów w zachodnich "sowieciologów" i korespondentów w Moskwie. Napomyka się częściej o "hazardzie Gorbaczowa", o "spadku optymizmu" w jego reformatorskiej gwardii przybocznej, o "apatii i podejrliwości szerokich mas", o "nacjonalistycznym odruchu protestu przeciw opluwaniu przeszłości" /w ramach głośności/, o tym że "obudzone i zawiedzione oczekiwania są mieszaną wybuchową". Sam nie wierzę od początku w możliwość "przebudowy" takiej budowlanej, ale trzymam się starej zasady wyniesionej z łągrów: brać szybko co dają, póki się nie rozmyślą. Zwłaszcza w kulturze. Ekshumują "kontrewolucyjne trupy" Gumilowa, Achmatowej, Mandelsztama, Bułgakowa, Piatonowa, Pasternaka? Doskonale. Wyciągają ze schowków trefne filmy? Świcień. Pozwalają odetchnąć nieco uczynom? Wyśmienicie. Pojęciem w tym ustroju naturalniejszym od perestrojki jest peredyszka.

Dla Polaków, według mnie, "przebudowa" Gorbaczowa ma znaczenie pod jednym względem, i to niezależnie od jej dalszych losów. Kto /w Warszawie i w Waszyngtonie/ roi o pojednawczym uścisku Generała z Wałęsą na wzór telefonu Gorbaczowa do Sacharowa, niech – poza wszystkim innym – zapozna się z wypowiedzią Jaruzelskiego o stalinizmie w rozmowach z dziennikarką jugosłowiańską. Ale odsunąwszy na bok bałamuctwa, warto pamiętać, co było zawsze kulą u nogi i upiorem wszelkich zrywów i ruchów opozycyjnych. Postrach, a często po prostu straszak, paraliżującego dylematu: wejść czy nie wejść? Jeśli pod wpływem "przebudowy" Gorbaczowa i dzięki niej ta kula u nogi stanie się nieco lżejsza, ten upiór rozchwieje się trochę, postawimy krok w kierunku większego ośmielenia. Długi i ważny krok.

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

"Kultura", październik 1987

Gustaw Herling-Grudziński

POŻAR W KAPLICY SYKSTYŃSKIEJ A.D. 1998

Autor niniejszego świadectwa Kaspar Traussig, jedyny syn Martina i Elisy /zmarłych/, lat 68, emerytowany urzędnik towarzystwa asekuracyjnego, zamieszkały w Bazylei przy ulicy Jakuba Burckhardta 27, spisuje je w rzymskim szpitalu "Salvator Mundi" w pierwszych dniach czerwca 1998, posłuszny życzeniom rzymskiej Kwestury. Lekkie stosunkowo obrażenia cieleśne i oparzenia pozwalają mu siedzieć godzinę dziennie przy stoliku i nieźle władac zabandażowaną częściowo tylko prawą ręką. Aby zaś owo pisemne zeznanie na użytek władz nie zawisło w próżni, aby stróż bezpieczeństwa którzy je czytać będą ujrzeni szersze to zbrodni /lub nieszczęśliwego wypadku/ i zarazem wyrazistszy profil naocznego świadka zbrodni /lub nieszczęśliwego wypadku/, autor postanowił nie szczędzić czasu – aż nazbyt zresztą wolnego w przymusowej bezczynności szpitalnej! – i opowiedzieć w krótkich, ponumerowanych rozdziałach wszystko, co w jego wzburzonym wciąż umyśle i zbolałym sercu wiąże się z tragicznym dniem 23 maja.

Urodziłem się w Bazylei w roku 1930. Mój ojciec był urzędnikiem w bazylejskim banku, moja matka pochodziła z okolic Berna. Byli oboje pobożni, ale bez bigoterii i przesadnej gorliwości, w sposób który nadawał ich życiu odciętą surowości i poczucie boskiego porządku świata. To uczucie wpajali mi od najmłodszejszego dzieciństwa, wraz z przekonaniem że człowiek jest codziennie sądzony przez Boga. Taka była nasza "domowa" religia, którą określić raczej wypada słowem bogobojność.

Byłem dzieckiem późnym. Wkrótce po ślubie moi rodzice obiecali sobie /i zapewne Bogu/ jeździć co roku w maju do Rzymu. Dotrzymywali tej obietnicy z regularnością, by tak rzec, szwajcarską. Kiedy się urodziłem, nastąpiła w ich podróżach przerwa. W maju 1939 roku, jako dziewięcioletni lecz wrażliwy już chłopiec, pojechałem z nimi po raz pierwszy do Rzymu. Uprzytomniłem sobie wówczas co było głównym, jeśli nie wyłącznym, celem ich ślubowanych pielgrzymek rzymskich: Kaplica Sykstyńska, a w niej "Sąd Ostateczny" Michała Anioła. Wtedy właśnie, może dlatego że słycać już było nadsięgającą zawieruchę wojenną i dorosła się chyba szybciej, przestałem być prowadzonym za rączkę do szkoły i na spacerzy nad Ren dzieckiem, a stałem się uczestnikiem ich rzymskiego obrzędu. Tak, obrzędu, powiedziałbym nawet: uroczystego obrzędu. Dzień w dzień, w ciągu dwóch tygodni, wyruszaliśmy rano z pensjonatu "Michelangelo" do Kaplicy Sykstyńskiej, lekceważąc inne piękności i skarby Wiecznego Miasta. Nauczyli mnie po włosku nazw "Giudizio Universale" i "Cristo Giudice", po powrocie do Bazylei powiesili nad moim łóżkiem reprodukcję Chrystusa Sędziego z fresku Michała Anioła, usunąwszy przedtem mały krucyfiks rodzinny.

Wojna, okrutna i nieludzka wojna, przerwała znowu nasze rzymskie pielgrzymki. Do świeżo uwolnionego Rzymu przyjechalśmy, nie bez przeszkód, w maju 1945: Miastem piętnaście lat. Raz tylko w życiu widziałem moich rodziców płaczących: po wejściu do Kaplicy Sykstyńskiej, wypełnionej /jak nigdy dotąd, podobno/ tłumem, w którym przeważali żołnierze alianccy. Słyszałem szept mojego ojca "ocalał, ocalał", choć nic przecież nie wskazywało, że hitlerowscy barbarzyńcy zamierzali podnieść świętokradczą rękę na "Sąd Ostateczny", niezrównane arcydzieło Michała Anioła.

Niezrównane arcydzieło! Do dziś nie jestem wcale pewien, czy moich rodziców podbił geniusz malarstwa Michała Anioła. To prawda, że na półkach w pokoju mojego ojca królował Michał Anioł, szczególnie w albumowych reprodukcjach i opisach "Sądu Ostatecznego". Rzadko jednak widywałem ojca, zaglądnącego do książek o Mistrzu lub wpatrzonego w reprodukcje jego dzieł. Gromadził, nie żałując pieniędzy, te albumy i książki jako hommage dla twórcy "Sądu Ostatecznego", traktował je w duchu jak książki do nabożeństwa, ich posiadanie było formą przyklękania na odległość w Kaplicy Sykstyńskiej i cichej modlitwy przed freskiem na ścianie ołtarzowej. Co zaś do mojej matki, to jeszcze dalsza była od podziwiania sztuki Michała Anioła. Podejrzewam nawet, że wychowana w surowych zasadach wstydlivosti, nie zdziwiłaby się zanadto, gdyby jej przeczytano epizod opisany w "Żywotach" Vasariego. Słynny epizod wizyty papieża Pawła III w Kaplicy Sykstyńskiej, gdy ukończone już były przeszło trzy czwarte "Sądu Ostatecznego": towarzysząc papieżowi mistrz ceremonii Biagio da Cesena oświadczył o cz ogródek, nie zważając na obecność zgniewanego Michała Anioła, że jest rzeczą niestosowną i niegodną w tym miejscu przedstawiano tyle nagości, co bardziej przystoi łaźni bądź gospodzie niż kaplicy papieskiej... Vasari /mam go tu w szpitalu pod ręką/ powiada: "Sąd Ostateczny zniewała wszystkich miłośników sztuki". Zdanie to trudno byłoby, jak sądzę, odnieść do moich rodziców. Dotyczy ich natomiast z całą pewnością okrzyk autora "Żywotów": "Zaprawdę, szczęśliwym może się wydawać ten, i bogostawioną pamięć niechże zachowa, kto widział ten cud naszego wieku!". To tak, to bez wątpienia, "cud

naszego wieku" opanował w pełni dusze moich rodziców, uw. żali go za swoje szczęście, przechowywali pamięć o nim i błogosławili jego istnienie. Lecz cudem był dla nich sam obraz Sądu Ostatecznego, a nie jego malarskie wykonanie.

Niejednokrotnie, zwłaszcza po śmierci rodziców, wspominałem całą scenę z dzieciństwa, gdy nam moim łóżkiem "Cristo Giudice" zajął z ich woli miejsce Chrystusa Ukrzyżowanego. Odrzucali w naszej "domowej" religii Cierpienie, Mękę. Ofiarę na rzecz Sądu, i chcieli to odrzucenie zaszczerpieć na zawsze swemu dziewicy. Toletniemu synowi? Chodziło tylko o naszą "domową" religię, czy o swoistą religię "szwajcarską"? Jakkolwiek było, w takiej wyrosłem atmosferze i wychowanie moje, mimo niektórych późniejszych modyfikacji, jest dla mnie drogowskazem po dzień dzisiejszy. Ale trzeba zdawać sobie sprawę, i sumiennie nakazuje mi tutaj tę okoliczność z naciskiem podkreślić, że kiedy mój ojciec szeptał zapłakany "ocalań, ocalań" wszedłszy tuż po wojnie do Kaplicy Sykstyńskiej, jego szep był – jeśli się tak wyrazić mogę – metaforyczny. Ocalała dla niego, wbrew okrutnej i nieludzkiej wojnie, i idea Sądu Ostatecznego: idea, którą odnalazłby z zachwytem w słowach pewnego pisarza francuskiego z połowy naszego stulecia: "Nie czekaj na Sąd Ostateczny, odbywa się on codziennie" /dodając od siebie: i odbywać się będzie wiecznie/. To miał przede wszystkim na myśli, to raczej niż ocalenie niezagrożonego malowidła Michała Anioła. Natomiast o wojnie, która nie zdołała pokonać Chrystusa Sędziego, o latach cierpienia, męki i ofiary, wiedział niewiele i bodaj nie pragnął za dużo wiedzieć.

3

Nasze wspólne powojenne pielgrzymki do Rzymu trwały zaledwie pięć lat. W marcu 1950 zachorował nagle mój ojciec, w maju już galopujący rak zaprowadził go do grobu. Cierpiał strasznie, on z natury spokojny i opanowany nie potrafił powstrzymać krzyków, jęków i żalonych lamentów, zdawał się teraz dopiero odkrywać czym w naszym życiu jest ból. A jest, więcej – powinien być, cieniem skradającym się stale i z uporem w ślad za naszymi doświadczeniami, jak owi biblijni złodzieje nocni, zawsze obecni i w każdej chwili gotowi wyskoczyć z ciemności. Powinien być? Nie waham się tak powiedzieć, wierzę bowiem że bez świadomości czy ciągłej podświadomości bólu życie człowieka byłoby pozorem życia. Być może, zrozumiał to także w godzinie śmierci mój ojciec. Któregoś wieczoru, jeszcze przytomny na kilka dni przed końcem, przyciągnął mnie naraz do siebie, objął i pocałował z wyrazem takiej rozpaczki w oczach, jakby chciał mnie o czymś ważnym ostrzec, nie mając już siły by to pożegnalne ostrzeżenie wymówić na głos.

Wkrótce potem, we wrześniu tegoż roku, odeszła moja matka. Odeszła jest dokładnie określeniem, odeszła cicho na czubkach palców. Właściwie umarła już była podczas choroby ojca, skamieniała, wykonywała wszystkie swoje czynności bez słowa i jak automat, była gdzie indziej, daleko poza życiem. Nie uroniła ani łzy nad zasypanyym grobem ojca. W ciągu kilku ostatnich miesięcy jej życia rozmawialiśmy rzadko i o rzeczach błahych, mogło się wydawać że w naszej codziennej egzystencji domowej nic w ogóle nie zaszło. Na wygląd była zdrowa, nie skarżyła się na żadne dolegliwości, jak dawniej /tyle że sama/ siadywała w pogodnie niedziele po kościele na promenadzie nad Renem, aż w nocy z 3 na 4 września usnęła po prostu na wieki. Tak, tak, odeszła na czubkach palców, zostawiając jedyne i samotnego syna.

Samotny syn miał dwadzieścia lat, był studentem uniwersytetu bazylijskiego. Spadek po ojcu pozwolił mi skończyć studia bez materialnych kłopotów, koledzy ojca pomogli mi zaraz po dyplomie rozpocząć karierę urzędnika w towarzystwie asekuracyjnym.

Śmierć rodziców nie tylko uczyniła mnie samotnym, lecz wtrąciła mnie w nałóg samotności. Nigdy nie myślałem o założeniu własnej rodziny. Nasze duże mieszkanie przy ulicy Burckhardta opłatywało mnie stopniowo, w młodym jeszcze wieku, pajączyną drobnych przyzwyczajają starokawalerskich. Wieczorami niechętnie wychodziłem z domu, wołałem czytać w hotelu ojca. Obudził się we mnie zapal do historii sztuki.

Wertowałem książki i albumy, sprawiłem sobie nawet aparat do oglądania powiększonych przezroczy, obrastałem w skromną lecz solidną kulturę artystyczną. Moje życie toczyło się między biursem i domem, nie licząc okresowych, przelotnych i dość trywialnych interludów "sentymentalnych".

W roku 1963, względnie dobrze już ustabilizowany finansowo, wskrzesiłem nasz rodzinny zwyczaj corocznych majowych pielgrzymek do Rzymu. Początkowo był to impuls podtrzymywania pamięci rodziców: zrobiłem z maja swoisty Miesiąc Zaduszny. Niebawem jednak pielgrzymki do Rzymu stały się podróżami do Włoch. Zwiedzałem najbogatsze w pomniki sztuki mięsta włoskie, poznałem dokładnie Wieczne Miasto, wyszedłem w nim poza rytualne wizyty moich rodziców tylko w Kaplicy Sykstyńskiej. A przecież "Sąd Ostateczny" nie przestał dla mnie być ośrodkiem krystalizacyjnym każdorazowej podróży włoskiej, od niego zaczynałem albo na nim kończyłem moje coroczne wakacje we Włoszech. Byłem w nim z roku na rok bardziej zakochany, moje olśnienie, moja fascynacja zapuszczały nowe wciąż korzenie i wypuszczały nowe wciąż gałęzie, jak zdrowe i piękne drzewo. "Modyfikacje" w moim wychowaniu i odczuwaniu, o których napomknąłem wcześniej, odebrały może chwilom spędzanym przede mną w Kaplicy Sykstyńskiej charakter uroczystego obrzędu, ale obrzędem pozostały dla mnie te chwile aż do tragicznego końca.

4

Zapominam, zdaje się, że piszę zeznanie naoczego świadka na użytek policji. Czytający niech mi wybaczą i niech nie tracą cierpliwości. Kto wie, czy dobrnąszy do ostatniego słowa mojego świadectwa, nie przyklasną sposobowi w jaki usiłuję przedstawić zbrodnię /lub nieszczęśliwy wypadek/ naszego wieku.

W albumach "Sądu Ostatecznego" spotyka się zazwyczaj "mapę" fresku, identyfikację oznaczonych numerami postaci. Uderza w niej niepewność "kartografów", niekiedy wręcz absolutna na pierwszy rzut oka. Jeśli nie liczyć Chrystusa Sędziego z podniesioną groźnie do góry prawą ręką, muskularnego, o surowym obliczu, i zasmuconej czy zatoskanej Madonny po Jego prawicy, nad wieloma figurami wiszą pytajniki: córka Faraona która odnalazła Mojżesza, albo Sara, albo Ewa; Abel, albo Ewa; Abraham, albo Święty Bernard; Święty Jan Chrzciciel, albo Adam; Noc, albo Enoch, albo papież Paweł III; żona Salomona, albo Dante; Święty Bartłomiej z rysami Aretina; Hiob, albo Adam, albo Abraham; Michał Anioł, albo papież Juliusz II; żona Hioba, albo Ewa; Niobe z córką, albo Ewa z córką. Jakież tu przemieszanie postaci, wątków, legend, mitów, historii, ba – nawet płci! Przypadkowe, zależne od zamęcenia w zmęczonym oku twórcy, czy świadome?

Świadome, według mnie. Oko twórcy, moim zdaniem, nie było zmęczone; było boskie. Było okiem Stwórcy, który ogląda u kresu stworzony przez siebie świat, aby go ostatecznie osądzić. Świat naszej wielkości i małości, naszej miłości i nienawiści, naszych grzechów i cnót, naszych cierpień i radości, naszych wzlotów i upadków, naszych aniołów i lucyferów, naszych świętych i niedowiarków, naszej uniwersalnej i skłębionej nieodwracalnie miazgi. Nazywano fresk Michała Anioła wizją, którą przenika "groza kosmiczna" i "dreszcz timore religioso" /lubił te nazwy mój ojciec/. Ja nauczyłem się stopniowo widzieć w nim ogromny wir, gwałtowne zejście od pustego i chłodnego w górze błękitu nieba, poprzez kotłowisko ludzkiej ciał; do ciemnej w dole przepaści z sino-srebrzystymi prześwitami jasności. Lecz jakże nietrwałej i ulotnej jasności!

W maju 1995 roku, w miesiąc po inauguracji nowego pontyfikatu, odbyła się w Kaplicy Sykstyńskiej msza celebrowana przez nowego papieża. Kartę wstępu na nią подарował mi znajomy z poselstwa szwajcarskiego w Rzymie. Dziwna to, bardzo dziwna rzecz, ocierająca się o bluźnierstwo, że przepych mszy zubożył w moim sercu bezgraniczną potęgę "Sądu Ostatecznego".

W pierwszym rozdziale mojego świadectwa wspominałem o zatłoczonej, jak nigdy dotąd, Kaplicy Sykstyńskiej nazajutrz po wojnie. Zadaje sobie pytanie, czy ten tłum był tylko euforyczną emanacją wyzwolonego właśnie Rzymu, jedną z wielu w mieście-symbolu Europy, w mieście któremu odzyskana wolność uderzyła jak mocne wino do głowy; czy też ludzie, żołnierze alianccy i Rzymianie, pędzili kierowani niejasnym instynktem przed oblicze "Cristo Giudice", manifestując przywiązanie do Najwyższej /i śmiertelnie zagrożonej w ogniu uniwersalnego pożaru wojennego/ Sprawiedliwości. Innymi słowy: świętowano dzień triumfu wieczystego "Giudizio Universale" nad mroczną, wyzutą z praw boskich i ludzkich, "Peste Universale"?

Faktem jest, że w przeszłości odwiedzano Kaplicę Sykstyńską rzadko, że nie znała zatłoczenia podobnego, niby w lustrzanym odbiciu, do kłębowiska ciał na fresku Michała Anioła. Uśmiecham się czytając w "Podróży włoskiej" Goethego /mam ją tu pod ręką w szpitalu/ zapis z sierpnia 1787: " Odźwierny został dobrze opłacony i wpuszczał nas do środka przez tylne drzwi obok ołtarza. Mogliśmy siedzieć w Kaplicy Sykstyńskiej, jak długo nam się podobało, i nie oberzósł się bez spożycia tam kilku posiłków. Raz nawet, zmęczony upałem, uciąłem sobie pobiednią drzemkę na tronie papieskim". Goethe spożywający posiłki i po obiedzie drzemiący na tronie papieskim pod okiem Chrystusa Sędziego pokazuje najlepiej chyba, czym była ściana ołtarzowa w Kaplicy Sykstyńskiej niedgdyś. Wyłącznie godnym podziwu dziełem wielkiego malarza.

Tłum w maju 1945 nie oznaczał jednorazowego i krótkotrwałego wybuchu radości i dziękczynienia, nie był fajerwerkkiem, która ma zgasać niebawem na czystym, roz-pogodzonym nareszcie niebie. Rósł z roku na rok, aż do przerwy w naszych ówczesnych podróżach. Gdy sam już podjąłem je w roku 1963, oczom moim ukazał się widok niezwykle: długi wąż pątników /nie znajduję lepszej nazwy/, którego ogon dotykał prawie kolumnady Placu Świętego Piotra. Na wejście do Muzeów Watykańskich czekało się średnio do czterech godzin. Przesząpiwszy w końcu ich próg, wpadało się w strumień pracy szybko i niecierpliwie, bez oglądania się na boki, do Kaplicy Sykstyńskiej. W korytarzach na obrzeżu Kaplicy zdarzały się wypadki omdlenia. Nie przestrzegano obowiązku skupienia i ciszy, nie zważano na dochodzącą z wnętrza Kaplicy moniję głościków: Silenzio, Silence, Ruhe. Słychać było krzyki dorosłych i płacz dzieci. Niech mi nikt nie mówi, że wszystko to należało przypisać narodzinom i gwałtownemu rozwojowi masowej turystyki. Do Kaplicy Sykstyńskiej, na Sąd Ostateczny, przepychali się pątnicy a nie turyści.

Traf chciał, że w roku 1981 przyjechałem do Rzymu pociągiem z Bazylei 13 maja o świcie. Umyłem się, przebrałem, zjadłem obfite śniadanie w pensjonacie "Michelangelo" i pobiegłem natychmiast do Muzeów Watykańskich, na godzinę przed ich otwarciem. Ustawiła się już kolejka, lecz stosunkowo niewielka. Zmęczony nocną podróżą i dziwnie podniecony, postanowiłem cały ten dzień spędzić w Kaplicy Sykstyńskiej, zwłaszcza że następnego dnia zamierzałem wyjechać z Rzymu do Neapolu i na Sycylię. Po zwykłych, w miarę dokładnych /zadanie, w tłumie, coraz trudniejsze/ oględzinach "Sądu Ostatecznego" udało mi się przecisnąć do przestronnego względnie kąta Kaplicy. Umiejętne odpoczywać dobrze na stojąco. Wytrącił mnie z odrętwienia głos w megafonie. Zamiast powtórzyć swoje bezużyteczne Silenzio, Silence, Ruhe obwieścił, że dokonano zamachu na życie Jana Pawła II. Dopiero teraz tłum zamartwiał w milczeniu i bezruchu. Wszystkie oczy zdwajały się lgnąc, ze zdwojoną jakby intensywnością, z egzasperacją, do figury "Cristo Giudice" i Jego podniesionej groźnie ręki.

Pozostałem w Rzymie, wbrew pierwotnym planom, do 20 maja. Codziennie tłum w Kaplicy Sykstyńskiej był gęstszy niż w Bazylice Świętego Piotra. Trzeba lepsze-dowodowi na istnienie i ciągły wzrost magii Sądu Ostatecznego?

A jednak wydaje mi się, że ta magia zaczęła słabnąć w roku 1988. Maj przed dzieśmiu laty był dla mnie bolesnym przeżyciem.

Użyłem ostrożnego zwrotu "wydaje mi się" z powodów, które wyjaśnię dalej. Ale jakkolwiek się rzeczy miały naprawdę, nie mogę tu pominąć szoku z maja owego pamiętnego dla mnie roku.

Nie zmniejszył się natłok w Kaplicy, nie stopniała ciżba ludzka w kolejce przed wejściem, lecz uderzyła mnie nagła zmiana w zachowaniu pątników. Zawałałem się nawet, czy wolno ich jeszcze nazywać pątnikami. Dokoła, i w kolejce i potem w Kaplicy, rozlegały się wśród młodych na ogół ludzi wybuchy śmiechu, wyraźnie ironiczne, okraszone często uwagami bez krzty respektu, wulgarnie wręcz w obliczu dominującej na fresku "nagości", która tak niegdyś oburzała papieskiego mistrza ceremonii i tak później w skrytości ducha gorszyła moją biedną matkę. Szczytem był okrzyk młodej dziewczyny, objętej czule przez swego towarzysza, pod adresem "Cristo Giudice". Powtórzyc ten okrzyk? Zrobię to, czerwieniąc się ze wstydu i Boga prosząc o przebaczenie: "Che bel maschio, jaki piękny samiec!". Byłem wstrząśnięty do głębi, napłynęły mi łzy do oczu. Nie będzie w tym wielkiej przesady jeśli powiem, że poczułem wtedy całym ciałem gorący podmuch z wia stow anego pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej.

Muszę obecnie, jak obiecałem, wyjaśnić dlaczego użyłem zwrotu "wydaje mi się". Przykry temat, a przecież /w imię prawdomówności mojego świadectwa/ nie da się go uniknąć. Na początku roku 1988 zachorowałem. Różnie się takie choroby jak moja określa: to "zaburzenia psychiczne", to "rozstrój nerwowy", to znowu "stan depresyjny". Określenia określeniami, istota rzeczy polegała na tym, że nawiedzały mnie dziwne lęki, źle znosiłem tak miłą tak dotąd samotność starokawalerską, węszyłem niekiedy urojone jak się okazywało niebezpieczeństwa, cierpiałem na bezsenność i zanik smaku życia. Zapalały się też od czasu do czasu w moim sercu i umyśle, i szybko gasły, niejasne odruchy buntu i gniewu. Zaniedbałem się fizycznie, ale nie jako urzędnik towarzystwa asekuracyjnego. Przychodziłem punktualnie do biura, wychodziłem z niego o oznaczonej godzinie, mimo że proponowano mi nie raz za radą lekarzy urlop zdrowotny. Kosztował mnie wiele wysiłku wyjazd w maju tego roku do Rzymu. Trudno więc wykluczyć, że moje ówczesne wrażenia w Kaplicy Sykstyńskiej były w jakimś stopniu owocem chorej imaginacji. Tak czy owak, postanowiłem przerwać moje coroczne podróże do Włoch. Do następnej doszło w roku 1995, w roku przeniesienia mnie na emeryturę i inauguracji nowego pontyfikatu.

Tak, okres 1988–1995 był dla mnie wyjątkowo, wprost męcząco trudny i przykry. Jałowe i daremne byłoby dociekanie, czy zmiany zachodzące w dookólnym świecie i w moim bliskim otoczeniu wpędziły mnie w coś w rodzaju choroby psychicznej, czy też na odwrót psychiczne zapady ukształtowały inną "optykę" mojego spojrzenia na świat. I w jednym i w drugim wypadku wynik był taki sam, a liczy się tylko wynik.

Nigdy nie interesowały mnie uczone wywody socjologów /nie mówiąc już o biegłych w polityce, którzy mnie po prostu nudzą i drażnią/, wiem jednak że posługują się oni chętnie pojęciem "tkanki społecznej", pojęciem obrazowym a więc przemawiającym do wyobraźni lepiej od suchych formuł i nagich cyfr statystycznych. Otóż w naszej rzeczywistości szwajcarskiej, która uchodziła zawsze za wzór życia zrzeszonego, ja wychowany w poszanowaniu pewnych elementarnych zasad ludzkiej i obywatelskiej przyzwoitości /by nie wspominać o "domowej" religii bogobojności/ widziałem wciąż ową "tkankę" kaleczoną, szarpaną, krwawiącą. Przybierało to czasem charakter obsesji, i bolałem wtedy nad wyborem zawodu: marzyła mi się funkcja sędziego. Młodzień szczególnie winiłem za bezustanne ranienie "tkanki". Skłamałbym twierdząc,

że "wyrosła" z religijności rodziców, że się od niej całkowicie odwróciła. Lecz na pewno wniosła do niej obcy jej z gruntu czynnik z a b a w y; ujrzała uśmiechniętą pogodnie twarz Boga tam, gdzie winna była oglądać niezmiennie la face sombre et juste du Christ.

Ostatnie dwa lata mojej pracy w towarzystwie asekuracyjnym stały pod znakiem sprawy, która zasługuje na przytoczenie tytułem przykładu w niejakim związku z tym o czym mówię. Podlegał mi w biurze wydział lasów. Zajmowałem się ubezpieczaniem lasów prywatnych i gminnych, a niekiedy nawet specjalnych obszarów w obrębie lasów kantonalnych, oraz dochodzeniami i wypłatą polis asekuracyjnych w razie strat i szkód poniesionych przez ich właścicieli. Zajęcie nie obfitowało w wypadki dramatyczne, było monotonne, z biegiem czasu nabrało cech rutyny. Nagle kraj ogarnęła fala pożarów, tak częstych i katastrofalnych, że towarzystwo nasze – zamożne i solidne – stanęło wobec poważnych problemów finansowych. Przyczynę pożarów wyjaśniła szybko policja, co nie znaczy, że potrafiła ją równie szybko usunąć. Przeciwnie – szerzyły się dalej z rypokojącą natarczywością, nawet poza niebezpieczną porą letnich upałów. Przyczyną był jeden z wielu nowych amerykańskich "gadżetów", łatwy do nabycia po przystępnej cenie w składach broni i przyborów sportowych: kieszonkowy miotacz ognia wielkości i kształtu metalowej papierosnicy. Pomyślany pierwotnie jako dość niewinny przyrząd do rozpalania ognisk, został niebawem udoskonalony w sposób, który odbierał mu dawną niewinność. Firex /nie muszę dziś chyba tłumaczyć nikomu, a zwłaszcza adresatom niniejszego świadectwa/ miotał na odległość przeszło pół kilometra płomień o niesamowitej mocy zapalania wszystkiego co napotykały po drodze. Było już za późno, gdy władze zorientowały się jaki wynalazek amerykański dopuściły na rynek szwajcarski. Mimo zakazów celnych i niestrudzonych sekwestrów w sklepach, klejnocik nowoczesnej techniki wtargnął do Szwajcarii i do Europy, krążąc w zasięgu wyciągniętych rąk, gotowych do świadomej zbrodni lub "bezinteresownej igraszki". Ja zaś, pochylony u progu emerytury nad biurkiem zawalonym papierami, wpatrywałem się z rozpaczą w małe ognionośne pudełko metalowe, które kazano mi położyć obok lampy ku przestrodze i rozwadze interesantów.

Może dlatego, przyjechawszy znowu do Rzymu po siedmioletniej nieobecności, z takim chłodem w sercu zareagowałem na bezduszną pompę mszy celebrowanej przez nowego papieża w Kaplicy Sykstyńskiej. Trzeba mi było czegoś więcej dla rozniecenia Bożej Iskry "Sądu Ostatecznego".

8

Teraz doprawdy już dosyć tego gadatliwego kołowania. Oczekuje się ode mnie "dokładnego, w miarę drobiazgowego sprawozdania co robiłem i widziałem od chwili przyjazdu do Rzymu do chwili tragicznego incydentu". Dołożę starań by sprawozdanie było dokładne i w miarę drobiazgowe, choć wypada mi ostrzec z góry, że po tym co się stało pamięć moja podobna jest do filmu pełnego prześwieتلonych bądź źle wyświeتلonych klatek.

Przyjechałem do Rzymu 22 maja A.D. 1998 o godzinie trzeciej piętnaście po południu, pociągami z Genewy. Miałem, jak zwykle, zarezerwowany pokój w pensjonacie "Michelangelo" na Borgo San Gregorio. Spałem do kolacji, co może poświadczyć portier. Około dziewiątej wieczorem wyruszyłem do miasta. Z autobusu wysiadłem na Placu Weneckim, po czym wolnym spacerowym krokiem udałem się na mój ulubiony Plac Hiszpański.

Rzym jest w maju cudowny, jakkolwiek wydał mi się bardziej niż zazwyczaj zatłoczony i bulgocący o tak wczesnej porze sezonu. Nad Schodami Hiszpańskimi unosił się odurzający zapach, mimo ciemności kwaciarze nie usunęli jeszcze swoich kiosków. Ze szczytu Schodów rozciągał się widok, który zawsze przyprawiał mnie o skurcz w gardle: kopuła Świętego Piotra zarysowana ostro na tle szkarłatnego nieba, jakby powleczonego odbłaskiem dalekiej łuny. Stałem tam, oparty o kamienny parapet, do godziny dziesiątej czterdzieści pięć. Nie mam powodu niczego ukrywać,

skoro i tak przecież potrudzicie się, panowie z Kwestury, by wszystko zostało ujawniane. O umówionej godzinie jedenastej zapukałem do drzwi na trzecim piętrze kamienicy przy Ulicy Sykstyjskiej, słynnej kamienicy która gościła niegdyś pisarza rosyjskiego Gogola. Otworzyła mi Mirella /nie znam jej nazwiska/, po latach prawie nie zmieniona. Jej towarzyszyki były zajęte w swoich pokojach, mogliśmy więc w saloniku wypić spokojnie butelkę wina. O północy przenieśliśmy się do jej pokoju. Może ona powiadaczyć, że spędziłem tam trzy godziny.

Wracałem do pensjonatu pieszo przez pustoszące miasto. Powiadam "pustoszące" a nie "opustoszałe", bo bardzo późna godzina, niedaleka świtu, częściowo tylko wpłynęła na rozrzedzenie tłumu. Co więcej, odczułem w tym tłumie jakąś osobliwą nerwowość, która mi się natychmiast udzieliła. Wchodząc około czwartej na Plac Świętego Piotra, stanąłem jak wryty. Paliły się na nim dziesiątki małych ognisk, otoczonych grupkami młodych przeważnie ludzi obojga płci. Spiewali pieśni w nieznanym mi języku, pieśni smutne i podobne trochę do zawodzenia, dobywane z najgłębszych trzewi. Nie do mnie należy zwracać policji włoskiej uwagę na niestosowność tego nocnego koncertu pod murami Santa Sede, Świętej Siedziby. Spiesznym krokiem, truchtem niemal, skierowałem się do mojego pensjonatu.

Nie zmrzyłem oka do rana. O siódmej już znalazłem się wśród pierwszych kilkadziesiątu osób, oczekujących otwarcia Muzeów Watykańskich. Gdy po dziewiątej czołowej kolejki przekroczyło próg Kaplicy Sykstyjskiej, włączono niewidzialny głośnik: Silence, Silence, Ruhe, Tiszina. Odtąd powtarzał swoje wezwanie z niebywałą, coraz bardziej jątrzącą częstotliwością. I z rosnącą nadaremnością. Kotłowało się w Kaplicy, początkowe szepty ustąpiły miejsca głośnym rozmowom, a potem wręcz krzykom. W naelektryzowanym jakby powietrzu wzbierało podniecenie. Uderżyło mnie, że mało kto przyglądał się dłużej "Sądowi Ostatecznemu": w spojrzeńiach ludzkich było coś trwożliwego i ukradkowego. Nagły zawrót głowy, połączony z ogólnym osłabieniem i gwałtownym biciem serca, skłonił mnie do próby utworzenia sobie drogi ku wyjściu z Kaplicy. Nie wyszedłem jednak, oparłem się tylko o ścianę koło wyjścia, przgniatany do niej bez pardonu przez rozwrzeszczaną gromadkę chłopców i dziewcząt. Machinalnie opuściłem wzrok na zegarek: była punktualnie dziesiąta. Po czym przymknąłem oczy w napadzie zamroczenia.

Ocknąwszy się, znowu spojrzałem machinalnie na zegarek: była dziesiąta dwadzieścia siedem. Czyli dokładna godzina początku tragedii. Co i jak potrafię opowiedzieć z wymagania przez was drobiazgowością i precyzją? Obawiam się, że niewiele. Atak zamroczenia poraził moją zdolność postrzegania, nie mówiąc naturalnie o wybuchu zgrozy i paniki dokoła. Ale pamiętam, że strumień ognia wytrysnął najpierw z trzaskiem w dwóch punktach "Sądu Ostatecznego": tam, gdzie Archanioł Michał otwiera Księgę Wybranych; oraz tam, gdzie Święty Piotr pokazuje klucz Najwyższemu Sędziemu. I zaraz, po minucie może, cała ściana ołtarzowa stanęła w płomieniach. "Sąd Ostateczny" palił się jak suche drzewo żywcizne. Żar, żar, żar, przybierające błyskawicznie na sile smagania żaru. Tłum z okrzykami przerażenia i bólu rzucił się ku wyjściu, tratowano upadających. Jak gdyby Sąd Ostateczny przeniósł się z wizji malarza w rzeczywistość. Służba porządkowa zdołała, na szczęście, przebić szybko przejście do Ogródów Watykańskich. Dzięki temu zapewne liczba ofiar śmiertelnych okazała się stosunkowo niska /24/. Na trzy setki blisko szacuje się liczbę ciężko i lżej rannych. Należę do lżej rannych; uległem obrażeniom celesnym i oparzeniom, usiłując /bezskutecznie niestety/ przyjść z pomocą starej kobiecie zamienionej w żywą pochodnię.

Pożar ugaszono dopiero późnym popołudniem. Słyszę, że nocą jeszcze wypełzały z Kaplicy kłęby czarnego dymu, przetykane gasnącymi iskrami, zaróżowione poświęta niedopalenia.

Dziś, 23 czerwca, mija miesiąc od dnia zbrodni /lub nieszczęśliwego wypadku/. Zdjęto mi opatrunki, pozwolono mi zjechać z mojego pokoju na czwartym piętrze do kiosku z gazetami przed szpitalem. Jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, o piątej funkcjonariusze Kwestury zawiozą mnie do Kaplicy Sykstyńskiej celem złożenia dodatkowych wyjaśnień.

Z gazet widzę, że w ciągu minionego miesiąca śledztwo nie posunęło się naprzód ani o milimetr. Czego dowodem najjaskrawszym chyba jest ciągłe, aż do znudzenia, podkreślanie okoliczności zaiste drugorzędnej. Kładzie się mianowicie nacisk na to, że podczas restauracji "Sądu Ostatecznego" w połowie lat osiemdziesiątych posłużono się nowowynalezionym w Japonii utrwalcaczem farb, którego skład chemiczny laboratorium rzymskie zakwalifikowało /po niewczasie/ jako altamente infiammabile. Długa, bardzo długa droga od substancji "wysoco zapalnej" do ustalenia przyczyn pożaru... Za bląhą również i bezradną uważam aluzję w jednym z artykułów, że zbadania wymagają kable elektryczne wmurowane na tyłach ściany ołtarzowej.

Na tytułowych stronkach wszystkich dzisiejszych gazet opisana jest wczorajsza wizyta papieża w Kaplicy Sykstyńskiej, pierwsza wizyta nie związana z dochodzeniami i z popożarowym odgruzowaniem. Cyryl I spędził w Kaplicy kwadrans, uklęknął i modlił się chwilkę w miejscu zajmowanym kiedyś przez ołtarz, przed podniesieniem się z klęczek ucałował spaloną ziemię. Towarzyszyło mu grono kardynałów, biskupów, prałatów i ministrów rządu włoskiego, do świty papieskiej zostali też na własne życzenie włączeni przedstawiciele dwóch największych mocarstw przy Stolicy Apostolskiej, ambasador James Godfinger i ambasador Trofim Bogomołow. Nie dopuszczono natomiast dziennikarzy i fotoreporterów, lecz prasa zdobyła swoimi sposobami wiadomość o szczególnie przejmującym momencie wizyty. Oto papież, przed wyjściem z Kaplicy, odwrócił się raz jeszcze ku spalonemu freskowi i w geście rozpaczony zasłonił dłońmi twarz. Ten gest powtórzyli za nim wszyscy członkowie świty, łącznie z dwoma ambasadorami. Nie mogłem, czytając opis tej sceny, powstrzymać łez.



Dopisane tegoż dnia o północy.

Zgiełk i zągot w uszach, czerwone platy przed oczami, głowa ściśnięta obręczą, kłucie w lewej ręce, nogi ściernięte jak od przewiązania, oddech zatykany dusznością. I strach. Boję się wstać z krzesła, boję się wrócić do łóżka, boję się podejść do okna, boję się zadzwonić po pielęgniarkę. Nie mam nawet odwagi zgasić światła. Sądzą pewnie, że ciągle śpię, że nie przebudziłem się po zastrzyku.

Pamiętam tylko jak po długim marszu korytarzami wszedłem do Kaplicy, zmęczony i podtrzymywany przez funkcjonariuszy Kwestury. Reszta jest czernią. Najpierw widzialną, złuszczoną czernią "Sądu Ostatecznego" na wybrzuszonyj ścianie ołtarzowej. Potem niewidzialną czernią - gęstą, dławiącą, wciągającą - otchłani we mnie. A jednak przysiągłbym, że patrząc na spalony fresk ujrzałem na okamgnienie białą płamę wzniesioną do góry ręki "Cristo Giudice" z rozczapierzonymi palcami dłoni. Nie pochłoniął tej ręki ogień? Tyle zostało z "Sądu Ostatecznego"? Być może, to ja właśnie zacząłem wtedy krzyczeć, bo usłyszałem wyraźnie przeciągły krzyk. Wessany przez otchłań niewidzialnej czerni we mnie, straciłem przytomność. Odzyskałem ją pół godziny temu w szpitalnym łóżku.

Do świadectwa Kaspara Traussiga dołączone są trzy zwięzłe certyfikaty.

Rzym, 6 lipca 1998. Prymariusz szpitala "Salvator Mundi", profesor Girolamo Michelangeli-Crocetti: "Obywatel szwajcarski Kaspar Traussig, lat 68, zamieszkały w Bazylei, został przywieziony do naszego szpitala w dniu pożaru w Kaplicy Sykstyńskiej, 23 maja bieżącego roku. Stwierdzono obrażenia obu rąk i nóg, oraz oparzenia twarzy, piersi i pleców. Po trzydziestu dniach pacjent mógł być wypisany ze szpitala. Nastąpiły wszakże niespodziane zmiany w jego stanie psychicznym i nerwowym, z podejrzeniem neurozy typu depresji psychicznej. Nie da się wykluczyć podłoża niewyleczonej lub źle zaleczonej choroby, której skrupuły profesjonalne nie pozwalają mi sprzecyzować bez odpowiednich analiz klinicznych i dłuższego okresu obserwacji. Szpital nasz nie może podjąć się tego zadania wobec natłoku chorych, proponuje więc poselstwu szwajcarskiemu w Rzymie i rzymskiej Kwesturze odstawienie pacjenta do miejsca zamieszkania. W załączeniu dokumentacja miesięcznego leczenia w "Salvator Mundi".

Rzym, 18 lipca 1998. Zastępca kierownika urzędu dla cudzoziemców w centralnej Kwesturze rzymskiej, kapitan Remo Domenichella: "Zgodnie z sugestią prymariusza szpitala "Salvator Mundi", i w porozumieniu z poselstwem szwajcarskim w Rzymie, doktor Kaspar Traussig został 15 lipca odstawiony do Bazylei. Ostateczne upoważnienie wydał szef Kwestury, uznawszy że powyższe świadectwo doktora Traussiga nie wnosi żadnych istotnych elementów do naszych dochodzeń, że zatem można umorzyć w stosunku do niego sprawę /także z uwagi na stan jego zdrowia/. Osobiście odwozłem doktora Traussiga do Bazylei, w towarzystwie urzędnika poselstwa szwajcarskiego w Rzymie, doktora Ericha Hufnagla. W załączeniu pokwitowanie odbioru pacjenta, podpisane przez dyrektora miejskiego szpitala neuro-psychiatrycznego w Bazylei przy Carl-Gustav-Junggasse 16-18".

Bazylea, 24 maja 2000. Dyrektor miejskiego szpitala neuro-psychiatrycznego w Bazylei, profesor Marius Lichtenbaum: "Wkrótce po hospitalizacji doktora Kaspara Traussiga w naszym zakładzie władze miejskie, na nasz wniosek, wyraziły zgodę na sprzedaż jego mieszkania wraz z meblami przy ulicy Burckhardta 27, dla pokrycia wysokich kosztów leczenia i przewidywanego na długo pobytu w jednoosobowym, komfortowo urządzonej pokoju. Pacjent był wówczas na tyle jeszcze zdolny do rozumienia, że zaakceptował tę decyzję, prosząc jedynie by ze sprzedaży wyłączono i przywieziono mu do szpitala pięknie oprawioną reprodukcję Chrystusa z "Sądu Ostatecznego" Michała Anioła. Nazajutrz po spełnieniu tego życzenia zapadł w klasyczny stupor, względnie łagodny stan maniakalno-depresyjny, charakteryzujący się milczeniem, całkowitą absencją i okresowymi wybuchami bojaźni. Niekiedy mówił do siebie, lecz milki natychmiast po wejściu lekarza lub pielęgniarki do pokoju. Wczoraj, nieoczekiwanie, zapragnął udać się na spacer nad Ren. Towarzyszyła mu pielęgniarka Gertrude Linden. Wybrał ławkę, na której /jak wyjaśnił towarzysze spaceru/ siadywał w dzieciństwie z rodzicami w pogodne dni po niedzielnej mszy. Patrzył na Ren z wyrazem szczęścia i zachwytu na twarzy, jakby chodziło o rzekę jego lat dziecińczych, a nie o gigantyczny, czarny i zatruty rynsztok naszego roku dwutysięcznego. W załączeniu fotografia pacjenta, dokonana przez pielęgniarkę".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

Czerwiec - lipiec 1987

"Kultura", grudzień 1987

Gustaw Herling-Grudziński

DZIENNIK PISANY NOCĄ

Umbria, 20-26 lipca 1987

Znowu Umbria, najpiękniejszy /dla mnie/ rejon Włoch, w moich włoskich wędrówkach kąpiel ożywcza. Za każdym razem, niezawodnie. Od Orvieto, w którym Kocham się od dawna razem z Herbertem, do umbryjsko-toskańskiej Cortony, w której tak pragnął pożyć na starość i umrzeć Wittlin. W środku Asyż, Gubbio, Todi, Perugia, Spoleto. Umbria dolce, nazywają ją jedni. Terra mistica, mówią o niej inni. Salve Umbria verde, witaj ją w znanym wierszu Carducci.

Tym razem itinerarium jest skromne, związane z kilkudniowym pobytom w nieznanym mi dotąd miasteczku Bevagna, gdzie Siostry Benedyktynki prowadzą przyklasztorny pensjonat: Bevagna leży w odległości ośmiu kilometrów od Foligno. Omijałem dotychczas Foligno, odpychany przez niezbyt przyjemne wspomnienie wojenne. A Goethe spędził zaledwie pół dnia w Asyżu /nie zajrzawszy do Bazyliki Świętego Franciszka/, tak mu było śpieszno do Foligno. Doskonały to dziś punkt wypadowy dla wędrowców, nie posiadających samochodu: częste pociągi dowożą szybko do Asyżu, do Spoleto, do Perugia.

No i plac, wielki plac, który w zeszpeconym przez nowoczesne budownictwo miasteczka opalizuje jak perła w tandetnej oprawie. Pusty w porze obiadowej, wymieciony z ludzi i nawet z gołębi. Można, zapominając o upale, długo dreptać tam i nazad koło zamkniętej katedry, wspaniałego skrzyżowania masywności frontonu z lekkością rozet i kolumnienek ornamentacyjnych. Tutaj, obwieszca tablica na ścianie katedry, w roku 1206 młody syn asyjskiego kupca, późniejszy Święty Franciszek, "postawił pierwszy krok swego życia ewangelicznego, sprzedając posiadane towary i konia, aby za otrzymane pieniądze odrestaurować kościół Świętego Damiana w pobliżu Asyżu". Naprzeciw, w miejskim pałacu, bibliofil Orfini ofiarował światu w roku 1472 pierwsze drukowane egzemplarze "Boskiej Komedii".

Bevagna, rzymska Mevagna z zachowaną jeszcze kolumną rzymską i rzymskimi mozaikami fauny morskiej, jest cudem zminiaturyzowanym. Choć mały, jej plac ma prawo figurować w pierwszym rzędzie sławnych placów w sławnych miastach umbryjskich. Dwa kościoły romańskie, katedralny Świętego Michała Archanioła i mniejszy Świętego Sylwestra, zdumiewają architekturą ciężką, celowo mroczną w nawach wytyczonych zwalistymi kolumnami, z długimi schodami które prowadzą do ołtarza. Sliczna fontanna jest centrum placu, jak również ośrodkiem życia towarzyskiego w Bevagni /wieczorem/. Przed zachodem słońca z krąganku klasztornej u Sióstr Benedyktynek widać "zieloną Umbrę" Carduccię, Umbrę pół i winnic. Ale nie tak ostatnio zieloną, bo do krajobrazu wdarty się od pewnego czasu rozległe płąty upraw słonecznikowych. Mnie w Umbrii nie przestaje nigdy zachwycać złotawa szarość kamienia. Ta sama w pejzażu i w budownictwie, jakby między przyrodą i człowiekiem obowiązywał z dawien dawna pakt harmonijnego współbrzmienia.

Według Auerbacha sekret powodzenia Świętego z Asyżu tkwił przede wszystkim w jego umiejętności przemawiania do "wyobraźni ludowej", podstawa jego "potęgi spirytualnej" pozostała na zawsze umbryjska "dusza ludowa", chociaż wśród zwolenników i admiraatorów franciszkanizmu nie zabrakło później możnych tego świata: papieży, biskupów, książąt. Auerbach wymienia kilka głównych czynników, które umożliwiły Franciszkowi szybki podbój umbryjskiej "duszy ludowej": poczucie natury bezpośrednie, poetyckie, nie alegoryczne; bardzo osobiste poszukiwanie Boga /uważa się niekiedy Świętego z Asyżu za prekursora Reformacji/; obrona ubogich; widowskowo-

teatralny dar kaznodziejski /zdaniami jego współczesnych "umiał przemienić w język całe swoje ciało"/; nieufność do "książkowej wiedzy", którą "diabeł opanował i zgłębił lepiej od wszystkich ludzi"; naśladowanie Chrystusa szczerze, pokorne, pełne miłości i prostoty, uwidocznione w nielicznych, przekazywanych z ust do ust, epizodach. Świętego z ludowej legendy i z ludowych opowieści utrwalił Giotto w freskach górnej, następczyni Bazyliki.

W ciemnej Bazylice dolnej panuje niepodzielnie Święty z wizerunku Cimabue. Kruchy, mały, chorowity, o oczach bezgranicznie smutnych, utopiony w za dużym habicie brunatnym, uginający się jakby pod ciężarem złotej aureoli wokół głowy. "Poverello" opisany przez Tomasza ze Spalato, który widział go w roku 1222 podczas kazania na rynku w Bolonii: "Brudny ubiór, nędzna figura, brzydka twarz; a przeciwko, gdy skończył mówić, mężczyźni i kobiety pchali się do niego, by go dotknąć, by ułaskawić skrawek okrywających go łachmanów". Uosobienie pokory i sancta dentia. Tego "świętego postuszeństwa, co czyni człowieka podległym wszystkim ludziom, nie tylko ludziom, lecz również zwierzętom". Gdzie leży prawda? Między "ludową", bajkową prawie wizją Giotta, i dramatycznym wizerunkiem Cimabue; między światłem górnej i mrokiem dolnej Bazyliki.

Istnieje też Święty "rewolucyjny", o czym dowiedziałem się z książeczki kupionej w Perugii. Uczona autorka zestawia dwie reguły franciszkańskie. Pierwsza, "Regula non bullata"/czyli nie opatrzona bullą papieską/, pochodzi z roku 1222. Druga, "Regula bullata", została w rok później zatwierdzona bullą papieża Honoriusza III. Z drugiej znikły dwa punkty, które Franciszek włączył do pierwszej: o odmowie wykonania rozkazu zwierzchników, jeżeli nie godzi się z sumieniem zakonnika; o pracy pospołu z innymi jako generalnej normie życia zakonu. Wolno tu dojrzeć prefigurację współczesnych zjawisk "obiekcji sumienia" i "księży robotników"?

Dragonea, 13 sierpnia

"Nie należy mieszać pisarzy z literatami. Dla literatów, jak wiadomo, jedynym tematem ważnym jest, i zawsze była, literatura. Więc muszę tu zaraz ostrzec, że w moim słowniku codziennym pisarz /czyli przede wszystkim poeta/ jest przeciwieństwem literata. Więcej, jedna z możliwych ścisłych definicji pisarza byłaby dla mnie wręcz taka: człowiek, któremu na sercu leży wszystko co się dzieje z wyjątkiem literatury".

To znakomita pisarka włoska Elsa Morante w pośmiertnym tomiku esejów /i jej jest podkreślenie/. Ileż razy powtarzałem, z uporem maniaka, tę myśl /nie posuwając się do aż tak radykalnej "definicji"/. Pisarz i literat. Garstka pisarzy i rosnące wciąż zastępy literatów. Literat pochodzi od włoskiego letterato, który oznaczał człowieka umięjącego "dobrze pisać" o wszystkim, co mu pod dworskie pióro podsunęli władcy i zarządcy dworu. Odżyła dziś moda na debaty o "hańbie domowej", na kolejne radiografie "zniewolonego umysłu", a ja po "październikowym przełomie w literaturze polskiej" napisałem szkic "Kłęska i bunt dworzanina". Literatura, literatura, wyłączenie literatura, reszta przemija, zmienia się jak dekoracje na scenie obrotowej. Spozrzyjcie ten "chwyt" /genialny/? Docenił ten "pomysł" /rewelacyjny/? Zgaga literatów strąconych z dworskiego piedestału jest prawie zawsze podszyta pretensją do całego świata, że nie oddał sprawiedliwości "dobrej /mimo wszystko/ literaturze".

Stara instytucja literata dworskiego, podbita do zenitu w epoce systemów totalitarnych /z maksymalną naturalnością i dezynwolturą, co nie powinno dziwić, we Włoszech faszystowskich/, nie jest związana jedynie z mechanizmem odgórnego presji "zleceniodawcy". Myślę, że Orwellowi podobałaby się "słownik codzienny" Elsy Morante. W wielu jego szkicach odzywa się nuta irytacji, niekiedy furii nasyconej swiftowskim witiolem. W stosunku do literatów z angielskiego dobrowolnego establishment'u. Świętynią literata jest salon literacki, poza nim rozpościerają się gęste, nieprzeniknione ciemności.

16 sierpnia

Rośnie książka, której wciąż nie ma /w takiej postaci, jaka marzy mi się od dawna/. Książka o życiu Mariny Cwietajewej, nie powieść, nie, skrupulatna historia rosyjskiej rodziny inteligentkiej w zamęcie rewolucji i potem, aż do naszych dni, uzupełnienie "Doktora Żiwago". Jakie bogactwo wątków! Biali i czerwoni, emigracja, powrót do kraju. Sergiej Efron, mąż Mariny, biały oficer ewakuowany po klęsce z Krymu do Czechosłowacji. W roku 1922 Marina dostaje paszport, z córeczką Ariadną /druga córeczka Irina umarła z niedożywienia w roku 1920/ wyjeżdża z Moskwy do Berlina. Lata emigracji w Czechosłowacji i we Francji. W Czechosłowacji rodzi się syn Georgij. W roku 1931 dwudziestoletnia Ariadna zbliża się pod wpływem ojca do placówek sowieckich w Paryżu i oddała od uwielbianej matki. Sergiej współpracuje w Paryżu z "organami", jest zamieszany w zabójstwo /czy /egzekucję"/ Ignacego Reissa. W roku 1937 on i Ariadna wracają do ZSSR. Mariną zostaje z synem w Paryżu, żyje w nędzy bojkotowana przez emigrację rosyjską. W Moskwie Ariadna otrzymuje pracę w "Revue de Moscou". W roku 1939 Marina z synem wraca również do kraju. Na bardzo krótko cała rodzina odnajduje się na dachu w Bolszewie pod Moskwą. Niebawem NKWD arestuje Ariadnę /skazana na osiem lat łagrów, odsiedziała pełny wyrok/ i Stergieja /rozstrzelany/. Po wybuchu wojny sowiecko-niemieckiej Marina z synem wyjeżdża, w ramach ewakuacji pisarzy, do Jełabugi nad Kamą. Odrącona czy ignorowana przez "kolegów po piórze", popelnia tam samobójstwo. Syn zgłasza się na ochotnika do wojska i ginie na froncie. Ariadna, po zwolnieniu z łagrów, pracuje w Riazaniu. Powtórnie arestowana w roku 1949, zostaje zesłana na dożywocie do Turuczańską /rejon krasnojarski/ na Syberii. "Zrehabilitowana" w roku 1955, poświęca resztę życia, dwadzieścia lat, gromadzeniu puścizny poetyckiej i archiwum uwielbianej znowu matki. Poeta Jurij Żiwago, poetka Marina Cwietajewa.

"Rośnie książka, której wciąż nie ma", bo wydano za granicą "Listy z zesłania" Ariadny Efron do Borisa Pasternaka, przeplatane jego rzadkimi odpowiedziami. Pasternak odgrywa w życiu Cwietajewej rolę szczególną. "Trójkorespondencja" Cwietajewa-Rilke-Pasternak odstania romans epistolarny dwójga poetów rosyjskich. Nie zetknęli się, podziwiając wzajemnie swoją twórczość, do roku 1935, roku krótkiej wizyty Pasternaka w Paryżu z okazji międzynarodowego kongresu pisarzy. Przebieg spotkania nie przynosi Pasternakowi chluby. Poznała go wtedy również Ariadna, wychowana w kulcie jego poezji. Zbyt mało wiadomo o kontaktach Pasternaka z Mariną i Ariadną po ich powrocie do ZSSR. Z listów Ariadny widać, że był jej podporą /duchową i materialną/ podczas szóstciu lat zesłania nad Jenisejem. Żyła jego wierszami i przekładami, podejrzewam też że kochała się w nim miłością czterdziestoletniej, całkowicie osieroconej i samotnej kobiety.

Była pierwszą czytelniczką manuskryptu "Doktora Żiwago". Należało jej się to, powieść powstała z losów podobnych do losu jej rodziny. Pasternak zachwycał się jej listami, zwłaszcza jej opisami przyrody syberyjskiej, które są czymś więcej niż rejestracją zmian niesionych przez pory roku. Ani on ani ona nie mogli lekceważyć cenzury, to oczywiste, milczenie więc pokrywa rzeczywistość sowiecką, niekiedy tylko drobna i ostrożna aluzja przypomina kto z kim i w jakich warunkach koresponduje. Ale trudno oprzeć się wrażeniu, że w spojrzeniu obojga - "żiwagowski" spojrzeniu - to co się dzieje jest częścią natury, jej praw, jej kapryśków, wywoływanych przez nią kataklizmów, burz po których muszą nastąpić przejaśnienia, a człowiekowi przypada tu w udziale jedynie wysiłek /jakże często daremny!/ dochowania wierności samemu sobie, obrony sumienia, ratowania duszy.

Brodski w nekrologu Nadieжды Mandelsztam porównuje ją pięknie do "resztki wielkiego pożaru", do "małego węgielka, który parzy gdy go dotknąć". Istnieją, jak sądzę, dwie formy oporu przeciw gwałtom "nowej epoki historycznej": "mandelsztamowski" opór kultury; "żiwagowski" stawianie czoła naturze.

20 sierpnia

Procesja wyruszyła z Opactwa w Cava o drugiej w nocy. Na oko składała się ze stu, może stu dwudziestu osób. Noc była dość widna i duszna, oddychała jeszcze żarem sierpniowego dnia. Sierp księżycą na niezbyt gwiazdzistym niebie przypominał zaciśnięte w dziwnym grymasie usta. W powietrzu płynęły wolno i opadały na wierzchołki drzew strzępiaste kłaki dymu po pożarze lasu na Monte Falerio.

Na czoło procesji wysunięto starych, przeważnie kobiety. Jedna z nich zdawała się wskrzeszonym modelem Boscha: jej twarz, w świetle latarni trzymanej, na wysokości piersi, pokryta była dużymi brodawkami, oczy miała złe i niespokojne, nos zakrzywiony krogulczo dotykał prawie obwisłych warg. W ciszy uformowanej procesji ona tylko wykrzykiwała beładne zdania, z powtarzającym się refrenem: "Gesù, Maria, Santi del Paradiso". W słowo Paradiso wkładała gniewną euforię, brzmiało niekiedy jak warknięcie strażniczki bram Raju. Mniej więcej co piąty uczestnik procesji zaopatrzony był w latarnię. Za starymi szła gromadka bardzo młodych z niezapalonymi świecami w rękach, dalej mężczyźni i kobiety w średnim wieku.

Pierwszy etap drogi był łatwy, prowadził wyschniętym żołądkiem strumienia usianym liśćmi i igliwiami, zaczęto więc wkrótce po wyruszeniu procesji śpiewać. Nie powiodły się próby śpiewania przez wszystkich jednej i tej samej pieśni pobożnej. Śpiewano ich kilka, zderzały się, naskakiwały na siebie, przeciskały się to nieśmiało to natarczywie, tworząc chóralski, wielomelodyjny krzyk. Tak posuwał się ten pochód w ciemności lasu, gruby wąż nakrapiany światłkami jak niebo nad nim gwiazdami.

Po dwóch godzinach doczołgał się do kapliczki na skalnym występie, z którego widać już morze i Monte Falerio. Procesja zatrzymała się na odpoczynek. Daleko było do brzasku, nawet w szarawej płachcie morza nie czaił się jeszcze nadchodzący dzień.

Odpoczynek trwał krótko. Niektórzy starzy uczestnicy procesji zdjęli buty, wśród nich kobieta z obrazu Boscha. Drugi etap wiódł wąską, kamienistą ścieżką na zboczu wzgórza. Tak wąską, że pochód musiał posuwać się gęsiego, rozciągnął się w przerywany sznur, a posiadacze latarni przystawali co parę kroków, aby oświetlić drogę idącym za nimi. Tak kamienista, że stopy nie dotykały nigdzie ziemi pod sterzcącymi z niej, ostrymi kamieniami. Umilkł śpiew, zamiast niego słyszano się co jakiś czas okrzyki bólu bosych uczestników procesji. Ścieżka, wysoko nad Wybrzeżem Amalfitańskim, otarła się parokrotnie o skraj przepaści, zmuszając pochód do zawiązywania na sznurze węzłów i powolnego, ostrożnego ich rozsupływania. Dniało, gdy procesja dotarła do źródła w skale, otoczonego dużym klepiskiem między drzewami. Tylko młodzi rwali się do picia. Bosi czekali cierpliwie na swoją kolej, aby skaleczone nogi podstawić pod skalny wytrysk i zatamować krew zmoczonymi w wodzie szmatami.

Trzeci i ostatni etap był to prawda wspinaniem się pod górę, lecz ścieżką ubitą i na tyle szeroką, że sznur mógł znowu stać się grubym węzłem procesji. Pogazono latarnie, młodzi zapalili swoje świece. Rozległ się śpiew, słaby i zadyszany śpiew jednej teraz pieśni. Przy wschodzącym czerwono słońcu procesja, dobiwszy nareszcie do celu, trzykrotnie okrążyła Sanktuarium na polance. Przed bramą Sanktuarium upadła na kolana stara kobieta z obrazu Boscha, wykrzykując swoje "Gesù, Maria, Santi del Paradiso". Sanktuarium nazywa się Avvocata, Orędowniczka. W rejonie salernitańskim częsta to, gdzie indziej zdaje się nieużywana, nazwa. W pobliżu naszego domu znajduje się mały kościół z końca osiemnastego stulecia, pieczołowicie niedawno odnowiony, o którym okoliczni mieszkańcy mówią zawsze czułym zdrobnieniem Avvocatella.

23 sierpnia

Na początku stulecia Martin Buber ułożył antologię mistyków wszystkich wyznań "Spowiedzi ekstatyczne". Borges uważał ją za jedną ze swoich podstawowych lektur. Co o wiele ciekawsze, Musil czerpał z niej pełnymi garściami w trakcie pisania "Człowieka bez właściwości". Niezależnie od antologii Bubera, Musil ułożył w roku 1921 własną, "Doświadczenia graniczne", wybór stu dziesięciu cytatów mistycznych. Interesował go szczególnie "aspekt werbalny" przeżycia ekstatycznego.

Interesował go słusznie, gdyż sam Buber przyznawał we wstępie do swojej antologii, że mistyczni ekstatycy nie są w stanie przeskoczyć muru słowa. Zamknięci w obrębie doświadczeń i wizji odgradzonych od słowa, niezwykle silnych w momentach "wychodzenia poza siebie" i "wchodzenia w Boga" /ekstasis/, a równocześnie bezsilnych w próbach przeniknięcia do ekspresji językowej, bez przerwy uciekają się do określeń: "niewysłowny", "niewyraźalny", "niewypowiedzialny", "nieuchwytny" /słownie/. Angela z Foligno /druga połowa XIII wieku/ skarżyła się na uczucie "uciętego języka" w ustach. Inni posługiwali się zwrotami w rodzaju: "nic nie widzę i widzę wszystko, nic nie słyszę i słyszę wszystko". Enrico Suso /pierwsza połowa XIV wieku/ wyznał, mówiąc o sobie w trzeciej osobie: "Ujrzał wtedy i usłyszał to, co nie jest dostępne dla żadnego języka. Było to bez formy i bez wyglądu, a przecież zawierało w sobie radosną rozkosz wszystkich form i wszystkich wyglądów". Ilekroć zaś mistyczni ekstatycy usiłują jednak uchwycić cień cienia nieuchwytnego, wyrażić drobny choćby okrucz niewyraźnego, w ich spowiedziach występują dwa elementy: światło, potok światła; wizja absolutnego zjednoczenia z Bogiem, roztopiająca własne "ja". Najbardziej może starała się dościsnąć sens doświadczenia ekstatycznego "hiszpańska" Teresa /XVI wiek/, w listach do swoich spowiedników. Ale i ona rozkładała w końcu ręce: "Wszystko to nie da się wyjaśnić inaczej jak poprzez porównania, które są z pewnością prostackie i nieokrzeseane, lecz ja nie potrafię tego powiedzieć w żaden inny sposób".

"Das Wort schneidet nicht", słowo nie, nie, wzdychał bezradnie Musil, dodając że "mistyka i narracyjność pozostają wobec siebie w trudnych stosunkach". Pokonywał trudności cytataami, często dosłownymi, z wypisów mistycznych Bubera i własnych, bez powoływania się na autorów "spowiedzi ekstatycznych". Rzecz "gra", nadspodziewanie nawet dobrze, w poetyckim kontekście powieści. Stany mistycznej ekstazy posiadają jedyną alternatywę: poezja albo milczenie.

Maisons-Laffitte, 15 września

10 czerwca 1987 odbyło się w Centralnym Domu Literatów w Moskwie spotkanie redakcji i współpracowników tygodnika "Moskowskije Nowosti" /awangarda i szyba wystawowa głośności, głównie na benefic zagranicy/ z pisarzami moskiewskimi i z publicznością. Do stołu prezydalnego napływały pytania na karteczkach. Jedno z pytań brzmiało tak: "Czy można mówić o socjalistycznym humanizmie, lub pisać o okresie przejściowym, w kraju gdzie zginęło sto milionów niewinnych ludzi?". Odpowiedział na nie Akademił Jurij Ałasasjew, dyrektor Instytutu Historii i Archiwów: "Dużo czytałem. Ale nie znalazłem w żadnej książce uzasadnionych danych na temat liczby ofiar masowych represji i innych nieszczęść. Tak, nie można mówić o żadnym humanizmie, tym bardziej socjalistycznym, gdy giną miliony ludzi. My historycy musimy odtworzyć całą prawdę przeszłości, nie przemilczając zdarzeń tragicznych. I taka historia będzie napisana".

Podczas tułaczki, a właściwie ucieczki, Nadzieży i Osipa Mandelsztamów ukazał się któregoś dnia w "Prawdzie" artykuł o "humanizmie socjalistycznym". Przeczytałszy go, poeta mruknął do żony: "Okazuje się, że jesteśmy w łapach humanistów". Być może, anonimowy autor pytania na karteczce słyszał o tym wspomnieniu Mandelszta-

mowej. Niewykluczone też, że wymienił w pytaniu liczbę stu milionów nie bez kozery: o zamordowaniu stu milionów i "przeskoczeniu rowu" mówił przecież arcybiskup Wierchowicki na herbatce "u naszych". Takie to reminiscencje oplątują zdradliwymi mackami głośność w "blebce".

Będzie więc napisana nowa historia, będzie przywrócona cała prawda o przeszłości. Czyli będą nareszcie wypełnione słynne "białe plamy". Chwalebne, lecz karkołomne zadanie. Nie mogę ręczyć za absolutną ścisłość tego co zaraz powiem, chociaż źródło jest wiarygodne: moskiewski korespondent największego dziennika włoskiego "Corriere della Sera". Kilka miesięcy temu, bodaj w kwietniu czy maju, poświęcił on swoją kolejną korespondencję owym "białym plomom" w związku z powstaniem mieszanej, sowiecko-polskiej komisji historycznej do spraw odkłamywania przeszłości. Według informatorów dziennikarza włoskiego na jednym z posiedzeń wstępnych rękę uczestników dotknęły grobu katyńskiego. Strona sowiecka zaproponowała osobliwe wyjście z kłopotliwej sytuacji: zastrzeliliśmy przez omyłkę, nostra maxima culpa, czterdziestu oficerów polskich; reszta jeńców uciekała, błąkała się po ZSSR i w końcu wpadła w szpony hitlerowskich najeźdźców, którzy dopuścili się "bestialskiego mordu masowego". Stalin, przyciskany do muru przez Sikorskiego, wysunął również wersję; a raczej hipotezę, "ucieczki oficerów polskich z czołów jenieckich". A zatem historia pisana na nowo w duchu głośności nie zamierza rezygnować całkowicie z autorytatywnej i wypróbowanej już historii starej.

Przyjmując za dobrą monetę informację korespondenta włoskiego, ogląda się mieszaną, sowiecko-polską komisję historyczną jako coś w rodzaju końskiego czy krowiego targu. Czterdziestu to za mało! No to niech będzie dwustu! Jeszcze za mało! W głowach wam się, drodzy towarzysze z Warszawy, przewróciło! Zarty /nakabryczne/ na bok. Istota rzeczy polega naturalnie na tym, że odwołanie prawdy o przeszłości w wytargowanych dawkach musi wywołać skutek odwrotny do zamierzonego. Wrzód katyński nabrzmiałby w Polsce i zaognił się jeszcze bardziej, gdyby katyńska "biała plama" została wypłniona tak absurdalnym ochłapem prawdy historycznej.

Głośność stała się probierzem stosunku do "nowej /postkomunistycznej/, dodaję niektórzy/ Rosji Gorbaczowa". Powiedz mi czy wierzysz w trwałość głośności, a powiem ci kim jesteś. Wystannicy miesięcznika Bernarda Pivot "Lire" wybrali się do Moskwy, przepytali tam mniej lub więcej optymistycznych heroldów i beneficjentów głośności, a w drodze powrotnej do Paryża zatrzymali się w Monachium i przeprowadzili krótki wywiad z Zinowiewem. "Głośność?" - prychnął natychmiast autor "Przepasnych wyżyn" i "Świetlanej przyszłości". - "Kamuflaż! Bluff polityczny, obliczony na zasianie konfuzji w opinii publicznej i na zaskarwienie sympatii Zachodu... Nie róbcie sobie złudzeń na temat intelektualistów sowieckich. To oni wypracowali represje stalinowskie i gułag. Inteligencja sowiecka była zawsze wiernym sługą władzy". Odwilż literacka jest błagą? "Tak, jest kroplą wody w morzu. Nie będzie nigdy w ZSSR swobody twórczości. Gorbaczow i jego przybocznicy usiłują nauczyć krokodyla fruwania... W mojej nowej książce wykazuję, że gorbaczowizm jest przygotowaniem do nowego breżniewizmu, gorszego jeszcze niż poprzedni". Czy aby nie jest pan odrobinę paranoikiem? "Absolutnie nie. Mój punkt widzenia jest naukowy".

Zinowiew nie jest paranoikiem, jest po prostu radykalnym sceptykiem. Zanim radykalnym na mój gust, właśnie dlatego że "naukowym". Parafrazując znane powiedzenie Clemenceau o generałach: kryzys systemu sowieckiego jest zbyt poważną sprawą, aby ją powierzać naukowcom. Niestety, jak często w takich wypadkach bywa, powstała już polaryzacja. Na jednym biegunie zachłystujący się bezkrytycznie admirałorzy Gorbaczowa, na drugim ci co uważają go wyłącznie za bluffiarza w masce "reformatora". Mój punkt widzenia nie jest z pewnością "naukowy", ale /jak sądzę/ trzeźwy. Mniej mnie obchodzi kim jest Gorbaczow "naprawdę", jak mniej mnie obchodziło kim był "naprawdę" Chruszczow. I wtedy i dziś istota problemu sprowadzała się i sprowadza do pytania: ile zostanie po upadku Chruszczowa /który nastąpił/, ile zostanie po upadku Gorbaczowa /który nastąpi/. Coś zostało wtedy, coś zostanie obecnie. Po-stalinowski kryzys systemu określiłbym jako stopniowe obłupianie i podmywanie wiążącej nad przepaścią, potężnej skały. Specjaliści w dziedzinie "politologii" nazywają ten proces "ottomanizacją".

Podobną trzeźwość zalecałbym entuzjastom głośności w Kraju. Dla przykładu. Należy oczywiście rejestrować skrupulatnie każdy przejaw odwilży literackiej w ZSSR; nie należy natomiast robić tego takim tonem, z takim przejęciem, jakby cud przemienienia starszego brata dojrzewał tuż tuż, za rogiem. Należy brać w rachubę i wykorzystywać luz sowieckiej perestrojki /dla mnie peredyszki/, nie należy natomiast rozgrzewać siebie i innych do rychłego powitania ucieleśnionej nareszcie "dobrej nowiny ze Wschodu". Mniej złudzeń, więcej chłodnego, spokojnego dystansu. I więcej marzeń, panowie...

25 września

Jeszcze dwa znamienne komunikaty z frontu głośności.

Na konferencji prasowej Urbana, z gościnnym udziałem Gerasimowa, była między innymi mowa o głośnej /w ramach stalinowskiej głośności/ wypowiedzi Mołotowa po klęsce wrześniowej. W wersji Urbana sowiecki minister spraw zagranicznych nazwał wtedy Polskę "ułomnym tworem Traktatu Wersalskiego". Ja pamiętam ten zwrot inaczej: "pokraczny bękart Traktatu Wersalskiego". Rzecz jasna, "ułomny twór" brzmi trochę wytworniej od "pokracznego bękartu". Wolno się zastanawiać, czy zabieg przypudrowania poprzedziła narada obu rzeczników prasowych, sowieckiego i polskiego, w duchu fargu katyńskiego na posiedzeniu mieszanej komisji historycznej.

Drugi komunikat donosi o napiętnowaniu "Moskowskich Nowosti" przez Jegora Ligaczowa, uważanego powszechnie za Numer Dwa w kremłowskiej hierarchii partyjnej. Co zgniewało Ligaczowa? Krótki nekrolog Wiktora Niekrasowa, który zmarł na początku września w Paryżu. Biegli w wróżeniu z moskiewskich fusów podzielili się błyskawicznie na dwa obozy. Podejrzliwi wobec głośności uznali to za kolejny dowód, że jastrząb Ligaczow szybuje coraz groźniej nad sekretarskim tronem, w którym uwił sobie gniazdo gołąb Gorbaczow. Kredytodawcy głośności natomiast węższą tu ukartowany z góry podział ról: im bardziej gołąb gotębieje, tym bardziej jastrząż jastrzębieje, bijąc w powietrzu na pokaz skrzydłami ortodoksyj partyjnej. Zwłaszcza że świeży epizod w scenariuszu ptasiej rozgrywki zawiera dodatek "nie do pomyślenia", zdaniem obozu gotębiego, dawniej: oto Jegor Jakowlew, redaktor "Moskowskich Nowosti", poderwał się z krzesła po wypowiedzi Ligaczowa i stanął twardo w obronie nekrologu Niekrasowa.

Biedny Wiktor Płatonowicz! Głośność rozpetęła małą burzę nad jego cichym grobem emigranta. Zetknięciem się z nim pierwszy raz w Londynie wkrótce po jego wyjeździe z ZSSR w mieszkaniu dziennikarza angielskiego Davida Floyda /zabrał mnie tam Leo Łabędź/. Potem było parę spotkań w Paryżu, jedno zamieniło się w rozmowę dla "Giornale". Był emigrantem szczególnym, podobnym do Michała Hellera w tym, że nie narzekał na swój emigrancki los, przeciwnie - w wyjeździe na Zachód widział swoją życiową szansę. Uwielbiał podróże, podróżował często po Europie i za Ocean, zapraszany na wieczory autorskie przez skupiska rosyjskie i ukraińskie /nawiasem mówiąc, w przedemigranckim jeszcze okresie podróży do Stanów Zjednoczonych i jej ciepły opis stały się przyczyną jego "niełaski" w ostatnich latach rządów Chruszczowa: wyrzucono go z partii, skazano na nieistnienie jako pisarza/. Kochał też Paryż, gdzie się urodził, słynne były jego paryskie włóczęgi i eksploracje. Zdaje się, że popegnął się z myślą o dalszych powieściach czy nowelach, zastąpił je świetnie skomponowanymi, ostrymi w obserwacji, dowcipnymi notatnikami. Ale wspominam popołudnie w trójkę u Maksimowa, gdy zamitowany obieżyświat Niekrasow zaczął naraz opowiadać o swoim Kijowie. Bez dreszczyków nostalgii, bez podskórnych podrygów wyznańczej self-pity, z pogodną naturalnością człowieka, który rozpakowuje i pokazuje innym swój wywieziony bagaż rodzinny.

Fatima Sałkazanowa opisuje dziś w "Russkoj Mysli" ostatnią wizytę u ciężko chorego Niekrasowa w przededniu jego śmierci, 2 września. Kazał sobie przeczytać wolno na głos artykuł Kondratiewa w "Moskowskich Nowostiach" z propozycją wznowienia w ZSSR "W okopach Stalingradu". Potem rozmowa zeszała na perestrojkę Gor-

baczowa. Niekrasow westchnął: "Jak strasznie będzie, kiedy się to wszystko skończy".

28 września

"Proust contre la déchéance" Czapskiego, edytorskie cacko nowego wydawnictwa "Noir sur Blanc" w Lozannie, to oryginalna wersja francuska jego wykładów w Gria-zowcu, które po polsku ukazały się w roku 1948 w "Kulturze". Tak dziś jak przed czterdziestu laty trudno oprzeć się wzruszeniu: zima 1940-1941, krasnyj ugałok w starej przyklasztornej chacie pątnika, za oknami ostry mróz, na ścianie portrety Marksa, Engelsa i Lenina, pod nimi Czapski opowiada z notatek i "z głowy" po francusku o swoim ukochanym pisarzu gromadce kolegów z griażowieckiego obozu jeńców w łączonych, nie wiadomo dlaczego, z kaźni; jedyna, obok "Wspomnień starobielskich" i książki Świaniewicza, żywa plamka w wielkiej "białej plamie" katyńskiej.

Opowiada doskonale, ze swadą, z przejęciem, sypie zapamiętanymi cytatami, z każdego zdania bije jego miłość do Prousta. "Tylko pamięć niezależna od woli ma znaczenie dla sztuki". Ta proustowska "pamięć niezależna od woli", zaklęta w napotykanym przypadkowo przedmiotach i wyzwalana z nich cudem, jest motorem wykładów Czapskiego. Bardziej może Czapskiego-jeńca wojennego niż Czapskiego-artysty. Trafny wydaje mi się francuski tytuł książeczki, Czapski uzasadnia go pośrednio odkrywczym zestawieniem dwóch refleksji: Bergotte'a o swoistej religii sztuki i Starca Zosimy o religii prawdziwej.

Co nie znaczy, żebym całkowicie podzielał miłość Czapskiego do Prousta. Z biegiem lat budzi we mnie coraz większy chłód proustowski kult "intuicji", "instynktu", podkreślanie ich przewagi nad "inteligencją". De Fallois ułożył przedmowę do "Contre Sainte-Beuve" z fragmentów "W stronę Swanna i Czasu odnalezionego", zakończonych autoekspozycją "poetyki" Prousta. Całość nazywa się "Pamięć niezależna od woli i zmartwychwstanie poetyckie". Zdarza mi się, odczytując niekiedy na nowo Prousta, wątpić czy cud "zmartwychwstania poetyckiego" odbywa się u niego zawsze; czy też dość często pokrywa on nadużywaną, mechaniczną trochę, formułę albo receptę poetycką.

3 października

Dyskutuje się, analizuje, mędrkuje, rozcina włos na czworo, a sprawa jest tak prosta, tak niezwykle prosta! "Także ja - wyznaje Ingmar Bergman w swojej autobiografii "Latarnia magiczna" - kochałem Hitlera. Przez wiele lat stałem po stronie Hitlera, cieszyłem się jego zwycięstwami i smuciłem jego porażkami... Kiedy dotarły do mnie świadectwa obozów koncentracyjnych, mój intelekt odmówił przyjęcia tego, co rejestrowały oczy. Jak wielu innych, również ja nazywałem te obozy łągarstwami wymyślonymi przez propagandę. Gdy wreszcie prawda przełamata moje opory, ogarnęła mnie rozpacz; i pogarda dla samego siebie, która już przedtem stanowiła ciężkie brzemie, przekroczyła granice mojej wytrzymałości. Dopiero znacznie później uprzytomniłem sobie, że w praktyce nie było we mnie żadnej winy, mimo wszystko".

Naturalnie kluczowe zdanie tego epokowego zaiste wyznania brzmi: "Mój intelekt ?? odmówił przyjęcia tego, co rejestrowały oczy /cudze/". Czy sławnego reżysera nie chciały się oderwać od obrazów w hitlerowskiej "latarni magicznej". Kto wie, czy owa "latarnia magiczna" nie tłumaczy, że przygody "intelektów" po przeciwnej stronie barykady "ideologicznej", czy na przykład Trznadel nie powinien być posłużyć się konceptem "latarni magicznej" zamiast konceptu "hańby domowej". W stalinowskiej "latarni magicznej" zachwycone "intelektu" polskie oglądały nowych Obywateli, nowego Człowieka Radzieckiego, odwracając z obrzydzeniem oczy od "łągarstw wymyślonych przez propagandę /wrogą/". Jeśli zaś "latarnia magiczna", to może mieliśmy do czynienia z rozwydrzonymi i okrutnymi dziećmi /a jak rozwydrzone i okrutne po-

trafią być dzieci, pokazał William Golding w powieści "Lord of the Flies"/, które pewnego dnia dorosły do "Poematu dla dorosłych". Wolne "w praktyce od poczucia jakiegokolwiek winy, mimo wszystko".

Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI

ARCHIWUM POLITYCZNE

"Kultura", styczeń - luty 1987

Zbigniew Byrski

SOWIECKI ARSENAŁ NUKLEARNY

Twierdzenie, że Sowiety posługują się groźbą wojny nuklearnej wyłącznie w tym celu, by podporządkować sobie zachodni świat i Japonię, ale że nigdy jej nie rozpoczną, uważało wielu ludzi, w tej liczbie i ja, za słuszne. Obecnie tezę tę wypada zakwestionować z uwagi na zmodernizowanie sowieckiego arsenału atomowego.

Teza, że groźba wojny nuklearnej była tylko szantażem, wynikała ze słusznych przesłanek, iż nie jest zamiarem Sowietów zamienienie świata zachodniego w cmentarz atomowy, ponieważ w niczym nie poprawiłoby to ich sytuacji, jako systemu chronicznie niezdołnego do zaopatrzenia swych obywateli w artykuły niezbędne do życia, z jakich korzystają wszyscy mieszkańcy krajów uprzemysłowionych. Dlatego Zachód miał być podbity, ale nie zniszczony, by z pożytkiem pełnić rolę podporządkowanego Sowietom dostawcy. Ta część twierdzenia pozostaje słuszna. Błędne natomiast jest mniemanie, że rozpoczęcie przez Sowiety ataku nuklearnego musiało by w konsekwencji doprowadzić do całkowitego zniszczenia krajów kapitalistycznych wraz z pozbawieniem ich zdolności produkcyjnych zarówno w przemyśle jak i rolnictwie. Dla obydwu potencjalnych adwersarzy - Sowietów i Stanów - istnieją dwa ważne pod względem militarnym cele, w które wymierzyć można pociski nuklearne: pierwszy to arsenały rakiet nuklearnych o wysokiej precyzji celowania, których zadaniem jest nuklearne rozbrownienie przeciwnika. Nie oznacza to pozbawienia go w ogóle zdolności zadania drugiego ciosu, a więc niszczenia wielkich ośrodków miejskich, przemysłu, transportu itd. Oznacza to tylko to, że ten kto zadaje pierwszy cios rozporządza wielką ilością głowic o wysokiej celności. Te, raz wystrzelone, jeśli trafią w swój cel, pozbawiają przeciwnika możliwości analogicznej kontrakcji. Unieszkodliwienie najbardziej technicznie zaawansowanych głowic, których odchylenie od celu nie przekracza kilkudziesięciu metrów wcale nie musi spowodować nuklearnego "holocaustu". Gdyby więc Sowiety uderzyły pierwsze, niszcząc tę część amerykańskiego arsenału, która jest nerwem całego systemu obronnego i służy właśnie do sparaliżowania celów sowieckiej inwazji atomowej, konsekwencje tego byłyby dla świata i Ameryki tragiczne. Sowiety na pewno nie są w stanie zniszczyć całego arsenału nuklearnego Ameryki pierwszym uderzeniem. Ale gdyby wybiórczo unieszkodliwiły głowice odznaczające się największą celnością, uzyskałyby dwa kolosalne atuty: po pierwsze atak ich nie spowodowałby po drugiej stronie masowej zagłady ludności, czego bynajmniej nie pragną. Ofiarą ich uderzenia nie byłoby miliony ludzi, najwyżej tysiące, w czym głównie załogi amerykańskich wyrzutni lądowych i morskich. Ani przemysł ani rolnictwo nie ucierpia-

łyby w sposób, który by zahamował ich wydajność. Drugim 'atutem' byłoby pozbawienie Stanów tej części arsenału, którego rakiety przeznaczone są do zniszczenia najbardziej precyzyjnych w osiąganiu celów pocisków sowieckich. To, co mogłyby Stany uczynić, to skierować rakiety o mniejszej celności przeciwko wielkim skupiskom miejskim w Sowietach. Pociągnęłyby to za sobą wielomilionowe straty w ludziach, natomiast z punktu widzenia militarnego nie dałoby Zachodowi niczego. Nienawiść ludności sowieckiej nie zwróciłaby się przeciwko ich władzy, która wojnę rozpoczęła, ale przeciwko bezpośrednim sprawcom - czyli Stanom. Jeśli chodzi o przywódców sowieckich, to tego rodzaju obrotem spraw nie przejęłby się zbytnio. Znając ich szacunek dla życia ludzkiego, należy sądzić, że utrata kilkudziesięciu milionów własnych obywateli wykorzystana byłaby propagandowo do maksymalnych granic. Mogę zaryzykować twierdzenie, że w jakimś sensie bardzo by im to dogadzało. W tym wypadku nie oni byłiby barbarzyńcami - jako że oni atakowali wyłącznie cele militarne - ale Amerykanie. Z tego też powodu należy przypuszczać, że na taki krok nie zdobyłaby się Ameryka, ponieważ dla niej cena życia ludności sowieckiej byłaby wyższa niż dla przywódców sowieckich. Właściwie w tym momencie wojna atomowa byłaby praktycznie przez Zachód przegrana i głosy za "dogadaniem" się z Sowietami - czyli kapitulacją - wzmożyły się kolosalnie. Użyto by argumentu, że ze strony sowieckiej groziłby obecnie odwet w postaci masowego ataku na amerykańskie metropolie. Składając sądzę, że do takiej ewentualności wcale by nie doszło, ponieważ nie byłoby w interesie Sowietów w tej błyskawicznej wojnie zdezorganizowanie życia w Ameryce. Wynika stąd prosty wniosek, że życie robotników i rolników amerykańskich i zachodnioeuropejskich ma dla Sowietów większą wartość użytkową niż swoich własnych. I tak w istocie jest, ponieważ wartość użytkowa decyduje w polityce ludnościowej Sowietów o wszystkim. Przy okazji nie omieszkaliby zareklamować swojego najwyższego klasy humanizmu, który zakazuje im odpiąć tą samą monetą za amerykańskich barbarzyńców.

Rozważania powyższe przeprowadzam w oparciu o zupełnie niesprawdzone przypuszczenie, że nuklearne arsenały sowieckie osiągnęły wysoki stopień modernizacji i że Stany Zjednoczone nie są należycie chronione przed opisaną przeze mnie ewentualnością. Wychodzę więc z maksymalnie pesymistycznego punktu widzenia w ocenie arsenałów dwóch przeciwników. Czy tak jest w istocie - nie wiem, ale możliwości tej nie należy wykluczać, ponieważ wiele osób, dobrze znających stan amerykańskich zbrojeń i mających ułamkowe wieści o przygotowaniu militarnym Sowietów dopuszcza opisaną przeze mnie w skrócie scenariusz. W świetle tego tym ważniejsza wydaje się nie tyle redukcja nuklearnych zbrojeń, szczególnie trudna do sprawdzenia w warunkach sowieckich, ale położenie nacisku na dalszy rozwój SDI / Strategic Defense Initiative/ czyli "Wojen Gwiazdnych". Po polsku używać będę inicjałów SIO - Strategiczna Inicjatywa Obronna.

Jak wygląda sytuacja obecna w rozwoju SIO, której celem jest całkowite wyeliminowanie broni nuklearnej? Dwa lata temu Stany Zjednoczone dokonały udanego eksperymentu zniszczenia wystrzelonej przez siebie rakiety, której tor przebiegał od wybrzeży kalifornijskich do atolu Kavalajen na środkowym Pacyfiku. Od tego czasu, według informacji prasowych, badania i eksperymenty prowadzone przez ośrodki badawcze SIO znacznie się posunęły. Spośród kilku publikacji na ten temat opierać się będę głównie na artykule opublikowanym w 56 numerze niekonserwatywnego tygodnika "Inside" z 10 listopada 1986 roku. Artykuł informuje o intensywnych pracach laboratoriów pracujących dla Pentagonu nad rozwiązaniem problemów technicznych SIO. Problematyka ta mimo popularnego charakteru tygodnika, nie nadaje się do przedstawienia jej czytelnikom w sposób komunikatywny. Autorzy artykułu twierdzą, że w ciągu ostatniego półtoraroczca dokonano w rozwoju SIO "miliowych kroków". Na czym oparty jest ich optymizm? Choć głównym celem SIO jest wysłanie w przestrzeń kosmiczną ładunków laserowych; uczeni pracujący w laboratoriach kalifornijskich nie ograniczają się tylko do tego. W kontekście prowadzonych badań należałoby wymienić eksperymenty z emitowaniem strumieni cząstek elementarnych, z którymi amerykańscy technolodzy wiążą duże nadzieje. Cząsteczki elementarne są to składniki jądra atomowego m.in. protony i neutrony. Strumień

cząstek elementarnych, jak sama nazwa wskazuje, nie jest wiązką laserową i szybkość jego jest poniżej szybkości świetlnej. Wydaje się, że jest to główny projekt, nad którym aktualnie pracują technolodzy SIO. Strumień wysyłany jest z instalacji naziemnych i posiada zdolność uszkodzenia urządzeń sterowniczych rakiety i przebicia jej powierzchni, co powoduje eksplozję skroplonego tlenu będącego siłą napędową pocisku. Ważną przeszkodą w rozwoju SIO była dotychczas postawa wielu amerykańskich fizyków zrzeszonych w "Association of Concerned Scientists", czyli czegoś w rodzaju "Stowarzyszenia ztroskanych uczonych". Troska ich dotyczyła podtrzymywanej przez sowiecką propagandę atmosfery, że SIO – którą przecież sami amerykańscy dziennikarze nazwali "Wojnami Gwieздnymi" – ma z przestrzeni kosmicznej uczynić poligon wojny nuklearnej. Wielu uczonych wywołało się od tej prymitywnej propagandy i przyłączyło do wysiłków uczynienia z rakiety nuklearnych sprzętu nadającego się na rekwizyty muzealne.

Oczywiście chwila ta jest jeszcze dosyć odległa. Dr Richard Williams i dr James Jonson – kierownicy laboratoriów w Kalifornii – obliczają, że badania nad tym problemem potrwać jeszcze około 3-4 lat. A więc nie dwadzieścia ani trzydzieści, jak głosili zaprzysiężeni przeciwnicy "Wojen Gwieздnych". Wiele oczywiście zależy od Kongresu Stanów, który może drastycznie przerwać dopływ funduszy. Pewna liczba kongresmenów obawia się, że w chwili gdy amerykańscy technolodzy będą zbliżać się do ostatecznego celu i staną u progu unieszkodliwienia wszelkich pocisków nuklearnych – właśnie w tym momencie Sowiety uderzą. I tu stosują starą i skompromitowaną zasadę: "Nie zabezpieczajmy się przed atakiem sowieckim, bo w ten sposób prowokujemy ich do uderzenia". Sądzę jednak, że rzecznicy takich poglądów nie przeważają ani w Senacie, ani w Izbie Reprezentantów. Mimo "trzęsienia ziemi", które przeżywa obecnie administracja Reagana i sam Prezydent na skutek skandalicznej imprezy z dostawą broni do Iranu, nie wpłynęło to na sytuację SIO. Wie o tym Gorbaczow, którego niepokój o losy SIO wzrasta zwłaszcza od momentu fiaska, jakiego doznał w czasie spotkania na szczycie w Reykjavíku.

W końcowych dniach listopada Stany Zjednoczone prześlały oficjalnie respektować postanowienia traktatu SALT II, przeprowadzając próbne loty bombowców B-52, wyposażonych w urządzenia nośne do uzbrajania ich w "Cruise missile", czyli rakiety zaopatrzone w system nawigacyjno-komputerowy naprowadzający je na cel. Protestując przeciw naruszeniu postanowień SALT II Gorbaczow próbował przedstawić się publicznie jeszcze raz jako Anioł Pokoju. Oświadczył, że podczas gdy Amerykanie usiłują zamienić przestrzeń kosmiczną w pobojowisko nuklearnej wojny, on chce w kosmosie utrzymać pokój. Już przedtem Sowiety zaproponowały usunięcie przez obydwie strony rakiet średniego zasięgu w Europie. Tym razem propozycja ta nie wywołała wśród publiczności amerykańskiej nadmiernego podniecenia. Amerykanie zaczynają wreszcie być podejrzliwi w stosunku do Sowietów. Nie znaczy to, że przybywa im odwagi. Może wreszcie i na to przyjdzie czas. Ciężko jest ich przekonać, że ktoś przykłada im nóż do gardła. Uważają, że takie wypadki zdarzają się tylko w Parku Centralnym w Nowym Jorku, ale nie w stosunkach międzynarodowych.

Pomimo niewątpliwych postępów w dziedzinie SIO, należy zaznaczyć, że uczeni amerykańscy nadal borykają się z szeregiem problemów. Do nich należy uginanie się światła, czyli w tym wypadku promieni laserowych w polu grawitacyjnym, które trzeba uwzględnić przy wysłaniu ładunków laserowych w przestrzeń kosmiczną. Drugim – niemniej ważnym – jest fakt, że wysyłane lasery muszą "odróżnić" prawdziwe nieprzyjacielskie pociski od fikcyjnych, mających stanowić "przynętę". Tak więc urządzenia laserowe muszą być zaopatrzone w specjalnego rodzaju czujniki. Świetnie rozwinięta komputeryzacja broni amerykańskiej czyni to zupełnie realnym. Pomimo niewątpliwego postępu w badaniach i eksperymentach SIO, należy z naciskiem stwierdzić, że wbrew niektórym superoptimistycznym informacjom ani Ameryka ani Europa Zachodnia nie dysponują dotychczas ani taktyczną ani strategiczną bronią laserową.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 30 listopada 1986

^x Mam tu na myśli informację, którą znalazłem w artykule przesłanym mi przez redakcję "Kultury". Według niej zachodniemiecki koncern MBB produkuje pojazdy pancerne wyposażone w broń laserową, która na odległość 6 kilometrów niszczy wszelkiego rodzaju rakiety. Wiadomość ta jest nieprawdziwa. Laser ma bardzo rozległe zastosowanie. W wymienionym wypadku wiązki laserowe służą jedynie do namiarów – czyli określenia odległości i szybkości innych obiektów. Zniszczyć nie mogą niczego. Artyleria laserowa dotychczas nie została skonstruowana.

"Kultura", marzec 1987

Leopold Unger

"MOURIR POUR KIRIBATI"?

Motto:

"Sytuacja w Dalekim Wschodzie, w Azji i na Oceanie Spokojnym, to znaczy w rejonach gdzie jesteśmy obecni od bardzo dawna, jest kwestią naszego interesu narodowego, kwestią interesu naszego państwa".

Michaił Gorbaczow, lipiec 1986.

"Przyszłość świata zadecyduje się na Pacyfiku".

Ronald Reagan, październik 1984.

Obaj panowie mają rację. Z punktu widzenia ściśle historycznego, aspiracje rosyjskie na Pacyfiku są nawet bardziej uzasadnione. Sięgają one XVII wieku: w 1639 roku Kozacy w służbie cara, też Michała, ale Romanowa, doszli do brzegu Oceanu Spokojnego w miejscu, gdzie dziś leży miasto Ochock. W 1820 roku Rosjanie, poprzez Alaskę, sięgnęli do Kalifornii a nawet do Hawajów, zanim w ogóle jakiś biały Amerykanin się tam pokazał. W 1860 roku, kiedy pierwszych kilkuset yankeesów koczowało i biegało za mustangami w Kalifornii, Mikołaj Murawiew, generał-gubernator Wschodniej Syberii, już kontrolował ziemie nad Ussuri i zakładał na brzegu Oceanu miasto pod nazwą Władywostok, co znaczy, jak wiemy, "władca Wschodem". Ale fortuna kołem się toczy. W ciągu lat następnych Rosja i Ameryka wchodziły do historii wzdłuż zupełnie odmiennych krzywych. Stany Zjednoczone zainstalowały się na dobre na Hawajach, na Filipinach /po rozbiciu Hiszpanii/ itd. Rosja zagrabiła co się dało z rozkładających się Chin, ale wplątała się w wojnę z Japonią: pod Czusimą Rosja straciła wszystkie złudzenia włącznie z flotą, nawet... bałtycką. Kiedy Japonia - nowe mocarstwo azjatyckie - zastopowała ekspansję Rosji na obszarze Pacyfiku, Stany Zjednoczone kończyły już zamieniać Ocean Spokojny w "amerykańskie jezioro". Michaił Gorbaczow uznał ten stan rzeczy za historyczną krzywdę i postanowił przywrócić sprawiedliwość. Nie jest to żadna tajemnica, taki był głęboki sens jego przemówienia w lipcu ubiegłego roku we Władywostoku /naturalnie/, w którym ogłosił swoją doktrynę o historycznej i politycznej misji i roli ZSSR w Azji i na Pacyfiku.

Proporcjonalnie do odległości

Patrząc z południowego Pacyfiku, Moskwa jest bardzo daleko. Nowa Zelandia np. jest równie oddalona od ZSSR co najbardziej południowy punkt Ameryki Łacińskiej.

skiej. Ponad 6.000 km /w locie ptaka/ dzieli północ Australii od najbliższego skrawka terytorium sowieckiego, a mianowicie, .. Władywostoku. Odpowiada to mniej więcej odległości Brukseli od Nowego Jorku, albo, żeby nadać temu porównaniu couleur locale, to znaczy przylączy, dystansowi między Moskwą a Pekinem.

Podróżnik przybývający z Europy powinien więc być przygotowany na niespodzianki. I rzeczywiście. Ale na inne niż myśli i inne niż te, którymi go straszono. Kiedy lądowałem w Australii po 26 godzinach lotu, sześciogodzinnym spóźnieniu, pięciu międzylądowaniach /w tym jedno zupełnie nieprzewidziane - na drugim niż to było przewidziane końcu Australii/, okazało się, że wbrew temu co zapowiadał Janek W. ludzie nie chodzą do góry nogami i samoloty nie wpadają do morza, bo pas na lotnisku jest za krótki. Mieszkańcy antypodów są bardzo do nas podobni. Późnią się jedynie wysokością białych skarpetek do szortów /niezależnie od kształtu nóg i ich owłosienia/, obowiązkowym białym strojem przy bowling'u - rytualny element nieznamny przy naszych normalnych kręglach lub frańcusko-hispańskiej pétanque, wielodniowym szaleństwem przy oglądaniu sportu /?!/ zwanego krykietem. Jest to coś w rodzaju niezrozumiałego misterium, odpowiadającego, na pierwszy rzut oka, zabawie zwanej grą w kizkę, jakiej oddawałem się z entuzjazmem na boisku szkoły ukraińskiej we Lwowie. Nikomu normalnemu nie przyszło jednak do głowy nazwać tego sportem, zdołnym ponadto opanować i ośzołomic masy, a młodych ludzi, umiających lepiej od innych trafić palantem w piłkę, przekształcić w bohaterów narodowych i milionerów. Ktoś mi tłumaczył, że krykiet /obok tenisa i żeglarstwa/ stanowi w istocie rodzaj miejscowej katharsis czy kolektywnej zemsty na Wielkiej Brytanii za czasy kolonialne, ale nie było to bardzo przekonujące, albowiem żadna z proponowanych wersji nie tłumaczy innej destruktywnej pasji australijskiej, a mianowicie powszechnego i także obowiązkowego w tym kraju niszczenia mięsa przy pomocy barbecue: befsztyki i baranina są w wyniku tego proceduru i twarde i zimne, chociaż w stanie surowym wyglądały jak prawdziwe mięso.

To wszystko jednak detale. Nie wystarczyłyby na wytłumaczenie autentycznego poczucia inności jakie nawiedza, po postawieniu pierwszych kroków na australijskiej ziemi, przybyśsza z naszej europejskiej, wschodniej czy zachodniej, planety, przyzwyczajonego do życia w cieniu sowieckich SS-20 czy ich amerykańskich odpowiedników. Wszystko staje się jasne po kilku dniach, po kilku rozmowach, po kilku spotkaniach z emigrantami z Polski i urzędnikami z Canberry, pod względem diagnozy w tej sprawie /i chyba tylko w tej/ nie ma między nimi w zasadzie różnicy. Najlepiej to ujął pewien tzw. ekspert, wysoki urzędnik ministerstwa spraw zagranicznych Australii. Kiedy się przed nim wypowiadałem - z zażenowaniem zresztą - z mojej zadróżci wobec poczucia bezpieczeństwa, a może nawet beztroski z jaką potrafią żyć, pijąc duże ilości piwa, mieszkańcy Australii, ekspert, przyzwyczajony widząc do pobłażliwego traktowania dzikusów z antypodów, powiedział: "Nasze poczucie bezpieczeństwa jest wprost proporcjonalne do geograficznej i geo-politycznej odległości, jaka nas dzieli od głównych frontów i ognisk konfliktów światowych. Nie jesteśmy neutralni, wprost przeciwnie. Należy naturalnie do obozu demokracji. Co nie przeszkadza nam jednak w uznaniu, iż nic nam obecnie nie zagraża i że podstawową osią naszej polityki zagranicznej powinno być utrzymanie Australii, dzięki tej odległości, poza sferą współzawodnictwa, konkurencji, globalnej gry obu supercarstw".

Bardzo trafna doktryna, pomyślałem z podziwem, sam bym na to nie wpadł. Prawdziwe wyzwanie. Życzę Australii, mimo białych skarpetek i barbecue, jak najlepiej, ale pomyślałem, że warto się temu wyzwaniu przyrzec z bliska...

To tylko handel...

Pewnego marcowego dnia /schyłek lata w tych stronach/ 1984 roku, w worku pocztowym jaki mały samolot przywozi raz na tydzień z Australii do miasta Tarawa /22.000 mieszkańców/, stolicy wyspiarskiego i suwerennego mikro-państwa Kiribati /dawniej wysp Gilberta/ na południowym Pacyfiku, nadeszła elegancka koperta.

Adresat: rząd państwa Kiribati; nadawca: ambasada państwa ZSSR w Canberze, stolicy państwa Australia, stanowiącej główny punkt oparcia dyplomacji /i nie tylko dyplomacji/ sowieckiej w południowej strefie Pacyfiku. Koperta zawierała propozycję rządu ZSSR zawarcia z rządem z Tarawa umowy zezwalającej sowieckim trawlerom na połowy tuńczyka w wodach terytorialnych otaczających 33 wyspy stanowiące archipelag Kiribati.

Tak naprawdę nie była to rewelacja. Władze sowieckie od dawna już proponowały podobne układy - rybackie, naukowo-badawcze w dziedzinie oceanografii czy ichtiologii - państwu Kiribati i innym mikro-państwom na południowym Pacyfiku. Ale propozycje te były albo ignorowane, albo odrzucane. Doradcy australijscy, nowo-zelandzcy czy amerykańscy czuwali nad mikro-państwami, pozbawionymi większego doświadczenia politycznego, zwłaszcza w dziedzinie sowieckiej techniki łowienia ryb, ichtiologii i w ogóle. Ich bicie na trwogę przed "czerwonym niebezpieczeństwem" było przez dłuższy czas skuteczne. Mikro-państwa dawały się nastraszyc: marynarze i rybacy sowiecy mogli tylko z daleka zachwycać się boskimi plażami i pejżażami, ale bez możliwości bezpośredniego ulegania wdziękom mieszkanki Kiribati.

Świat się jednak zmienia. Kryzys gospodarczy nawiedził nawet raj na Pacyfiku. Głód zajął w oczy 65.000 obywateli Kiribati. Złóża fosfatu, ongiś miejscowego kruszcu, wyczerpały się, topiąc w lazurowych wodach 80 % wpływów eksportowych wyspy. Pozostała tylko jedna szansa: amerykańskie dolary w zamian za prawo połowów tuńczyka, stanowiącego ostatnie bogactwo autochtonów. Tak, ale "American Tunaboat Association", to znaczy Stowarzyszenie tuńczykowych rybaków amerykańskich to nie jest Towarzystwo przyjaciół matki Teresy. Zamiast więc natychmiast podpisać umowę, amerykańscy rybacy, mało subtelni politycznie, nadal bezpłatnie łowili kiribatiowego tuńczyka, gwizdząc sobie na suwerenność mikro-państwa.

Gwizdać już właśnie przestali. Prezydent Kiribati p. Jeremiasz Taba'i powiedział nie bez racji: "Amerykanie nigdy nie szanowali naszych granic, naszej suwerenności, a teraz na dodatek jeszcze okradają nas z naszego tuńczyka". I w 1985 roku udzielił po raz pierwszy pozytywnej odpowiedzi na sowieckie umizgi rybackie. Suwerenne mikro-państwo podpisało umowę z Moskwą: w zamian za garść 2 milionów dolarów, 16 sowieckich trawlerów otrzymało prawo połowów tuńczyka przez cały rok w wodach terytorialnych Kiribati. Z jednym, ale ważnym ograniczeniem, bardzo niechętnie zaakceptowanym przez ZSSR: rybacy sowiecy mogli opływać wyspę, ale nie mogli wysiadać na ląd i nadal byli odcięci od dyskotek i innych rozkoszy Kiribati. Kiedy - mimo tego odcięcia - w kołach ekspertów i doradców, którym wszak nieobce było przeznaczenie wysokich anten i urządzeń nasłuchowych zainstalowanych na sowieckich statkach rybackich, zapanowało jednak podniecenie, prezydent Taba'i ich uspokoił: "Ja się nie znam na rywalizacji supermocarstw - powiedział prezydent - podpisaliśmy zwyczajny układ handlowy. I to wszystko".

Ale tak się tylko prezydentowi zdawało. To wcale nie było wszystko. Tzw. "domino" zagrało. Osmielone przez przykład Kiribati, inne wyspo-mikro-państwa weszły do gry. Niedawno, kiedy jeszcze z rozkoszą przemierzaliśmy plaże Australii, śledziłem kilka spraw fascynujących równocześnie miejscową prasę i opinię publiczną. Najważniejsze były regaty "America Cup", w które Australijczycy zaangażowali wszystkie swe ambicje i bardzo dużo milionów dolarów. Potem był "test-match" krykietowy z Wielką Brytanią, nielegalny wyrąb lasów przez stanowy rząd Tasmanii, no i wreszcie fantastyczna operacja finansowa, w wyniku której Rupert Murdoch, taki amerykańsko-australijski Giedroyc, chciał sobie, mimo ostrej konkurencji miejscowych milionerów i rekinów wydawniczych, zapewnić - kosztem ponad 2 miliardów dolarów - kontrolę nad 75 % prasy australijskiej. Nic dziwnego, że w takiej konkurencji to, co się działo na mikro-wyspach, interesowało już tylko nielicznych maniaków. Interesowało, co nie znaczy, że niepokoiło.

A działo się nienajgorzej. Niewielkie wzmianki w prasie informowały o rokowaniach prowadzonych w Sydney między delegacją państwa Vanuatu /ongis Nowe Hybrydy, administrowane łącznie przez Anglię i Francję/, a przedstawicielami ambasady

sowieckiej w Canberze. Rząd Vanuatu poszedł dalej, niż władze Kiribati. Nawiązał był już przedtem stosunki dyplomatyczne z Moskwą, a właśnie teraz, w chwili pisania tych słów, dowiedziałem się z prasy amerykańskiej, że podpisał nie tylko umowę o rybołówstwie /za 1,5 miliona dolarów rocznie/, ale także zgodę na cumowanie trawlerów w porcie, obsługę i konserwację sprzętu, a nawet – jak zapowiadają tzw. dobrze poinformowane źródła – lądowanie charterów Aeroflotu, wyłącznie, naturalnie, dla wymiany załóg. Premier Vanuatu, pastor angikański Walter Lini, zmiótł nawet najłżejsze wątpliwości: "To zwyczajny handel – powiedział – i to wszystko".

Ale to nie było wszystko.

Krażownikami za trawlerami

Okolo 4,5 miliona ludzi zamieszkuje ziemski raj, bardzo wyraźnie widoczny z nieba, to znaczy atole i wyspy, rozrzucone w oszalałającej przestrzeni 26 milionów km² południowego Pacyfiku. Kiribati i Vanuatu to tylko dwa z dziewięciu mikropaństw, które uzyskały niepodległość w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Jest to ciekawy i pouczający obiekt studiów nacji-geo-kulturo-polityczny¹⁴. Na wyspach tych notuje się obecnie – rzecz w zasadzie zrozumiała – coś w rodzaju przebudzenia narodowego, lub raczej nacjonalistycznego. Kieruje tym zjawiskiem nowe pokolenie przywódców, ludzi dynamicznych, ale, niestety, "ideologicznych", to znaczy pozostających pod wpływem bardzo nieprecyzyjnej, ale wybuchowej mieszanki, składającej się z "teologii wyzwolenia", zachodnioeuropejskiego markso-lewactwa, zwłaszcza pochodzenia protestancko-kościelnego, ludzi zafascynowanych nie ekologią a ekonomiczno-politycznym bełkotem, językiem trzecio-światowych pseudo-neutralistów i przeciwników energii nuklearnej we wszystkich postaciach, a tak się dziejnie składa, że tu, w tych okolicach, chodzi o postacie tylko amerykańskie i francuskie.

Otóż ci dynamiczni przywódcy – w tym także nie ma nic dziwnego – są wyjątkowo uczuleni na zewnętrzne i prestiżowe aspekty ich świeżutki niepodległości. W rezultacie Ocean Spokojny, czyli "amerykańskie jezioro", jest nieco mniej spokojny i nieco mniej amerykański, czego nody już lekko falują, a przede wszystkim są już nieco mętne. Jest więc rzeczą najzupełniej normalną, że Michał Gorbaczow nie pozostał obojętny wobec tych nowych okoliczności. Mnie się po prostu zdaje, że jemu się wydaje, że czas ochrony minął, że można już zacząć łowić. Nie tylko tuńczyka.

Spozą trawlerów wyłania się cień krażowników. Niewinni rybacy, ich sieci oraz radarowe anteny zaczynają niepokoić niektórych lokalnych strategów. Niektórzy dopiero teraz przeczytali przemówienie Gorbaczowa we Władywostoku. I dopiero teraz dowiedzieli się, że większość terytorium ZSSR leży – jak to przypomniał Gorbaczow – w Azji i nad Pacyfikiem, że reszta Azji nie leży poza zasięgiem zainteresowania Kremła. Azja południowo-wschodnia stanowi najbardziej dynamiczną część kapitalistycznego świata. W okresie pierestrojki nie jest to aspekt – jak mówią dziennikarze w Warszawie – bagatelny. Podczas kiedy ZSSR musi ponosić koszty utrzymania Wietnamu, Kambodży i Laosu, pogrążających się w nędzy i wojnie, handel Stanów Zjednoczonych z krajami Dalekiego Wschodu jest już od kilku lat bardziej rozwinięty niż z krajami Wspólnoty Europejskiej. Po Kanadzie największym partnerem handlowym USA jest Japonia. Okazuje się, że w roku 2000 dwie trzecie wszystkich "konsumentów" na całym świecie zamieszkiwać będą właśnie Azję południowo-wschodnią. Gorbaczow chciał uzupełnić tę konsumo-geografię o Azję sowiecką. Gorbaczow wie, że klucze do przyszłości ZSSR – i jego własnej – zakopane są w syberyjskiej zmarzlinie. Dlatego ogłasza Azję i Pacyfik za coś w rodzaju sowieckiej new frontier, za wielkie wyzwanie przejścia z XX do XXI wieku.

Oczywiście, powoli. Najważniejsze w tym planie są Chiny, a potem Japonia, Korea południowa, Sjam itd. Ale i na innych przychodzi kolej. Indonezja, Malajza, aż po Singapur, no i Australia i Nowa Zelandia też figurują w planie. 28 stycznia – to prawdziwa premiera – odbyło się posiedzenie wiceministrów spraw zagranicznych Paktu Warszawskiego na temat sytuacji "w rejonie Azji i Pacyfiku". Ministrowie,

według agencji TASS, "wymienili poglądy na temat zagadnień związanych z utrzymaniem pokoju i bezpieczeństwa w tym rejonie". Drobną rzeczą, a cieszy. Ta progresja nie powinna zresztą stanowić zaskoczenia. Przygotowania trwają już od pewnego czasu. Specjalny departament Pacyfiku został w tym celu utworzony w sowieckim ministerstwie spraw zagranicznych. Minister Szewardnadze już był w Tokio i wybiera się na Pacyfik, aż po Canberra.

Aby dyplomaci nie czuli się osamotnieni, w ślad za nimi posuwa się flota sowiecka. Jest ona - naturalnie i na szczęście - ciągle jeszcze znacznie słabsza niż VII flota USA, ale liczy jednak - to nie drobnostka - 850 jednostek, w tym dwa lotniskowce, 88 łodzi podwodnych, ponad 2.000 samolotów. Bazy we Władywostoku, Petropawłowsku, na Sachalinie /któż nie pamięta koreańskiego Boeinga 747 strąconego z 269 pasażerami przez MIG'a z tej bazy?/ są w pełnym rozwoju. Dla obrazu całości należy do nich teraz dołączyć dwie ogromne bazy w Da Dang i Cam Ranh, wspaniałomyślnie pozostawione w doskonałym stanie przez Amerykanów wycofujących się z Wietnamu.

Na środku jeziora

Zainteresowanie tą strefą świata nie jest, jak powiedziałem, ani spontaniczne, ani bezinteresowne, ani lekkomyślne. Kilka sztabów w Moskwie troskliwie śledzi od pewnego czasu "pozytywne" dane nadchodzące z tego rejonu. Czerwone światelko miga coraz częściej. Kilka wyjątkowo interesujących elementów zwróciło uwagę Kremła. Po pierwsze, panuje w tym rejonie bardzo wyraźna atmosfera anty-amerykańska, spotęgowana przez piractwo rybaków amerykańskich, gwałcących 200-milową strefę wód terytorialnych i odmawiających płacenia za prawo połowów. Francuzi nie cieszą się większą popularnością. Wprost przeciwnie, można powiedzieć. Z dwóch różnych powodów. Z jednej strony Francja upiera się przy obecnym statu quo Kaledonii, odmawia przyznania jej niepodległości, podczas kiedy wszystkie państwa tej strefy jednomyślnie popierają aspiracje Kanaków. Fakt, iż większość mieszkańców tej wyspy woli prawdopodobnie należeć do Francji, nie stanowi argumentu. Dla moich rozmówców australijskich musi tutaj dojść do katastrofy. To, że niepodległościowcy z Nowej Kaledonii kształcili się w Libii jest, według moich rozmówców, absolutnie zrozumiałe, to jest wina Francji. Z drugiej strony Francja upiera się także przy kontynuowaniu prób atomowych na atolu w Mururoa. Sprawa jest delikatna, Francja, mocarstwo atomowe, bardzo przywiązane do swej force de frappe, nie dysponuje po prostu innym poligonem. Mogłaby naturalnie, według niektórych miejscowych ekspertów, dokonywać prób nuklearnych na Champs Elysées w Paryżu, ale na razie rząd francuski jest innego zdania, tym bardziej, że Mururoa znajduje się w bezpiecznej odległości od zaniepokojonych wyspiarzy, a nieistniejący opad z podziemnych czy raczej podmorskich prób jeszcze ani razu nie dotarł do surfistów na plażach w Sydney. No, ale, autochtoni, a oni tu gospodarze, Australia i Nowa Zelandia compris, są przeciw.

To nie wszystko. Inne elementy destabilizacji także nie uszły uwagi Moskwy. Prozachodnia pani prezydent Aquino na Filipinach budzi się codziennie przy odgłosach - nieudanego na szczęście - zamachu stanu. Ale nawet ona w swej nowej konstytucji zapowiedziała, że bazy amerykańskie będą ewakuowane najpóźniej w 1991 roku. W Malazji islam jest w ofensywie. Islam fundamentalistów i ayatollów: wiadomo, o co chodzi. Emisariusze pułkownika Kaddafi, serca i portfele szeroko otwarte, są już w terenie, dziesiątki "stypendystów" kształcą się w Libii, lub od razu w ZSSR.

Ktoś by pomyślał, że problemy istnieją, bo to młode państwa, delikatne i wrażliwe, no i specjalnie uczulone na kolonializm. Ba, poważniejsze problemy ujawniły się na najbardziej nieoczekiwanym styku, w stosunkach USA z Australią i Nową Zelandią. ANZUS, sojusz tych trzech państw, taki rodzaj NATO na Pacyfiku, leży na dnie oceanu. W skrócie poszło o to, że Nowa Zelandia ogłosiła się strefą absolutnie bezatomową i zabroniła statkom US Navy o napędzie atomowym albo z bronią atomową na pokładzie cumować w swoich portach. Amerykanie się na to nie zgodzili, ogłosili, że

wolą sojusz we dwoje, że lepszy mniejszy ale prawdziwy, niby co to za sojusznik, co nie wpuszcza sojusznika. Nowozelandczycy poczuli się wtedy pokrzywdzeni. Premier Lange słusznie stwierdził, że świat nie powinien stanowić własności potęg nuklearnych i ogłosił, że Nowa Zelandia "nie jest już kolonią" i że nie będzie żaden Amerykanin płuć jej w twarz. Nic dziwnego że, jak ktoś powiedział, Amerykanie traktują ich jeszcze jako przyjaciół /bo w narodzie ich lubią/, ale już nie jako sojusznika.

Australia nad Syberia

I wtedy zaczęło się z Australią. Ten kraj-kontynent przedstawia dla Stanów Zjednoczonych wartość strategiczną, mało widoczną z wielkiej odległości. Stanowi znakomitą i bezpieczną bazę zaopatrzeniową, transferową i tranzytową, jak się to np. okazało, kiedy Japończycy zniszczyli Pearl Harbour. Jest to aspekt tym ważniejszy dziś, kiedy sowieckie bazy w Wietnamie bardzo przybliżyły możliwości operacyjne czerwonego lotnictwa i kiedy – przy chwiejności sytuacji na Filipinach i małej obronności baz na Diego Garcia czy Gwam – USA potrzebują bardziej niż kiedykolwiek solidnych tyłów dla zapewnienia obsługi swej floty na Oceanie Indyjskim. Australia, która leży na takiej samej długości geograficznej co Syberia, odgrywa ważną rolę w utrzymaniu równowagi strategicznej poprzez utrzymywanie nazemnych stacji obserwacyjnych, jak np. w Pine Gap, które pozwalają notować i analizować dane zebrane przez satelity geo-stacjonarne nad terytorium ZSSR i Chin.

Otóż w takim właśnie momencie Waszyngton wypowiedział Australii wojnę zbożową. Prezydent Reagan, prorok nieinterwencji państwa w sferę gospodarki, bardziej dba o stosunki ze stanem Iowa czy Arizona, niż z Australią, i wprowadził do absolutnie wolnego handlu, uprawianego przez prywatnych farmerów amerykańskich, dotacje państwowe, tak aby mogli oni, bez strat, sprzedawać swe nadwyżki zboża za pół ceny konsumentom w ZSSR czy w Chinach. Ponieważ rząd australijski sobie na takie dopłaty nie może pozwolić, więc pozostało mu tylko obliczyć straty wynikłe z wysiudania jego farmerów z niektórych rynków zbożowych. Według miejscowych statystyk straty te wyniosły około 700 milionów dolarów, co nawet dla bogatej Australii stanowi już problem. Jak to zauważył politolog z Melbourne, Colin Rubinstein, rząd z Canberra może dziś dojść do wniosku, iż, odwrotnie niż w Nowej Zelandii, Amerykanie traktują Australijczyków jeszcze jako sojuszników, ale już nie jak przyjaciół. A inny obserwator, Michael Danby, doszedł do wniosku, że z inspiracji nie lewicy komunistycznej, a farmerskiego lobby w Waszyngtonie powstała w Australii zupełnie nowa formacja polityczna: konserwatywna grupa antyamerykańska, złożona z przedstawicieli farmerów i kupców.

Moskwa wszystko skrupulatnie notowała i zastanawiała się, jak i od której strony się wmeldować, tak aby nikogo nie przerazić, a jednak nie przegapić okazji. No i okazja się nadarzyła i Moskwa jej nie przegapiła. Najbardziej popularną ideą tej sfery jest bowiem strefa bezatomowa. Pierwszy koncept narodził się w 1970 roku w Nowej Zelandii /naturalnie/, ale jego kształt definitywny powstał dopiero 13 lat później, już w Australii. Rezultat: ogromna większość państw tego, jak mawiamy w Moskwie, regionu, podpisała "układ z Raratonga" o utworzeniu na Południowym Pacyfiku strefy bezatomowej, w skrócie SPNFZT, albo jeszcze krócej "Spinfist". Jego sygnatariusze ogłaszają totalne atomowe dziewictwo: ani broń, ani próby, ani odpady. Takie atomowe nic. Mniejsza o szczegóły, na nic zdało się tłumaczenie przez ludzi inteligentnych, że nie ma broni atomowych-dobrych i złych, że decyduje, kto trzyma i w jakim celu palec na atomowym guziku, że jeden palec jest zły, chociaż płaci za tuńczyka, a drugi dobry, mimo, że zachowuje się ten "palec" czasem idiotycznie, że ślepotą prowadząca do moral equivalent czyli nie odróżniająca jednego palca od drugiego, zaciera różnice między atomowym szantażem a atomowym odstraszaniem.

No to już teraz łatwo zgadnąć, kto się zameldował przy tej okazji, kto pierwszy – i na razie jedyny z atomowych mocarstw podpisał "Kartę z Raratonga"? Związek So-

wiecki, naturalnie. Dla Moskwy operacja "Południowy Pacyfik" jest mało kosztowna i właściwie bez ryzyka.

Po pewnym czasie Amerykanie zresztą zorientowali się, że coś jest nie tak jak być powinno, że określone elementy sytuacji umykają ich kontroli, że powinni, tak jak inni, otworzyć oczy i portfele. Wysoki emisariusz Departamentu Stanu, Edward Derwinski, "bawił" niedawno w tej okolicy i przekonał się, że niezależnie od politycznej obecności ZSSR, zawsze niebezpiecznej, kiedy można łowić w mętnej wodzie, sowieckie "trawlerzy" będą mogły z dużą łatwością przechwytywać amerykańskie sygnały telekomunikacyjne, a także śledzić próby z raketami lądującymi na poligonie Kwajaleen na wyspach Marshalla. P. Derwinski "uruchomił" więc natychmiast 12 milionów dolarów, mających przez 5 lat opłacić amerykańskie rybobranie na wodach 16 mikro-państw. Ale było już za późno, suwerenność miejscowa już zrozumiiała, że może brać dolary i kapitalistyczne i komunistyczne, brać gdzie się da, tym bardziej, nieprawdaz, że chodzi tu tylko o handel.

Dolary pana Derwinskiego utrudnią zapewne sowieckie manewry i umizgi. Ale już można stwierdzić, że za garść dwóch milionów dolarów i jeden podpis bez - jak wszystkie takie podpisy - żadnego znaczenia, Związek Sowiecki miękko wylądował w samym środku "amerykańskiego jeziora", w miejscu, w którym jeszcze rok temu nawet największy pesymista nie mógłby sobie wyobrazić dumnie łopoczącego sztandaru z sierpem i młotem.

Drugie odkrycie ZSSR

Po raz pierwszy Australia odkryła Związek Sowiecki 3 kwietnia 1954, kiedy Włodzimierz Petrow, sekretarz ambasady ZSSR w Canberze poprosił o azyl polityczny. Petrow miał bardzo szerokie zainteresowania, był odpowiedzialny za sprawy konsularne i kulturalne, a przede wszystkim, jak się okazało, za sowiecką sieć szpiegowską w Australii i okolicy. Z racji swych oficjalnych i mniej oficjalnych zadań, Petrow często jeździł, znał - i rekrutował - sporo ludzi w bardzo rozmaitych kołach politycznych i kulturalnych Australii. Rewelacje Petrowa, które dzisiaj, po tym co już wiemy z licznych późniejszych ucieczek, brzmią jak opowiadania dla dzieci, spowodowały prawdziwe trzęsienie ziemi w Australii, kraju który wówczas /a jak jest dzisiaj - nie wiem/ nie miał pojęcia o tej specjalności ZSSR. Specjalna komisja badała sprawę przez dwa lata, wysmażyła raport na 500 stron, przepytala ponad 100 świadków.

Ziemia trzęsła się bardzo długo. Stosunki dyplomatyczne zostały zerwane /na kilka lat/, lewica australijska, nie tylko komunistyczna, wśród której Petrow rekrutował swych świadomych i nieświadomych agentów, wyszła z tej afery ciężko porażona. Niektórzy eksperci australijscy uważają, że skandal Petrowa odsunął Labour Party od władzy na 25 lat.

Czy pojawienie się ZSSR na Pacyfiku południowym może stanowić drugi etap odkrywania Związku Sowieckiego przez Australię? Czy Vanuatu lub Kiribati mogą przekształcić się w regionalną Kubę czy Angolę? Na pierwszy rzut oka bardzo niewiele osób z niezbędnym wykształceniem traktuje poważnie taką wizję. Z trzech rozmaitych źródeł /wszystkim bardzo dziękuję za pamięć i polecam się na przyszłość/ otrzymałem ten sam wycinek z "The Australian", chyba najbardziej trzeźwego dziennika australijskiego, pióra jego też bardzo trzeźwego korespondenta amerykańskiego, Petera Samuela, na temat książki chyba nieco mniej trzeźwego Paul Dibba. Dibb jest jednym z czołowych przedstawicieli australijskiej myśli strategicznej. Jest także, według Samuela, dyrektorem "Joint Intelligence Organisation", czyli ma dużo wspólnego z, nazwijmy to delikatnie, analizą i oceną polityczną strategii przeciwnika. Książka Dibba nosi dziwny, ale ciekawy tytuł: "Soviet Union: the Incomplete Superpower", czyli "niepełne supermocarstwo" lub "niedokończony", coś tak jak symfonia Schuberta. W przedmowie do książki Dibb pisze /streszczam za Samuelem/, że świata nie należy dzielić na siły dobra i zła, że podstawowym problemem między ZSSR i USA jest brak zaufania do intencji drugiej strony i że ich wrogość wynika przede wszystkim z wza-

jemnej niewiedzy. Dobb traktuje ZSSR jak normalne państwo, o wyschniętej ideologii, które właściwie nie marzy o niczym innym jak tylko o tym, aby je inni zostawili w spokoju, a jeżeli się mimo wszystko intensywnie zbroi, okupuje de facto /dodaje już od siebie/ pół Europy, najeżdża Afganistan i kolonizuje Angolę, Nikaragwę i Etiopię, to z powodu kompleksu niższości, no i tragicznych doświadczeń przeszłości. Nie warto dużo cytować, wszystko to znamy, w lepszym wykonaniu, z Europy zachodniej i z USA. W Australii, sam się o tym przekonałem, Dobb ma na ogół dobrą opinię, znacznie lepszą w każdym razie, niż by to mogło wynikać ze streszczenia jego książki. Jest to jednak głos o tyle znamienity, że odpowiada właściwie temu, co słyszałem w kilku kompetentnych ministerstwach w Canberze, kiedy dzieliłem się moimi wątpliwościami co do bezinteresownych intencji "niedokończonego supermocarstwa" na południowym Pacyfiku, czyli w środku już nie amerykańskiego, a australijskiego jeziora.

"Niech się pan nie martwi – powiadali – my im patrzymy na ręce i na anteny". Everything is under control, powiedzieli. Jeden z moich rozmówców, wybitny profesor uniwersytetu, lewicowy politolog, który znał moje polskie doświadczenia, dodał nawet ze znaczącym uśmiechem: "Tylko bez paniki. Za Kiribati nie trzeba będzie umierać".

Tak jak za Gdańsk?

Leopold UNGER

Pisane 6 lutego 1987

P.S. Artykuł ten powstał, jak wynika z tytułu, po powrocie do Brukseli z podróży do Australii. Inaczej jednak niż po innych podróżach, tym razem chciałem przekazać czytelnikom kilka słów wyjaśnienia. Do podróży do Australii i do napisania tego artykułu doszło w wyniku zaproszenia autora "Widzianych z Brukseli" i "Orła i reszty" przez rzucone na antypody różne pokolenia czytelników "Kultury". Było to dla mnie prawdziwe odkrycie Australii, przede wszystkim poprzez spotkania z dzieśiątkami, a nawet z setkami ludzi ciekawych, serdecznych, gościnnych, sprawnych i oddanych szczerze "Kulturze" i kulturze.

Oczywiście nie jestem w stanie podziękować wszystkim tym, którzy kosztem ich czasu – tak potrzebnego na przebijanie się przez emigracyjny tor przeszkód – przyczynili się do zapewnienia organizacyjnego i "sentymentalnego" sukcesu mojej tury odczytowej z Sydney do Melbourne przez Canberę i Adelaide. Chciałbym więc za pośrednictwem "Kultury" wszystkim im powiedzieć, że wizyta u nich była dla mnie głębokim przeżyciem zawodowym i ludzkim /mam nadzieję, że dla niektórych moich słuchaczy także/, tak interesującym, że mimo kolosalnej odległości i barbecue na piknikach jestem gotów, aby ich ponownie spotkać, znowu objąć połowę świata. Może nie od razu, ale jak zawsze pod warunkiem, że honorarium będzie znowu opłacane w pierogach.

L.U.

"Kultura", marzec 1987

Zbigniew Byrski

WIELKI TERROR ROKU 1987

Jest pierwszy luty 1987 roku. Liczba zakładników amerykańskich i zachodnioeuropejskich porwanych w Libanie wzrasta z każdym dniem. 28 stycznia było ich około 20. Dokładnej liczby nikt nie zna. Rzecznik Departamentu Stanu oświadczył, że Amerykanie powinni opuścić Liban, ponieważ Stany Zjednoczone nie są w stanie ich

chronić. Sens tego oświadczenia jest jednoznaczny. Jeśli na ulicach miasta grasuje bandycki gang, przedstawiciele prawa znajdują jedyne rozwiązanie: nie wychodzić na ulicę. Nie ma zresztą w tym nic szczególnie nowego. Od dawna, na długo przed Reaganem, policja wielkich miast amerykańskich zalecała ofiarom napadów w metrze jedno wyjście: oddać pieniądze. Był to jedyny sposób zagwarantowania im bezpieczeństwa. Taki był i jest nadal amerykański ideał życia. Chronić je za wszelką cenę. Ten styl rzutował na politykę. Pasażerów publicznych środków komunikacji i samotnych obywateli uczono, by ulegać rzeźmieszkom; w polityce międzynarodowej obowiązowały te same kryteria. Ustupować przed sowiecką agresją, ponieważ cena, którą trzeba było płacić za opór była zbyt wysoka. Stanowisko takie znajdowało uznanie u kolejnych prezydentów – Nixona, Forda i Cartera – i w obydwu Izbach Kongresu, w których poza jednym czteroleciem w Senacie dominowali demokraci.

Myślę, że każde społeczeństwo terroryzowane długo i bezkarnie zaczyna się w pewnym momencie buntować. Gdy Reagan wybrany został po raz pierwszy prezydentem, było to wyrazem buntu przeciwko wielkiemu oszustwu détenté, które usuwało wszelkie hamulce na drodze do opanowania świata przez Sowietów. Skuteczny zbrojny opór Afgańczyków pouczył Amerykanów, że podległe Sowietom narody mogą się nie tylko buntować, jak to bywało w przeszłości, ale nawet zadawać im ciosy i zmuszać do odwrotu. Wojna afgańska nie jest jeszcze zakończona, ale myślę że przywódcy sowieccy przeklinają dzień, w którym Breżniew zdecydował się na interwencję. Ameryka mogła sobie pozwolić na przegranie wojny wietnamskiej bo – jakiegokolwiek interpretacji będziemy szukać – była to klęska, która spowodowała długotrwały szok. Sowiety nie mogą sobie pozwolić na przegranie żadnej wojny. Tak jak pisał Michał Heller w grudniowym numerze "Kultury" z 1986 roku, "skazani są na totalne zwycięstwo"^x.

Zimą 1941 roku Rosjanie powstrzymali pochód armii hitlerowskich na Moskwę. Młot o niezwykłej armii niemieckiej przysł. Dlatego sądzę, że porażki militarne, które ponoszą Sowiety z rąk źle uzbrojonych Afgańczyków mogą stać się podmiotem dla imaginacji tych ludzi w krajach podległych i na Zachodzie, którym potęga sowiecka wydaje się niezniszczalna, przynajmniej za życia obecnych pokoleń. Gdzieś w niedalekiej przyszłości Sowiety przeżyją swój Stalingrad. Następstwa tego będą jednak inne niż w czasach podboju Europy przez III Rzeszę; ponieważ Breżniew i jego następcy, a zwłaszcza Gorbaczow, są ludźmi nieporównanie bardziej trzeźwymi od Hitlera. Strategia ekspansji przy pomocy zagłady nuklearnej załamała się z wielu powodów. Opór w coraz szerszych warstwach społeczeństwa /zwłaszcza wśród młodych pokoleń, które wyrosły już po latach sześćdziesiątych/ przeciwko dominacji sowieckiej rośnie mimo tzw. ruchu pacyfistycznego. Tysiącrotne powtarzanie tych samych kłamstw, które miało wydenować mózgi ze zdolności samodzielnego myślenia i wymodelować ludzi na obraz i podobieństwo sowieckiego obywatela, zaczyna wreszcie po wielu latach dawać skutek przeciwny do zamierzonego. Młode pokolenia na Zachodzie oczekują większej intelektualnej finexji. W rezultacie stały się zbyt krytyczne, aby akceptować slogany z czyjejkolwiek strony. Drugim, chyba najważniejszym czynnikiem, który toruje drogę do globalnego odwrotu Sowietów, jest pozabawienie ich możliwości nuklearnego szantażu, dzięki nieustępliwości Stanów w kwestii Strategicznej Inicjatywy Obronnej /Wojny Gwiazdne/. Twierdzę, że przewidywany przez Sowiety koniec nuklearnego szantażu, któremu położy kres SIO, spowodował gwałtowną eskalację indywidualnego terroru. Grupy terrorystów działające w Libanie są w moim przekonaniu instrumentem Sowietów. Prawdopodobnie w większości wypadków nieświadomym. Emisariusze sowieccy mają wielorakie powiązania ze światem Islamu i eksploatują jego patologiczną nienawiść do Zachodu, a w szczególności do Ameryki. Nielatwo jest dostarczyć dowodów materialnych dla powiązań tych osratyniej pracujących służb wywiadowczych świata. Nie ma się po zasięgnięciu naje- w sferze hipotez, tak długo póki nie zostanie potwierdzona przez nowe nieodparte fakty.

^x "Kultura" nr 12/471.

Ronald Reagan zawsze bezbłędnie odczytywał sowiecką obłudę i dwójmowę Krem-
la. Choć jego niewiarygodna naiwność i absolutny brak konsekwencji ujawnione przy
wykryciu afery irańskiej wprowadziły jego wypróbowanych zwolenników w osłupienie,
przy tradycyjnych regułach gry, tzn. w okresie szantażu nuklearnego, radził sobie
z Sowietami nieźle. Ale gdy stare środki zastraszenia Zachodu zawiodły i Sowiety
zastosowały na szeroką skalę indywidualny terror, Reagan okazał się wobec nowej
strategii Kremła bezbronny jak niemowlę. Dostawa broni dla Iranu, której celem,
jak twierdzi Prezydent, miało być przywrócenie wpływów amerykańskich w Persji,
a zwolnienie zakładników – tylko produktem ubocznym, pomyślana została tak absurd-
alnie, że już nikt od dawna w to nie wierzy. Jedynym celem Reagana była wymiana
zakładników za broń. Tym postępkiem Prezydent obnażył słabość Ameryki –
wskazał czym Zachód można najskuteczniej szantażować, skoro groźba nuklearnego
holocaustu zawiodła.

Gdy Yasser Arafat wymachiwał 10 lat temu pistoletem w ONZ /nie dosłownie,
choć przyszedł na zebranie uzbrojony/ oferując delegatom wybór między gałązką
oliwną albo wojną na Bliskim Wschodzie, bardzo to dogadzało Sowietom, choć nie-
podległość Palestyny była ostatnią sprawą, która ich obchodziła. Palestyńczycy byli
szprymierzeńcami Sowietów, a właściwie ich klientami, więc dlatego, że podwa-
żali wpływy amerykańskie wśród konserwatywnych państw arabskich. Od wydarzeń,
o których mowa, dzieli nas epoka. Rozmaite grupy terrorystyczne, które dobięrają
sobie efektowne nazwy, chwytają amerykańskich zakładników bez nadmiernego ryzy-
ka i fatygi. Jeśli domagają się uwolnienia więzionego przez Niemcy Zachodnie Maho-
mmeda Ali Hammediego, odpowiedzialnego za zabójstwo Amerykanina przy porwaniu
samolotu TWA, to jest to tylko fasada ich akcji. Celem jest okazanie bezsilności wy-
miarą sprawiedliwości Niemiec Federalnych, a przede wszystkim paraliżu Ameryki.
W nowojorskiej TV pokazano po raz pierwszy we wrześniu 1986 roku i powtórzono
27 stycznia 1987 widowisko o wymyślanym porwaniu samolotu amerykańskiego.
Terrorystyci domagają się publicznego oświadczenia ze strony prezydenta Stanów, że
Ameryka dopuściła się nikczemnych zbrodni na narodach Bliskiego Wschodu; że zo-
bowiązują się dalszych zbrodni zaprzestać i przesać olbrzymią pomoc żywnościową
dla ludów tej strefy. Widowisko miało charakter czegoś w rodzaju politycznego
science fiction. Uwzględniając obecną sytuację i całkowity rozkład międzynarodowej
polityki amerykańskiej, nie byłbym wcale zaskoczony, gdyby jakaś nowa grupa ter-
rorystów domagała się od Stanów oficjalnego potępienia polityki pomocy dla kontras-
w Nikaragui, wypłacenia im odszkodowania; ponieważ w przeciwnym razie rozstrze-
lają 100 schwytych zakładników. Obydwie Izby Kongresu, które są przeciwnie po-
mocy dla powstańców w Nikaragui, prawdopodobnie zareagowałyby w następujący
sposób: "Jesteśmy przeciwni negocjacji z terrorystami. Ale ponieważ uważamy,
że rząd Ortegi jest legalną władzą suwerennego państwa, więc dlatego 100 Amery-
kanów ma płacić życiem za sprawę, która jest nam obca? Kap! Ona przybiera roz-
maite formy, ale ten kto nie chce walczyć o godność swego kraju zawsze znajdzie
argumenty przemawiające do rozsądku – rozsądku ludzi przerażonych. Lewica libe-
ralna w Stanach przeciwna jest wszelkim pryncypiom. Wobec tego jest zawsze krań-
cowo pragmatyczna i nawołująca do realistycznego spojrzenia na sprawy tego świa-
ta. Co znaczy realizm w kontekście wydarzeń roku 1987 – nie warto tłumaczyć.
Wkraczamy w epokę "Wielkiego Terroru". Służy on do sterylizowania tych miesz-
kańców świata, którzy są poza zasięgiem sowieckiej władzy. Zakładnicy amerykań-
scy i zachodnioeuropejscy stali się zupełnie nową walutą obiegową. Są środkami
wymiernym, przy pomocy którego można kupić nie tylko broń, jak to uczynił rząd
w Iranie, ale – obawiam się – wymusić na Stanach najbardziej upokarzające dekla-
racje i koncesje. Myślę jednak; że świadomość własnej klęski, na które skazują się
same społeczeństwa Zachodu, doprowadzi wreszcie do otrzeźwienia. Nadzieje po-
kładam w najmłodszych pokoleniach, nieobciążonych spuścizną lat 60-tych. Sądowa-
nie opinii publicznej potwierdza mój optymizm.

Kto stoi za terrorystami libańskimi? 29 stycznia stacja telewizyjna ABC przepro-
wadziła wywiad z delegatem irańskim w ONZ. Streszczam jego wypowiedź: wobec
zbrodni amerykańskich w Libanie chwytanie amerykańskich zakładników jest jedynym

środkiem obrony przed amerykańską agresją. W ten sposób rząd ayatolli ustami swego delegata w ONZ udzielił już terrorystom libańskim jawnego błogosławieństwa – bo z niejawnego korzystali od dawna. Czy terroryści libańscy, którzy spełniają polecenia Iranu, są tylko jego instrumentem? Moskwa działa prawie zawsze per proxy. Czasami działa przez podwójne proxy, gdy tego wymaga złożona sytuacja, którą należy bardziej zakamufłować. Ostatnio wyjątek stanowi tylko Afganistan. Kubańczyków żadną miarą nie można było wysłać na pola bitewne Środkowej Azji.

Ponieważ, jak pisałem, nie ma i prawdopodobnie nigdy nie będzie dowodów, które by ukazały światu; że Wielki Terror inspirowany jest przez Moskwę, nie ma też celu zastanawiać się, czy Iran, który coraz wyraźniej identyfikuje się z terrorystami, działa samodzielnie czy we współpracy z Kremlen. W jednym i drugim wypadku winien zapłacić za dokonane zbrodnie. Na Zachodzie życie ludzkie cenione jest wysoko. W ostatnich dniach ofensywy irańskiej, w końcu stycznia, ginęły codziennie tysiące regularnych żołnierzy i członków Gwardii Rewolucyjnej. Amerykańska technologia wojny, którą należy wykorzystać w pełni przeciw Iranowi, musi traktować życie żołnierzy irańskich nie wedle kryteriów zachodnich, ale wedle kryteriów ich własnych duchownych przywódców – szyickich mułłów. Nie można ukarać zbrodniczego rządu oszczędzając jego armie. W czasie drugiej wojny światowej cierpiała również ludność cywilna Niemiec, Austrii a nawet Francji, ponieważ bomb nie można było rzucać wybiórczo. Nie chodzi tu o zemstę, bo w polityce zemsta jest najgłupszą metodą walki, potęgującą tylko opór. Jest to po prostu jedyny sposób, żeby irańscy żołnierze i ich rodziny spojrzeli prawdzie w oczy. By zrozumieli, do czego prowadzi ich morderczy reżym ayatolli, pałający nienawiścią nie tylko do zachodniego świata, ale i do własnych islamskich sąsiadów. W ostatecznym efekcie Ameryka wykona misję humanitarną. Ratując siebie przed dalszym szantażem i upokorzeniem, położy kres bezsensownej i wykrwawiającej obydwie strony wojnie.

Na żądanie umiarkowanych państw arabskich, przerażonych możliwością zwycięstwa Iranu, Stany Zjednoczone wysłały w rejon Zatoki Perskiej kilka jednostek wojennych. Prawdopodobnie skończy się na bezcelowej demonstacji, która nie przstraszy ani Iranu, ani Syrii. Interwencja zbrojna wymagałaby uruchomienia wielkiej maszyny wojennej Stanów, współdziałania aliantów, a przede wszystkim pełnego poparcia Kongresu. Tymczasem politycy amerykańscy, z małymi wyjątkami, nie życzą sobie aby obecny bezprecedensowy kryzys przedstawić we właściwych rozmiarach. Pragną aby wszystko wróciło "do normy", czyli do błędnego samopoczucia, które usprawiedliwia bezczynność. Demokratyczni członkowie Kongresu, z których większość szczerze nienawidzi Reagana za to, że w ubiegłych latach przywrócił Ameryce jej prestiż w świecie, modernizując jej arsenał, gotowi są obecnie go zaakceptować. Mają w tym swoje wyrachowanie. Skompromitowany, z mocno nadwątloną reputacją prezydent nazywa się w slangu amerykańskim "kulawą kaczką". Reagan, obciążony aferą irańską, przy pomocy której zniszczył w krótkim czasie wszystko, co zrobił dla Ameryki i zachodniego świata, powinien odejść. Ale nie odejdzie, ponieważ obowizowi kapitulantów łatwiej nim będzie teraz manipulować. Dla wzajemnych stosunków z aliantami będzie to miało też jak najgorsze skutki. Włochy, Francja i kraje Beneluxu zawsze obawiały się amerykańskiego "prezydenta kowboja" z pistoletem u biodra. Teraz, gdy pistolet, z którego kowboj Reagan miał tak lekkomyślnie strzelać, okazał się rekwizytem teatralnym – odetchną. Jest to satysfakcja tchórzów, którzy dostrzegli jeszcze większego tchórza od siebie. Ameryce potrzebne są przypuszczenie jeszcze bolesniejsze ciosy, by oceniła własne położenie. Politycy waszyngtońscy chcą odsunąć ten moment. Następstwą będą tragiczne, bo im później nastąpi otrzeźwienie, tym wyższą cenę życia ludzkiego trzeba będzie zapłacić. Rzecz dobrze znana tym, którzy pamiętają lata poprzedzające wybuch drugiej wojny światowej. Tym, którzy nie należą do starszego pokolenia i pamiętać nie mogą, wystarczy zajrzeć do pamiętników Winstona Churchilla. Historia powtarza się niezmiennie, aż do znużenia.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 2 lutego 1987

"Kultura", maj 1987

Krzysztof Gawlikowski

STUDENCI A PRZYSZŁOŚĆ CHIŃSKIEJ REFORMY

Widzowie telewizji zachodnich mogli w grudniu ub. roku oglądać zadziwiające sceny z Pekinu: nocne demonstracje studenckie na Placu Bramy Niebiańskiego Spokoju. Czwartha rapo. Flesze kamerzystów wydobywają z ciemności biegnący tłum studentów i nieruchome kordony milicjantów. Puste jeszcze ulice i nierealna scena: tego największego chyba placu świata. Nikt właściwie wtedy nie zdawał sobie sprawy z wagi wydarzeń w Pekinie, a specjaliści biedzili się, szukając wytłumaczenia mało-zrozumiałych wydarzeń. Prasa zachodnia gubiła się w domysłach, jeszcze mniej można było dowiedzieć się z prasy krajów "realnego socjalizmu". Nawet obecnie, gdy widoczne są skutki i gdy dokonały się istotne zmiany polityczne, wzbogacone informacjami i przeciekami "z kół poinformowanych", spotyka się krótkowo-odmienne interpretacje wydarzeń politycznych w Pekinie. Najbardziej zgubny wydaje się często spotykany czarno-biały schemat: "żli" twardogłowi konserwatyści i "dobrzy" liberalni reformatorzy. Deng Xiao-ping /Teng Siao-ping/ został uznany za reformatora, a zątem za "liberała", podobnie jak przedtem Gierek, a obecnie Gorbaczow, więc wielu zachodnich obserwatorów nie jest w stanie zrozumieć, że Korbaczk w kręjach przez nich rządzonych /poza twardogłowymi doktrynerami i zupełnymi demokratycznymi utopistami/ może wyrażać niezadowolnienie, a już szczególnie masy, które powinny się cieszyć z dokonywanej liberalizacji jak z manny niebieskiej.

Rzeczywistość jest o wiele bardziej skomplikowana.

Grupa przywódców, którzy doszli do władzy po śmierci Mao, była od początku niejednorodna. Łączyła ich wspólna przeszłość wojen rewolucyjnych toczonych przez KPCh i działalności w partii, a także prześladowania w okresie rewolucji kulturalnej. Dlatego dość solidarnie rozgromili grupę maoistowskich dogmatyków, swych byłych prześladowców, i odrzucili dużą część dziedzictwa Mao, wobec którego już wcześniej byli krytyczni. Niejednokowy jednak był ich krytycyzm i koncepcje socjalizmu w Chinach. Sytuacją polityczną w kraju była nader trudna, partia utraciła w znacznym stopniu swój prestiż społeczny i zaufanie, którym cieszyła się przez lata, nawet jej ideologia straciła dawną atrakcyjność. Inaczej niż w Polsce, gdzie zawsze w odwodzie pozostaje "bratnia internacjonalistyczna pomoc", gwarancją dla istniejącej struktury władzy, w Chinach musi ona znajdować wystarczające oparcie we własnym społeczeństwie. Po rewolucji kulturalnej i okresie dyktatury wojskowej nie udało się w pełni odbudować władzy partii i istniały obawy, iż niezadowolenie społeczne może przerodzić się w niekontrolowany wybuch. Dodatkowym czynnikiem było ogromne zacofanie Chin: chcąc utrzymać swój status wielkiego mocarstwa, musiały one rozwiązać się gospodarczo. Polityka oparta na maoistowskich dogmatach, rozwój taki uniemożliwiała. Reformy były więc konieczne i uzahwały to wszyscy: Ich kierunek, tempo i wizja modelu docelowego widziane jednak były rozmaicie.

Sprzeczności polityczne w kraju i tarcia w grupie rządzącej zaostriżyły się w 1985, a jeszcze bardziej w 1986 roku. Związane one były z niezbędnym przejściem do drugiego etapu reformy, a zatem ze ściślejszym określeniem jej celów i zasięgu, i z koniecznością objęcia nią miast i przemysłu, wysp systemu rozdzielnicznokakazowego w morzu uyrnkówionej gospodarki chłopskiej i kolektywnej albo prywatnej przedsiębiorczości, rozwijającej się już autonomicznie. Drugi etap reformy był konieczny, gdyż rynek wkroczył do miast, determinował w dużym stopniu ceny artykułów żywnościowych, zaopatrzenie przemysłu lekkiego, spożywczego, a nawet możliwości eksportowe. Nie można było utrzymywać sytuacji, w której ceny żywności rosły, a płace pracowników pozostawały w zasadzie niezmiennione, określane przez mechanizmy niewydajnej gospodarki nakazowej.

Do tego dołączało się rosnące niezadowolnienie różnych grup społecznych i kon-

flikty między regionami. Reforma gospodarcza zdynamizowała rozwój prowincji pasa nadmorskiego i południa, podczas gdy prowincje wewnętrzne pozostawały daleko w tyle. Bez znacznej pomocy państwa ich opóźnienie gospodarcze musiało się pogłębiać, a państwo i jego władze centralne traciły w nowych warunkach reformy możliwości takiej daleko idącej interwencji i środki finansowe: bogaci mieli się jeszcze bardziej bogacić, a biedni mieli być jeszcze biedniejsi. Zastosowanie środki typu współpracy między prowincjami biedniejszymi i bogatszymi były tylko paliatywem. Dodać trzeba, że prowincje wybrzeża, szczególnie południa, miały wiekowe, datujące się od średniowiecza tradycje prywatnej przedsiębiorczości i przemysłu drobnego i nawet maocizm nie był w stanie żywiłu tego całkowicie zlikwidować. Tak uformował się dramatyczny podział Kraju na biedny, zacofany zachód i szybko rozwijający się wschód. Bez wielkiego państwowego programu budowy kolei, dróg, inwestycji i pożyczek zdynamizowanie zachodu było niemożliwe. To zaś pociągało za sobą różne zdania co do roli władz centralnych i mechanizmów rynkowych w skali całego kraju i musiało doprowadzić do kontrwersji w najwyższym kierownictwie.

Do tego dołączał się niebagatelny czynnik narodowy. Tereny zachodnie są zamieszkałe przez wiele grup etnicznych słabo zintegrowanych z Chińczykami. Największą z nich są Ujgurzy /ponad sześć milionów/ zamieszkujący głównie prowincję Xinjiang /w starej pisowni Sinkiang/. W skali całego Chin mniejszości narodowe - około 6 % ludności - zamieszkują około 60 % powierzchni kraju, głównie terytoria przygraniczne, ważne z punktu widzenia strategicznego i obronnego, gdzie ruch secesyjny byłby tragedią dla kraju. Najwięcej trósk przysparzają narodowości wyznające islam. W ramach nowej polityki wobec religii i mniejszości narodowych, wobec kultur narodowych, których rozwój jest obecnie dozwolony, doszło do gwałtownego zaostrzenia konfliktów etnicznych. Z jednej strony wiele mniejszości narodowych coraz śmielej manifestuje swoją odrębność, z drugiej wśród Chińczyków przybierają na sile tendencje nacjonalistyczne. W tej sytuacji dalsza kolonizacja chińską rejonów zachodnich wydaje się niezbędną, ich zacofanie jednak nieuchronnie ją hamuje. Zacofanie i bieda mogą stać się przyczyną ruchów secesjonistycznych, chociaż wcale nie jest pewne, czy rozwój gospodarczy sąsiadująca z Hong Kongiem i Makao, powiązanej z milionową emigracją chińską, bogatej, zawsze skłonnej do rebelii wobec władz centralnych, chciwie chłonnącej nowinki zagraniczne, niż z otwieranej syberyjskimi wiatrami prowincji Gansu, pół pustynnej, górzystej, biednej, gdzie nie ma bujnej tropikalnej roślinności i gdzie zbiera się z mizernych poletek jeden, a nie trzy plony rocznie.

Likwidacja maocistowskiego systemu egalitarnego, w którym za wszystko odpowiadało państwo /choć nie było ono w stanie spełnić obietnic skromnego dostępu/ spowodowała gwałtowne narastanie różnic między prowincjami, powiatami nawet, między miastem i wsią, między różnymi grupami społecznymi. Stopa życiowa wprawdzie podwyższa się, i to szybko, ale bardzo nierównomiernie. Rosną zawrotne fortuny obrotowych przedsiębiorców, rolników, którzy umieją dostosować się do wymagań rynku, mają warunki do uprawy warzyw, czy owoców, gospodarzą w pobliżu dróg i zdobędą samochód, inni zaś klepią biedę albo z trudem składają pieniądze na telewizor. Bywają i sytuacje tragiczne: system opieki społecznej był związany z dawnymi komunami wiejskimi i z fabrykami wielofunkcyjnymi, które organizowały życie wszystkich zatrudnionych, a nawet ich dzieci. Teraz bywa, że inwalida wojenny bez środków do życia musi żebrać na ulicy. System emerytur i rent należy dopiero stworzyć. Stare struktury organizacyjne rozspadły się albo nie funkcjonują należycie, a nowe dopiero się rodzą. Dotyczy to również szkolnictwa, służby zdrowia itd. Administracja państwowa szczebla lokalnego /poza miastami/ właściwie nie istnieje. Tworzy się ją od dwu lat, w jednych regionach skutecznie, w innych opornie. Poprzednio egzystencja

/poza okresami klęsk/ była gwarantowana przez państwo, teraz każdy musi dbać o siebie sam. Tak radykalny przełom społeczno-gospodarczy musi powodować konflikty i niezadowolenie wielu grup społecznych, nawet tych, które skądinąd zyskały na reformach, chciałyby jednak mieć nowe możliwości zachowując dawne przywileje, co jest oczywiście niemożliwe.

Lata gospodarki nakazowo-rozdzielczej i propagandy egalitaryzmu zmieniły mentalność, która z trudem dostosowuje się do nowych wymogów. Oto jeden z przykładów, który obiegł prasę chińską. W fabryce farmaceutycznej w Szanghaju jeden z robotników od lat próbował zainicjować zmiany organizacji pracy na linii produkcyjnej, gdzie był zatrudniony. Jego propozycjami nikt się jednak nie przejmował i wszystko pozostawało po staremu. Teraz, wraz z wprowadzaniem nowych mechanizmów gospodarczych, dyrekcja zainteresowała się tym i podpisało z nim rodzaj umowy ajencyjnej, oddając mu tę linię do dyspozycji. Pół procenta przyrostu zysków miało być jego wynagrodzeniem ajencyjnym. Zamiast dawniej zatrudnionych 14 osób, całą linię obsługiwać zaczął sam z żoną. Produkcja wzrosła kilkakrotnie, przy kilkakrotnym zmniejszeniu zużywanych surowców. Ten sukces stał się jego osobistą klęską, gdy zaczął otrzymywać przy wypłacie tysiące yuanów zamiast dawnych stu. Wszyscy zaczęli patrzeć na niego wilkiem, zerwały się kontakty z kolegami. Inżynierowie i technicy z innych linii zaczęli mu robić rozmaite trudności. Załamany człowiek zwrócił się do dyrektora z prośbą o anulowanie umowy: chciał utrzymać jedynie nową organizację pracy, a wrócić do wydanej pracy. Dyrektor stwierdził, że to jest niemożliwe. Obecnie obowiązuje prawo, które wiąże tak jego jak fabrykę. Może swe pieniądze oddawać na cele społeczne, ale fabryka musi mu je wypłacać. Dobrze nam znany przykład "polskiego piekła", tyle że w Szanghaju. Nawet ten, który najbardziej zyskał, nie może cieszyć się sukcesem.

Protesty społeczne dotyczyły właśnie owych rozmaitych nierówności, "niesprawiedliwie" wysokich dochodów ludzi, którzy nagle stali się "bogaczami", drożyny artykułów żywnościowych nie kompensowanej dostatecznie przyrostem płac/oficjalny wskaźnik inflacji 6 %, w samym Pekinie oceniano ją jednak w 1986 roku na około 20 %, szerzącej się korupcji, przestępczości, upadku obyczajów, egoizmu i brutalnej pogoni za pieniędzmi. Zjawiska te związane są po części z załamaniem się dawnego systemu autorytarnego, ideologii i systemu wartości, z deintegracją społeczną i upadkiem tradycyjnych wzorców kulturowych, ale w świadomości powszechnej uchodzą za konsekwencje reformy gospodarczej.

To, czego Mao nie zdołał osiągnąć przez rewolucję kulturalną - likwidacją dawnej obyczajowości, mentalności i "feudalnej kultury" - paradoksalnie stało się rzeczywistością pod rządami jego "liberalnych" następców, którzy wręcz lansują szacunek dla tradycji. Przykładem, bodajże najjaskrawszym, jest utworzenie państwowego Instytutu Studiów Konfucjańskich, który ma propagować dawne wartości i dziedzictwo wielkiego filozofa. Polityka ograniczania przyrostu naturalnego, choć nie całkiem skuteczna, prowadzi do przeobrażenia rodziny. Zamiast dawnej wielodzietnej rodziny - ości wartości konfucjańskich i orientacji kolektywistycznej - upowszechnia się nowa, z jednym dzieckiem, otaczanym wręcz chorobliwą troską rodziców. Dziesiątki tysięcy studentów ruszyły na naukę za granicę, inni do pracy w różnych krajach, legalnie i nielegalnie. Młodzież chce słuchać wyłącznie nowej muzyki z Hong Kongu albo Tajwanu, ewentualnie muzyki zachodniej. Sale teatralne z przedstawieniami sztuk zachodnich są pełne, z tradycyjną operą pekińską, szansijską, itp. świecą pustkami, frekwencje ratują cudzoziemscy turyści. Znani historycy czy filozofowie, którzy mogą wreszcie badać i wykładać dzieje kultury chińskiej z trudem znajdują studentów czy asystentów, tłumy natomiast zapisują się na anglistykę, informatykę itp. Intelktualiści z przerażeniem zadają pytanie: czy jesteśmy ostatnim pokoleniem Chińczyków, którzy żyją w Chinach? Czy po nas nikt już nie będzie w stanie rozkoszować się urodą klasycznej poezji i smakiem dawnej kultury? Dokąd zmierzają Chiny? Czy udziałem naszym ma być pełna "westernizacja"?

Najbardziej dramatycznie przedstawia się jednak sytuacja chińskiej nomenklatury, zwanej "kadrami" /ganbu/, wyróżniającej się nawet ubiorem i będącej główną siłą

polityczną. Reformy bardzo ograniczyły jej władzę. Upadł dawny prestiż społeczny. Radykalny ruch studencki rozwijający się od kilku lat żąda likwidacji jej wszystkich przywilejów i demokratyzacji systemu. Traci ona dawną władzę nad "miską ryżu", a zarazem wciąż jeszcze jest ostoją władzy. Nic dziwnego, że realna perspektywa zasadniczych przeobrażeń politycznych i kontynuacji reform gospodarczych jest odbierana w kręgach aparatu jako likwidacja władzy partii i "likwidacja socjalizmu w Chinach". Reformy doszły do punktu, w którym musiał się dokonać wybór: czy będą one pogłębiane i rozwijane z nieuniknionymi dalszymi konsekwencjami politycznymi, czy zostaną jako zahamowane i aparat partyjno-państwowy zachowa swą władzę nawet przy przesunięciu wielu praktycznych decyzji z organów partyjnych do administracyjnych.

Ten dylemat wyznaczył linię podziału w kierownictwie. Sekretarz generalny partii, Hu Yaobang, forsował reformy polityczne jako niezbędny element reform gospodarczych, napotykał narastający opór aparatu. W tej sytuacji, jak to niegdyś robił Mao, zaczął się odwoływać do sił poza partią, wspierać rozwój rozmaitych ruchów społecznych, aktywność innych tzw. demokratycznych partii, istniejących poprzednio raczej de nomine niż de facto, które nazwał niezbędnym pomocnikiem partii, chroniącym ją przed oderwaniem się od mas. W 1986 roku powiedział, że "marksizm-leninizm nie może rozwiązać problemów Chin", co później skorygowano w prasie dodając słowo "wszystkich". W jednej z rozmów z amerykańskimi dziennikarzami zadeklarował, że socjalizm nie rozwiązał dotychczas dwu problemów: wydajności pracy i efektywności produkcji, a także demokracji i udziału mas w zarządzaniu krajem. Zatem te dwie sfery wymagają radykalnych działań. Było to stanowczo zbyt radykalne stanowisko dla aparatu i dla wojskowych, którzy już od jakiegoś czasu manifestowali swój brak zaufania do Hu. Szczególnie przywódcy ze starego, odchodzącego już pokolenia Mao, zajmujący kluczowe stanowiska i mający wciąż jeszcze dominujące wpływy wyrażali swoje niezadowolone i obawy. Kurs generalnego sekretarza uważali za zbyt radykalny i ryzykanci, prowadzący Chiny na drogę "restauracji kapitalizmu". Popierało ich wielu działaczy młodszego, przejmującego władzę pokolenia sześćdziesięcio- i siedemdziesięcioletków. Uzasadnienia ideologiczne używane przez nich mogą być, oczywiście, oceniane rozmaicie, ale faktem jest, że tempo przemian zagroziło stabilności politycznej Chin, a sztuka polityki polega na osiągnięciu tego, co jest realne. Hu Yaobang zapewne przecenił siłę ugrupowań reformatorskich i ich wpływy w społeczeństwie. Jego los został właściwie przesądzony w momencie, gdy rozmaite ugrupowania w kierownictwie połączyły się w zgodnej opozycji wobec niego, tworząc coraz szerszy front. Deng Xiaoping wciąż nie zajmował jednoznacznego stanowiska i próbował łagodzić konflikt.

W tej sytuacji zaczęły się w listopadzie demonstracje studenckie. W grudniu studenci wyszli na ulice wszystkich właściwie wielkich miast z jednym głównym żądaniem: demokratyzacji. Do tego dołączyły się później żądania wolności słowa i druku, spróśtowania niesusznaczych oskarżeń wobec studentów itp. Możliwe, że w różnych miastach protesty zaczynały się – jak to zwykle bywa – od jakichś kwestii lokalnych. Najistotniejsze jest, że przerodziły się one w masowy ruch. Postawa władz centralnych była niejednoznaczna, lokalnych – rozmaita, od akcji milicji i rozpędzania demonstrantów, dowożenia ich państwowymi autobusami na miejsce planowanych demonstracji. Mogły być one inspirowane i manipulowane zarówno przez radykalnych zwolenników reform, chcących zademonstrować poparcie społeczne dla nich, wywrzeć nacisk na kierownictwo, jak i przez zwolenników orientacji zachowawczych, pragnących tymi demonstracjami wystraszyć do reszty aparat, zmusić wahających się do opowiedzenia się po ich stronie. Ruch był jednak z pewnością autentyczny i jego uczestnicy w większości wypadków wcale nie byli pewni konsekwencji swojego w nim uczestnictwa. Wiedzieli, że ryzykują dalszym biegiem swego życia, choć już nie nim samym. Zapewne wszystkie ugrupowania w kierownictwie oczekiwały na rozwój wypadków. Masowy rozwój ruchu, przyłączenie się do niego ludności miast i robotników mogło jeszcze, być może, uratować radykalnych reformatorów. Tak się jednak nie stało. Ludność obserwowała ruch z sympatią, ale nie przyłączała się do demonstracji. Jedynie sporadycznie włączały się doń młodzi robotnicy lub osoby starsze.

Pozostał on do końca ruchem tylko studenckim. To przesądziło o jego losach i o losach reformy.

Usiłowania – ujęte sukcesem – odbycia demonstracji także na placu Bramy Niebiańskiego Spokoju były już tylko walką o symbole, zawsze ważne w życiu politycznym. Plac ten jest swoistym "sercem Chin". Jak ujął to pewien Chińczyk, "wystarczy kichnąć na tym placu, aby stało się to wydarzeniem politycznym". Na jego stronie północnej znajduje się słynna Brama Niebiańskiego Spokoju – główne wejście do byłego pałacu cesarskiego, siedziby władcy rodzaju ludzkiego, podtrzymującego ludzką, moralną kondycję naszego bytu i ład kosmiczny, naturalny cykl życia i umiarami; pana także wszystkich duchów zamieszkujących ziemię i ubóstwionych postaci z niebiańskich przesiwoj. To z niej właśnie zebrany urzędnikom z pobl. ich urzędów przekazywano edykty cesarskie; w dymach kadzidłu opuszczały się ramy złości, żuraw z rulonem w dziobie. Teraz po wschodniej stronie jest Muzeum Historii, która w Chinach jest na poty religia i ideologia państwa, łącząca realia z transcendencją jak Biblia dzieje narodu żydowskiego z prześłaniem Bożym. Po stronie zachodniej jest gmach parlamentu, niejako ucieleśnienie państwowości chińskiej – jedyny gmach państwowy powszechnie znany, z największą w Pekinie salą, gdzie odbywają się wszystkie wielkie kongresy i zjazdy. W centrum pi. n. zbudowano pomnik bohaterem, którzy oddali życie za wyzwolenie Chin z półkolonialnej niewoli, od lat główne miejsce kultu. Zhou Enlaja /Czou En-laja/, głównego, w dzisiejszym panteonie konkurenta Mao. Za nim zbudowano mauzoleum Mao, przekształcone obecnie w muzeum przywódców ChRL. Na jego południowym krańcu znajduje się główna brama Pekinu, dawnej stolicy, cesarstwa i świata.

Wjeszcze w 1948 roku prasa rządowa pocięła ludność, że przechodząc obok Bramy Niebiańskiego Spokoju, przyjętej za godło państwa ChRL, nie trzeba przyklekać i biec pokłonów do ziemi.

Właśnie w 1948 roku demonstracje studenckie zamigocowały Ruch 4 Maja /1919 r./, który otworzył nową erę w dziejach kultury chińskiej, jej etap nowożytny. Tu Mao ogłosił z Bramy odrodzenie się Chin i utworzenie ChRL, do przyjmował przez lata wielomilionowe pochody. Tu ogłosił początek rewolucji kulturalnej, mającej przeobrazić świat. I tu, w kwietniu 1976 roku odbyły się wielkie, wielodniowe manifestacje ludności, opłacone daniną krwi, które zakończyły era maoizmu. Plac ten jest koncentracją i uosobieniem chińskiej, łączącej godzierność, kraju z transcendencją historii.

Właśnie dlatego MSW demonstracje studenckie, by uzyskać wymiar historyczny, rezonans społeczny i wymiar mitu, musiały odbyć się na tym placu. On był ich "przestanką do historii". Właśnie tutaj pewność do historii weszły. Synowie dzisiejszych studentów będą z cziąg oglądać to miejsce protestu ich ojców, choć bezpośrednio efekty okazały się sprzeczne z ich szczytnymi ideałami. Była to, w gruncie rzeczy, pierwsza w historii Chin manifestacja w imię abstrakcyjnej idei: demokracji. Wszystkie poprzednie ruchy i demonstracje były powiązane z konkretnymi ludźmi; popierano jakies osoby lub protestowano przeciwko nim; pośrednio wyrażając w ten sposób opcje ideologiczne. W tradycji chińskiej brak znanej nam z Europy walki o zasady. Ta była pierwsza.

Miała ona oczywiście pewne konkretne podteksty. Był to krytyczny i żywiołowy apel do Deng'a, aby poparł reformy, by nie drepnął z nimi w miejscu, by ich nie hamował. Ponadto na wiosnę zapowiedziano wybory do lokalnych rad narodowych: sposób ich przeprowadzenia wywołał zażarte dyskusje. Dość powszechnie rozlegały się głosy krytyki dotychczasowego systemu "wyborów bez wyboru", gdy głoszący mogą tylko wkładać do urny kartkę z jedną listą daną przez partię. Żądano prawa do wysuwania kandydatów przez ludność i do wybierania najlepszych spośród nich. Tak więc studenci nie całkiem abstrakcyjnie żądali demokracji, chodzilo im o nadchodzące wybory o wciąż zapowiadane i wciąż odkładane reformy instytucji politycznych, likwidację przywilejów "kadry".

Deng Xiaoping uznał za konieczne wycofanie swego poparcia dla sekretarza generalnego. Żądał rozszerzonego posiedzenia Biura Politycznego, na którym poza je-

go 14 członkami było obecnych 17 innych osób, w większości wiekowych weteranów partii. W tym gronie Hu Yaobang nie miał szans się obronić, mógł złożyć tylko samokrytykę i ustąpić.

Deng Xiaoping, pełniący rolę najwyższego arbitra, nie poparł jednak jednoznacznie grupy zachowawczej. Urząd sekretarza generalnego powierzono tymczasowo premierowi, Zhao Ziyangowi /Zao Cy-yang/, należącemu do grupy reformatorów, bojkotowanemu od dawna przez konserwatystów. Był sekretarz generalny pozostał w składzie Biura.

Dalsze decyzje także nie były i nie są jednoznaczne. Reformatorzy nie zostali wyeliminowani z władz, choć muszą się teraz bardziej liczyć z oporem sił zachowawczych i z interesami aparatu. Z drugiej jednak strony całe kierownictwo – w tym i orientacja zachowawcza, akceptująca tylko częściowe i ograniczone reformy – musi się liczyć z nastrojami społeczeństwa, które nie poparłoby zaniechania reform. Dla-tego sytuacja jest skomplikowana i płynna.

Oto kilka przykładów. Po odsunięciu Hu Yaobanga ogłoszono kampanię walki z "burżuazyjnymi wpływami", pod które podciągnięto studenckie żądania demokracji, wszelkie nowinki ideologiczne, postawy krytyczne wobec partii i jej ideologii, zachodnie idee humanizmu o stylu w sztuce itp. Zapowiadały się nowe wielkie czystki i radykalne ograniczenie kontaktów z zagranicą. Okazało się jednak szybko, że zmiany personalne są ograniczone i przebiegają niezupełnie tak, jak mogli tego sobie życzyć konserwatyści. Na stanowiska odchodzących trudno było niekiedy przeforsować reprezentantów linii przeciwnej. Zdarzało się, że zdymisjonowanych żegnały wielotysięczne tłumy z kwiatami i łzami. Odchodzili zostając z miejsca bohaterami wydarzeń. Próby rozwijania "ruchu krytyki", które udawały się tak dobrze w epoce Mao, teraz w większości wypadków zawiodły. Bywało, że na kilkusetosobowym zebraniu nikt poza oficjalnym mówcą nie chciał zabrać głosu i poprzeć oficjalnego stanowiska, co zmuszało do sromotnego zamykania nieudanego zebrania. Teraz Chińczycy wiedzą, że popieranie rządu daje korzyści na krótką metę, a ludzie długo pamiętają wszystko, co się z takiej okazji rzekło, i ludzie zostają, zaś linia partii i przywódca zmieniają się nader szybko. Gdy wskazywano imiennie najbardziej szkodliwym duchem Zachodu intelektualistów i ich najbardziej szkodliwe książki, powodowało to natychmiast gwałtowny wzrost popularności tych osób i ich dzieł. Chińczycy ujęli to w zabawny kalambur: "Im bardziej cuchnie – tym bardziej pachnie". W tej sytuacji kontynuowanie krytyk miało się z celem.

W rezultacie pojawiły się kolejne wytyczne, ograniczające zasięg nowej kampanii. Ostatecznie postanowiono ograniczyć ją tylko do sfery intelektualistów partyjnych i utrzymać jako kampanię wewnątrzpartyjną. To miało się poniekąd z celem postawionym na początku. Są jednak próby rozszerzenia kampanii. Na dużą skalę prowadzi ją armia.

W początkach lutego br. ukazały się trzy rozporządzenia dotyczące przedsiębiorstw państwowych, miejsca w nich i roli organizacji partyjnych i samorządu robotniczego. Przyznają one przedsiębiorstwu samodzielność gospodarczą, ograniczają rolę partii do spraw ideologicznych, dają pełną władzę administracyjną dyrektorom. Znaczne są uprawnienia samorządu, m.in. ma on prawo wyboru dyrektora /zawierzanego przez organy zwierzchnie;/ w przypadku mianowania kandydata na dyrektora z zewnątrz mają prawo weta. Oczywiście ważna będzie praktyka, nie formalne uprawnienia, które nie zawsze są przestrzegane, jednak nawet sama formuła prawna jest istotna. Kontynuacja reform została zatem potwierdzona.

Także sprawa nadchodzących wyborów nie została przegrana. Początkowo postanowiono, że nowa demokratyczna ordynacja będzie wprowadzona eksperymentalnie w trzech wielkich miastach Chin i jednej prowincji./Pekin, Tiencin, Szanghaj i prowincja Guangdong/. Dwa z tych miast są rządzone przez zwolenników dość radykalnych reform, trzecie przez konserwatystów. Zapowiada się więc rodzaj ograniczonego, ale bardzo znaczącego referendum. Ponadto dobiegają ciągle żądania, by

i gdzie indziej wybory odbywały się z kandydatami wysuwanymi przez ludność. Co najciekawsze, pojawiają się też zapewnienia, że zostanie to umożliwione.

Dalszy bieg wydarzeń trudno przewidzieć, ale jest pewne, że walki polityczne wokół reform trwają, a same reformy nie zostały zaniechane, choć ich kierunek nie jest jasny, a punkt docelowy dokładnie określony.

Dodać też warto, że sprawa tego kierunku ma wymiar międzynarodowy nie tylko ze względu na rozmiar Chin i znaczenie ich doświadczeń, pierwszej wielkiej reformy "realnego socjalizmu". Zwolennicy radykalnych reform forsują rozwój stosunków z USA, a szczególnie z Europą Zachodnią. Orientacja zachowawcza eksponuje korzyści kontaktów z Moskwą i krajami Europy Wschodniej. Prymat jednej albo drugiej tendencji ma więc wielki wpływ na układ sił w świecie. Forsowany od lata 1980 kurs zbliżenia z Europą ma, być może, charakter kompromisowy i zdaje się wiązać z tendencją neutralistyczną. Każda z opcji w polityce zagranicznej ma swe implikacje dla świata i dla rozwoju sytuacji w Chinach.

Zaczynanie lata reform zimą okazało się zapewne przedwczesne, ale pekińska wiosna trwa nadal, a dni przymrozków przeplatają się z dniami odwilży i słońca.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

"Kultura", maj 1987

Leopold Unger

WIDZIANE Z BRUKSELI

ABDALLAH – SŁUGA BOŻY

"Demokracja kończy się tam, gdzie zaczyna się
racja stanu"

Charles Pasqua,
francuski minister spraw wewnętrznych.

"Jedna wielka niesprawiedliwość jest lepsza
niż małe rozruchy"

Goethe; poeta niemiecki.

Sobota, 30 marca 1985 roku, willa w Algierze, wieczór w ogrodzie; cisza, porzonne dolce far niente, stół, na którym rozmaite drinki, przeważnie niezgodne z przepisami koranu. Dwóch mężczyzn rozmawia pół-szeptem. Francuz, Yves Bonnet, dyrektor DST, Dyrekcji Ochrony Terytorium, czyli kontrwywiadu francuskiego i Algierczyk Lakmal Ayata, generał, szef II oddziału algierskiego sztabu generalnego. Tak zaczęła się historia, która trzęsła Francją przez dwa lata. I wcale nie wykluczone, że trząść będzie jeszcze. W oku cyklonu jeden człowiek. Nazywa się, w pisowni francuskiej, George Ibrahim Abdallah. Rozmowa w ogrodzie dotyczy jego losu: chodzi o wymianę Abdallaha, "przebywającego" wówczas w więzieniu w Lyonie na Gilles Sidney'a Peyrolles, porwanego kilka dni przedtem, 23 marca, w Bejrucie.

Kim są ci dwaj dzentelmeni? Najpierw Peyrolles, bo o nim natychmiast będziemy mogli zapomnieć. Jest to młody dyplomata francuski, przed porwaniem akredytowany był w Libanie, teraz jest na placówce w Szkocji. Ważny detal: Peyrolles nazywa się w istocie Perrault, jest synem pisarza /tego co napisał m.in. "Czerwoną Orkiestrę"/, który – co jest jeszcze ważniejsze – jest przyjacielem Regisa Debray'a, bliskiego współpracownika i zaufanego prezydenta Mitterranda. Inaczej mówiąc, jego

zwolnienie z rąk bejruckich gangsterów było sprawą wagi państwowej. Porywacze o tym naturalnie wiedzieli. Wybór Peyrolllesa nie był przypadkowy. Według algierskiego pośrednika, porywacze byli skłonni natychmiast Francuza zwolnić w zamian za zwolnienie Abdallaha.

A dlaczego Abdallah, po polsku "sługa boży", był tak ważny? To jest dłuższa historia. Urodził się w 1951 roku w miejscowości Kubajat, w górach Akkaru w Libanie, w strefie, która dziś jest pod ścisłą kontrolą Syrii. Abdallah wywodzi się z jednej z czterech wielkich rodzin, a raczej klanów chrześcijańskich, kontrolujących tę miejscowość, liczącą 12.000 mieszkańców. Jego ojciec, zmarły czy zabity przedwielu laty; był sierżantem w wojsku libańskim. Sam Abdallah, zdolne dziecko, zaczął bardzo wcześnie, "walczyć" od kiedy ukończył lat piętnaście. Najpierw, tak jak ojciec i cała rodzina, w faszyzującej Socjalistycznej Narodowej Partii Syryjskiej /PSNS/, której marzeniem było utworzenie "Wielkiej Syrii", na trupie m.in. Libanu, ale nie tylko. Z wykształcenia nauczyciel, pracował w "ochronie" dowództwa PSNS, pod kierownictwem niejakiego Waddi Haddada, pseudonim "krwawy", wynalazcy procedury porywania samolotów, "bohatera" Entebbe, organizatora masakry na lotnisku Lodd w Tel Awiwie...

W 1970 roku razem z tej klasy "nauczycielem" Abdallah przechodzi z bronią i bagażem do innej partii, która ma jeszcze większe ambicje. Nazywa się FPLP, czyli Ludowy Front Wyzwolenia Palestyny, którym dowodzi dr Georges Habbache, lekarz, a przede wszystkim marksista i chrześcijanin, tak jak Abdallah. Teraz kariera Abdallaha, w służbie bożej naturalnie, rozwija się już błyskawicznie. Dochodzi do stopnia "majora" FPLP, "pracuje" razem z niejakim Iljiczem Ramirezem Sanchezem, znanym w kronikach policyjnych całego świata pod zdrobnieniem "Carlos". Nic dziwnego, że tak szybko awansuje, chłopak zdolny. Do wszystkiego, jak się okaże. Mówi po arabsku i francusku, ale także po włosku, angielsku i... hebrajsku. Przechodzi jeszcze dodatkowe przeszkolenie w obozach syryjskich i w północnym Jemieniu oraz postgraduate w... Bułgarii, gdzie pozostaje przez cały rok na "studiach". Bardzo dużo podróżuje: Syria, naturalnie, ale także Algier no i cała Europa. Utrzymuje kontakty operacyjne i ideologiczne z Czerwonymi Brygadami we Włoszech, Rote Armee w RFN i Action directe we Francji. Pomaga w niektórych akcjach Carlosa, uczestniczy m.in. w zamordowaniu w 1976 roku ambasadora USA w Bejrucie; Melloy'a.

W 1980 roku Abdallah dojrzał. Wraz ze swymi braćmi i sąsiadami z Kubajat i z sąsiedniej miejscowości Andakat tworzy własną organizację. W skrócie nazywa się FARL, co znaczy Libańskie Rewolucyjne Siły Zbrojne. Nareszcie będzie miał okazję wprowadzenia w życie swoich rewolucyjnych teorii. Jedną z nich, przedstawioną w obronionej na Sorbonie /Pol Pot też tu studiował/ pracy magisterskiej brata Abdallaha, analizuje znaczenie komórki rodzinnej, solidarnej, niewielkiej; scementowanej, nie do spenetrowania, jako najbardziej "wydajnego" oręża w walce zbrojnej i "gwaltownej", czyli terrorystycznej, o hasła rewolucji arabskiej. Część FARL pozostaje w Libanie, grupa operacyjna wyjeżdża do Europy. Są w niej przede wszystkim ci, którzy znają języki obce, a w tym dwaj bracia i trzy kobiety, m.in. Jacqueline Esber, przyjaciółka /la compagne, jak mówią Francuzi, którzy lubią eufemizmy/, a zarazem zastępca "operacyjny" i towarzyszy broni w akcji zbrojnej. Niełatwo jest ustalić szlaki bandy, ale wiadomo, że pierwsza baza usytuowana była w pensjonacie koło dworca Termini w Rzymie oraz w hotelu w Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu. Pieniądze, dużo pieniędzy, ulokowane są na kontach w kilku bankach, m.in. w Szwajcarii. Broń i materiały wybuchowe podróżują albo wprost, w walizkach dyplomatycznych, albo drogą pośrednią z Czechostowacji przez Jugosławię, najpierw do Włoch, potem do Francji.

Słowo "honoru"

Premiera ma miejsce 18 stycznia 1982, kiedy to FARL rewindykuje odpowiedzialność za zamordowanie zastępcy attaché wojskowego USA w Paryżu Charlesa Ray'a. Ale to był tylko początek. Idzie cała seria zamachów, m.in. morderstwo, we wrześ-

niu 1982, II sekretarza ambasady izraelskiej w Paryżu Jakoba Barsimantowa. Potem następuje rok przerwy w "działaniu". Aż do 15 lutego 1984, kiedy to w Rzymie został zamordowany Amerykanin Leamon Hunt, z dowództwa Sił Wielonarodowych ONZ-u w Libanie. Miesiąc później powrócił do Francji i nieudany zamach na konsula amerykańskiego w Strasburgu Roberta Homme. Z kolei przenosimy się do Trypolisu na północny Liban, gdzie, jak już wiemy, zostanie porwany Peyrolles w celu wymiany na Abdallaha.

Albowiem, też jak już wiemy, Abdallah został w międzyczasie aresztowany w Lyonie. Nie, broń Boże, za zamachy i wymordowanie wielu ludzi, w tym dyplomatów, którym Francja zapewnić wszak miała bezpieczeństwo, a za głupstwem: Abdallah był mianowicie w posiadaniu aż 5 paszportów, wszystkich fałszywych. Interes wydawał się więc raczej prosty. I transakcja została szybko zawarta. Francja, powiedział Bonnet w Algierze, jest państwem praworządnym i Abdallaha bez wyroku króciutkiej odsiadki wypuścić nie może. Ale możemy się postarać, aby Abdallah dostał niewielki wyrok i szybko, przed terminem, wyszedł, za "dobre sprawowanie" naturalnie. I rzeczywiście. Wszystko zapowiadało się jak najlepiej. 2 kwietnia, po nocy spędzonej na łonie rodziny... Abdallaha, Peyrolles już był w objęciach własnego tatusia. No a sługa boży? Tu sprawy się komplikują.

2 kwietnia, akurat w chwili kiedy rodzina Peyrollesów otwierała szampana, Bonnet dobiegł się, że się spieszy, że dał nieostrożnie słowo honoru, albowiem zachodzi ryzyko, że "operacja Abdallah" może się nie udać. Jak w złym filmie mianowicie, w czasie posiedzenia Komitetu Koordynacyjnego do Walki z Terroryzmem, Bonnet został wezwany do telefonu. Widać jak powoli błędnie. Jego własni agenci zawiadamiają szefa, że przy ul. Lacroix 18 w Paryżu nakryto melinę Abdallaha. Prawdziwa bomba, dosłownie i w przenośni, m.in. rewolwer kaliber 7,65 produkcji czeskiej "Vzor" model 70, z którego zastrzelono Ray'a i Barsimantowa. Z miejsca upada kombinacja z "turystą" Abdallahem: to już nie jest mały kombinator i manipulator fałszywych paszportów, lecz prawdziwy terrorysta. Idzie nowy proces, musi zapłacić duży wyrok. Prawdziwa katastrofa: Bonnet, nie we własnym przeciwieństwie imieniu, dał słowo honoru, że Abdallah niedługo będzie w domu, słowo którego już prawie na pewno nie będzie mógł uhonorować. Jeszcze ostatnia próba. Bonnet pisze list do ministra Spraw Wewnętrznych i proponuje, aby wyników rewizji w melinie przy ul. Lacroix nie wiązać ze sprawą Abdallaha, żeby ewentualnie - jeżeli już nie można inaczej - wstrzymać ujawnienie wyników rewizji aż do uwolnienia i wyjazdu Abdallaha, a potem wyrazić żal, że melina wpadła za późno, po wszystkim. Bonnet, wydarzenie bez precedensu, jedzie osobiście do pani Marie Kleinmann, która jako sędzia śledczy w Lyonie, prowadzący sprawę Abdallaha, podpisała nakaz rewizji w melinie i tylko ona byłaby w stanie "wyciszyć" i opóźnić aferę. Ale wszystko na nic.

Nie wiadomo jaka była reakcja ministra i sędziego śledczego, ale kilka dni po rewizji meliny informacje o jej wynikach przeciekają do prasy. Kto "nadał" sprawę, także nie wiadomo, nie jest wykluczone, że sama policja. Wśród "trofeów" bandy Abdallaha figurują bowiem także dwaj policjanci, polegli od bomby podłożonej przez FARL. Być może ich koledzy uznali, że nie powinni ułatwiać życia mordercom francuskim "flików". Ale mniejsza o to kto, ważne, że Abdallah z kategorii fałszerzy przeszedł oficjalnie do kategorii morderców i że, naturalnie, mowy być nie mogło o jakiegokolwiek kombinacji i wymianie. Tym mniej zresztą, że kiedy rząd amerykański dowiedział się o wynikach rewizji w melinie, o pistoletce, z którego strzelano do jego dyplomatów, wniósł natychmiast powództwo cywilne, co ostatecznie przekreśliło szanse kombinacji mających doprowadzić do szybkiego uwolnienia Abdallaha. Sługa boży musiał więc stanąć ponownie przed sądem, prawdziwym trybunałem - specjalnie utworzonym do sączenia terrorystów.

Tak kończy się pierwsza faza sprawy "Abdallah versus Republika Francuska", a zaczyna druga. Mianowicie Abdallaha i inne służki boże nie dają za wygraną. Państwo francuskie obiecało wymianę, Bonnet, który już nie był dyrektorem DST, a prefektem Gwadelupy, złamał słowo honoru, Francja nam za to zapłaci. I zapłaciła. FARL, pod różnymi nazwami, przeszedł do akcji. Seria zbrodni zalała krwią Pa-

ryż: 15 zamachów /trzy nieudane/ między grudniem 1985 a wrześniem 1986, 13 zamordowanych, 250 rannych, w tym bomby w tak ważnych obiektach francuskiego imperializmu jak super-sklepy "Printemps", "Galeries Lafayette", "Claridge", księgarnia w Dzielnicy Łacińskiej, FNAC /książki i płyty/, pociąg TGV /ultra-express/ Paryż - Lyon, metro, poczta w merostwie Paryża, kawiarnia na Champs Élysées, wielki sklep konfekcyjny na ul. de Rennes, gdzie było 7 zabitych i 50 rannych, no i last but not least zamordowanie francuskiego attaché wojskowego w Bejrucie, pułkownika Gouttière.

A co na to Abdallah? Abdallah na to ani słowa. Owszem, kiedy sędzia śledczy odwiedził go w więzieniu i starał się przekonać, że powinien w swoim własnym interesie odzegnać się od zamachów i morderstw niewinnych ludzi, Abdallah wyrzucił go za drzwi wołając: "Lokaj Amerykanów". Abdallah bowiem chciał za wszelką cenę mieć proces polityczny. I miał. Ale z innych powodów niż się spodziewał. I tak zaczęła się sprawa Abdallaha faza trzecia.

Racja stanu a sprawiedliwość

Jak się mianowicie okazało, sąd miał wydać wyrok nie w sprawie "Abdallah versus Francja", a w sprawie racja stanu versus sprawiedliwość. Władze francuskie nie zrezygnowały bowiem z projektu jak najszybszego pozbycia się Abdallaha. Skoro nie udało się, pomyślał ktoś w Paryżu, ukryć sprawy meliny i dowodów na udział Abdallaha w serii krwawych zamachów, to trzeba zrobić wszystko, aby Abdallah otrzymał jak najniższy wyrok i mógł stosunkowo szybko opuścić Francję, no i - bo o to wszak chodziło - położyć kres morderstwu niewinnych Francuzów. Kiedy więc trybunał specjalny w składzie siedmiu sędziów zawodowych, 5 mężczyzn i 2 kobiet, wszyscy na ochotnika, rozpoczął przewód, doszło do dwóch sensacyjnych epizodów, chyba bez precedensu w historii francuskiego sądownictwa.

Jednym z głównych świadków oskarżenia miał być, jak wszyscy przypuszczali, wicedyrektor DST, p. Nart. To bardzo wysoki urzędnik, odpowiedzialny m.in. za odcinek sowiecki, człowiek, o którym mówiono, że zna najwięcej tajemnic we Francji, właściwy operacyjny i zawodowy szef kontrwywiadu, instytucji która odegrała podstawową rolę w śledzeniu Abdallaha, gromadzeniu dowodów jego winy, rozbijaniu całej siatki, likwidowaniu bandy. I tu bomba. P. Nart przystąpił mianowicie do przekonywania sądu, że oskarżony Abdallah to mała płotka, a nie żadna wielka ryba, "mały szef", a nawet "zły szef" - niewielkiego komando, takie nic, właściwie bez znaczenia, ot, skromny wykonawca, nie żaden strateg terroryzmu. Wniosek prosty: nie przesadzajmy, nie rozdmuchujmy afery, sąd nie powinien kreować go na przywódcę, nie warto nad jego sprawą długo się zatrzymywać. Mały wyrok załatwi sprawę. I będzie po krzyku.

P. Nart to nie "mały szef" ani "zły szef", a na pewno nie samobójca, to bardzo poważny francuski policjant. Jego występ w sądzie to nie wielka albo mała improwizacja. Na pewno nie wymyślił sam tej wersji, to nie jego własny scenariusz. To wymyślił ktoś znacznie wyżej. Sąd nie mógł nie zrozumieć aluzji: rząd chce zminimalizować sprawę Abdallaha, pozbyć się faceta, rząd spodziewa się niewielkiego wyroku, sąd powinien oddać rządowi tę małą przysługę. Sąd powinien zrozumieć, że tu chodzi o politykę i że, jak powiedział już zacytowany minister, co prawda nie sprawiedliwości a spraw wewnętrznych Pasqua, tam gdzie zaczyna się polityka, to znaczy racja stanu, tam kończy się demokracja, czyli sprawiedliwość.

Ale p. Nart to był tylko hors d'oeuvre. Wielkie danie dopiero miało nadejść. Po dał je sam prokurator, przedstawiciel, nieprawdaż, państwa, republiki, w której to imieniu domaga się wyroku i wymierzenia sprawiedliwości. P. Pierre Beachlin to nie nowicjusz, ma za sobą długą i bogatą karierę, ma opinię "twardej ręki". Ale w historii umieściła go na trwałe dopiero jego mowa oskarżycielska w procesie Abdallaha.

Oskarżycielska? Ku oświeceniu obecnych sędziów, prasy, całej opinii publicznej

we Francji i w okolicy, p. Baechlin, mimo że jak powiedział zamierzał wystąpić o wyrok odpowiadający całej surowości prawa, postanowił jednak "z ciężkim sercem błagać a nawet zaklinać" sąd o wymierzenie oskarżonemu Abdallahowi kary nie większej niż 10 lat więzienia, co, jak to wykazał szybki rachunek specjalistów, miało umożliwić nie natychmiastowe, ale niezbyt odległe w czasie wypuszczenie Abdallaha z więzienia, a przede wszystkim z Francji. W okolicznościach sprawy Abdallaha, powiedział prokurator, "każde skazanie zamienia oskarżonego w męczennika, a przede wszystkim zamienia męczennika w zakładnika". Sprawiedliwość, powiedział jeszcze p. Baechlin, podpisując akt własnej moralnej abdykacji, "powinna być w stanie, w obliczu kryzysu, zrobić taki użytek ze swych prerogatyw, aby wydać orzeczenie zgodne z interesem wszystkich". To znaczy z racją stanu.

Nikt nie wie, co skłoniło prokuratora do wygłoszenia mowy obrońcy. Żaden z przedstawicieli władz politycznych czy sądowych nie przyznał się do najmniejszej próby wpływania na opinię prokuratora. Można się tylko domyślać, że nie był to, tak jak w przypadku Narta, jego scenariusz własny, że po fiasku, jeżeli nie kompromitacji wiceszefa DST władze po prostu przekonały czy zmusiły prokuratora, który jest wszak urzędnikiem państwowym, do desperackiej próby przekonania sądu, że powinien nie wymierzać sprawiedliwości, a kapitulować przed terrorem, że powinien sądzić niezgodnie z kodeksem karnym, a zgodnie z łamańcami dyplomacji francuskiej, że powinien szukać inspiracji nie w własnym sumieniu, a w racji stanu, i to takiej, jak ją widzi obecny rząd Francji.

Nie udało się. Sąd – jak powiedział pewien prawnik – nie jest od wyrządzania przysług rządowi, a od wymierzania sprawiedliwości. I wymierzył. Narada sędziów trwała tylko 70 minut. Abdallah skazany został na dożywocie, co we Francji, gdzie kara śmierci została zniesiona, stanowi maksymalny wymiar kary. Na tym zakończyła się sprawa Abdallaha fazą trzecią, a zaczęła czwartą.

"Są jeszcze sędziowie" we Francji

Albowiem sprawa Abdallaha nie kończy się na wyroku. Można by właściwie powiedzieć, że się dopiero zaczyna. Choć po wyroku, normalnie biorąc, reszta powinna być milczeniem, w tej sprawie warto i należy jeszcze porozmawiać. Niektóre punkty zastępują na kilka słów refleksji.

Po pierwsze, "są jeszcze sędziowie" we Francji, zauważył ktoś, przypominając słynną odpowiedź młynarza udzieloną Fryderykowi Wielkiemu w sztuce, której nikt już nie pamięta, "Młynarz z Sans-Souci" autora, którego też już nikt nie pamięta, François Andrieux. Pryncypialne stanowisko sądu tłumaczyć można na rozmaite sposoby, ale można także po prostu powiedzieć, że sąd wydał wyrok zgodny z dowodami winy oskarżonego, sumieniem sędziów i ich poczuciem sprawiedliwości. Trzeba to podkreślić, bo, choć nazwiska sędziów, z wyjątkiem prezesa Maurice Colomba, zostały ze zrozumiałych względów utrzymane w tajemnicy, żeby w aktualnej atmosferze zastraszenia i szantażu wydać taki wyrok, trzeba było wykazać spór cywilnej odwagi i zawodowej niezależności.

I tak być powinno. Stawką bowiem był nie los Abdallaha, a los francuskiej demokracji. W latach 1941–1944 sędziowie reżimu Vichy splamili godność i honor francuskiego wymiaru sprawiedliwości, skazując niewinnych, bo tak kazał marszałek Pétain. W roku 1987 sędziowie uratowali honor Francji, bo to na sędziach, sędziach i wymiarze sprawiedliwości właśnie zaciął się mechanizm racji stanu. I tak też być powinno.

Jest to, po drugie, stwierdzenie tym bardziej bezsporne, że wszelka inna postawa sędziów, wszelka uległość wobec racji stanu, która ośmiela się wyznaczać granice demokracji i sprawiedliwości, inaczej mówiąc wszelka kapitulacja byłaby nie tylko haniebna, ale także, jeżeli nie przede wszystkim, nieskuteczna. Ba, działałaby faktycznie na korzyść wroga. Nie są to abstrakcyjne spekulacje. Nie byłoby to wcale

pierwsza kapitulacja władz francuskich. W 1977 roku Francja wypuściła Abu Dauda, autora masakry sportowców izraelskich na igrzyskach olimpijskich w Monachium. Reżyserem Komedii wzięcia Dauda, którego poszukiwały wszystkie policje cywilizowanych krajów, był wtedy – na polecenie prezydenta Giscard d'Estaing – płk Rondot, który dziś także jest doradcą francuskiego MSZ-u. W 1986 roku Francja wypuściła dyskretnie dwóch członków bandy słynnego Abu Nidala, morderców dyrektora biura Organizacji Wyzwolenia Palestyny i jego zastępcy, uznanych wówczas przez ich arabskich braci za zbyt "ugodowych". Mordercy skazani zostali w 1980 roku na 15 lat więzienia, ale wyszli po 6 latach. W imię, naturalnie, racji stanu.

Nie brakowało także do ewentualnej kapitulacji uzasadnienia ideologicznego. Było kilka źródeł inspiracji. Sam Abdallah wygłosił słowo wstępne, z którego bardzo wyraźnie wynikało, iż mordując niewinnych Francuzów, tudzież dyplomatów izraelskich i amerykańskich, biją się oni i jego bracia o wolną, demokratyczną Palestynę. W języku, który my skądś znamy, Abdallah wygłosił swoje credo denuncjujące "zbrodniarzy yankee i ich psy lafcuchowe – syjonistów".

Jego adwokat, Jacques Vergés, zrobił wszystko aby go umocnić w tym mniemaniu. Zdaniem adwokata francuskiego, który, trzeba to przyznać, ma własną bogatą przeszłość "rewolucyjną" /bronił algierskich partyzantów, teraz broni także Klauza Barbie, hitlerowskiego kata Lyonu/, wyrok na Abdallaha jest "wypowiedzeniem wojny światu arabskiemu". Francja, zdaniem adwokata, znalazła się w sprawie Abdallaha w punkcie zwrotnym i wybrała drogę gwałtu. Sprawę Abdallaha wygrały, zdaniem J. Vergésa, Stany Zjednoczone i Izrael. "Nie jestem pewien, powiedział Maitre Vergés, czy Francja jest wśród zwycięzców". Francuska Partia Komunistyczna nie pozostała w tyle, a jakże. Jej stanowisko w sprawie Abdallaha gwarantuje jej dalszy spadek głosów, co – coraz wyraźniej – wydaje się być nadrzędnym celem jej sekretarza generalnego, ulubienca francuskich telewizorów, Georges Marchais. Dla FPK, sąd w Paryżu wydał wyrok zgodny z racją stanu, ale nie Francji, a USA i Izraela. Inaczej mówiąc, FPK stoi na stanowisku, że strzelanie do Amerykanów i Izraelczyków jest zgodne z racją stanu Francji, a zakaz ich odstrzału jest wypowiedzeniem wojny Arabom. Jeszcze dalej poszedł niejaki p. Spitzer, obywatel francuski, członek ruchu oporu i były bojownik o niepodległość Algieru. W piśmie "Le Monde" p. Spitzer porównał mianowicie wyrok na Abdallaha z wyrokami Vichy. Różnica, powiada p. Spitzer, polega tylko na tym, iż wówczas Francuzi żyli pod okupacją hitlerowską, a teraz żyją pod okupacją amerykańską /o izraelskiej zapomina!.

Tak więc sąd uratował Francję od błędu co, jak wiadomo, w polityce się liczy podwójnie: Francja bowiem nosiłaby hańbę kapitulacji, a terroryzm by nie zniknął. Wprost przeciwnie, nic tak nie rozzuchwala terrorystów /miałem już okazję o tym pisać w "Kulturze"/ jak kapitulacja, układy, pobłażliwość, bezkarność. Gdzie jest logika? – jak wołał mój kolega we Lwowie, kiedy go belfer wyrzucił z klasy. – Ja się będę bawił na boisku, a oni muszą kuć. Co miałoby nastąpić po wypuszczeniu Abdallaha? Czy Francja wypuściłaby innych terrorystów? Czy zaproponowałaby taką samą politykę kapitulacji innym państwom Wspólnoty Europejskiej, z którymi związana jest układami m.in. o współpracy w zwalczaniu terroryzmu? Czy, zgodnie z tą logiką, Francja zakazałaby aresztowań terrorystów na swoim terytorium, czy przekształciłaby się w "raj terrorystyczny", tak jak np. Lichtenstein jest "rajem podatkowym"? A jak postąpiłaby Francja z własnymi terrorystami, z właśnie złapanymi po latach poszukiwanymi i po kilkunastu trupach bojówkarzami z Action directe? Czy ich także by wypuściła po "miękkim" wyroku? I dokąd mieliby oni pojechać?

I cynizm i hipokryzja

Nikto nie wie, czy klan Abdallahów nie spróbuje zemścić się na Francji, czy nie zaczną znowu wybuchać bomby na ulicach Paryża. Wiadomo zresztą, że i tak by wybuchały, z powodu Abdallaha albo z innych powodów, których terrorystom nigdy nie brak. Jak już kiedyś pisałem, im nie chodzi o Abdallahów, a o demokrację. Niezależnie jednak od sytuacji i od pretekstów, już od dawna wiadomo, że tchórzostwo nie

popłaca. Historia już nie raz to udowodniła. Na małych i na dużych przykładach. Kapitulacja monachijska opóźniła zagładę tylko o rok. Z perspektywy historycznej nie była to dla państw demokratycznych sukces największy. Ale powinna to była być dobra lekcja. Nie była.

Odważni sędziowie, powiedzieliśmy, uratowali honor Francji, choć przecie odważa to cecha charakteru, a nie reguła prawa karnego. Może i uratowali, ale potwierdza to tylko fakt, że państwo francuskie było skłonne honor ten stracić. Francja, powiedzmy od razu, nie ma monopolu na kłamstwa i hańby polityczne. Prokurator miał rację, kiedy mówił, że "sojusznicy Francji nie mają tytułu do udzielania nam lekcji". Prezydent Reagan tak jak premier Chirac zapewniał wszystkich, że z terrorystami negocjować nie będzie, a przecież po aferze "Irangate" też stanął przed dylematem: przyznać się do kłamstwa, do bredni, do amatorszczyzny w działaniu i na nosić w myśleniu. Nie wyszedł cało z tej operacji, już nigdy Reagan nie będzie taki jak przedtem.

Od początku świata tajemnice państwowe i racje stanu kryły świństwa, pułapki, kłamstwa, zbrodnie. Zacytowana w motto formuła ministra Pasqua istnieje we wszystkich językach, stanowi stałą pokusę wszystkich rządów demokratycznych, bo w niedemokratycznych ustrojach supremacja racji stanu czyli władzy państwa nad obywatelom leży w ich naturze. Na ten delikatny temat wypowiedział się nawet taki specjalista jak Gorbaczow, który tak to określił w rozmowie z grupą pisarzy: "Nie ma demokracja bez przejrzystości, ale nawet demokracja nie załatwi wszystkiego, albowiem bez ograniczeń demokracja staje się anarchią". Ten teoretyczny wkład lokatora Kremla potwierdza, że demokracja ma istotnie racje, których racja stanu nie lubi, nie znosi, omija, ogranicza, zwalcza. Oddaje sprawy państwa w ręce pułkowników, nad którymi nikt nie sprawuje kontroli. Tym razem, w sprawie Abdallah versus demokracja, ostatnie słowo należało nie do pułkownika Narta czy pułkownika Rondot, a na szczęście do sądu. A co będzie, jak sędziów zabraknie, jak padnie ta ostatnia linia obrony? Bernanos, pisarz, którego nie lubię, znalazł trafną formułę dla określenia tego zjawiska. Powiedział on w pamflecie pt. "My, Francuzi": "Demokracje nie mogą się obejść bez hipokryzji, tak jak dyktatury nie mogą się obejść bez cynizmu".

A jak nazwać ustrój, który nie może się obejść ani bez hipokryzji, ani bez cynizmu?

Leopold UNGER

Pisane w Brukseli, 1 kwietnia 1987

"Kultura", lipiec - sierpień 1987

Alain Besançon

PAPIEŻ, POLSKA I POLITYKA

Powiedzmy wprost: wielu ludzi obawiało się, że wizyta Papieża w Polsce przechylili szalę niejednoznacznej sytuacji politycznej w niewłaściwą stronę. Nic takiego się nie stało.

Pucz z 1981 roku, przeprowadzony technicznie bez zarzutu, pozwolił władzy osiągnąć niektóre cele, ale nie wszystkie. Położył jednym zamachem kres nadziejom "Solidarności" na niezawisłość i wolność kraju, Poraził na długie lata społeczeństwo. Poziom życia spadł kilkakrotnie i zbliża się do skrajnego ubóstwa ZSSR. Zanieczyszczenie powietrza i wody osiągnęło poziom katastrofalny, sytuacja sanitarna pogarsza się z każdym dniem. Ludność, uciążona prześladowaniami, zdemoralizowana drobnym kombinatorstwem, zajęta zabiegami o przetrwanie, nie stanowi już, zdaniem Jaruzelskiego, poważnego zagrożenia politycznego. Inny sukces: dzięki warunkowemu zwolnieniu więźniów politycznych Zachód pogodził się z sytuacją.

Zniósł mało dotkliwe sankcje handlowe i godzi się na odraczenie ad calendas nie tylko spłaty potężnego zadłużenia PRL, ale nawet spłaty odsetków od długów.

Nie wszystko się jednak Jaruzelskiemu udało. Tradycyjny od 1945 roku argument komunistów – jeśli my tego nie zrobimy, zrębią to Sowietci. – nie wystarcza już dla legitymizacji reżymu. Okupująca Polskę partia uważana jest za 'obce' ciało niezależnie od tego, czy mówi po rosyjsku, czy po polsku. Pucz nie zdławił – wręcz przeciwnie – zadziwiającej, unikalnej na Wschodzie żywotności inteligencji. Wydawnictwa podziemne to prawdziwy przemysł: książki i czasopisma są sprzedawane i kupowane, kalkuluje się ich cenę i zysk ze sprzedaży. Ludność wprawdzie boi się konkretnych akcji policji, ale głęboki strach typowy dla triumfalnego totalitaryzmu nie istnieje.

Reżymowi pozostaje do rozegrania główna karta: pozyskanie sobie Kościoła katolickiego. Wiadomo powszechnie, że jest to potężna instytucja; że kościoły są wypełnione i seminaria nie narzekają na brak kandydatów. Manewr komunistyczny miałby więc polegać na zepchnięciu Kościoła na równię pochyłą klerykalizmu. Zezwalając na budowę kościołów /ponad tysiąc w ostatnich latach/, polepszając sytuację kleru, zezwalając mu na odprawianie tylu nabożeństw, ile chce i w pewnych granicach na nauczanie, władze zamierzają doprowadzić Kościół do uznania, że jego wolność jest tożsama z wolnością Polski i kiedy jemu dzieje się dobrze, dobrze dzieje się też społeczeństwu polskiemu. Być w Polsce biskupem jest całkiem przyjemnie: na Zachodzie prałaci nie cieszą się taką estymą. Jeśli Kościół zacznie legitymować reżym, Polakom nie pozostanie nic innego jak defilowanie w procesjach pod nabożnymi sztandarami. Aż im się to znudzi.

Taka abdykacja z polityki mogłaby się odwołać do pewnej tradycji politycznej. "Solidarność" nie była partią, lecz ruchem narodowo-wyzwoleńczym. Żywiła złudne przekonanie, że uda jej się albo negocjować z komunistami; albo przechrztyć ich, nie akcentując swych celów politycznych. Konflikt rozgrywał się na gruncie symboli: zamiast żądać niepodległości, "Solidarność" domagała się przywrócenia orła z koroną. Zamiast walczyć o wolne wybory, mobilizowała ludność do walki o dymisję skorpupowanego wojewody. Otóż koncepcja, że można przyprzeć władzę komunistyczną do muru i wywalczyć społeczeństwu obszary wolności bez uciekania się do jasno wytoczonych i otwartej walki politycznej jest dziś ostro krytykowana. Refleksja i praca oświeceniowa, prowadzone od sześciu lat przez działaczy, prasę podziemną i wolne uniwersytety doprowadziły do przebudzenia myśli politycznej.

Sięga ona naturalnie do tradycji przedwojennej i jej dwu głównych nurtów. Określiłmy je nazwiskami ich twórców, Dmowskiego i Piłsudskiego. Dmowski kładł nacisk na jedność etniczną, rasę, krew, ziemię. Nie chciał zaczynać walki o niepodległość zanim nie zostanie skonsolidowana wspólnota moralna. Wspólnotę tę opierał na katolicyzmie i cnotach chrześcijańskich. Wierzył w mityczny spisek żydowski. Za główne niebezpieczeństwo uważał Niemcy – Rosja była jego zdaniem mniejszym złem. We wszystkich tych kwestiach Piłsudski zajmował stanowisko dokładnie odwrotne. Cenił bardziej wspólnotę kultury aniżeli rasy. Był zdecydowanie świecki. Nie bał się wyzwania ciemieńczy do walki na śmierć i życie. Chciał pogodzić Żydów i Polaków. Był przekonany, że niebezpieczeństwo idzie z Rosji.

Nie ulega wątpliwości, że część wysokiej hierarchii kościelnej, z prymasem Gliepmem na czele, rozpoznaje się – przynajmniej częściowo – w wizji Dmowskiego. Ale wielu zwykłych księży, najbliższych wiernych, i wielu biskupów utożsamia się z koncepcją Piłsudskiego.

Władcy Polski spodziewali się, że Papież dokona dzieła pacyfikacji Polaków. Mieli nadzieję na ogólnikowe kazania na temat pokoju, pojednania, rzekomego wspólnego dobra narodu polskiego, reprezentowanego przez Jaruzelskiego. Czekali na kadziłdo, czcze słowa, opium dla ludu. Zamiast nich Jan Paweł II przypomniał prawa człowieka, poparł walkę społeczną chłopów i robotników oraz walkę wszystkich obywateli o własne przedstawicielstwo i wolność. Rzucił słowa rycerskie, zdolne na nowo rozbudzić odwagę narodu, którego życie polityczne jest jeszcze w powija-

kach, który jednak czuje już, że lody, które go skuwają, zaczynają pękać.

Alain BESANÇON

"L'Express" z 19-25 czerwca 1987

/Z francuskiego przełożyła Julia JURYS/

"Kultura", lipiec - sierpień 1987

Wiktor Grotowicz

AUSTRIA

Przyzwyczajeni jesteśmy do tego, że wszystko co nacjonalistyczne, antysemickie i faszystowskie pochodzi z Niemiec, i to zachodnich. Jest to chyba jedyny temat, w którym społeczne odczucia prawie całkowicie zgadzały się /i zgadzają/ z wysiłkami propagandystów Komitetu Centralnego. Nawet w okresie największej nieufności do partyjnych środków masowego przekazu to jedno twierdzenie przyjmowane było jako zgodne z prawdą. Tak zwana afera Waldheima zachwiała nieco tym uproszczonym obrazem.

Wszystko zaczęło się od tego, iż były sekretarz generalny ONZ Kurt Waldheim postanowił kandydować w wyborach na stanowisko prezydenta Austrii. W trakcie kampanii wyborczej okazało się, iż ten "kryształowy dyplomata" nie zawsze był kryształowy. Amerykańskie gazety zaczęły zamieszczać wiadomości o nieścisłościach w biografii Waldheima oraz w dokumentach i formularzach, których - ubiegając się na początku lat 70-tych o tak wysokie stanowisko międzynarodowe - musiał wypełnić niezliczoną ilość. W oskarżeniach, sformułowanych głównie przez Światowy Kongres Żydów, powtarzały się zarzuty nie tylko "nieścisłości", ale także mijania się z prawdą. Waldheim zaprzeczał bowiem, jakoby kiedykolwiek w trakcie służby na Bałkanach wdział na własne oczy partyzanta - słyszał o deportacjach Żydów greckich do obozów oraz osobiście był obecny przy przesłuchaniach członków grup partyzanckich. Jednak z dokumentów, które Kongres jeden po drugim podrzucił prasie wynikało, że Waldheim mylił się co do własnego życiorysu: był bowiem tam, gdzie jak twierdzi nigdy nie był, pełnił funkcje, których według wypełnianych przez niego kwestionariuszy pełnić nie mógł, należał do organizacji, których według własnych deklaracji członkiem nigdy nie miał zamiaru być itd. W momentach szczególnie silnego przyciskania do muru - powoływał się na lukę w pamięci.

W samej Austrii zaczęły dziać się rzeczy dziwne. Otóż jeszcze przed wybuchem całej sprawy specjaliści od public relations w sztabie Waldheima łamali sobie głowy, jak Waldheima przybliżyć austriackim wyborcom. Niestety poza niezbyt udanym pomysłem przebrania na plakatach byłego sekretarza generalnego w ludowy strój sudecki niewiele zdziałano. Dopiero gdy zagranica zaczęła Waldheima obżruczać niezbyt miłymi epitetami, stał się cud. Z dnia na dzień popularność jego rosła w zawrotnym tempie, by na kilka tygodni przed wyborami osiągnąć poziom 60 % wszystkich wyborców. Im głośniejsze były oskarżenia i bardziej jednoznaczne dokumenty, tym popularność dyplomaty większa. Cud ten nie zaskoczył ludzi nieco zorientowanych w dziejach byłego imperium Habsburgów.

Niektórzy historycy uważają Austrię za ojczyznę nowoczesnego faszyzmu, który później tak żyzną głębię znalazł w sąsiednich Niemczech. Szczególnie przełom wieków XIX i XX to okres wzmożonych prześladowań rasowych i rozkwitu ideologii faszystowskiej. Już pod koniec XIX wieku studenckie korporacje wprowadziły w Wiedniu wobec ok. 170-tysięcznej rzeszy Żydów, mieszkających wówczas w stolicy, tzw. paragrafy aryjskie. Ideologia faszystowska była w tym okresie głównie reprezentowana przez środowiska inteligencji. Początek XX wieku to nieustający wzrost antysemi-

tyzmu, a "kwestia żydowska" urasta do pierwszoplanowego problemu państwowego. Owcześniejszy kanclerz z partii chrześcijańsko-socjalistycznej; Seipel, a szczególnie jego partyjny kolega Leopold Kunschak żądają "natychmiastowego wydalenia wszystkich Żydów przybyłych do Austrii po sierpniu 1914 roku", a jeżeli wydalenie nie jest możliwe, to należy Żydów "internować w obozach uchodźców". Kunschak po roku 1945 został przewodniczącym parlamentu Austrii. Bardzo interesującym przyczynkiem do historii austriackiego faszystwu jest sprawa Anschlusu z marca 1938 roku, czyli przyłączenia Austrii do Trzeciej Rzeszy. We wszystkich podręcznikach historii, jak również w oficjalnych dokumentach dotyczących tego okresu /ale pisanych już w czasie Drugiej Republiki/ przyłączenie to nazywa się "brutalnym pogwałceniem suwerenności Austrii przez Hitlera". Rzadko wspomina się o fakcie, iż np. na terenie Marchii Wschodniej /Ostmark/ procent członków NSDAP był większy niż w całym Reichu, a Karyntia uchodziła za "najwierniejszy okręg Fühlera". Według hitlerowskich statystyk w głosowaniu za Anschlussem wypowiedziało się 99,73 % ludności. Oczywiście statystyka ta była sfalszowana, ale według ostrożnych ocen historyków głosów "za" było około 60 %, a manifestacja na cześć Hitlera 15 marca 1938 roku na wiedeńskim Heldenplatz uchodzi do dziś za najliczniejsze zbiegowisko zorganizowane kiedykolwiek przez Austriaków. Socjalista Karl Renner nawoływał wówczas do głosowania za Anschlussem, nazywając go "historycznym krokiem naprzód", co nie przeszkodziło mu w Drugiej Republice zostać kanclerzem. Jeżeli chodzi o Żydów zamieszkałych w Austrii /1,2 miliona na początku wieku/, to o ich losie niech świadczy fakt, iż liczba ich w samym Wiedniu z 220 tysięcy spada tylko do roku 1939 /!/ do 70 tysięcy. Wojnę przeżyło 200. A oto jak Adolf Hitler wspominał kraj rodzinny: "Do Wiednia przyjechałem jako 17-letni człowiek. Wyjeżdżałem z Wiednia jako absolutny antysemita".

Po roku 1939 Austriacy jeszcze nie zaliczali się do "ofiar bestialstwa Hitlera" i brali czynny udział w zdobywaniu przestrzeni życiowej. Na przykład transport 1,7 miliona Żydów do obozów zagłady organizował w sztabie Eichmanna Austriak Franz Nowak, jego rodacy byli komendantami obozów w Treblince, Płaszowie, Lublinie, podobnie jak "likwidatorzy" gett w Wilnie i Rydze. Simon Wiesenthal, kierownik żydowskiego Centrum Dokumentacyjnego w Wiedniu stwierdził, iż obywatele austriaccy są odpowiedzialni za śmierć trzech milionów Żydów w okresie drugiej wojny światowej. Wszystko zmieniło się, gdy losy wojny były już przesądzone. Austria przeskoczyła wtedy nagle z obozu sojuszników Hitlera, do grona jego ofiar, a w tak zwanym "oświadczeniu moskiewskim" z 1943 roku alianci nazwali nawet Austrię "pierwszą ofiarą narodowego socjalizmu". Natychmiast po wkroczeniu wojsk alianckich do Austrii około 10 % ludności /na tyle oceniano aktywność nazistów/ doznało całkowitej amnezji i zaczęło wyciągać ręce po prawa należne ofiarom wojny. Było ich ponad 600 tysięcy i kiedy Amerykanom przyszła jednak do głowy myśl, by akcji "denazyfikacji" poddać także owe 10 %, przerazili się ogromem tej liczby /stanąłby prawie cały kraj i trzeba by było "denazyfikować" połowę rządu i sporą część parlamentu/ i dali sobie spokój. Później przyszła zimna wojna, zapomniano o denazyfikacji, a probierzem lojalności stał się antykomunizm, którego najzacieklejszymi i najstarszymi stażem przedstawicielami byli eks-hitlerowcy.

Okres powojenny także nie uzasadnia żywotności mitu o Austriaku jako "dobrym Niemcu". W Austrii bowiem po "wyzwoleniu" bez porównania więcej byłych nazistów objęło oficjalne stanowiska niż w Niemczech, gdzie proces denazyfikacji przeprowadzany był bez większych wyjątków czy ulg. Lista przedwojennych zwolenników i działaczy faszystowskich, którzy po "wyzwoleniu" brali czynny udział w życiu politycznym i społecznym jest długa i obejmuje prawie wszystkie stanowiska od kanclerza po przewodniczących regionalnych komórek partyjnych. Już późną jesienią 1945 roku Austriacka Partia Ludowa /ÖVP/ domagała się, by byli naziści mogli brać udział w nadchodzących wyborach. Pozostałe partie polityczne /socjalistyczna i komunistyczna/ sprzeciwiły się temu, wiedząc jaką siłę stanowić by mogło ponad pół miliona wyborców wraz z rodzinami. Jednak już w 1949 roku pozwolono "oczyszczonym" byłym zwolennikom NSDAP /na 600 tysięcy, skazano zaledwie 13 tysięcy/ wyrazić oficjalnie swoje zdanie co do sympatii politycznych. Powychodzili oni w skład tak socjalistów jak i partii konserwatywnej, ale głównym ich przedstawicielstwem stał się

utworzony w 1949 roku na wniosek ministra spraw wewnętrznych /socjalisty/ Helmera Związek Niezależnych /Verband der Unabhängigen/, który z miejsca zdobył popularność obliczaną na 12 % mieszkańców Austrii, czyli o 2 % więcej niż dziesięć lat wcześniej NSDAP. Związek na skutek wewnętrznych sporów bardzo szybko przestał istnieć, przemieniając się w Austriacką Partię Wolnościową /FPÖ/. Partia ta szczególnie zasługuje na uwagę nie tylko ze względu na wysoki procent byłych faszystów w swoich szeregach, ale przede wszystkim z uwagi na stanowiska, jakie zajmowali jej działacze. Tak np. długoletni przewodniczący FPÖ Friedrich Peter nie tylko nie krył się z własną przynależnością do SS, ale podkreślał jeszcze, że wstąpił tam dobrowolnie, czego absolutnie nie żałuje, tak jak nie żałuje masowych egzekucji, jakich dokonywała jego jednostka na Żydach w ZSSR. "Najwierniejszym okręgiem" zgodnie z tradycją pozostała Karyntia, gdzie czołowym działaczem był eks-Sturmführer SA Otto Scrinzi, określający swój światopogląd polityczny jako "zawsze na prawo, nawet od NSDAP". Brał on udział w wyborach prezydenckich, w których kandydował Waldheim; co prawda wygrał lepszy, ale Scrinzi ze swoim "na prawo od NSDAP" zdołał jednak zebrać wystarczającą ilość podpisów, by wystawić własną kandydaturę. Również tak znany i powszechnie posadzany o tendencje pokojowo-lewicowe pierwszy kanclerz Austrii żydowskiego pochodzenia, Bruno Kreisky, nie oparł się urokowi byłych członków NSDAP i kilku z nich umieścił we własnym rządzie, między innymi członka SS Öllingera jako ministra rolnictwa, a wychowanka elitarniej szkoły faszystów Napola i członka NSDAP Otto Röscha jako ministra spraw wewnętrznych /!/ a później obrony. Kreisky'emu zdarzały się też niezbyt dyplomatyczne, ale za to bardzo popularne wśród paru jego ministrów wypowiedzi, jak na przykład ta o Żydach jako "marnym narodzie" /mieses Volk/. Nic dziwnego, że w Austrii związki byłych nazistów oraz młodszych neofaszystów nie narzekają na brak kandydatów. Liczbę tego typu zrzeszeń oblicza się na około 50 /np. Austriacki Związek Towarzyszy Broni - Österreichischer Kameradschaftsbund - zrzesza około 300 tysięcy członków, w tym 50 tysięcy poniżej 30 lat/. Najbardziej spektakularnym gestem w stronę brunatnej przeszłości było oficjalne powitanie urządzone przez urzędującego ministra obrony Republiki Austriackiej, członka FPÖ Friedhelma Erišchenschlagera powracającemu z więzienia we Włoszech zbrodniarzowi wojennemu Walterowi Rederowi. Najbardziej znanym natomiast przedstawicielem tego odłamu FPÖ jest były przewodniczący oddziału tej partii w Karyntii, Jörg Heider. Ten 36-letni polityk zrobił w ostatnim czasie zawrotną karierę i określany jest dziś przez własnych zwolenników jako "najbardziej uzdolniony polityk Austrii". Jego droga polityczna wiodła od organizacji studenckiej poprzez stanowisko rzeczownika FPÖ w parlamencie do spraw socjalnych /był wtedy bardzo lewicowy/, później stołek przewodniczącego Karyntii, aż do najwyższej pozycji w partyjnej drabinie - przewodniczącego całej FPÖ. Jego wypowiedzi na różnych wiecach i zebraniach są tyleż chaotyczne co nacjonalistyczne. Mówi o wszystkim i do wszystkiego potrafi się ustosunkować. Wie przede wszystkim; co chcą usłyszeć wyborcy i mówi im to. "Brzymim przekonaniem, stosując najbardziej prymitywne chwyt propagandowe. W Karyntii popularność jego jest ogromna. Ludzie kochają go za to, że porusza najbardziej trapiące ich problemy. W Karyntii problemem takim jest mniejszość narodowa Słowenców, którym Heider zarzuca przy ogromnym pokłasku niemieckiej większości "działalność na zlecenie jugosłowiańskiej macierzy" oraz twierdzi, iż południowa Austria dopiero wtedy będzie "wolna, gdy stanie się niemieckim krajem" /Heider ma duży respekt przed Niemcami - w jednym z pierwszych swoich przemówień w życiu rozwoził się na temat "Czy my Austriacy jesteśmy Niemcami?", sam sobie odpowiadając: "Jawohl, wir sind es!"/. W wystąpieniach przedwyborczych wspominał też coś o "czystości narodowej", "zdrowym członie", "wspaniałej tradycji ojców" itp. Stwierdził również, że uczuć narodowych nie należy pozostawiać jedynie w gestii starych nazistów. Młodzi też chcą coś na ten temat powiedzieć. We wrześniu 1986 roku zdecydowaną większość głosów wybrano go na przewodniczącego FPÖ. Zmiana na stanowisku przewodniczącego spowodowała kryzys rządowy, jako że rządzący socjaliści nie chcieli mieć nic wspólnego z fetowanym przez lud Heiderem. Rozpisano nowe wybory i... ponownie stał się cud. Partia z Heiderem na czele uzyskała nieprawdopodobny wynik: podwoiła się liczba wyborców przekonanych o słuszności jej politycznej

linii. Z niecałych 5 % stan jej posiadania wzrósł do prawie 10 %, co pozwoli na zwiększenie w parlamencie liczby posłów FPÖ z 12 do 18. Podobnego sukcesu nie odniósł w ostatnich latach żaden polityk austriacki. Dodać jeszcze należy, że Heider jest nie tylko najpopularniejszym politykiem Austrii, ale również najbogatszym.

Jak z tego przeglądu widać, "syndrom Waldheima" nie jest ani zaskakujący, ani tym bardziej niezrozumiały. W przypadku obecnego prezydenta Austrii pozostaje jeszcze jedna zagadka do rozwiązania. Dlaczego tych wszystkich dokumentów nie opublikowano wcześniej, w latach 70-tych, kiedy Waldheim pełnił funkcję przewodniczącego ONZ? Jak się wydaje, w całą tę historię bardzo zaangażowany był Związek Sowiecki, który zdawał sobie sprawę, iż przeforsowanie kandydatury "własnego" generalnego sekretarza ONZ jest wykluczone z powodu wymaganej jedności stron głosujących. Trzeba więc było rozejrzeć się za kandydatem "neutralnym", który byłby do przyjęcia przez państwa zachodnie i jednocześnie spełniał usługową rolę wobec ZSSR. Waldheim nadawał się do tego znakomicie. Jak wynika z publikacji, które ukazały się po wybuchu skandalu, wszczęte postępowanie "denazyfikacyjne" wobec Waldheima nie zostało nigdy zakończone i jak w przypadku tysięcy podobnych mu Austriaków umorzone i puszczone w niepamięć. Przy wyborze w 1971 roku na stanowisko sekretarza ONZ państwa zachodnie nie miały większych zastrzeżeń do Waldheima, jako że w jego dokumentach przynależność do SA i narodowosocjalistycznego związku studentów została "zredukowana" do członkostwa w korpusie kawalerii, co nawet Amerykanom wydawało się raczej niewinne. Kompletne dokumenty dotyczące przeszłości Waldheima zachowały się jedynie w archiwach wywiadu Jugosławii /od grudnia 1947 roku nazwisko Waldheima figuruje na liście przestępców wojennych sporządzonej przez jugosłowiańskie władze pod numerem 724/ oraz KGB. Przeciaki z tych źródeł i odblokowanie innych /np. archiwum ONZ/ umożliwiło Kongresowi Żydów sformułowanie oskarżeń. Waldheim ze swej strony już wcześniej wykazał, że ZSSR może na niego liczyć, a przynajmniej może spodziewać się po nim decyzji nie wchodzących w parady polityczne zagranicznej Kremla, szczególnie w okresach kryzysowych. Dopiero teraz, po dwudziestu prawie latach, wysłała na jaw działalność Waldheima w okresie Praskiej Wiosny, kiedy pełnił funkcję ministra spraw zagranicznych Austrii. W sierpniu 1968 roku w ambasadzie austriackiej w Pradze leżały tysiące podań o wizę. W budynku ambasady koczowało kilka setek osób oczekujących na decyzję w sprawie możliwości opuszczenia okupowanego kraju. W tym czasie Waldheim jako minister spraw zagranicznych wydał polecenie, by ambasadę zamknąć i "wpuścić tylko ludzi z paszportami austriackimi", a "aktualnie znajdujący się w budynku ambasady obywatela czechosłowaccy powinni zostać nakłonieni do jego opuszczenia". Na szczęście do realizacji tego polecenia nie doszło. Ówczesny ambasador w CSRR i późniejszy prezydent Austrii /po którym urząd objął właśnie ostatnio Waldheim/ Kirchschräger nie zastosował się do polecenia przełożonego i wydawał dziennie ok. 5.000 wiz wjazdowych. Waldheim nie przypomina sobie oczywiście całej sprawy i twierdzi, że polecenia takiego nigdy nie wydał. Gdy gazety niemieckie wydrukowały zdjęcie owego polecenia z własnoręcznym jego podpisem, Waldheim nadal nie mógł sobie przypomnieć takiego zdarzenia, jak również własnego oświadczenia stwierdzającego, iż Austria jako kraj sąsiadujący z okupowaną Czechosłowacją absolutnie nie czuje się zagrożona obecnością czołgów Układu Warszawskiego w Pradze. Tego typu zachowanie w ciężkich chwilach dla sowieckiego imperium nie mogło ująć uwadze Kremla i Moskwa postanowiła trzy lata później poprzeć kandydaturę Waldheima w ONZ, by przypomnieć mu w stosownej chwili o pewnych dawno zapomnianych już dokumentach. O staraniach sowieckich w tej sprawie świadczy fakt, iż Rosjanie zablokowali dwie inne kandydatury na to stanowisko, kandydatury osób zupełnie neutralnych i z punktu widzenia interesów sowieckich zupełnie nieszkodliwych /fiński ambasador przy ONZ Max Jakobson oraz Argentyńczyk Ortiz de Rozas/. Jednak ZSSR uparł się przy kandydaturze Waldheima i po początkowych sprzeciwach Wielkiej Brytanii i Chin został on mianowany na to stanowisko. Jednym z pierwszych posunięć nowego sekretarza ONZ było podniesienie liczby sowieckich urzędników w tej organizacji do 250 /na 4.000 stanowisk, które podlegały gestii Waldheima/.

Profaszystowskie nastroje spowodowane są w Austrii, jak twierdzą znawcy psy-

chologii tłumu, faktem, że Austria nigdy właściwie nie została zmuszona do konfrontacji z własną przeszłością. Zmiana statusu z sojusznika na ofiarę najeźdźcy zaprzęcała możliwość wglądu w nienajjaśniejsze karty własnej historii. Austriacy zapomnieli po prostu, co się z nimi działo i przede wszystkim co sami zdziałali w latach poprzedzających klęskę Hitlera.

Wiktor GROŹOWICZ

"Kultura", wrzesień 1987

Zbigniew Byrski

KONGRES I WŁADZA WYKONAWCZA W USA

Artykuł ten piszę 29 lipca 1987 roku. Za fasadą widowiska, które od przeszło trzech tygodni rozgrywa się na kolejnych sesjach Komisji Kongresowej, kryje się niezmiernie ważny problem. Postać ppłk. Olivera Northa i gwałtowna eksplozja jego popularności sygnalizują pewne sprawy, które nie dotarły jeszcze do opinii publicznej. Albowiem to, o czym Oliver North daje pośrednio znać swoimi wystąpieniami – to głęboki kryzys systemu demokratycznego w Ameryce.

Już po raz drugi w przeciągu krótkiego czasu władza wykonawcza w Stanach działa potajemnie i wbrew Kongresowi, czyli nielegalnie i niekonstytucyjnie. Wynika stąd, że proces demokratyczny – jeśli chodzi o harmonijne, a w każdym razie nie przeszkadzające sobie wzajemne działanie władzy wykonawczej i ustawodawczej – jest nie do utrzymania. Ten proces demokratyczny trzeba w wielu sytuacjach omijać, przeprowadzając pewne sprawy bez wiedzy instytucji parlamentarnych. Jest wielkim nieporozumieniem, że opinia liberalna widzi w tym tylko karygodne łamanie prawa przez administrację, którego sprawcy powinni być ukarani i usunięci, a nie dostrzega głębokiego kryzysu całego systemu. W realnej sytuacji, jaka trwa od sześciu lat w Stanach, ujawnione przed komisją kongresową fakty działania bez wiedzy Kongresu nie są defektami ustroju. Przeciwnie, są jego klapami bezpieczeństwa, które otwierają się w pewnych krytycznych momentach. Takich krytycznych momentów będzie coraz więcej, zwłaszcza przy rozszerzającej się konfrontacji z Sowietami i ich sojusznikami. Brzmi to paradoksalnie, ale w konkretnych amerykańskich warunkach, żeby zachować system jako fundament ustroju, trzeba go od czasu do czasu omijać, żeby nie rzec po prostu – gwałcić. Okazuje się że demokracja, która nie jest w stanie bronić samej siebie na własnym terytorium, a na świecie – szczególnie w najżywniejszych interesach, zaczyna mieć wątpliwą wartość. Wiedzieliśmy o tym od dawna. Churchill, gdy nazwał demokrację parlamentarną systemem bardzo złym, ale najlepszym z istniejących, nie miał na myśli w szczególności Stanów. Rzecz jednak w tym, że demokracja amerykańska funkcjonuje jeszcze gorzej od brytyjskiej lub francuskiej, ponieważ swymi fundamentami tkwi w wieku XVIII, kiedy naród drobnych kupców, myślicieli i rzemieślników stworzył system praw jak na owe czasy niezmiernie postępowy. Poprawianie amerykańskiej konstytucji jest rzeczą arcytrudną i wymaga latami trwającej procedury. Dlatego metoda jej cichego gwałcenia, które potem staje się głośne, okazuje się czasem jedynym środkiem, żeby neutralizować absurdalne konsekwencje amerykańskiej demokracji.

Nienależycie działający wymiar sprawiedliwości i niewydolność policji, hamowanej surowymi restrykcjami, uwzględniającymi przede wszystkim prawa obywatelskie Amerykanina, paraliżują ich działanie i zmuszają obywateli do przejmowania funkcji pewnych organów publicznych w swoje ręce /tzw. vigilanti^x/. Tak samo mają się

^x Jeden z kilku przykładów: w związku z rozszerzającymi się napadami na pasażerów kolei podziemnej w Nowym Jorku i całkowitej bezradności policji, w połowie lat

sprawy na centralnym szczeblu zarządzania. Sprzeczność między obroną demokracji przed wrogami wewnętrznymi i zewnętrznymi a istotą demokracji, która tę obronę utrudnia, doprowadza do coraz ostrzejszych konfliktów w samej Ameryce. Coraz wyraźniej widać, że to właśnie jest treścią różnic politycznych między tzw. liberalną lewicą a ugrupowaniami neokonserwatywnymi. Kluczowym problemem jest tu deformacja, jakiej ulegają instytucje parlamentarne w toku rozwoju kapitalistycznych państw przemysłowych. Z wielu przyczyn przemiany te najbardziej uderzają w Stanach. Wydaje mi się że ani na prawicy, ani na liberalnej lewicy nikt nie zamierza kwestionować demokratycznej praworządności jako zasady rządzenia, ponieważ alternatywą byłaby kapitalistyczna dyktatura lub anarchia. Chodzi o to, gdzie jest granica absurdu i w jakim momencie demokracja w obronie swych nietykalnych pryncypiów popełnia samobójstwo. Ten proces samobójczy trwa od dawna i wiele publikacji na ten temat ukazało się w ciągu ostatnich kilkunastu lat. Nikt, komu na sercu leży przyszłość tego kraju, a z nim prawdopodobnie cywilizacji zachodniej, nie zaproponuje dyktatury, której główną "zaletą" w odróżnieniu od systemów totalitarnych jest jej niertwałość, czyli względnie łatwa usuwalność. Tego typu legitymacja mówi sama za siebie.

Nie mam wielkiego kultu dla ludowładztwa w jakiejś bardziej "czystszej" czy bezpośredniej postaci w państwach typu USA, ponieważ nie sądzę, żeby to było możliwe. Zresztą nie myślę, aby pragnęli tego sami Amerykanie. Skądinąd o ludowładztwie nie ma już dawno mowy w Ameryce. Tzw. reprezentanci ludu byli przecież jeszcze na bardzo długo przed rozprzestrzenieniem elektronicznych środków przekazu najwyczajniejszymi zawodowcami, których profesją było siedzenie w salach kongresowych i komisjach i pilnowanie władzy wykonawczej, żeby nie naruszała stworzonych przez nich praw. Ponieważ w ostatnim ćwierćwieczu, w okresie wzmoczonej ekspansji Sowietów, władza wykonawcza, skoncentrowana w rękach urzędującego prezydenta, krępowała coraz to nowymi uchwałami przez Kongres, nie mogła z wieloma inicjatywami wystąpić jawnie, robiła to kilkakrotnie bez zgody Izb - potajemnie.

Sprawa wymiany zakładników na broń dla rzekomo prozachodniej frakcji w Iranie, w praktyce dokonana za zgodą ayatolli, pomyślana była głupio i głupio wykonana. Można by wobec tego sądzić, że obstrukcja ze strony Kongresu, gdyby o tym wiedział, byłaby bardzo pożądana. Otóż nie sądzę, ponieważ Kongresowi, a głównie większości demokratycznej, nie tyle chodziło o to, co Reagan robi, ale jak robi. A tu głównym kamieniem obrazy było niekonsultowanie izb ustawodawczych. Jeśli zaś chodzi nie o prawną, a o polityczną materię, to dominującą frakcję w Kongresie zabolala nie wymiana zakładników na broń - najbardziej kompromitująca część operacji - ale przekazanie pomocy finansowej na rzecz partyzantów w Nikaragui, pospolicie zwanych "contras". W ten sposób Kongres ustawił się w roli instytucji - zresztą nie od dzisiaj - której nacelnym zadaniem jest ochrona obywateli przed utratą życia, wszelako tak, by przy tym nie zostały ograniczone swobody innych obywateli. W sprawach wewnętrznych jest to cel nie do osiągnięcia. Jeśli zaś chodzi o politykę międzynarodową, jest to zupełnie możliwe, ponieważ ochrona życia mieszkańców tego kraju nie implikuje obrony przed zagrożeniem narodu. Naród - słowo w ogóle dość trudne do

70-tych zorganizowała się samorzutnie liczna grupa młodych ludzi, zarówno białych jak czarnych, pod kierownictwem Johna Slivy, który nie starał się - nie było to zresztą w jego mocy - przejmować funkcji policji, czuwającej nad bezpieczeństwem w nowojorskich "subwayach". Sliva próbował stworzyć ze swych ochotniczych grup organ pomocniczy, nie obciążając budżetu miejskiego. Reakcja władz miejskich była niezmiernie charakterystyczna. Instytucja vigilanti została potępiona przez burmistrza i radę miejską. Do kampanii przyłączyła się prasa i telewizja, uważając że lepiej być w koleji podziemnej obrabowanym, niż oddawać się pod opiekę inicjatywy społecznej, nawet jeśli ochotnicza organizacja poddaje się dyktatkom oficjalnego establishmentu. Rada Miejska wybrana w demokratycznych wyborach dbała przede wszystkim o swe interesy zawodowe, a nie o bezpieczeństwo tych, którzy ją wybrali. Sytuacja ta przypomina obecnie postawę członków Kongresu, którzy dbają przede wszystkim o swe prerogatywy ustawodawców.

zdefiniowania, które prawdopodobnie w zależności od światopoglądu i rozeznania polityczno-historycznych ma wiele znaczeń – jest pojęciem szczególnie rozciągniętym w Ameryce. Jeśli którykolwiek z poprzednich prezydentów w ostatnim 30-leciu, w oparciu o tradycyjne pojęcie narodu lub ojczyzny, próbował podejmować ochronę jego interesów, na ogół zresztą bardzo tchórzliwie i niekonsekwentnie, ale mogąc narazić Stany albo Sowietom albo wpływowej grupie krajów Trzeciego Świata, prawie zawsze napotykał na gwałtowny sprzeciw demokratycznych ugrupowań w Kongresie. Innymi słowy nie dało się tego przeprowadzić w ramach istniejącego systemu konstytucyjnego. Mając poparcie obydwu Izb, demokratyczną procedurę zachował tylko poprzedni prezydent, Jimmy Carter, doprowadzając do skutecznego rozbrojenia Ameryki. Ocknął się dopiero po inwazji Sowietów na Afganistan.

*

W czasie ostatnich przesłuchiwań kongresowych przedmiotem generalnego ataku był z natury rzeczy prezydent, będący w ustawicznym konflikcie z większością demokratyczną w Izbie Reprezentantów, a obecnie również w Senacie. W kontekście sprawy, nad którą toczy się dyskusja, główny ogień skierowano w stronę Narodowej Rady Bezpieczeństwa. Ona była instrumentem w przeprowadzaniu tych pomyślnych operacji irańskich i transakcji finansowych na rzecz partyzantów w Nikaragui, bardzo zresztą pożytecznych z punktu widzenia walki z komunizmem. Oczywiście z tej konfrontacji z komisją, w której bezpośrednio nie bierze udziału, prezydent nie może wyjść obroną ręką. Ci, którzy w czasie przesłuchiwań biorą na siebie winę, by chronić prezydenta, mogą budzić sympatię. Nie może natomiast wzbudzać dla siebie przyjaznych uczuć ten, kto zwalnia swych podkomendnych twierdząc, że o niczym nie wiedział, bo gdyby wiedział, nie dopuściłby do łamania prawa. To, że prezydent kłam, nie budzi wątpliwości. Różnica między nim a ppłk. Oliverem Northem jest taka, że North do kłamstw się przynajmniej, by ratować prezydenta, a prezydent czyni wszystko, by ratować siebie. To, co pogrąża prezydenta w opinii publicznej, to nie zarzut, że działał poza izbami ustawodawczymi i wprowadzał je w błąd – o to Amerykanie wcale nie zgłaszają pretensji, ani mając szczególno go kultu ani dla konstytucji, ani dla zawodowych polityków. Pogrąża go fakt, że za żadną cenę nie chce się przyznać do kłamstw. W tym celu poświęca ludzi, których dzielność, odwaga i rozum czyni moralnie bardziejże wartościowymi od niego samego. Stał w pierwszych dniach działalności komisji pochopna i spontaniczna akcja, by wysunąć na republikańskiego kandydata w przyszłych wyborach prezydenckich Olivera Northa. North odrzucił tę niepoważną propozycję, dając tym dodatkowy dowód swej politycznej dojrzałości. Otrzymując codzienne raporty z sesji komisji, Reagan wie, że od samego początku głównym oskarżonym jest on sam. Reagan nie broni urzędu prezydenckiego. Broni siebie samego. Miałby szanse, żeby tę walkę wygrać, gdyby otwarcie przyznał, że oparty na archaicznej konstytucji wzajemny stosunek pomiędzy władzą wykonawczą a ustawodawczą musi ulec rewizji, że innymi słowy komisja ma nie tyle do czynienia z nadużyciem władzy, ile z kryzysem konstytucyjnym i że tu tkwi sedno sprawy. Takim oświadczeniem nie zjednałby sobie Izb Ustawodawczych, ale trafiłby ponad ich głowy do publiczności. Ale tego nie czyni, bo nie starcza mu odwagi.

Oliver North, który zdaje sobie doskonale sprawę ze słabości amerykańskiego systemu konstytucyjnego, również nie wazy się go otwarcie krytykować. Mówi tylko o tym, jak ryzykowne jest powiadamianie przywódców Kongresu o planowanych operacjach, wymagających absolutnej tajemnicy. Jako przykład zacytował atak na Libię. To, że tego samego dnia, w którym miał nastąpić amerykański atak, miał wieczorem przemawiać o Libii prezydent, postanowiono zachować w ścisłym sekrecie. Ponieważ przywódca większości demokratycznej w Senacie, Byrd, przekazał tę wiadomość prasie na szereg godzin przed operacją – informacja ta dotarła do ppłk. Kadafiego – powiedział North. – Straciliśmy atut operacyjny, gdyż przywódca libijski wiedział już, że planowana jest jakaś akcja przeciwko niemu.

Ppłk North, który w wyniku swej antykonstytucyjnej działalności miał stanąć przed sądem, a przede wszystkim znaleźć się pod pręgierzem opinii publicznej Ameryki, zdobył w ciągu kilku dni niebywałą popularność. Zaktywizował u znacznej

części przeciętnych Amerykanów drzemący w nich kult dla elementarnych cnót ludzkich, jakimi są patriotyzm i odwaga żołnierska. Amerykanie okazali uznanie i podziw dla tych cech charakteru, których lata sześćdziesiąte nie wymazały z ich serc. Szok wietnamski tylko je przytłumił. Obecnie rozszerzyły się na nowo. Jest to ważne nie tylko dla Ameryki i dla świata, ale pośrednio i dla Polski. To prawda, że osobisty urok Northa i jego męski wygląd są częścią jego charyzmy. Myślę jednak, że jest to atut, który w niczym nie osłabia jego roli. To prawda, że niektórzy wielbiciele Olivera Northa i walorów moralnych, które w ich oczach personifikuje, mają słabe rozeznanie polityczne i mogli w życiu nie słyszeć słowa "sandynista". Znajomość politycznej terminologii nie jest jednak koniecznym warunkiem dla rozpoznania niebezpieczeństwa sowieckiego.

Datujący się od szeregu lat renesans neokonserwatyizmu w Stanach, którego bynajmniej nie odzwierciedla skład Kongresu, ma niebtahe znaczenie dla wzbudzenia nastrojów antykomunistycznych. Logicznym tego następstwem jest fakt, że liberalna lewica usiłuje popularność Olivera Northa zredukować do minimum. Oczywiście nie frontalnym atakiem. Cdyby tego próbowali, naraziliby się bardzo publiczności. Mass media starają się postać Northa rozcieńczyć. Proponują go do filmu, twierdząc, że posiada wymarzone zalety na gwiazdora. Wspominają o kontrakcie powieściowym. Podsuwają mu pokusę, aby swoją popularność i być może misję, którą w sobie czuje, zamienił na "wagę obiegową" tego kraju. Nie znają innych wartości. Jednym słowem usiłują go sprowadzić do roli meteora, który nie pozostawi po sobie żadnego śladu. To są życzenia ludzi, którzy od lat zapanowali nad tym krajem, powodując, że jedynym pragnieniem tego wielkiego niegdyś narodu jest obecnie spokój, bezpieczeństwo i niedrażnienie sowieckiego kolosa. Na szczęście nie wszyscy Amerykanie popadli w ten stan i dużo zależy od samego Northa, by nie dał się zniszczyć. Intelktualiści uniwersyteccy, komentatorzy prasowi i telewizyjni, przedstawiciele Zjednoczonych Chrześcijańskich Kościołów złączeni we wspólnym froncie wspomagają "sowieckie cele pokojowe" czyli pax sovietica. Od Northa, który podziała jak detonator antysowieckich nastrojów, w jakimś stopniu zależy, czy Amerykanie ockną się i dostrzegą niebezpieczeństwo komunizmu bez kurationi wstrząsowej, jaką będzie wojna, która w obecnych warunkach może zakończyć się tylko klęską Zachodu. Myślę, że taka szansa istnieje, że Ameryka znalazła się w przełomowym momencie swej historii. Nadzieję swoją opieram między innymi na rozeznaniu niezmiernie ubogiej wyobraźni intelektualnych przywódców amerykańskiego establishmentu. Tak jak nigdy nie potrafili zrozumieć czym są Sowiety, tak i obecnie nie mieści się w ich głowach, by naród amerykański pod wpływem przypadkowego splotu wydarzeń uprzytomnił sobie groźbę sowieckiego niebezpieczeństwa.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 30 lipca 1987

"Kultura", październik 1987

Leopold Unger

WIDZIANE Z BRUKSELI

POŁAWIACZE MIN CZY POŁAWIACZE PEREL

"Hormuz to wielkie i piękne miasto nad morzem, rządzone przez malika, któremu podlega wiele miast i osad. Tutejsi mieszkańcy to Saraceni, którzy modlą się do Mahometa". Tak w roku pańskim 1270 widział w skrócie Ormuz Marco Polo. Dziś

nie zostało z dawnej świetności nic poza ruinami fortu. Na tej biednej wyspie mieszka 2.140 Persów, do których należy doliczyć nieokreśloną i zmienną ilość "strażników rewolucji" islamskiej. Tylko Mahomet jest ten sam, chociaż niektórzy twierdzą, że i on zmienił się bard. o od czasów Marco Polo. Ormuz stanowi wrota, przez które szedł handel Chin i Indii, a miejscowa flota broniła cieśniny przed niewiernymi. Najnowsze zdobycze technologii, to znaczy armaty, pozwoliły jednak niewielkiej flocie portugalskiej pod wodzą Alfonsa de Albuquerque zniszczyć muzułmańską armadę i zająć w 1515 roku miasto Ormuz i okolice. Trwało jeszcze wiek, zanim integrści brytyjscy wysadzili portugalskich katolików. Po czym, aż do niedawna, o Ormuzie świat zapomniał. Dziś wiadomo już, że świat postąpił nieostrożnie. Nie wiadomo natomiast, czy poza geografiją świat się czegoś nauczył.

*

Po mojej lewej ręce Związki sowieckich socjalistycznych republik, materialistyczna super-potęga, gdzie propaganda ateistyczna w ogóle, a antymuzułmańska w szczególności, figuruje bardzo wysoko na liście zadań bojowych rządzącej partii komunistycznej. Laickie państwo, które uważa Pana Boga za osobistego wroga, a religie za opium i truciznę narodu, prowadzi bezlitosną wojnę przeciwko muzułmańskiemu ludowi w Afganistanie, a ponadto jest jednym z głównych, jeżeli nie głównym dostawcą broni dla Iraku...

Po mojej prawej ręce Iran, państwo teokratyczne, którego najszczytniejszy cel stanowi męczeństwo, eksport rewolucji muzułmańskiej w jej najbardziej fanatycznym, to znaczy szyickim, wydaniu - nawet, jeżeli nie przede wszystkim, poprzez wojny z innymi państwami nieco innego islamu jak Irak czy Arabia Saudyjska i dla którego do niedawna Związek Sowiecki był, tak jak ciągle są Stany Zjednoczone, "wielkim szatanem", wrogiem na śmierć i życie, a raczej tylko na śmierć...

Wydawać by się więc mogło, że takie dwie ręce nigdy się nie zjedną, że jakikolwiek związek między nimi jest sprzeczny z naturą, że - jak mawiał Kipling - "Wschód to Wschód, a Zachód to Zachód, and never the twain shall meet". A jednak...

"Nawet się uśmiechnął..."

Zacznijmy od krótkiego wstępu historycznego. Żeby nie nużyć, nie będziemy sięgać do XIX wieku, ani do drugiej wojny światowej, ani nawet do bardzo intymnych stosunków Kremla z szachinżachem. Przejdźmy od razu do ajatoli Chomeiniego i do chwili, kiedy dobrze podkarmiony gościnnością francuską, ów Lenin islamu wylądował na pokładzie specjalnego Boeinga Air France I lutego 1979 roku w Teheranie. Powitały go, jak pamiętamy, tłumy wiernych oraz - czego może nie pamiętamy - wielkie nadzieje ZSSR.

Moskwa bardzo się pospieszyła i uznała nowy Iran 13 lutego 1979 roku, tzn. dokładnie w dniu proklamowania republiki islamskiej. Władimir Winogradow był wtedy ambasadorem sowieckim w Teheranie i z dumą opowiada w swych wspomnieniach, jak to Chomeini, choć wszak prorok, który w zasadzie nie przyjmował ambasadatorów z granicznych, dla ZSSR zrobił wyjątek i rozmawiał z Winogradowem ponad godzinę w jednej ze szkół w Teheranie już 24 lutego. Chomeini, opowiada ambasador, "nawet się uśmiechał i uściśnął mi dłoń, choć - jak się później dowiedziałem - na ogół tego unikał". Rozmowa toczyła się głównie, wokół formuły zaproponowanej przez Winogradowa na temat możliwości przyjaznych stosunków obu sąsiadujących krajów, których ustroje są zbudowane na rewolucyjnych fundamentach.

"Fundamenty" Chomeiniego budziły od początku wyjątkowe pożądanie w Moskwie. Chomeini bowiem był przede wszystkim antyamerykański, żeby wspomnieć tylko o zajęciu ambasady USA i wzięciu dyplomatów jako zakładników. Rewolucyjny ZSSR pomagał więc rewolucyjnemu Iranowi w budowaniu zrębów. Dwa tysiące sowieckich specjalistów od bardzo różnych rzeczy pracowało w Iranie, w tym specjalna grupa organizująca, przy bratniej współpracy fachowców z NRD, instytucję zwaną "Sawa-

ma" - to znaczy tajną policję ajatolów, przy której nie mniej osławiona "Sawak", funkcjonująca za szacha, mogłaby pretendować do rangi szkółki dla dzieci.

Nadzieje teoretyków z Kremla, którzy spodziewali się szybkiej socjalizacji Iranu, bardzo szybko się jednak rozwiały. Islamizacja była szybsza. Utrwalenie się teokracji w Iranie, wyeliminowanie - także fizyczne - elementów "burżuazyjno-demokratycznych", otworzyło drugą fazę zygzaku w postawie ZSSR. Fanatyzm szyicki przybrał takie formy i rozmiary, że groził już nie tylko usunięciem Ameryki i destabilizacją rejonu Środkowego Wschodu, co leżało - jak każda destabilizacja - w interesie ZSSR, ale zaczął zagładać poprzęż granicę sowiecką do środka, zwłaszcza do Azji środkowej, gdzie żyje około 50 milionów sowieckich muzułmanów, w ogromnej większości sunnitów i do Azerbejdżanu, gdzie - przypadek szczególny - większość mieszkańców jest szyicka: Tak jak w Iranie...

Nie wydaje się, aby sunnici sowieccy byli wyjątkowo uczuleni na religijne czy fanatyczne aspekty szyizmu i nie mają dowodów na szybko-irański bezpośredni opad w Azji sowieckiej. Ale nie ulega wątpliwości, że bojowość i agresywność ajatolów, ich brak kompleksów wobec wszystkich "szatanów", arogancja, zarozumiałość, pewność siebie itp. nie mogły nie zrobić wrażenia na sowieckich muzułmanach, nawet nie praktykujących, zwłaszcza młodych. Ostrość propagandy antyreligijnej wśród ludności muzułmańskiej/sam Gorbaczow się w to osobiście zaangażował/, późniejsza twarda reakcja władz sowieckich na zamieszki w Kazachstanie, gdzie akcenty wujującego nacjonalizmu muzułmańskiego były wyraźne, stanowczość wobec Tatarów, którzy w czasie sierpniowych manifestacji w Moskwie poszukiwali muzułmańskich publikacji wydawanych w... Teheranie, wszystko to świadczyło, że Moskwa rozumiała, jakie niebezpieczeństwo niesie z sobą okrzyk "Chomeini ante portas", jak bardzo automatycznie hasło promuzułmańskie zamienia się w antyrosyjskie czy antysowieckie..

Gdzieś w 1983 roku następuje więc próba presji na Iran. Znieolężniałego Breżniewa zastąpił - nie na długo - Andropow, który za doradcę do spraw irańskich i muzułmańskich miał Geidara Aliejewa, wicepremiera, członka politbiura, generała KGB, syna szyickiego mułły z Azerbejdżanu. ZSSR poprawia wtedy stosunki z Irakiem, wzmaga dostawy broni dla Bagdadu, będącego już wtedy w czwartym roku wojny z Teheranem. Naturalnie ajatolom to się nie podoba. Zaczęli więc ze swej strony pomagać afgańskim rebeliantom, których los był im przedtem zgola obojętny /mimo obecności 2 milionów uchodźców afgańskich w Iranie/ no i wymordowali kadrę komunistycznej partii Iranu, Tudeh. Zapadła cisza, powiało mrozem, pozornie się zaniósło.

Ale przyszedł czas Gorbaczowa i triumfu pragmatyzmu nad ideologią. Szatan nie szatan, nafta ważniejsza. Najpierw dyskretnie, potem coraz jawniej, a zwłaszcza coraz szybciej, ZSSR zaczął wracać do Teheranu. W przenośni i dosłownie. W chwili kiedy ten tekst dotrze do czytelnika, będzie już prawdopodobnie po wizycie w Teheranie ministra spraw zagranicznych ZSSR, Edwarda Szewardnadze. W chwili jednak, kiedy go piśzę, skończyła się dopiero w Teheranie wizyta Jurija Woroncowa, pierwszego wiceministra spraw zagranicznych ZSSR: Była to wizyta tak ważna, że ekselencja Woroncowa, który jest także, jeżeli nie przede wszystkim, przewodniczącym delegacji sowieckiej na rokowania rozbrojeniowe z USA w Genewie, "bawił" w Teheranie podczas kiedy jego szef, minister Szewardnadze, spotykał w Genewie Maxa Kampelmana, amerykańskiego odpowiednika i oposite number Woroncowa. Dziwne - powiecie. Czyżby?

Sentymenty i interesy

Woroncowa nie marnował czasu. Jego pobyt miał dwa silne akcenty. Po pierwsze, Woroncowa prawie się rozplakał, tak intensywnie wyrażał smutek ludzi sowieckich w obliczu - jak powiedział - "masakry niewinnych pielgrzymów irańskich w świętym mieście Mekka". Wyraził też słowa solidarności z Iranem w obliczu prowokacji, jaką stanowi pobyt amerykańskich okrętów w Zatoce Perskiej i na Morzu Omańskim. "Prawda" mu w tym dziełnie sekundowała i skierowała do USA bardzo poważne

ostrzeżenie przed międzynarodowymi konsekwencjami eksplozji, do jakiej by doszło, "gdyby w tej okolicy wybuchnął choć jeden pocisk amerykański". Woroncow skorzystał z okazji, aby przekazać osobiste gorące pozdrowienia Gorbaczowa dla Chomeiniego, co było lekkim zaskoczeniem, albowiem nie było wiadomo, iżby obaj panowie się przyznali.

Ważniejsze jednak od sentymentów były interesy. Okazało się, iż oba tak różne państwa mają немало wspólnych zainteresowań: Wyrazem tego było podpisanie przez Woroncowa wstępnego porozumienia do umowy, eufemistycznie zwanej gospodarczą. Moskwa była bardzo dyskretna, rzecznicy Kremla odpowiadali na pytania zachodnich dziennikarzy wyłącznie w trybie warunkowym, bardzo wstydliwie i wymijająco, tak jakby chodziło o AIDS, a nie o politykę międzynarodową. Na szczęście strona, żeby tak powiedzieć, irańska na subtelnościach się nie zna i nie miała zahamowa.. Według informacji pochodzących i ze źródeł oficjalnych w Teheranie i - a nawet przede wszystkim - z agencji półoficjalnej, ale gadatliwej, "South-North News Service, porozumienie podpisane przez Woroncowa przewidyuje:

a/ wybudowanie linii kolejowej z Iranu do jednej z republik azjatyckich ZSSR, prawdopodobnie do Turkiestanu,

b/ otwarcie unieruchomionego od kilku lat gazociągu z Iranu do ZSSR - IGATT i - i przekształcenie go w naftociąg łączący złoża irańskie w Agha Jari z Morzem Czarnym /tranzycją przez Baku nad Morzem Kaspijskim/ o pojemności transportu około 700.000 baryłek dziennie, tzn. około 40 % eksportu ropy irańskiej,

c/ wybudowanie nowego naftociągu z Iranu do jednego z portów Morza Czarnego, d/ zawarcie między Iranem i ZSSR układu o przyjaźni i współpracy gospodarczej i wojskowej; coś na kształt układów Kremla np. z Syrią czy... Irakiem.

Do tej informacji trzeba podejść z całą ostrożnością, ale według wspomnianej agencji ZSSR już korzysta z informacji stacji obserwacyjnej i nasłuchowej, zainstalowanej nad Zatoką Perską przy pomocy ekspertów sowieckich..

Cztery punkty, a ile przyjemności? I jakie perspektywy?

Umowy gospodarcze i wojskowe, to nic nowego także w stosunkach między Iranem a ZSSR. Znamienne gesty odnotowaliśmy już także we wspólnej przeszłości tych dwóch rewolucyjnych krajów. Związek Sowiecki już przedtem ofiarował np. wolny przelot nad ZSSR /i Bułgarią - ale to nieważne/ dla samolotów irańskich linii lotniczych na wypadek, gdyby zachodnie szatany zablokowały korytarze nad Europą: Moskwa także, gdyż sama wolała pozostać w cieniu, nakłoniła niektórych swych sojuszników do sprzedaży Iranowi broni sowieckiej, na co Libia, Syria, Korea Północna, Czechosłowacja oraz Polska z przyjemnością dały się namówić, jako że nie można pozostawić rewolucji islamskiej samej w biedzie, co znaczy w wojnie z Irakiem, któremu taką samą broń te same państwa oraz ZSSR już zupełnie otwarcie także sprzedawały.

Warto jednak przyrzec się uważnie temu, co Woroncow podpisał. Można wtedy stwierdzić, że w stosunkach ZSSR - Iran skończyła się faza gestów, a zaczęły schody - to znaczy sprawy bardzo poważne. Tak poważne, że jeżeli dojdzie do całkowitej realizacji wymienionych projektów /co naturalnie nie jest pewne/, zmieni to - nie wahać się powiedzieć - stosunek sił w świecie, no i nasze własne położenie, co mnie osobiście bardzo blisko obchodzi.

Równiejszy szatan

Jaki w tej spółce przeciw naturze jest interes Iranu? Duży i ważny. Podsumujmy w skrócie.

Po pierwsze, cóż to za przyjemność dla szyickich rozrabiaczy móc przeciwstawić sobie oba supermocarstwa. Ażajtole robią wrażenie szalonych, ale w istocie to świetni dyplomaci i kupcy. Chomeini przywiózł z wygnania trzy wielkie namiętności: nienawiść do szacha, do prezydenta Iraku Saddama Husseina i do USA. Pierwszego za-

łatwił, drugiego stara się załatwić i pozostał amerykański szatan. Chomeini rozumie, że choć wszystkie szatany są równe, to niektóre są równiejsze. Lepiej więc mieć jednego szatana po swojej stronie, nawet prowizorycznie, na wypadek gdyby doszło rzeczywiście do internacjonalizacji konfliktu.

Ale; po drugie, jeżeli dojdzie do uruchomienia jednego albo jeszcze lepiej dwóch rurociągów poprzez terytorium sowieckie, to ajatola nareszcie będzie mógł spać spokojnie: widmo blokady cieśniny Ormuz przestanie krążyć nad Iranem. Iran nie ma żadnych lądowych ujęć dla swojej ropy i całej jej eksport, jedyne źródło dewiz niezbędnych na zakup broni, idzie przez terminale morskie, usytuowane nad Zatoką Perską. Wystarczy zablokować cieśninę Ormuz i Iran udusi się własną ropą. Stąd, wbrew powszechnemu mniemaniu, Iran – choć rozsypał miny – nie ma żadnego interesu w utrudnianiu żeglugi w cieśninie czy zatoce. Jeżeli ajatole atakują – jak to określają – "cele morskie", to tylko w odpowiedzi na ataki Iraku, który dokładnie zna słabe punkty Iranu i bombarduje właśnie terminale naftowe. Otóż rurociągi przez ZSSR nie tylko niezależniłyby Iran od szantażu blokady, ale dałyby mu nawet możliwość zwiększenia eksportu własnej ropy do wysokości eksportu ropy z Iraku, który właśnie dzięki rozbudowie lądowej sieci rozprowadzania ropy, m.in. poprzez Arabię Saudyjską, doszedł do bardzo wysokich wyników handlowych.

Stawka większa niż ideologia

No, a jaki jest interes ZSSR? Też duży i też ważny. Ale inaczej. Moskwa gra o wielką stawkę. Oczywiście, tak jak USA, ZSSR chce swobody żeglugi, chce uniknąć eksplozji tak blisko jej granic, chce uniknąć /to też miejsce, zły moment i zły powód/ starcia oko-w oko z USA. Z drugiej jednak strony Moskwa widzi po raz pierwszy szansę wejścia na teren Środkowego Wschodu, gdzie była nieobecna najpierw z powodu imperialistów brytyjskich, a potem – amerykańskich. Stąd, kiedy irańscy policiski i miny ugodziły kolejno dwa statki sowieckie, konteiner i tankowiec, Moskwa – odmiennie od USA – zachowała umiar i spokój, nastawiła drugi policzek, bardzo dyskretnie wysłała małą flotę, aby nie uchodzić za prowokatora. Najwyższy Sowiet nie zebrał się, aby przesłuchać personel Kremla, prasa mimo głośności nie obrzuciła ajatolów obelgami, a tylko kiwała głową ze zrozumieniem. Nowa myśl polityczna Gorbaczowa triumfowała. Nadszła godzina rewanzu. Rozumowanie Moskwy było proste, ale poprawne.

Po pierwsze, byłoby dziwne gdyby Kreml nie starał się wykorzystać bałaganu w Waszyngtonie, zamieszania wywołanego kompromitującą aferą Irangate, konfliktem Reagana z Kongresem, gwałtów wojskowych USA np. czteretonniowej zwałki w wywieśzeniu amerykańskiej flagi na kuwejckich tankowcach czy – historia po prostu komiczna – nagłego odkrycia przez połączone sztaby sił zbrojnych USA tajnej broni Iranu tzn. min morskich, mimo że wybuchały już chyba w XIX wieku, jeżeli nie wcześniej. To samo dotyczy bardzo wesołej, gdyby nie tak smutnej, kolejnej fazy rozlatywania się sojuszu zachodniego: najpierw wszystkie kraje paktu atlantyckiego kolejno odmówiły udziału w armadzie, po czym zaczęły – spokojnie, bez paniki – wysyłać swe polawiacze min w sześciotygodniową podróż do Zatoki Perskiej, ale z zastrzeżeniem, że chodzi tu o akcję indywidualną, a nie o skoordynowaną akcję sojuszników. Cała operacja przypominała raczej wyprawę polawiaczy niż polawiaczy min i to mimo iż właśnie Japonia i kraje Europy zachodniej są odbiorcami miejscowej ropy, a Amerykanie nie mają właściwie poważniejszych interesów handlowych zaangażowanych w tym rejonie.

Dlaczego – pytają nie bez racji w Moskwie – nie skorzystać z okazji i nie zasiać nowych wątpliwości w łonie sojuszu atlantyckiego? Poważne głosy, m.in. Zbigniew Brzeziński w wywiadzie z brukselskim "Le Soir", postulowały wycofanie części wojsk amerykańskich z Europy i przeniesienie ich tam, gdzie interes USA tego wymaga, m.in. do Zatoki Perskiej. Choć Brzeziński trafnie przewidział rozwój wypadków, ZSSR nie przeciwstawił się tej koncepcji: w Moskwie wiedzą, że jeżeli wojska amerykańskie

wyjdą z Europy, to wcale jeszcze nie znaczy, że dotrą do Zatoki Perskiej.

Po drugie, jak się okazuje, zanim jeszcze doszło do zaręczyn Woroncowa i ajatoli, ZSSR – pośrednio lub bezpośrednio – już sprzedawał Iranowi poważne ilości broni. Moskwa wie, że dostawy broni przynoszą duży dochód, także polityczny. Otóż oczywiście Moskwa ma zamiar takie korzyści jak najszerzej zbierać, tym bardziej że Teheran płaci gotówką. A poza tym okazało się, że wśród dostawców broni dla Iranu figurują także Chiny, które zaopatrzyły ajatolów w rakiety ziemia–morze Silkworm, rozmieszczone wzdłuż cieśniny i nakierowane na "obiekty pływające". Jest to dla ZSSR nieprzyjemna informacja. Moskwa naturalnie nie chciałaby pozostawić Chińczyków samych z ich zyskami politycznymi nad cieśniną Ormuz.

Po trzecie, tanim kosztem kilku deklaracji sentymentalnych i garści rakiet ziemia–powietrze ZSSR uzyska /dzięki m.in. linii kolejowej/ dostęp do "epich mórz", co było marzeniem wszystkich carów. Niektórzy fachowcy twierdzą np., że agresja w Afganistanie była m.in. podyktowana zamiarem Moskwy utworzenia sobie za wszelką cenę dostępu poprzez terytorium pakistańskie do portów nad Oceanem Indyjskim. Proszę spojrzeć na mapę. Strategia Moskwy oparta była o imperatyw posiadania granicy z Beludżystanem, prowincją Pakistanu, której ludność znana jest z arsenału broni w każdym domu, z braku sympatii dla władz centralnych i z aspiracji autonomicznych. Jest to mieszananka wybuchowa w przenośni i dosłownie. Otóż po 700 latach teraz jest to rzecz dokonana: Rosjanie tu już dotarli. Z baz sowieckich zainstalowanych na granicy Afganistanu i Beludżystanu jest wszystkiego 560 kilometrów, to znaczy, nie spiesząc się, 30 minut lotu odrzutowcem wojskowym do wód arabskich.

Ewentualność mocnego i trwałego usadowienia się w Iranie. zerwała tamy fantazji w Moskwie, gdzie zaczęto śnić o kontroli 60% światowych zasobów nafty, w tym ponad połowy zaopatrzenia Japonii i RFN. Ale po co marzyć – fakty wystarczają: już dziś, choć Moskwa ciągle daleko, szantaż sowiecki skłonił emiraty arabskie, Kuwejt i Arabię Saudyjską do odrzucenia nieśmiałych propozycji amerykańskich zainstalowania wzdłuż brzegów Zatoki Perskiej małych baz logistycznych dla "sił szybkiej interwencji" USA. Można sobie wyobrazić, jak będzie działał szantaż sowiecki, kiedy "technicy" z KGB i armii czerwonej zainicjują budowę kolej żelazną poprzez Iran i dotrą do wybrzeży Iranu nad "ciepłą" zatoką irańską.

Według moich informacji, zaczerpniętych z najlepszych źródeł, stratedzy sowieccy upodobałi sobie dwa mało znane maleńkie porty irańskie o nazwie Sachbahar i Gawater. Kremłowi nie chodzi naturalnie o założenie tam Klubu "Méditerranée", ale bazy floty wojennej. Dlaczego akurat tutaj? Ano bo – jak się dowiedziałem z lektury właściwych tekstów – oba te maleńkie porty mają to do siebie, że o niewiele ponad 100 metrów od brzegu dno morskie nagle obniża się do 180 metrów głębokości. Inaczej mówiąc, wystarczy wybudować 100–metrowe molo /dla techników to głębsze/, aby móc zakotwiczyć największe nawet okręty wojenne i zapewnić im doskonały serwis reparacyjny i zaopatrzeniowy, czyli utworzyć małym stosunkowo wysiłkiem wielką bazę floty z czerwoną flagą. Kontrolujmy emocje, inaczej ktoś mógłby wyobrazić sobie, jak bardzo ulepszyłoby to położenie strategiczne ZSSR, który dysponuje już bazami w Wietnamie, Adenie, Etiopii, nie mówiąc o Władystoku czy Sachalinie...

Po czwarte, możliwości szantażu bardzo poważnie wzrosną. Wyobraźmy sobie, że rurociągi są już w akcji i że płynie nimi irańska ropa. Ale przecież kurek od rurociągu będzie zainstalowany gdzieś na terenie ZSSR. Co za możliwości manipulacji na wypadek np. gdyby Iran zechciał eksportować do ZSSR nie tylko ropę, ale także rewolucję szyicką?! Dlaczego w stosunku do szyitów w Iranie ZSSR miały się zachować bardziej subtelnie niż wobec szyitów na służbie Iranu, ale działających w Bejrucie? Jak pamiętamy, kiedy w 1985 roku szyici w Bejrucie porwali dyplomatów sowieckich i jednego zamordowali, ambasada ZSSR zorganizowała "kontruderżenie", kazała swoim ludziom porwać czterech szyitów – agentów Teheranu: jednego zamordowano, po uprzednim wykastrowaniu, a resztki posłano rodzinie. Efekt był natychmiastowy: trzech Sowietów całych i żywych powróciło do ambasady. W Iranie będzie podobnie – Sowietci nie znają się na dobrych manierach, decyduje skuteczność.

Po piąte, w toku tej samej operacji Moskwa zapewni sobie możliwie najlepsze, w każdym razie lepsze od Amerykanów, pozycje wyjściowe do epoki post-Chomeini. Nawet on musi przecież przejść na łono Allaha i zasiąść obok Mahometa. Niezależnie od wstydlivej afery Irangate, Reagan na pierwszy rzut oka trafnie postępował, starając się o kontakt z frakcjami w Teheranie, które zaczęły niechybnie się rozdzielać po śmierci Chomeiniego. Ale Reagan zachował się jak amator. Posłał do Teheranu McFarlana i pułkownika Northa – też amatorów, na fałszywych paszportach, z biblią i tortem w darze dla Chomeiniego. Mówiąc w skrócie – stał się łupem ajatolów, którzy w ten sposób dostali w łapy już drugiego prezydenta USA. Rosjanie posłali oficjalnie ministrów i prawdziwych fachowców, a przed oczyma olśnionych ajatolów migotali nie biblią, a rurociągiem i pociągami. Naturalnie nie wiadomo, co przyszedłoby przynieść. Po Stalinie frakcje w Moskwie też się mordowały, a przecież cele polityki sowieckiej się od tego nie zmieniły. Już dziś jednak widać, że w Iranie Rosjanie będą bliżej centrum wydarzeń niż Amerykanie. I szybciej będą mogli reagować.

Po szóste, Moskwa zakłada – i słusznie – że im większe będą wpływy sowieckie, tym mniejsze będą wpływy amerykańskie. Dlatego Moskwa wszelkimi środkami kontroluje politykę USA polegającą, według Moskwy, na posługiwaniu się napięciem w Zatoce Perskiej jako pretekstem uzasadniającym wzmocnienie obecności wojskowej USA w tym rejonie. Dla ZSSR nie jest to wyłącznie gra dyplomatyczna. Moskwa stara się uniknąć nożyc, w które byłaby zamknięta z jednej strony powstańcami w Afganistanie, uzbrojonymi przez Amerykanów, a z drugiej strony tymi samymi Amerykanami w Zatoce Perskiej, uzbrojonymi po zęby. Proszę spojrzeć na mapę, a wszystko będzie jasne. Moskwa nie chce dopuścić do powstania w zatoce czegoś w rodzaju drugiego frontu. Chyba, że dla USA...

Po siódme, kraje Zatoki Perskiej posiadają 57 % światowych rezerw nafty, co zapewnia im 70 /słownie – siedemdziesiąt/ lat możliwości wydobywczych. Otóż średnia światowa zapasów złóż ropy nie przekracza lat 33, a ZSSR ma przed sobą jedynie 13 lat produkcji. Oczywiście można sobie wyobrazić nowe odkrycia, uruchomienie ogromnych skarbów Syberii, ale geologowie są bardzo sceptyczni, no i już wiadomo, że w każdym razie zakłada to zastosowanie technologii, jakiej Rosjanie jeszcze nie opanowali. Wynika z tego, że świat – a więc i Rosjanie – będą w coraz większym stopniu apelować i korzystać z rezerw Zatoki Perskiej: zapotrzebowanie na tę ropę wzrośnie do 1990 roku o jedną trzecią, a potem – do roku 2000 – o następne 75 %. Otóż Moskwa wyraźnie uznała – i ja się z nią zgadzam – iż warto uczynić niewielkie koncesje ideologiczne, zapomnieć /nie pierwszy raz/ o wymordowaniu komunistów irańskich, jeżeli taka ma być cena, za którą Rosja uzyska wygodne miejsce przy naftowym stole ostatniego dziesięciolecia XX wieku.

Jeżeli chodzi o ZSSR, to nie trzeba nawet wspominać o zaopatrzeniu przemysłu czy wojska. Wystarczy wspomnieć o wyroku motoryzacyjnym: Moskwa nie może unikać tego etapu. Otóż warto wiedzieć, co to znaczy. W 1985 roku poruszało się po ZSSR 11.700.000 pojazdów mechanicznych, a ich produkcja nie przekraczała 1.300.000. W USA natomiast w tym samym roku były zarejestrowane 132 miliony pojazdów, a produkowano ponad 8 milionów rocznie. Jest to dystans na pewno ogromny, nie do wytrzymania dla superpotęgi, a jego nadrobienie będzie wymagało sporych nakładów finansowych i bardzo dużo benzyny.

Po ósme – ostatnie i chyba najważniejsze – w wyniku niespójnej polityki USA i faktycznej dymisji państw Europy zachodniej, Związek Sowiecki jest dziś jedynym mocarstwem posiadającym mniej lub bardziej normalne stosunki z obu wojującymi stronami. Oznacza to wiele rzeczy i nasuwa liczne refleksje. Najważniejsza to ta, iż dzięki sprytniej i dalekowzrocznej dyplomacji ZSSR zdobyć może faktyczny monopol na pośredniczenie w procesie zawieszenia broni czy negocjowania pokoju czy też choćby utrzymywania tajnych kontaktów między mordującymi się wzajemnie synami Mahometa. Moskwa stała się w ten sposób niezbędnym czynnikiem każdego procesu politycznego na Środkowym Wschodzie.

Orbaczow nie miałby nic przeciwko zorganizowaniu konferencji pokojowej i pod-

pisaniu pokoju między Iranem a Irakim w Moskwie. Oczywiście ktoś mógłby zapropozować przeciwko takiej perspektywie. Pokój na Środkowym Wschodzie to przecież sprawa ONZ-tu, to Rada Bezpieczeństwa przy udziale ZSSR wezwwała do rozejmu. Tak – może na to odpocząć Gorbaczow, który jak wszyscy jego poprzednicy lubi porównywać się z prezydentami USA – to prawda, z dwoma jednakże zastrzeżeniami. Po pierwsze, pokój co prawda nie na Środkowym, a na Bliskim Wschodzie też był sprawą ONZ-tu, a przecież został podpisany w Camp David pod Waszyngtonem; pod patronatem prezydenta Cartera. Po drugie, prezydent Reagan głosił, że Nikaragua to sprawa najbliższego zaplecza Stanów Zjednoczonych. Iran – powiada Gorbaczow – to sprawa najbliższego zaplecza ZSSR: 1.000 km wspólnej granicy, wspólne interesy gazowo-naftowe.

Churchill określił kiedyś ZSSR jako "giganta o zatłaczonych nozdrzach". Jąc na myśli handicap, jaki stanowi dla tego ogromnego kraju-kontynentu brak dostępu do ciepłych mórz. "Przy pomocy siły wojskowej – powiedział Raymond Aron – nie można osiągnąć wszystkiego, ale bez siły wojskowej nie można osiągnąć niczego". Dzięki swej sile wojskowej i swej dyplomacji, teraz lub w najbliższej przyszłości, nozdrza sowieckie będą mogły szeroko i spokojnie oddychać.

My natomiast – znacznie mniej szeroko i znacznie mniej spokojnie.

Leopold UNGER

pisane 30 sierpnia 1987 roku

"Kultura", październik 1987

Krzysztof Gawlikowski

TRUDNA PRZYJAŻŃ GIGANTÓW

/STOSUNKI ROSYJSKO-CHIŃSKIE Z PERSPEKTYWY HISTORYCZNEJ/

Zacznijmy od pewnych elementów konstatacji. Rosja i Chiny są nie tylko jednymi z największych krajów świata, poruszającymi się jak słonie wśród międzynarodowego drobiazgu, ale są ponadto sąsiadami. Dzieli je i zarazem łączy bodajże najdłuższa w świecie granica międzypaństwowa, biegnąca z dala od ich głównych ośrodków gospodarczych i kulturalnych, w dziczy pustyń, stepów, gór i tajg. Jest to granica trudna nawet do upilnowania, nie mówiąc o obronie. Wojna na taką skalę byłaby niezmiernie skomplikowana dla każdego z tych państw. Dodajmy jeszcze, że jedno jest w zasadzie państwem o kulturze europejskiej, drugie jest starym centrum cywilizacji wschodnioazjatyckiej. Przy tak dużych różnicach kulturowych nie tylko kontakt, ale i konflikt zbrojny są trudne; warunki, przyzwyyczajenia i reguły postępowania jednego są całkowicie obce drugiemu. Każdy żołnierz stawałby wobec niewyobrażalnych dla niego problemów i każdy generał miałby przeciwnika, którego często nie byłby w stanie zrozumieć. Warto tu przypomnieć wojnę z USA; amerykańską interwencję w Wietnamie i sowiecką w Afganistanie. Ponadto dzielą te kraje ogromne różnice klimatyczne; okupacja Syberii byłaby dla południowych w stylu życia Chińczyków niemal-takim samym nieszczęściem jak dla Sudańczyków, a i Posłanie mieliby ciężkie życie w Chinach, szczególnie południowych. Wojna tradycyjna, zmierzająca do okupacji całości czy choćby części terytorium przeciwnika, jest zupełnie nierealna. Związek Sowiecki może wprawdzie zmieść z powierzchni ziemi Chiny łątkiem nuklearno-rakietowym, ale zapłaciłby za to cenę niezmiernie wysoką, we wszystkich aspektach. Musi zatem współistnieć z Chinami, może tylko prowadzić "zimną wojnę" konfrontacji politycznej, niewielkich konfliktów przygranicznych lub polityczno-militarnych nacisków.

Rosja i Chiny są wśród super-państw jedynymi starymi imperiami. Ich stosunki są więc zderzeniem dwu odmiennych tradycji imperialnych, dwu "cesarskich dworów" przyzwyczajonych do hegemonii i domagających się jej jako oczywistego prawa, a nawet "historycznego obowiązku". Chiny są zarazem przyzwyczajone do dominacji polityczno-ideologicznej /unikaty ekspansji, a szczególnie podbojów/ tradycja zaś rosyjska łączy ideologię z siłą zbrojną i ekspansję terytorialną traktuje jako naturalny cel wszelkiej polityki. Obydwa jednak mocarstwa są "państwami Środka", choć tylko Chiny mają tę nazwę. "Państwo Środka" jako system polityczny, jako pewna struktura administracyjno-mitologiczna; składa się - moim zdaniem - z trzech zasadniczych elementów, wzajemnie powiązanych; z mitu "cesarza - wodza ludzkości", który jest źródłem władzy, z systemu społecznego uznawanego w danym kraju "za najlepszy na świecie" /państwo kieruje życiem gospodarczym, steruje w zasadzie bezstanowym "społeczeństwem biurokratycznym", w którym awans społeczny jest zasadą ideologiczną, a prestiż łączy się głównie z pozycją w aparacie rządzącym; często stosowane są też formy gospodarki kolektywnej/, i z pilnie strzeżonych, budzących zaborny lęk granic, oddzielających obywateli od świata, aby nigdy nie wystawiali na próbę swej wiary, że ich kraj jest najlepszym pod słońcem i że ich "cesarz" jest umiłowany przez całą ludzkość..

Mimo tej izolacji od świata zewnętrznego, państwo tego typu jest w teorii - albo i w rzeczywistości - "państwem światowym" /dlatego właśnie ZSSR ma w swym godle państwowym glob ziemski/. Broni ono porządku moralnego wyznaczanego przez ideologię przezeń głoszoną, utrwaloną w "księgach świętych". Jego przywódca działa dla dobra całej ludzkości, a nie tylko ludności swego kraju, jak to jest w państwach narodowych. Reprezentuje wobec niej pewien porządek wyższego rzędu, który nakazuje mu kształtować jej poglądy, wpływać na każdą jednostkę i karać tych, którzy wylamują się z porządku przezeń reprezentowanego.

System ten pozwala uniknąć sprzeczności etnicznych i narodowych wewnątrz pluralistycznego przecięt imperium, zdominowanego przez jeden etnos /Wielkorosów i Chińczyków-Hanów/, jest uzasadnieniem i formą praktyczną ich faktycznej dominacji. Dlatego odwrócenie perspektywy, przyjęcie, że państwo reprezentuje tylko swych obywateli i że oni są źródłem władzy, jest tam postrzegane jako kres jego bytu, jako prowadzące do rozwoju nacjonalizmów i rozpadu państwa. Takie państwo nie może też tolerować, by inne państwo dekladowało swą hegemonię moralno-polityczną; zna ono tylko hegemonię lub podporządkowanie, nie zaś równość suwerennych narodów i państw.

Stosunki między Moskwą i Pekinem były pochodną rozwoju i fluktuacji modelu "państwa Środka" w nich obu. Podczas gdy w Chinach system ten ukształtował się w starożytności, w ostatnich wiekach przed naszą erą, wielokrotnie upadał i był odbudowywany, w Rosji osiągnął swą postać dojrzałą dopiero w latach 30-tych naszego stulecia. Gdy Mao podjął jego odbudowę; oznaczać to musiało konfrontację z Moskwą. Dopiero gdy Deng rozpoczął odchodzenie od tego modelu i tworzenie systemu państwa narodowego /w warunkach chińskich wieloetnicznego/ powstały warunki do normalizacji stosunków międzynarodowych także z Moskwą. Zadziwiający zbieg okoliczności także ZSSR wkroczył w połowie lat 80-tych w epokę przemian; odchodzenie od dawnej ideologii i nacisk na "podejście pragmatyczne" powodują siłą rzeczy także tam obumieranie systemu "państwa Środka". Stąd normalizacja ich wzajemnych stosunków stała się możliwa.

Wróćmy jednak do historii. Jak wiadomo, w połowie XIX wieku mocarstwa zachodnie, do których dołączyła później Japonia, wymogły siłą zbrojną na Chinach rezygnację z doktryny "państwa Środka" w stosunkach międzynarodowych i rozpoczęły półkolonialny wyzysk azjatyckiego giganta. Zamysły podzielenia go na normalne kolonie nie zostały zrealizowane z powodu sprzeczności między mocarstwami i zręcznej dyplomacji USA, które sprzeciwiły się takiemu podziałowi. Początkiem konfliktu było jednak o czym się teraz często zapomina - stanowisko Chin. Odrzucały one aż do początków naszego stulecia nawiązanie "normalnych" - w poczuciu europejskim - stosunków między państwowych, opartych na równości stron, nie chciały zaakceptować wymiany ambasadorów ani rezydowania obcych poselstw w swej stolicy, nie uznawały wolności

handlu ani nie zezwalały cudzoziemcom na przekraczanie swych granic; każda podróż cudzoziemca wymagała specjalnych zezwoleń. W związku z nasileniem się nielegalnych kontaktów i korupcji wśród chińskich urzędników, w połowie XVIII wieku wprowadzono w Chinach cały nowy system restrykcji antycudzoziemskich, które między innymi przewidywały karę śmierci za uczenie się języka "diabłów zamorskich", jak też za uczenie cudzoziemca języka chińskiego. Księgi chińskie, które misjonarze próbowali przekładać, trzeba było wykradać, gdyż od stuleci wywóz za granicę ksiąg chińskich wymagał każdorazowo politycznej decyzji cesarza.

Chiny były traktowane jako jedyny obszar i ojczyzna "cywilizacji"; uznawały wszystkie inne państwa za wasały, ich władcom cesarz udzielał inwestyturę na rządzenie, a ich poselstwa winne były periodycznie przyjeżdżać z hołdem i symboliczną danią – produktami miejscowych ziem. Zgodnie z ustalonym zwyczajem, poselstwa te przywoziły ze sobą także rozmaite produkty na sprzedaż i prócz podarków cesarza /o wartości przewyższającej otrzymane przezeń dary/ mogły wywieźć z Chin zakupione tam towary. System ten łączył więc politykę z handlem międzynarodowym. Udostępnianie "barbarzyńcom" części swych dóbr, niezbędnych im do życia, Chiny uznawały za rodzaj obowiązku moralnego. Cudzoziemcy byli traktowani zwyczajaj jako istoty niższego rzędu, jako "dzikusy", i toczyły się nawet uczone debaty, czy cywilizowanie ich jest możliwe i potrzebne.

Chiny były bezsprzecznie aż do XVIII wieku jednym z najwyżej rozwiniętych państw świata i przodowały w Azji wschodniej. Dostarczały sąsiadom wzorców organizacji politycznej, społecznej, technologii i produktów "zaawansowanych technologicznie". Nawet gdy były podbijane przez ludy koczownicze, ich przodująca cywilizacja nie była kwestionowana. Do dworu cesarskiego przyjeżdżało tak wiele poselstw, że trzeba było wielokrotnie wprowadzać ograniczenia czasowe dotyczące częstotliwości poselstw i okresu ich przebywania, bywało ich bowiem po kilka każdego dnia. A dwór cesarski odgrywał w Azji wschodniej rolę podobną do papieżstwa w Europie /w okresach jego potęgi/ czy współczesnego ONZ.

Nawet pierwsi Europejczycy akceptowali te "reguły gry" i starożytni kupcy z cesarstwa rzymskiego, później zaś portugalscy, hiszpańscy i holenderscy, chcąc handlować przedstawiali się jako "posłowie" i przy odpowiednim ceremoniale składali "dary" dla cesarza w pogranicznym mieście portowym. Nie mając listów od swych władców, nie byli jednak dopuszczani do stolicy i nie dostępowali zaszczytu audiencji cesarskiej. Ale doktryna państwa uniwersalnego dawała nawet "barbarzyńcom zamorskim" pewne prawa w Chinach, umożliwiała uzyskanie pozwolenia na otwarcie faktorii, czy nawet osiedlenie się na stałe. Tak właśnie powstała portugalska osada Macao, analogicznie do wcześniejszych kwartałów kupców perskich i arabskich.

Dopiero w wieku XVIII, gdy Anglia i Francja zapragnęły powiązać "normalne" stosunki międzynarodowe z cesarstwem, okazało się to właściwie niemożliwe bez przyjęcia warunków chińskich. I dopiero w połowie wieku XIX zaczęły wymuszać siłą zbrojną respektowanie ich "praw" i otwarcie gospodarcze Chin. Handel opium, sprowadzanym przez Anglików z Indii, rozwinął się niejako zastępczo, gdyż kupcy europejscy mieli na tamtejszym rynku wiele towarów, które chcieliby nabyć, nie znajdując zarazem rynku nabywców dla towarów europejskich; inaczej trzeba było płacić srebrem lub złotem.

Wymuszenie siłą zbrojną dostępu do Chin i poniżenie dumnego mocarstwa wywołało oczywiście falę nienawiści; nacjonalizm antycudzoziemski zdominował chińską scenę polityczną na ponad sto lat. Objął on nawet Japończyków, którzy tak samo jak Europejczycy byli "barbarzyńcami zamorskimi". Po dziś dzień popularną nazwą Chin, używaną przez Chińczyków, jest Święty Kontynent /Shen Zhou/, a idee odzyskania "należnego" im miejsca w nowoczesnym świecie, dorównania wielkim potęgom a nawet wyprzedzenia ich, fascynowały przywódców i masy. Chińskie zauroczenie komunizmem wyrosło z tego właśnie gruntu. Wydawało się, że przy boku ZSSR Chiny szybko rozwiną się i odegrają rolę przewodnią w tworzeniu nowego, bezpaństwowego społeczeństwa "światowego komunizmu". Mao zaakceptował więc przejściowo hegemonię sowiecką, zastrzegając tylko przewodnią rolę Chin w Azji. Jego nieudany Wielki Skok z 1957 roku i za-

mierzzone "wyprzedzenie Wielkiej Brytanii" w ciągu kilku lat było częścią nowego snu o odzyskaniu hegemonii światowej przez rozwój gospodarczy i zademonstrowanie tryumfu "szczęśliwego społeczeństwa".

Sojusz z ZSSR był możliwy, gdyż pozycja tego państwa wobec Chin była szczególnie. Rosja nie była "państwem zamorskim", nawiązała stosunki między państwowe z Chinami wcześniej i występowała od dawna jako "przyjaciół" udzielający pomocy w walce przeciwko głównym chińskim wrogom. Historię stosunków z Rosją i ZSSR można wręcz określić jako wieloletnią historię traktatów o przyjaźni, wprawdzie tamanych i rzadko dotrzymany, ale zwykle chętnie podpisywanych. Gotowości do ogłaszania pięknie brzmiących deklaracji nigdy w Rosji nie brakło. Rosyjska ekspansja na północ niepokoiła oczywiście rząd chiński, ale z perspektywy zwykłego Chińczyka była ona niedostrzegalna; Rosjanie rzadko pojawiali się w Chinach właściwych, w ich wielkich miastach i portach. Mandżuria i Turkiestan, gdzie wpływy rosyjskie szybko się umacniały, leżały na peryferiach imperium i zamieszkałe były przez ludność nie-chińską. Kolonizacja Mandżurii przez Chińczyków zaczęła się właściwie dopiero w początkach naszego stulecia, a chińskiego Turkiestanu dopiero w ChRL.

Cofnijmy się jednak znowu do czasów odległych. Rosja od stuleci wojowała z ludami wschodnimi i handlowała z nimi. Przeszła okres panowania mongolskiego, później przejął ją w nacjonalistycznej historii /stereotyp "odwiecznej" walki z "złotymi"/. Jej książęta jeździli z hołdem do fatarskich chanów, a pierwsze spisy ludności i kadastry ziemskie były sporządzane dla niej po chińsku, przez urzędników mongolskiego imperium. Jest jednak zdumiewające, jak mało wiedziano o Chinach. Jeszcze w wieku XVII toczyły się tam zadziwiające dla nas debaty: czy jest to państwo wielkie, czy jest ono bogate, gdzie leży? Pierwsze konkluzje były negatywne. Ponieważ wszyscy pytywani kupcy i syberyjska wieś gminna głosiły, że jest to państwo otoczone murem, wyciągnięto wniosek, że jest to państwo co najwyżej wielkości ruskiego powiatu, "bo przecież większego nie dałoby się otoczyć murem". Opowieści o jego bogactwach i ogromie zaliczano do ludowych bajd. Jednym z koronnych argumentów było, iż nikt nigdy nie widział chińskiego kupca; towary wprawdzie docierały, ale ich pochodzenie było niepewne, nabywano je od pośredników z Azji środkowej.

Zainteresowanie dla Chin odbiżyło dopiero natarczywe starania Anglików o zezwolenie na szukanie północnej drogi morskiej do Chin, a później o zezwolenie na wyprawę Obem do źródeł rzeki. Przypuszczano bowiem błędnie, że da się nią dotrzeć do Chin lub Indii. Nigdy im do tego nie zezwolono, ale biurokracja carska zaczęła sama przemysliwać o rozwoju dochodowego handlu w tym kierunku. Było to jeszcze innym złudzeniem: transport lądowy był droższy niż morski; herbata z Chin przywieziona do Petersburga okrętem kosztowała taniej niż wielbłędami przez Azję /choć ta ostatnia cieszyła się szczególnym uznaniem rosyjskich smakoszy dla jej szczególnego aromatu/.

Sytuacja zaczęła się jednak szybko zmieniać wraz z szybkim podbojem Syberii, w dużej mierze będącym prywatnymi inicjatywami Kozaków. Władze jednak uznawały je za własne i szybko zaprowadzały na owych terenach swoją administrację. Tak zaczęły się pojawiać syberyjskie miasta: Tjumen /1586/, Tobolsk /1587/, Surgut /1594/, Mangazeya /1601/, Tomsk /1604/. W połowie XVII wieku Kozacy dotarli już do Pacyfiku i zaczęli zakładać osady - warownie nad Amurem. Wtedy doszło do pierwszych utarczek z wojskami chińskimi patrolującymi te tereny i uznawanymi za "wasalne".

Był to jednak szczególnie ciekawy okres w historii Chin. Chyliła się ku upadkowi dynastia Ming /1368-1644/, a dawniej wasalne ludy mandzurskie stworzyły wieloetniczne państwo, które rozpoczęło podbój Chin. Właśnie w 1644 jego twórca Nurchaci ogłosił się cesarzem Chin, choć podbój Chin południowych i walki z lojalistami upadłej dynastii miały trwać jeszcze lat czterdzieści. Nowa dynastia dopiero tworzyła swe państwo, walczyła na różnych frontach, podporządkowywała sobie dawne ziemie wasalne, które w czasie zamieszek usamodzielniały się, ciężkie walki toczyły się z Ojratami na północnym zachodzie. W tej sytuacji grupy kozackie na dalekich i niemal bezludnych pograniczach wydawały się bez większego znaczenia. Później nawet pojawiły się idee wykorzystania Rosji jako sojusznika przeciwko zbuntowanym ludom północnego zachodu, zgodnie z prastarą chińską zasadą, by "pokonywać barbarzyńców przez barbarzyńców".

Pierwsze oficjalne poselstwo rosyjskie, zorganizowane przez administrację Syberii /"Prikaz Kazanskogo Dwora"/, było kierowane przez Kozaka Iwana Pectlina. Wyruszyło ono z Tomsku w 1618 roku a powróciło w roku następnym. Ustaliło ono, że do Chin można dotrzeć drogą lądową; wyjaśniło zagadkową sprawę muru, opisując go jako "ciągnący się od morza do Buchar" i przedstawiło Chiny jako kraj wielki, ludny i bogaty. Ustaliło też, że nikt tam o rzecze Ob nie słyszał. Nie mając podarków dla cesarza ani listu carskiego, poselstwo nie zostało przyjęte przez cesarza, a jedynie przez funkcjonariuszy Ministerstwa Norm, zawiadującego sprawami zagranicznymi. Było jednak goszczone uprzejmie i otrzymało list cesarski do swego władcy /w Rosji zdelano go jednak odczytać dopiero w 1675 roku, gdy cesarz ten dawno już nie żył i dynastia Ming utraciła panowanie/. Cesarz zezwalał w nim posłom rosyjskim przyjeżdżać do Chin i handlować, a zarazem zdecydowanie odrzucał rosyjskie zaproszenie dla niego do odwiedzenia ich kraju: "I ja według obyczaju ze swojego państwa nie wyjeżdżam, i posłów ani kupców nie wysyłam". Inicjator tej wyprawy, sybirski wojewoda, został za jej samowolne podjęcie zdymisjonowany, choć zarazem jej uczestnicy otrzymali szczerze dary od cara. Rosja była zainteresowana głównie w uznaniu jej zwierzchnictwa przez stepowych władców, nie zaś w nawiązaniu stosunków z dalekimi Chinami. Dopiero w 1653 roku wysłano następne, tym razem już oficjalne poselstwo F. I. Bajkowa. Misja jego zakończyła się jednak niepowodzeniem, gdyż mając precyzyjne instrukcje z Moskwy, Bajkow nie chciał klęknąć przed cesarzem i uderzyć czołem o ziemię, jak tego wymagał rytuał poselstw wasalnych, ani oddać listu carskiego urzędnikom. Podarków więc także nie przyjęto i list carski wrócił do Moskwy. Później jednak wypadki potoczyły się szybciej i wypracowano pewne formuły kompromisowe. W 1697 roku oba państwa podpisały pierwszy oficjalny traktat w Nerczyńsku. Ustalał on granice /Kraj Przyamurski pozostał jednak "ziemią niczyją" do późniejszych rokowań, a rosyjskie forty miały być tam zniszczone/ i dawał prawo Rosjanom do wysyłania poselstw o zwykłej, na politykę handlowej naturze.

W XVIII wieku, w okresie szczytowej potęgi mandzurskiej dynastii Qing /1644-1912/ nawiązały się ożywione stosunki. "Białemu Królowi", jak nazywano cara, udzielono rzadkich przywilejów: w związku z częstymi przyjazdami misji rosyjskich wydzielono im w stolicy pałac, gdzie mogły rezydować, a w wypadku dokonania zakupów przekraczających ich środki finansowe, dwór carski zobowiązał się pokryć niedobory, które mogły być splecione przez następne poselstwo. Administracja chińska zdecydowała się nawet na krok niebywały: zezwoliła Rosjanom na przysłanie grupy studentów dla nauki języka chińskiego i mandzurskiego, ich naukę organizował i opłacał rząd chiński. Był to bodajże pierwszy w świecie wypadek ujęcia spraw nauki cudzoziemców w porozumieniu międzynarodowym i organizowania jej przez zainteresowane państwa. W niespójnych okolicznościach pojawiła się nawet na dworze cesarskim w Pekinie gwardia kozacka. Być może rekrutowała się ona z jeńców wziętych w uściskach granicznych, być może w części z Kozaków, którzy dobrowolnie przeszli na służbę chińską. Tak pojawił się nowy problem: papa i cerkwi dla nich. Mimo rozmaitych sporów władze chińskie zgodziły się w końcu na przysłanie popów przez cara. Tak powstała w Pekinie oficjalna rosyjska misja duchowna, pełniąca de facto pewne funkcje dyplomatyczne, zbierająca informacje o Chinach dla Moskwy i będąca łączycem się ośrodkiem badań sinologicznych. Słowniki chińsko-rosyjskie tam opracowane były aż do lat ostatnich najlepszych, jakie zrobili badacze rosyjscy. Przyczyną dla których władze chińskie dawały Rosjanom tyle przywilejów nie są całkiem jasne. Być może były one związane po prostu z nowym dla nich sąsiedztwem; starano się zaspokajać rozmaite potrzeby partnera nawet jeśli nie zawsze były one zrozumiałe, aby uniknąć zadrążeń. Należy przecież pamiętać, że rządząca dynastia wywodziła się z Mandzurii i północnie terytoria były jej ojczyzną, tam były siedziby klanów rządzących wódczymi Chinami. Konflikt z Rosją stanowiłby bezpośrednie zagrożenie dla tych ziem i ich ludności. Rosja także unikała trudnego dla niej konfliktu i starała się akceptować rozwiązania kompromisowe. W XIX wieku dołączył do tego czynnik dodatkowy: umacniająca pozycję Chin, przeciwstawiała się ona swoim europejskim rywalom, a później i Japonii. Będąc słabsza od nich starała się zdobywać sojuszników i umacniać ich opór przeciw konkurentom. Tak na przykład po przegranej przez Chiny pierwszej wojnie opiumowej /1841/ Rosja zaczęła dostarczać im broń i zorganizowała szkolenie dla ich dowódców. Wprawdzie

przyniosło to niewielkie rezultaty praktyczne, ale to już zupełnie inna sprawa. Polityka ta była kontynuowana później przez ZSSR.

Była to jednak tylko jedna strona medalu, drugą była ekspansja Rosji, prowadzona ostrożnie i przy użyciu najrozmaitszych metod, pod stałą osłoną deklaracji o przyjaźni. Na przykład w 1851 roku gubernatorzy ziem pogranicznych podpisali traktat, zwany aigunskim; na mocy którego Rosja otrzymała terytoria leżące na północ od Amuru /choć część wschodnią nadal pozostawiano jako przedmiot pertraktacji/. Rząd chiński traktatu tego nie uznał. Gdy jednak wojska francusko-angielskie okupowały Pekin w trakcie drugiej wojny opiumowej, poseł carski wywieźdźszy się, że nie zamierza ją one zająć północnych Chin na stałe, a chodzi tylko o nowe przywileje, zaproponował Chińczykom mediację i uzyskanie ich wycofania w zamian za ratyfikację traktatu aigunskiego. Co też uzyskał w 1860 roku. Wielką była wściekłość Chińczyków, gdy dowiedzieli się później o matactwie przyjaciela-pośrednika, ale traktat był już podpisany. Innym przykładem może być rosyjska okupacja Turkiestanu wschodniego "dla ochrony jego ludności" w związku z powstaniem muzułmanów, jakie wybuchło na terenach zachodnich cesarstwa. Ostatecznie Rosja zgodziła się po latach wycofać stamtąd swoje wojska /za odszkodowaniem/, zatrzymała jednak zachodnią część przylegającą do własnych nabytków /traktat w Liwadii 1879/. Po przegranej przez Chińczyków wojnie z Japonią /1894-1895/ podpisała z Chinami układ o przyjaźni i sojuszu przeciw Japonii bardzo im użyteczny, ale zarazem wymogła zgodę na przeprowadzenie przez Mandżurię eksterytorialnej linii kolejowej, zarządzanej i eksploatowanej przez Rosjan. W ten sposób nie tylko uzyskała wygodne połączenie z nowo przyłączonymi ziemiami nad Pacyfikiem, ale i możliwość penetracji Mandżurii, do której aneksji zaczęto zmierzać. Chińskiego posta fetowano w Petersburgu najbardziej jak było można i dano mu ponadto astronomiczną łapówkę. Wyliczenie takich incydentów można by ciągnąć długo.

Dlatego też ChRL wiele z tych traktatów ogłosiła za bezprawne, chociaż uważała je nadal za wiążące i domagała się od końca lat 1960-tych deklaracji ZSSR w tym duchu, czego jednak rząd sowiecki zdecydowanie odmawiał. Strona chińska domagała się także wycofania wojsk sowieckich na linie wyznaczone w dawnych traktatach, podpisanych z Rosją carską. Tak się bowiem dziwnie złożyło, że ta nigdy w terenie nie wyznaczona precyzyjnie granica, oparta na niedokładnych dawnych mapach, była w wielu punktach przekroczona na niekorzyść Chin. Właściwie nawet w Moskwie nie wiadomo, jak do tego doszło. Przypuszczano, że po prostu patroli kozackie nudziły się, jeżdżąc wciąż po tej samej linii i od czasu do czasu po prostu zmieniały swoje trasy, jeżdżąc "po następnej górze". Stąd ZSSR domagał się uznania "faktycznej linii kontroli", na co z kolei nie chciała przystać strona chińska. Rozmowy w sprawie granic są nadal w toku.

Jednak - mimo niewątpliwej polityki zaborczej i ekspansji kosztem Chin - Rosja właściwie nigdy nie stała się obiektem nienawiści mas, jak było to udziałem Japonii i mocarstw zachodnich. Budziła irytację, a nawet wrogość co najwyżej w kręgach dworskich, ale też, przyzwyczajone do gier dyplomatycznych, potrafiły się godzić ze swymi przegranymi nie starając się, ze zrozumiałych względów, nadmiernie ich eksploatować. Wprawdzie w latach 1920-tych w chińskich kręgach patriotycznych wyliczano zazwyczaj wśród "ziem utraconych" i te zabrane przez Rosję /i Mongolie, dawniej wasalna, oderwaną po Rewolucji 1911 roku/, ale zręczna i wielokierunkowa polityka sowiecka znacznie łagodziła także niekorzystne opinie. W gruncie rzeczy dopiero w ChRL zrodziła się i upowszechniła niechęć czy nawet wrogość do Rosji i ZSSR, stając się zjawiskiem masowym, ale dość płytkim i, jak można sądzić, przejściowym. Wraz z upadkiem systemu maoistowskiego i dyskredytacją jego ideologii, szybko zaczęła zanikać. Propagandowe próby łączenia Rosji z prastarą tradycją walk przeciwko północnym koczownikom pasterstwa i cierpieniami zaznanymi od nich były zbyt sztuczne, aby mogły wywołać oddźwięk społeczny. Upadek mitu państwa Środka w jego najnowszej wersji epoki Mao i odległość doświadczeń lat pięćdziesiątych, kiedy to liczni doradcy sowieccy budzili dość często negatywne emocje swoim zachowaniem, dodatkowo przyczyniły się do załagodzenia konfliktu i spadku fali emocji społecznych. To właśnie, w połączeniu z obiektywnymi interesami i nową polityką Gorbaczowa, stwarza obiektywne możliwości dla kolejnej fazy zbliżenia, choć wszyscy Chińczycy podkreślają, że powrót do sojuszu

z lat 1950-tych jest niemożliwy, muszą to być stosunki oparte na rzeczywistej równości stron i wolne od wszelkich nacisków wojskowych. Chiny patrzą teraz w przyszłość, nie w przeszłość. Tym niemniej rozmaite elementy dziedzictwa bardziej i mniej odległej przeszłości wymagają oczywiście uregulowania jak np. agresywna polityka Wietnamu wspieranego z Moskwy na południu i obecność dużych sił wojskowych nad granicą północną.

Można jednak wątpić, czy nowe zbliżenie będzie trwało długo. Każdy z dwu gigantów ma przecież swoje mocarstwowe aspiracje i interesy w Azji, jest zauroczony dawnymi mitami o wielkości i posłannictwie dziejowym. W każdym z nich upadek poprzedniego mitu i struktur organizacyjnych "państwa Środka" będzie powodował narastanie nacjonalizmów, a względne zacofanie wobec reszty krajów uprzemysłowionych, poczucie wyższości i niższości zarazem, tworzą niebezpieczną mieszaninę. Geografia jednak przesądza, że Kozak musi trzymać Tatarzyna, choć ten uścisk może być łaszony uśmiechami i przedstawiany okresowo jako "uścisk przyjaźni".

Krzysztof GAWLIKOWSKI

"Kultura", grudzień 1987

Krzysztof Gawlikowski

CHINY A "STARSZY BRAT"

O trudnych stosunkach sowiecko-chińskich^x

Pierwsza wojna światowa była szokiem dla wszystkich ugrupowań prozachodnich w Chinach, reformistycznych i rewolucyjnych, które szukały na Zachodzie wzorców ideologicznych, kulturowych, technologicznych i politycznych, w nadziei na "westernizację Chin" i przywrócenie im dawnej świetności. Hekatomba niezrozumiałej wojny załamała w sposób dramatyczny mit oświeconego i postępowego Zachodu i wywołała nawet wśród jego najgorętszych zwolenników falę zwątpienia w wyższość cywilizacji zachodniej, będącą przedtem dogmatem.

Zażarte dysputy polityczne toczyły się wokół kwestii przystąpienia Chin do wojny. Ostatecznie 14 sierpnia 1917 roku Chiny wypowiedziały wojnę państwu centralnym. W praktyce wysyłały one swoich robotników do wyczerpanych państw Ententy, także do Rosji. Razem z dość liczną ludnością chińską na rosyjskim Dalekim Wschodzie znalazło się w Rosji około półtora miliona Chińczyków. Wielu z nich wzięło udział w walkach rewolucyjnych po stronie "czerwonych". Były nawet całe oddziały chińskie. Z ogarniętej rewolucją i walkami Rosji zaczęły napływać tysiące uchodźców.

^x W eseju tym, podobnie jak w poprzednich, autor używa transkrypcji nazw chińskich oficjalnie przyjętej w ChRL. Jest ona o tyle wygodna, że ujednolica imiona transkrybowane poprzednio w rozmaity sposób, i z różnych dialektów. Dla orientacji czytelnika w nawiasach podane są wersje imion w formie najbardziej znanej czytelnikowi polskiemu. W transkrypcji tej c należy czytać jak polskie ć, x jak ś, j jak dź, r jak ż, sh jak sz, ch jak zh w przypadku jak polskie cz, ng oznacza po prostu n tylnojęzykowe. Nieznany w Europie problem zróżnicowania spółgłosek na przydechowe i nieprzydechowe /zamiast na dźwięczne i bezdźwięczne/ pomijam jako zbyt skomplikowany.

Biali emigranci szukający jakiegokolwiek zarobku stali się w latach dwudziestych częścią pejzazu miejskiego Chin. Niektórzy oficerowie znaleźli sobie miejsce w armiach północnych militarystów, w literaturze anglosaskiej zwanych ściślej warlords, znacznie liczniejsi występować zaczęli w roli kelnerów czy barmanów w restauracjach miast portowych, a dawne damy z towarzysstwa nierzadko spadały na samo dno portowego życia. O ile inni "biali" budzili niechęć a nawet nienawiść ludu, rosyjscy biali także i pogardę.

Upadek mitu Zachodu, traktowanego przedtem jako ucieleśnienie demokracji, humanizmu, postępu, nauki itp., zbiegł się z własnymi nieudanymi próbami przesczepienia na grunt chiński zachodnich wzorców instytucjonalnych i z nową falą nastrojów antycudzoziemskich/antyzachodnich i antyjapońskich/ związanych z miejscem, jakie wyznaczał Chinom nowy ład powsersalski. Zaledwie kilka lat wcześniej niż w Rosji, w 1911 roku, rewolucja obaliła cesarstwo w Chinach. Próbowano zaprowadzić ustrój republikański z systemem wielopartyjnym i demokracją parlamentarną, rezultaty okazały się jednak żałosne. Instytucje przesczeplone z Zachodu po prostu wyrodziły się w parodię, władzę przejęli w praktyce dowódcy lokalni. Chiny pograżyły się w chaosie wojen domowych, zapanowała nędza i terror, nieznanne w takiej skali za najgorszych czasów cesarstwa. Nawet najzagorzalsi zwolennicy rewolucji i jej przywódcy wątpili w sens dokonanych przemian.

W tym klimacie społecznym idee socjalizmu i wizja nowej rewolucji światowej, która ustanowi nowy sprawiedliwy ład i stworzy nowe bezklasowe "społeczeństwo światowe", znajdowały wielu zwolenników. Były one bliskie rodzimym ideałom radykalnych egalitarystycznych ruchów chłopskich i tradycjom "ogólnoświatowego" w teorii cesarstwa chińskiego, tradycyjnym ideałom antykapitalistycznym i podporządkowania jednostki społeczeństwu. Komunizm jednak początkowo nie znajdował wielu zwolenników, znacznie bardziej popularny okazał się anarchizm. Podczas gdy Komintern wielkim nakładem sił i środków próbował tworzyć komunistyczne centra i wydawać czasopisma, które okazywały się nieodmiennie efemerydami, anarchiści bez żadnej pomocy z zewnątrz wydawali wówczas kilkadziesiąt czasopism, niektóre na bardzo wysokim poziomie. Mao ze swymi kolegami w rodzinnym Changsha zdotał zapisać do partii zaledwie kilkadziesiąt osób, a anarchiści w tym mieście mieli kilka tysięcy zwolenników. Gdy czyta się dzisiaj ich krytyki socjalizmu innych nurtów i ruchu rewolucyjnego, etatystycznych ideałów "sprawiedliwego społeczeństwa" - uderzają one zadziwiająco trafnością i darem przewidywania. Wspomnieć też warto, że wielką fascynację w ówczesnych Chinach budził wtedy język esperanto, jako nowy uniwersalny język światowy, i kółka esperantystów mnożyły się w tempie zadziwiającym.

Przeigrana wojna z Polską spowodowała konieczność zasadniczej rewizji strategicznych koncepcji rewolucji rosyjskiej. Poprzednio wierzono, że rewolucja w Rosji jest tylko prologiem do rewolucji europejskiej, że rewolucja w metropoliach kolonialnego świata będzie równoznaczna z tryumfem socjalizmu w skali światowej. Fala rewolucyjnych ruchów w Europie jednak zamierała, nie udało się połączyć z niemieckimi centrami ruchu socjalistycznego i pobudzić rewolucji na Zachodzie wkroczeniem Armii Czerwonej. W tej sytuacji zrodziła się nowa koncepcja: obalenia kapitalizmu przez rewolucję w koloniach. Uważano bowiem, że imperializm bez kolonii musi się załamać, a ponieważ największą potęgą imperialistycznego świata była wówczas Anglia, uderzenie chciano skierować przeciwko głównym filarom angielskiego panowania, Indiom i Chinom. Sądzono nawiśnie, iż wywołanie rewolucji w Indiach i Chinach spowoduje niemal natychmiastowe załamanie imperializmu w skali światowej i w sposób zdumiewająco antymarksistowski zakładano, że rewolucje tam da się wywołać niejako z zewnątrz, przez grupy przyszłych agitatorów i zawodowych rewolucjonistów, którzy nauczą Hindusów i Chińczyków, jak rewolucję taką przeprowadzić. W związku z tym w sposób nagły zmieniono w kierownictwie Kominternu priorytety i koncepcje; partie komunistyczne Europy, z ich tradycjami ruchu robotniczego, miały odgrywać rolę wspomagającą, paraliżować działania rządów, zaś partie narodowo-rewolucyjne w krajach kolonialnych, opierające się na wszystkich "patriotycznych" klasach tużemców, miały odgrywać rolę wiodącą.

Realizacja tej polityki okazała się jednak znacznie trudniejsza, niż oczekiwano. Mimo wielokrotnych prób nie udało się w Indiach stworzyć ośrodków rewolucyjnych podporządkowanych Kominternowi. Powstały one natomiast w Chinach, Indochinach, Indonezji i Japonii. Jednak nawet tam, także w Chinach, które w tej sytuacji stały się "ogniwnym wodącym", sytuacja okazała się nader skomplikowana. Partia komunistyczna, dyrygowana bezpośrednio z Moskwy i posługująca się frazeologią proletariacką, mimo dość powszechnych sympatii dla rewolucyjnej Rosji nie zdobyła wystarczającego poparcia społecznego. Trzeba było wesprzeć inne siły polityczne, ruch nacjonalistyczny, którym manipulować było znacznie trudniej, żądający zwrotu Mongolii Zewnętrznej, likwidacji rosyjskich przywilejów w Mandżurii itp. Ponadto wraz z budową struktur instytucjonalnych w centrum moskiewskim pojawiły się tam różne koncepcje i interesy grupowe. Każdy z wielkich szefów kierujących jakąś instytucją starał się zachowywać możliwie największą autonomię i nie chciał oddawać innemu ani swoich zasobów, ani kadr. Armia miała swój punkt widzenia i interesy, Komisarjat Spraw Zagranicznych swoje, a centrum kominternowskie stało się tylko jedną z instytucji zabiegających o pieniądze, kadry i wsparcie. Dziś wydaje się wręcz nieprawdopodobne, jak tych kilkadziesiąt osób z kominternowskiego centrum, gnieźdzących się w kilku pokojach, ze śmiesznymi sumami walut, bez znajomości Azji Wschodniej, z wyobrażeniami na jej temat niekiedy zupełnie "księżycowymi", chciało zorganizować i przeprowadzić zwycięską rewolucję na Dalekim Wschodzie. Jednakże od wojny z Polską aż po lata trzydzieste, rozprawę z Trockim i ze starą kadrą Kominternu /Zinowiew, Kamieniew/ "problem chiński" był kluczowy dla polityki Moskwy, dla jej polityki zagranicznej i walk wewnętrznych. Ostateczne załamanie się nadziei na zwycięstwo rewolucji w Chinach stało się przyczyną najbardziej dramatycznych walk i spowodowało konieczność wypracowania nowej zupełnie koncepcji "budowy socjalizmu w jednym kraju", bez perspektyw na rychłą rewolucję światową. Z teoretycznych dyskusji na temat Chin i Wschodu zrodziła się stalinowska koncepcja pięciu formacji, będąca odąd dogmatem ruchu komunistycznego. Pierwsze wielkie czystki i morderstwa dotknęły właśnie doradców politycznych i wojskowych wracających z Chin po załamaniu się tam rozmaitych prób wywołania rewolucji antyimperialistycznej w 1927 roku.

Bez wzięcia pod uwagę całej złożoności sytuacji politycznej w Moskwie trudno zrozumieć wszystkie meandry polityki sowieckiej, w tym okresie i jej wielonurtowość. To prawda, że politycy w Moskwie zwykle starali się "nie kłaść wszystkich jajek do jednego koszyka" i prowadzili grę z różnymi siłami politycznymi, jednak to co działo się wówczas w Chinach przekracza nawet bujną wyobraźnię. W krótkim i z konieczności bardzo selektywnym eseju można zaedwie wspomnieć o niektórych elementach. A więc w Chinach lat dwudziestych mamy wspieranie Partii Komunistycznej i radykalnej zmiany jej polityki oraz priorytetów co kilka lat, od koncepcji partii proletariackiej do nieomal agentury wewnątrz Guomindangu /Kuomintangu "organizacji mas" i propagandy proletariackiej przez etap patriotyczno-rewolucyjnej współpracy z rodzimymi klasami posiadającymi do spisków, powstań i walk zbrojnych z programem ustanowienia bezpośrednio ustroju komunistycznego. Raz ta partia była traktowana jako jedyny organizator rewolucji, kiedy indziej główne nadzieje wiązano z Guomindangiem, chciano go wręcz przyjmować do Kominternu i dyrygować z Moskwy "rewolucyjnym rządem jedności narodowej", by niezadługo wrócić do opierania się na partii komunistycznej i na pospiesznie tworzonej Chińskiej Armii Czerwonej. A obok tego były kolejne flirty i wzloty nadziei związane ze związkami zawodowymi, z chińskim Komsomołem, z reorganizowaniem i kierowanym przez politycznych i wojskowych doradców z Moskwy Guomindangiem, z rozmaitymi militarystami lokalnymi, układw i nawiązanie oficjalnych stosunków dyplomatycznych z wrogim im wszystkim rządem pekińskim, organizacja grup partyzanckich w Mandżurii nasyłanych z Rosji i wreszcie jej krótkotrwała okupacja przez Armię Czerwoną w 1929 roku.

Wszystkie te niespodziewane zwroty w polityce Moskwy, przerzucanie się od jednej koncepcji do drugiej bez konsekwentnej realizacji żadnej z nich, a często nawet bez fazy realizacji, miały swą cenę, którą płacili komuniści różnych nacji pracujący w Chinach i w centrach rosyjskich, a jeszcze droższą lewicowcy chińscy. Była to cena krwi, ale także osobistych dramatów ideologicznych i politycznych, ruiny całej

go życia nazbyt łatwowiernie zawierzonego Moskwie, integralności osobowej, logiki działania partii itp. Ile tysięcy najlepszych patriotów chińskich różnych orientacji straciło życie w tym diabelskim młyńcu wałk politycznych i zbrojnych, dziś nawet ustalić nie sposób. Ostatecznym tego wynikiem była z jednej strony antykomunistyczna orientacja Guomindangu połączona z głębokim urazem wobec Moskwy, z drugiej zaś narastające w Komunistycznej Partii Chin tendencje antykominternowskie, które ostatecznie przesądziły o zdobyciu w partii pełnej władzy przez grupę Mao Zedonga /Mao Tse-tunga/.

Revolucja dokonała się w Chinach, kiedy Moskwa przestała już jej oczekiwać, i w sposób daleki od moskiewskich recept: jako rewolucja chłopska i przez działania armii zorganizowanych przez komunistów. Zwycięstwo to stało się możliwe dopiero w wyniku drugiej wojny światowej, w wyniku okupacji większej części terytorium Chin przez Japonię i rozwoju tam ruchu oporu. Dopiero w tej szczególnej sytuacji historycznej, występując jako partia broniąca interesu narodowego, komuniści zdobyli niezbędne poparcie społeczne. I w trzeciej wojnie domowej /1947-1949/ ostatecznie pokonali armie Guomindangu.

O tym kluczowym okresie wojny trzeba powiedzieć więcej, gdyż zdecydował on nie tylko o zwycięstwie komunizmu w Chinach, ale także o stosunkach między Moskwą i Pekinem po tym zwycięstwie. Wojna na Dalekim Wschodzie zaczęła się w istocie w 1931 roku od okupacji Mandżurii przez Japonię i utworzenia tam marionetkowego państwa Mandżukuo. KPCh w tym okresie utworzyła Chińską Republikę Sowiecką /Zhonghua Suwei Gongheguo/ w Chinach centralnych na terenach kontrolowanych przez jej wojska /Moskwa nie nawiązała z nią wszelkie oficjalnych stosunków dyplomatycznych, choć i jej stosunki z rządem Guomindangu były zawieszane/. Rachuby na rozszerzenie władzy sowieckiej w Chinach nie powiodły się jednak. Program "komunizacji" wystraszył nie tylko klasy posiadające, ale i masy chłopskie, a Chińska Armia Czerwona nie była w stanie oprzeć się regularnym wojskom Guomindangu. Republika Sowiecka z Mao na czele została rozbita, niedobitki jej armii musiały opuścić stare bazy komunistyczne w Chinach centralno-południowych, przebywały się na północ w pobliże kontrolowanej przez Moskwę Mongolii i przyfrontowej strefy terenów okupowanych przez Japonię, gdzie w zamieszaniu wojennym odbudowa centrów politycznych partii wydawała się łatwiejsza. Był to sławetny Wielki Marsz.

Na północy udało się istotnie stworzyć rejon kontrolowany przez komunistów, choć rachuby na pomoc Moskwy okazały się chybotane. Ta nie spieszyła się z organizacją przerzutów broni i sprzętu. Później, w ciągu wielu lat wojny z okupantem japońskim, domagała się ona stale rozszerzania walki przeciw wojskom japońskim, nie odpowiadała jednak na prośby o dostawy sprzętu. Ostatecznie dostawy takie podjęto, a nawet wysłano samoloty i lotników dla wzmocnienia obrony przeciwlotniczej, ale skierowano je do śmiertelnego wroga komunistów, do Guomindangu. Inne bowiem były interesy Moskwy prowadzącej skomplikowaną grę międzynarodową, a inne KPCh. Moskwa, która zawarła układ o nieagresji z Japonią, uznała że wspomaganie rządu chińskiego mającego uznanie międzynarodowe jest wygodniejsze, niż wspomaganie komunistów chińskich. Poprzez umacnianie frontu chińskiego chciała związać możliwie największe siły japońskie, by zapobiec możliwemu przecięciu atakowi na własne terytorium dalekowschodnie. Wizja drugiego frontu na wschodzie była stale nocną marą Stalina podczas trudnych lat walki z faszystowskimi Niemcami. Komunistom chińskim narzucano politykę współdziałania z Guomindangiem, "frontu narodowego" i walki zbrojnej przeciw Japonii. Wyczerpywanie sił KPCh, zdominowanej przecież przez niechętnie Kominternowi ugrupowania "wiejskich partyzantów", byłoby przysto-
wionym pieczeniem dwu pieczeni przy jednym ogniu.

Odmienność orientacji politycznych Moskwy i KPCh uwidoczniła się jaskrawo w przededniu wojny japońsko-chińskiej na pełną skalę, podczas głośnego "incydentu szańskiego" w grudniu 1936 roku. Dwu generałów Guomindangu, Yang Hucheng i Zhang Xueliang, zaarrestowało wówczas swego szefa państwa i głównodowodzącego zarazem Jiang Jieshi /Czang Kai-szeka/ podczas inspekcji, poprzedzającej nową wielką ofensywę przeciwko wojskom komunistycznym. Wypadki w mieście Xi'an /Si'an/

mają już bogatą literaturę historyczną, która jednak nie wyjaśniła wielu kluczowych aspektów, pozostających wciąż w tajemnicy. Wersja przedstawiona mi prywatnie przez byłych pracowników Kominternu przedstawia się następująco. Obydwaj generałowie nosili się z zamiarem buntu już od dawna i zgłosili chęć przejścia wraz z wojskami na stronę KPCh. Wówczas Mao, jako potwierdzenie pełnej szczerości ich intencji i "odkupienie byłych win", zaproponował im aresztowanie Jiang Jieshi. Stałoby on przed sądem komunistycznym i zostałby stracony, a dwaj generałowie byłiby oficjalnie przyjęci do KPCh. Plan ten, który byłby wielkim tryumfem politycznym KPCh, został przedstawiony do aprobaty Kominternowi i Dymitrow go zaakceptował. Być może nie bez udziału Moskwy Wang Jingwei, przebywający wtedy w Niemczech jeden z najbliższych współpracowników Sun Zhongshana /Sun Jat-sena/ i wódz chińskiej lewicy niekomunistycznej, pozostający jednak od lat w kontaktach z Moskwą, wyruszył do kraju, spodziewając się tam powierzenia mu najwyższych funkcji państwowych po eliminacji byłego wodza.

Gdy jednakże rano 13 grudnia Dymitrow otrzymał depezę o uwięzieniu wodza Guomindangu i pospieszył z nią do Stalina, zniknął na długie godziny. Wrócił dopiero w południe, tak wzburzony, jakim go nie pamiętali najstarsi stadem kominternowcy, cisnął nawet lampą o ścianę i awanturował się wściekle. "Prawda" ukazała się w tym dniu z nieprawdopodobnym wręcz opóźnieniem, około 4-tej po południu, i był w niej artykuł ni mniej ni więcej tylko oskarżający "agentów japońskich" o uwięzienie wodza Guomindangu i próbę rozbicia tworzonoego z trudem chińskiego frontu jednności narodowej wobec agresji. Tak pracownicy sekcji chińskiej Kominternu wprowadzeni w grę dowiedzieli się, że ich szef Dymitrow i Mao są "agentami japońskimi". A pamiętajmy, że oskarżenia "trockistów" o agenturalną służbę niemiecko-japońską były wtedy na porządku dnia w Moskwie i zamieszani w "afere" widzieli już siebie oczyma wyobraźni na kolejnej sali rozpraw.

Aresztowania jednak nie nastąpiły, Dymitrow nie został usunięty. W związku z tym do końca pozostało dla nich niejasne, czy dumny i dość autonomicznie działający Dymitrow po prostu nie poinformował o swoich zamiarach Stalina i dopiero po osiągnięciu sukcesu powiedział mu o tym, z żalonymi skutkami, gdyż wódz miał inne plany wobec Chin, czy też po prostu Stalin zmienił zdanie. Z jednej strony wydawało się nieprawdopodobne, by posunięcie polityczne tego rzędu nie zostało skonsultowane ze Stalinem zawczasu i by sprawca takiej niesubordynacji mógł ująć bez kary, z drugiej wydawało się absurdalne, by Stalin wiedział o sprawie, akceptował posunięcie, a zmienił decyzję post factum. Osoby z otoczenia Mao opowiadały potem prywatnie, że ten, otrzymawszy telefon z Moskwy żądający porozumienia z wodzem Guomindangu i uwolnienia go, wpadł w furję, tupał, krzyczał i rozbijał wszystko pięściami. Ostatecznie przy walnym udziale wytrawnego dyplomaty Zhou Enlaia /Czou En-laja/ konflikt został załagodzony i porozumienie między KPCh a Guomindangiem zostało zawarte /prawda, że wówczas bez skutków praktycznych/. Dwaj buracy zostali później aresztowani, stracono ich wraz z rodzinami, sekretarzami itp. przed ucieczką wodzów Guomindangu na Tajwan, gdy opróżniano więzienia.

Opisuję ten incydent tak dokładnie nie tylko dlatego, iż zebrane relacje mają wartość historyczną, ale także dlatego, że rzucają one sporo światła na stosunki między Moskwą a KPCh. Pokazują, że Komintern w pewnych wypadkach funkcjonował jako lobby partii komunistycznych, zderzając się z odmienną postawą czynników kierowniczych państwa, mających inne priorytety i koncepcje, choć ostatecznie to Komintern musiał przekazywać w teren decyzje nie przezeń podjęte. Dodajmy, że Stalin miał zadawnione urazy do Kominternu i nigdy zbyt go nie cenił, a o jamym Mao mówił, że jest jak rzodkiewka: patrzysz z wierzchu - czerwona, a poskrobiesz - wychodzi białe.

Podobnych konfliktów było wiele. W latach 1941-1942, gdy Moskwa stanęła w obliczu największego zagrożenia, Mao zainicjował u siebie kurs "sinizacji komunizmu", nadawania mu chińskiej formy, i zasadniczych zmian doktrynalnych, a także eliminacji politycznej wszystkich, których uważał za powiązanych z Moskwą. Po skoncieniu wojny światowej, gdy Jiang Jingguo, syn Jiang Jieshi, obecnie po śmierci ojca kie-

rujący Tajwanem, wizytował Mandżurię i gdy KPCh przygotowała tam zamach na niego, to właśnie Rosjanie ostrzegli go. Studiował on kiedyś w Moskwie, tam się ożenił, miał tam przyjaciół i Moskwa wołała zachować go na przyszłość¹.

W końcowym okresie wojny, jak wynika z analizy posunięć politycznych i relacji prywatnych. Stalin miał plan "rozwiązania kwestii chińskiej" przez podział tego kraju. Mandżuria miała się stać "demokratyczną republiką ludową", podobną do swych sióstr europejskich, tak samo jak republika turkiestańska proklamowana na chińskich terenach zachodnich, w rejonie Xinjiangu. Chiny północne zamierzały oddać nacjonalistycznym komunistom chińskim z Mao na czele, a na południu chciał zachować reżym Guomindangu, który w tej sytuacji ostałby się z jego łaski i funkcjonował jak Finlandia. Tybet miał uzyskać pełną samodzielność i stać się strefą buforową między posiadłościami rosyjskimi i angielskimi. Zjednoczenie tak podzielonych Chin nie mogłoby się dokonać nawet i za sto lat i tym sposobem imperium rosyjskie byłoby najsilniejsze na obu kontynentach. Właśnie dlatego w 1948 roku w Moskwie przyjęto delegację rządową "Demokratycznej Mandżurii", z którą podpisano stosowne umowy o współpracy w różnych dziedzinach². I wcale nie kwapiono się z przekazywaniem zdobycznego sprzętu japońskiego wojskom Mao. Ambasador sowiecki był jednym z ostatnich, którzy opuścili rząd guomindangowski, uczynił to dopiero w przededniu wsiadania na okręty i panicznej ucieczki na Tajwan, gdy ambasador amerykański dawno już opuścił bylego władz /Pekin zajęty został przez wojska KPCh w styczniu 1949 roku/. Nie mogąc złożyć żadnych dokumentów, a chcąc pozostać w mieście, zapisał się na uniwersytet pekiński i czekał na dalsze wypadki. Przypomnijmy, że i Mao w końcowym okresie wojny chciał nawiązać współpracę z USA i w oparciu o ten kraj właśnie chciał modernizować Chiny. Ostatecznie dopiero w czerwcu 1949 podjął decyzję o nowym kursie "oparcia się na jednej stronie", to jest ZSSR. Zjednoczenie Chin i ustanowienie tam władzy partii kierowanej przez Mao Zedonga było sprzeczne z zamiarami i interesami Moskwy, dlatego nie udostępniła ona kierownictwu chińskiemu środków desantowych zgromadzonych dla planowanej inwazji wysp japońskich, ratując w ten sposób resztki reżymu guomindangowskiego na Tajwanie przed wcieleniem do nowego państwa.

Wizja braterskich więzów Moskwy i Pekinu od chwili ustanowienia w Chinach władzy komunistów była tylko fikcją propagandową. Rzeczywistość była o wiele bardziej skomplikowana, czego przez czas długi Zachód zupełnie nie rozumiał, naiwnie wierząc, że wszyscy komuniści są "agentami Moskwy", bez względu na to, co mówią. Pierwsza wizyta Mao w Moskwie ilustruje to najlepiej /opis opieram na trudnych do

1. Przebywał on na studiach w latach 20-tych. Po 1927 roku, gdy jego ojciec przyłączył się w Chinach do prześladowań komunistów i stopniowo wysuwał się na czoło Guomindangu, Jiang Jinguo pozostawał w ZSSR, był członkiem WKP(b), przyjął obywatelstwo sowieckie. Brał udział w pracach centrali Kominternu. W ramach czystek został wysłany z Moskwy do Magnitogorska, gdzie redagował m.in. gazetę zakładową. Ze względu na pozycję ojca uniknął gorszego losu. Odesłano go do kraju /wraz z żoną i dziećmi/ dopiero gdy rozpoczęła się wojna japońsko-chińska i gdy ZSSR zaczął normalizować swe stosunki z rządem guomindangowskim.

2. Prezydentem Ludowej Mandżurii miał być Gao Gang, czołową rolę w tworzeniu prosowieckich struktur administracyjnych odegrał też tam Liu Shaoqi /Liu Szao-czi/. Obydwaj zajmowali później wysokie stanowiska w ChRL. Pierwszy został usunięty z władz i aresztowany natychmiast po śmierci Stalina, a w kilka lat później zmarł w więzieniu w niejasnych okolicznościach. Był to rzadki w Chinach przypadek fizycznej likwidacji w gronie przywódców /dopiero później w okresie rewolucji kulturalnej praktyka ta się upowszechniła/. Liu Shaoqi został potępiony dopiero w 1966 roku. Zarzutów dotyczących okresu ich współpracy z Rosjanami nigdy jednak publicznie nie roztrząsano, zarzucając im inne błędy. Było to zwykłą praktyką także wobec innych usuwanych dostojników, związanych niegdyś z pracą dla Kominternu lub inaczej powiązanych z Moskwą. Można jednak zaktądać, że takiej współpracy, choćby podejrzewanej i odległej w czasie, Mao nigdy nie wybaczał i zawsze w końcu eliminował takich działaczy.

sprawdzenia relacjach prywatnych, które wydają się jednak wiarygodne/. Mao opuścił swój kraj w końcu listopada 1949 roku, niemal tuż po proklamowaniu ChRL /1 października/, choć jego obecność na miejscu była pilnie potrzebna. Jechał do Moskwy pełen najgorszych obaw. Gdy pociąg przekroczył granicę i na peronie otoczyli go żołnierze, zabarykadował się w przedziale i nie dał się przekonać do przyjęcia zwykłego rytuału kampanii honorowej, oczekującej na "bratniego przywódcę". Nawet kwiaty, które w pierwszym momencie przyjął, za chwilę wyrzucił przez okno, obawiając się pewnie, że mogą być zatrute.

Jego obawy w Moskwie nie rozwiały się, tym bardziej, że o jego przybyciu prasa moskiewska nie poinformowała. Znalazł się praktycznie w areszcie domowym. Jedną jego rozrywką, dość zresztą wątpliwą, było oglądanie co dzień dwu filmów sowieckich, jakie mu pokazywano. Pisał wielokrotnie listy, wojsował o uzyskanie kuchni i elektrycznej i prawa dostarczania mu przez ambasadę ryżu, jajek i sosu sojowego, aby mógł sam się żywić /wciąż obawiał się zapewne otrucia/, o kontakty z ambasadą /wciąż jeszcze obsadzoną przez personel epoki guomindangowskiej/, wreszcie o pozwolenie zamieszkania w niej, na co mu wreszcie pozwolono. Chińczycy jednak odetchnęli z ulgą dopiero po pierwszym jego wystąpieniu publicznym, na spotkaniu z robotnikami zakładów Ligaczowa, o czym doniosła prasa. Świat wrócić dowiedziało się, że Mao przebywa w Moskwie, a zatem nie mógłby już zniknąć bez śladu, jak tyłu przed nim komunistów. Nadal jednak żadnych rozmów politycznych z nim nie prowadzono. Dopiero w końcu grudnia, gdy zaproszono go wraz z innymi delegacjami komunistycznymi na uroczystą akademię z okazji 70-tej rocznicy urodzin Stalina, obchodzonej szumnie, znalazł się za stołem przydialnym tuż obok wodza. Ten przed publicznością, korpusem dyplomatycznym i dziennikarzami wymieniał kordialne uśmiechy z Mao, ścisł mu dłoń z szacunkiem itd., stwarzając złudzenie porozumienia i przyjaźni. Dopiero po tym spotkaniu zaczęły się rozmowy Mao ze Stalinem, w końcu stycznia dołączył do nich Zhou Enlai i inni funkcjonariusze przybyli z Pekinu. Traktat o sojuszu i przyjaźni wraz z towarzyszącymi dokumentami podpisano 14 lutego. Duża część rozmów toczyła się jednak w cztery oczy, tylko z tłumaczami każdego z nich. Tłumacz Stalina jeszcze tej samej wiosny w tajemniczych okolicznościach zginął. Wyglądało to na napad rabunkowy wieczorem na ulicy, choć w owych czasach napady takie w centrum właściwie się nie zdarzały. Tłumacza Mao także żaden cudzoziemiec nie widział później w Pekinie. Wydaje się także, że nie zachowały się z tych rozmów dokumenty, w każdym razie Chruszczow miał później wielkie kłopoty z odtwarzaniem dawnych porozumień, ich części tajnej, i podobno ostatecznie różne kwestie próbował wyjaśnić z Mao.

Choć nie znamy szczegółów, ogólne zarysy są jasne, gdyż po prostu demonstrowała jej praktyka polityczna. Jak można sądzić, kwestią kluczową była jedność i niepodległość Chin. Moskwa starała się zachować jak najwięcej quasi-kolonialnych przywilejów, a nawet rozszerzyć je, podczas gdy Mao starał się je ograniczać, przede wszystkim te, które naruszały integralność terytorialną. Tak więc, na przykład, Stalin zgodził się ostatecznie zdemontować republikę turkiestańską i oddać całą chińską prowincję Xinjiang Chinom, ale za cenę utworzenia tam mieszanym towarzystw sowiecko-chińskich dla eksploatacji złóż ropy i metali rzadkich, a także uranu. Z kolei Mao uznał niepodległość Mongolii Zewnętrznej /Mongolskiej Republiki Ludowej/ oderwanej od Chin w 1912 roku, uznanej przez aliantów na mocy porozumień jaltańskich, ale starał się tam zagwarantować pewną obecność chińską. Najtrudniejszą kwestią były jednak związki Mandżurii z ZSSR. Moskwa chciała tam zachować eksterytorialną bazę morską Port Artur jako swój jedyny niezamarzający port na Pacyfiku i jako symbol mocarstwowego powrotu nad Pacyfik /utracono ją w wyniku przegranej wojny z Japonią w 1905 roku, a wymuszono na Chinach zaledwie kilka lat wcześniej/, szczególnie status portu Dalnij, kolej mandżurską, a także sieć agend utworzonych lub nowopowstałych w wyniku pokonania Japończyków i okupacji Mandżurii przez Armię Czerwoną.

Ślady sporów i targów widać w kompromisowym rozstrzygnięciu tych kwestii i rozmaitych szczegółowych uregulowaniach. Zapewne dyskutowano także przyszłość podzielonej Korei i Indochin, gdzie toczyła się antykolonialna wojna, być może także

Birmy, Malajów i innych krajów Azji południowo-wschodniej, gdzie komunistyczna partyzantka toczyła walki z pewnymi szansami na sukces i gdzie etniczny element chiński odgrywał istotną rolę w walkach politycznych. W sprawie "wyzwolenia Tajwanu" Mao, jak można sądzić, nie uzyskał niczego konkretnego poza obietnicą poparcia dla dyplomatycznego uznania Chin Ludowych przez wszystkie państwa i dla koncepcji "jednych Chin" /akceptowanej także przez reżym guomindangowski na Tajwanie/. Niewielka była także przyobiecana pomoc gospodarcza dla industrializacji Chin. Dostawy sprzętu wojskowego były okupione zgodą na wprowadzenie doradców sowieckich do sztabów chińskich, do szczebla dywizji włącznie. Doradcy ci byli później źródłem wielu konfliktów, gdyż próbowali pospiesznie sowyetizować armię chińską i opiniować decyzje personalne. Podobni doradcy pojawili się także w milicji i służbach tajnych. Ogólnie można ocenić, że Stalin osiągnął bardzo dużo, zaś Mao wybrocił się jedynie przed najgorszym, albo też nie chcąc akceptować rozwiązań sowieckich pozostawił liczne kwestie trudne /np. sprawę granic/ "do późniejszego uregulowania". Za cenę uznania "przewodniej roli ZSSR", podporządkowania politycznego i sowietyzacji, uzyskał wszakże jedno: Azja /od Japonii do Indii/ miała być odtąd chińską strefą wpływów i postępy socjalizmu tam miały być kierowane z Pekinu, jedynie w uzgodnieniu z Moskwą. W ten sposób Chiny stały się niejako "mocarstwem regionalnym" i czynnikiem poniekąd autonomicznym w polityce komunistycznej. Miały być "młodszy bratem", a nie satelitą. To one miały posuwać naprzód przemiany komunistyczne w Azji wschodniej i południowo-wschodniej i tworzyć tam nowe reżymy komunistyczne.

Stalin zaakceptował ten szczególnie układ, gdyż w ten sposób uzyskiwał trwałe przykucie Chin do rydwanu Moskwy, wystawiał je na ostry konflikt z USA, co było nie bez znaczenia przy dawnych animozjach i sympatiach proamerykańskich. Majstersztykiem jego polityki było zainicjowanie wojny w Korei i zaangażowanie tam wojsk chińskich. W ten sposób między Chinami i USA polała się krew. Wielka ofensywa Stalina z lat 1949-1951 angażująca Chiny w wielu walkach w Azji poniekąd służyła właśnie temu celowi. Z drugiej strony nie zamierzał wspierać w sposób istotny rozwoju gospodarczego Chin; ich słabość i rozliczne konflikty azjatyckie utrwały zaleźność Chin, zapobiegać miały ich uzależnieniu politycznemu i gospodarczemu. Blokada gospodarcza i polityczna Zachodu, obejmująca Chiny, a nawet wystawiająca je na większe trudności niż kraje europejskie, które znalazły się pod wpływami Moskwy, służyła do brze jego celom.

Dopiero za czasów Chruszczowa miały wybuchnąć konflikty. Z jednej strony zwiększył on znacznie pomoc gospodarczą i zgodził się na zlikwidowanie wielu dawnych przywilejów, wymuszonych przez Stalina, z drugiej jednak odrzucił istnienie chińskiej strefy wpływów i podjął sam rozliczne inicjatywy w Azji, zwiększające wpływy Moskwy. Był to poniekąd jego rewanż za mieszanie się Chin do polityki Moskwy w Europie, szczególnie w jej strefie wschodniej; Polska była tu nauką szczególnie bolesną. Do tego dołączały się kwestie destalinizacji /uderzającej pośrednio w Mao i chiński system "kultu jednostki"/ i polityki odprężenia. Wprawdzie Mao początkowo poparł obydwa te kierunki, szybko jednak uznał, że są one dla Chin niekorzystne, tym bardziej, że łączyły się z negocjowaniem w praktyce "ich strefy wpływów". Ta ostatnia kwestia miała być kluczowa dla dalszego rozwoju konfliktu, niezależnie od zmieniających się z obu stron sloganów.

Dodać też należy, że w Chinach sam Mao wzywał do "uczenia się od Związku Sowieckiego" i popierał sowietyzację w swoich latach pięćdziesiątych. Można zakładać, że nie mogąc się polityce takiej sprzeciwić, starał się wyciągnąć z niej wszelkie korzyści, między innymi dla umacniania swej władzy, z drugiej zaś strony liczył się z góry z tym, że w karykaturalnej postaci doprowadzi ona społeczeństwo doznieżczenia i obrzydzi na zawsze wszystko co sowieckie. Ułatwi mu zatem osobiście w przyszłości likwidację ugrupowań promoskiewskich w partii. I tak się też stało. Jest tylko pozornym paradoksem, iż walcząc przez lata z polityką Stalina, usuwając jego ludzi i wpływy w Chinach, po jego śmierci stał się głównym obrońcą jego mitu na arenie międzynarodowej i na centralnym placu Tiananmen w Pekinie zachował się jego portret obok Marksa, Engelsa i Lenina i swojego własnego w centrum.

Od 1957 roku Chiny zaczęły coraz wyraźniej dążyć do przejęcia przywództwa światowego ruchu komunistycznego, dyskredytując w sposób zawołany, a później coraz bardziej otwarty, ZSSR. Wraz z początkiem rewolucji kulturalnej w 1966 roku podjęto wielką ofensywę przeciw Moskwie na arenie międzynarodowej, dążąc do stworzenia nowego maoistowskiego ruchu komunistycznego, odrębnych partii "marksistowsko-leninowskich", zaś w polityce wewnętrznej rugowano zaciekle wszelkie ślady dawnego uzależnienia od Moskwy i zlikwidowano przejęty w latach pięćdziesiątych system stalinowski. Moskwa odpowiedziała na to zablokowaniem stosunków z Pekinem, polityką narzuconą także krajom od niej uzależnionym /wyłamała się z niej tylko Rumunia/. W 1969 roku oba mocarstwa komunistyczne znalazły się na progu wojny. W rezultacie Pekin dokonał zasadniczego zwrotu politycznego i zaczął normalizować swe stosunki z USA. Dopiero dojście do władzy Deng Xiaopinga i reformy zainicjowane w 1978 roku miały doprowadzić do zaniechania poprzedniej polityki konfrontacji z Moskwą i powolnej poprawy wzajemnych stosunków; nowa polityka wewnętrzna i zagraniczna Gorbaczowa ułatwiła i przyspieszyła ten proces, daleki jednak od zakończenia. Na ile reformy sowieckie są odpowiedzią na nowe, gospodarcze wyzwanie chińskie, trudno powiedzieć, choć wpływ wydaje się niewątpliwy. Bez zadziwiających sukcesów Denga Gorbaczow nie mógłby zapewne zainicjować swych reform. Czynniki chiński okazał raz jeszcze swe szczególne znaczenie dla polityki Moskwy.

Krzysztof GAWLIKOWSKI

WYWIADY "KULTURY"

"Kultura", maj 1987

Robert Kostrzewa

AMERYKAŃSKA POLITYKA ZAGRANICZNA NA ROZDROŻU

Rozmowa z Irvingiem Kristolem

Irving Kristol, jeden z najbardziej wpływowych intelektualistów amerykańskich, w latach 50-tych współredaktor miesięczników "Commentary" i londyńskiego "Encounter'a", jest dziś profesorem myśli społecznej w Szkole Zarządzania Uniwersytetu Nowojorskiego, współredaktorem kwartalnika "The Public Interest", członkiem redakcji "The Wall Street Journal", a także wydawcą "The National Interest", nowego kwartalnika konserwatywnego, poświęconego zagadnieniom polityki zagranicznej i stosunków międzynarodowych. Najbardziej znane pozycje książkowe Irvinga Kristola to "O idei demokracji w Ameryce" /1972/ i "Dwie pochwały kapitalizmu" /1978/.

Kristol, nazywany często duchowym przywódcą amerykańskich neokonserwatystów, ceniony jest przede wszystkim za swe analizy współczesnego kapitalizmu oraz prace i artykuły na temat polityki społecznej w Stanach Zjednoczonych. Z jego opiniami liczą się zarówno amerykańskie mass media jak i koła polityczne i biznesowe w USA. W swej bogatej karierze publicystycznej Kristol znany jest również jako pisarz polityczny. Jego ocena sytuacji międzynarodowej różni się jednak zasadniczo od poglądów innych myślicieli amerykańskiego neokonserwatyzmu. Analizy i propozycje Kristola dotyczące polityki zagranicznej bulwersują często nawet jego najbliższych przyjaciół w obozie neokonserwatystów. Oskarżany jest o polityczny izolacjonizm, a także o niezrozumienie istoty systemu sowieckiego. Jego poglądy, a szczególnie propozycja wycofania wojsk amerykańskich z Europy, nie są jednak w Ameryce aż tak odosobnione i znajdują coraz większy oddźwięk w kołach tradycyjnej amerykańskiej prawicy.

Poniższego wywiadu Irving Kristol udzielił specjalnie dla redakcji "Kultury".

ROBERT KOSTRZEWA: - Ostatnie niepowodzenia administracji Ronalda Reagana na arenie międzynarodowej skłaniają do zadumy nad starym problemem, czy w systemie demokratycznym w ogóle możliwe jest prowadzenie skutecznej polityki zagranicznej. Czy demokracja amerykańska może sprostać zadaniom, jakie stoją przed supermocarstwem przy tak wielu ograniczeniach proceduralnych, jakie istnieją w amerykańskim systemie parlamentarnym?

IRVING KRISTOL: - Po pierwsze nie mają sensu uogólnienia na temat zależności między zasadami demokracji a prowadzeniem polityki zagranicznej - a szczególnie w przypadku Stanów Zjednoczonych. Ograniczenia i przeszkody w prowadzeniu skutecznej polityki międzynarodowej istniejące we Francji, Anglii czy w Niemczech są zupełnie inne niż te, z którymi mamy do czynienia w Ameryce - te zaś, które istnieją dziś w USA, nie istniały dwadzieścia lat temu. Pojawiły się w okresie wojny wietnamskiej, co jest dowodem na to, że nie są one nieodłączną cechą demokracji. Prawa określające zasady prowadzenia polityki zagranicznej mogą przecież ulec zmianie, a niektóre z nich okazały się nawet sprzeczne z konstytucją. Nie są ograniczenia związane z naturą systemu demokratycznego - są raczej konsekwencją historycznego przypadku. Mam oczywiście na myśli wojnę w Wietnamie.

Porażki, o których Pan mówi, też nie są moim zdaniem aż tak poważne. Bywało ich w dużo gorszych tarapatach. Amerykańska polityka zagraniczna jest dosyć elastyczna. Ludzie zajmujący się sprawami międzynarodowymi za dużo grają w szachy i myślą o polityce zagranicznej w terminach szachowych. Szachy nie są zbyt popularne wśród przeciętnych Amerykanów, którzy myślą o stosunkach międzynarodowych bardziej w kategoriach football'u - amerykańskiego football'u, nie europejskiego. W football'u można przegrać w jednej ćwiartce gry i jednak wygrać mecz. Sytuacja zmienić się może bardzo szybko i wcale bym się nie zdziwił, gdyby w ciągu sześciu miesięcy czy roku obecny rząd wystąpił z jakimiś interesującymi, czy nawet odważnymi inicjatywami. Tego po prostu nie można przewidzieć i błędem jest, moim zdaniem, wróżenie długofalowych tendencji na podstawie stosunkowo mało ważnych potknięć w polityce USA.

R.K.: - Nie podzielam niestety Pańskiego, nawet umiarkowanego, optymizmu. Najwierniejsi sympatycy rządów Reagana pytani o sukcesy amerykańskiej polityki zagranicznej ostatnich sześciu lat wymieniają posunięcia raczej drugorzędne. Mówi się wtedy przeważnie o inwazji Grenady...

I.K.: - Chwileczkę. Mogę Panu wymienić wiele innych osiągnięć na arenie międzynarodowej, które administracja Reagana może sobie w pewnym sensie przypisać. Ruch oporu Afgańczyków i to, że w Afganistanie ciągle trwa wojna domowa jest do pewnego stopnia wynikiem pomocy amerykańskiej dla afgańskich bojowników. Tak samo rebelia w Angoli. Dwa poważne powstania antykomunistyczne trwają w dużej mierze dzięki pomocy ze strony rządu Reagana. Związkiwowski Sowieckiemu przypisujemy rozruchy w Salwadorze czy Peru, nikt jednak nie docenia roli Stanów Zjednoczonych w podtrzymywaniu antykomunistycznych powstań w krajach zdominowanych przez Sowiety. Wszyscy oczekują, że opór przeciwko Związkowi Sowieckiemu powinien przynosić natychmiastowe rezultaty. Największym naszym osiągnięciem administracji Reagana w polityce zagranicznej jest utwierdzenie społeczeństwa amerykańskiego w tym, że potęga tego kraju może być w razie potrzeby skutecznie użyta.

R.K.: - Rzeczywiście myśli Pan, że cel ten został osiągnięty?

I.K.: - Jestem o tym przekonany. Oczywiście nie w Kongresie, który ciągle cierpi na syndrom wietnamski. Większość młodszych czterdziestoparoletnich dziś kongresmenów brała przecież udział w opozycji wobec wojny w Wietnamie. Na pewno też nie w Pentagonie, gdzie wietnamski syndrom jest również bardzo silny. A z pewnością już nie w Departamencie Stanu, który w ogóle nie uznaje polityki wojskowej, a tylko dyplomację. Społeczeństwo amerykańskie natomiast gotowe jest - moim zdaniem - poprzeć użycie siły i bardziej odważne posunięcia na arenie międzynarodowej. Czego nam potrzeba, to prezydenta, który byłby prawdziwym przywódcą. Reagan czasami potrafi sprostać temu zadaniu, czasami nie. Częściowo przypomina Theodora Roosevelta, a częściowo generała Eisenhowera; od czasu do czasu postępuje odważnie, a czasami wydaje się mieć dość schematyczną, konserwatywną, dyplomatyczną wizję świata. Sądzę jednak, że w amerykańskim społeczeństwie do-

końca się jakiś przełom. Jeśli nawet republikanie przegrają następne wybory prezydenckie, nie będzie to przecież koniec świata.

R.K.: - Pomysł sprzedaży broni Iranowi w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników amerykańskich w Libanie jest kolejnym przykładem, że Zachód - w tym przypadku Stany Zjednoczone - nie jest w stanie przyjąć do wiadomości faktu, że w stosunkach międzynarodowych bardzo często nie można ubić targu. Jak się ostatnio przekonaliśmy, troska prezydenta o życie zakładników była bodaj najważniejszym czynnikiem określającym politykę amerykańską wobec jednego z najistotniejszych strategicznie rejonów świata. Tego rodzaju postawa skazuje państwa zachodnie na porażkę w walce z terroryzmem, a Sowiety utwierdza w przekonaniu, że finansowanie i pomoc dla grup terrorystycznych jest rzeczywiście bardzo dobrą i niezbyt kosztowną inwestycją w osłabianie Zachodu. Wnioski takie musiały przyjść do głowy przynajmniej niektórym z doradców Ronalda Reagana. Dlaczego zatem Reagan zgodził się na operację irańską, nawet jeśli nie był w pełni poinformowany o jej szczegółach?

I.K.: - Implikacje operacji irańskiej z pewnością przysły do głowy George'owi Shultzowi i Casparowi Weinbergerowi, którzy obydwaj dystansują się od całej sprawy. Pewne jest też, że prezydent jest zbyt sentymentalny, jeśli idzie o amerykańskich zakładników. Ronald Reagan jest rzeczywiście człowiekiem sentymentalnym. Nie jest przywódcą, który potrafi działać z zimną krwią. W historii Ameryki jest to jeden z najmniej makiawelicznych prezydentów.

R.K.: - Sentymentalność nie należy, niestety, do najbardziej wartościowych cech męża stanu...

I.K.: - Błąd Reagana polegał przede wszystkim na fałszywym założeniu, że można sprzedawać broń w zamian za uwolnienie zakładników i że fakt ten zostanie utrzymany w tajemnicy. Osobiście w tym przypadku nie miałbym nic przeciwko sprzedaży broni w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników. Nie miałoby to żadnego znaczenia - szczególnie, że były pewne przesłanki, aby sądzić, że w rządzie irańskim istnieje frakcja przeciwna Chomeiniemu - ale największym błędem było założenie, że uda się taką operację ukryć.

Szczerze mówiąc nie należę do konserwatystów, którzy uważają terroryzm za jeden z najważniejszych problemów w polityce międzynarodowej. Jest to dla mnie sprawa raczej drugorzędna. Nie interesuje mnie walka z terrorystami. Jeżeli Libia prowadzi działalność terrorystyczną, należy zaatakować Libię. To samo tyczy się Syrii. Interesują mnie wrogie rządy. Nie można rozwiązać problemu terroryzmu per se. Terroryści będą istnieć zawsze. Niech się Pan przez chwilę zastanowi nad sytuacją Wielkiej Brytanii w Irlandii. Brytyjczycy nie mogą sobie dać rady z irlandzkim terroryzmem, bo nie potrafili rozwiązać problemu irlandzkiego. Nie ma zatem czegoś takiego jak wojna z terrorem. Terroryzm pojawia się wszędzie: w Indiach, na Cejlonie, w Sri Lance. Można albo zaatakować źródło terroru, albo pogodzić się z istnieniem terrorystów. Osobiście jestem za tym, aby Ameryka atakowała źródła terroru, czyli Syrię, Libię i Iran. Już dawno należało użyć wojsk amerykańskich na Bliskim Wschodzie. Jeśli się tego nie robi, trzeba współżyć z terroryzmem.

R.K.: - Nie bardzo w związku z tym rozumiem, dlaczego uważa Pan, że sprzedawanie broni Iranowi było nieistotnym błędem?

I.K.: - Był to nieistotny błąd dlatego, że jeśli sprzedaje się Iranowi broń w zamian za pomoc w uwolnieniu zakładników, nie musi to wcale stwarzać jakiegos prze-

cedensu. Zapewniam Pana, że nie jesteśmy aż takimi głupcami, na jakich wyglądamy. Jeżeli rząd irański postarałby się wtedy o nowych zakładników i zażądał dalszych dostaw broni, irańska taktyka stałaby się dla każdego jasna i oczywista.

R.K.: - Nie sądzi Pan, że scenariusz taki jest nieuchronny?

I.K.: - Zupełnie się z tym nie zgadzam. Zbyt wiele zależy od tego, co się dzieje w samym Iranie, od tego jak wygląda walka frakcyjna w rządzie irańskim i oczywiście od tego, kto dojdzie do władzy po śmierci Chomeiniego. Dlatego jeśli byłaby to jednorazowa akcja, którą można byłoby utrzymać w tajemnicy, uważałbym to za wydarzenie trywialne - niezależne od tego, czy sam pomysł był błędem, czy nie. Oczywiście, że jeżeli stałoby się to istotą polityki amerykańskiej w tym rejonie świata, byłoby to niedopuszczalne i samodestrukcyjne. Nie sądzę jednak, aby administracja Reagana rozważała kiedykolwiek możliwość usankcjonowania tego w sumie trywialnego epizodu.

Powtarzam raz jeszcze, problem terroryzmu jest ślepą uliczką polityki międzynarodowej. Wiele krajów na świecie ma do czynienia z tym problemem. Są z tego tylko dwa wyjścia: albo spełnia się żądania stawiane przez tych, którzy popierają terrorystów, albo atakuje się i niszczy źródła terroru. Dlatego dyskusja na temat terroryzmu nie ma praktycznie sensu. Jeżeli Palestyńczycy i różne działające w Libanie frakcje Organizacji Wyzolenia Palestyny rozprzeszczelają terror, działacze trzeba w Libanie, a nie przeciwko działaniom terrorystycznym w Rzymie, Paryżu czy Londynie. A co należy robić w Libanie, to nie jest wcale takie proste, podobnie jak dla Brytyjczyków nie jest jasne, co robić w Irlandii.

R.K.: - Jakie są według Pana najpoważniejsze konsekwencje polityczne afery irańskiej?

I.K.: - Niewątpliwie doprowadziła ona do słabienia administracji Reagana. Jest to jednak raczej kryzys rządowy, a nie jakiś głęboki rozłam w społeczeństwie amerykańskim. Trzeba też pamiętać, że bardzo wielu ludzi tak czy inaczej opuści w tym roku obecny rząd. Demokracja amerykańska ma to do siebie, że z jednej strony jest bardzo niedoskonała, ale z drugiej bardzo wytrzymała na wstrząsy. Myślę, że w ciągu dwu czy trzech lat sprawa ta zostanie zapomniana. Przyszłość demokracji nie zależy od tak małych epizodów. Przeżyliśmy w końcu okropną - jeśli chodzi o politykę zagraniczną - administrację Cartera. Sowiety i inne kraje komunistyczne też popełniają błędy. Nie przewiduję zatem jakiegosł zasadniczego zachwiania równowagi sił na świecie - takiego powiedzmy, jakie miało miejsce za Cartera. Nie myślę też, aby możliwe było w tym kraju powtórzenie ery Cartera, nawet jeśli do władzy dojdzie Partia Demokratyczna.

R.K.: - W swej działalności publicystycznej i wystąpieniach publicznych od kilku już lat twierdzi Pan, że podstawowym celem amerykańskiej polityki zagranicznej powinno być wyście Stanów Zjednoczonych z sojuszków, które - Pana zdaniem - uniemożliwiają Ameryce prowadzenie niezależnej polityki międzynarodowej. Nawołuje też Pan do tego, aby USA opuściły NATO co - jak Pan twierdzi - położyłoby kres "wojskowej dobroczynności" Ameryki wobec Europy - dobroczynności, która osłabiła instynkt obrony w narodach zachodniej Europy. Jeden z krytyków tej koncepcji, mówiąc o Pana pomysłach wycofania wojsk amerykańskich z Europy, zacytował Leona Gambetta, który po klęsce Francuzów w wojnie francusko-pruskiej powiedział: "Powinniśmy to zawsze mieć w pamięci, ale nigdy nie mówić o tym na głos". Co skłoniło Pana do głoszenia tak radykalnych poglądów na temat NATO?

I.K.: - Zaczniemy od zdefiniowania podstawowych pojęć. Zdrowy sojusz między

narodami polega na tym, że w państwach które do sojuszu przystępują nieskrępowanie rozwija się duch patriotyczny i narodowy. Sojusz między narodami, w których duch ten jest ustawnie osłabiany, jest sojuszem z gruntu chorym. Jednym z rezultatów istnienia NATO w jego obecnej formie jest ranienie uczuć partyotycznych w narodach Europy zachodniej. Konsekwencją tego jest używanie hasel partyotycznych i narodowych przez lewicę, której udało się przekształcić je w szeroko dziś rozpowszechniony antyamerykanizm. Jest to możliwe tylko dlatego, że bardzo wielu Europejczyków święcie wierzy w to, że NATO służy interesom amerykańskim, a nie ich własnym.

Równie ważnym problemem związanym z NATO jest kwestia amerykańskich gwarancji na wypadek sowieckiego ataku nuklearnego. Gwarancje te stają się z roku na rok coraz mniej wiarygodne i według mnie są dziś praktycznie mitem. Problem jednak pozostaje: Europa powinna być zdolna oprzeć się Związkowi Sowieckiemu przynajmniej w wojnie konwencjonalnej. Nie ma powodu, aby było inaczej. Jedyną przeszkodą jest obecna struktura NATO. To doprawdy zakrawa na ironię, że procent dochodu narodowego jaki wydają na zbrojenia Szwedzi czy Szwajcarzy jest większy od tego, jaki przyznają na wydatki wojskowe państwa członkowskie NATO. Kraje NATO wolą finansować kosztowne programy społeczne, zrywając w przekonaniu, że Stany Zjednoczone gotowe są użyć broni nuklearnej w obronie Europy. W praktyce Ameryka będzie zupełnie bezradna w przypadku wojny konwencjonalnej. W wojnie konwencjonalnej nie będzie czasu, aby wysłać pół miliona wojsk amerykańskich na kontynent europejski. Europejczycy nie potrzebują zresztą żołnierzy amerykańskich – mają pod dostatkiem swoich.

Zakładając NATO, osłabiliśmy według mnie w zachodnich Europejczykach wolę oporu przed Sowietami. Sojusz z demokratycznymi państwami Europy w jego obecnym kształcie wiązuje nam tylko ręce. Dla rządów europejskich ważne są partykularne interesy Europy zachodniej. Nie przeszkadza im to jednak we wtrącaniu się do amerykańskiej polityki zagranicznej w innych częściach świata. Zastanówmy się przez chwilę nad tym, jakim absurdem jest to, że Zatoka Perska uważana jest dziś za amerykańską strefę wpływów i że Europa zachodnia nie ma zamiaru użyć swych wojsk, aby zapewnić sobie stały dopływ bliskowschodniej ropy. Przecież to nie Stany Zjednoczone uzależnione są od bliskowschodnich bogactw naturalnych. Po pierwsze mamy własną ropy, po drugie możemy sprowadzać ją z takich krajów jak Nigeria, Wenezuela, Meksyk czy Kanada. To Europie potrzebna jest ropy z Bliskiego Wschodu. Mimo to Europejczycy nie przyjmują do wiadomości, że to na nich spoczywać powinna odpowiedzialność za obronę Zatoki Perskiej. Wydaje się im, że jakoś to będzie, że zawsze będzie się można dogadać z tymi, którzy kontrolować będą Zatokę Perską.

Problem jest jednak dużo poważniejszy i polega na tym, że Europa nie chce odgrywać istotnej roli w polityce światowej. Europejczycy na przykład nie tylko, że nie są dla nas żadną pomocą, ale wyłącznie przeszkadzają nam w Ameryce środkowej. USA nie mają też żadnego pożytku z Europy w Afryce czy w jakimkolwiek innym miejscu świata. Rządy europejskie potrafią tylko protestować przeciwko takiej czy innej polityce amerykańskiej. Nie mam nic przeciwko sojuszowi z zachodnią Europą, powinien to być jednak sojusz korzystny dla obu stron. Stany Zjednoczone powinny dopomóc Europie, jeżeli zajdzie taka potrzeba, co nie zmienia faktu, że obowiązek obrony kontynentu europejskiego spoczywa przede wszystkim na barkach zachodnich Europejczyków. USA są wielkim mocarstwem zainteresowanym sytuacją we wszystkich zakątkach świata. Narody zachodniej Europy kierują się swoimi partykularnymi interesami i nie chcą wpływać na losy świata mimo że kraje takie jak Francja czy Niemcy, a nawet Anglia, mogłyby z powodzeniem odgrywać dużo większą rolę niż to ma miejsce obecnie. Państwa europejskie przechodzą rodzaj postimperialnego klimakterium, nie chcą kształtować polityki światowej i nie podoba im się czynna postawa Stanów Zjednoczonych. Jeżeli zatem mówię o związujących nam ręce sojuszach, mam przede wszystkim na myśli destruktywną rolę państw europejskich, które uniemożliwiają Stanom prowadzenie swobodnej polityki zagranicznej. Nie twierdzą jednak, że niemożliwy jest zdrowy sojusz Ameryki i Europy.

R.K.: - Czy nie jest to jednak cechą wszystkich sojuszków? W każdym pakcie interesy jednej strony zawsze jakoś krępują działania strony drugiej.

I.K.: - Kiedy George Waszyngton użył po raz pierwszy słynnego później określenia "usidlające sojusze", na pewno nie miał na myśli ówczesnego przymierza Ameryki i Francji. Pakt z Francuzami przeciwko Anglii doprowadził w końcu do zwycięstwa rewolucji amerykańskiej. Mogę Panu podać bardzo dobry przykład zdrowego sojuszu z czasów najnowszych, jakim jest dziś związek Stanów Zjednoczonych z Izraelem. Nie ma między nami formalnego paktu, nie ma też żadnego przymusu. Izrael jest za-przyjaźnionym demokratycznym krajem, który z reguły opowiada się po stronie Ameryki. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli zajdzie potrzeba, Stany udzielą Izraelowi pomocy. Nie wiadomo natomiast, do jakiego stopnia USA gotowe są angażować się w obronę Izraela. I nie powinno być wiadomo, bo nie wiemy przecież do końca, jak się rozwine dana sytuacja. Jest to przykład sojuszu, który pozostawia nam swobodę działania. Tak jak Pan mówi, w każdym pakcie trzeba zapłacić jakąś cenę. Koszty słuchać się mamy różnych organizacji międzynarodowych, które powstały w Ameryce Łacińskiej po pakcie w Rio de Janeiro? Dlaczego właściwie państwa Ameryki Łacińskiej decydują o tym, czy Stany Zjednoczone mogą użyć swych wojsk w Ameryce Środkowej? Możemy przecież pozostać w stosunkach całkowicie przyjacielskich z wieloma z państw Ameryki Łacińskiej bez przyznawania im prawa weta czy też prawa do wtrącania się do polityki zagranicznej USA. Jeżeli chodzi o NATO, to uważam, że powinna to być organizacja czysto europejska, z którą Stany Zjednoczone sprzymierzone byłyby na podobnej zasadzie, na jakiej związani jesteśmy z Izraelem. Powinniśmy udzielić NATO pomocy wojskowej, jeśli zajdzie taka potrzeba. To jednak zupełnie wystarczy. Będzie tak dużo zdrowiej dla obu stron.

R.K.: - Wydaje mi się, że nie docenia Pan roli wojsk amerykańskich w przypadku wojny konwencjonalnej na kontynencie europejskim. Zapomina Pan, że wojska USA to jedna czwarta sił NATO.

I.K.: - Czy myśli Pan, że brakuje ludzi w Niemczech, Anglii czy Francji?

R.K.: - Czy nie sądzi Pan, że wycofanie się wojsk amerykańskich z Europy jest dokładnie tym, czego chcą Sowieci?

I.K.: - Nic mi o tym nie wiadomo. Nie jestem wcale przekonany, że jest to celem sowieckim. Co więcej, wydaje mi się, że mogłoby to nawet przetrząsnąć Związek Sowiecki. Proszę zwrócić uwagę, że Sowieci wcale nie nawiązują do wycofania się USA z NATO. Jedyne państwo komunistyczne które byłoby poważnie zaniepokojone, to Chiny. Nie ma moim zdaniem żadnego powodu, aby na poziomie wojny konwencjonalnej - przy amerykańskiej pomocy technicznej - Europa nie była w stanie oprzeć się sowieckiej agresji. Europa nie potrzebuje żołnierzy amerykańskich tak samo jak nie potrzebuje ich Izrael w wojnie z Arabami. Utrzymywanie wojsk w obcym kraju przekształca sojusz w stosunek zależności. A jest chyba dla wszystkich jasne, że nie mamy zamiaru rządzić zachodnią Europą.

Abby postawić sprawę jasno, prezydent Stanów Zjednoczonych powinien zwrócić się do Sowieców z następującą propozycją: wycofajcie swoje wojska z Europy wschodniej, my wycofamy nasze z Europy zachodniej. Sowieci oczywiście nigdy się na to nie zgodzą. Ich prawdziwe intencje stałyby się jednak wtedy dla wszystkich dużo bardziej jasne. Następnym krokiem powinno być oświadczenie Europie zachodniej: bardzo nam przykro, ale nie możemy dłużej trzymać wojsk amerykańskich w Europie w charakterze zakładników. Jest to przecież forma presji wywieranej na prezydenta USA, aby zmusić go do użycia broni nuklearnej w przypadku wojny konwencjonalnej w Europie. Prawda jest taka, że Ameryka wcale nie chce użyć broni atomowej przeciwko Związkowi Sowieckiemu. Nie myślę zresztą, aby kiedykolwiek doszło do kon-

frontacji nuklearnej. Byłby to jednak potworny dylemat dla jakiegokolwiek prezydenta jeśli stawką byłaby utrata życia czy niewola dla dwustu tysięcy żołnierzy amerykańskich stacjonujących w Europie. Nie ma żadnego powodu, abyśmy stawiani byli przed tego rodzaju wyborami. Europa ma zresztą swoją własną broń nuklearną.

R.K.: - Zapomina Pan o jednym bardzo istotnym czynniku, a mianowicie o geografii. Nawet jeśli - co jest dziś prawie niewyobrażalne - Związek Sowiecki wycofa swoje wojska z Europy wschodniej, to w przypadku wojny konwencjonalnej przerzucenie ich z powrotem na granice Francji czy Niemiec jest kwestią godzin. Jakakolwiek wojskowa pomoc amerykańska stanie się wtedy wyłącznie figurą retoryczną.

I.K.: - Powtarzam, że wojska amerykańskie nie są aż tak ważne. Można je z łatwością zastąpić europejskimi. Dwieście tysięcy żołnierzy nie zadecyduje o skuteczności obrony zachodniej Europy. Same Niemcy i Francja - jeśli uznają, że istnieje taka potrzeba - powiększyć mogą siłę swych armii o tę brakującą liczbę żołnierzy. Poza tym, przy dużo wyższym poziomie technicznym w uzbrojeniu Zachodu, nie wiadomo nawet jak znaczna jest sowiecka przewaga w broni konwencjonalnej. Nie należy też zapominać, że w skład wojsk sowieckich wchodzi wojska wschodnioeuropejskie, na których ZSSR nie może przecież polegać w stu procentach w wojnie z zachodnią Europą. Oczywiście, że Związek Sowiecki zawsze może przerzucić z powrotem swe armie do Europy wschodniej. Nawet jednak przy takim scenariuszu nie sądzę, aby miało sens wysyłanie żołnierzy amerykańskich do Europy. Jeżeli wojska sowieckie zaatakują Europę zachodnią, co stoi na przeszkodzie, aby wojska NATO wkroczyły do Czechosłowacji czy Polski? Nie byłoby to wcale takim złym pomysłem.

R.K.: - Jest Pan oskarżany, nawet przez Pańskich politycznych przyjaciół, o izolacjonizm. Jest to oskarżenie, któremu Pan wielokrotnie zaprzeczał. Jaką zatem widzi Pan alternatywę do obecnej europocentrycznej polityki zagranicznej USA?

I.K.: - Po pierwsze wycofanie się Stanów Zjednoczonych z NATO powinno odbyć się stopniowo. Nie można tego zrobić z dnia na dzień. Powiedzmy, że wycofaliśmy nasze wojska w ciągu pięciu lat, aby Europejczycy mogli w tym czasie przygotować się do zmienionej sytuacji. Chciałbym w tym miejscu zaznaczyć, że jestem optymistą, jeśli chodzi o zdolności obronne narodów europejskich. Pesymiści uważają, że państwa europejskie rozpoczęłyby natychmiast negocjacje z Sowietami i że nigdy nie byłoby w stanie przeciwstawić się sowieckiej agresji. Moja reakcja na to jest taka: bardzo proszę, niech próbują dogadać się ze Związkiem Sowieckim. Cóż oni mogą od Sowietów uzyskać? A raczej co mogą zaoferować Związkowi Sowieckiemu? Pieniądże? Od dawna już przecież dają Sowietom pieniądze. Jeżeli zaczęła dawać jeszcze więcej, załamię się europejski system bankowy. Nie sądzę więc, aby rozmowy takie mogły do czegośkolwiek doprowadzić. Lewica z pewnością próbowałaby to robić, ale efekty byłyby raczej mizerne.

Użył Pan określenia "europocentryczna polityka zagraniczna". Otóż jestem przeciwny jakiegokolwiek centralnemu wyznacznikowi dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Polityka zagraniczna powinna być raczej wynikiem kalkulacji nadarzących się okazji i możliwości. Kto to wie, czy do następnego poważnego konfliktu między Związkiem Sowieckim i Stanami Zjednoczonymi nie dojdzie na tej półkuli, a nie na kontynencie europejskim? Może się to też stać na Bliskim Wschodzie czy w Afryce. Do pewnego stopnia zależy to od Sowietów.

Europa zachodnia jest bardzo ważną częścią świata. Na szczęście państwa zachodnioeuropejskie ciągle jeszcze są suwerenne. Aby utrzymać niepodległość, trzeba jednak przynajmniej być gotowym bronić własnego terytorium. Stany Zjednoczone i tak będą bronić Zatoki Perskiej czy też innych części świata, w których zachodni Europejczycy nie chcą odgrywać żadnej pozytywnej roli. Niestety Europa demobili-

zuje nas tylko i uniemożliwia USA prowadzenie konsekwentnej globalnej polityki. To Europejczycy cierpią na europocentryzm i próbują narzucić innym swoją wizję świata. Wiele krajów uważa, że robią Stanom Zjednoczonym łaskę, pozwalając nam, abyśmy udzielali im pomocy. Przecież to zupełny absurd. Nie można oczekiwać wdzięczności w stosunkach międzynarodowych, ale nikt nam też nie robi łaski, pozwalając, abyśmy dbali o jego interesy. Dotyczy to tak samo Europy jak Filipin, Pakistanu czy Korei Południowej.

R.K.: - Od czasów pierwszej wojny światowej dzieje świata wyznacza konflikt między dwiema ideologiami: marksizmem-leninizmem i liberalnym internacjonalizmem. Szczególnie od czasów Jajty marksizm-leninizm stał się solidną podstawą sowieckiej polityki zagranicznej. Polityka kierująca się ideałami liberalnego internacjonalizmu nie tylko okazała się mało skuteczna, ale doprowadziła do poważnego osłabienia Zachodu. Stwierdził Pan niedawno, że celem amerykańskiej polityki zagranicznej powinna być próba "ideologicznej reformacji" Związku Sowieckiego. Co Pan ma na myśli, mówiąc o ideologicznej reformacji ZSSR, jak ma do niej dojść i jaka miałyby być w tym rola Stanów Zjednoczonych?

I.K.: - Po pierwsze, pomimo że polityka zagraniczna oparta na liberalnym internacjonalizmie okazała się nieskuteczna /była od samego początku utopią/, model sowiecki wcale nie działa aż tak niezawodnie. Sowietyzm potyka się ciągle o coś, co jest silniejsze od marksizmu-leninizmu. Mam tu na myśli nacjonalizm. Fakt, że istnieją państwa takie jak Chiny czy Jugosławia /państwa bądź to Sowietom nieprzyjazne, bądź prowadzące w miarę niezależną politykę/ jest dla mnie dowodem, że dochodzi w dzisiejszym świecie do rozpowszechniania się nacjonalistycznych odmian systemu komunistycznego. Kraje te nie muszą wcale pozostawać pod dominacją sowiecką. Wydaje mi się, że dojdzie do tego po śmierci Castro na Kubie, gdzie Sowietci nie są wcale tacy popularni. Kuba uzależniona jest oczywiście od sowieckiej pomocy gospodarczej, ale pomoc ta wystarczy zaledwie na dość nędzny poziom życia Kubańczyków. Gospodarczo Kuba staje się coraz bardziej zacołana. Sowiecka polityka zagraniczna jest więc pełna wewnętrznych sprzeczności. To, że Sowietci nie potrafią rozwiązać problemu nacjonalizmu odgrywać będzie, jak myślę, coraz większą rolę. Jaka powinna być więc amerykańska polityka zagraniczna, aby doprowadzić do ostatecznej klęski ideologii marksistowsko-leninowskiej? System komunistyczny utrzymuje się w Związku Sowieckim tylko dlatego, że ZSSR jest wielkim mocarstwem. Bo nie jest to przecież wynikiem ani osiągnięć gospodarczych, ani popularności ideologii marksistowsko-leninowskiej w społeczeństwie sowieckim. Nic ma też czegoś takiego jak sowiecki model życia - jest tylko rosyjski model życia. Rosji sowieckiej nie udało się po prostu ustanowić akceptowanej przez większość społeczeństwa filozofii życia.

R.K.: - Kiedy mówi Pan, że nie ma czegoś takiego jak sowiecki model życia, to tak jakby Pan zaprzeczał istnieniu komunizmu. Czy chce Pan przez to powiedzieć, że po siedemdziesięciu latach od rewolucji bolszewickiej społeczeństwo sowieckie, a szczególnie pokolenia urodzone pod sowieckim panowaniem, nie uległo procesowi zwyrodnienia, które niesie ze sobą komunizm?

I.K.: - To, że się ktoś rodzi pod komunizmem nie robi jeszcze z niego komunisty.

R.K.: - To prawda, ale nie to przecież miałem na myśli.

I.K.: - Chodzi mi o to, że Związek Sowiecki jest bankrutem. Rewolucja, która miała miejsce w Rosji nie przyniosła przemian, które byłyby podstawą do akceptowanego

przez większość modelu życia. Ludzie w Związku Sowieckim zgadzają się na komunizm, bo nie mają innego wyjścia, a nie dlatego, że w to wierzą. To co pozwoliło systemowi sowieckiemu przetrwać, to zwycięstwo w drugiej wojnie światowej. Było to kluczowe wydarzenie, które spoiło nacjonalizm z systemem. Do dziś jest to podstawą siły Związku Sowieckiego. Tak długo jak ZSSR jest światowym mocarstwem, tak długo system ten może sobie poradzić z niepowodzeniami wewnętrznymi. Tylko jeżeli Amerykanom uda się zniszczyć potęgę Związku Sowieckiego na arenie międzynarodowej i jeżeli dla rządzącej elity sowieckiej stanie się jasne, że polityka zagraniczna oparta na marksizmie-leninizmie nie przynosi zamierzonych rezultatów, można będzie spodziewać się rzeczywistych zmian w ZSSR. Trudno mi jednak przewidzieć jakich. Dość łatwo jest wyobrazić sobie w Związku Sowieckim pucz wojskowy. Wcale nie jest powiedziane, że Rosja byłaby wtedy mniej groźna. Pociągnęłoby to jednak za sobą drastyczne zmiany w ideologii komunistycznej, tak jak Napoleon po Rewolucji Francuskiej doprowadził do drastycznego przekształcenia ideologii jakobińskiej. Nasze możliwości zmieniania systemu sowieckiego są przecież bardzo ograniczone. Jak dotąd Zachodowi nie udało się odegrać znaczącej roli w sowieckich rozgrywkach wewnętrznych. To natomiast, co jest absolutnie możliwe do zrobienia, to utrudnianie Sowietom życia gdziekolwiek się tylko da. Doprowadzić to w końcu musi do eskalacji napięć wewnątrz Związku Sowieckiego. Jedynym scenariuszem jaki przychodzi mi do głowy jest to, że w miarę pogłębiającego się bankructwa partii dojdzie w ZSSR do przejęcia władzy przez wojsko.

R.K.: - Nie zgadzam się z Pana analizą. Przywołując przykład Napoleona twierdzi Pan właściwie, że system sowiecki podobny jest do innych systemów znanych z historii, czyli, że ulegać on będzie podobnej ewolucji. Na jakiej podstawie na przykład opiera Pan swoje przypuszczenie, że wojsko odbierze w Związku Sowieckim władzę partii? Czy nie ulega Pan tu pomysłom zachodniej sowietologii, której ulubionym zajęciem jest wynajdywanie konfliktów i podziałów wewnątrz sowieckiej elity władzy, różnic które częstoć nie mają nic wspólnego z rzeczywistością?

I.K.: - Chodzi mi tu o to, że system sowiecki wcale nie jest solidnie ugruntowany. Jest to system słaby w porównaniu ze Stanami Zjednoczonymi czy nawet z Francją w tym sensie, że większość społeczeństwa sowieckiego nie utożsamia się z sowieckim modelem życia i nie akceptuje własnego rządu. Sowietci ciągle o to zabiegają, ale bez większych sukcesów. Amerykanizm jest czymś automatycznie akceptowanym przez większość Amerykanów, jest, czymś, czego nie trzeba się uczyć. Nie można tego natomiast powiedzieć o marksizmie-leninizmie w Związku Sowieckim. Przeciętny Rosjanin w najlepszym wypadku ideologię ignoruje, a na pewno już w nią nie wierzy. Dlatego zakładam, że sowietyzm musi upaść.

R.K.: - Ciągle nie rozumiem, dlaczego tak drastyczne zmiany w systemie sowieckim miałyby być nieuniknione?

I.K.: - Nie mówię, że są one nieuniknione. Twierdzą raczej, że muszą być wymuszone przez presję międzynarodową. System sowiecki w jego obecnej formie utrzymuje się przy życiu tylko dlatego, że Związek Sowiecki jest światowym mocarstwem. Fakt ten sprawia, że nacjonalizm współgra z ideologią komunistyczną. Rosjanie są jednak przede wszystkim nacjonalistami, a nie wyznawcami marksizmu-leninizmu. Im mniej skuteczna będzie polityka zagraniczna oparta na ideologii komunistycznej - a to zależy oczywiście w dużej mierze od tego, co zrobimy aby powstrzymać sowiecką ekspansję - tym słabiej rosyjski nacjonalizm związany będzie z marksizmem-leninizmem. Doprowadzić to musi nieuchronnie do odrzucenia ideologii komunistycznej. Czym będzie ona zastąpiona - nie wiem. Obawiam się, że może przybrać formy wcale nie tak dla nas bezpieczne. Sowiety przestaną być jednak totalitarne. Obecny system po prostu nie działa.

R.K.: - Nie działa? Istnieje przecież od siedemdziesięciu lat i zaskakuje nas ciągle inwencją i umiejętnością przetrwania.

I.K.: - Moim zdaniem system sowiecki nie przetrwałby, gdyby nie druga wojna światowa. Doświadczenie drugiej wojny światowej zjednoczyło społeczeństwo sowieckie z systemem. Dwadzieścia milionów ludzi którzy zginęli w obronie ZSSR to kapitał, z którego Sowietci czerpią do dziś. Ten emocjonalny kapitał z każdym jednak rokiem się kurczy. Jest dla mnie oczywiste, że nikt w Związku sowieckim nie bierze marksizmu-leninizmu poważnie. Nikt się tam tak naprawdę nie przejmuje ideologią. Większość ma do tego stosunek cyniczny, z wyjątkiem może małej grupy ludzi na szczycie, którzy muszą się tym zajmować. Rewolucje albo upadają, albo stwarzają nową dogmę, czyli system rządów, system wartości i model życia akceptowany przez większość społeczeństwa. Większość rewolucji upada, wiele kończy się autorytaryzmem czy totalitaryzmem, które utrzymują się przy władzy wyłącznie dzięki przemocy. Ale w końcu systemy takie muszą się zawalić dlatego, że nie mają one żadnych solidnych fundamentów.

R.K.: - Nie wierzy Pan zatem w istnienie homo sovieticus?

I.K.: - Nie ma czegoś takiego jak homo sovieticus z wyjątkiem może najwyższych eszelonów sowieckiej biurokracji. Ale nawet tam polega to głównie na zachowywaniu pozorów. Weźmy na przykład stosunek młodzieży sowieckiej do Zachodu. Młodzi ludzie w ZSSR zajmują się naśladowaniem zachodnich mód i słuchaniem zachodniej muzyki popularnej, wybierając - nawiasem mówiąc - najgorsze elementy zachodniej kultury. Oczywiście jest w tym, co mówię, trochę przesady. Każdy system stwarza grupę beneficjentów, którzy za wszelką cenę chcą utrzymać status quo. Moje wrażenia ze spotkań z Sowietami są jednak takie, że większość z nich to nie komuniści, a sowieccy urzędnicy, którzy chcą rozmawiać o wszystkim, tylko nie o Związku sowieckim. "Naukowcy" z Instytutu Arbatowa prześcigają się w marksistowskich analizach sytuacji w USA, ale odmawiają rozmów o swoim własnym systemie.

R.K.: - Kilka lat temu napisał Pan artykuł pod tytułem "Do kogo należy przyszłość?", w którym stwierdził Pan, że w dobie polityki zdominowanej przez ideologię wygrywają ci, którzy nie boją się ryzyka. W okresie prezydentury Reagana, w którym wielu pokładało tak duże nadzieje, nie sformułowano ani jednego odważnego, jednoznacznie brzmiącego oświadczenia ideologicznego, które stać by się mogło drogowskazem dla amerykańskiej polityki zagranicznej. Skończyło się na desperackiej próbie utrzymania status quo. Czy ciągle myśli Pan, że przyszłość należy do Stanów Zjednoczonych?

I.K.: - Na pewno jest to ciągle wiarą społeczeństwa amerykańskiego. W stosunkach międzynarodowych nie można jednak zwyciężyć pozostając biernym. A już z pewnością przyszłość nie należy do tych, którzy nie są w stanie prowadzić skutecznej polityki zagranicznej, która musi opierać się również na zwycięstwach wojskowych. Dlatego twierdzę, że pierwszym krokiem powinno być uwolnienie się Stanów Zjednoczonych z więzów w postaci zagmatwanych sojuszków i spowiadania się przed rozlicznymi organizacjami międzynarodowymi, które stworzył liberalny internacjonalizm. Trzeba skończyć raz na zawsze z liberalnymi mitami o "wolnym świecie" czy "demokratycznej wspólnotie narodów". Puste hasła nie wystarczą, a obrona własnych wartości czy instytucji połączone być musi z realnymi zwycięstwami na arenie międzynarodowej.

Rozmawiał Robert KOSTRZEWA

Nowy Jork, 4 lutego 1987 roku

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

"Kultura", marzec 1987

Dominik Morawski

KORESPONDENCJA Z RZYMU

WIZYTA GENERALA

Do wizyty tej doszło dzięki zbieżności stanowiska włoskiego rządu i kół gospodarczych oraz dyplomacji watykańskiej, zainteresowanych w wykorzystaniu otwierającej się nowej fazy w stosunkach Wschód - Zachód w związku z polityką Gorbaczowa /uważa się tu, że nie należy jej przeceniać, ale jeszcze gorzej - nie doceniać/. W Watykanie od dawna wyrażano "gotowość" do przyjęcia generała Jaruzelskiego - czekano jedynie, aż dojrzeją warunki dla decyzji rządu włoskiego, do czego doszło po wrześniowej amnestii.

Wizyta ta stanowiła pewien szok, a w każdym razie zaskoczenie dla licznych Polaków. Papież patrzy jednak na sprawy polskie bardzo trzeźwo i nie w oderwaniu od kontekstu międzynarodowego a przez pryzmat swojej misji uniwersalnej. Stolica Apostolska uznała, że należy podtrzymać ewolucję sytuacji w Polsce, by przypadkiem jej załamanie nie zachwiało kruchą jeszcze równowagę strategiczną i polityczną w stosunkach z Moskwą /wobec niepewności nowego kursu Gorbaczowa/. Jaruzelski otrzymał zatem kredyt zaufania na wyrost, coś w rodzaju czeku wystawionego z odroczoną płatnością, bo dopiero na tle weryfikacji faktów okaże się, czy ma on pokrycie.

Jest rzeczą zmienną, że w spotkaniu z Papieżem dominowała problematyka społeczna, czyli sprawa przywrócenia pluralizmu społecznego w formach organizacyjnych. Dopiero na drugim miejscu przedmiotem rozmowy "w cztery oczy" - wyjątkowo długiej, bo trwającej aż 70 minut - była kwestia instytucjonalnych stosunków Kościół - Państwo. W rozmowie zaś generała z Sekretarzem Stanu, kardynałem Casarolim, poruszona została prawdopodobnie sprawa pełnej normalizacji stosunków dyplomatycznych, do czego chyba dojdzie w ciągu bieżącego roku.

Obserwatorzy watykańscy zwrócili uwagę na uroczyste ramy tej wizyty, jakie sam Papież pragnął jej nadać, oraz na niewymuszoną atmosferę. Jan Paweł II nazwał tę wizytę "niewątpliwie historyczną". Dlaczego historyczną? Jak sam Papież stwierdził, powinna "wydać upragnione owoce" nie tylko dla Polski, ale także dla Europy. Jeśli idzie o dialog pomiędzy władzą i społeczeństwem /należy zakładać, że Jaruzelski w rozmowie z Papieżem podjął określone zobowiązania/ musi on uwzględnić za-

równy limity geopolityczne, jak i implikacje międzynarodowe, które jednak nie są statyczne. Rozwój tego dialogu – z punktu widzenia Stolicy Apostolskiej, zainteresowanej w dynamicznej roli Kościoła w Polsce – jest uzależniony od konsolidacji "otwartej polityki" Gorbaczowa, której powodzenie warunkuje z kolei perspektywę watykańskiego "otwarcia na Wschód", m.in. skonkretyzowania się możliwości wizyty Papieża na Litwie. Wizytę Jaruzelskiego w Watykanie, łącznie z czerwową, trzecią podróżą Papieża do Polski, należy widzieć jako część integralnego planu i dalekosiężnych celów Ostpolitik. Polska w tej optyce nie może stanowić wciąż *caso a se*, czyli przypadku unikalnego, nadzwyczajnego. Chodzi też o to, by Papież mógł udać się również do innych krajów bloku /np. na Węgry czy do NRD/, do czego dyplomacja watykańska niestrudzenie zmierza.

W tym kontekście rola Kościoła w Polsce pozostaje jednak nadal doniosła dla rozwoju stosunków pomiędzy Stolicą Apostolską i Moskwą. Świadczy o tym znamienne zainteresowanie Moskwy dla Kościoła polskiego jako elementu stabilizacyjnego. Dowodem jest nie tylko wywiad ks. Prymasa dla "Literarurnoj Gazety", ale i nagła rewizja stanowiska patriarchatu rosyjskiego /oczywiście nie bez sygnału z góry/. Ks. Prymas nie tylko wydelegował przedstawicieli Kościoła – międzynarodową konferencję pokojową do Moskwy, ale otrzymał również zaproszenie do odwiedzenia dawnych, polskich ziem wschodnich, a więc zachodniej Białorusi i Wileńszczyzny, gdzie zamieszkuje około 1,5 miliona polskich katolików. A przecież jeszcze trzy miesiące temu metropolita Filaret z Mińska, szef departamentu zagranicznego patriarchatu, przypisywał impas w dialogu ekumenicznym /główną przeszkodę w zaproszeniu Papieża do ZSSR na obchody Tysiąclecia chrześcijaństwa w 1988 roku rodowodowi Papieża i "polskim resentymentom antyrosyjskim". Tę niespodziewaną metamorfozę przypisać należy zarówno zamierzeniom sowieckim "rozmiękczania" stanowiska zachodniej Europy – wykorzystując schyłek administracji Reagana – jak i przygotowaniu terenu do zaplanowanej na wiosnę wizyty Gorbaczowa w Rzymie a przede wszystkim – w Watykanie.

Dominik MORAWSKI

Zamieszczamy korespondencję Dominika Morawskiego jedynie jako obiektywną informację. Z oceną musimy powstrzymać się do chwili, kiedy będziemy dysponowali dokładniejszymi materiałami. I kiedy będziemy znali dalszy rozwój wypadków. Tu możemy jedynie stwierdzić, że po raz pierwszy zarysował się tak zasadniczy rozdział pomiędzy Watykanem a interesami narodowymi Polski, rozdział który może przybrać groźne rozmiary.

Dominik Morawski w swoich "Korespondencjach z Rzymu" porusza wyłącznie tematy dotyczące spraw kościelnych. Na tym odcinku jest doskonale poinformowany. Tematy te są uzgadniane z Redakcją, gdyż nie zawsze jego oceny, dotyczące politycznej działalności Kościoła, pokrywają się z poglądami "Kultury". Dominik Morawski, niezależnie od pisania do "Kultury", prowadzi bardzo ożywioną działalność publicystyczną zarówno w prasie polskiej i włoskiej jak i mass-mediach. W tej jego działalności nasze poglądy bardzo często zasadniczo się różnią.

Ostatnio np. na łamach mediolańskiego dziennika "Giornale" miała miejsce polemika Dominika Morawskiego z Giacomina Cassina, kierowniczką sekcji europejskiej międzynarodowego wydziału CISL /Chrześcijańskie Związki Zawodowe/, która dobrze zna Polskę, bywa tam często i ma polskich przyjaciół. Kilka miesięcy temu, w czasie pobytu w Polsce, Giacomina Cassina zetknęła się z głównymi przedstawicielami "Solidarności" i ruchu opozycyjnego. Obecnie polemizuje z serią najwęższych wystąpień, oświadczeń i artykułów Dominika Morawskiego, w których stwierdza on, że "Solidarność" jest rozdziałem zamkniętym, a ci, którzy solidaryzują się z Wałęsą i jego towarzyszami albo się łudzą, albo są dezinformowani. Morawski uważa, że należy dążyć do pojedynczego uścisku Kościoła z władzą.

Odpowiadając Giacomine Cassina Dominik Morawski podtrzymuje swoje tezy, stanowisko włoskich syndykalistów określa jako "sentymentalizm" i przestrzega przed "postawami maksymalistycznymi i instrumentalnymi /?/", które na pozór służą "sprawie wolnego syndykalizmu polskiego, a w rzeczywistości są dla tej sprawy szkodliwe". Morawski powołuje się przy tym na opinie katolickich doradców Watęsy, przedstawicieli Episkopatu a nawet na ex-przewodców "Solidarności" /nie precyzując bliżej tych opinii/.

Uważamy za konieczne podkreślenie, że powyższe stanowisko Dominika Morawskiego jest całkowicie sprzeczne z linią "Kultury" i że jego tezy uważamy za szkodliwe.

REDAKCJA

"Kultura", kwiecień 1987

Dominik Morawski

KORESPONDENCJA Z RZYMU

WATYKAN I MOSKWA

Nowy kurs Gorbaczowa zakłada "rewaloryzację" religii jako zjawiska społecznego, aczkolwiek brak jeszcze konkretnych świadczących o zmianie polityki wyznaniowej. Taki wniosek wyciągnęli delegaci Stolicy Apostolskiej, uczestniczący w lutowym międzynarodowym "forum pokojowym" w Moskwie. Uznali oni, że wprawdzie trzeba zachować powściągliwość i ostrożność /w oczekiwaniu na fakty/, ale też należy wykonać nową sytuację jako być może niepowtarzalną "szansę historyczną". Niezbędne jest więc podjęcie pewnego ryzyka.

Zarówno w płaszczyźnie dyplomatycznej i politycznej, jak ściśle religijnej i ekumenicznej kompetentne instancje watykańskie wychodzą z założenia, że Jan Paweł II przetrzął nowe szlaki ku Wschodowi, ale dotąd był źle rozumiany, zwłaszcza w zachodnich, konserwatywnych środowiskach antykomunistycznych i wśród uchodźców z Europy Wschodniej. Wbrew bowiem panującemu tu i ówdzie stereotypowi nie jest on "polskim nacjonalistą", zapatrzonym w "rzekome dobrodziejstwa kapitalistycznego Zachodu". Jest natomiast rzecznikiem przezyciężenia podziału naszego kontynentu i dowartościowania wschodniego, "drugiego płuca" chrześcijańskiej Europy. Nie tylko Polacy, Czesi i Słowacy, ale również Rosjanie, Ukraińcy, Litwini i Białorusini stanowią integralną i aktywną część wspólnej Europy i powinni uczestniczyć w procesie pojednania. Papież dał temu wyraz po raz pierwszy w słynnym przemówieniu w Gnieźnie w 1979 roku.

Pomimo wysiłków propagandy ateistycznej religijność w ZSSR nie tylko przetrwała, ale - jak podkreślił niedawno dziennik "L'Osservatore Romano" - wciąż narasta, zwłaszcza wśród młodzieży. Czy tzw. nowy kurs Gorbaczowa spowoduje rzeczywiste przeobrażenia systemu, jeśli chodzi o jakość życia osobistego i zbiorowego? Odpowiedź dziennika watykańskiego brzmiała: "Nowość, z jaką mamy do czynienia czeka na potwierdzenie w postaci uznania praw ludzkich, które są oparte także na poszanowaniu swobód religijnych". Tylko wówczas - sądzi się w kręgach watykańskich - można będzie mówić o "radykałnych reformach", ponieważ prawa człowieka stanowią nie tylko podstawę, ale również najskuteczniejsze narzędzie jakiegokolwiek reformy. Oczekuje się więc, że w ślad za dobrymi intencjami i gestami nastąpi zapowiedziana na ten rok rewizja obowiązującego ustawodawstwa, co powinno położyć kres praktyce traktowania wieńczących jako obywateli drugiej kategorii, poddawanych nieraz swoistemu systemowi apartheidu.

Sygnaly pozytywne, jakie z Moskwy docierają do Watykanu, są pilnie śledzone i analizowane. O otwartym stosunku wobec zmian w ZSSR świadczy m.in. wypowiedź niemieckiego jeźdźcy, Berndta Grotha, profesora Uniwersytetu Gregoriańskiego, kierującego międzynarodową "delegacją do spraw rosyjskich" /pro rebus russicis/, powołaną dwa lata temu przez generała Towarzystwa Jezusowego, a składającą się z 40-tu ekspertów reprezentujących różne ośrodki naukowe. Oświadczył on 10 lutego br.: "ZSSR był w pewnej mierze demonizowany, ponieważ w chrześcijaństwie szatan jest wielkim przeciwnikiem Boga i wierzących. Nie jest jednak rzeczą słuszną demonizowanie tego czy innego systemu politycznego. Posługiwanie się dziś językiem emocjonalnym nie pomaga rozwiązaniu żadnej sprawy". Gorbaczow – jego zdaniem – zabiega o rozwiązanie palących problemów społecznych, "choć nie jest całkiem jasne, jakie są jego konkretne plany. Jeśli jednak doprowadzi do faktycznej separacji pomiędzy Kościołem a państwem, to otworzy się pełna nadziei przyszłość dla wszystkich wspólnot religijnych w ZSSR". Ta przyszłość wiąże się w jego mniemaniu i w opinii szeregu przedstawicieli dykasterii watykańskich, odpowiedzialnych za sprawy wschodnie, z planowanym jubileuszem tysiąclecia chrześcijaństwa, który będzie obchodzony w Moskwie w czerwcu 1988 roku. O dojdzie do udziału Papieża w tej uroczystości /do tej pory brak przesłanek zarówno dyplomatycznych, jak ekumenicznych/ – czego w zasadzie nie można wykluczyć – otworzy to drogę do wielkiej rekoncylacji ze Wschodem.

Ostatnio coraz częściej słyszę, że "Kościół w Polsce może odegrać rolę pomostu w procesie normalizacji stosunków między Stolicą Apostolską i ZSSR". Jest oczywiście jeszcze za wcześnie, by przewidywać, do czego doprowadzi niespodziewany początek zmiany polityki sowieckiej wobec Kościoła polskiego. Być może chodzi o jeden z elementów przygotowania terenu dla przewidzianej oficjalnej wizyty Gorbaczowa w Rzymie i Watykanie. Nie wyklucza się tu, że chodzi o próbę załagodzenia poprzez Polskę – spornych spraw z Kościołem katolickim i wyciszenie napięć z Zachodem. Padają jednak ostrzeżenia, że ten nagły zwrot jest "mocno podejrzany" /stosunek ZSSR do Kościoła polskiego był dotąd zawsze wrogi/ i stąd zalecenie jak największej ostrożności. W maju odbędzie się międzynarodowa konferencja teologiczna, zwołana przez patriarchat moskiewski. Uczestniczyć w niej będą m.in. delegacje watykańska i Kościoła polskiego, s.ładające się z hierarchów w randze biskupiej /w przeciwieństwie do forum lutowego, na którym obie delegacje miały niższy szczebel/. Jesienią dojdzie prawdopodobnie do podróży Prymasa Polski na dawne polskie ziemie wschodnie. Jeden z warunków przyjęcia tego zaproszenia – odwiedzić Wilna – został przyjęty. Drugi dotyczy swobody spotkań z przedstawicielami wspólnot wiernych, aby podróż ta nie przekształciła się w "operację fasadową". Skoro już mowa o roli wyznaczonej przez watykańską Ostopolitik Polsce w ogóle, a zwłaszcza jej Kościołowi, to łączy się ona z dążeniem do umiędzcienia zachwiania szansą równowagi, jaką do stosunków Wschód-Zachód wprowadza nowy kurs Gorbaczowa. W kręgu miarodajnych funkcjonariuszy watykańskich panuje w związku z tym krytyczna ocena "Solidarności", która przez swoje antyrosyjskie /nie tylko antysowieckie! / wystąpienia doprowadziła do załamania się szansy na wcześniejsze stworzenie tej, choćby względnej, równowagi. "Można było rozsądniej rozegrać tę kartę, ten polski eksperyment – powiedział mi pewien kompetentny ekspert watykański. – Był ważny dla Europy, ale jego znaczenia nie doceniono na Zachodzie. Trzeba teraz zaczynać na nowo, działając w sposób bardziej przemyślany i roztropny".

W strategii watykańskiej nowy kurs Gorbaczowa implikuje trzy zasadnicze elementy:

1. Widoczna tendencja zmierzająca do wzrostu autonomii Kościoła prawosławnego wobec władzy państwowej i jego roli w społeczeństwie. "Jest to mimo wszystko Kościół żywy i trzeba go podeprzeć" – Watykan jest w tym zainteresowany. Równocześnie stara się uwzględnić w dialogu ekumenicznym "kompleksy psychologiczne" rosyjskiego prawosławia, lękającego się o utratę wpływów na rzecz dynamicznego Kościoła katolickiego.

2. Sprawa normalizacji sytuacji Kościoła rzymskokatolickiego, zwłaszcza na

Litwie i Białorusi. Istnieją sygnały stopniowej poprawy, o czym świadczą niedawne wypowiedzi publiczne abpa Povilõnisa z Kowna i ks. prałata Gutauskasa z Wilna. Wynika z nich, z drugiej strony, konieczność likwidacji resztek poselstwa Litwy przy Stolicy Apostolskiej, reprezentującego ośrodki emigracyjne /analogicznie do likwidacji w swoim czasie ambasady Rzeczypospolitej Polskiej, kierowanej przez ambasadora K. Pappée/. Wygląda na to, że Moskwa dąży do pewnego rodzaju przetargu: zgoda na nominację biskupa dla Białorusi /ponad milion polskich katolików/, obsada wakujących stolic biskupich na Litwie i w ogóle normalizacja struktur Kościoła rzymskokatolickiego w ZSSR w zamian za rezygnację Watykanu z popierania ukraińskich unitów.

3. Kwestią unicka, tj. ukraińskich katolików obrządku bizantyńskiego, stanowi niewątpliwie główną przeszkodę w procesie normalizacji stosunków na linii Watykan-Moskwa. Jest to przeszkoda zarówno o charakterze politycznym, jak i ekumenicznym, bo stanowi barierę wnieioną przez władzę i patriarchat moskiewski. Ilekroć Jan Paweł II dotyka tej bolesnej sprawy, tylekroć przedstawiciele patriarchatu gwałtownie protestują i grożą zablokowaniem dialogu ekumenicznego. Nie ma mowy o tym, by Papież odepchnął i poświęcił tych, którzy pozostali wierni unii ze Stolicą Apostolską, mimo prób śladowań i wyrzeczeń /przymusowe ich wcielenie do prawosławia w 1946 roku zostało potępione, a uchwała tzw. soboru lwowskiego unieważniona w 1980 roku/. Inna rzecz natomiast, że Watykan wyraźnie oddziela element narodowy od religijnego, który nie może sprowadzać się do narzędzia ukraińskiego nacjonalizmu antyrosyjskiego. Zwraca się też uwagę na fakt, że na Ukrainie przyniatającą większość stanowią prawosławni. To prawda, wiadomo jednak, że to nie Cerkiew prawosławna, lecz ukraiński Kościół greckokatolicki jest nośnikiem tożsamości narodowej – trudno więc w praktyce przeprowadzić tę postulowaną separację.

Przedstawiciele zainteresowanych dykasterii watykańskich /Kongregacji Kościołów Wschodnich, Sekretariatu Jedności Chrześcijan, Rady d/s Publicznych Kościoła/ zwracają uwagę na to, że katolicy ukraińscy mają wprawdzie prawo pierwszeństwa do celebrowania milenium chrztu Rusi – ale za czasów św. Włodzimierza kijowskiego nie było nie tylko Rosji, ale i Ukrainy, uformowanej znacznie później. Jan Paweł II odprawi dla nich uroczyste nabożeństwo w Rzymie w lipcu 1988 roku – "nie będzie to jednak w żadnym razie uroczystość konkurencyjna dla centralnych obchodów w Moskwie". Chodzi jedynie o uszanowanie słusznych praw i uczuć Kościoła Partykularnego w unii ze Stolicą Apostolską, posiadającego własną autonomię, liturgię, tradycję i dyscyplinę. Ukraińskim katolikom w diasporze, ich organizacjom kościelnym i świeckim zarzuca się natomiast, że nie wykorzystują należycie okresu przygotowawczego do milenium dla programu pozytywnego /"nie można niemal wszystkiego opierać na negacji prawosławia"/, że "uprawiają cierpiętnictwo, co na Zachodzie budzi litość, ale nie zrozumienie", że wydają propagandowe broszury, zamiast wydać np. tom wystąpień Jana Pawła II w ich sprawie! Niewiele zrobili ponadto – brzmi inny zarzut – by umieścić obronę swoich postulatów na szerszej płaszczyźnie współpracy z pobratymcami, co wzmocniłoby ich szanse i międzynarodową pozycję. Tak czy inaczej, jedna rzecz wydaje się pewna: od śmierci nieodżałowanej pamięci kardynała Slipejja czas dla ukraińskich katolików zatrzymał się jakby w miejscu. Krytyczne reakcje ze strony watykańskiej wydają się w tym stanie rzeczy w dużej mierze uzasadnione. To "dreptanie w miejscu" katolików ukraińskich jest tym bardziej frapujące, że nowy kurs Gorbaczowa niewątpliwie przyspieszył rozwój wypadków również na linii Watykan-Moskwa, co wymaga wzmoczonej mobilizacji sił twórczych.

Pewien dygnitarz Kurii Rzymskiej, z którym rozmawiałem niedawno w związku z udziałem delegacji watykańskiej w międzynarodowym forum pokojowym w Moskwie, powiedział mi z włoskim umiarem i ostrożnością, ale również z odcieniem optymizmu: "wydaje się, że przeszkody w realizacji zamysłu podróży Papieża do ZSSR są dziś dużo mniejsze niż jeszcze pół roku temu. Wydarzenia nabrały rozpędu".

Dominik MORAWSKI

Pisane 9 marca 1987 r.

"Kultura", kwiecień 1987

NOWY WYWIAD PRYMASA

Kardynał Glomp, przebywający na początku marca w Watykanie, gdzie przedstawił Janowi Pawłowi II szczegółowy program Jego pielgrzymki do Polski, udzielił wywiadu korespondentowi AFP. Oto on:

PYTANIE: - Jakie znaczenie ma trzecia pielgrzymka Papieża do ojczyzny?

ODPOWIEDŹ: - Będzie to inna wizyta w innych, mniej napiętych okolicznościach. Kraj jest bardziej dojrzały, bardziej świadomy i jeszcze bardziej spragniony słowa Jego Świątobliwości. Podróż zbiega się w czasie z kongresem eucharystycznym, który ogłosił apel o odrodzenie moralne społeczeństwa.

P.: - Czy Papież odwiedzi grób księdza Popiełuszki?

O.: - Wizyta ta nie figuruje w oficjalnym programie. Niczego specjalnego nie będzie.

P.: - Ksiądz kardynał udzielił wywiadu sowieckiemu tygodnikowi "Literaturnaja Gazeta", posłał też ksiądz duchownego na "forum pokoju" do Moskwy. Czy w ZSSR zmienia się coś w dziedzinie religii?

O.: - Wiemy, że trwa ruch reform społecznych, zmierzających do większej uczciwości i większej demokracji. Nie znaczy to, że zmieniło się cokolwiek w dziedzinie religii. Propaganda ateistyczna trwa. Jednak wprowadzane reformy mogłyby zapewnić wierzącym trochę więcej osobistego bezpieczeństwa, więcej odwagi, by praktykować wiarę.

P.: - Czy pojedzie ksiądz kardynał do ZSSR?

O.: - Niczego nie wykluczam, pod pewnymi warunkami. Taka podróż musiałaby mieć charakter duszpasterski i pozwolić mi spotkać się z wierzącymi w ZSSR.

P.: - Co ksiądz kardynał sądzi o niedawnej wizycie generała Jaruzelskiego w Rzymie?

O.: - Polska wychodzi z izolacji. Ma do tego prawo, ma prawo do stosunków z Zachodem. Generał Jaruzelski reprezentuje interesy naszego kraju, a jego rząd zdobywa sobie coraz więcej uznania w planie praktycznym. Z jednej strony rząd jest konieczny dla uniknięcia chaosu. Z drugiej uznają go nawet grupy opozycjonistów, które definiują się jako opozycja w stosunku do niego.

P.: - A osoba samego generała?

O.: - Jest to prawdziwy Polak, który dobrze zna polską historię i literaturę. Wyznawca patriotyzmu socjalistycznego, jak sam się wyraża, i stałej tezy, że los Polski jest związany z Moskwą.

P.: - Czy możliwe jest odrodzenie projektu fundacji rolniczej, z którego Kościół wycofał się w ubiegłym roku?

O.: - Ani Zachód, ani Kościół, ani rząd polski nie wierzą już w tę koncepcję. Wydaje mi się, że musieliśmy z niej zrezygnować z powodów politycznych: apatrywano w niej coś w rodzaju próby przeniknięcia gospodarki zachodniej w socjalistyczny monolit, który się zaczął bronić. Nie należy jednak uważać, że fundacja ta mogła "uratować" całe polskie rolnictwo...

P.: - Zgodnie z nowym statutem konferencji episkopatu polskiego,

który zostanie uchwalony prawdopodobnie w bieżącym roku, przewodniczący episkopatu będzie wybierany co pięć lat. Do-tychczas funkcję tę pełnił dożywotnio prymas Polski.

O.: - Nowy statut, zgodny z nowym kodeksem prawa kanonicznego, nie został jeszcze oficjalnie ogłoszony. Można jednak sądzić, że najbliższe wybory uszanują naszą tradycję i przewodniczącym episkopatu zostanie wybrany prymas.

P.: - Polski Kościół nadal nie ma statusu prawnego. Czy to jest główną przeszkodą na drodze do ułożenia pełnych stosunków dyplomatycznych między Warszawą a Stolicą Apostolską?

O.: - Dwa pytania. Status prawny a stosunki dyplomatyczne nie są tak ściśle ze sobą związane. Pracujemy nad ich rozwiązaniem. Stolica Apostolska pragnie otworzyć nuncjaturę, chce być obecna w kraju takim jak Polska. Episkopat także tego pragnie i doprowadzimy do tego: pomieszczenia dla nuncjatury już są gotowe.

"Kultura", wrzesień 1987

Alain Besançon

WIDZIEĆ ZŁO TAM, GDZIE ONO JEST...

Sprawa Waldheima przyjęła zły obrót. Warto na nią spojrzeć z szerszej perspektywy.

Gdybym był Austriakiem, nie byłbym na niego głosował. Jego wyczyny z czasów, kiedy jako generalny sekretarz ONZ dość żywo popierał interesy Związku Sowieckiego wystarczyłyby mi, by nie mieć doń zaufania. Oto jednak w chwili, kiedy wystawił swą kandydaturę na prezydenta Austrii oskarżono go o ukrywanie swej wojennej przeszłości. Jest możliwe, że na Wschodzie istnieją dokumenty na temat owej przeszłości, co tłumaczyłoby, dlaczego Sowieci, trzymając być może Waldheima w rękę, tak go dziś bronią. Pewne jest, że służył jako lejtant w Jugosławii. Odmowa służby w Wehrmachcie wymagała wielkiego bohaterstwa, którego nikt nie wymaga od obywateli Rzeszy z pokolenia Waldheima. Oskarża go się o zbrodnie. On im zaprzecza. Dopóki nie przedstawimy nieodpartyć dowodów, nie wolno go uznać za winnego. Podejrzenia i poszlaki nie równają się w żadnym przypadku wynikom śledztwa, przeprowadzonego zgodnie z zasadami prawa lub przynajmniej zgodnie z wymogami poważnych badań historycznych.

Nie ma więc żadnego powodu, by zarzucać papieżowi, iż przyjął demokratycznie wybranego prezydenta Austrii, "starego i szlachetnego katolickiego państwa, od wieków związanego serdecznymi więzami z Siedzibą Apostolską". Protesty przez nikogo nie mandatowanych gazet i organizacji były do przewidzenia, natomiast fakt, że do kampanii tej włączyły się oficjalne osobistości rządowe i wyznaniowe świadczy o lekomyślności lub słabości. Ze strony prymasa Francji jest to dowód nieostrożności: rozważa nakazuje słuchać rozumu, nie serca.

Papież przyjmował dyktatorów jak Pinochet, terrorystów jak Arafat, przywódców totalitarnych państw jak Gromyko i Jaruzelski, nie wzbudzając reakcji aż hierarchii katolickiej. Rzecz w tym - słyszymy - że Waldheim "jest symbolem strasznej przeszłości".

Z tym bądźmy ostrożni. Zło nie skupia się w jednym punkcie przeszłości. Przewija się przez całą historię. Zło hitleryzmu jest odmianą gatunku, jakim jest totalitaryzm, ta specjalność XX wieku.

Zło totalitaryzmu polega na tym, że chce on zaprowadzić dobro na świecie poprzez eliminację grup ludzi ucieleśniających zło. Doktryna /komunistyczna lub hitlerowska/

ustala, jakich to ludzi należy wyeliminować – to znaczy zabić – aby zaprowadzić raz na zawsze dobry ład społeczny. Zbrodni przeciw ludzkości dokonuje się w imię i dla dobra ludzkości.

Na tym właśnie polega – mimo różnicy projektów – strukturalne pokrewieństwo komunizmu z hitleryzmem i dlatego wielu historyków XX wieku traktuje hitleryzm jako rodzaj monstrualnego zakalca w monstrualnym cieście. Tak przynajmniej widzi sprawę Wasilij Grossman w swej wydanej pośmiertnie powieści "Życie i los".

Zanim Hitler doszedł do władzy, reżym sowiecki wymordował miliony ludzi. To od ZSSR Hitler zapożyczył swe dwa najbardziej zabójcze instrumenty, policję polityczną i obozy koncentracyjne. Po porażce Hitlera ginęły dalsze miliony ludzi. I doprawdy niesposób powiedzieć, czy ginęły w sposób bardziej czy mniej straszny. W ZSSR, w Chinach, w Wietnamie, w Kambodży... Owszem, Oświęcim nie jest z niczym porównywalny. Ale nieporównywalne są też Kołyma i Phnom Penh. Żadnego z tych miejsc nie można do końca ogarnąć umysłem, przynajmniej w kategoriach świeckich. Wszystkie też mają ze sobą coś wspólnego.

Co zatem znaczy przypisywanie hitleryzmowi zła absolutnego, wobec którego każde inne miałyby być względne i w jakiejś mierze wybaczone? /.../

Alain BESANÇON

"L'Express" z 3-9 lipca 1987

/Z francuskiego przełożyła Julia JURYS/

"Kultura", wrzesień 1987

Jan Józef Lipski

O WIZYCIE PAPIEŻA^X

Jak wiadomo, po rozbięciu legalnej "Solidarności" wiele autentycznych niekontrolowanych przez władze działań społecznych i kulturalnych znalazło azyl w kościołach. Gdyby nie to, Polska byłaby dziś zupełnie innym krajem, w znacznej mierze pustynnym. Coraz wyraźniej w ostatnim okresie narastały obawy, że potężny Kościół szukając nowych otwarć i porozumień z władzą polityczną strząśnie te inicjatywy jako zbędny balast, a przynajmniej ograniczy je i podda ścisłej kurateli. Wiele czynników złożyło się na te lęki. Gazety codzienne donosiły o spotkaniach grup nie tylko z przedstawicielami administracji państwowej ale i z pierwszymi sekretarzami lokalnych ogniw partii komunistycznej, by wspólnie omawiać organizację pobytu papieża. Z różnych stron Polski dochodziły wieści, że biskupi zapraszają działaczy "Solidarności", by domagać się od nich nieobecności ich związku w dniach pielgrzymki Jana Pawła II. Zwrócono się z tym z centrali Kościoła w Polsce, a nie z kurii gdańskiej do Wałęsy, którego oburzył postulat, by podczas wielkiego spotkania z papieżem w Gdańsku nie było transparentów "Solidarności". Wszystko to ośmielało policję. Lista nie tylko rozmów ostrzegawczych, prowadzonych przez służbę bezpieczeństwa, ale i zatrzymań była znaczna. Brano ludzi i z domów i z ulic, między innymi niewidomego Zygmunta Łemyka w Krakowie, znanego obrońcę politycznego Jana Olszewskiego w Warszawie i innych. Zdarzały się pobicia. Szukano w mieszkaniach transparentów i ulotek, hojnie obdzielano grzywnami po 50 tys. złotych, a jest to przecież dwukrotna płaca miesięczna. Trzeba też pamiętać, że w Polsce prawie cała pensja wydawana jest na żywność i mieszkanie. Jednocześnie zaś wielka pobożność w radio i telewizji – na przykład długa audycja pokazująca sanktuaria maryjne świata. Podjęto też

^X Tekst przekazany do BBC.

w "Trybunie Ludu" i telewizji obronę papieża przed złymi Niemcami.

Przyjechał Jan Paweł II i obawy pierzchy. Mówił o porozumieniach zawartych w roku 1980 i 1981 przez robotników i chłopów z rządem. Najpierw do ponad miliona chłopów w Tarnowie o porozumieniach w Ustrzykach i Rzeszowie, zawartych przez Solidarność Rolników Indywidualnych z rządem, później do tłumów w Szczecinie o porozumieniach szczebińskich w sierpniu 1980 roku Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego z rządem. Na koniec w Gdańsku o słynnym porozumieniu z 31 sierpnia 1980 roku, jako programie wciąż aktualnym, bo nie spełnionym. Mówił o niezależnych samorządnych związkach zawodowych i słowie-idei Solidarności, które wyszło z Gdańska na Polskę i na świat.

W kościele św. Krzyża w Warszawie mówił na spotkaniu z artystami, uczonymi i pisarzami o przestrzeni wolności w kościołach, która musi być utrzymana. Mówił o ks. Jerzemu Popiełuszcze, ukląkł przy jego grobie, ucałował krzyż nagrobny, pobłogosławił jego rodziców. Były to gesty wpisujące pielgrzymkę w ten system mityczno-symboliczny, którego jednym z najważniejszych elementów jest cześć oddawana przez wiernych ks. Jerzemu Popiełuszcze, jako świętemu męczennikowi za wiarę i "Solidarność".

Widziałem ponad milionowe tłumy w dzielnicy Zaspą w Gdańsku, skandujące "Solidarność", "Solidarność" na tle ponad setki transparentów, z których każdy przemycany był z trudem przez milicyjne kordony. Na moich oczach gromada młodych robotników ze stoczni, w koszulach z napisem "Solidarność" montowała z krótkich deseczek pomysłowo skonstruowane drążki do transparentów. Jan Paweł II podjął dialog z tłumami. To zdumiewające, jak ten człowiek to umie, jak czuje i rozumie gdy mówi się do niego. Padły wówczas słowa: "Mówię za was" przyjęte z gorącym aplauzem. Na to spotkanie papieża z ludźmi pracy ośrodki "Solidarności" przygotowały się od dawna. Toteż obok transparentów z Wrocławia czy Warszawy można było zobaczyć transparenty z tak niedużego miasta jak Konin i tym podobnych. W Szczecinie i na Westerplatte w Gdańsku zwracały uwagę wielkie transparenty pacyfistycznego ruchu młodzieżowego "Wolność i Pokój". Radio i telewizja miały tego dnia lukę w transmitowaniu podróży papieskiej. Nic dziwnego. Z góry było wiadome, że tego dnia nie pomogą żadne manipulacje kamerami ani miksowanie dźwięku. Po mszy Gdańsk oglądał demonstrację "Solidarności" na ulicach. Tłumy pod dziesiątkami transparentów, skandowanie hasel "Solidarność", "Lech Wałęsa", "Papież z nami". Czoło demonstracji zostało odcięte w drodze do śródmieścia i okrążone przez Zomo, które uderzyło na siedzących i klęczących demonstrantów odmawiających "Zdrowaś Maria".

Manifestację, która ma cele pokojowe, jest nieuzbrojona, nie trudno rozbić. Koncentracja sił milicyjnych była tak wielka, ilość wozów milicyjnych tak szokująca, naliczyłem ponad setkę, że nasuwała się myśl: jesteśmy krajem bogatym, przynajmniej w milicję i jej sprzęt, bo nie w szpitala.

/.../ Pytanie, czy ta demonstracja w ogóle była potrzebna, ale zdecydowała o niej przede wszystkim wielka ludzka potrzeba ekspresji od dawna hamowana. Hamowana była nawet w dniach podróży papieskiej przez kościelnych organizatorów uroczyści. Koncepcją podstawową było bowiem niepozostawienie ani półminutowej luki między nabożnymi, bardzo głośno nadawanymi pieśniami, niedanie też szans wyboru pieśni. W razie potrzeby uruchamiano ogromnej siły nagłośniącą muzykę do zagłuszenia skandujących tłumów, jak zrobiono na przykład na Zaspie w Gdańsku podczas powitania Jana Pawła II. To przereżyserowanie, wynikłe z lęku o niewłaściwy charakter manifestacji, odebrało wiele autentyczności spotkaniom, a ludziom wiele z ich podmiotowości, którą przecież Jan Paweł II uczynił jednym z centralnych motywów swego nauczania podczas pielgrzymki.

Gorzej niż ta reżyseria dźwięku wypadła organizacja ruchu tłumów, spieszących na msze i spotkania. Dość powszechna jest opinia, że sprawność w tym zakresie zmniejszyła się a nie zwiększyła od czasu poprzednich wizyt papieża. Co gorzej, poprzednich pobytów zwracała uwagę ogólna zyczliwość, jawna uprzejmość, gotowość niesienia sobie pomocy lub choćby drobnych

przysług, wyrozumiałość. Tym razem nie trudno było natrafić na agresję, kłótnie wybuchają jak w powszedni dzień w zatłoczonym tramwaju. Erozja "Solidarności" postępującej zwolna lecz widocznie - mniej było na przykład na trasach przejazdu papieża rąk czyniących znak niż dawniej - towarzyszy obecnie erozja solidarności ludzkiej. Szczególnie zauważało się to w Warszawie, gdzie atmosfera była inna niż dawniej. Pamiętamy tłumy dążące za papieżem i ku papieżowi jakby każdy miał w sobie igłę magnetyczną a Jan Paweł II był wielkim magnesem. Tym razem po przejechaniu papieża, ci którzy podążali za nim już wkrótce mijali tłum jeszcze liczniejszy lecz odpływający. Co innego jeszcze zmieniło atmosferę - mianowicie wymieszanie kościelnych służb porządkowych z milicją. Doprowadzało to do sytuacji, które wielu odczuwało jako gorszące. Nawet bierna obecność kościelnej służby porządkowej przy konfiskowaniu transparentów "Solidarności" przez milicję jest bardzo bolesna, szczególnie gdy wie się, że w niektórych kościołach jako jedno z głównych zadań służby porządkowej podawano: ochronę przed pojawianiem się prowokacyjnych transparentów.

Ciężkim przeżyciem, nawet dla człowieka niewierzącego i niepraktykującego jak autor niniejszego artykułu, jest widok księdza w milicyjnym samochodzie obok umundurowanych funkcjonariuszy, intonującego przez nagłośnienie pieśni nabożne. Zaskakuje sytuacja, gdy ksiądz z plakietką kościelnej służby porządkowej na piersi grozi otoczonej przez milicję grupie, by nie zmuszała do użycia ostrzejszych środków, wyjąc oficera milicji.

To wszystko są impresje, odczucia, obserwacje. Naprawdę ważny natomiast dla przyszłości jest za każdym razem dokument będący przemówieniem Papieża do konferencji Episkopatu. Ten dokument przede wszystkim wytycza kierunek. A oto co najważniejszego powiedział tam Jan Paweł II. Cytat: "Z racji swej misji ewangelicznej i duszpasterskiej Kościół nie może przestać być sługą takich zadań jak podmiotowość społeczeństwa związana z przestrzeganiem praw osoby ludzkiej. Z tym łączy się ściśle zasada uczestnictwa w stanowieniu o sprawach własnego społeczeństwa również w zakresie politycznym z wykluczeniem wszelkiej dyskryminacji. Suwerenność państwa tylko wówczas odpowiada wymogom porządku etycznego gdy jest wyrazem suwerenności narodu w tymże państwie. Gdy społeczeństwo jest w nim autentycznym gospodarzem i twórcą wspólnego dobra". Koniec cytatu.

To jest drogowskaz zupełnie ważny. Już dawno w Polsce nie słyszano z ust wysokiego autorytetu kościelnego takich słów, a przemówił autorytet najwyższy nie tylko formalnie ale faktycznie dzięki tej spontanicznej aprobacie jaką narody darzą niekiedy swych autentycznych przywódców.

Jan Józef LIPSKI

"Kultura", kwiecień 1987

Adam Kruczek

W SOWIECKIEJ PRASIE

Miłość do Gorbaczowa rozprzestrzenia się po świecie jeszcze szybciej niż epidemia aids /sidy/, zwanej w Związku Sowieckim krótko i węzłowato spid. Drugą rocznicę intronizacji generalnego sekretarza /11 marca/ obchodzono jak świat długi i szeroki. Trzy tygodnie przed jubileuszem zjechało do Moskwy nie mniej niż tysiąc uczestników "forum pokojowego", szumnie nazwanego "o świat bez broni nuklearnej, o przetrwanie ludzkości". Uczestnicy przybyli – jeśli wierzyć organizatorom – z 80-ciu krajów. Każdemu dano do dyspozycji samochód z szoferem i tłumacza. Na zakończenie wszyscy zostali przyjęci na Kremlu przez generalnego sekretarza we własnej osobie, który jak dobry ojciec pouczył ich, jak mają dalej żyć i poinformował, co on osobiście zrobi dla dobra ludzkości.

Paryski tygodnik satyryczny "Canard enchainé" nazwał trzydniowy zlot moskiewski "Gorba-show". Trzeba przyznać, że od czasu apelu sztokholmskiego o zakaz amerykańskiej broni atomowej /1950/ świat nie oglądał równie szumnego spektaklu. Zaproszeni uczestnicy byli co prawda nieco innej klasy aniżeli popuczki Stalina – tym razem zabrakło w Moskwie wybitnych intelektualistów – za to przybyły wielkie amerykańskie gwiazdy filmowe, zachodniemieccy przemysłowcy, przewodniczący polskiego ZASP-u itd.

Uczestnicy /przynajmniej ci, których wypowiedzi opublikowały sowieckie gazety/ byli bezgranicznie zachwyceni. "Odczuwam prawdziwe uniesienie", wyznał angielski aktor Peter Ustinov. "Byłem wstrząśnięty głębokim oddaniem sprawie pokoju i pokojowej koegzystencji, jakim było nacechowane przemówienie Michaiła Gorbaczowa", powiedział amerykański ekonomista Kenneth Galbraith. "Gorbaczow mnie zahipnotyzował", wyznał zachodniemiecki emerytowany generał Bastian. "Prawda" z 17 lutego br. uspokoiła ludzkosc: "Świat przetrwa". Przede wszystkim dzięki Gorbaczowowi.

Obecność i trzy przemówienia akademika Sacharowa dodały zjazdowi szczególnego blasku. Należy sądzić, że zwolnienie Sacharowa było koniecznym warunkiem sukcesu "forum". Efekt jego obecności był obliczony wyłącznie na zagranicę. Czytelnik sowiecki dowiedział się o trzech przemówieniach Sacharowa tylko tyle: "Akademik A.D. Sacharow stwierdził, że pozycja zwolenników SDI jest nieprzekonywająca. Zauważył też, że twierdzenie, jakoby istnienie programu SDI skłoniło ZSSR do rokowań rozbrojeniowych jest niesłuszne. Program SDI jest przeszkodą w pertraktacjach.

Uczony zaproponował także swój wariant 50-procentowego zmniejszenia broni nuklearnych" /"Prawda" z 16 lutego br./.

Amerykański tygodnik "Time" opublikował 16 marca br. artykuł Andrieja Sacharowa, będący streszczeniem jego przemówień na "forum pokojowym". Artykuł nosi tytuł "O zbrojeniach i reformach". Akademik Sacharow zaczyna od wyjaśnienia, dlaczego uczestniczył w forum: "Zdawałem sobie sprawę, że mój udział w forum będzie w pewnym stopniu wykorzystany dla celów propagandowych. Wierzyłem jednak, że prawdziwe znaczenie publicznego wystąpienia po tylu latach wymuszonego milczenia przewyższy wiadomy efekt". Niewykluczone, że Sacharow był zaskoczony całkowitym milczeniem, jakim prasa sowiecka pominęła treść jego przemówień. Natomiast pozytywne skutki rozważań laureata nagrody Nobla dla Gorbaczowa nie ulegają kwestii. Sacharow przede wszystkim zwrócił uwagę na "toczący się proces demokratyzacji i rosnącej jawności" życia w Związku Sowieckim, podkreślając zarazem, że "sytuacja jest nadal pełna sprzeczności i niestabilizowana, w niektórych dziedzinach widoczny jest odwrót /np. nowa ustawa o emigracji/". Uczony stwierdza: "Bez rozwiązania problemów politycznych i humanitarnych postęp w dziedzinie rozbrojenia i bezpieczeństwa międzynarodowego będzie bardzo trudny, by nie powiedzieć niemożliwy".

Z drugiej strony Sacharow uważa, że "demokratyzacja i liberalizacja w ZSSR i związane z nimi postępy społeczny i gospodarczy będą zablokowane, jeśli nie zahamuje się wyścigu zbrojeń". Akademik nie ma wątpliwości, że "Gorbaczow i jego poplecznicy zażarcie walczą ze skostniałymi, dogmatycznymi i broniącymi własnych interesów siłami, że zależy im na rozbrojeniu, by nie marnować ogromnych zasobów materialnych i umysłowych na coraz nowsze i coraz bardziej udoskonalane typy broni". Z drugiej strony uważa, że "Zachód i cały świat zainteresowane są w tym, by reformy w ZSSR się udały. Silny gospodarczo, demokratyczny i otwarty Związek Sowiecki będzie ważną gwarancją stabilności międzynarodowej, dobrym, poważnym partnerem przy ogólnym rozwiązaniu globalnych problemów". Akademik Sacharow kończy rozdział pod tytułem "Gorbaczow" następującym ostrzeżeniem: "Jeśli Zachód będzie próbował wykorzystać wyścig zbrojeń dla osłabienia Związku Sowieckiego, perspektywy będą bardzo mroczne. Przyparty do muru opent zawsze jest groźny... Proces demokratyzacji i liberalizacji zostanie zahamowany. Rewolucja naukowo-techniczna nabierze zdecydowanie wojskowego charakteru i należy się obawiać, że w polityce zagranicznej zwyciężą tendencje ekspansjonistyczne wsparte o siłę zniszczenia".

Za wcześniej jeszcze mówić o przyczynach, które skłoniły laureata pokojowej nagrody Nobla do otwartego i jednoznacznego poparcia Gorbaczowa. Wypunktujmy trzy zasadnicze elementy jego stanowiska: generalny sekretarz kieruje procesem demokratyzacji i liberalizacji ZSSR; procesowi temu opierają się reakcyjne siły; Zachód może i powinien – we własnym interesie – pomóc Związkowi Sowieckiemu.

Wiążąc demokratyzację systemu sowieckiego z rozbrojeniem, Sacharow równocześnie "oddziela" – w swoim projekcie rozbrojenia – Stany Zjednoczone od Europy Zachodniej. Od czasów Andropowa, a nawet trochę wcześniejszych, Związek Sowiecki kładł na stół negocjacyjny "pakiet": Stany Zjednoczone miały zrezygnować z projektu "strategicznej inicjatywy obronnej" /SDI/ i zlikwidować swoje wyrzutnie atomowe w Europie, a dopiero potem można będzie zacząć mówić o redukcji sowieckiego arsenału nuklearnego. W 1981 roku administracja Reagana zaproponowała likwidację wszystkich rakiet średniego zasięgu w Europie, zarówno amerykańskich jak i sowieckich. Specjaliści natychmiast nazwali ten plan "opcją zerową". 7 marca br. Gorbaczow zgodził się na propozycję Reagana, czym wprawił w popiół całą Europę. Likwidacja rozmieszczonych w Zachodniej Europie wyrzutni atomowych oznaczać będzie "rozwód" /w języku fachowców découplage/ między Stanami Zjednoczonymi i Europą Zachodnią, która w ten sposób stanie samotnie twarzą w twarz ze Związkiem Sowieckim.

Andriej Sacharow gorąco poparł na moskiewskim forum likwidację wszystkich rakiet średniego zasięgu w Europie. W artykule w "Time"ie przytacza liczne argumen-

ty za taką opcją. Zachodni dyplomaci uważają, że propozycję Gorbaczowa z 7 marca należy nazwać "planem Sacharowa".

Spór o naturę zachodzących obecnie w ZSSR zmian będzie trwał długo. Liczba ludzi włączających w "demokratyzację i liberalizację" będzie rosła, w dużej mierze dzięki środkom, jakie ZSSR łoży na obróbkę zarówno własnej, jak i zagranicznej opinii publicznej, nie pomijając naturalnie krajów bloku. Szczególną, niespotykaną dotychczas uwagą otacza się Zachód. Oto kilka przykładów z ostatniego okresu. W marcu świat obiegła niespodziewana jak grom z jasnego nieba wiadomość, że w Związku Sowieckim zostanie wydany Sołżenicyn. "Aktywny zabieg", by użyć żargonu KGB, zrealizowany został zgodnie z wszelkimi prawami gatunku. Źródłem wiadomości była nieznana nikomu duńska gazeta, która opublikowała wywiad z redaktorem moskiewskiego "Nowego mira", Siergiejem Załyginem, przeprowadzony przez greckiego dziennikarza P. Takisa Michasa. Z przekładu z rosyjskiego na grecki, z greckiego na duński i z duńskiego na inne języki: wynikało, że "Nowy mir" zamierza opublikować bez żadnych cięć "Oddział chorych na raka", a w jakiś czas później "Archiwipelag GULag". Wiadomość ta zrodziła setki komentarzy, artykułów wstępnych i wywiadów, z których jednocześnie wynikało, że teraz już nie ma żadnych wątpliwości: demokratyzacja jest w pełnym toku! Kilka dni później rzecznik sowieckiego ministerstwa spraw zagranicznych /to ministerstwo zajmuje się obecnie "praniem mózgow" obcokrajowców/ oświadczył, że o publikacji dzieł Sołżenicyna nie ma mowy. Przede wszystkim należy bowiem - zgodnie z zasadami przyzwoitości - spytać autora o zgodę. Autora nikt nie pytał. Operacja zakończona, cel osiągnięty: Sołżenicyn wie, że teraz wszystko zależy od niego.

Miesiąc temu w "Time" nie wybuchła nie mniejsza sensacja. Wiadomość przywiózł Jewtuszenko i sprzedał "Time"owi w długim wywiadzie. Po standardowych pochwałach pod adresem Gorbaczowa wiecznie młody i dynamiczny Żenia ujawnił tajemnicę: w 1966 roku, głęboko przejęty wyrokiem, wydanym w Moskwie na jego przyjaciół Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela, Żenia postanowił pojechać na odpoczynek do Waszyngtonu. Kiedy raz zaszedł w gości do Roberta Kennedy'ego, dowiedział się tam wstrząsającej rzeczy. Otóż Robert Kennedy, zaprowadzwszy go do łazienki, puścił wodę /Amerykanie znają się na konspiracji! / i powiedział: przekażcie waszemu rządowi, że to nasze CIA wydało KGB prawdziwe nazwiska Siniawskiego i Daniela. Dopiero dzisiaj Żenia może uspokoić swoje sumienie i opowiadając jak to było powiadomić świat, że KGB i CIA są szkodliwymi organizacjami, które nie pozwalają ludziom kultury żyć w pokoju i przyjaźni.

Także na temat tej historii prasa światowa przelała dużo atramentu. Najlepiej skomentował rzecz K.S. Karol w paryskim "Nouvel Observateur": "Oczywiście jest przede wszystkim to, że rewelacje Jewtuszenki nie mogą się spodobać KGB, które wypada w tej historii jak ofiara intrygi CIA, i które głupio rozegrały scenariusz, przygotowany przez CIA". Jewtuszenko i K.S. Karol uważają, że CIA, chcąc odwrócić uwagę świata od amerykańskiej interwencji w Wietnamie, wymusiła na KGB zorganizowanie moskiewskiego procesu dwóch pisarzy, którzy przekazali swoje utwory za granicę. Nikomu w Moskwie na tym procesie nie zależało, wszyscy byli mu przeciwni, ale nie mogli wyostać się z sideł CIA i musieli skazać pisarzy i pomóc w ten sposób amerykańskiemu interwentom. Dziwnym trafem znalazłem w moskiewskiej gazecie o zagranicznym tytule "Moscow News" artykuł sowieckiego dziennikarza, który opisuje, jak bardzo sowieckie kierownictwo /i on sam/ cierpiało z powodu tego niechcianego procesu. Koniec końców CIA okazuje się jednak gorszą od KGB. Może jednak K.S. Karol nie całkiem ma rację, ubolewając tak bardzo nad głupotą organizacji, która raz jeszcze zrobiła faux pas...

Skoro już przypominałem sobie "Moscow News", warto powiedzieć kilka słów o tej dość niebanalnej gazecie. Zaczęła się ona ukazywać w roku 1930 po angielsku; od 1934 istnieje wydanie francuskie. W roku 1949 - pamiętnym roku początku walki z kosmopolityzmem - gazetę zamknięto, a jej redaktora, znanego agenta Kominternu Michaiła Borodina, aresztowano i zamorzono na śmierć w obozie. Po śmierci Stalina gazeta znów zaczęła wychodzić, wzbogacona o wydanie hiszpańskie i arabskie. W ro-

ku 1980 pojawiło się wydanie rosyjskie, przeznaczone dla nielicznych wybrańców. Wszystkie wersje językowe łącznie miały w 1984 roku nakład 152 tys. egzemplarzy, rozprowadzanych – według informacji na pierwszej stronie wydania rosyjskiego – w 140 krajach. W sie 1986 roku doświadczony dziennikarz od spraw międzynarodowych, Jegor Jakowlew, zastąpił dotychczasowego redaktora naczelnego, Genadija Gierasimowa, który został rzecznikiem prasowym ministerstwa spraw zagranicznych. Jakowlew rozpoczął jeszcze aktywniejszą kampanię obróbki cudzoziemców niż jego poprzednik. Zachodni korespondenci nie muszą już szukać tłumaczy, aby zapoznać się z prasą sowiecką i wypowiedziami sowieckich przywódców /przywódcy!/: wszystko /i więcej niż wszystko! / znajdują w "Moscow News". Przez "więcej niż wszystko" rozumiem pogłoski, nieoficjalne szczegóły, plotki. Trzeba cudzoziemców przestraszyć? Jegor Jakowlew udziela wywiadu, w którym sugeruje, że jeśli Gorbaczow nie uzyska dostatecznego poparcia Zachodu, to po prostu weźmie i poda się do dymienia. I co wtedy? "Moscow News" opublikowało wywiady z Richardem Pipesem i Zbigniewem Brzezińskim. Obaj amerykańscy historycy bardzo dobrze mówią i doskonale tłumaczą ukryte sprężyny sowieckiej polityki. Wypowiedzi sowieckiego dziennikarza komentującego każdą odpowiedź Amerykanów brzmią błado i nieprzekonywająco, ale najważniejsze zostało zrobione – dano dowód "jawności", z której zwykły sowiecki obywatel nigdy się nie zapozna, ponieważ pisma nie ma w sprzedaży.

Prasa sowiecka, konferencje prasowe moskiewskiego MSZ, "Moscow News" i zachodni dziennikarze, którzy świadomie i nieświadomie propagują moskiewski punkt widzenia składają się na potężny aparat, kształtujący właściwe rozumienie świata. Ale to nie wszystko. Włoski tygodnik "Il mondo economico" opublikował 27 października 1986 wywiad z prezesem największej na świecie firmy reklamowej, Robertem Dillenschneiderem. Prezes powiedział m.in., że krótko po wybuchu reaktora w Czarnobylu, kiedy świat jeszcze o niczym nie wiedział, zadzwonił do jego nowojorskiego biura sowiecki minister spraw zagranicznych, Szewardnadze. Następnego dnia Robert Dillenschneider był na Kremlu i rozmawiał z sowieckim kierownictwem. Specjaliści od reklamy nie zaprasza się na ogół na rozmowy o pogodzie, łatwo więc sobie wyobrazić, że dyskutowano o tym, jak najlepiej "sprzedać" światu czarnobylskie "zajęcie".

Nietrudno też sobie wyobrazić, że jeśli dla "reklamy" czarnobylskiej katastrofy ZSSR uciekł się do usług największej na świecie firmy reklamowej, to przy mniej ważnych wydarzeniach wzywa się na pomoc innych, tańszych specjalistów od public relations. Niewykluczone, że firma Dillenschneidera zajmuje się całą reklamą Związku Sowieckiego na Zachodzie. Ważny jest sam fakt, że do sprzedaży sowieckiego produktu zaangażowano zachodnich specjalistów. Zaczęło się to naturalnie nie dwa lata temu i nie Gorbaczow odkrył tak cenną metodę propagandy. Kapitaliści umieją jak wiadomo dochowywać tajemnicy nie gorzej niż ludzie sowieccy. Z rzadka tylko wychodzą na jaw kulisy pozornie sprzecznych z naturą powiązań. Szykując w 1928 roku plan pierwszej pięciolatkę, Stalin zwrócił się do Amerykanów z prośbą o sporządzenie projektów i dozorowanie robót, o technikę i technologię. Równocześnie kupił usługi "najsłynniejszego i najdroższego publicity man", Ivy Lee. Był to rzeczywiście wybitny specjalista: zajmował się reklamą firmy Standard Oil. Ivy Lee pojechał na dwa tygodnie do Związku Sowieckiego, odbył podróż po kraju i po powrocie napisał książkę pt. "Dzisiejsza Rosja". W książce znajduje się m.in. takie warte uwagi zdanie: "A czy nie jest możliwe, że zachodnia cywilizacja powołana jest do dokonania największego w dziejach ludzkości eksperymentu – do okazania zaufania Rosji?".

Jak niektórym ludziom wiadomo, Stalin dowiedział, że eksperyment był wart świeczki. Może dlatego uwaga amerykańskiego specjalisty od reklamy znajduje dziś tylu naśladowców. Zachodniomierecki socjaldemokrata Egon Bahr oznał, że lepiej wypróbować Gorbaczowa aniżeli bombę atomową. W artykule francuskiego członka Klubu Rzymskiego widnieje następujące zdanie: "Być może ludzkość zdaje w chwili obecnej historyczny egzamin".

To istotnie możliwe: zli uczniowie zostają rok po roku w tej samej klasie i bez końca powtarzają egzamin. Ludzkość któryś już raz zdaje egzamin z zaufania do ZSSR. W Związku Sowieckim egzamin zdają Breżniew i jego spuścizna i przepadają z krete-

sem. "Jawność" wydobywa na światło dzienne kolejne niedostatki rządów Breżniewa. Tygodnik "Ogoniok" /nakład pół miliona/, redagowany od ubiegłego roku przez ukraińskiego pisarza Witalija Koroticza, stał się niezwykle popularny dzięki demaskatorskim artykułom na temat poetów, o których znów wolno pisać /np. Gumilowa/. Do najbardziej demaskatorskich artykułów należy tekst Dmitrija Lichanowa, zatytułowany "Pancerne mundury", w którym autor opisał tortury, do jakich uciekała się milicja miasta Petrozawodsk /Karelia/ by wymusić zeznania więźniów. Fakty są rzykującymi wstrząsające. Bohaterami reportażu są milicjanci, którzy tak nieludzko katują aresztantów, jakby żywcem wyszli z sali sądowej na której sądzono morderców księdza Popiełuszki. Główny sadysta zostaje skazany na trzy i pół roku więzienia, jego pomocnik na trzy lata z zawieszeniem. Dyrektorzy z ministerstwa spraw wewnętrznych, pozostałości dawnych breżniewowskich czasów, dostali nagany partyjne. Powodem całego zajścia, jak "z pełną otwartością" przyznał sekretarz karelskiego obwodowego komitetu partii, był brak odpowiedniego nadzoru komitetu partyjnego nad ministerstwem spraw wewnętrznych.

Nie mniejszą sensację wyzbudził artykuł Władimira Jakowlewa pt. "Lubierycy". Stowo natychmiast weszło w życie. Jakowlew opisał w "Ogonkie" kluby kulturystów, które zupełnie przypadkiem powstały w podmoskiewskiej miejscowości Lubierce /stad "Lubierycy"/. Wspomniana grupa kulturystów, rozwijających bicepsy i tricepsy pod portretem Arnolda Schwarzeneggera, liczy ok. 500 osób. Autor artykułu opisuje młodych wyznawców sławnego Arnolda jako wrogów miejskiej /moskiewskiej/ młodzieży, która ulegała zachodnim wpływom i modzie. W artykule mowa jest o ekspedycjach karnych na zwolenników dżinsoś i "metalistów" /wielbiciele jazu/. Podczas konferencji prasowej w ministerstwie spraw zagranicznych Genadij Gierasimow, wyjaśniając zachodnim dziennikarzom, kto bił na Arabacie demonstrantów, domagających się uwolnienia Josifa Beguna, całą winę przypisał "wizitantom", tj. młodym ludziom, oburzonym takim naruszeniem porządku publicznego.

Artykuł o "Lubiercach" wywołał ostry sprzeciw majora policji Gonczarowa /"Sowietskaja Rossija"/, który zapewnia, że żadni "Lubierycy" nie istnieją, jest to zwykły wymysł dziennikarzy.

Dyskusja na temat "Lubierców" odzwierciedla w jakimś stopniu zmianę stosunku do "jawności". Użyta jako narzędzie walki z breżniewowskim aparatem partyjnym, "jawność" przestaje stopniowo być potrzebna dla wymiany starych kadr na nowe. 13 lutego generalny sekretarz wygłosił ważne programowe przemówienie do "kierowników środków masowej informacji i propagandy". Był to znak, że pora zahamować "jawność" i że trzeba surowiej ją kontrolować. Przypomniał im, że potrzebna jest "konstruktywna krytyka" oraz że krytyka "zawsze powinna być partyjna", ale za często krytykuje się instancje partyjne. "Nie należy - zwraca uwagę generalny sekretarz - całej winy przypisywać komitetom partyjnym... i rozwieszac nad wszystkim partyjnego parasola". Wciąż jeszcze dużo mówi się o "sprawiedliwości społecznej". "Czyż nie powinniśmy jednak zachęcać utalentowanych dziennikarzy i uczonych, czy w ogóle każdego uczciwego i pracowitego człowieka?". Pora skończyć z potępianiem dacz, specjalnych lecznic itp.

Dużo miejsca poświęcił Gorbaczow stosunkowi do historii. Przyznając, że "nie powinno być zapomnianych nazwisk, białych plam ani w historii, ani w literaturze", podkreślił, że "opublikowano wiele z tego, co zasługuje na najmniejszą choćby uwagę społeczeństwa". Czyli pora zwolnić bieg. Z drugiej strony za mało pisze się o tych, którzy "robili rewolucję", odłogiem leżą całe okresy sowieckiej historii - np. kolektywizacja - bowiem "były błędy - i to wielkie". Najważniejsze z punktu widzenia Gorbaczowa jest to, że i wtedy, "w najtrudniejszych chwilach, kraj szedł do przodu". Krótko mówiąc "należy uzględniać całą prawdę".

Jak opowiadają moskwiczenie, Gorbaczow nieoficjalnie podsumował kampanię "jawności" zdaniem "plebs jest zmęczony krytyką".

Charakterystycznym zjawiskiem ostatnich miesięcy jest niezwykle szybki wzrost kultu Gorbaczowa. Do głównych "budowniczych kultu" należy dramaturg Michaił Sza-

trów, autor niezliczonych książek oraz scenariuszy filmowych i telewizyjnych na temat Lenina. Jako największy znawca Lenina Szatrow może potwierdzić – i potwierdza – że Gorbaczow jest reinkarnacją ojca władzy sowieckiej. Zdaniem Szatrowa marzec 1985 roku stanowi zwrotny punkt w dziejach /"Ogoniok" nr 4/. Sam Gorbaczow przyznaje, ile trudu kosztuje go obrona przed wielbicielami: "Starają się zrobić ze mnie boga – tłumaczy wodzowi argentyńskiej partii komunistycznej. – A ja nie jestem bogiem" /"International Herald Tribune" z 5 marca br./.. Odważne wyznanie Gorbaczowa, że nie jest bogiem przypomina walkę, jaką bezskutecznie toczył Stalin z tymi, którzy zmusili go w końcu, by został bogiem.

Gorbaczow powiedział argentyńskiemu komunistcie, że bóg to naród. Słyszeliśmy już podobne myśli. Jakby nie było, naród dobrze rozumie charakter gener. tego sekretarza. Dowodem następująca anegdota: Człkacza wraca do domu ze zjazdu. Wszyscy krajanie zbierają się, by wysłuchać, co się dzieje w Moskwie. – Dowiedziałem się – opowiada delegat na zjazd – po pierwsze, że Marks i Engels to dwie różne osoby. Po drugie, że socjalizm ma służyć człowiekowi. Po trzecie – widziałem tego człowieka.

P.S. Przeczytawszy powyższy przegląd, uprzytomniłem sobie, że liczba złych wiadomości znowu bardzo przerasta liczbę dobrych. Zaniepokoiłem się: có powie Stefan Kisielewski? Niepokój to uzasadniony: w ostatnim numerze "Kultury", w recenzji z książki Ungera "Orzeł i reszka", Stefan Kisielewski nieoczekiwanie i ku wielkiemu mojemu zadowoleniu/ wspomniął i o mnie. Jego zdaniem specjalizujemy się wraz z Leopoldem Ungerem w "czerni" i "zmiana sytuacji pozbawiłaby nas tematyki". Wszystko to prawda: zgrzeszyłem, mea culpa. Dziwi mnie co innego. Stefan Kisielewski pisze: "Podejrzewać też można, że gdyby coś się w Rosji naprawdę zaczęło zmieniać, Unger i Heller byłiby ostatnimi, którzy by nam o tym donieśli". Trudno mi coś powiedzieć o zamiarach Leopolda Ungera. Jeśli o mnie chodzi, to Kisielewski znowu ma całkowitą rację. Nieprędko uwierzę w zmiany w Związku Sowieckim. Ale znowu dziwi mnie co innego. Dlaczego Stefan Kisielewski oczekuje Zwiastowania ode mnie? Czyż nie znajduje go dzień in dzień w rodzimej polskiej prasie, nie słyszy w rodzimym radio, nie widzi w rodzimej telewizji? Jeśli zechce, może i do "Prawdy" sięgnąć. Cóż za dziwne zбочzenie: oczekiwać dobrych wiadomości z Rosji od "specjalisty od czerni"!

Mam wrażenie, że rozumiem, dlaczego Stefan Kisielewski chciałby znaleźć w moich przeglądach prasy sowieckiej optymistyczne wiadomości z Moskwy. Przypomniała mi się mianowicie stara powieść niesłusznie zapomnianego pisarza rosyjskiego, Leonida Andriejewa. Akcja toczy się w jakimś nieokreślonym kraju. Bezpodstawnie aresztowany człowiek odzyskuje wolność. Tak już przywykł do celi więziennej, że wynajmuje mieszkanie w pobliżu więzienia. Sługa wyprowadza go na spacer. Żyje na wolności tak, jak żył w niewoli. W ostatniej scenie powieści bohater wychodzi na przechadzkę, spogląda na swoje byłe więzienie i mówi: "W świetle zachodzącego słońca nasze więzienie jest piękne". Łatwo sobie wyobrazić, jak by go zabolalo, gdyby ktoś zwątpił w piękno więzienia.

Adam KRUCZEK

15 marca 1987

"Kultura", maj 1987

T. Maćkiw

PROBLEM UKRAIŃSKIEJ PAŃSTWOWOŚCI W PUBLICYSTYCE POLSKIEJ

Ukazało się już, zwłaszcza w polskiej prasie podziemnej, sporo publikacji dotyczących stosunków ukraińsko-polskich. W epoce manipulowania historią istnieje możliwość subiektywnej interpretacji wydarzeń historycznych w zależności od tendencji narodo-

wych, warunkowanych tradycją lub koniunkturą międzynarodową. Zarówno w publikacjach ukraińskich jak w polskich można znaleźć pozytywne i negatywne zapatrywania, uprzedzenia bądź przesady.

Nie jest łatwo pisać o rozwoju stosunków ukraińsko-polskich na przestrzeni długich wieków, jednak przy dobrej woli z obu stron można, a nawet trzeba, rozpatrywać wydarzenia historyczne sine ira et cum studio. Będzie to korzystne nie tylko z punktu widzenia badań historycznych, ale także z uwagi na praktyczne wnioski płynące dla współczesności i przyszłości obu partnerów.

Rozmiar artykułu nie pozwala przedstawić nawet w skrócie historycznego rozwoju stosunków ukraińsko-polskich, dlatego też autor tych słów chciałby ograniczyć się do faktów historycznych, które odnoszą się do problemu ukraińskiej państwowości w przeszłości.

W ciągu XIX stulecia pozycja Ukraińców i Polaków była podobna; nasze narody znajdowały się pod panowaniem Austrii i Rosji, ale występowały też poważne różnice pod względem politycznym, kulturalnym oraz społecznym i odpowiednio do nich obce rządy traktowały oba narody. Mimo że w XIX stuleciu nie było na mapie Europy państwa polskiego, nikt w Europie nie kwestionował istnienia narodu polskiego. W stosunku zaś do narodu ukraińskiego sprawa ta przedstawia się inaczej. Rosja carska uważała język ukraiński za dialekt rosyjski, a narodu ukraińskiego nie tylko nie uznawała, lecz nawet zaprzeczała jego istnieniu /"nie było, nie ma i być nie może"/.

W tej sprawie, jak pisze polski historyk Jan Kozik¹, w społeczeństwie polskim panował także pogląd, że Ukraińcy stanowią gałąź narodu polskiego, a język ukraiński, czy jak wówczas mówiono "ruski", jest polskim dialektem. Nie dziwi zatem, że w 1848 roku na Kongresie Słowiańskim w Pradze delegaci polscy starali się przekonać ukraińskich /"ruskich"/, że są oni Polakami, bo jakże może "istnieć naród w narodzie"².

W istocie pogląd taki utrzymał się w społeczeństwie polskim, zwłaszcza w kręgach endeckich, aż do 1939 roku. Wprawdzie trzeba przyznać, iż od tego czasu nastąpiła ewolucja w polskim myśleniu na tematy narodowe. Na polityczne zainteresowanie problematyką ukraińską wpłynęło zrozumienie geopolitycznego położenia Polski, tj. szukanie odpowiedzi na pytanie, czy w interesie Polski leży posiadanie wspólnej granicy z Rosją czy lepiej z Ukrainą³. Opozycyjni publicyści oraz większość historyków polskich, którzy zajmują się tymi zagadnieniami, wychodzą z pryncypialnego założenia, iż nie można żądać pełnej niezależności dla siebie i jednocześnie negować prawa innych narodów wschodnioeuropejskich, w tej liczbie także ukraińskiego, do politycznej niepodległości.

Za jedną z najbardziej interesujących aktualnych publikacji, które odzwierciedlają poglądy pewnych autorów polskich, należy uznać książkę wybitnego publicyście polskiego Kazimierza Podlaskiego pt. "Białorusini - Litwini - Ukraińcy: wrogowie czy bracia?"⁴. Polskie czasopismo podziemne "Niepodległość" pisze, iż praca Podlaskiego, to "... najważniejsza wydana po 13 grudnia pozycja książkowa. Podsumowuje bowiem kluczowy dla naszej niepodległości problem stosunków z narodami oddzielającymi nas od Rosji i próbuje wytyczyć nowe perspektywy... Opisując stosunki polsko-białoruskie, polsko-litewskie i polsko-ukraińskie, ukazuje je w całym ich skomplikowaniu, starając się dojść racji obu stron. Nie ukrywa momentów trudnych i tragicznych, po-

1. J. Kozik, "Między reakcją a kontrrewolucją. Studia z dziejów ukraińskiego ruchu narodowego w Galicji w latach 1848-1849", Kraków 1975, str. 184.

2. Tamże, str. 72.

3. Dokładniej na ten temat pisze: J. Darski, "Kierunki polskiej polityki wschodniej, 'Sučasnist'", 1985, Zeszyt w języku polskim nr 1-2, str. 52-78; przekład w języku ukraińskim: "Sučasnist", 1986, nr 6, str. 50-63, nr 7-8, str. 139-153.

4. K. Podlaski, "Białorusini - Litwini - Ukraińcy: wrogowie czy bracia?" Wyd. 1, 1983, wyd. II, 1984, wyd. III, Londyn 1985. Korzystałem z ukraińskiego przekładu Wiktora Poliszczuka, poprzedzonego wstępem Jarosława Pełenskiego, München, "Widnowa", 1986.

rusza sprawy drażliwe i zdawałoby się beznadziejne⁵.

Prof. Jarosław Pełenski pisze w przedmowie do książki Podlaskiego, iż uważa polską publicystykę podziemną za "jeden z najbardziej interesujących przejawów procesów społeczno-politycznych zachodzących w Europie Wschodniej. Druki te rozpoznać można bez zezwolenia władzy, a więc poza zasięgiem cenzury... W ciągu ostatnich pięciu lat opozycja polska zdobyła się na rozbudowę sieci wydawnictw niezależnych oraz wydanie ponad 1.200 różnego rodzaju publikacji... Wszystkie istotne publikacje, które ukazują się poza zasięgiem cenzury, stoją na pozycji niepodległości narodowej i państwowej lub co najmniej daleko idącej emancypacji Polski w kierunku autentycznej niezależności... Traktując o stosunkach polsko-ukraińskich, większość publicystów opozycyjnych, łącznie z Podlaskim, skupia uwagę zasadniczo na problemach XX wieku, zwłaszcza na problemach współczesnej historii i polityki. W kontekście historycznym rozpoczynają analizę stosunków polsko-ukraińskich od wojny o Halycynę /Galicję/ 1918-1919 roku i obalenia przez nowopowstałe państwo polskie Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej /ZURL/⁶.

Podczas gdy Podlaski nie kwestionuje państwowości ukraińskiej, w polskiej publicystyce podziemnej istnieją autorzy, którzy nie tylko poddają tę państwowość w wątpliwość, ale w ogóle ją negują. Należy do nich m.in. R. który w swym artykule pt. "Stosunki polsko-ukraińskie" pisze, że "Ukraińcy nigdy nie mieli własnej państwowości"⁷.

Zareagował na to stwierdzenie inny polski publicysta podziemny, Jan Łukaszów, w liście skierowanym do redakcji "Robotnika". Pisze on, że "pierwsze ukraińskie państwo narodowe sformowane przez 'narodowców' /sic/ ... powstało w 1917 roku..."⁸.

W odpowiedzi na uwagę J. Łukasza w tym samym numerze "Robotnika" Rif twierdzi, świadomie lub nieświadomie przekręcając fakty historyczne: "Wiele historyków, zarówno ukraińskich jak i obcych, odmawia rządowi sformułowanemu przez Niemców, na którego czele stał hetman Skoropadski, miana rządu suwerennego. Jest to sytuacja, jeśli nie ta sama, to podobna do aktu 5 listopada 1916 roku, w wyniku którego Niemcy powołali do życia polską Radę Regencyjną"⁹.

Przede wszystkim Centralna Rada mocą aktu z 22 stycznia 1918 roku ogłosiła niezależność państwa ukraińskiego, które zostało uznane w traktacie brzeskim /9 lutego 1918 roku/ przez Austro-Węgry, Bułgarię, Niemcy i Turcję, a z biegiem czasu także przez inne państwa, z jakimi rząd Ukraińskiej Republiki Ludowej - UNR - utrzymywał stosunki dyplomatyczne. Jakże można porównywać rząd UNR z polską Radą Regencyjną, którą stworzyły oraz kontrolowały rządy Austrii i Niemiec? Ponadto polska Rada Regencyjna nie miała ani władzy wykonawczej, która znajdowała się w rękach gubernatorów austriackiego i niemieckiego, ani stosunków dyplomatycznych z państwami postronnymi.

Następnie obaj autorzy ignorują istnienie państwa kijowskiego, królestwa halicko-wołyńskiego oraz Ukraińskiej Republiki Wojskowej /Kozackiej/, znanej także jako Hetmanat, która początkowo znajdowała się pod protektorem polskim /1649-1654/, a później rosyjskim /1654-1764/. Przy tej okazji nie zaszkodzi przypomnieć, że na podstawie ugody zbaraskiej z 18 sierpnia 1649 roku, zawartej między hetmanem ukraińskim Bohdanem Chmielnickim i królem polskim Janem Kazimierzem, ustanowiono autonomię na terytorium województw: kijowskiego, bractawskiego i czernihowskiego pod

5. "Niepodległość" nr 33, Warszawa-Kraków 1984, str. 26.

6. J. Pełenski, Wstęp do ukraińskiego wydania pracy K. Podlaskiego, loc., cit.; skrócony przekład polski: J. Pełenski, "Ukraina w polskiej polityce opozycyjnej", "Kultura niezależna" nr 26, Warszawa 1986, str. 58 i nast.

7. Rif, "Stosunki polsko-ukraińskie", "Robotnik" nr 74 z 28 października 1984, str. 1-5; przekład tego artykułu zamieściło czasopismo "Widnowa" nr 4, München 1986 str. 101-104.

8. Jan Łukaszów, "W sprawie ukraińskiej". List do redakcji, "Robotnik" nr 83 z 1 stycznia 1985, str. 3-4; por. "Widnowa" nr 4, München 1986, str. 105-106.

władzą ukraińską /kozacką/ na czele z hetmanem. Na obszarze tych trzech województw wojsko polskie miało nie stacjonować, a urzędy miały być nadawane tylko Ukraińcom lub używając ówczesnego języka – szlachcie prawosławnej wiary. Ugoda ta została ratyfikowana w całości przez polski sejm⁹. Dlatego stanowi ona akt prawny, na mocy którego naród ukraiński zdobył autonomię narodowo-terytorialną we wzmiankowanych województwach.

Mimo że nie uszczegółowiono w ówczesnym żargonie prawniczym artykułów umowy zbaraskiej, które de iure określały państwowość Ukrainy i formalnie pozostawała ona w obrębie państwa polskiego lub mówiąc inaczej pod protektoratem Polski, ale Ukraina miała wszystkie prerogatywy państwowości, tzn. posiadała własne terytorium, naród, swój rząd, wojsko tj. kozaków, prawodawstwo, stosunki dyplomatyczne z obcymi państwami, tak że słynny historyk niemiecki Hans Schumann zauważył w swojej dysertacji, że twórca Ukraińskiego Państwa Wojskowego /Kozackiego/ Bohdan Chmielnicki faktycznie był suwerennym władcą¹⁰.

Podobnie wyjaśnia stworzenie państwowości ukraińskiej polski historyk Leszek Podhorecki, który pisze: "Po triumfalnym wjeździe do Kijowa hetman zaporoski przystąpił do organizowania państwa ukraińskiego. W swojej klasowej treści pozostało ono państwem feudalnym, w którym miejsce polskiej magnaterii poczęła zajmować starszyzna kozacka, jednak Cerkwie i kultura ruska miały warunki do swobodnego rozwoju, zaś chłopcy uwolnieni zostali od pańszczyzny i wielu innych uciążliwych powinności wobec pana¹¹". Państwo przybrało formę dosyć demokratycznej, jak na owe czasy, wojskowej republiki. Powstała ruska, rodzima administracja, a całe terytorium wyzwolonej części Ukrainy zostało podzielone na 16 okręgów, podlegających pułkom kozackim. Okręgi z kolei zostały podzielone na terytoria sotni. W ten sposób powstała kozacka władza prawodawcza, administracyjna i sądownicza, która całkowicie zastąpiła władzę polską... Nowy aparat władzy energicznie odbudowywał ze zniszczeń wojennych wsie i miasta, zaprowadzał ład i porządek, podejmował rozmowy dyplomatyczne z Anglią, Rosją, Turcją, Mołdawią i Siedmiogrodem, rozpoczął też rokowania z Polską... Prawnie Ukraina była nadal częścią Rzeczypospolitej, faktycznie – krajem niezależnym, zajmującym ok. 200 tys. km² i ponad 1 mln ludności, czyli ok. 10 % liczby mieszkańców całego państwa¹².

W istocie państwa forma protektoratu była w tych czasach zjawiskiem w ówczesnej Europie normalnym, np. Wołoszczyzna, Mołdawia i Siedmiogród znajdowały się pod protektoratem tureckim, Prusy pod polskim, a Litwonia /obecna Estonia i północna Łotwa/ pod szwedzkim.

Państwowość ukraińska została jeszcze wyraźniej określona w ugodzie hadziackiej z 16 września 1657 roku /nota bene w roku bieżącym należałoby obchodzić 330-tą rocznicę tej tak istotnej ugody w stosunkach ukraińsko-polskich/.

Ugoda hadziacka przewidywała przebudowę państwa polskiego na federację trzech niezależnych państw: Polski, Litwy i Ukrainy¹³. Zgodnie z nią Ukraina w granicach

9. "Volumina Legum", St. Petersburg 1859, Tom IV, str. 130: "Ponieważ podług konstytucji naszej, w uspokoieniu kozaków Zaporowskich dosyć się stało, tedy te deklaracyą łaski naszej uczyniona pod Zborowem woysku Zaporowskiemu, autoritate Convenus praesentis, za zgodą waszech Stanów approbiujemy".

10. H. Schumann, "Der Hetmanstaat, 1654-1764", Breslau 1936, str. 4; pełny tekst patrz: "Jahrbücher für Geschichte Osteuropas", 1936, str. 499-548.

11. Co się tyczy zwolnienia chłopów z pańszczyzny, Podhorecki się myli. Po ugodzie zbaraskiej chłopstwo ukraińskie musiało powrócić do swych panów i odrabiać zniechęconą pańszczyznę. Dokładniej o tym pisze: Dmytro Doroszenko, "Narys istorii Ukrainy", München Wydawnictwo Chwyła, 1966, str. 23, 26.

12. Lészek Podhorecki, "Zarys dziejów Ukrainy", Warszawa 1976, str. 270, 277-278.

13. Tamże, str. 297: "Rzeczpospolita miała składać się z trzech równych członów Korony, Litwy i Ukrainy".

województw kijowskiego, bractawskiego i czernihowskiego stawała się wolnym i niezależnym państwem pod nazwą Wielkiego Księstwa Ruskiego - WKR. Wszystkie trzy narody tworzyły trzy wolne republiki zjednoczone osobą wspólnie wybieranego króla /unia personalna/.

Na czele WKR stał hetman, którego wybierało dożywotnio Zgromadzenie Narodowe, stanowiące najwyższą instytucję prawodawczą. Król tylko zatwierdzał wybór hetmana. WKR miało swój najwyższy trybunał sądowy, własny skarb, monetę i armię: 30 tys. kozaków oraz 10 tys. wojska najemnego /serdiuków/. Językiem urzędowym miał być ukraiński lub, jak wówczas mówiono, "ruski". Na terytorium WKR nie mogło stacjonować ani wojsko polskie, ani litewskie. Tylko na wypadek wojny lub niebezpieczeństwa mogły one wkroczyć na obszar WKR, ale podlegały wówczas jurysdykcji hatmana.

W dalszych artykułach mowa jest o sprawach dotyczących religii i oświaty. Cerkiew prawosławna miała być zrównana w prawach z Kościołem rzymsko-katolickim. W Senacie mieli odtąd prawo zasiadać metropolita i pięciu biskupów /lwowski, łucki, przemyski, chełmski i mściwowski/. Prawa Kościoła unięnego /greckokatolickiego/ będą dość ograniczone /art. 111/.

W artykule czwartym dotyczącym oświaty zezwolono na zakładanie kolegiów, gimnazjów z łaciną lub greką jako językiem wykładowym, w ogóle wszelkich szkół i drukarni, ile ich potrzeba, żeby tylko w książkach nie obrażano majestatu królewskiego. Akademia Kijowska miała otrzymać takie same prawa jak Uniwersytet Jagielloński w Krakowie; miała też zostać założona druga akademia, taka jak kijowska, w mieście które wybiorą jako dogodną dla tego celu król i hetman. Ugoda hadziacka została ratyfikowana i opublikowana w "Volumina Legum" Tom IV /str. 637-645/¹⁴.

Chmielnicki i jego współpracownicy chcieli pozostać w obrębie Rzeczypospolitej, po zdobyciu praw dla Cerkwi prawosławnej i wywalczeniu pewnej formy autonomii. Jak słusznie jednak zauważył L. Podhorecki, "polska magnateria była przeciw porozumieniu", a sama unia hadziacka spóźniła się o lat pięćdziesiąt.¹⁵

Chmielnicki, spostrzegłszy, że Polska nie chce dotrzymywać własnych umów, już od 1650 roku starał się oderwać od niej i szukał obcej pomocy, początkowo w Turcji, a później w Moskwie. Po przyjęciu protektoratu rosyjskiego /ugoda perejasławska z 1654 roku/ Ukraina przeszła z polskiej do rosyjskiej orbity i pomogła Rosji osiągnąć hegemonię w Europie Wschodniej, a Polska nie tylko straciła status mocarstwa, ale jeszcze weszła na pochyłą drogę wewnętrznego rozkładu, który sto lat później doprowadził ją do rozbiorów.

Patrząc z perspektywy historycznej, można powiedzieć, że Polska przegapiła historyczną okazję rozwiązania problemu ukraińsko-polskiego. Miała ona dwie możliwości: 1. zaakceptować fakt dokonany stworzenia państwowości ukraińskiej w ramach unii Polski - Litwy - Ukrainy, albo 2. gdy ład polityczny i społeczny panujący w nowo powstałym państwie ukraińskim nie odpowiadał strukturze Rzeczypospolitej, mogła ona dać możliwość stworzenia niezależnego państwa ukraińskiego w XVII stuleciu. Prawda, że oznaczałoby to dla Polski pewne straty terytorialne kosztem jej ziem ukraińskich na korzyść państwa ukraińskiego. Z jednej strony istnienie państwa ukraińskiego stanowiłoby jednak gwarancję obrony Polski przed Tatarami, Turkami i Rosjanami, z drugiej zaś dobrowolna rezygnacja z województw wschodnich podkopałaby siłę magnaterii i tym samym powstrzymałaby proces wewnętrznego rozkładu oraz umożliwiłaby przeprowadzenie odpowiednich reform.

Polska wybrała jednak przeciwstawną politykę wobec państwowości ukraińskiej. Wspólnie z Moskwą wołała, zgodnie z traktatem andruszowskim /1667 roku/ podzielić Ukrainę wzdłuż Dniepru. Wprawdzie autonomiczna Ukraina istniała jeszcze sto lat, ale nie mogła ona oprzeć się centralizacji dokonywanej przez Moskwę w XVIII stuleciu.

14. Dokładniej patrz: D. Doroszenko, op.cit., Tom II, str. 58-59; W. Lipiński, "Z dziejów Ukrainy", Kraków 1912, str. 594-598.

15. L. Podhorecki, op. cit., str. 299, 300.

Odpowiedzialność za niepowodzenie rozwiązania kwestii ukraińskiej ponoszą obaj kontrahenci. Nie tylko Polacy, ale również Ukraińcy popełniali w swoich pociągnięciach politycznych błędy, które miały dalekosiężne konsekwencje. Jak twierdzi jednak śp. prof. Iwan Łysiak-Rudnycki:

"...stroną głównie odpowiedzialną za dawne niepowodzenia w stosunkach polsko-ukraińskich są Polacy. Silniejsza strona bowiem z reguły zawsze przewodzi, gdy idzie o określanie charakteru stosunków między społeczeństwami, ponosi więc większą odpowiedzialność. Dokumentacja historyczna ukazuje nieomylnie, że Polska począwszy od późnego średniowiecza w ogóle była silniejsza i bardziej rozwinięta niż Ukraina. Jej siła w porównaniu z Ukrainą wynikała nie z jakiejś przyrodzonej niższości Ukraińców czy naturalnej wyższości Polaków, lecz z ważkich czynników geopolitycznych, takich jak bezbronne położenie Ukrainy w granicy stepu, a później jej bliskość względem wznoszącej się w potęgę Moskwy-Rosji. Niestety Polacy wykorzystali swą względną przewagę nad ukraińskimi sąsiadami, przejawiając mało zmysłu politycznego czy dalekowzroczności".

T. MACKIW

/Z ukraińskiego przełożył Józef DARSKI/

16. I. Łysiak-Rudnycki, "Doswid istorii", "Widnowa" nr 3, München 1985, str. 21. Artykuł ten po raz pierwszy ukazał się w zbiorze materiałów konferencji naukowej, poświęconej stosunkom polsko-ukraińskim, która odbyła się w 1977 roku na Uniwersytecie McMaster w Hamilton w Kanadzie, patrz: Ivan L. Rudnytsky, "Polish-Ukrainian Relations: The Burden of History. Poland and Ukraine: Past and Present", ed. Peter J. Potichnyj, Edmonton-Toronto: The Canadian Institute of Ukrainian Studies, 1980, str. 3-31.

"Kultura", wrzesień 1987

Bohdan Osadcuk

SPRAWA TATARÓW KRYMSKICH

Tatarzy, którzy latem tego roku zjawili się na Placu Czerwonym, stanowili żalosny cień dawnej chwały. Przybyli w charakterze posłańców od setek tysięcy sponiewieranych ziomków, upominających się u rosyjskich zwycięzców wyrównania zadanej im, krzywdy. Ulica moskiewska przyjęła ich z nieukrywaną nienawiścią. Tylko nieliczna grupa opozycjonistów, wywodzących się z kręgów wolnomysłnej inteligencji i z szeregów do niedawna przebywających w łagrach dysydentów, poparła publicznie żądania delegatów upośledzonej mniejszości. Władza gorbaczowowska zajęła początkowo niezdecydowane stanowisko i uciekała się do fortelu biurokratyczno-prawniczego. Powołano mianowicie do życia komisję państwowo-partijną pod kierownictwem przewodniczącego Rady Najwyższej, Gromyki, z udziałem kilku członków Politbiura i Sekretariatu Komitetu Centralnego kompartii, jak np. doradcy Gorbaczowa i eksponenta kursu reformistycznego Jakowlewa, szefa rządu Republiki Rosyjskiej Worotnikowa, przywódca komunistów Uzbekistanu, Usmanchodżajewa i pierwszego sekretarza partii na Ukrainie, Szczerbickiego. Nie uznano jednak za stosowne dokooptować do tego składu choćby jednego przedstawiciela Tatarów. Nie powiedziano też niczego na temat kompetencji komisji i czasu trwania jej prac. Natomiast w Taszkientu, gdzie na zesłaniu przebywa największa grupa Tatarów, doszła niepotwierdzona przez centralne władze wiadomość, iż w Uzbekistanie podjęta prace badawcze grupa robocza powołana z ramienia wspomnianej komisji moskiewskiej.

Bryk z historii

Całe to wydarzenie z letniego sezonu politycznego w Moskwie dotyczy losów Tatarów krymskich. Są oni potomkami owych przodków, którzy przed wiekami byli postrachem nie tylko Księstwa Moskiewskiego, ale też Ukrainy, Polski, a przejściowo nawet Europy. Na Półwysyp Krymski przyszli w dobie podbojów w XIII wieku. Wówczas byli jeszcze zintegrowaną częścią Złotej Ordy. Dopiero w okresie upadku tej potęgi w roku 1425 stworzyli własny chanat pod wodzą dynastii Girejów, z własnym muftim jako głową Kościoła muzułmańskiego i nową stolicą w Bachczysaraju. Istniejące z dawnych czasów kolonie Genua i Wenecja nie zostały na razie zlikwidowane, ale miały im płać haracz.

W pięćdziesiąt lat później Krym opanowali Turcy. Skończyła się suwerenność Tatarów, zlikwidowano weneckie i geneueńskie kolonie. Zmieniła się też struktura demograficzna. Po upadku własnego państwa przybyli liczni Ormianie i kupcy żydowscy. Wnet jednak Krym rozbudził apetyty Rosji Carskiej. Wojska rosyjskie weszły na półwysyp najpierw w 1736, a potem po raz drugi w 1771 i jeszcze po raz trzeci - tym razem, jak dotąd, na stałe - w 1783. Carya Katarzyna formułując zasady polityki okupacyjnej raczyła pozostawić arystokrację tatarską i religię muzułmańską w spokoju. Ale mufti i cała hierarchia kleru pochodzą odąd nie, jak dawniej, z wyboru, lecz z nominacji carskiej. Katarzyna wszczęła następnie wielką akcję osadniczą przy pomocy Niemców, Bułgarów, Greków i oczywiście Rosjan oraz ukraińskich kozaków zaporozkich. Zaś Aleksander I, hołdując swej manii grekofilskiej, przystąpił do zmiany nazw: Krym stał się Taurydą, Ak-Meszyt Symferopolem, Kaffę przechrzczono na Teodozję, Gbzelewa na Eupatorię, a Eski-Krym na Leokopol.

Renesans narodowy

Zdawało się, że Krym niebawem utraci swą dawną strukturę ludnościową. Strach przed rusyfikacją wiódł do masowych wyjazdów i ucieczek, głównie do Turcji. Uciekano przed branką do armii carskiej, przed prawosławiem. Pierwszy spis ludności w Rosji, przeprowadzony w roku 1897, wykazał że wśród ogółu ludności Krymu, wynoszącej 525 tysięcy, Tatarzy stanowią 188 tysięcy, czyli 36%. W tej, jak twierdzili petersburscy prekursorzy, dogodnej dla dokonania pełnej asymilacji Tatarów sytuacji nastąpił niespodziewany zwrot. Oto na scenie politycznej tego regionu zjawił się człowiek, który rzucił hasło renesansu narodowego. Człowiekiem tym był Ismaïl-bey Gasprali, urodzony w majątku szlachecka we wsi Gaspra. Pod wpływem idei Rosjan - Herzena, Czernyszewskiego i Pisariewa - a następnie po wyjazdach do Francji i Turcji jako burmistrz Bachczysaraju postanowił zorganizować szkołę "nowej metody" /Usul-u-dżadid/. Naczelnym hasłem nowego działacza, znanego w historii Rosji również pod nazwiskiem Gasparińskiego, było utworzenie w ramach imperium wspólnej dla wszystkich muzułmanów "jedności języka, obrazu myśli i działań". Oprócz szkolnictwa szerzeniu tych idei służyło zorganizowane w 1883 roku czasopismo "Terzuman" /"Tłumacz"/. W ten sposób powstał dżadizm, czyli idea modernizacji świata muzułmańskiego. Krym stał się kolebką nowego kierunku. W 1916 roku na terenie imperium Romanowych było już pięć tysięcy szkół tej formacji, od Krymu po Środkową Azję, na Kaukazie i nad Wołgą.

Na tym pniu wyrósł po rewolucji 1905 bardziej radykalny prąd "Młodych Tatarów" z tygodnikiem "Sługa Ojczyzny" pod kierunkiem znakomitego publicysty Hasana Ajwazowa, który po pierwszej wojnie światowej dołączył do narodowego komunizmu Sułtan-Galijewa i zginął wraz z innymi politykami tego typu w łagrach stalinowskich. Sam Gasprali zaczął w 1906 roku wydawać bardziej radykalne pismo "Millet" /"Naród"/, a jego utopijno-futurologiczna powieść pt. "Muzułmańska ziemia szczęścia", wydana po raz pierwszy w stolicy Krymu Bachczysaraju w 1981 roku, została przetłumaczona na różne języki i stała się czymś w rodzaju politycznej biblii dla uciśnię-

tych ludów Wschodu. Ismail-bey Gasprali zmarł w 1914 roku. Jego zwolennicy próbowali dojść do porozumienia z rosyjskimi demokratami. Bez skutku.

Od niepodległości do deportacji

Udział w pracach parlamentarnych Rosyjskiej Dumy, gdzie Tatarzy współpracowali z Ukraińcami w ramach sojuszu autonomistów, był szkołą polityczną dla przyszłych działaczy niepodległościowych, zaś tajna organizacja młodzieży uniwersyteckiej "Vatan" /"Ojczyzna"/, podobna do polskiej POW, stała się kuźnią rewolucji. Wykazały to wydarzenia po upadku caratu. Najpierw 7 kwietnia 1917 roku zebrał się pod kierownictwem Muftiego Czelebi-Czelebijewa w Symferopolu Mahometański Komitet Wykonawczy. Z niego wyłonił się Kurułtaj czyli konstytuanta, przemianowana potem na Parlament Rewolucyjny. 24 listopada 1917 roku Kurułtaj proklamował niepodległość Krymu. Nad pałacem chanów w Bachczysaraju rozwinęto błękitny sztandar ze złotym pasem – symbol Republiki Tatarskiej. Rozpoczęły się rokowania z niepodległą Ukrainą, w rezultacie których doszło do partnerstwa i współpracy. Ale już po niedługim czasie nastąpiła inwazja bolszewicka. Oddziały marynarzy rosyjskich zaatakowały Bachczysaraj. Słaba jazda tatarska, dowodzona przez młodego premiera republiki Dżafera Seydameta, została rozbita pod Jaltą. Nie pomogło przyjęcie do kierownictwa rządu Aleksandra Sulkiewicza, polskiego Tataru i wybitnego rewolucjonisty, przyjaciela Piłsudskiego.

Przejęciowo Krym znalazł się pod okupacją "białych Rosjan" generała Wrangla, który nie uznał niezawisłości tatarskiej, tak samo jak Denikin. Potem nadeszły oddziały bolszewickie i 18 października 1921 roku proklamowały Autonomiczną Republikę Krymską jako część Rosyjskiej Republiki Federacyjnej. Na próżno Dżafer Seydamet rozwinął dyplomatyczną akcję protestacyjną w Turcji, Francji i w Polsce. Warszawa zostaje na długie lata ważnym ośrodkiem politycznej emigracji Tatarów krymskich. Jednak główne masy emigracji znajdują się w Rumunii i Turcji. Walkę o przywrócenie niepodległości komplikuje nie tylko niemoc Ligi Narodów, ale jeszcze bardziej ówczesna polityka bolszewików, wygrywająca zręcznie atut "tatoryzacji" życia kulturalnego i naukowego Krymu. Istotnie w latach 1923–1927 dziedziny te bujnie się rozwijały, tak jak i w innych republikach nierosyjskich.

Jednak w styczniu 1928 roku został aresztowany pierwszy sekretarz komunistów krymskich Weli Ibrahimow, a w ślad za nim cała grupa z dawnej organizacji patriotycznej "Milli-Firka", która w 1920 roku przeszła na pozycję narodowego komunizmu. Zaczęło się systematyczne prześladowanie inteligencji tatarskiej. Stalin nakazał rusyfikację Krymu. Pierwszym etapem było przymusowe przyjęcie cyrylicy w pisowni /przedtem, w latach 20-tych zarzucono alfabet arabski i przyjęto łaćniński/. Industrializacja i towarzyszące jej osiedlanie ludności pozamięjscowej zmieniły radykalnie strukturę demograficzną na niekorzyść Tatarów. Liczba ich spadła do 25 % ogółu ludności. Prym wiedli odtąd Rosjanie, na drugim miejscu znaleźli się Ukraińcy, a w dalszej kolejności Niemcy, Żydzi, Grecy, Bułgarzy i Ormianie. W takiej postaci zastała Krym druga wojna światowa i ofensywa niemiecka. Wojska niemieckie zdobyły półwysep w listopadzie 1941 roku i pozostawały tam do kwietnia 1944 roku. Tatarzy powitali zdobywców z wielkimi nadziejami na odbudowanie niezawisłości państwowej. Nie wiedzieli, że Krym w pierwszym rzędzie był przewidziany dla kolonizacji niemieckiej. Szybkie otrzeźwienie sprawiło, że tylko nieliczne grupy kolaborowały z Niemcami. Ale dwu- i półletnia okupacja doprowadziła do dużych zmian w strukturze ludnościowej. Niemcy wyniszczyli Żydów, swoich rodaków przewieźli do Reichu, a Greków wysłali do Grecji.

Na wiosnę 1944 roku Stalin postanowił zlikwidować kwestię tatarską. Oskarżył całą ludność o współpracę z Hitlerem i polecił wywieźć wszystkich – bez względu na partyjną przynależność i dawne zasługi – za Ural, do Azji Środkowej i Krasnodarskiego Kraju pomiędzy Ukrainą i Kaukazem, stosując system geograficzno-terytorialnej rozsyпки. Wywózka w bydłych wagonach, bez opieki lekarskiej, wody i prowiantu zdziesiątkowała deportowanych. W ówczesnej sytuacji, kiedy cały Zachód zachwycał

się Stalinem i jego polityką, nie znalazł się w "wolnym świecie" nikt, kto by napiętnował nowe zbrodnie, idące śladem niedawnych okropności hitlerowskich. Dla zesłańców nastał straszny czas głodu i poniewierki. Zaprowadzono reżym stanu wyjątkowego ze wszystkimi konsekwencjami, które z tego wynikały, a więc ograniczenie praw obywatelskich i zawodowych, obowiązek meldowania się na posterunkach milicji, zakaz zebrań, religii i szkolnictwa. Zaś na posiedzeniu Prezydium Rady Najwyższej Federacji Rosyjskiej sekretarz Bachmurów publicznie uzasadnił przesładowania udziałem wojskowych formacji tatarskich w walce przeciwko Armii Czerwonej, organizowaniem rzeźmowych akcji sabotażowych na zapleczu wojsk sowieckich i biernym stosunkiem więźności społeczeństwa tatarskiego wobec "zdrajców".

Po śmierci Stalina

Dopiero po śmierci Stalina przypomniano sobie o niedoli Tatarów. Uczynił to Nikita Chruszczow na XX Zjeździe KPZS w lutym 1956 roku, mówiąc w słynnym tajnym referacie, że Stalin zastosował masowy terror z rozmysłem i pragnął nawet wysiedlić Ukraińców, ale było ich zbyt dużo i brakowało odpowiednich terenów do deportacji w takich rozmiarach. Rada Najwyższa uchwaliła 11 lutego 1957 roku cofnięcie ukazów o deportacji narodów kaukaskich i Kałmuków, ale nie wspomniała o Tatarach. Czekali oni na to aż do ukazu z 5 września 1967 roku. Ale zakaz repatriacji do kraju ojczystego pozostał nadal w mocy, i to jest kością niezgody pomiędzy deportowanymi a reżymem w Moskwie.

Krym, po zesłaniu ludności tatarskiej i po rozwiązaniu Autonomicznej Republiki, dekretem z 30 czerwca 1945 roku przyłączono do Rosji jako enklawę na wzór regionu Królewca w dawnych Prusach Wschodnich, ohrzczonego obwodem kaliningradzkim. Krym miał być rygłem rosyjskim przeciwko Ukrainie i Rumunii. Po śmierci Stalina doszło do zmiany w układzie prawnym. Ukazem z 19 lutego 1954 roku Półwysep Krymski przydzielono Ukrainie. W międzyczasie mozaika ludnościowa uległa ogromnym zmianom. Tatarów doliczono się w ostatnim spisie z 1970 roku aż 6 tysięcy! Rosjan jest tam obecnie ponad milion, Ukraińców prawie pół miliona, Żydów 25 tysięcy, a Polaków tyleż co Tatarów. Zniknęli Grecy, Bułgarzy, Ormianie. Jest natomiast jeszcze mała garstka karaimów. Wszystkich razem milion osiemset tysięcy. Cały półwysep ma powierzchnię liczącą trochę więcej niż 25 tysięcy kilometrów kwadratowych. Gęstość zaludnienia nie jest zbyt wielka, ale ludności przybywa, szczególnie na południowym wybrzeżu – atrakcyjnej sowieckiej Riwierze.

Tatarzy krymscy są rozrzućeni pomiędzy pięćmioma republikami Środkowej Azji i na licznych polaciach Republiki Rosyjskiej, głównie za Uralem, w Krasnojarskim Kraju i w kemerowskim obwodzie jak też we wspomnianym już Krasnodarskim Kraju. Niesłychana witalność i rozrodczość w wielkich rodzinach, gdzie ośmioro dzieci to reguła, a bywa i jedenaścioro, a nawet czternaścioro, sprawiły, że liczba Tatarów w porównaniu ze stanem podczas wywózki wzrosła czterokrotnie. Największe ich skupisko to Uzbekistan. Tam jest ich obecnie, według spisu ludności, 573 tysiące, ale są to dane z 1970 roku. Obecnie liczba ta na pewno przekroczyła sześćset tysięcy. Następne co do wielkości skupisko Tatarów to Kazachstan, gdzie oficjalnie jest ich 287 tysięcy, a przypuszczalnie już ponad 300 tysięcy, dalej Tadżykistan – 70 tysięcy, Kirgistan – 69 tysięcy. W samej Rosji Tatarów krymskich rozsianych w rozległej diasporze jest chyba ponad sto tysięcy. Większość to synowie, wnukowie i prawnukowie wysiedleńców z 1944 roku. Nikt nie wie, ilu z nich chce naprawdę wrócić do kraju ojców i dziadków. Reszat Dżemilew, jeden z głównych działaczy ruchu rewindykacyjnego, twierdzi, że według jego ocen gotowość do wyjazdu na Krym wykazuje około pół miliona ludzi.

Ale czy Moskwa się na to zgodzi? Ukraińscy dysydenci, jak np. niedawno zmarły na obczyźnie generał Piotr Hryhorenko oraz Czernowii i Karawański opowiadali się za zadośćuczynieniem krzywdy wyrządzonej Tataom. Hryhorenko był głównym orędownikiem ich sprawy. Namawiał ich do publicznych manifestacji, sam piętnował

zbrodnie Stalina jako faszystowskie, za co go zamknęli do więzienia i do specjalnej kliniki psychiatrycznej. Jeździł do Taszkientu i brał udział w wiecach protestacyjnych. To za jego sprawą przybyła do Moskwy w maju 1968 roku pierwsza delegacja z dalekiego Uzbekistanu. Wówczas Breżniew kazał Tatarów rozpedzić, a przywódców aresztować. Od tego czasu trwa nierówna walka o przywrócenie praw sponiewieranemu narodowi. Kreml zdaje się grać na zwłokę. Nie chce w żaden sposób stworzyć precedensu, który mógłby wywołać lawinę podobnych żądań rewindykacyjnych. Natomiast przedstawiciele opozycji: wdowa po Anatolu Marczenko, Łarysa Bogoraz, Aleksander Podrabinek, Aleksander Daniel, Aleksy Smirnow z Moskwy, Janis i Kunta Rożkajns z Rygi, Ołeś Szewczenko z Kijowa w pełni popierają rewindykacyjny program Tatarów krymskich.

Bohdan OSADCZUK

Berlin, 8 sierpnia 1987 r.

"Kultura", wrzesień 1987

Adam Krucz ✕

W SOWIECKIEJ PRASIE

Sowiecka chronologia jest "rzeczą samą w sobie". Zdarzenia historyczne pojawiają się w oficjalnej historii i znikają z niej, wynurzają się znowu w zmienionej wersji i ponownie rozplywają jak łąta morgana. Władza sowiecka obchodzi w bieżącym roku siedemdziesięciolecie. W przeddzień jubileuszu tylko dwie daty nie budzą wątpliwości: 25 października 1917, dzień, w którym partia bolszewików pod przewodnictwem Lenina przejęła władzę w Rosji, oraz kwietniowe /1985/ plenum KC PZPR, na którym Michaił Gorbaczow wyłożył na miesiąc przed objęciem stanowiska generalnego sekretarza partii główne rysy swego programu. Nieprzypadkowo /przypadek jest zawsze świadomością konieczności!/ Gorbaczow wybrał kwiecień. W kwietniu 1917 roku Lenin przyjechał do Rosji i ogłosił "tezy kwietniowe" – zapowiedź rewolucji socjalistycznej. Po nowych "tezach kwietniowych" Gorbaczowa czas odmierzają kolejne plena. Na każdym z nich, a także na XXVII Zjeździe, Gorbaczow rozszerza, uściśla i tłumaczy projekt nowej rewolucji. W obecnym roku odbyły się już dwa plena, styczniowe i czerwcowe. Styczniowe poświęcono polityce kadrowej partii, a czerwcowe gospodarce. Referat Gorbaczowa, zatytułowany "O zadaniach partii w dziedzinie fundamentalnej przebudowy zarządzania gospodarką", zarysował kontury reformy gospodarczej, na której ma się oprzeć rewolucja Gorbaczowa.

Lekturę niekończącego się – 110 stron! – referatu Gorbaczowa należy poprzedzić artykułem ekonomisty Nikołaja Szmiełewa pt. "Zaliczki i długi", opublikowanym w czerwcowym numerze "Nowego mira" /1987/. Jest to najostrzejsza i najbardziej konsekwentna krytyka sowieckiego modelu ekonomicznego, jaka pojawiła się w prasie sowieckiej. Zwrócono na nią uwagę także dlatego, że Gorbaczow powoływał się na nią w swym referacie. Na pytanie, co myśli o teście Szmiełewa, generalny sekretarz odpowiedział: "Podzieliłbym go na dwie części. Pierwsza dotyczy analizy sytuacji w gospodarce i tu obraz bliski jest rzeczywistości. Powiemy to jasno na plenum. Druga zawiera propozycje autora. Dopuszcza on np. możliwość bezrobocia. Nie, to nam nie odpowiada".

Spójrzmy najpierw na pierwszą część artykułu Szmiełewa. Za przyczynę wszystkich trudności uważa on "wieloletnie próby przełamania obiektywnych praw ekonomicznych", w wyniku których "powstała gospodarka nie poddająca się niemal planowaniu", którą jednak usiłuje się planować. Centralne planowanie obejmuje – pisze Szmielew – prawie dwadzieścia cztery miliony produktów. "Pora nazwać głupotę głupotą, niekompetencję niekompetencją, a królujący wciąż stalinizm stalinizmem" – pod-

sumowuje Szmielew.

W rezultacie gospodarka sowiecka "odrzuca postęp naukowo-techniczny" i produkuje rzeczy zbędne, kiedy brak niezbędnych. Szmielew sporządza listę, która uchodziłaby za "ekstremistyczną", gdyby wyszła spod pióra przeciwnika władzy sowieckiej: "Produkujemy niemal dwa razy tyle metalu co Stany Zjednoczone... a potrzebny nam jest inny metal innej jakości; nie potrzebujemy więcej energii, nie potrzebujemy więcej wody... przerażające straty wody, marnotrawionej w istniejących już sieciach irygacyjnych... sięgają 75 %; niepotrzebny nam import zboża... który równa się praktycznie corocznym stratom naszych własnych zbiorów; nie potrzeba nam więcej traktorów... produkujemy ich i tak sześć do siedmiu razy więcej niż Stany Zjednoczone; natomiast istniejący park traktorów powinien działać...; nie potrzeba nam więcej obrabiarek, i tak mamy ich dwa i pół raza więcej niż Stany Zjednoczone, natomiast potrzeba nam obrabiarek innego typu, które pracowałyby nie na olejną, a chociażby na dwie zmiany, nie mówiąc już o trzech; nie potrzeba nam też więcej butów: i tak produkujemy ich więcej niż ktokolwiek na świecie, a kupić w sklepie nie ma co". Optymistycznie oceniając - pisze Szmielew - 17 %-18 % sowieckiej produkcji odpowiada światowym standardom; pesymistycznie - 7 %-8 %

Cóż więc robić? Nikołaj Szmielew proponuje "przebudowę". Niektóre punkty jego programu można zrealizować od razu. Proponuje on np. skierowanie do obrotu zapasów, które przedsiębiorstwa chowają na wypadek przerw w dostawach; zdaniem Szmielewa w zapasach tych zamrożonych jest 450 miliardów rubli. Gorbaczow zgadza się z tą propozycją, choć wartość zapasów ocenia na nie więcej niż 300 miliardów rubli. Wśród propozycji Szmielewa widnieje i ta, którą Gorbaczow odrzucił jako absolutnie nie do przyjęcia: "Powinniśmy bez strachu i rzeczowo rozważyć, co może nam dać stosunkowo nieduża rezerwa armia pracy...". Zdaniem Szmielewa "realne ryzyko utraty pracy, przejście na chwilowe bezrobocie lub konieczność pracy tam, dokąd poślą byłoby całkiem dobrym lekarstwem na lenistwo i nieodpowiedzialność".

Szmielew traktuje "rezerwową armię pracy" przede wszystkim jako lekarstwo dla "mas pracujących, które osiągnęły niemal całkowitą obojętność wobec wydajnej, sumiennej pracy". Są i inne zdania. Dziennikarz Fiodor Burlackij, wierna tuba Gorbaczowa, pisze w "Prawdzie" z 18 lipca br., że dyrektorzy przedsiębiorstw sowieckich gotowi są obciążyć liczbę pracowników o jedną czwartą, a nawet o jedną trzecią. W skali całego kraju dałoby to kilkadziesiąt milionów ludzi. "Co z nimi zrobić?" - pyta Burlackij i odpowiada - "prawo do pracy jest główną zdobyczą socjalizmu".

Gorbaczow uwzględnił w swym referacie dwie propozycje Szmielewa: reformę cen i reformę rynku. Szmielew rozumuje jak ekonomista i wywód jego jest logiczny. Zaleca przede wszystkim "znaczące podwyższenie cen artykułów przemysłowych i usług komunalnych", ponieważ dotowanie zbyt niskich cen podstawowych towarów przemysłowych pochłania ponad 50 miliardów rubli. Należy więc, zdaniem Szmielewa, podwyższyć ceny sowieckie i dostosować je do poziomu światowego. Wreszcie należy "ustalić realny i jednolity kurs rubla i przekształcić go w walutę wymienną, jak dolar czy funt".

Reforma cen i rubla konieczna jest, zdaniem Szmielewa, z dwóch powodów, o których inni ekonomiści wspominają zaledwie półgębkiem, a Gorbaczow wcale. Zdaniem Szmielewa należy zażądać od krajów RWPG zwrotu "znacznego długu", a następnie stworzyć "wspólny rynek" krajów RWPG. Proponuje też rewizję "całej naszej polityki pomocy ekonomicznej dla krajów socjalistycznych i rozwijających się. I w tym przypadku chodzi o miliardy".

W sumie Szmielew proponuje powrót do NEP-u i uważa, że "odejście od leninowskiej nowej polityki ekonomicznej niesłychanie zaszkodziło budownictwu socjalistycznemu w ZSSR". Zdaniem Szmielewa odejście od NEP-u, kolektywizacja i wszystko, co po niej nastąpiło doprowadziło do powstania monstrualnego aparatu biurokratycznego, który zdławił budownictwo socjalistyczne. Równocześnie autor "Zaliczek i długów" cytuje /po raz pierwszy od sześćdziesięciu pięciu lat/ słynne słowa Lenina: "Wszystko u nas utonęło w parszywym biurokratycznym błocie resortów". Kon-

sekwentna walka z tym wymaga dużego autorytetu, rozumu i silnej ręki. Resorty to gówno; dekrety - też gówno". Lenin napisał te przenikliwe słowa w 1922 roku, pięć lat po rewolucji, o systemie, którym osobiście kierował.

Szmielewowi pozwolono na zacytowanie tych rzadko wspominanych słów /świetnie wykorzystał je Andriej Płatonow w opowiadaniu "Usonniwsziszja Makar", wzbudzając tym gniew Stalina/, ponieważ nikt dziś nie może mieć wątpliwości, o kim myślał Lenin, mówiąc o "dużym autorytecie, rozumie i silnej ręce".

Referat Gorbaczowa o gospodarce był referatem politycznym. Lektura tego referatu na plenum była najoczywistszym dowodem, że racjonalna gospodarka nie da się pogodzić z sowieckim systemem. Przemówienie trwało sześć godzin. Na sali siedzą przywódcy Związku Sowieckiego, śmietanka umysłowa kraju, ludzie mający w małym palcu wszelkie osiągnięcia najnowszej techniki, a generalny sekretarz czyta im jak dzieciom przez sześć godzin bajkę o reformach. Rytuał się nie zmienia: generalny sekretarz przemówi, a słowo ciałem się stanie.

Porównując referat Gorbaczowa z artykułem Szmielewa, dochodzimy do wniosku, że z czysto ekonomicznego punktu widzenia dałoby się nieco poprawić obecną kryzysową sytuację w gospodarce sowieckiej, wymagałoby to jednak rezygnacji z ambicji światowych i zrekształenia ZSSR w trzeciorzędne państwo. Wówczas można by zmienić strukturę zarządzania i zaufać ekonomistom. Szmielew proponuje dostosowanie ambicji politycznych do możliwości ekonomicznych. Gorbaczów żąda dostosowania możliwości ekonomicznych do ambicji politycznych.

Główną ambicją polityczną generalnego sekretarza jest umocnienie władzy partii, czyli własnej. Na czym ma polegać "fundamentalna przebudowa zarządzania gospodarką", o której mówi Gorbaczow /pamiętajmy, że idzie nie o przebudowę gospodarki, tylko modelu zarządzania/? Na ograniczeniu władzy centralnego organu planowania, Gosplanu. Kiedy w 1920 roku związki zawodowe zaczęły pretendować do udziału w zarządzaniu gospodarką, chcąc konkurować z partią, Trocki uznał, że trzeba "przetrzeć" związki zawodowe. Gorbaczow "przetrzepuje" Gosplan, który w latach berlińskiego "zastoju" zdobył za dużą władzę kosztem partii. W latach chińskiej rewolucji kulturalnej Mao kazał siekać ogniem "sztaby" rewizjonistów, mając na myśli swoich przeciwników w KC i w Biurze Politycznym. Gorbaczow kieruje ogień w Gosplan, sztab główny aparatu zarządzania, liczącego 18 milionów urzędników. "Rewolucja gospodarcza" Gorbaczowa polega - na papierze - na tym, że "głównym ogniem planowania i zarządzania staje się przedsiębiorstwo i zjednoczenie". Gosplan można rozpedzić. Fiodor Burłackij sugeruje dwukrotne, a może i trzykrotne zmniejszenie aparatu zarządzania. Przy tym wszystkim plan zostaje podstawą życia w ZSSR. Występując przed kierownictwem środków masowej informacji Gorbaczow jednocześnie powiedział /"Prawda" z 15 lipca br./: "Ten i ów proponował też rzeczy, które wykraczają poza ramy naszego systemu, np. rezygnację z gospodarki planowej. Nie zgodziliśmy się na to i nie zgodzimy nigdy, ponieważ zamierzamy socjalizm umocnić, a nie zastąpić innym ustrojem".

Odrzucono też koncepcję "wolnego rynku", co oczywiście nie pozwoli na radykalną reformę cen. Jest oczywiste, że przy katastrofalnie niskiej wydajności pracy w ZSSR w razie wolnego rynku wypadałoby zrezygnować np. z produkcji broni, która byłaby za droga nawet dla armii czerwonej.

Projekt reformy został zatwierdzony. Pozostaje czekać na rezultaty. Konkretnie, już zastosowane środki pozwalają przewidzieć, w jakim kierunku pójdzie reforma. Przede wszystkim zmieniono skład najwyższego organu partii. Na czerwcowym plenum wprowadzono do Biura trzech nowych członków - Aleksandra Jakowlewa, Nikołaja Słufkowa i Wiktora Nikonowa. Wszyscy trzej są zarazem członkami KC. W efekcie "pokój nr 1", do którego wstęp mają tylko członkowie Biura Politycznego będący zarazem członkami KC, składa się dziś z sześciu osób. Ta szóstka stanowi najwyższą władzę ZSSR: generalny sekretarz Gorbaczow, dwaj sekretarze ideologiczni, Ligaczow i Jakowlew, i trzej sekretarze ekonomiczni - Słufkow, Nikonow i Zajkow. "Trójka ekonomiczna" będzie trzymać w swych rękach całą gospodarkę ZSSR, kon-

trolować Gosplan, rząd i aparat biurokratyczny.

Ustawa o reformie ekonomicznej została uchwalona w czerwcu, ale zmiany przeprowadzane są już od ponad roku. Wszystkie pochodzą z arsenału Stalina. Oślepiony "liberalizacją" w dziedzinie sztuk pięknych, świat nie dostrzega przykręcenia śruby w gospodarce. Do stalinowskich metod należą: przemijanie produkcji przez państwo, wyraz całkowitego braku zaufania do przedsiębiorstw /zupełnie zresztą uzasadnionego/; wprowadzenie w głównych przedsiębiorstwach /np. w elektrowniach atomowych/ stanowiska referenta KC – oczu i uszu Moskwy – nie podlegającego nikomu poza KC; ograniczenie swobody zmiany miejsca pracy /wolno tylko raz do roku, za pośrednictwem urzędu zatrudnienia i za zezwoleniem milicji/; przejście przedsiębiorstw na system rozrachunku ekonomicznego /samofinansowania/ dokonuje się w sposób nakazowy, bez względu na to, czy są do tego przygotowane.

Na zakończenie sześciogodzinnego referatu Gorbaczow oświadczył: "... Naszym głównym zadaniem – od KC do Podstawowej Organizacji Partyjnej – jest zabezpieczenie normalnego funkcjonowania gospodarki narodowej". "Naszym zadaniem" znaczy zadaniem partii.

Trzy tygodnie po wspomnianym referacie Gorbaczow przemówił do kierowniwa środków masowego przekazu i związków twórczych: naczelni redaktorzy gazet i czasopism, kierownictwo Związku Pisarzy Sowieckich, Związku Filmowców, agencji prasowych szerzą słowo Gorbaczowa, kształtują opinię publiczną w kraju i za granicą. Jest to ulubione audytoryum Gorbaczowa. Amerykański dziennikarz Strob Talbott napisał w "Time" poświęconym "rewolucji Gorbaczowa" /27 lipca br./, że "reklamowy sukces" Gorbaczowa jest niebywały i przerósł nawet "wielkiego mistrza komunikacji" Reagana.

Gorbaczow – przyznajmy mu sprawiedliwość – docenia swoje sukcesy i pomoc współczesników: "Wysoko cenimy wkład, który wnoszą w przebudowę nasze środki masowego przekazu" /"Prawda" z 15 lipca br./.

Generalny sekretarz zebrał "środki masowego przekazu", żeby przekazać im kilka dyrektyw. Zaczyna się bowiem nowy etap. "Główne kwestie strategiczne zostały rozwiązane – oświadczył. – Nadszedł czas pracy konstruktywnej". To pozornie niewinne słówko ma w ZSSR bogatą historię. Towarzysz Stalin w swoim czasie mądrze zauważył, że "potrzebna nam jest konstruktywna krytyka". Zupełnie niedawno Jegor Ligaczow odwiedził redakcję "Sowieckiej kultury" i też mądrze stwierdził, że "potrzebna nam jest konstruktywna głośność". Fiodor Burlackij, czołowy sowiecki politolog, uważa, że kwestia nie wymaga nawet wyjaśnienia: "Czyż trzeba przypominać, że niekonstruktywna krytyka jest najprymitywniejszym wyrazem świadomości społecznej?".

Co ma na myśli Gorbaczow, mówiąc o przejściu na nowy, wyższy etap "konstruktywnej pracy"? Przede wszystkim sygnalizuje, że z powodzeniem zakończono poprzedni, na którym rozwiązywano "strategiczne kwestie". "Nie myślę – cieszy się Gorbaczow – by ktokolwiek miał dziś zgodzić się z myślą, że można się obejść bez partii". "Bez partii, zdolnej stworzyć naukowe podstawy i zaproponować odpowiednią politykę", przebudowa jest niemożliwa. "Społeczeństwo socjalistyczne potrzebuje aktywnej, silnej partii, a sama partia potrzebuje bujnego, pełnego życia". Wreszcie: "partia znów dowiodła, że spełnia swą misję kierowniczej siły w społeczeństwie. To ona jest prawdziwym organizatorem społeczeństwa i jego awangardą polityczną".

Wydawałoby się, że to nic nowego. Zapisane to jest czarno na białym w konstytucji ZSSR, zatwierdzonej w dobrych latach rządów towarzysza Breżniewa /1977/. Podkreślając rolę partii i jej niezbędność, Gorbaczow chce powiedzieć, że w ostatnich latach rządów Breżniewa jej rola osłabła, aż nastał on i przywrócił partii należne jej miejsce. To pierwsza myśl, jaką chciał – co podkreśla – przypomnieć w referacie na czerwcowym plenum. Ta właśnie myśl ma stać się nicią i gwiazdą przewodnią sowieckiej propagandy i środków masowego przekazu: pod przewodem Gorbaczowa partia, jak w 1917 roku, znów obejmuje władzę!

Referat zawierał też drugą myśl /a może nawet i trzecią, ale Gorbaczow twierdzi,

że dwie/ naród sowiecki zauważył, że "istnieją sprzeczności między słowami a czynami". Gorbaczow przyznaje, że póki co życie sowieckich obywateli się nie zmieniło, że - na razie; podkreśla - dostali tylko słowa. W związku z tym druga myśl: zabrać się poważnie za "pierwszoplanowe, pilne zadania": funkcjonowanie handlu, porządek na ulicach, budownictwo mieszkaniowe, zaopatrzenie. Od siedemdziesięciu lat ludzie męczą się z braku mieszkań, zaopatrzenia, transportu, sklepów... Pora wreszcie rzucić im jakiś ochłap.

Srodki masowego przekazu niczego nie mogą zrobić /nie mogą np. zbudować mieszkań ani dać ludziom chleba czy mięsa/; skoro jednak nie można zmienić rzeczywistości, można zmienić jej obraz. To ma na myśli generalny sekretarz, mówiąc o przejściu na etap "konstruktywnej pracy": "Jest bardzo ważne, abyśmy dostrzegali wszystko, co rozwija się pozytywnie". To nie znaczy - zapewnia Gorbaczow - że dość już krytyki. Ale "jawność nie znaczy, że wszystko wolno. Jawność to krytyka niedostatków, ale nie podkop pod socjalizm..." Występujący po Gorbaczowie kierownicy sowieckich mass mediów w pełni się zgodzili, że pora postawić tamę jawności. Naczelny redaktor "Drużby narodow" Barzudin skarżył się, że "w przeszłości szukamy tylko elementów negatywnych". Jakiś anonimowy głos dorzucił: "Ten i ów rozumie jawność jako pokaz negatywnych zjawisk". Na to Gorbaczow odpowiada krótko i przekonująco: "To nieśluszne". Naczelny redaktor "Izwestii" ostrzega: "Wydaje mi się, że wszystkich nas już trochę zmęczyla jawność i mówienie wprost". Gorbaczow oświadcza: "Biuro Polityczne jest przekonane, że jawność jest normalnym stanem społeczeństwa... Ale jawność to nie tylko krytyka. To także wszystko, co się dokonuje konstruktywnego, to afirmacja nowego, wszystkiego, czegośmy dokonali".

Nie ograniczając się do teorii, Gorbaczow radzi konkretnie, sugeruje "czasopismom i gazetom, a nawet literaturze pięknej główny temat": oto mamy dwa sąsiadujące z sobą rejony, dwa przedsiębiorstwa, dwa obwody, dwie republiki - trzeba pokazać, jak "w jednej podejście prowadzi wwyż, .. a w drugiej obeszładnia kolektywy i jednostki". W najbliższym czasie należy się spodziewać fali artykułów, esejów, opowiadań i powieści na zadany przez generalnego sekretarza temat.

W poprzednim przeglądzie pisałem, że pod koniec maja br. grupa niedawno zwolnionych więźniów politycznych ogłosiła, że zamierza wydawać niezależny biuletyn informacyjny "Głasnost". Stwierdziłem, że po raz pierwszy "jawność zdaje egzamin". Dnia 3 lipca br. na konferencji prasowej zarezerwowanej dla dziennikarzy zagranicznych wydawcy "Głasnosti" pokazali pierwszy numer biuletynu. Pisany jest na maszynie i liczy 48 stron. Nakład ok. 50 egzemplarzy. Numer zawiera oświadczenie redakcji, że konieczna jest prasa niezależna, opis sytuacji w czystopolskim więzieniu, kronikę kulturalną i inne materiały. Najciekawszy jest moim zdaniem dział "Kluby dyskusyjne, seminaria, odczyty". Informuje on o dyskusjach, jakie toczą się w Moskwie w kręgach inteligenckich na aktualne tematy. Na przykład w klubie "Badania pokojowe i społeczne" rozważano 21 marca 1987, czy możliwe są prawdziwe zmiany w gospodarce sowieckiej. Wypowiadano różne zdania, wszyscy jednak zgodzili się, że "za dwa-trzy lata kierownictwo zrozumie, że chcąc zrealizować potencjalne możliwości przeprowadzanych obecnie reform trzeba koniecznie pójść dalej w demokratyzacji społeczeństwa".

13 lipca br., dziesięć dni po ukazaniu się pierwszego numeru "Głasnosti", redaktor pisma Siergiej Grigorijan otrzymał oficjalną odpowiedź na prośbę o legalizację pisma. Wiceprzewodniczący Komitetu Prasowego oznajmił mu, że pismo nie zostanie zarejestrowane, ponieważ zgody na publikację udziela tylko wydawnictwom państwowym i społecznym, a po drugie w Związku Sowieckim i tak ukazują się tysiące gazet i czasopism. "Głasnosti" jednak nie-konfiskowano. Pismo nie jest ani dozwolone, ani zakazane. Jest to sytuacja charakterystyczna dla aktualnego etapu gorbaczowowskiej jawności. Pismo można w każdej chwili zdelegalizować, a wydawców aresztować. Są poza prawem.

W Paryżu wystąpił niedawno na konferencji prasowej Jurij Fiodorow, przedostatni zwolniony członek grupy, która w 1970 roku usiłowała porwać samolot. Skazany na

piętnaście lat, Jurij Fiodorow odsiedział cały wyrok i dopiero w 1987 udało mu się wsiąść do samolotu i odlecieć na Zachód. Po wyjściu z więzienia żył w Aleksandrowie, około stu kilometrów od Moskwy. "Pytałem ponad tysiąc ludzi – opowiadał Fiodorow – jaki jest ich stosunek do reform Gorbaczowa. Mniej więcej 30 % odnosi się do tej kampanii zdecydowanie wrogo, około 50 % nie wierzy, by przebudowa i jawność mogły cokolwiek zmienić na lepsze, a ok. 20 % w ogóle nie rozumie sensu tych pojęć i nie interesuje się nimi".

Puszkin kończy "Borysa Godunowa" słowami bojara Mosalskiego do narodu: "No i czemuż milczycie? Krzyczcie: niech żyje car Dymitr Iwanowicz!", po czym dodaje w didaskaliach: "Naród milczy".

Dziś nowi bojarzy wzywają: "Krzyczcie – niech żyje generał sekretarz Michaił Siergiejewicz!". A naród milczy, bo nie widzi – na razie – różnicy między Michaiłem Siergiejewiczem a Leonidem Iljczem...

Adam KRUCZEK

26 lipca 1987

"Kultura", listopad 1987

Adam Kruczek

W SOWIECKIEJ PRASIE

Dnia 9 sierpnia wszyscy go widzieli: telewizja nadała reportaż z niezwykle przyjacielskiego spotkania w murach Kremla między generalnym sekretarzem Michaiłem Gorbaczowem a delegacją amerykańskich nauczycieli języka rosyjskiego. Rozmowa była przyjemna. Podenerwowani nauczyciele wyrażali radość z zaszczytu, jakiego dostąpili, i opowiadali o trudnościach nauczania rosyjskiego w USA. Generalny sekretarz przypomniał, że losy świata spoczywają w rękach "naszych dwóch mocarstw", że "w dziedzinie materialnej" Związek Sowiecki znajduje się jeszcze "na innym poziomie", ale jak wiadomo nie samym chlebem człowiek żyje, na domiar u nas panuje jawność, pieriestrojka i wszystko idzie ku lepszemu. Generalny sekretarz uśmiechał się, żartował, dodawał otuchy onieśmielonym Amerykanom... Po czym zniknął. Wkrótce zaczęły szerzyć się pogłoski. Niewykluczone, że niedługo przeczytamy sensacyjną powieść pt. "Tajemnica zaginionego genseka". Różnie mówiono. Zachodniemiecka gazeta "Bild", znana nie tylko z ogromnego nakładu, ale i z dobrych źródeł informacji w Moskwie, oznajmiła, że Gorbaczow cierpi na zatrucie pokarmowe. Między wierszami należało czytać: może zatrucie było naumyślne? Inni twierdzili, że zachorował nie gensek, a Raissa Maksimowna, zaś kochający jąż nie odchodził od węzłowa cierpiącej małżonki. Zaczęto nawet przebąkiwać, że kręgi "niezadowolone z pieriestrojki" wzięły generalnego sekretarza do niewoli i zmusiły do podpisania "warunków". W historii Rosji był już taki przypadek: w 1730 roku caryca Anna Joanowna podpisała "warunki", ograniczające samowolę cesarską. Umocniwszy się na tronie, "zerwała warunki".

"Tajemnica zaginionego genseka" wyjaśniła się 29 września. Michaił Gorbaczow przyjął na Kremlu 360-ciu "wybitnych francuskich działaczy politycznych i społecznych". Pierre Mauroy, występujący w roli mera Lille, miasta, w którym po raz pierwszy odegrano "Międzynarodówkę", nie ustawał w zachwytach nad generalnym sekretarzem: "Dzięki Wam wybiła godzina pokoju, panie generalny sekretarzu!"; "Dzięki Wam zaczyna się nowa epoka" itd. Wreszcie mer Lille zrobił aluzję do tajemniczego zniknięcia i delikatnie określił jego skutki: "Pański pobyt na urlopie zrodził rozmaite słyuchy. Dowodzą one tylko, jak wielkie znaczenie ma dzieło, nad którym Pan pracuje". Rosyjski przekład nie oddawał zresztą subtelnej francuskiej gry słów.

Mauroy w rosyjskim przekładzie powiedział: "Pańska nieobecność podkreśliła tylko Pańską obecność".

Mamy wszelkie podstawy by sądzić, że rozprzestrzenianiem pogłosek o zaginionym genseku zajmowali się specjaliści z odpowiedniego departamentu. Nawet nieobecny, generalny sekretarz był obecny na łamach prasy światowej. Sama możliwość, sama myśl o tym, że mogłby zniknąć, miała przerazić mieszkańców naszej planety. Ludzkość z ulgą przyjęła powrót generalnego sekretarza do pracy. Gorbaczow wyjawiał Francuzom swą "tajemnicę": od 24 sierpnia do 24 września przebywał na ustawowo przewidzianym urlopie. Przez pozostały czas pracował nad przemówieniem, które wygłosił 6 listopada, oraz nad książką, którą wkrótce wszyscy będziemy mieli możliwość przeczytać.

Wyjaśniwszy francuskim pielgrzymom, że w Związku Sowieckim toczy się przebudowa, generalny sekretarz przypomniał: "Nie rezygnujemy z socjalizmu. Chcemy, aby był lepszy. Dlatego mówimy: więcej socjalizmu. Nie rezygnujemy z naszej demokracji. Chodzi o to, aby wykorzystać możliwości demokracji socjalistycznej". Gorbaczow prosto i jasno zdefiniował demokrację socjalistyczną: "Powiedamy: wszystko, co umacnia socjalizm, w tym jawność, demokracja, wszystko to zasługujemy na poparcie i umocnienie. Właśnie wszystko, co umacnia socjalizm. Jeśli jednak – co już obserwujemy – ktoś wewnątrz kraju lub za jego granicami chce wykorzystać naszą gotowość jawności dla podjudzania elementów ekstremistycznych, elementów antysocjalistycznych – a takie istnieją, choć jest to zjawisko niezbyt szerokie, niezbyt istotne – to natychmiast otwarcie mówimy: nie, przeciw socjalizmowi nie pozwolimy pójść nikomu".

Dla przyszłych historyków odnotujemy, że Gorbaczow po raz pierwszy użył tu zwrotu "elementy ekstremistyczne". Być może zapoznał się z nim podczas urlopu. Odnotujemy też, że idea by popierać wszystkich, którzy popierają socjalizm, a walczyć z wszystkimi, którzy go nie popierają, po raz pierwszy została wpisana w stalinowską konstytucję 1936 roku, z której w rozszerzonej wersji przeszła do konstytucji breżniewowskiej z 1977, obowiązującej do dziś. Nie ma też niczego nowego w twierdzeniu Gorbaczowa: "90 % naszych obywateli urodziło się i wyrosło w socjalizmie. Nie wyrzekną się oni jego zdobyczy". Jest całkiem możliwe, że generalny sekretarz ma rację i że 90 % "naszych obywateli" gotowe jest bronić socjalizmu. Ciekawe, że w 1931 roku w rozmowie z niemieckim pisarzem Emilem Ludwigiem Stalin wymienił podobną liczbę: "Jeśli wziąć lud pracujący ZSSR, robotników i chłopów, to stoją oni murem za władzą sowiecką i w przeważającej większości czynnie popierają ustroj sowiecki". Towarzysz Stalin obiecał w 1931 roku, że zlikwiduje te procenty, którym się władza sowiecka nie podoba. Gorbaczow zapowiada: "toczy się walka" z tymi, "którym nie podoba się socjalizm, którzy wykorzystują "demokratyczne procesy dla oczerniania naszego ustroju" /"Prawda" z 30 września 1987/.

Dnia 2 października odbyła się konferencja prasowa w mieszkaniu naczelnego redaktora biuletynu informacyjnego "Glasnost", Siergieja Grigoriana. Dziennikarzem z paryskiej "Russkoj mysli" udało się uzyskać połączenie telefoniczne z Moskwą i porozmawiać z uczestnikami konferencji. Lew Timofiejew, skazany za publikacje w prasie podziemnej nt. wynędzniałej i wygłodzonej wsi kołchoźniczej, zwolniony niedawno z obozu, zwrócił uwagę na fakt, że w ostatnich przemówieniach Gorbaczowa pojęcie "socjalizmu" figuruje już nie jako podstawa wszystkiego, lecz jako termin prawnicy. W przemówieniu do Francuzów np. Gorbaczow jednoznacznie powiedział, że wszystko, co wykracza poza ramy zasad socjalistycznych jest poza prawem, tzn. może być uznane za sprzeczne z prawem. Lew Timofiejew pyta: "Czy to nie znaczy, że należy się spodziewać jakichś działań represyjnych w stosunku do tych, którzy nie utożsamiają się z pojęciem socjalizmu?" /"Russkaja mysli" z 9 października 1987/. Lew Timofiejewicz dorzucił: "Należy uczciwie powiedzieć, że w odróżnieniu od niektórych naszych zachodnich znajomych i kolegów nigdyśmy tu nie wpaдали w euforię, ale dziś czujemy, że pojawiła się jakaś nowa tendencja" /"Russkaja mysli" z 9 października 1987/.

"Nowa tendencja" wyraża się np. w stosunku władzy do biuletynu "Głasnost". Kiedy w czerwcu br. po raz pierwszy zapowiedziano, że grupa niedawno zwolnionych z łagrów dysydentów /używam tego słowa z braku lepszego/ postanowiła wydawać w Moskwie niezależne pismo, napisałem, że losy "Głasnosti" będą sprawdzianem granic głasnosti. We wrześniu aresztowano na krótko współpracownika pisma i skonfiskowano numery 8 i 9 /wraz z rękopisami/. W wywiadzie dla szwajcarskiego tygodnika "Illustré" sekretarz KC i członek Biura Politycznego, A. Jakowlew, oświadczył /23 września 1987/, że widział tylko jeden numer "Głasnosti", niczego ciekawego w nim nie znalazł, uważa jednak, że biuletyn narusza kodeks karny. W rozmowie z francuskimi gośćmi Gorbaczowa dyrektor TASS-a Fallin oświadczył, że "generalnie rzecz biorąc wszyscy ludzie, którzy siedzą w łagrach, są bardzo wątpliwi". Miał na myśli redaktorów "Głasnosti".

Historycy niewątpliwie zauważą, że w niezliczonych artykułach, komentarzach i informacjach o epoce głasnosti i pieriestrojki zachodni specjaliści w ogóle nie wspominali o KGB. Historycy przypominają sobie, że każde wólcie sowieckiej polityki towarzyszyła reforma policji politycznej. Reforma nie zmieniała jej istoty ani jej miejsca w państwie, ale z reguły zmieniała jej nazwę oraz zwięźlała lub rozszerzała zakres jej uprawnień. Przejście do NEP-u zaznaczyło likwidacją WCzK, którą zastąpiło GPU /z tym samym przewodniczącym F. Dzierżyńskim/. W 1934 roku Stalin, szykując "wielki terror", zmienił GPU na Ludowy Komisariat Spraw Wewnętrznych. Ledwie Stalin umarł, dokonano kolejnej reformy zapowiadającej zmiany: Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Szczególny charakter pieriestrojki polega na tym, że aparat KGB, jego funkcje i uprawnienia pozostały nietknięte. Więcej: w jednym materiale na ten niezmiernie ważny temat, artykule Siergieja Grigoriana z "Głasnost" nr 2, lipiec 1987/ zatytułowanym "Czy KGB się bawi, czy działa?", autor cytując słowa oficerów służby bezpieczeństwa /to samo zdanie powtarza się w Leningradzie, na Ukrainie i w Moskwie/: "Mamy pełne ręce roboty, polecono nam wdrażać demokrację i jawność w kraju".

Łatwo to zakwestionować, bo przecież powiedział to wypuszczony z łagru Grigorijan. Z błędu wyprowadzi nas lektura przemówienia człowieka ze wszech miar godnego zaufania, przewodniczącego KGB i członka Biura Politycznego, M. Czebrikowa. I znów uprzytomni sobie potęgę reklamy. Weźmy Gorbaczowa: czego by nie powiedział, prasa światowa podchwytuje każde słowo, fotografowie uwieczniają każdy uśmiech. Weźmy Czebrikowa: mniej fotogeniczny niż generalny sekretarz, ale przecież mówi ważne rzeczy, kto wie, czy nie ważniejsze niż gensek. A prasa światowa poświęciła jego przemówieniu co najwyżej kilka linijek.

Przemówienie zatytułowane było "Wielki wzór służby rewolucyjnym ideałom", a wygłoszone zostało z okazji 110-tej rocznicy urodzin Feliksa Edmundowicza Dzierżyńskiego. Data niezbyt okrągła, ale następcą "ojca organów" słowo stała z okazji, by wyłożyć prawdziwy program pieriestrojki. Przede wszystkim przewodniczący KGB potwierdził informację redaktora "Głasnosti", Grigoriana: "Organy bezpieczeństwa uważają, że w obecnej chwili jednym z ich naczelnych zadań jest maksymalne sprzyjanie rozwojowi procesu przebudowy kraju" /"Prawda" z 11 września 1987/.

Program działań organów jest - zdaniem Czebrikowa - odpowiedzią "na negatywną reakcję wojujących antykomunistów", którzy chcą przeszkodzić w "rozszerzaniu się demokracji i jawności". Zachodnie służby specjalne kierują swe wysiłki na podminowanie "potencjału moralno-politycznego naszego społeczeństwa". To służby specjalne "zwiększają wysiłki celem dyskredytacji teorii marksizmu-leninizmu", starają się "oczernić historyczną drogę państwa sowieckiego, praktykę budownictwa socjalistycznego". Bądźcie czujni! - uprzedza przewodniczący KGB sowieckich historyków i ekonomistów. Po czym zwraca się do sowieckiej "inteligencji twórczej": wrogie służby specjalne, świadome "ogromnej siły emocjonalnego wpływu twórców na ludzi", "starają się zepchnąć poszczególne przedstawicieli inteligencji twórczej na pozycje krytykanctwa, demagogii i nihilizmu" i - powtarza - "oczerniania niektórych etapów historycznego rozwoju naszego społeczeństwa".

Są i inne okazy, budzące złość przewodniczącego KGB: "wyznawcy obcych, a nawet otwarcie wrogich socjalizmowi poglądów", "byli obywatele sowieccy, którzy w różnych momentach wyjechali za granicę", "niedawno amnestionowani obywatele sowieccy", ulaskawieni "ze względów humanitarnych", obywatele "zarażeni wirusem nacjonalizmu" /Czebrиков przypomina wydarzenia w Ałma-Acie, "działania grupy ekstremistów z kręgu krymskich Tatarów, prowokacyjne wypadki nacjonalistów w stolicy sowieckiej Nadbałtyki"/, "ekstremistyczne elementy, które wdarły się do kiołownictwa niektórych samodzielnych stowarzyszeń /nazywa się je dziś 'grupami nieformalnymi'/".

Lista jest długa. Kończąc ją, przewodniczący KGB wygłasza credo: "Na celowniku imperialistycznych służb specjalnych znajdują się wszystkie warstwy ludności naszego kraju". Czebrиков uprzedza po raz ostatni: "Jak widać, ten i ów uważa, że ustawy Związku Sowieckiego jego nie dotyczą i zamierza wykorzystać w złych celach humanitaryzm naszej ludowej władzy". Myli się, kto tak myśli, gdyż "trzeba jasno rozumieć, że przebudowa naszego państwa i społeczeństwa odbywa się pod przewodnictwem partii komunistycznej, w ramach socjalizmu i w interesie socjalizmu. Będziemy bronić tego rewolucyjnego procesu przed wszelkimi wywrotowymi próbami!".

Któż by wątpił w słowa przewodniczącego KGB? Dzieje "organów", którym w 1987 wybija siedemdziesiąty krzyżyk, dokładnie tyle samo co władzy sowieckiej, dowodzą, że zawsze wicnie służyły partii i że bez nich budowa socjalizmu byłaby znacznie trudniejsza.

Uważa się dość powszechnie, że Czebrиков, Ligaczow i inne "jastrzębie" nalegają na "gołębia" Gorbaczowa i usiłują wymusić na nim rezygnację z jawności i demokracji. Porównanie przemówień Czebrikowa, Ligaczowa i generalnego sekretarza na nic takiego nie wskazuje: mówią i myślą to samo. Różnica polega tylko na tym, że Gorbaczow ubiera twarde jądro swojej polityki w miękkie liryczne frazesy o trosce o dobro narodu.

Po powrocie z urlopu Gorbaczow rzucił się w wir pracy. Po spotkaniu z Francuzami w Moskwie wyjechał do obwodu murmańskiego. W przemówieniach i podczas spotkań z ludem robczym bezustannie powtarzał: "Wkracamy w krytyczny etap pieriestrojki", "mówimy uczciwie, że trudności potrwają jeszcze jakiś czas". Generalny sekretarz na każdym kroku przypominał swą ulubioną metaforę /po raz pierwszy zauważyłem ją dwa i pół roku temu/: "Jeśli rozpędzimy koło rozpędowe, krajowi przybędzie wiele pożytecznych rzeczy".

Zdaniem Gorbaczowa wszystko jest gotowe. Plany opracowane, jawność dozwolona. Rzecz w wykonaniu. Gorbaczow stwierdza z zadowoleniem, że naród rozumie, w czym leży przyczyna zastoju: Wszyscy pracowaliśmy uczciwie - powiedzieli mu robotnicy Północy. Koniecznie trzeba zaprowadzić porządek i dyscyplinę. A potem czekać, aż sytuacja się poprawi.

Z Murmańska Gorbaczow udał się do Leningradu. Tu znowu powtórzył apel o umocnienie pieriestrojki i podkreślił rolę partii: "Konieczny jest bezprecedensowy wysiłek celem mobilizacji twórczych sił. To może zrobić tylko partia, nasza leninowska partia". Gorbaczow niewzruszenie dał do zrozumienia, że należy "wymieść" zewsząd /w tym i z aparatu partyjnego/ tych, którzy nie potrafią, "twórczo" wcielić w życie dyrektyw przebudowy. Generalny sekretarz dorzucił, że walka z przeciwnikami przebudowy nie powinna przyjąć postaci chirńskiej rewolucji kulturalnej. Ten fragment przemówienia transmitowanego przez telewizję został wycięty w "Prawdzie" /14 października 1987/.

Dwój-mowa rządzi jak nigdy epoką głośności i pieriestrojki. Gorbaczow oświadcza: "Nasza pieriestrojka to rewolucja. Bez wystrzałów, ale bardzo na serio" /"Krasnaja zvezda" z 1 października 1987/. Natomiast w przemówieniu Czebrikowa wyraźnie słyhać dalekie, ale znajome echa strzałów. Gorbaczow powiedział 1 października br. w Murmańsku: "W stosunkach międzynarodowych krzepną tendencje pozytywne", natomiast 2 października, podczas wizyty na krążowniku atomowym "Kirow", odpowiada na przemówienie politruka, że "nie mamy prawa zapomnieć, że stoi-

my w obliczu wroga okrutnego i przewrotnego": "Dziś, przy obecnej sytuacji wojsko-politycznej w świecie, niepowstrzymanym wyścigu zbrojeń wymuszonym przez imperializm, twarda dyscyplina, organizacja i porządek są ważniejsze niż kiedykolwiek".

Zmęczony przemówieniami i zmęczony czytelników, włączyłem kasetę z nagraniem monologów najpopularniejszego dziś sowieckiego satyryka, Michaiła Żwanieckiego. Przez wiele lat pisał teksty Arkademu Rajkinowi. Teraz pisze je sam sobie, sam też je czyta. Nawet w telewizji zaczął występować. Oto jak ocenia obecną sytuację: "Jest co poczytać, jest czego posłuchać, jest na co popatrzeć, ale nie ma co zreć i na grzbiet włożyć. Na razie". Jeden z jego monologów poświęcony jest właśnie dwójmowie, o której wyżej wspominałem. Żwaniecki opowiada, że kiedy w Lipsku pokazano kreskówkę do jego scenariusza, nikt poza sowiecką delegacją nie zrozumiał ani słowa. Z Bułgarii dostał list: chcieliby przetłumaczyć jego książeczkę, ale niczego nie rozumieją. Satyryk stwierdza: "Nasze nieszczęścia są nieprzetłumaczalne, to nieprzekładalna gra słów. Nawet Bułgaria rezygnuje". Cieszy się: "Jak zręcznie wszystko wymyśliłimy. My ich rozumiemy, a oni nas już nie. Hurra! Koniec sztucznych granic! Nasz język przestał być językiem, którego można się nauczyć. Możemy bez obaw głośno mówić". Zapewnia: "Nasze liczby są nieprzekładalne. Nie ma po co szyfrować. Kto rozszyfruje nasze liczby, niczego się nie dowie. Ty, ko swoi rozumieją...".

Żwaniecki cytuje kilka przykładów nieprzekładalnego na żaden język narzęcza sowieckiego, np. "stołówka zaczęła jeszcze lepiej pracować", "walka o jakość", "ser niskiej jakości", "gospodarz na ziemi". Mógłby oczywiście znaleźć podobne przykłady i w innych dziedzinach. W jednym z monologów zapytuje, co mają na myśli twórcy haśseł, rozważanych we wszystkich sowieckich miastach i wsiach, jak np. "Walczmy o pokój!". Mógłby powiedzieć znacznie więcej niż to, co mówi, ale – jak słusznie zauważa nt. głośności: "Cała sztuka polega na tym, że to nie to, cośmy zdobyli, tylko to, co nam dali. A skoro nam dali, to mogą też...". Widownia klaszcze, doskonale rozumiejąc, czego satyryk nie dopowiedział.

Adam KRUCZEK

15 października 1987

"Kultura", grudzień 1987

Adam Kruczek

W SOWIECKIEJ PRASIE

Za kilka dni świat wzbogaci się o nową Biblię. Redakcje wielkich gazet i czasopism otrzymały już egzemplarze okazowe i publikują recenzje; zanim książka znalazła się w sprzedaży. Zbyteczne dodawać, że Księga nosi tytuł "Pieriestrojka i nowe myślenie dla naszej ojczyzny i świata", zaś autor nazywa się Michał Siergiejewicz Gorbaczow. Każde zdanie "Pieriestrojki" pobudza do rozmyślań. Przede wszystkim tytuł. Autor z góry, już na obwołanie wyjaśnia, że zwraca się urbi et orbi. Nie ma dziś na świecie drugiego polityka, który uważałby się za powołanego do dialogu z całą ludzkością. Nawet encykliki papieskie adresowane są przede wszystkim do katolików. Gorbaczow już od pierwszych stron odkrywa karty: "Napisałem tę książkę z myślą o narodach ZSSR, USA, każdego państwa... Celem tej książki jest bezpośrednie podzielenie się myślami z obywatelami całego świata w kwestiach, dotyczących wszystkich bez wyjątku". Zwróćmy uwagę, że M. S. Gorbaczow pragnie rozmawiać ze wszystkimi, bez pośredników oraz o wszystkim, co wszystkim interesuje. Przeczytałem pierwsze zdania "Pieriestrojki" i przypomniała mi się inna książka, "Stalin" Henri Barbusse'a, w której widniały takie słowa: "Wy go nie znacie, ale on was zna i troszczy się o was. Kimkolwiek jesteście, potrzebuje tego dobroczyńcy". Miło wiedzieć, że ludzkość znowu ma dobroczyńcę.

"Pieriestrojka" jest zlepkiem fragmentów licznych przemówień Gorbaczowa, jego rozmów z obywatelami ZSSR podczas podróży po kraju albo z cudzoziemcami, którzy zawiązali na Kreml. Przed nami leży krótki kurs sowieckiej historii i politologii. Autor tłumaczy, że wszystko, co zostało zrobione przez ostatnich siedemdziesiąt lat, było potrzebne i przydatne, choć zdarzały się i błędy – na przykład podczas kolektywizacji. Zdarzały się nawet, oznajmia autor, "dziesiątki tysięcy ofiar". Tym niemniej potrzebne były i intensywne uprzemysłowienie, i pakt Ribbentrop–Mołotow /pod tą nazwą występuje u Gorbaczowa pakt Stalin–Hitler/. Gorbaczow ocenia wkład Stalina jako "globalnie pozytywne", Chruszczowowi zarzuca woluntaryzm, Breżniewowi "zastój" /po niezłych początkach/. W przemówieniu z 2 listopada Gorbaczow znacznie surowiej osądził sowiecką historię. "Pieriestrojka" przeznaczona jest głównie na eksport, dlatego też utrzymana jest w dobrodusznym, ojcowskim tonie. Przemówienie skierowane jest do obywateli sowieckich, którzy ostatnio bardzo dużo rozprawiają o przeszłości. Dla nich sternik przyszłości i przeszłości ma kilka wskazówek. Pochwały pod adresem Stalina są tu silnie wypunktowane, podobnie jak odwieczne obelgi pod adresem Trockiego i trockistów. Runęły nadzieje zachodnich zwolenników Gorbaczowa, oczekujących rehabilitacji Bucharina. Gorbaczow wystawia mu dobrą ocenę za działalność we wczesnych latach dwudziestych, kiedy popierał Stalina, ale bardzo złą za krytykę kolektywizacji w drugiej połowie lat dwudziestych.

W przemówieniu Gorbaczow stosuje wypróbowaną metodę przygotowywania gruntu pod przyszłą rozprawę z "wrogami ludu". Cytuje krytyczne słowa Lenina /w "Oświadczeniu"/ pod adresem Trockiego i Bucharina. Przy tym kłamie, przypisując Leninowi słowa o Trockim /"lizusowski i wykrętny polityk"/, których w "Oświadczeniu" nie ma. Nie cytuje natomiast słów, które Lenin napisał o Stalinie.

Myśli w "Pieriestrojce" niewiele: koniec końców generalny sekretarz wielu nie potrzebuje. Wszystkie zawierają się w trzech słowach: pieriestrojka, demokratyzacja, odgórna rewolucja. Definicje słowa pieriestrojka ciągną się całymi stronami. Idąc wypróbowanym śladem Stalina, który dziesiątki razy powtarzał te same zdania, Gorbaczow też bezustannie powtarza: pieriestrojka – to..., pieriestrojka – to... Ten bezcenny wzorzec pozwala obejść się bez argumentów – zastępuje je siła powtórzeń.

Sens słowa "demokratyzacja" znacznie łatwiej wyjaśnić. Wystarczy do rzeczownika dodać przymiotnik "socjalistyczna". Natomiast sporo-miejśca poświęca Gorbaczow wyjaśnieniu pojęcia "odgórnej rewolucji". Jest nią mianowicie to, czym on sam kieruje w ZSSR, tzn. pieriestrojka obmyślona i zainicjowana odgórnie, ale masowo poparta przez "doły". Gorbaczow nazywa ją "najbardziej pokojową i najdemokratyczniejszą rewolucją w dziejach".

Celem gorbaczowskiej rewolucji jest – "więcej socjalizmu". Gorbaczow z naciskiem podkreśla, że właśnie niedostatek socjalizmu spowodował trudności, z którymi boryka się ZSSR. Wystarczy dodać trochę socjalizmu, a wszystko będzie lepiej.

Opisując sytuację w Związku Sowieckim, Gorbaczow wciąż sobie przeczy. Raz zapewnia czytelników, że nie można twierdzić, jakoby pieriestrojka była konieczna z uwagi na kryzys w Związku Sowieckim, innym razem twierdzi, że sytuacja jest bardzo trudna, nie do wytrzymania. Nie chcąc mówić o rzeczywistych przyczynach trudności, generalny sekretarz wprowadza do analizy "tajemnicze siły". W połowie lat siedemdziesiątych, powiada, pozytywny rozwój socjalizmu zakłóciło jakieś "niezrozumiałe zjawisko". Generalny sekretarz przypomina, że Lenin uprzedzał, iż może się pojawić "tajemnicza siła" i "niezrozumiałe zjawisko". Gorbaczow nie cytuje konkretnych słów /nie robi tego w całej książce/ ani nie daje odsyłać, co pozwala nam dowolnie przedstawiać cudze myśli. Jeśli jednak zajrzemy do tekstu Lenina, okaże się, że Lenin nie uprzedza, lecz wyraża zdziwienie. Na XI Zjeździe partii /1922/, dokładnie rok po uchwaleniu NEP-u, Lenin powiedział: "Samochód odmawia posłuszeństwa ręce, która nim kieruje. Tak jakby jechał nie w tym kierunku, w których chce go skierować człowiek, lecz w kierunku wskazanym przez kogoś innego, jakby nim kierowała jakaś tajemnicza, nieuprawniona ręka. Bóg wie jaka...". Lenin jest wy-

rażnie przestraszony i każe przede wszystkim umocnić rękę, uprawnioną do kierowania samochodem, czyli swoją własną. W tym celu tworzy po XI Zjeździe, w kwiecieniu 1922 roku, nowe stanowisko w KC, mianowicie stanowisko generalnego sekretarza. Obejmuje je Stalin, o którego talentach szoferskich Lenin był przekonany.

Lenin wyciągnął też inny wniosek. Uznał, że należy koniecznie przedłużyć pieriedyszkę, z której partia korzystała od chwili wprowadzenia NEP-u oraz uzyskać taką samą pieriedyszkę w polityce zagranicznej. Począwszy od 1921 roku republika sowiecka dostawała pomoc od "kapitalistycznego świata", ratunek dla milionów głodujących. Lenin wyciągnął z tego wniosek, że kapitaliści pomogą też w innych dziedzinach.

"Pieriestrojka" zawiera dwa posłania. Pierwsze jest jawne, ubrane w wielką ilość słów, pełne umitowania pokoju. Drugie jest zaszyfrowane, krótkie i - to samo co zawsze. Rozszyfrować je można na podstawie politycznych aktów kierownictwa sowieckiego, na których Gorbaczow każe się wzorować. W siedemdziesięcioletniej historii Związku Sowieckiego Gorbaczow uważa za szczególnie udane trzy posunięcia. Pierwsze dwa są dziełem Lenina, trzecie - Stalina. Są to: pokój brzeski /marzec 1918/, NEP /marzec 1921/ i pakt Hitler-Stalin /sierpień 1939/. Każda z tych decyzji, trudnych, gdyż faniących przyjęte dogmaty i budzących sprzeciw najbliższych współpracowników wodza, była słuszna, bo pozwalała państwu sowieckiemu odsapnąć. Decyzje te, podjęte w chwili kryzysu, zagrażającego władzy partii i wodza, były chwilowym odstępstwem, pozwalającym odetchnąć, nabrać sił i przygotować się do kolejnej ofensywy.

Zarówno w książce jak w przemówieniu Gorbaczow przyznaje, że niektóre obecne posunięcia mogą się wydawać nie dość "socjalistyczne", przypomina jednak, że przy pomocy "dialektyki" można wszystko wyjaśnić. Dorzuca też, że Lenin był wielkim "dialektykiem".

To prawda. W 1921 roku Lenin wziętyle wyłożył swoje poglądy o przyszłości sowieckiej polityki zagranicznej w notatce, zaadresowanej do ludowego komisarza spraw zagranicznych, Cziczerina. "W wyniku moich bezpośrednich obserwacji w latach emigracji - pisał Lenin - muszę przyznać, że tak zwane warstwy oświecone Zachodniej Europy i Ameryki nie są w stanie zrozumieć obecnego stanu rzeczy ani realnego stosunku sił; warstwy te należy uznać za głuchoniemię i postępowanie wobec nich uzależnić od tego założenia". Lenin kontynuuje: "W pogoni za zdobyciem sowieckiego rynku kapitaliści całego świata i ich rządy zamkną oczy na rzeczywistość i zmienią się w głuchoniemych ślepców. Otworzą kredyty, które pozwolą nam wesprzeć komunistyczne partie w ich krajach i, zaopatrując nas w brakujące nam materiały i technikę, odbudują nasz przemysł wojenny, niezbędny nam dla naszych przyszłych zwycięskich ataków na naszych dostawców. Innymi słowy, zajmą się przywróceniem własnego samobójstwa". Myśl przewodnią swej koncepcji wódz rewolucji wykiada następująco: "Rewolucja nigdy nie rozwija się po linii prostej, jak nieustające powstanie, lecz stanowi łańcuch wybuchów i ustępstw, ataków i zawieszek broni, podczas których siły rewolucyjne krzepną i przygotowują kolejny atak". Gorbaczow wielokrotnie wraca do tej myśli, nie cytując oczywiście notatki Lenina. Przyznaje natomiast, że "otwartą i uczciwą politykę zagraniczną odziedzyczyliśmy po Leninie".

Polityce zagranicznej ZSSR poświęcone jest półksiążki. Specjalny rozdział traktuje o byłych, obecnych i przyszłych stosunkach między ZSSR i krajami obozu socjalistycznego. Gorbaczow uważa, że na pierwszym etapie budownictwa socjalistycznego kraje te musiały wzorować się na modelu sowieckim. "Poważne kryzysy" - Węgry 1956, Czechosłowacja 1968, Polska 1956 i 1980 - były jego zdaniem spowodowane nie socjalizmem, a błędami kierownictwa. Z naciskiem podkreśla całkowitą niezależność wszystkich państw socjalistycznych, ale uprzedza, że podstawą stosunków między nimi jest współpraca między partiami.

Słowa Gorbaczowa o pełnym równouprawnieniu krajów socjalistycznych i ich "całkowitej niezależności" nabierają sensu dopiero w świetle przemówienia z 2 listopada. Przemówienie to zawiera paragraf, nasuwający dziwne skojarzenia. Gorbaczow

stwierdza, że "kwestia narodowa została u nas rozwiązana", po czym dodaje: "Oddając dziś sprawiedliwość wybitnym osiągnięciom leninowskiej polityki narodowościowej, narody naszego kraju wyrażają należny szacunek i wdzięczność wielkiemu narodowi rosyjskiemu za jego bezinteresowny, prawdziwy internacjonalizm, za jego nieoceniony wkład w stworzenie, rozwój i umocnienie socjalistycznego związku wolnych i równoprawnych republik...".

Natychmiastowe i zadziwiające skojarzenie wynika z faktu, że Gorbaczow powtórzył niemal dosłownie słynny toast Stalina. Na przyjęciu na cześć głównodowodzących armii czerwonej, zorganizowanym na Kremlu 24 maja 1945 roku, generalissimus wznosił wiele toastów, w tym ostatni "za zdrowie narodu rosyjskiego": "Wznoszę kielich przede wszystkim za zdrowie narodu rosyjskiego, bo jest on najwybitniejszym narodem ze wszystkich narodów, wchodzących w skład Związku Sowieckiego... Zdobył sobie w tej wojnie powszechny szacunek jako przewodnia siła Związku Sowieckiego, wśród wszystkich narodów naszego kraju. Wznoszę toast za zdrowie narodu rosyjskiego nie tylko dlatego, że jest narodem przewodnim, ale i dlatego, że ma on jasny umysł, twardy charakter i cierpliwość". Stalin dziękował narodowi rosyjskiemu za zaufanie i za to, że nie przegnał rządu sowieckiego po porażkach pierwszych lat wojny.

Toast Stalina tłumaczy być może niespodziewaną wdzięczność Gorbaczowa. Mianowanie narodu rosyjskiego "przewodnim" i "najwybitniejszym" było sygnałem do walki z "kosmopolityzmem" i "cudzoziemszczyzną". Od niego rozpoczął się najmroczniejszy okres, schyłek epoki stalinowskiej. Wyodrębnienie spośród najcenniejszych cech "przewodniego narodu" cierpliwości zapowiadało kolejny okres trudności materialnych. Należy sądzić, że Gorbaczow także liczy na cierpliwość i z góry za nią dziękuje. Zarazem wyniesienie jednego z narodów na stolec "pierwszego wśród równych" nieuchronnie stawia pozostałe o jeden, dwa lub trzy stopnie niżej. Nieprzyjazne jednostki gotowe wyciągnąć z tego wniosek, że ten typ stosunków - wszyscy są równi, ale niektórzy są równiejsi - trwa nadal nawet w obozie socjalizmu.

Jeszcze nie zdążyli rozjechać się przybyli na rocznicę rewolucji październikowej goście, jeszcze nie zdążyły pojawić się w księgarniach pierwsze egzemplarze "Pieriestrojki", a już w Moskwie wybuchnął skandal: usunięto ze stanowiska pierwszego sekretarza moskiewskiego gorkomu, zastępcę członka Biura Politycznego Borysa Jelcyna. Wszystko zaczęło się 21 października, kiedy Jelcyn wystąpił na plenum KC z krytyką tempa pieriestrojki i tych, którzy się jej sprzeciwiają. Wiadomość o przemówieniu sekretarza gorkomu dziwnym, trafem rozeszła się błyskawicznie po Moskwie i trafiła /nieprzypadkowo?/ do zagranicznych korespondentów. Następnie sekretarze KC Jakowlew i Łukianow udzielili wyjaśnień. Sprawie nadano szeroki rozgłos. Na okres obchodów zarządzono przerwę, a zaraz po nich - 11 listopada - na plenum moskiewskiej organizacji partyjnej Jelcyn został usunięty ze stanowiska pierwszego sekretarza, a na jego miejsce wybrano sekretarza KC i członka Biura Politycznego Lwa Zajkowa. 13 listopada w "Prawdzie" ukazało się dwustronicowe sprawozdanie z obrad plenum oraz tekst przemówienia Gorbaczowa, krytykującego Jelcyna. Wydrukowano też samokrytykę Jelcyna, który przyznał się do strasznego grzechu - przerostu ambicji.

Najciekawszy w całej "Jelcyniadzie" jest szum; jaki moskiewscy specjaliści zrobili wokół tej sprawy. Sama nielaska Jelcyna zaczęła się już dawno. We wrześniowym przeglądzie prasy sowieckiej odnotowałem notatkę z "Prawdy" z 11 sierpnia, która zwróciła moją uwagę. Notatka zatytułowana była "Żywiej, żywiej" i relacjonowała plenum moskiewskiego gorkomu. Zwrócił moją uwagę fakt, który uznałem za unikat w historii ZSSR: uczestnicy plenum przerwali przemówienie Jelcyna, po czym poddali swojego pierwszego sekretarza ostrej krytyce. Zarzucali mu "samowolę", "wojskowy styl pracy", "metal w głosie" itd., itp. Napisałem wówczas: "Nie wiadomo jeszcze, jakie skutki będzie miało plenum dla pozycji Jelcyna".

Jelcyn został "przerzucony" do Moskwy na stanowisko sekretarza gorkomu w grudniu 1985 roku. Moskiewskim komunistom przedstawił go sam Gorbaczow. Jelcyn okazał się zwolennikiem szybkiej i radykalnej pieriestrojki, i występował jako "lokomotywa" Gorbaczowa. Należy sądzić, że do "przyspieszenia" skłaniały moskiewskiego

sekretarza rozmaite względy, w tym oczywiście także ambicje. Związawszy się z pieriestrojką, z jej postępami wiązał i swoje postępy po drabinie kariery. W Moskwie nie lubią jednak zbyt ambitnych i zbyt niecierpliwych. Los Jelcyna nie jest sam w sobie specjalnie ciekawy. Interesujące są powody szumu, jaki wokół niego zrobiono.

"Le Monde" zatytułował artykuł o wydarzeniach w Moskwie "Gorbaczow wyszedł ze sprawy Jelcyna osłabiony". Myśl przewodnią artykułu jest następująca: atak konserwatystów na Gorbaczowa zakończył się ich zwycięstwem, Gorbaczow musiał wykonać taktyczny odwrót i złożyć w ofierze swojego zwolennika. Wniosek: należy wesprzeć Gorbaczowa, a przynajmniej mu współczuć. Nasuwa się pytanie, czy nie to właśnie było celem szumu propagandowego. Czy nie chodziło o pozyskanie jeszcze większej sympatii dla osaczonego genseka?

Co zaś tyczy "osłabienia" Gorbaczowa, to przypomina mi się epizod, opisany przez Waltera Krywickiego w "Byłem agentem Stalina". Kiedy doszła do Moskwy wiadomość o nocy długich noży i rozprawie Hitlera ze swoimi najbliższymi towarzyszami, Stalin zwołał zebranie Biura Politycznego. Jak myślicie – spytał Stalin zebranych – czy wymordowanie najbliższych ludzi wzmacnia, czy osłabia pozycję Führera? Wszyscy jak jeden mąż odpowiedzieli: osłabia. Stalin zaoponował: wzmacnia. Można nie bez podstaw sądzić, że wtedy właśnie Stalin zaplanował morderstwo Kirowa.

Nie podejrzewam obecnego generalnego sekretarza o krwawe zamiary, ale myślę, że wyrzucenie Jelcyna wzmacnia pozycję Gorbaczowa. Po pierwsze pokazał, że nikt nie może mu dyktować tempa marszu. Po drugie pokazał, że jest zdecydowany i bezlitosny.

Londyński "Times" twierdzi, że usunięcie Jelcyna "potwierdza najbardziej pesymistyczne prognozy co do Gorbaczowa jako przywódcy... Wbrew nadziejom wielu ludzi, okazał się nie rewolucjonistą, a menadżerem przemian". Dlaczego konserwatywny "Times" jest tak rozczarowany, że nie znalazł w Moskwie rewolucjonisty, jest ciekawym tematem do rozmyślań.

W wielu zachodnich gazetach można przeczytać, że publikacja w "Prawdzie" materiałów ze "sprawy Jelcyna" jest przekonującym dowodem, że głośno o zwyciężyła. Można by na to odpowiedzieć, że w okresach walki o władzę sowieckie gazety zawsze opisywały upadki przeciwników "generalnej linii". Wystarczy przypomnieć, co się działo w roku 1957, kiedy Chruszczow pokonał "antypartyjną grupę". Wypada jednak przyznać, że głośno o tym działa. Najlepszym jej dowodem jest fakt, że do dnia kiedy zamykam niniejszy przegląd gazety sowieckie nie ogłosiły jeszcze, że tegoroczną literacką nagrodę Nobla dostał Josif Brodski. Przyznają jednak, że od chwili ogłoszenia werdyktu komitetu noblowskiego upłynęły zaledwie trzy tygodnie.

Współczesna literatura rosyjska ma trzech laureatów nagrody Nobla. Powieść pierwszego władze obiecują wydać /zrehabilitować/ w przyszłym roku. Dzieła drugiego są najsurowiej zakazane. Nazwisko trzeciego nie zostało jeszcze podane do wiadomości jego rodaków.

Adam KRUCZEK

15 listopada 1987

SPRAWY I TROSKI

"Kultura", marzec 1987

Jerzy Boniecki

CZY TYLKO KRZYWE SPOJRZENIE?

Ma oczywiście rację Adam Michnik gdy powiada, iż choć polonocentryzm jest zrozumiałą cechą polskiej emigracji, to polonocentryzm przesadny wiedzie ku zawężaniu perspektywy, ku partykularyzmowi zaścianka¹. Ilustruje to Michnik przykładem naszego piśmiennictwa emigracyjnego, które koncentruje się przede wszystkim na tematyce polskiej, z pominięciem innych krajów znajdujących się w podobnych warunkach. Nie rozwija on jednak tematu polonocentryzmu, a w szczególności nie sygnalizuje niebezpieczeństw, jakie wiążą się z taką postawą.

Ten nasz przesadny polonocentryzm można pokrótce określić jako takie spojrzenie na świat, w którym Polska i sprawy polskie stanowią główny, jedyny niemal, centralny punkt odniesienia. Postawa polonocentryzmu nie ogranicza się bynajmniej do emigracji. Wprost przeciwnie – charakteryzuje on ogromną większość Polaków. O ile jednak specyficzne warunki Polski i jej problemy usprawiedliwiają taką postawę ludzi w Kraju, obserwując ją również wśród Polaków rozsiansych po całym świecie dojdźć musimy do bardziej ogólnych i bynajmniej niewesołych wniosków.

To zrozumiałe, że chyba wszyscy Polacy patrzą na sprawy współczesnego świata w kategoriach konfliktu Wschód – Zachód, lub totalitaryzm – demokracja. Perspektywa ta wynika z naszych doświadczeń. Jednakże, choć jest ona niewątpliwie trafna i prawdopodobnie centralna, nie stanowi bynajmniej jedynej osi, wzdłuż której rozgrywają się wypadki i losy świata. Nic tak bardzo nie ilustruje naszego przesadnego polonocentryzmu jak zupełna ignorancja i całkowity niemal brak zainteresowania sprawami Trzeciego Świata. Mimo wielu tysięcy Polaków żyjących na stałe lub przebywających czasowo w krajach Afryki, Azji czy Ameryki Środkowej i Południowej, sprawy tzw. krajów rozwijających się niemal nigdy nie są wśród Polaków przedmiotem rozmów czy dyskusji, rzadko też bywają tematem artykułów czy opracowań.

1. "Kilka uwag o polityce Zachodu i roli emigracji", "Aneks", nr 39/1985

2. Artykuły w rodzaju "Ameryka Łacińska" Macieja Feldhuzena /"Kultura" nr 6/453/, czy "Afryka Południowa" Zbigniewa Byrskiego /"Kultura" nr 7/454-8/455/ stanowią nieliczne wyjątki.

Jest rzeczą niezmiernie charakterystyczną, iż obalenie dyktatury Markosa na Filipinach, jedno z najważniejszych wydarzeń ubiegłego roku, nie doczekało się dotąd próby analizy w żadnym z naszych czołowych periodyków na emigracji. I to pomimo specyficznej roli Frysa kardynała Sin, a także zasady non-violence charakteryzującej wypadki na Filipinach. A przecież te dwa elementy narzucają nawet pewne analogie do sytuacji polskiej. Co więcej: w wypowiedziach niektórych młodych polskich emigrantów przewija się nawet... sympatia dla Markosa... jako gwaranta antykomunistycznej i proamerykańskiej postawy. Szersze tło wypadków na Filipinach widocznie Polaków nie interesuje.

W konflikcie afgańskim sympatia nasza jest oczywiście po stronie bohaterskich partyzantów. Ale do tego wydaje się sprowadzać nasze zainteresowanie problemami narodu afgańskiego. Nie przypominam sobie opracowań czy artykułów na temat problemów społecznych Afganistanu czy też roli wiary religijnej w życiu tego biednego narodu. W roku 1983 brałem natomiast udział w seminarium na temat Polski na Uniwersytecie Narodowym w Canberze, na którym ciekawy referat wygłosił Afgańczyk dr Amin Saikal. Przeprowadził on próbę porównania siły oporu wobec komunizmu w Polsce i w Afganistanie, uwzględniając w obu krajach duży wpływ religii.

W "Listach z Iraku"³ na przykład autor w ogóle nie daje żadnego tła, nie wspomina o żadnych problemach tego kraju. To prawda, że zajmuje się on opisem warunków polskich ekip technicznych, wyjeżdżających na okresowe kontrakty z PRL, lecz aż się tu prosi o kilka zdań na temat miejscowego otoczenia, ludzi i warunków, w których pracują ci Polacy. Nasz złołowy dziennikarz na Zachodzie, doskonały Leopold Unger, pisząc jak zwykle o sprawach Wschód - Zachód i o dylematach Reagana, określa trudności wyeliminowania ogniska zarazy, jakie dla interesów amerykańskich stanowi Nikaragua, jako jeden z problemów obecnego prezydenta USA⁴. I chociaż Nikaragua nie stanowiła tematu artykułu Ungera, już samo skwitowanie sytuacji tego kraju w jej historycznym i bieżącym kontekście w krótkich słowach "ognisko zarazy" jest chyba jakoś charakterystyczne dla naszego polskiego désintéressement jeśli idzie o sprawy Trzeciego Świata.

Rzeczywistość natomiast wygląda w ten sposób, że obok bliskiej naszemu sercu i w pełni zrozumiałej osi Wschód - Zachód bieżące wypadki i przyszłość świata kształtują się także i coraz bardziej wzdłuż innej linii: Północ - Południe. Tym bowiem terminem określa się dziś konflikt pomiędzy grupą uprzemysłowionych krajów bogatych z jednej strony i wielką liczbą krajów biednych z drugiej. Oczywiście osie tych obu mikrokonfliktów przecinają się ze sobą, co widać dobrze na przykładzie ekspansji wpływów sowieckich w biednych krajach. Sprawy Trzeciego Świata to nie tylko eksplozja demograficzna, podwajanie się liczby mieszkańców Ziemi co 30 lat i konsekwencje tego faktu w dziedzinie ekologii i zasobów. To także radykalizacja mas, o której nasz rodak profesor Zbigniew Brzeziniś - jak wielu innych specjalistów, wspominał już szereg lat temu⁵. Połączenie tych dwóch zjawisk - eksplozji demograficznej i radykalizacji mas - leży nie tylko u podstaw tzw. konfliktów lokalnych, jak wojny w Zatoce Perskiej, Mozambiku czy na Saharze. Stanowi ono także genezę częstotliwości i skali międzynarodowego terroryzmu, którego źródłem są przecież głównie kraje Trzeciego Świata. O tym jak bardzo terroryzm międzynarodowy wkracza na arenę polityki światowej nie trzeba się rozwodzić. Dodatkowym wymiarem wznastającego znaczenia wypadków na osi Północ - Południe jest sprawa proliferacji broni nuklearnych, które coraz częściej trafiają do tzw. krajów rozwijających się. Nie bez powodu wielu specjalistów wyraża obawy, że ewentualna wojna atomowa przyszłości wybuchnie raczej w wyniku konfliktów między krajami Trzeciego Świata, aniżeli jako rezultat antagonizmu pomiędzy ZSSR i USA.

Dotychczasowe uwagi na temat zagadnień Trzeciego Świata oraz naszej polonocentrycznej obojętności wobec nich dotykały głównie aspektów politycznych. Istnieje

3. "Kultura" nr 12/459, 1985.

4. "Praszcza Daniłow" "Kultura" nr 11/470, 1986.

5. Patrz np. wywiad w "The New Times" z 31 grudnia 1978 r.

jednak inny jeszcze, znacznie głębszy, aspekt naszej postawy. Wśród tysięcy Polaków włączających się po świecie trudno napotkać relacje o charakterze czysto ludzkich, ogólnych refleksji dotyczących losu mieszkańców Trzeciego Świata. Nie napotkałem w prywatnych rozmowach czy publicznych dyskusjach większego zainteresowania czy choćby zwykłego współczucia dla nędzy i ciężkiej ludzkiej doli rzucającej się wprost w oczy w tak wielu krajach Azji, Afryki czy Ameryki Łacińskiej. Dola ta będąca udziałem ogromnej większości ludzi w Trzecim Świecie jest w końcu – powiedzmy to szczerze – bez porównania cięższa od losu mieszkańców PRL. O tym, aby ta condition humaine biednych krajów stała się przedmiotem artykułu czy przedostała się do naszej /emigracyjnej/ literatury – w ogóle nie ma mowy. Jesteśmy z tego punktu widzenia absolutnie polonocentryczni. Czy tylko tyle?

Niestety. Wśród tysięcy młodych Polaków, którzy zjawili się na Zachodzie w ostatniej fali emigracyjnej /a także niekiedy wśród "starych" Polaków emigrantów/ obserwuje się jako bardzo powszechne zjawisko r a s i z m u . Nie chodzi tu o antysemityzm, którego polskie źródła są tak historycznie głębokie i zawite, ale właśnie o stosunek do ludzi kolorowych. Trudno wymagać od Polaków, aby czuwali się w los głodujących Murzynów czy wygnanych Hindusów, jeśli uważani są oni często za ludzi niższych, gorszych, zasługujących na pogardę a nie na współczucie. Określenia "żółci", "skłani" są na porządku dziennym w wypowiedziach Polaków, którzy dopiero w Australii z "nęli się masowo z Wietnamczykami, Chińczykami i innymi Azjatami. A przecież wielu z nich to podobnie jak Polacy, uciekinierzy z krajów komunistycznej dyktatury. O Murzynach mówi się z reguły z pełnym pobłażliwością uśmiechem oraz aluzją do czworonożnych przodków, którzy dopiero niedawno zeszli z drzewa.

Krzysztof Kłopotowski w niedawno opublikowanym artykule⁶ wyraża wątpliwość co do autentyczności licznego nawrócenia ludzi w Polsce na łono Kościoła. Nie jest zaskoczeniem, że jako motywację podejrzewa tu raczej czynnik polityczny, aniżeli głęboką religijność. Może więc podobnie jest z naszym przywiązaniem do wolności? Czy ogranicza się ono w typowo polonocentryczny sposób do naszego własnego losu i ambicji, czy też jest głęboką postawą, którą jesteśmy gotowi konsekwentnie uszanować również i u innych? Bez względu na ich rasę, kolor skóry, narodowość czy wyznanie.

Jerzy BONIECKI

Sydney, styczeń 1987

"Kultura", lipiec – sierpień 1987

Zbigniew Byrski

OPOZYCJA W KRAJU A EMIGRACJA

Czy emigrancyjni dziennikarze i publicyści mają moralne prawo krytykować postępowanie i koncepcje lokalnej i nielegalnej opozycji w Polsce?

Myszę, że tak, ale wypada to wesprzeć pewnymi odwróconymi analogiami z niezbyt odległej przeszłości. Trudno w to uwierzyć, ale w późnych latach czterdziestych Amerykanie, którzy ostatnio z takim zamiłowaniem wylewają kubły pomoy na swoją ojczyznę, zachwycali się swoim krajem. Zachwycali się, powiedziałybym, nadmiernie. Gdy ktoś z cudzoziemców próbował to i owo skrytykować, słyszał zwykle tę samą stereotypową odpowiedź: "Love or leave" – czyli kochaj ten kraj lub się wynoś... W nieco podobny sposób niekiedy publicyści z PRL rozmawiają z dziennikarzami polskimi na emigracji: nie podoba ci się to, co proponują działacze solidarnościowi, publicyści i dziennikarze wierzący w konstruktywny dialog z władzami i reformę gospodarczą?

6. "Horribile dictu", "Aneks" nr 43.

Nie podobają ci się koncepcje Bujaka, Wałęsy, Kuronia lub, broń Boże, samego Michnika? Wracaj do Polski i tam krytykuj, a nie z bezpiecznego miejsca w Nowym Jorku lub w Paryżu. Proponuję takie implikują – choć nie mówią tego wprost – że mieszkający z daleka od Polski i przygotowujący diagnozy o tym, co się w Polsce dzieje nie mają prawa zabierać głosu. Czy dotyczy to wszystkich głosów krytycznych? Chyba nie. Gdyby polonijny dziennikarz uznał na przykład, że "rózańcowa" polityka Lecha Wałęsy nadmiernie prowokuje władze, że trzeba być bardziej ostrożnym, to wątpię, czy kazano by mu wracać do Polski. Zniecierpliwienie dotyczy tylko pewnej krytyki. Wiadomo, że chodzi tu o tę krytykę, która w interpretacji przedstawicieli polskiej opozycji załatuje nadmiernym ryzykiem konfrontacji z władzami. Wobec tego może tutejsi polonijni publicyści powinni się ograniczyć do tego, by wszelkie odłamy polskiej opozycji chwalić albo milczeć? Otóż sądzę, że dziennikarze piszący o Polsce tu, w Nowym Jorku lub w Paryżu, nie powinni dawać rad Polakom, a w szczególności tym opozycyjnym lub zgoła nieopozycyjnym działaczom w kraju, co mają robić. Tym niemniej zupełnie nie zgadzam się z opinią, że moje rozeznanie sytuacji musi być koniecznie błędne – bo żyję z dala od Polski, a działacze postsolidarnościowych i współpracujących z nimi dziennikarzy i publicystów trafnie – bo mieszkają w Warszawie lub Krakowie. Pod warunkiem oczywiście, że jestem nie gorzej od tamtych poinformowany, co się w Polsce dzieje. W tym, jak sądzę, dzielący nas ocean nie jest przeszkodą. O położeniu Polski można być poinformowanym żyjąc z dala od niej. Odwrotnie – można żyć w obłokach złudzeń i w świecie mitów mieszkając w Warszawie lub w Krakowie. To prawda, że mity czasami ułatwiają życie, ale prawdą jest także, że działacze niepodległościowi – mimo bardzo licznych wyjazdów za granicę i odwiedzania ambasad zachodnich w Warszawie – przejawiają kompletną nieznajomość polityki zachodniej i często ulegają różnym inspiracjom, jak to miało np. miejsce w sprawie sankcji. W sumie ich działalność na Zachodzie sprowadza się tylko do wołania o pieniądze i pomoce. Gdy jednak tę pomoc otrzymują, w większości wypadków nie tylko nie informują ofiarodawców, jak została wykorzystana, ale nawet nie potwierdzają odbioru.

Zbigniew BYRSKI

Nowy Jork, 20 kwietnia 1987 r.

"Kultura", wrzesień 1987

NATIONAL ENDOWMENT FOR DEMOCRACY

PROGRAM NA 1987 ROK

Free Trade Union Institute – \$ US 412.750 – na pomoc dla niezależnego ruchu związkowego w Polsce. Suma ta jest przekazywana na ręce Biura Zagranicznego "Solidarności" w Brukseli z przeznaczeniem na działalność związkową w Polsce oraz szerzenie na Zachodzie informacji o sytuacji ruchu związkowego w Polsce. Udzielamy także subsydiów nowojorskiemu Komitetowi Pomocy "Solidarności" na tłumaczenie oraz publikację materiałów dotyczących praw robotniczych i ludzkich, ukazujących się w polskiej prasie podziemnej.

Freedom House – subwencja \$ US 110.000 dla dwóch czasopism rozprowadzanych w Europie Wschodniej, kwartalnika politycznego "Aneks" oraz dwutygodnika "Uncensored Poland News Bulletin", wydawanego w Londynie przez Information Centre for Polish Affairs. Dokumenty oraz informacje z pierwszej ręki zawarte w tym ostatnim piśmie przeznaczone są dla prasy, naukowców oraz badaczy na całym świecie.

Institute for Democracy in Eastern Europe /IDEE/ – \$ US 116.000 na dalszą

działalność na rzecz demokracji w Europie Wschodniej poprzez pomoc dla wydawnictw niezależnych, ruchu samokształceniowego i grup obrony praw człowieka w Polsce. W roku 1985 duże i małe wydawnictwa podziemne utworzyły fundusz wydawnictw niezależnych. Funduszem dysponuje Konsorcjum Niezależnych Wydawców, nadzorowane przez Radę Wydawnictw Niezależnych, złożoną z osobistości nie związanych z żadnym z wydawnictw. NED dostarcza konsorcjum środków na maszyny drukarskie, papier, farby oraz dotacje dla wydawnictw.

Polish American Congress Charitable Foundation – \$ US 245.000 na subwencje pięciu programów, mających wesprzeć demokratyczny ruch w Polsce. Program pierwszy – pomoc finansowa i materialna /żywność, lekarstwa, odzież/ dla więźniów politycznych w Polsce i ich rodzin. Większość więźniów została zwolniona z amnestii 1986 roku, natomiast władze PRL zmieniły taktykę i nakładają na działaczy grzywny trzykrotnie wyższe niż ich miesięczny zarobek, krótkoterminowe kary więzienia /50 do 70 dni/, pozbawiają ich pracy lub mieszkania. Subwencje uzyskują też Społeczny Komitet Nauki, Komitet Kultury Niezależnej, Społeczna Komisja Zdrowia i Zespół Oświaty Niezależnej /OKNO/, zapewniające rozwój prawdziwej kultury narodowej. Z dotacji korzysta również Polski Komitet Helsiński, badający przypadki pogwałcenia Umów Helsińskich i publikujący raporty o stanie praw człowieka w Polsce. Utworzona w 1980 roku POLCUL Foundation dostaje fundusze na nagrody dla polskich obywateli zajmujących się obroną praw człowieka i krzewiących kulturę niezależną. Nagrody te są formą uznania dla działalności tych ludzi oraz formą pomocy. Dotacje otrzymuje też polski kwartalnik literacki "Zeszyty literackie", wysoko cenione pismo intelektualne i literackie wychodzące w Paryżu i rozprowadzane w Polsce.

Solidarity Endowment of Washington, D.C. – \$ US 42.000 na dotacje /drugi rok/ dla Independent Polish Agency /IPA/ w Lund, Szwecja, na jej szeroko zakrojony program pomocy dla polskiej prasy niezależnej. IPA powiała i wysłała do Polski publikacje, fotografie, kasety magnetofonowe i video oraz inne materiały nadsyłane z Polski.

Przewidziane są też dotacje Polish American Congress Charitable Foundation na niezależną produkcję filmową w Polsce oraz na zakup filmów dla reprodukcji na videokasetach, pokazywanych w niezależnych ośrodkach video w Polsce.

UWAGI

Ad Free Trade Union Institute: Kwota 300 tys. \$ przekazywana jest w ratach kwartalnych do dyspozycji TKK przez Biuro "Solidarności" w Brukseli. Ponieważ FTUI nie potrąca kosztów administracyjnych, można sądzić, że pozostała część sumy idzie do Komitetu w Nowym Jorku.

Ad Polish American Congress Charitable Foundation: a/ pomoc przeznaczona dla więźniów politycznych wynosiła w latach ubiegłych 90 tys. \$ i była przekazywana do Komisji Charytatywnej Episkopatu Polski przez biuro tej Komisji w Paryżu. Według informacji z Kongresu Polonii Amerykańskiej suma i droga są takie same w roku 1987; b/ kwota 100 tys. \$ dla OKN-a przekazywana jest za technicznym pośrednictwem Biura "Solidarności" w Brukseli na ręce przedstawiciela OKN-a w Paryżu, p. Piotra Lasoty; c/ kwota 10 tys. \$ przekazywana jest dla Komitetu Helsińskiego za pośrednictwem jego przedstawiciela, p. Eugeniusza Smolara.

Można oczekiwać przyznania dotacji w wysokości \$ US 50.000 na umożliwienie filmowcom w Polsce produkcji filmów i kaset video, za technicznym pośrednictwem Biura "Solidarności" w Brukseli.

"Kultura", wrzesień 1987

POMOC FINANSOWA DLA NSZZ "SOLIDARNOSC" Z ZAGRANICY

1. Niezależny Samorządny Związek Zawodowy "Solidarność" jest jedyną organizacją o tej nazwie; utworzony został zgodnie z prawem międzynarodowym i jest powszechnie uznawany za granicą. NSZZ "Solidarność" jest członkiem Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych i Światowej Konfederacji Pracy, demokratycznych central związkowych o zasięgu ogólnosiwiatowym. Związek nasz działa w Polsce; ma władze krajowe, na czele których stoi Przewodniczący Lech Wałęsa, Tymczasowa Rada stanowi jawną reprezentację, zaś funkcje wykonawcze pełni Tymczasowa Komisja Koordynacyjna, będąca gremium przedstawicielskim 10-ciu /aktualnie/ równoprawnych i w znacznym stopniu autonomicznych organizacji regionalnych. Za granicą NSZZ "Solidarność" reprezentowany jest przez Biuro Koordynacyjne z siedzibą w Brukseli, podporządkowane krajowemu kierownictwu Związku w Polsce. Biuro koordynuje współpracę NSZZ "Solidarność" z międzynarodowym ruchem związkowym i pośredniczy w kontaktach między kierownictwem Związku w Polsce a władzami zagranicznych organizacji związkowych, MOP-em i innymi instytucjami. W szczególności Biuro zobowiązane jest do występowania w imieniu NSZZ "Solidarność" wobec "niezwiązkowych organizacji, instytucji i osób" celem pozyskiwania od nich "bezwarunkowej pomocy materialnej i politycznej dla Związku" /cytaty z uchwały TTK w/s Biura z dnia 15 kwietnia 1986 roku/.

Warunkiem przyjmowania przez NSZZ "Solidarność" pomocy materialnej jest to, że nie ofiarodawcy, lecz sam Związek decyduje o sposobie zużycia uzyskanych funduszy. Innymi słowy, NSZZ "Solidarność" przyjmuje tylko taką pomoc, która nie jest związana z warunkowaniami, w szczególności ideowymi, programowymi czy strukturalnymi, nałożonymi przez ofiarodawców.

Poczynając od 1983 roku Tymczasowa Komisja Koordynacyjna NSZZ "Solidarność" opracowuje corocznie - w formie postulatów - globalny budżet potrzeb Związku na pomoc finansową z zagranicy. Dokument ten przekazywany jest do Biura Koordynacyjnego w Brukseli z zaleceniem pozyskiwania funduszy. Biuro przedstawia ten budżet, z prośbą o dotacje międzynarodowym centralom związkowym MKWZZ i SKP oraz AFL - CIO i dużym organizacjom związkowym w innych krajach, a także nie-związkowym organizacjom, instytucjom i fundacjom. Dysponentem wszystkich dotacji dla NSZZ "Solidarność" wpływających na konto Biura są władze krajowe Związku, zaś księgowość Biura kontrolowana jest przez TTK i sprawdzana kwartalnie przez komisję wspólną MKWZZ - SKP.

Tak więc gospodarka funduszami zgromadzonymi za granicą na potrzeby NSZZ "Solidarność" jest w gestii krajowych władz Związku w Polsce, a Biuro brukselskie jest wykonawcą ich dyspozycji. Zasada ta dotyczy sfery decyzyjnej i oczywiście nie ogranicza ilości i rodzaju technicznych kanałów przesyłania pomocy ani punktów jej odbioru przez NSZZ "Solidarność" w Polsce.

2. Dotychczasowa pomoc finansowa z zagranicy

Od roku 1982 sumaryczna wartość rocznej pomocy dla NSZZ "Solidarność" z zagranicy wynosi około 450 tysięcy dolarów. To dużo, jeśli pamiętać, że NSZZ "Solidarność" jest na świecie tylko jedną z bardzo wielu organizacji otrzymujących pomoc. Jednak z punktu widzenia potrzeb NSZZ "Solidarność", zakresu i różnorodności działań podejmowanych przez nasz Związek w Polsce są to sumy dalece niewystarczające. Budżet NSZZ "Solidarność" na rok 1987 opiewa na milion dolarów. Przyjęto w nim następującą ogólną zasadę podziału kwot na poszczególne rodzaje potrzeb: 1. pomoc

dla represjonowanych - 10 %, 2. fundusz organizacyjny kierownictwa krajowego i struktur regionalnych - 30 %, 3. zakup sprzętu za granicą - 25 %, 4. funkcjonowanie Biura w Brukseli - 15 %, 5. pomoc innym ugrupowaniom niezależnym w Polsce - 20 %. Budżet ten opracowany został przez TKK z datą 4 października 1986 roku, zaś tekst zatytułowany "Zasady stosowane przez NSZZ "Solidarność" w zakresie pomocy z zagranicy" stanowi załącznik do tego budżetu /a nie - odrębne "oświadczenie" TKK, jak to bywa mylnie interpretowane/.

Dotychczas największą pomoc finansową dla NSZZ "Solidarność" zgromadzono we Francji zimą 1982 roku. Utworzony w Paryżu zaraz po 13 grudnia 1981 roku Komitet Koordynacyjny NSZZ "Solidarność" we Francji zebrał około 8 milionów franków z dotacji napływających samorzutnie od różnych organizacji, instytucji i pojedynczych osób. Była to spontaniczna reakcja społeczeństwa francuskiego, o skali nie mającej odpowiedników w innych krajach, na represje wobec NSZZ "Solidarność". Ani TKK, ani tym bardziej Biuro brukselskie w tym czasie jeszcze nie istniały i nie uczestniczyły w pozyskiwaniu tej pomocy.

W następnych latach zagraniczna pomoc finansowa dla NSZZ "Solidarność" pochodziła w głównej mierze od związków zawodowych lub była uzyskiwana za ich pośrednictwem. Główną dotacją napływało z USA od centrali związkowej AFL - CIO. Wykaz tych dotacji przedstawia się następująco: w 1983 roku - 200 tys. dolarów, w 1984 roku - 200 tys., w 1985 roku - 300 tys., w 1986 roku - 300 tys., a w bieżącym roku spodziewane jest 325 tys. dolarów.

W krajach demokratycznych, w szczególności w Skandynawii, RFN, Kanadzie i USA, fundusze państwowe, przeznaczone uchwałą parlamentu na realizację programów zagranicznych, zagospodarowywane są nie tylko przez agendy rządowe, lecz również przez różne wiarygodne instytucje niezależne, fundacje, partie polityczne, związki zawodowe i inne organizacje społeczne. Pomoc finansowa, którą NSZZ "Solidarność" otrzymuje np. od centrali związkowej LO - Szwecja czy od AFL - CIO pochodzi właśnie na tej zasadzie ze skarbu państwa, lecz jest przydzielana decyzją zarządów tych central. W przypadku AFL - CIO jest to pomoc od niezależnego Narodowego Funduszu na rzecz Demokracji /NED/, który swój budżet otrzymuje od rządowej Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych /USIA/.

3. Dotacja od Kongresu USA

W dniu 1 lipca 1987 roku Kongres Stanów Zjednoczonych uchwalił dodatkową ustawę budżetową na bieżący rok finansowy /kończący się 30 września/, która zawiera następujący punkt dotyczący "Solidarności":

POMOC DLA "SOLIDARNOŚCI".

Zwiększa się "Fundusz Pomocy Ekonomicznej" o kwotę jednego miliona dolarów, która jest przeznaczona - niezależnie od jakichkolwiek innych regulacji ustawowych - wyłącznie na pomoc dla polskiego niezależnego związku zawodowego "Solidarność".

NSZZ "Solidarność" w Polsce ma otrzymać tę pomoc via Biuro w Brukseli. Ze skarbu państwa USA ma ona być przekazana na konto Biura za technicznym pośrednictwem Agencji Rozwoju Międzynarodowego /AID/, Narodowego Funduszu na rzecz Demokracji /NED/ oraz Kongresu Polonii Amerykańskiej, Północno-Amerykańskiego Studium Spraw Polskich i centrali związkowej AFL - CIO.

Z wnioskiem o wprowadzenie tego punktu wystąpiło 12-tu senatorów w dniu 10 kwietnia 1987 roku, kiedy to rządowy projekt dodatkowej ustawy budżetowej przeszedł już pierwszą debatę w izbie niższej Kongresu /House of Representatives/ i znalazł się na forum Senatu. Wspólną propozycję /Senate Joint Resolution 115/ o udzieleniu NSZZ "Solidarność" tej bezwarunkowej dotacji zgłosił w imieniu wnioskodawców senator Steven Symms /R/Idaho/. Pozostali sygnatariusze rezolucji to senatorzy: Alan Dixon /D/Ill. /., Charles Grassley /R/Iowa/, Donald Riegle /D/Mich. /., Paul Simon /D/Ill. /., Alfonse D'Amato /R/N.Y. /., Christopher Dodd

/D/Conn./, Chic Hecht /R/Nev./, Malcolm Wallop /R/Wyo./, Bill Bradley /D/N.J./, Daniel Patric Moynihan /D/N.Y./ i Gordon Humphrey /R/N.H./. W uzasadnieniu rezolucji wskazuje się, że kierownictwo NSZZ "Solidarność" potrzebuje pomocy finansowej, aby 1. wzmocnić struktury organizacyjne na szczeblu zakładowym i regionalnym, 2. kupować sprzęt poligraficzny i komunikacyjny, 3. udzielać pomocy represjonowanym za działalność związkową, 4. wspomagać niezależną działalność w sektorze akademickim i wiejskim. Stany Zjednoczone powinny – zdaniem senatorów – dać praktyczny wyraz poparcia odważnym członkom polskiej niezależnej organizacji związkowej NSZZ "Solidarność" i dopomóc w ich walce o wolność i o respektowanie praw człowieka.

Osobiste poparcie /co-sponsorship/ dla tej rezolucji zadeklarowali jeszcze senatorzy: Claiborne Pell /D/R.I./, Dave Durenberger /R/Minn./, James McClure /R/Idaho/, Carl Levin /D/Mich./, Orrin Hatch /R/Utah/ i Bob Kasten /R/Wis./. Ponadto w dniu 30 kwietnia reprezentant Jack Kemp /R/N.Y./ zgłosił, w imieniu własnym i reprezentanta Morris Udalla /D/Ariz./, wspólny wniosek /House Joint Resolution 263/ na forum izby niższej Kongresu, identyczny z treścią do wniosku w Senacie.

Tak więc propozycja udzielenia dotacji dla NSZZ "Solidarność" wpłynęła w sumie od 18-tu senatorów i 2-ech reprezentantów, należących równo do rządzącej Partii Republikańskiej, jak i do opozycyjnej Partii Demokratycznej. W obu izbach Kongresu propozycja ta nie wywołała ani jednego głosu sprzeciwu. O przyjęciu wniosku zdecydowali zarówno zwolennicy jak i przeciwnicy polityki prezydenta Ronalda Reagana, zaś wnioskodawcą nie był rząd USA, lecz parlament tego kraju. Na decyzję Kongresu wpłynęły niewątpliwie środowiska polonijne i związkowe USA, które najlepiej znają i rozumieją zarówno cele i zasady, jak i potrzeby NSZZ "Solidarność" oraz stanowią od dawna ośrodki zorganizowanego poparcia dla naszego Związku. Decyzja Kongresu jest jednak przede wszystkim wyrazem sympatii i poparcia dla NSZZ "Solidarność" oraz uznania dla Lecha Wałęsy ze strony tych, którzy reprezentują społeczeństwo amerykańskie.

Do podjęcia uchwały przez parlament konieczne jest wykonanie rozlicznych pomocniczych czynności przygotowawczych. W przypadku omawianego punktu uchwały Kongresu USA, decydujący wkład praktyczny w zainicjowanie i uruchomienie przedsięwzięcia Związek nasz zawdzięcza Michaelowi Hammondowi, działaczowi Partii Republikańskiej i współpracownikowi senatora McClure oraz Joe Claytonowi, demokracie i asystentowi senatora Dixona. Znaczną pomoc okazali także: Alojzy Mazewski, prezes KPA; Andrzej Ehrenkreutz, ówczesny prezes Studium Spraw Polskich; Andrew Jazwicki, asystent senatora Symmsa; Richard Villmire, asystent reprezentanta Kempa; Janice Schultz, Stas Baginski i Ewa Slusarek, działacze grup poparcia "Solidarność"; Jack McCrae, wydawca nowojorski oraz wiele innych osób, sympatyków NSZZ "Solidarność", Amerykanów polskiego i nie-polskiego pochodzenia.

4. Cytowana powyżej uchwała Kongresu USA w pełni respektuje samorządność i niezależność NSZZ "Solidarność". W szczególności zwrot "niezależnie od jakichkolwiek innych regulacji ustawowych" wyklucza ewentualną ingerencję merytoryczną ze strony jakiegokolwiek instytucji amerykańskiej, łącznie z rządem USA. Ponadto, przemawiając w trakcie debaty plenarnej w Senacie w dniu 2 czerwca, senator Symms potwierdził intencję wnioskodawców dotacji dla NSZZ "Solidarność", aby amerykańskie instytucje, pośredniczące w przekazywaniu tej pomocy, pełniły wyłącznie rolę techniczną. Toteż bezpodstawne są obawy, że dotacja ta "uzależni Związek od rządu USA".

Jak i cała poprzednio otrzymywana przez nasz Związek Pomoc, tak i dotacja przyznana decyzją Kongresu Stanów Zjednoczonych jest bezwarunkowa i przeznaczona dla organizacji NSZZ "Solidarność" na jej działalność. Jest więc oczywiste, że krajowe władze Związku mają prawo i obowiązek dysponowania tym funduszem.

NSZZ "Solidarność" będzie nadal zabiegać w krajach całego świata o poparcie, zarówno moralne i polityczne jak i materialne, dla swoich zadań i celów. Otrzymywana pomoc nie wpływa na wybór tych celów ani nie zmienia charakteru naszej organiza-

cji. Wpływa natomiast na możliwość szerzej zakrojonych działań nad urzeczywistnieniem tych celów.

BIURO KOORDYNACYJNE NSZZ "SOLIDARNOSC" ZA GRANICĄ

Bruksela, 3 sierpnia 1987 r.

"Kultura", grudzień 1987

Małgorzata Dziewięcka

NAJNOWSZA POLONIA POŁUDNIOWO-AFRYKAŃSKA

Cóż Polak może mieć wspólnego z Afrykanerem /białym mieszkańcem RPA/? Czy może żyć szczęśliwie w Republice Południowej Afryki? Kim są polscy imigranci w RPA? Dlaczego, gdy świat ogarniała historyczna kampania przeciwko RPA, oni tam jechali? Jaki jest ich stosunek do czarnoskórych mieszkańców tego kraju? Czy to prawda, że wystarczy im, iż rząd południowoafrykański jest przeciwny komunizmowi, by akceptowali jego politykę wewnętrzną? Uniknęli stanu wojennego w Polsce, a od prawie dwóch lat znajdują się pod prawem stanu wyjątkowego w Południowej Afryce. Czy to ich nie przygnębia? Jakiej kategorii obywatelami są w tym egzotycznym kraju? Co myślą ze sobą zrobić wobec ogłoszenia bojkotu gospodarczego RPA i zapowiadanych akcji terrorystycznych ANC?

Autobus się wlecz. Na rozmyślania mam sporo czasu. W Johannesburgu mamy być dopiero o 17.30. Jadę do rasistowskiego kraju, a wraz ze mną, tym samym autobusem, owinięci takimi samymi firmowymi pledami, czarni, biali, kolorowi /Mulaci/, Hindusi. Przedstawiciele wszystkich ras wyróżnianych w systemie apartheidu.

Według danych z roku 1980 RPA zamieszkuje 17 mln Murzynów, 4,5 mln Europejczyków /białych pochodzących z różnych części świata, niekoniecznie z Europy/, 2,5 mln kolorowych /Mulatów/ i 1 mln Azjatów /Hindusów i Malajów/.

Przystajemy na pół godziny, by spożyć śniadanie. Jemy wszyscy w tej samej sali restauracyjnej, przy tych samych stolikach, obsługiwani przez tych samych kelnerów.

Rozmyślaniom moim towarzyszy zimowy krajobraz Transvaalu /prowincji RPA/. Pofalowany teren pokryty żółtą trawą i suchymi krzewami pod słonecznym, bezchmurnym niebem. Zimowe dni są tu ciepłe, temperatura 15-20°, noce natomiast nawet mroźne. W Johannesburgu, położonym na wysokości naszego Giewontu, niekiedy spada śnieg. To tutaj w 1880 roku odkryto złoto.

W Johannesburgu czeka na mnie koleżanka. W samochodzie jej córka Izka stara się mówić po polsku, ale widać, że stokroć szybciej powiedziałyby mi wszystko po angielsku. Hanka przyjechała tu z Australii prawie trzy lata temu. Mąż podpisał wówczas kontrakt z Izbą Górniczą. Australię źle wspomina: małomiasteczkowa atmosfera, życie w zamkniętych grupach towarzyskich, izolacja od świata, asymilacja hamowana głównie przez samych Australijczyków. "Uciekłam od nudy i samotności" - mówi.

Z Polski wyjechała w 1980 roku. Dla fantazji, żeby zobaczyć świat. W Polsce byli dobrze urządzi: mieli mieszkanie, piękne meble, dywany. Pracowali oboje, z pracy byli zadowoleni. Atmosfera i życie towarzyskie Wrocławia też im odpowiadały. "Potrafiłiśmy organizować pieniądze, załatwiać rzeczy niemożliwe, słowem umieliśmy w Polsce żyć! - mówi Hanka. - Zapragnęliśmy jednak spróbować życia na Zachodzie".

Niedawno Hanka rozwiodła się. "Tutaj rozwód jest łatwy, trwa 5 minut, kosztuje 20 randów /około 7 dolarów/ jeśli rozwodnicy nie wnoszą pretensji majątkowych ani innych. Rozwiodłam się z mężem, bo mnie nie doceniał".

Hanka jest absolwentką Studium Budowlanego. Od kilku miesięcy pracuje jako kreślarka w johannesburskiej Radzie Miejskiej. Tęskni za małym miasteczkiem w Sudetach. Izka też wspomina spacery z dziadkiem nad rzeką i góry za oknem. Wybierają się obie do kraju w przyszłym roku.

Właścicielem dużego, ładnego domu, w którym Hanka zamieszkała po rozwodzie jest jej przyjaciel, kawaler, lat 36, inżynier elektryk z drugiego końca Polski. Pracuje w ESCOM – firmie, do której należą wszystkie elektrownie Południowej Afryki. Dom zakupił dla niego zakład, za co on zakładowi spta ca ok. 400 randów miesięcznie /przez 15 lat/. "To jest często praktykowana forma pomocy dużych zakładów pracy dla pracowników" – informuje mnie Anatol. Jak wielu jego kolegów, chciałby mieć żonę Polkę, choć czarne i kolorowe dziewczyny pociągają go jak magnes. Z Hanką wiąże duże nadzieje, zwłaszcza po rozczarowaniu, jakiego doznał z przybyłą specjalnie dla niego, na "zamówienie", wprost z kraju Polką.

"W Polsce miałem wszystko, ale nie mogłem znieść marnotrawstwa, braku kompetencji, złego zarządzania. Pracowałem w dużym zakładzie przemysłowym. Wyjechałem do Wiednia w 1981 roku. Reklama RPA była bardzo atrakcyjna: piękny kraj, bogaty, dobre warunki pracy, mieszkanie, opłacona podróże. Nie wymagano żadnych deklaracji politycznych, podpisywano umowę o pracę jeszcze w Austrii. Nie jechało się w niewiadome. Na system wówczas nie zwracałem uwagi, wystarczyło mi, że nie jest komunistyczny. Przyleciałem tu w 1982 roku". Należy do klubu siatkówki wraz z kilkoma innymi Polakami. Grają dobrze, klub jest coraz bardziej znany w RPA.

Pomimo powodzenia życiowego w Południowej Afryce, oboje nie wykluczają wyjazdu. "Może do USA?". On jeszcze dodaje Amerykę Południową. "Z powodu coraz gorszej sytuacji ekonomicznej, złej – według nas – polityki wewnętrznej, strachu przed Murzynami" – mówią.

W sobotę jedziemy na spotkanie towarzyskie przy ognisku, tzw. braai. Ten zwyczaj spędzania sobotnich popołudni przyjęli Polacy od Afrykanerów. W ogródku innego, również młodego inżyniera elektryka z ESCOM-u, pieczemy na ruszce kiełbaski, wołowinę, zagryzamy chlebem i sałatką, popijamy colda-colę i whisky.

"Musisz się do nas wprowadzić, jeśli chcesz napisać solidny artykuł" – zdecydował Zbyszek.

Pośród najnowszej Polonii Zbyszek jest postacią znaną. Jego dobra znajomość angielskiego, wyniesiona jeszcze z Polski sprawiła, iż mógł pomóc wielu osobom przy załatwianiu różnych spraw w początkowym okresie ich życia w RPA.

Wprowadziłam się do Zbyszków w niedzielę, po mszy. Hanka nie chodzi do kościoła. "Początkowo przychodziłam na polskie msze, ale dawno przestałam. Chodziłam, bo wierzę w Boga. Przestałam ze względu na plotkarstwo pod kościołem".

Kościół wypełniony wiernymi. /Później dowiedziałam się, że nie wiernymi, ale utrzymującymi w ten sposób kontakty towarzyskie/. Panie w tzw. średnim wieku mają identycznie umalowane na rudo i ułożone w loki włosy, zaś wiele z młodszych duże dekolty, jaskrawe spodnie. Spore grono młodych Polaków czeka pod kościołem. W kawiarence panie pośpiesznie parzą herbatę i kawę. Prezes Polonii sprzedaje grzyby – cudowne suszone prawdziwki i rydze w słoikach. Uczestniczyłam jeszcze później dwukrotnie w tych mszach johannesburskiej Polonii. Za każdym razem brakowało mi czegoś, co zawsze odnajdywałam na innych polskich mszach na świecie. Tutaj zgromadzeni zdawali mi się być domem zbudowanym bez zaprawy murarskiej, z luźno układanych cegieł jedna na drugiej. Być może gdzie indziej ową "zaprawą" była tęsknota i troska o kraj? Tu tej zaprawy brak, a innej jeszcze nie znaleziono.

Wprowadziłam się zatem do Zbyszków. Mieszkancko małutkie, okolica raczej brzydka, ale: "czynsz jest bardzo niski, zaledwie 120 randów na miesiąc, do pracy mam 10 minut na piechotę, co np. teraz, gdy skradziono nam samochód, jest bardzo ważne. Bronka ma blisko do sklepów i parku. Moglibyśmy mieć dom, jak inni inżynierowie elektrycy z ESCOM-u, ale ponieważ myślimy o emigracji, nie ma to sensu" – mówi Zbyszek.

Bronka ma trzydzieści lat. Pochodzi z rodziny robotniczej, z małego miasteczka na Dolnym Śląsku. Z zawodu jest instruktorem higieny.

"Wyjechałam do Austrii w październiku 1981, ze stoma dolarami /pożyczonymi/ w kieszeni. Pożegnałam mamę mówiąc, że nie wrócę. Myślałam o Kanadzie. W Polsce nie widziałam dla siebie szans: mała pensja, mieszkanie kątem u dziadka i czekanie na jego śmierć, by móc wyjść za mąż i założyć rodzinę. To nie miało sensu". W Austrii zamieszkała w pensjonacie pod Wiedniem, czekając wraz z innymi na wyjazd do wymarzonego kraju lepszego życia. Złożyła podanie o emigrację do Kanady i Republiki Południowej Afryki Jednocześnie. Na odpowiedź czekała prawie rok. Kanada odezwała się pierwsza: zapewniała przelot, naukę języka, zakwaterowanie. Pracy trzeba było szukać samemu, na miejscu. "Zdawałam sobie sprawę, że o pracę w moim zawodzie będzie bardzo trudno. Zrezygnowałam".

RPA początkowo nie akceptowała samotnych kobiet. "Pod koniec września 1982 roku otrzymałam nagle wezwanie do ambasady RPA - wspomina Bronka. "Zmieniono zdanie. Mimo że samotna, mogłam się osiedlić w tym kraju. Umowę o pracę na stanowisku laborantki w Instytucie Żywności podpisałam natychmiast". Trzy tygodnie później odleciała do Pretorii. Od razu skierowano ją na kurs języka. Wybrała afrikaans. W pierwszym dniu pobytu wręczono jej jednorazową zapomogę w wysokości 750 R. "Za to wystąpiła 'paczka do Polski' - śmieje się. Przez pół roku instytut gwarantował jej pokój na terenie szpitala oraz wyżywienie, za co płaciła symboliczną kwotę 24 randów na miesiąc. Zarabiała 340 R. Na kurs afrikaans była oddelegowana z pracy.

"Byłam bardzo zadowolona z pracy. Prowadziłam badania nad chemicznymi środkami konserwującymi żywność. Była to dla mnie całkowita nowość, ale szef był bardzo wyrozumiały i człowiekiem, a współpracownicy młodzi i zyczliwi. Mimo to w końcu lutego 1983 poprosiłam o przeniesienie do Johannesburga. Tam mieszkała większość moich polskich znajomych, chciałam być bliżej nich. W Johannesburgu pracowałam w Instytucie Wirusologii przy produkcji szczepionek. Fobory były te same, praca ciekawa, lecz atmosfera niemiła. W instytucie tym oświadczone mi, że języka afrikaans u nich się nie używa, że instytut jest anglojęzyczny. To był dla mnie szok. Stałam się znów niemową. W międzyczasie mój dyplom z Polski oficjalnie zakwalifikowano jako odpowiednik dwóch lat studiów na Akademii Medycznej. Szef jednak orzekł, iż w laboratorium są już dwie osoby z wyższym wykształceniem, więc trzeciej im nie trzeba i wobec tego pensji mi nie podwyższy. Zaczęłam zatem uczęszczać wieczorami na kurs krawiecki. Po trzech miesiącach uzyskałam dyplom krawca. Zwolniłam się z instytutu i rozpoczęłam pracę jako krawca w firmie elektryczno-mechanicznej. Wynagrodzenie wynosiło 600 R plus możliwość dobrocia godzinami nadliczbowymi, płatnymi 100 %, jak również bezpłatnie mieszkanie na terenie zakładu".

W lipcu 1985 wyszła za mąż, zrezygnowała z pracy, wyprowadziła się do męża. Obecnie pielęgnuje paromiesięczną Kamę, śliczną, niebieskokątką córkę. Oboje są zadowoleni z decyzji wyjazdu z Polski, ale życie w Południowej Afryce już im nie odpowiada. Chcą wyemigrować do USA. Twierdzą, że sytuacja polityczna jest niepewna, a ekonomiczna się pogarsza. Ona dodaje: "Boję się ewentualnych 'rozruchów'".

Bronka tęskni za rodziną, nie za Polską. Nie stać jej na urlop w kraju. Mąż wkrótce wyjeżdża do Ameryki. Może przyśle dolary na bilet do Polski?

Po Germiston, po Hillbrow, po centrum Johannesburga włóczyłam się sama. Zwiedzałam przebogate sklepy o eleganckich wnętrzach, pełne pięknych ubrań, butów, bielizny, mebli, stosów warzyw i owoców. Podziwiałam kwiaty sprzedawane na ulicach, kawiarnie, restauracje, dyskoteki, dobrze i ładnie ubranych ludzi, sznury samochodów. "Ameryka na końcu Afryki!" - myślałam. Niekiedy byłam, jedyną białoskórą osobą na ulicy. "I nie bałaś się?!" - pytali ze zgrozą w oczach Polacy z Johannesburga. Nie bałam się, bo nikt na mnie nawet nie zwracał uwagi. Może tylko w parku parę Murzynek przyglądało mi się przez chwilę z zaciekawieniem, gdy, jak i one, położyłam się na trawie, by dać odpocząć nogom.

W czasie przerw obiadowych trawniki johannesburskich parków pokrywają się

śpiącymi Afrykańczykami – pracownikami banków, sklepów, urzędów itp. Ktoś kiedyś zrobił im zdjęcie z góry, które potem obiegło prasę świata z podpisem: "Zabici i ranni w Johannesburgu". Nie bałam się, ale czułam się jednak nieswojo. Krępował mnie mój kolor skóry. W Botszwanie, gdzie mieszkam, nigdy nie czułam się tym zakłopotana. Tu mężczyźni mnie myślą, że wystarczy, iż jestem biała, by w oczach czarnoskórych przechodniów uchodzić za tę, która nimi gardzi. Politykę apartheidu odczuwałam niespodziewanie na własnej skórze.

Na weekendy zapraszali mnie Agatka i Radek. Młoda para organizowała spotkania, dając mi możliwość poznania wielu osób. Emigranci o krótkim stażu różnie reagowali na wiadomość, że przyjechałam z zamiarem napisania o nich artykułu. Zwykle od razu pytali: "Dla kogo ten artykuł miałby być?". "Dla kraju" – odpowiadałam. Natychmiast wbudzało to nieufność do mnie. Jedni nigdy się jej nie wyżyli, inni porzucali ją po chwili lub przy następnym spotkaniu. "A jednak nie wolni!" – myślałam, widząc ich zakłopotanie. "Porzucili polską rzeczywistość, krępującą ich ruchy i zniewalającą ich myśli, a jednak do wolności jeszcze im daleko. Czy wolność to sprawa indywidualna czy zbiorowa?".

Radek ma dwadzieścia dziewięć lat, Agatka dwadzieścia pięć. Ona wyruszyła w świat zaraz po maturze, on ukończył w Polsce Technikum Mechaniczne i pierwszy rok prawa. Ona zawód zdobyła w RPA – jest kreślarką. Jak wiele Polek. System polityczny RPA nie przeszkadza jej, nie wierzy, by doszło do wojny domowej czy przewrotu, Murzyni są denerwująco święci – jak mówi – głupotą. Jest bardzo zajęta budową domu, które 55 % kosztów pokrywa jej zakład pracy, i myśli o założeniu rodziny.

Radek: "Do Wiednia wyjechałam w sierpniu 1981. Na Zachodzie nigdy przedtem nie byłam, ale marzyłem o nim. Wyjeżdżałem z myślą, że nie wrócę. Nie widziałem w Polsce przyszłości ekonomicznej, bałem się służby wojskowej. Chciałem jechać do Australii, ale akurat Australia chwilowo nie przyjmowała kawalerów. Dokumenty o wyjazd do RPA złożyłem przypadkowo, namówił mnie do tego kolega. Inaczej wyobrażałem sobie życie poza Polską. Jest trudniejsze niż myślałem. Nie byłem psychicznie przygotowany. Nie jestem jednak rozczarowany". Przy kawie i pysznych ptysiach Agatki toczyły się rozmowy.

"Jak odnoszą się Burowie /potomkowie holenderskich osadników postępujący się językiem afrikaans/ do Polaków i odwrotnie?". "Burowie są ciekawi Polaków. Bur jest dobrze nastawiony do Polaka. Jedyne potomkowie Anglików okazują wyższość. Bur nie traktuje Polaka jako obcego, gdyż Polak jest biały. Nawet okazuje Polakowi szacunek, bowiem przybywa on z Europy. Tu Europy nie dzieli się na wschodnią i zachodnią, co w Europie wyznacza kategorię człowieka – mówili wszyscy razem. – Tutaj Polak wreszcie jest Europejczykiem! Bur jest prostoduszny, żyje dniem dzisiejszym, ważne jest dla niego, by miał whisky, mięso i drzewo na braai. Zna dobrze mentalność 'czarnych'".

Radek: "Bur i Polak mają wiele wspólnego, np. obaj są zadufani w sobie, skorzy do zabaw i wypitki. Na koniec zabawy biją się, jak u nas na wsiach. Obaj lubią plotki i obmawiają się ile wlezie. Obaj są zazdrośni, obaj są nacjonalistami, obaj mają uczucie, że świat ich nie docenia".

Agatka: "Ale Bur potrafi się zorganizować, a Polak nie. Na Bura można liczyć, a na Polaku, w poważnych sprawach, nie można polegać".

Tadek: "Nie można polegać na pierwszym lepszym, ale można na przyjaciółach. Dlatego wśród Polaków tworzą się grupki, w ramach których ludzie bardzo sobie pomagają".

Grażyna: "Polacy uważają się za bardziej 'świadomych' od Bura. W Secunda, gdzie mieszkam i dokąd przybyło 600 osób /do pracy w SASOL/, Burowie się do nas zrazili. Początkowo byli bardzo serdeczni, pomocni. Na lotnisku czekali na nas z kwiatami, w domach czekały nas pełne lodówki i kwiaty na stołach. Ale Polacy zaczęli się upijać. Pili po trzy dni, a na czwarty szli do lekarza po zwolnienie. Zaczęli się wyśmiewać z Burów. Chcieli, by Bur dostosowywał się do ich kultury i obczę-

jów. Zaczęli zazdrościć sobie nawzajem, mieć pretensje, że inny Polak ma więcej, nie patrząc na różnice w wykształceniu i latach pracy. Zaczęli być niewdzięczni".

"Jaki jest stosunek Polaków do czarnoskórych mieszkańców RPA?"

"Stara Polonia uważa ich na ogół za naiwnych – pierwszy odzywa się Stanisław – a to dlatego, że mało ma styczności z inteligencją murzyńską. Szacunek ma do dwóch: dr. Savimbi i dr. Buthelezi. Uważa ich za europejskich Murzynów. Czarni drażnią swą dzicością. Stara Polonia traktuje Murzynkę pomagającą w domu jak przedwojenną służącą, czyli swego rodzaju członka rodziny. Pomaga jej, zaprasza na telewizję. Murzyni mają świetne wyczucie tego, kto naprawdę jest szefem. Dla Murzyna trzeba być sprawliwym. Można go zrugać, akceptuje to, ale nie należy do tego wracać. Nowa Polonia do czarnej służby odnosi się z pogardą".

Radek: "Murzynowi w pracy nie można ufać. Jest nieodpowiedzialny. Przyzwyczajony do tego, że traktuje go się jak głupca, nie myśli – bo boss za niego myśli. Niszczą narzędzia najbardziej niezniszczalne, np. potrafi urwać ramię dźwigu-ładowca". "Albo nie wyłączą tablicy rozdzielczej, gdy wszystkie światła alarmów się palą, choć jedyną rzeczą, którą ma robić i za którą mu płać jest naciśnięcie guzika w takich momentach" – dodaje ktoś inny.

Tadek: "Murzyni nadają się tylko do tańca i śpiewu. Szanują szefa, który ich krótko trzyma. Biali zawsze jest dla nich bogaty, a oni biedni. Gdy się im proponuje godziny nadliczbowe, nie chcą. Mówią, że mają dosyć. Są strasznie naiwni. Ich dziecinna dusza i tęsknotę do wygody wykorzystują różne organizacje. Np. w mojej pracy Murzyn po 10-tej klasie, inteligentny, starający się, pyta mnie pewnego razu: czy to prawda, że w ZSSR wsiałam do wolnego samochodu, jadę dokąd chcę, zostawiam tam auto z kluczami dla innego, który ma ochotę jechać gdzie indziej?".

Zenek: "Ten mit o ZSSR panuje tylko wśród południowo-afrykańskich szarych. Pracuję w kopalni, pod ziemią. Mam w brygadzie m.in. Murzynów z Mozambiku. Dla tych ów mit nie istnieje, a o tutejszych czarnoskórych mówią z pogardą: stupid kaffir /głupi poganin – bardzo obraźliwie/.

Bogna: "Kilka Murzynek jest zatrudnionych w naszym biurze jako sprzątaczk. Całymi dniami robią na drutach robótki na sprzedaż, a ubikacje brudne, kurz z biurek niepościerany, papier toaletowy ze schowka szef musi przynieść. I nie wolno im uwagi zwrócić, bo okrzykną cię rasistką! Jestem oczywiście przeciwko segregacji rasowej, niemniej nie chciałabym mieć Afrykańczyków za sąsiadów: obawiałabym się hałasu, brudu, złodziejstwa, a nie tego, że czarni. Według mnie z pięćdziesięciu lat potrzeba, by wyrównały się poziomy kulturowe. Dlatego jestem za równym traktowaniem, za równą szansą, ale nie za daniem prawa głosu na zasadzie 1 człowiek – 1 głos".

Halina: "Ja nie mam służącej, choć pracy w domu jest sporo. Oboje z mężem pracujemy, dzieci chodzą do szkoły. Przydałby się ktoś do sprzątania, prasowania, gotowania. Ale musiałam Murzynkę zwolnić, gdyż źle pracowała i nie słuchała mych poleceń. Kolor skóry mi nie przeszkadza, ale drażni mnie głupota".

Zenek: "Jak Afrykańczyk się stara, to i traktuje się go inaczej. Kiedyś naprawiałem Murzynowi samochód. Była drobna usterka. Nie wziąłem pieniędzy. On mi za to tort przyniósł! Takiego człowieka będę szanował, bo jest dumny".

"Czy według was apartheid istnieje jedynie w Republice Południowej Afryki?"

"Nie tylko w RPA – jako pierwsza podejmuje kwestię Hanka. – Z apartheidem czyli z segregacją rasową spotkałam się w Australii. Tam aborygeni /tubylcy/ żyją w gettach – rezerwatach, bez prawa głosu. Australijczycy mówią o nich: pijak, głupiec, nic nie potrafi. Większość została wymordowana, więc kłopotów z apartheidem rząd australijski nie ma".

Edward: "Dyskryminacja istnieje wszędzie. Czy na tle rasowym, czy klasowym, plemiennym, narodowościowym. Dla mnie klasowość w Polsce też jest formą apartheidu. Różnica między apartheidem w RPA a gdzie indziej jest ta, że w innych krajach

apartheid polega na prawie zwyczajowym, gdy w RPA stał się prawem formalnym, przyjętym jako oficjalna polityka rządu. Prawnie apartheid w Południowej Afryce już nie istnieje, poza prawem głosu /nad którym właśnie toczą się dyskusje/. Apartheid jednak istnieje w ludziach, z przyzwyczajenia. Czarni i biali są jednakowo opłacani, nie ma prac zastrzeżonych dla białych, małżeństwa mieszane są dozwolone, wybór miejsca zamieszkania nie jest obwarowany kolorem skóry, kina, restauracje, plaże i inne miejsca publiczne dostępne są dla wszystkich jednakowo. Jednak większość Afrykańczyków mało zarabia, gdyż brak im wykształcenia. Często też, jak już mówiliśmy, po prostu źle pracują, by nie powiedzieć, że nic nie robią. By poprawić ich warunki materialne założono liczne szkoły zawodowe, stworzono ogromną ilość fikcyjnych stanowisk".

Tadeusz: "Jednakże w oczach przeciętnego Afrykańczyka reformy te się nie liczą. Jedyńą pożądaną przez niego reformą jest przejęcie władzy, co w jego rozumieniu jest równoznaczne z wyzwoleniem od pracy /symbolem wyzysku/ i spod rządów białych, pozwalającym bezkarnie pojąć wszystko to, czego się ci ostatni dorobili".

"Jaki jest wasz, Polaków, pogląd na system apartheidu w RPA?"

Stanisław: "Mój pogląd na ten temat, podzielany przez wielu Polaków, jest następujący: jestem jak najbardziej za zniesieniem apartheidu, ale to się musi odbyć w drodze ewolucji, nie rewolucji".

"Co sądzicie o bojkocie gospodarczym RPA?"

Teofil: "Świat jest przewrażliwiony i nieuczciwy. Nie daje czasu na reformy, chce nieodpowiedzialnej władzy nieprzygotowanych do zarządzania na europejskim poziomie /na jakim przecież jest RPA/ Afrykańczyków".

Stanisław: "Świat ignoruje faki, że w ostatnich latach w Południowej Afryce zaszły ogromne zmiany. Większość ludzi wyobraża sobie, że Murzyni w RPA mieszkają wyłącznie w okropnych warunkach, w najuboższych dzielnicach. Taki obraz wytworzyła telewizja, która nigdy nie pokazuje nowoczesnych osiedli i dzielnic, gdzie mieszkają dobrze sytuowani Afrykańczycy. Demokracja typu zachodniego nie pasuje do Afryki. Na 56 państw 45 posiada system jednopartyjny, 11 wielopartyjny, a tylko w trzech partie opozycyjne mają jakiegokolwiek szanse wygrania wyborów i zmiany rządu. Nawet najbardziej demokratyczny rząd na świecie nie będzie tolerował działalności organizacji, która otwarcie nawołuje do użycia siły, uprawia sabotaż i popełnia morderstwa polityczne oraz akty terroru, w których giną przypadkowi ludzie. Jednakże krytycy Południowej Afryki żądają zalegalizowania działalności ANC i PAC - dwóch organizacji włączających terror do swoich programów walki o władzę - nawet jeśli nie wyrzekną się one użycia siły. Terrorystyczna kampania prowadzona przez ANC i PAC nie tyle uderza w siły zbrojne RPA, co jest skierowana przeciwko szarym umiarkowanym politykom celem zastraszenia ich. Od początku ruchów we wrześniu 1984 do kwietnia 1986 czarni radykalnie zamordowali 508 afrykańskich umiarkowanych polityków oraz spalili 4.435 domów mieszkalnych, kilkaset szkół i klinik oraz 1.417 sklepów i biur, należących do Afrykańczyków".

Zbyszek: "Niektórzy zachodni politycy lądują się, że ekonomiczne sankcje 'położą' Południową Afrykę i zmuszą rząd do kapitulacji na rzecz ekstremistów z ANC. Na pewno nie, bowiem RPA jest wystarczająco bogata i militarnie silna, by móc utrzymać się jeszcze przez wiele lat. Ale kto najwięcej ucierpi? Oczywiście uboga ludność, w większości Afrykańczycy. Południowo-afrykańskie biuro analizy rynkowej zakłada, że około miliona osób straci pracę na skutek sankcji, w tym tylko 16 % białych. Sankcje ekonomiczne uderzają także w sąsiadów RPA - Lesotho, Swaziland, Botswanę, Mozambik - którzy zależą ekonomicznie od Południowej Afryki i duża część ich dochodów pochodzi z zarobków obywateli pracujących na kontraktach w RPA".

Stanisław: "Sankcje z całą pewnością powiększą bezrobocie i obniżą poziom życia. Powszechnie wiadomo, że bieda prowadzi do rewolucji, a do niej właśnie dążą marksisci w Południowej Afryce i wspierający ich Związek Sowiecki, pragnący rozszerzyć swe wpływy na ten ważny strategicznie i bogaty w minerały kraj".

Przy różnych okazjach zapytywałam niedawno przybyłych do RPA Polaków, co zamierzają ze sobą zrobić w związku z sankcjami ekonomicznymi i zastraszającymi akcjami ANC? Większość mych rozmówców wierzyła w "rozsądne, korzystne dla całej ludności RPA" rozwiązanie, ogólnie oceniała poczynania rządu i kościołów głównych wyznań /np. protestanckich/ pozytywnie. Ci budowali sobie domy, upiekęzali swe mieszkania, starali się o awans w pracy, zakładali interesy, cieszyli się z pięknej przyrody południowoafrykańskiej, narzekali na pomoce domowe i rosnące ceny. Mniejszą grupę stanowili krytycy rządu i poczytna organizacja afrykańskich. Nie przewidywali wprawdzie rewolucji, wojny domowej itp., ale spodziewali się wzrostu przestępczości, np. włamań do domów, napadów na ulicy, kradzieży samochodów, chuligaństwa. Ci pokupowali pistolety czy rewolwery, otoczyli wysokimi murami swoje posesje lub sprowadzili do domów "złe psy", ubezpieczyli wysoko samochody. Żyją czujnie, ale nie w strachu. Małą grupkę stanowili ludzie niezadowoleni z rozwoju sytuacji politycznej i ekonomicznej RPA, widzący krwawą rewolucję na horyzoncie południowoafrykańskim. Liczną grupę stanowili "dolarowcy". Dla nich tylko dolar był "prawdziwym" pieniądzem, tylko Ameryka krajem nieskończonych możliwości i szybkiego osiągnięcia bogactwa /synonimu zadowolenia z emigracji/. Ci, w większości, niczego w RPA się nie dorobili, poza niezbędnymi codziennymi sprzętami i samochodami /będącymi spełnieniem marzeń z Polski/. Sycili się swobodą, egzotyką kraju i jego mieszkańców, posiadaniem "waluty", nierzadko i możliwością okazywania "wyższości" Afrykańczykom i "Portugałom" /jak nazywali Portugalczyków – właścicieli warzywniaków/. Część z nich przebywała już w USA jako "turyści", pracując jako ogrodnicy, stróże domów, kucharki, pomoce domowe /tak panowie, jak i panie!/. Są jednak i tacy, którzy starają się o oficjalną emigrację do Stanów Zjednoczonych, motywując ją "niepewną, niespokojną sytuacją w Południowej Afryce". Tacy posiadają dobrą opinię z zakładu pracy w RPA i zakład w Ameryce wyrażający chęć zatrudnienia ich.

Kilka osób powróciło do Polski ze względu na przydział mieszkania, ewentualną utratę domu w kraju, samotność po rozwodzie z mężem i absolutną bezradność w obcym świecie. Dla niektórych Polonusów, którzy powrócili do Polski z RPA jako bogacze, powód był inny. Opowiedziano mi historię grupy młodzieńców, którzy w krótkim czasie pobrali w przeróżnych sklepach "na spłatę" luksusowy sprzęt domowy, fotograficzny, muzyczny itp., po czym zapakowali w kontenery i odesłali statkiem do Polski. Następnie powrócili do kraju!

Poszukiwani byli listami gończymi przez telewizję południowoafrykańską, żyran-ci, zazwyczaj ich polscy koledzy, niemało zdrowia stracili, a instytucje udzielające pożyczek i sprzedające na raty odmawiają odtąd wszystkim Polakom z nowej emigracji swoich usług.

Nowa emigracja nie utrzymuje bliskich kontaktów ze starą Polonią. Twierdzą, iż kontakty te są raczej sporadyczne, a winą za to obarczają "starych", którzy, jak mówią, zazdroszą nam startu. Moim zdaniem te pokolenia Polaków już się nie rozumieją, a różni je "Polska i bycie Polakiem". W dobrych stosunkach pozostają ze "średnią" Polonią, tą z lat 70-tych. "Ci często służą nam pomocą" – mówią.

Rozmawiam z prezesem Zjednoczenia Polaków w Afryce Południowej. "RPA początkowo chciała imigrantów głównie z Holandii. Chodziło o to, by wzmocnić grupę posługującą się językiem afrikaans. Od roku 1962, kiedy zaczął rozwijać się przemysł, zapotrzebowanie na fachowców zmusiło Południową Afrykę do akceptowania imigrantów innych narodowości. Nabór przeprowadzono w całej Europie. Początkowo przyjeżdżali Polacy z Nigerii i Ghany: inżynierowie, lekarze, którzy po ukończonym kontrakcie z Polsewisem nie wracali do kraju oraz ci, którzy dołączyli do swych rodzin osiadłych w RPA. Nieco Polaków przybyło wówczas z Anglii, Niemiec, Francji. W latach 70-tych spora grupa Polaków przybyła przez Wiedeń, znana niemal wszystkim drogą. Pod koniec lat 70-tych nastąpił ogólny zastój w emigracji do RPA, spowodowany pogorszeniem się sytuacji gospodarczej państwa. Jednakże nie trwało to długo, bo już w 1980-1981 cena złota wzrosła i RPA ponownie mogła ofiarować dobrze płatne prace, wspaniałe wyposażenie sklepów, przystępne dla

wielu ceny wszelkich artykułów i domów.

W tym samym czasie w Polsce ogłoszono stan wojenny. Światowe statystyki podawały, iż poza Polską znalazło się pół miliona jej obywateli. Obozy dla uchodźców w Europie Zachodniej, zapełniły się Polakami. Polonia południowoafrykańska wystosowała wówczas list do rządu RPA, zwracając jego uwagę na powyższy fakt.

Nabór Polaków rozpoczął się poprzez ambasadę RPA w Wiedniu. Konsul Republiki Południowej Afryki, pan Marais, mógł decydować o naborze każdego zgłaszającego się do ambasady. Jedynie w szczególnych przypadkach rozstrzygała Pretoria /siedziba rządu/. Takie postępowanie było przewidziane specjalnym zarządzeniem rządowym. Ambasada RPA zatrudniła wówczas około dwudziestu Polaków – przeważnie uchodźców – jako tłumaczy przy rozmowach wstępnych, wypełnianiu formularzy, podpisywaniu kontraktów itd. Szereg dużych firm południowoafrykańskich wysłało tzw. recruiting teams na okres 2-3 miesięcy. W każdym z tych zespołów /3-4 osobowych/ znajdował się Polak z RPA jako tłumacz. Firmy te ofiarowywały pracę zgodną z wykształceniem i wysługą lat, dobre pobory, urzędzone mieszkania, kurs języka, uznanie dyplomu, zapomogę na zagospodarowanie się, opiekę lekarską w początkowym okresie, przelot. Były to wielkie koncerny kopalniane jak: GENCOR, Rand Mines, Anglo-Vaal, JCI, Goldfields oraz inne przedsiębiorstwa, np. Anglo-American, DOBRYL /walcownie stali/, ESCOM /elektrownie/, SASOL /przetwórstwo węgla na paliwo/, ISCOR /metalurgia/. Dyrektor firmy TOTAL, do której należą stacje benzynowe, z sympatią dla Polaków ofiarował umowy inżynierom architektom i technikom samochodowym. Wiele małych przedsiębiorstw, jak np. samochodowe Siemens, Sigma-Motors, kierując się tym samym uczuciem dla Polaków, zapewniło dobre warunki emigrantom polskim. Instytut Naukowo-Badawczy CSIR ofiarował pracę sporej grupie mechaników, chemików, elektryków, inżynierów lądowych przybyłych do RPA przez Monachium. Lekarze znaleźli zatrudnienie w szpitalach państwowych i wojskowych. Dyplomy lekarskie zostały uznane, ale bez prawa do prywatnej praktyki. Dyplomy politechnik i uniwersytetów uznawane były według międzynarodowego katalogu uczelni. Niemniej uznano je wszystkie z wyjątkiem dyplomów Politechniki Szczecińskiej. Świadectwa techników nastręczały nieco kłopotu z zakwalifikowaniem do klas poziomu technicznego, z których T5 reprezentuje najwyższy szczebel. Na ogół kwalifikowano je jako odpowiedniki T2, niekiedy T3. Miało to znaczenie jedynie w przedsiębiorstwach pół-państwowych, jednak nie wpływało na wysokość zarobków w pierwszej pracy. "T" liczyło się dopiero przy zmianie pracy. Zyskiwało się na "T" po ukończeniu miejscowych kursów technicznych.

Początkowo język stanowił wielką przeszkodę w wykonywaniu niektórych zawodów, np. architekt bez znajomości angielskiego czy afrikaans stawał się kreślarzem. Obecnie po 4-5 latach większość tych Polaków nie ma kłopotów językowych. Mają je ich żony. Nie pracowały i nie uczyły się języka. Wpadają w panikę, gdy mężowie je porzucają.

"Nie każdy jednak mógł okazać dyplom czy świadectwo. Przecież w chwili ogłoszenia stanu wojennego w Polsce wiele osób znajdowało się za granicą czasowo, bez myśli o pozostaniu tam na stałe. Tacy nie brali ze sobą dyplomów ani świadectw. Niek którym odebrano te dokumenty na granicy polskiej. Jakże było postępowanie RPA w takich przypadkach? Aby uznano ich kwalifikacje, dane osoby musiały przysięgać na piśmie i odpowiedzieć na kilka pytań dotyczących zawodu. Np. kopalnie akceptowały emigrantów z PRL na podstawie tego, co sami o sobie mówili, jednakże związki zawodowe domagały się czekania na uznanie kwalifikacji. Zdarzyło się zresztą parę przypadków oszustwa przy naborze w Austrii, np. kuźnierz podawał się za mechanika. Na miejscu okazało się, że nie ma o tej pracy pojęcia. Jednak kopalnia nie zwolniła go, lecz przyuczyła do zawodu elektryka".

"Czy przy emigracji do RPA była wymagana deklaracja polityczna?"

"Rząd południowoafrykański uznawał wszystkich Polaków za uchodźców politycznych i dlatego udzielał im prawa pobytu i od nikogo nie wymagał wystąpienia o azyl polityczny. Zdarzył się tylko jeden wypadek deportacji do Austrii. Dotyczył osoby cho-

rej psychicznie. Austria wydalila młodzieńca do Polski".

"Zauważyłam, iż najnowszą emigrację polską w RPA stanowią głównie młodzi mężczyźni. Czy to przypadek?"

"Nie, to nie przypadek. Nabór dotyczył przede wszystkim mężczyzn. Kilka kobiet – inżynierów chemików /w tym pannę z niemowlęciem/ przyjął SASOL. Garstkę pań – pielęgniarek, lekarek, higienistek – przyjęły szpitale i instytuty żywienia. Kilka kobiet z dobrą znajomością angielskiego zatrudnił TOTAL do pracy w biurze i zarazem do kontaktów ze świeżo zatrudnionymi Polakami. Mężczyźni stanowią 90 % najnowszej Polonii RPA. Do najnowszej emigracji polskiej w RPA należy też grupa byłych marynarzy. Ogłoszenie stanu wojennego w kraju zostało ich w pobliżu brzegów Południowej Ameryki. Jest ich około czterdziestu, przeważnie nieżonatych wilków morskich, którzy zeszli wówczas ze statku. Rząd RPA wyjątkowo zaakceptował ten desperacki krok".

"Żony marynarzy po ok. 2 latach otrzymały paszporty. Z wizami RPA nie miały kłopotu".

"Ile osób przybyło do RPA i jak się to odbywało?"

"W okresie wrzesień 1981 – styczeń 1983 Polacy przybywali do Południowej Afryki dwa razy w tygodniu, we czwartki i w niedziele, w grupach 20-100 osobowych, liniami SAA. Zapewniali po prostu wolne miejsca w samolocie. Później przyleciało jeszcze parę osób indywidualnie. Podróż w 30 % pokrywała zatrudniająca ich firma, zaś w 70 % rząd RPA. W sumie przybyło 3.500 osób.

Na lotnisku oczekiwali ich przedstawiciele firm z tłumaczem, najczęściej przedstawicielem miejscowej Polonii. Zależnie od przedsiębiorstwa, zabierano przybyszów wprost na obiad, po czym do przeznaczonych dla nich mieszkań czy domków, względnie pozostawiano ich na kilka dni w hotelu, dając gotówkę do ręki. Np. koncern GENCOR dawał samotnym 1.000 randów, a 2.000 randów małżeństwom; samotnych zawoził do umeblowanych mieszkań na terenie kopalni, za które wraz z utrzymaniem płacili 60 randów miesięcznie. Małżeństwa otrzymywały domek z podstawowym wyposażeniem. Inna firma, ESCOM, wrażeń 1.000 randów mężowi i 5.000 randów żonie na zagospodarowanie się, a osobie samotnej 1.000 randów. Drobne firmy nie dawały zapomóg".

"Panie prezesie, dlaczego ci ludzie lecieli do Południowej Afryki?"

"Uważam, że głównym powodem, dla którego decydowali się na emigrację do RPA były bardzo dobre warunki pracy i życia oferowane przez firmy tego kraju. Bardzo ważny był też fakt, że nie lecieli w niepewność, bowiem umowy o pracę podpisywali w Wiedniu. Umowy te zobowiązywały do pracy w danej firmie przez 2-3 lata. Po czym pracę tę, miejsce zamieszkania, czy nawet kraj można było zmienić. Również deklaracja polityczna nie była wymagana, co stanowiło niejako furtkę do ewentualnego powrotu do Polski. Przybywający z Wiednia posiadali ważny na dwa lata tzw. dokument podróży. W okresie ważności tego dokumentu mieli prawo powrotu do Austrii, co także eliminowało lęk przed Afryką. Oczywiście, w razie niedotrzymania umowy wszelkie wydatki poniesione przez firmę dana osoba musiałaby zwrócić".

"Jaka jest opinia o nowych emigrantach w Południowej Afryce?"

"Są uważani za dobrych pracowników".

"Jaki jest status polskich emigrantów?"

"Po czterech latach, jeżeli znają oba języki urzędowe, angielski i afrikaans, otrzymują automatycznie obywatelstwo. Gdy władają jednym z nich – po pięciu. Jednakże w pewnych przypadkach, np. wyjazdu na kontrakt do innego kraju, otrzymują obywatelstwo wcześniej. Do czasu otrzymania obywatelstwa posiadają tzw. permanent residence, czyli pozwolenie na stały pobyt. Od momentu wylądowania na lotnisku w Johannesburgu przysługują im wszystkie prawa z wyjątkiem prawa głosu oraz pracy w wojsku i instytucjach z nim związanych, jak np. kopalnie uranu. W ogóle osoby mające rodziny w Polsce, a posiadające obywatelstwo południowoafrykańskie, z reguły nie są zatrudniane w zakładach związanych z wojskiem dopóty, dopóki nie przejdą tzw.

security clearance, czyli sprawdzianu bezpieczeństwa".

"Na skutek sankcji ekonomicznych pracę będą tracić i Polacy. Pewna ich liczba stanie się bezrobotnymi".

"Bezrobotnym przysługuje zasiłek, o ile w utraconej pracy nie zarabiali więcej niż 1.300 randów. Przy wyższych zarobkach prawo wymaga ubezpieczenia się od ewentualnej utraty pracy. Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że każdy nowo przybyły Polak boi się zostać bezrobotnym. W Johannesburgu mamy taką grupę kawalerów, którym bardziej się opłaca pobierać zasiłki i dorywczo pracować, niż być regularnie zatrudnionym".

"Jak wygląda sprawa opieki lekarskiej?"

"Opieka lekarska zależy od zakładu pracy, tj. dotyczy średnich i dużych przedsiębiorstw. Składka ubezpieczeniowa ściągana jest z pensji, przy czym zakład w 50-80 % pokrywa koszty leczenia wszystkich bez wyjątku pracowników".

"Wprawdzie nowa emigracja polska w RPA to ludzie młodzi /najstarsza osoba liczy 51 lat/, w wieku około 45 lat, niemniej o emeryturze muszą myśleć".

"Od każdomiesięcznych poborów wpłaca się ok. 5 % pensji na tzw. fundusz emerytalny. Emerytura równa się przeciętnej z wynagrodzeń ostatnich trzech lat lub z trzech najlepszych poborów. W instytucjach państwowych mężczyźni przechodzą na emeryturę w wieku 65-ciu lat, a kobiety w 60-tym roku życia".

"Podobno wielu nowoprzybyłych Polaków zginęło w wypadkach samochodowych. Dlaczego?"

"Bardzo wiele wypadków samochodowych zdarzyło się zwłaszcza na początku ich pobytu. Mogę wyliczyć co najmniej 20 osób, które znałem, a które zginęły na drodze. Powodów jest kilka: piją, źle prowadzą, kupują samochody nie mając prawa jazdy, no i ruch lewostronny".

Halina zaprosiła mnie na dwa dni do siebie. Syn uprawia lekkoatletykę, wyjechał akurat na obóz sportowy. Zajęłam jego pokój. Domek parterowy, z dużym ogrodem, garażem, ładnie usytuowany. Wewnątrz trzy sypialnie, salon, obszerna kuchnia, spiżarnia, łazienka, wszystko urządzone z gustem.

"Wszystko nowe, braliśmy na raty od widelca po golf. Dostaliśmy też 3.400 randów bezzwrotnej zapomogi. Dom należy do firmy, w której pracuje mąż jako tokarz-ślusarz. Płacimy zaś 35 randów na miesiąc. Możemy go nabyć na własność, ale miesięczne spłaty wynosiłyby wówczas około 400 randów i w dodatku trwałyby 25 lat. Od niedawna i ja pracuję. Jestem kierowniczką dużego sklepu obuwniczego. Zarabiam brutto 889 randów, a mąż 1.870. Po odliczeniu składek ubezpieczeniowych, funduszu emerytalnego, mieszkania itp. zostaje mu na rękę 1.250 randów. Bogaczami nie jesteśmy, ale też w ciągu czterech lat od czasu wyładowania w RPA żyjemy na takim poziomie, tak ciekawie, tak dostatnio, jak zawsze chcieliśmy, a nie byliśmy w stanie osiągnąć w kraju przez wiele lat".

"Dlaczego przylecieliście do RPA?" – pytam.

"W Afryce Południowej jesteśmy wyłącznie dlatego, że jest tu ciepło. Zaakceptowała nas Kanada jeszcze w styczniu 1982, ale ja pragnęłam pod palmę i upał tropiku".

Pewnego wieczoru wybraliśmy się do polskiej knajpki prosperującej w samym centrum ruchliwego Hillbrow pod oficjalnym szyldem "Take away food". Jedzenie na wynos/. Już od progu słychać było soczyste polskie stownictwo. Zajęliśmy stół pod ścianą, na której wisiał gobelin kowarski z białym orłem obok portretu papieża. Sąsiedni stół gęsto obsiedli młodzi mężczyźni. W jadłospisie: pierogi, flaki, bigos. Przy zamawianiu postawny właściciel, eks-marynarz, spytał z wyczuciem: "Ile wódeczek?". Ma widać dobre stosunki z policją. Pierogi były świetne, choć według pań ciasto trochę za twarde. "Widać ta kolorówka /Mulatka w języku młodej Polonii/ z za

bufetu robiła".

"Bar ten funkcjonuje na zasadzie klubu – mówi Zbyszek – wszyscy samotni przychodzą tutaj na flaki i pierogi. Często sprzedawane są na kredyt. Wódka jest spod lady. Ci samotni pracują dorywczo, tj. wynajmują się do remontów hal fabrycznych i różnych urzędzeń. Prace te trzeba wykonać szybko. Pracują wówczas non-stop, np. trzy miesiące. Zarabiają dobrze. Przepuszczają wszystko, oczekując następnej oferty".

Tadeusz: "Polacy próbowali różnych interesów, np. takich "Take away" czy "Fish and Chips" było więcej. Albo robili jedzenie dla Murzynów i rozwozili po zakładach pracy w czasie przerwy obiadowej. Jednak wszystko wzięło w łeb ze względu na spadek wartości pieniądza".

Zenek: "Inni zajmowali się wyklepywaniem samochodów, składaniem ich ze starych wraków. Sam się tym trudniłem. Ale też w końcu się nie opłacało".

Bronka: "Niekórtzy bawili się w handel obrazami. Chodzili po domach udając malarzy i przedstawiali obrazy z Hong-Kongu malowane tam taśmowo przez ulicznych artystów, jako własne dzieła sztuki. Naitni ludzie kupowali".

Radek: "Ostatnio interesem polskimi są mikrobusy-taksówki wypożyczone na weekendy. Pożycza się Murzynowi autobusik w piątek po południu do wieczora w niedzielę, a ten rozwozi czarnych po ich miastach czy wioskach. Murzyn-kierowca płaci od ilości przejechanych kilometrów. Ale Polacy nie dorabiają się na tym. Może 200-300 randów na miesiąc im wpada. Dorabiają się na tym Portugalczycy. Sądzę, że Polacy nie znają mentalności czarnych. Murzyn zawsze wymyśli trudności, na skutek których albo nie wrócił na czas, albo nic nie zrobił, względnie bardzo mało, bo np. policja go złapała, rzeka wylała itp.".

Rozmowy toczyły się wartko, słuchałam ich z ciekawością, starałam się jak najwięcej zapamiętać.

"Czy można żyć bez Polski?" – zapytałam.

Pierwsza odezwała się Ewa: "Można. Jestem z tzw. średniej Polonii. Już szesnaście lat w RPA. Nie tęsknię za Polską. Nie byłam w ciągu tych lat. Nie mam tam nikogo. Oczywiście lubię polską muzykę, książki, język. Ale to mam wszędzie".

"Ja tęsknię za górami. Nawet bardziej niż za rodziną – powiedziała Barbara. – Pochodzę z Zakopanego. Wyjechałam do Wiednia w wrześniu 1981 z myślą, że po-pracuję nieco, zobaczę Alpy i wrócę. Zastał mnie tam stan wojenny. Psychoza, jaka panowała wśród Polaków w Wiedniu sprawiła, iż zdecydowałam się na emigrację. W Wiedniu też poznałam męża. Do RPA przylecieliśmy ostatnim transportem, w styczniu 1983. Domek o powierzchni 100 m² był całkowicie urządzonej. Brakowało tylko telewizora. Dostaliśmy też 4.000 randów na urządzenie się. Za to kupiliśmy BMW. Ja zaszłam w ciążę zaraz następnego dnia, pewnie z tej radości, że nas tak po ludzku, serdecznie potraktowano. Mąż jest tokarzem. Pracuje w petrochemii SASOL. Ja jestem laborantką medyczną. Zadowolona jestem z wyjazdu z Polski, gdyż nauczyłam się wiele, zobaczyłam dużo, pożyłam dostatniej i swobodniej. Chciałabym jednak wrócić do Europy, do Polski w odwiedziny się udać, zwiedzić świat. Gdzieś na kontrakt jeszcze pojechać".

Radek: "Z Polski mam miłe wspomnienia. Chciałbym odwiedzić Polskę, spotkać się z moim towarzystwem, którego mi tutaj brak".

Halina: "Ja miałam dość życia w Polsce: sześć lat mieszkalam kątem u teściowej, potem dwa lata w pokoiku hotelu robotniczego, w końcu swoje M4, którym cieszyliśmy się niespełna dwa lata. Wstąpiliśmy do "Solidarności". Od lipca 1981 zaczęli nam składać wizyty domowe panowie ze Służby Bezpieczeństwa. Przerazało mnie to. Chciałam wyjechać na stałe lub na wiele lat. Mąż raczej na krótko, nie na zawsze. Pojechał do Wiednia wpiery sam, ale wrócił po dwunastu godzinach. Przerzasył się. Tysiące ludzi w kolejkach. Nabraliśmy jednak odwagi i pojechalismy do Wiednia wszyscy czworo. W kieszeni mieliśmy 250 dolarów. Syn dziś liczy siedemnaście lat,

a córka kończy dwanaście. Mała tęskni za babcią. Ja jednak wolę, by siostra i rodzice tutaj przyjechali, niż miałabym jechać tam. Bez Polski mogą się obejść. Wyjadę stąd tylko wówczas, gdy będę do tego zmuszona".

Grażyna: "Ja chcę wrócić do Polski, do mego środowiska. Południowa Afryka niech pozostanie mym dobrym wspomnieniem. Odłożyliśmy z mężem pieniądze na kupno domu. Gdzieś blisko moich rodziców. Myślmy o powrocie spokojnie i poważnie".

"Tym, którzy opuścili Polskę, a nie poprosili o azyl, Polservice zaproponował zgłaszanie kontraktów w zamian za powrót do kraju w tzw. bezkonfliktowy sposób, a nawet z możliwością ponownego wyjazdu" – powiedziałam.

Zbyszek: "Taka propozycja świadczy o niewiedzy lub cynizmie dyrekcji Polservice-u, ponieważ: 1. mieszkańcy, a więc my, mogą wyjechać z RPA za granic, 400 randów na rok; 2. Polservice nie opłaca kosztów podróży, nie daje ubezpieczeń przelotów do Polski; 3. płacimy podatki od swych poborów, a oprócz tego mieszkanie, fundusz emerytalny, liczne ubezpieczenia, np. od wypadku, pożaru, kradzieży, lekarские, na życie, co wynosi w sumie ok. 40-60 % pensji, a w dużych miastach nawet 50-60 %. Przeciętna pensja wynosi ok. 2.200 randów. Milionerami nie jesteśmy, jak widać. Gdybyśmy myśleli o powrocie do Polski via Polservice, to albo nie moglibyśmy żyć normalnie, oszczędzając mocno, albo żylibyśmy normalnie, przekazując do kraju drobne oszczędności przez wiele lat i wiedząc, że za każdym razem Polservice zabiera aż 33 %.

"A ty – spytano mnie – możesz żyć bez Polski?"

"Bez niej czułabym się bezdomną sierotą".

Po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce Polonia południowoafrykańska otrzymała największy procentowy przyrost emigracji: z 5.000 osób wzrosła nagle do 8.500.

Najstarszą grupą emigracyjną jest tzw. grupa cypryjska, przybyła do RPA w 1939 roku, po ucieczce z Polski przez Rumunię. W 1943 przybyła statkiem grupa kilkudziesięciu nauczycieli i wychowawców oraz 500 dzieci osiedlałych ze Związku Sowieckiego. Reszta Polonii jest powojenna. Stanowią ją w większości ludzie wyrosli w Polsce Ludowej czy po prostu już w niej – rodzeni. Na ogół wszyscy są po wyższych studiach, w najgorszym wypadku po szkole średniej. Uważa się, że Polonia południowoafrykańska reprezentuje najwyższy poziom finansowy i kulturalny ze wszystkich Polonii świata. Ci młodzi różnią się od Polonusów znanych mi z Europy Zachodniej. W zasadzie nie mają politycznych zainteresowań, czują niechęć do zrzeszania się, do organizacji, do tytułowania się, nie rozczulają się nad swoją emigracją. Chcą być silni indywidualną wartością, budowaną na rzetelności w pracy, pogłębianiu swej wiedzy, doskonaleniu umiejętności. I za to być cenionymi. Są zaradni, szybki, dobrze zaadaptowani w obcym społeczeństwie. Wielu zajmuje kierownicze stanowiska, prowadzili własne dobrze prosperujące firmy. Bez Polski mogą się obyć. Sprawy polskie interesują ich o tyle, o ile dotyczą rodziny czy możliwości handlowych i czasami sportu. Wyjątki są nieliczne. Myśli ich zajęte są przede wszystkim dorabianiem się i troską o siebie. Być może jest to ciągle zachłystywanie się dostępem do możliwości, szans, do dobrobytu, który jest realny. Być może przyjdzie chwila, gdy nie będą się śmiać z patriotyzmu "starej" Polonii, gdy odrodzi się w nich uczucie troski o "ziemię skąd ich ród", gdy polskość stanie się dla nich ważna. Być może... Na razie zdają się być jakby "uschniętą odnogą narodu".

W Europie Zachodniej Polonia z tego samego pokolenia jest najczęściej sfrustrowana w świecie, którego reguł nie jest w stanie przyjąć. Dla nich polskość jest tą wartością, za którą chcą być cenieni. Polskość niezrozumiała dla wielu ludzi o odmiennej tradycji.

Mimo psioczenia, irytacji, różnych awersji i podejrzliwości wyniesionych z kraju, istnieje jednak Klub Polski a w nim potańcówki, spotkania, wieczornice, koncerty, akademie, sobotnia szkoła polska z językiem polskim, geografiją i historią Polski, Stowarzyszenie Techników Polskich i jego listopadowe bale, harcerstwo i wyjazdy na

oazy, biwaki, kolonie; kluby sportowe, np. tenisowy, siatkówki, rozgrywające mecze na terenie całej republiki; zespół tańca, ba, nawet tradycyjne polskie puszczanie wianków w noc świętojańską. Uroczystością, która jednoczy wszystkie grupy emigracyjne są obchody lotów na Warszawę. W 1944 roku na pomoc walczącej Warszawie lecieli też lotnicy południowoafrykańscy. Stu z nich oddało życie za nieznaną im Polskę. B.H. Austin, oficer Lotnictwa Południowej Afryki, tak napisał później w swej książce "Warsaw Concerto": "Lecieli natchnieni przez ogólnoludzkie motywy humanitarne, by spełnić jedną z najbardziej ryzykownych misji bojowych drugiej wojny światowej".

W dowód wielkiej wdzięczności Polonia RPA organizuje rokrocznie obchody z udziałem burmistrza miasta Johannesburga, ministra obrony, szefa lotnictwa, szefa armii, attachés wojskowych Wielkiej Brytanii, Francji i USA oraz szeregu innych wybitnych osobistości.

Jest jeszcze jedna rzecz, która jednoczy dwie Polonie – średnią i najnowszą: sen emigranta. Sen emigranta nie jest snem szczęśliwym. Ma też to do siebie, że się powtarza. Przez rok, przez kilka lat. Niezmiennie ten sam. Początkowo niemal każdej nocy, potem coraz rzadziej. Polega na tym, że śniący jedzie do kraju, w odwiedziny. Po kilku dniach ginie mu auto, pieniądze, wstrzymują loty, pociąg pędzi w przeciwną stronę, jest aresztowany, śledzony, zabierają mu paszport, zatrzymują na lotnisku, zamykają granice itp. – w każdym razie nie może się już z Polski wydostać!

Budzi się przerażony.

Maun, 1987

Małgorzata DZIEWIĘCKA

KRAJ

"Kultura", listopad 1987

Tomasz Jerz

TWIERDZA NIENAWISCI

Scena pierwsza. W dość obszernej sali, rozświetlonej blaskiem żarówek, dyskutuje grupa dwudziestokilkuletnich i młodszych chłopców. Na ścianie wisi drewniany krzyż. Równe rzędy podniszczonych krzesel i długie, zarzucone książkami stoisko. Chłopcy rozmawiają o artykule, który jeden z nich chciałby opublikować we własnej gazecie.

Do grupy przyłącza się kolejny młodzieniec. Głośnie "Szczęść Boże" i ramię młodego człowieka przeży się ku górze w geście starorzymskiego pozdrowienia, które jednak w Polsce i na całym świecie przypomina znacznie bliższe, mroczne czasy. Szciszony śmiech i wyraźny szepc jednego z zebranych: "o, przyszło radykalne skrzydło". W tej uwadze nie ma nic z nagany. Jest natomiast sympatyzujący z gestem element protekcji i wielkodusznego przyzwolenia. Radykatowie, szczególnie w tym miejscu, powinni witać się właśnie takim pozdrowieniem.

Po raz pierwszy oglądałem podobną scenę "na żywo", nie w polskiej telewizji przepełnionej wojennymi programami. Było to w dolnej sali warszawskiego kościoła przy ulicy Zagórnej. Na chyba niezamierzoną perwersję zakrawa fakt, że z owa świątynia nosi wezwanie Matki Boskiej Częstochowskiej Patronki Armii Krajowej, zaś wystroj głównej kaplicy przesycony jest stylizowanymi emblematami i symbolami akowskich pododdziałów. Kościół na Zagórnej rości sobie miano kościoła skupiającego środowiska kombatanckie, lecz z drugiej strony nawet postronny obserwator zauważy, iż tym, którzy wybrali sobie tę świątynię na miejsce pozareligijnych spotkań, bardziej niż akowskie odznaczenia pasuje nazistowska swastyka.

Scena druga. Za stoiskiem z książkami stoi ubrany w schludną, oliwkową koszulę młody chłopak. Ma poprawnie zawiązany czarny krawat i gładko przyzylizane włosy. Podchodzą do niego dwaj koledzy, rozmawiają o pieniądzach i kwiatkach dla miejscowego proboszcza.

- Bo przecież nie można zostawić księdza prałata samego, kiedy wszyscy go napadają. Parszywa propaganda.

- Kto napada? - pytam.

- Żydzi z "Le Point", BBC, Głosu Ameryki. Ale ksiądz prałat mówi jak Polak i nie chce robić tego, co każe żydowska propaganda. Jesteśmy jak oblężona twierdza, bastion prawdziwej polskości.

Jeszcze kilka słów o sprzedawanych książkach, zakupie nowych pozycji – "kochajmy się jak bracia, liczymy się jak... tfu, sam wiesz kto" – i chłopcy odchodzą po kwiaty dla księdza, który używa katolickiej świątyni sabatom czarownic.

Pozareligijna aktywność skupionego przy kościele na Zagórnej środowiska doczekała się już prasowych publikacji. W kraju pisały o niej pisma bezdebitowe i gazety oficjalne. Pojawił się również niewielki artykuł w "Le Point", powielony następnie przez polskojęzyczne sekcje BBC i Głosu Ameryki. Wszystkie publikacje w krytycznym, aczkolwiek wypływającym z różnych przesłanek sposób wypowiadały się o głoszonym w kościele skrajnym antysemityzmie. Bo faktycznie, żydożerstwo jest kluczowym – chyba że względu na potencjalną atrakcyjność – punktem repertuaru przykościelnych spotkań, wykładów i dyskusji.

Oto główne założenia jednej z prelekcji, wygłoszonej na Zagórnej przez Bogusława Rybickiego, niegdysiejszego kandydata do władz "Solidarności" regionu Mazowsze, który omawiał polityczny kontekst Powstania Styczniowego. Tak więc insurekcję 1863 roku sfinansowali Żydzi w osobie Kronenberga, by w beznadziejnym starciu z carską Rosją wyniszczyć naród polski, a przynajmniej jego patriotyczną lecz bezrozumną młodzież. Oczywiście, forszę trzymał we własnej kieszeni także Żyd, minister finansów powstańczego rządu, Henryk Wohl, zatem wiadomo, kto na tym geszełcie zarobił. Prócz tego sytuacja sprzed Powstania jako żywo przypomina dzień dzisiejszy, zaś najgłębsze analogie dotyczą – rzecz jasna – pozycji i manipulatorskich planów żydo-masonerii. I w 1863 roku i teraz Żydzi stoją po obu stronach konfliktu, uważnie przyglądając się sytuacji i tak nią sterując, by wyrwać Polakom jak najwięcej. To oczywiste, iż w procesie organizatorów ursoruskiego strajku z początków stanu wojennego skazano robotników – Polaków, a korowiec, Żyd i mason. Jan Józef Lipski, został na wolności.

Czy Żydem był ksiądz Jerzy Popiełuszko, tego Rybicki nie dowodził. Stwierdził natomiast, iż Jego działalność duszpasterska /warto porównać tę opinię z licznymi wypowiedziami Jana Pawła II podczas ostatniej pielgrzymki do kraju/ wymierzona była przeciwko pozycji Kościoła i autorytetowi Prymasa. Kto tak postępował podczas Powstania Styczniowego? Jasne, że Żydzi.

Jednak niech nikt nie będzie pewien, że do końca pojął przewrotność i podłość, odkrył zamierzenia wybranego ponoć narodu. Gdy ksiądz Jerzy, wedle wskazówek kardynała Glempa, odciął się od KOR-u, w 1984 roku oksfordzki konwentylk najważniejszych ze światowego żydostwa skazał go na śmierć. Każdy wie, kto wyrok wykonał, lecz funkcja kata jest przecież sprawą drugorzędną. A zresztą wiadomo, że w UB służyli i służą sami Żydzi.

Z tych samych powodów sprzeciwia się pouczeniom Prymasa ksiądz Małkowski. Zna cenę swojego życia – jest nią posłuszeństwo żydowskiemu wytycznym – a uaktywnia się wtedy, kiedy dostaje rozkaz z żydowskiej centrali.

Żydzi – twierdził dalej prelegent – to firmy polonijne, kradnące ojczyźnie i narodowi polskiemu surowce, siłę roboczą i... dzieła sztuki. To rozpajanie narodu – znów analogia do czasów przedpowstaniowych. I wreszcie żydowskie banki, wyciągające łapy po polskie długi. One ponoszą winę za naszą tragiczną sytuację gospodarczą. No, może odrobine przyczyniły się do tego czasy gierkowskie, ale ci, co wówczas nabruździli, już siedzą w firmach polonijnych, czyli u siebie. Bo przecież komunizm nie dlatego jest ekonomicznym bankrutem, że jest komunizmem, ale dlatego, iż został stworzony przez Żydów i Żydów preferuje. Oczywiście, zmowa dotyczy całego świata, lecz przede wszystkim Polski i Polaków, narodu-sumienia ludzkości, przedmurza chrześcijaństwa. Żydami otaczał się Bierut, Gomułka, Gierek, do Żydów lgnął Wałęsa – swój ciągnie do swego. Żydzi prawdopodobnie manipulowali nawet przebiegiem Soboru Watykańskiego II, gdyż z "ducha Soboru" płynie demokratyzacja, zaś wiadomo, do czego demokratyzacja, zwłaszcza w Kościele, może doprowadzić. Żydzi wcisnęli się dokładnie wszędzie, bo właściwie to jedno potrafią.

A ulubiony przez Polaków znak zwycięstwa, "zajączek" pokazywany podczas mszy za Ojczyznę? Ten znak – kontynuuje Rybicki – również nie ma nic wspólnego z polskość-

cią /"od tej litery nie zaczyna się żadne polskie słowo" – wyjątek z mowy generała Jaruzelskiego/. To przecież masoński symbol dwóch sztyletów, powstały w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. Jeden sztylet przeciwko królowi, drugi przeciwko Kościołowi."

Kolejny wykład, prowadzony przez pana Więclawka, doktora, a poświęcony tajnym ruchom w tysiącletniej historii Polski. Na sali jest kilkunastu wyznawców żydo-masońskiego spisku. Jest też grupa studentów Uniwersytetu Warszawskiego, którzy przyszedli obejrzeć polityczny folklor. Na początku wystarczały szydercze uśmiechy i kpiny. Jednak nawet ich nerwy, bądź co bądź obserwatorów tragifarsy, spragnionych coraz to nowych "odkryć" i "sensacji" nie wytrzymały. Zaczęli polemizować z prelegentem i wtedy usłyszeli, że nie znają prawdziwej historii Polski. Gdy okazało się, że właśnie historia jest przedmiotem ich studiów, od kilku młodzieńców chłonących z otwartymi ustami treść wykładu dostali propozycję: "chodźmy za kościół, to pogadamy".

Z treścią prelekcji współgraają sprzedawane na Zagórnej książki. Można kupić "Protokoły Mędrców Syjonu", pozycję sfabrykowaną przez carską Ochronę i entuzjastycznie zrecenzowaną przez niemieckich głosicieli nazizmu i polskich rasistów spod znaku Falangi. Dostępne są wszelkie druki, zazwyczaj sygnowane pseudonimami – jeśli nie liczyć emigracyjnego fanatyka, Jędrzeja Giertycha i Romana Dmowskiego, który z całą pewnością przewraca się w brudnowskim grobowcu wskutek profanacji imienia – a dotyczące roli Żydów w manipulowaniu światem. Są też bezdebitowe – rzecz niezwykła w polskich warunkach – publikacje periodyczne, adresowane głównie do młodzieży, "Nowe Horyzonty" i "Jestem Polakiem".

Czego można się z tych gazet dowiedzieć? Można przeczytać, że: "na to, co się współcześnie dzieje z Polską i w Polsce nie mamy już sił odpowiednio reagować. Doszło do tego, że Polskę, przy współudziale samych Polaków, obwołano 'chorym człowiekiem Europy', potem arbitralnie i wyniośle obłożono sankcjami i długotrwałą karą dyskryminacyjną, gdyż nie udało się doprowadzić nas do politycznego samobójstwa na życzenie naszych rzekomych obrońców spod masońskiego znaku Kielni i Trójkąta. Alternatywa zaś, jaką nam w tamtym czasie przygotowano, była wcale nie lepsza, a zapewne jeszcze gorsza od tego, co miało być zmienneo" /"Nowe Horyzonty" nr 11 z 28 maja 1987 – ocena okresu "Solidarności" i jego reperkusji/.

Wiadomo także, że "Żydy są w opozycji przeciwko tradycji i cywilizacji europejskiej i przeciwko duchowi Europy, który jest duchem chrześcijańskim. A mówiąc o Europie, mówię także i o takich przez Europę zrodzonych krajach, jak Stany Zjednoczone, Meksyk, Brazylia czy Argentyna. A nawet o takich nowych krajach chrześcijańskich jak Zaire czy Uganda" /"Nowe Horyzonty" nr 8 z 28 lutego 1987/.

Poza tym: "uzgodnienia genewskie są podobne raczej do jednostronnego dyktatu żydowskiego niż do oboustronnego porozumienia. Uzgodnienia te spełniają tylko w zasadzie podniesione przez Żydów żądania. Poza tym zarówno w raporcie wydanym w lipcu 1986 roku, jak i w oświadczeniu z lutego br. /1987 – przyp. autora/ podkreśla się wciąż ofiarę Żydów w czasie wojny. Wielomilionowa ofiara Polaków i przedstawicieli innych narodowości jest zawsze na drugim miejscu. /.../ 'Centrum pamięci' ma powstać dzięki staraniom i na koszt Kościoła katolickiego. A jaki będzie udział Żydów? Czy będą tylko przyjmować 'okresowe sprawozdania' od strony katolickiej, aby móc nadzorować wykonywanie podjętych przez nią 'zobowiązań'?" /"Nowe Horyzonty" nr 8 z 28 lutego 1987 – o budowie klasztoru karmelitanek na terenie obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu/.

Antysemitki ataki nie są kierowane wyłącznie przeciwko narodowi żydowskiemu. W pismach z Zagórnej występuje wariant polskiego antysemityzmu, polegający na opluwaniu tak Żydów jak i ludzi arbitralnie posądzonych o żydostwo lub sprzyjanie Żydom. Żydy więc lub fanatyczni filosemici grupują się w Klubach Inteligencji Katolickiej, Znaku, Więzi, w wielu redakcjach pism rządowych, Żydami lub filosemitami, co przecież na jedno wychodzi, są Tadeusz Mazowiecki, Andrzej Wielowieyski, Jan Błoński, a także Jacek Kazożarski, który z kosmopolitycznych pobudek – przejaw sympatii pro-masońskich – wybrał emigrację i mówi, że jest przywiązany do kultury światowej, kie-

rując się jednocześnie na fałszywego wieszczą narodowego. Żydzi to cała opozycja demokratyczna w Polsce. A jeżeli nie Żydzi, to w każdym razie ich poplecznicy, świadomi sprzymierzeńcy lub baranki ulegające manipulacji, co karać również trzeba.

Żydożerstwo rodem z Zagórnej – powtórze – było już niejednokrotnie eksponowane przez środki społecznego przekazu. Czy wynika to z niechęci do rasizmu, czy obowiązku przestrzegania przed wywoływaniem upiorów nie tak znów odległej przeszłości, czy nawet, jak w przypadku mediów zachodnich, ze swoistego kompleksu, który każdy odcieprzedenia do Żydów traktuje jako przrygwykę do kolejnej Treblinki? Nie jest to istotne – ważne, iż wiele piór wykonało z reguły rzetelną, uczciwą i potrzebną robotę. Casus Zagórnej ma jednak szerszy wymiar, przesłonięty z lekka przez fanatyczny antysemityzm, lecz dobrze widoczny szczególnie w kontekście ataków na polskich katolików czy opozycję laicką. Jest nim nienawiść – nienawiść do wszystkiego, co inne, sprzeczne z ultraszowinistyczną doktryną polskich neonazistów. A przy okazji nienawiść wielbiąca swych głównych apostołów, nie bacząc, iż w krajowej, europejskiej i światowej opinii nazwiska tych postaci są synonimami dzierżymordów, satrapów, zwyczajnych kanalii. Znów cytat – wyznanie wiary: "nie ma dziś na świecie prawiicy. Znikła Hiszpania generała Franco; znikła Portugalia Salazara. Z biedą trzyma się tylko Pinochet w Chile" /"Nowe Horyzonty" nr 8 z 28 lutego 1987/.

Dlaczego na Zagórnej nienawidzi się KOR-u, "Solidarności", wszystkich ludzi upominających się o podstawowe prawa człowieka? Po pierwsze dlatego, iż KOR, "Solidarność", Żydzi i masoni to jedno /nie przez przypadek w tamtejszych publikacjach mówi się o "koro-" lub "żydo-solidarności"/. Po wtóre dlatego, iż prawa człowieka to wielkie bałamuctwo, wychodzące poza przykazania Bóże, ogtupiające ludzi i bazujące na tanich, demagogicznych chwytach.

Dlaczego nienawidzi się katolickich intelektualistów z KIK-ów, "Res Publik", Ruchu Młodej Polski? Bo eksponują żydowskie interesy, zdradzili prawdziwą prawięcę, są sprzedawczkami. Bo "czego można oczekiwać od 'elit katolickich', które myślenia uczą się od Spinozy, od Rousseau i encyklopedystów, od Darwina, od Marksa i Nietzschego, od Freuda i Trockiego, od Marcuse'a i Léwi Straussa, a nie znają rzetelnie Ewangelii, Augustyna i Akwinaty? Czego oczekiwać po tych, którzy czytają z wypiekami na policzkach /albo przynajmniej snobują się na to, że czytali/ Prousta, Joyce'a, Hemingwaya, Zolę, Gide'a, – a nie tknęli nawet nowoczesnej literatury katolickiej, a więc Chestertona, Papiniego, Bernanosa, Marshalla i innych? Czy można spodziewać się czego innego od ludzi, dla których autorytetem jest rewolucyjna Deklaracja Praw Człowieka, jest 'wolność, równość, braterstwo', jest Demokracja /pisana wielką literą/, jest Postęp /tak samo!/- a nie jest pismo święte i katechizm?" /"Nowe Horyzonty" nr 7 z 28 stycznia 1987/.

Dlaczego nienawidzi się ruchu Wolność i Pokój? Bo o tchórzostwie Żydów każdy wie, a oprócz tego pozbawianie Polski żołnierzy – było nie było ludzi "dorzonych społecznym szacunkiem i miłością" oddaje Ojczyznę w pacht obcym interesom, gdzie wrogiem nie jest totalitaryzm, lecz żydowskie banki, zachodnia kultura i demokracja. "Dla tych względów nie jesteśmy zwolennikami żadnego, nawet 'realnego' socjalizmu, dlatego też nie zachłystujemy się socjaldemokracją szwedzką, parlamentaryzmem angielskim czy rozwydrzoną demokracją made in USA" – pisze w nr 10 "Nowych Horyzontów" anonimowy autor, wyrażając stanowisko redakcji.

Nienawiść dosięgła młodzieżowe subkultury, bo odciągają młodych od Kościoła i spraw narodu, głoszą satanizm, który jest religią masonów, a więc i Żydów. Rozmoldeni młodzieńcy z "Oaz" i innych wspólnot neokatechumenalnych też nie mają racji, gdyż wierzą tylko pozornie, na pokaz, epatują prawdziwych katolików nastrojem i emocjami.

Na Zagórnej nienawidzi się liberałów, chadeków, konserwatystów, socjalistów. W jednym wadrze należy utopić PZPR, KOR, KPN, RMP. Nienawidzi się narkomanów i homoseksualistów. Gardzi się Żydami, ale też Ukraincami, Niemcami, Węgrami. Wykoślawione do granic człowieczej percepcji koncepcje przedwojennej narodowej demokracji zostawiają margines tolerancji dla Rosji i Rosjan, ale ze wschodnim sąsiadem

też nie bardzo wiadomo.

Kogo więc się kocha? Tych, którzy nienawidzą, ludzi, którym miast poglądów starczy złepki opinii, składających się w klejoną instynktem nienawiści postawę, gdzie brak miejsca na inne uczucia.

Wiara w nienawiść rodzi konkretne konsekwencje. Jaka zatem – w opinii tych młodych ludzi – powinna być polska kultura? Narodowa, katolicka, kościelna, nie taka jak teraz, kiedy jesteśmy zalewani żydowszczyzną, zachodnimi modelami, pornografią, bezbożnictwem. Ale jaka? Nie taka, jaka jest!

Jaki powinien być Polak? Katolik i narodowiec. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

Jaki powinien być świat? Katolicki, wierny, prawdziwie prawicowy, bez Żydów. Ale jaki? Nie taki, jaki jest!

To wszystko głosi się w kościelnym budynku, miejscu będącym w zarządzie instytucji darzonej powszechnym szacunkiem i zaufaniem, pod patronatem kapitanów. Jeden z nich, młody wikariusz, zapytany o treść wykładów i sprzedawanych publikacji, odrzekł, że go nie interesują, że nie wie. Wikariusz klar – już następnego niedzieli, a zapewne i wcześniej, przewracał kartki żydożerczych książek, jak stary znajomy rozmawiał z organizatorami stoiska. Również miejscowy proboszcz nie ma nic przeciwko "Protokołom Mędrców Syjonu" czy "Nowym Horyzontom". Gdyby była to literatura antykościelna i antykatolicka, wówczas musiałby interweniować. Teraz nie ma potrzeby. Poza tym – tak opowiadają parafianie – prałat utrzymuje, że stale nacierają go Żydzi, strasząc zemstą to władz, to własnych, tajnych organizacji, to... Episkopatu.

Na Zagórnej widuje się ciągle te same twarze, przede wszystkim ludzi młodych, w tym kilku studentów, w tym kilku członków z koła Polskiego Związku Katolicko-Spółecznego z Uniwersytetu Warszawskiego. Są też przedstawiciele pokolenia Kolumbów i parę statecznych matron tej generacji. Nie dziwi niemal kompletny brak kobiet i dziewczyn. Zgodnie z doktryną nie powinny przecieć mieszać się do polityki. Wszyscy razem mówią o sobie, iż Zagórna to tylko wierzchołek góry lodowej. Reszta jest dobrze ukryta.

Różna jest także frekwencja na wykładach – od kilkunastu do stu osób. Nieco więcej kupuje wyłożone w księgarni książki. Ale i tutaj nie bardzo wiadomo, kto z nabywców traktuje publikacje jako źródło wiedzy i prezentację postaw zgodnych z jego zapatrywaniami, kto natomiast lubi chwalić się przed znajomymi spisanyymi na papierze bzdurami.

Summa summarum jest to grupa z całą pewnością marginalna, podobnie jak w innych krajach, normalniejszych niż PRL, gdzie zawsze znajdują się środowiska, będące ostoją politycznego Ciemnogrodu. Inna sprawa, że przynależność do takich grup źle świadczy o normalności ich wyznawców.

Czy więc, z racji na ewidentną peryferyjność zjawiska, warto o nim pisać?

– Nie warto – mówi dziennikarz nielicencjonowanej prasy katolickiej. – W Polsce zbyt trudno napisać dobry artykuł o antysemityzmie, prawdziwy i rzetelny, bez zadeć w jedną i drugą stronę. Chcesz wariatów, weź satanistów.

– Nie warto – tym razem opinia licencjonowanego katolika. – Po co zadzierać z Maciejem Giertychem, który gra tam pierwsze skrzypce? Wiesz, kim on jest? Siedzi i w Społecznej Radzie Prymasowskiej i w Jerozolimskiej Radzie Konsultacyjnej.

– Nie warto – mówi starszy człowiek o zacięciu katolickiego neofity. – To będzie donos na cały Kościół powszechny. A przecież Kościół to nasza ostatnia ostoja, także w oczach świata.

– Trzeba – odpowiada zdeklarowany ateista. – Kościół robi czasami dobrą robotę, ale jest również odpowiedzialny za zaściankowość Polski. To nienormalne, by ludzkiem sumieniami w tym kraju rządziła instytucja rodem z zamierzchłego Średniowiecza. Zagórna to najlepszy przykład.

– Może i piszą nieprawdę – mówi ktoś z szarej, milczącej większości, pamiętający

czasy, gdy w Polsce mieszkali Żydzi. – Ale z drugiej strony Żydzi byli lekarzami, prawnikami, krawcami, mieli sklepy i fabryki. Dla nas nie było miejsca.

Nikt nie wspomniał, że każde zło, każda nienawiść, nawet marginalna i jednostkowa winna być publicznie napiętnowana, że jest to wymóg ludzkiej uczciwości. Z jednej strony antysemityzm, obecny w polskim światopoglądzie, z drugiej kościelny budynek, urastający ponad wszelką krytykę, przesłonił szerszy, głębszy aspekt problemu.

Pierwsze artykuły o Zagórnej, które pojawiły się ponad dwa lata temu, były naturalną reakcją na odkrycie egzystujących w zorganizowanej formie pokadów polskiego rasizmu. W kwietniu 1985 roku o wykładach w dolnym kościele pisała "Kultura niezależna". W początkach 1987 roku KOS, później gazety oficjalne: "Polityka", a nawet periodyk MSW "W służbie narodu". Ton i kontekst owych wypowiedzi był zupełnie różny, a to kolejny powód, dla którego sprawy Zagórnej nie należy odkładać do worka zapianych i przebrzmiałych historii. Dla pierwszoobiegowych publikacji była to bowiem kolejna okazja do zaatakowania Kościoła i jego funkcji społecznych, przy czym pretekst napaści był równie dobry jak wtórny w stosunku do propagandowych zaleceń. Fakt faktem, iż antysemitki wyskoki, buchające nienawiścią zebrania odbywają się w świątyni, a samo miejsce spotkań dodaje im mocy i wiarygodności. Prawda, że zagadnięci o sprawę Zagórnej przedstawiciele Episkopatu wykazali zadziwiającą beczność w sprzeciwianiu się złu, a może nie docenili rangi problemu. Faktem jest również, iż wśród części kleru – podobnie jak wśród taksówkarzy, hutników i profesorów – utrzymują się antysemityczne resentymenty. Niemniej to wszystko razem wzięte nie stanowi o całokształcie Kościoła.

Niestety, jest jeszcze ta czarniejsza – bo nasza – strona medalu. Gdyby podobne jak na Zagórnej publikacje sprzedawano pod szyldem żydożerczego skrzydła PZPR-u, awantura w prasie podziemnej i – chciałbym wierzyć – wśród społeczeństwa, byłaby niepomierne większa niż teraz. To, że na Zagórnej prowadzi się aktywną działalność antyalkoholową, dowodzi szkodliwości przerywania ciąży – zresztą stosunek do aborcji jest tam testem na przynależność do mas-onerii – jeszcze nie znaczy, iż takie działania mają jakąkolwiek wartość. "Gdybym wiedział, co tam się wyrabia, nigdy bym nie pozwolił synowi na chodzenie do tego kościoła" – powiedział mój znajomy. Bo przecież Zagórna wygląda z pozoru bardzo przyzwoicie. Zrzęszenia przy kościele młodzież nie pije, nie pali, nigdy nie sięgnie po strzykawkę z polską heroiną, "kompotem". Słucha się wykładów o historii Polski, pamięta o świętach narodowych i – co dla osób wierzących może mieć znaczenie podstawowe – młodzi są także pod opieką duchownych. W świątyni sprzedaje się książki wzbudzające na pierwszy rzut oka zaufanie szarością okładek, dziesiątki publikacji bezdebitowych, o sympatii do których nikogo nie trzeba przekonywać. Więcej, trafiają się tam druki instruktażowe, chwalebne przedsiębiorczość, wyjaśniające zawiłe przepisy prawne, które trzeba pokonać przy zakładaniu własnego interesu. Tak pozytywne kamuflują nienawiść, która jest przecież podstawowym wymiarem Zagórnej. Nienawiść gorsza niż papieros, wódka i "kompot", głupsza od najgłupszego sposobu regulacji urodzin – aborcji.

Zbierający się w kościele młodzieńcy wyglądają na pozór normalnie. Ubrani zwyczajnie, bez drażniącej ekstrawagancji punków czy taniego bogactwa bywalców dyskotek. Czarny, krótki krawat i brnatna koszula militarnego kroju – to strój tak pożądany, jak nieobowiązuje. A nawet taka koszula zobaczona na ulicy, bez asysty książek z Zagórnej i atmosfery dolnego kościoła, pozostanie niezauważona. Jedynym elementem charakterystycznym dla wszystkich jest wpięty w krawat lub kłapę marynarki stylizowany miecz grunwaldzki, symbol waleczności Polaków, oporu przeciwko germańskiemu Zachodowi. Ale kto w ulicznym tłoku zwróci uwagę na mały, metalowy element?

Lecc chłopcy z Zagórnej nie pozostają anonimowi, gdy tylko opuszczą mury swojego kościoła. Od rówieśników wyróżnia ich język, co chwilę wymawiający z czcią i wiernością słowa: Bóg, Ojczyzna, Polska, Polak, naród. Język pełen patosu, sztucznego zadęcia, niejako promujący tych młodych ludzi na dorosłych, świadomych obrońców narodowej sprawy. Nawet nastolatki nie używają zdrobień – w rozmowach padają pełne nazwy, dorosłe imiona, zawsze podaje się ręce. Mają poczucie misji, obowiązku, któ-

ry każdy uczciwy Polak powinien spełnić, tyle że tych uczciwych zostało tak niewiele, więc oni stoją za miliony.

Gdy opowiadam o Zi górnjej ludziom, którzy nigdy tam nie byli, z zasady nie mogą uwierzyć, że rodzima odmiana nazizmu znalazła schronienie w kościele. Nie dlatego, że panująca w środowiskach opiniotwórczych "moda na Żydów" tak sprzegła się z odczuciami przeciętnego człowieka, iż każdy jeden sądzi, że antyżydowskie ekscesy należą do niechłubnej przeszłości. Wiele jest w kraju osób, z którymi można rozmawiać na wszystkie tematy, wyłączając rozmowy o Żydach, gdyż wtedy ze zwyczajnego, mniej lub bardziej mądrego człowieka wyłazi zaciętrzewiony rasista. Ludzie nie wierzą, że młody chłopak wita rówieśników nazistowskim pozdrowieniem, nie wierzą w brunatny kolor noszonych tam koszul, w bogoojczyźniane słownictwo, przepełnione zarazem nienawiścią bez granic. Nie wierzą we wchodzenie w dorosłość pod przewodnictwem księży i świeckich, starszych osób, pamiętających okropności okupacji, częstokroć odznaczonych za walkę w szeregach organizacji zbrojnych; dorosłość, której głównym wyznacznikiem będzie narastający z latami fanatyzm.

"Przypadek, poza, szczeniacka głupota. Widzisz to, co chciałeś zobaczyć" – mówią.

Być może to prawda, być może skrajny nacjonalizm wymaga militarne kroju koszuli, jednak z fasonu i koloru przyodziewku jeszcze nic nie wynika. Niemniej warto pokusić się o odpowiedź, jak wyglądają czy fanatyka, skoro nie są to oczy studenta lub ucznia, sprzedającego po niedzielnych mszach "Protokoły Mędrców Syjonu"?

Tomasz JERZ

"Kultura", listopad 1987

Feliks Jankowski

JESZCZE JEDEN KATYŃ?

Skraj Puszczy Augustowskiej. Piaszczysty gościniec łączy dwie zagubione wśród lasów wioski – Giby i odległy o kilkanaście kilometrów Rygól. W lipcu 1945 wyjechały z Gib tą drogą ciężarówki z zatrzymanymi przez żołnierzy Armii Czerwonej pod kierownictwem NKWD mieszkańcami okolicznych wiosek. Do Rygola jednak nigdy nie dojechali i wszelki ślad po nich zaginął.

Czterdzieści dwa lata później jeden z mieszkańców Gib idąc drogą na Rygól, mniej więcej osiem kilometrów od swojej wioski, zboczył w las. W 1945 był to ośmioletni młodniak – w miejscu widocznym z drogi na powierzchni kilkudziesięciu metrów kwadratowych wyrwano drzewka z korzeniami, karczowisko zamaskowano murawą. Na tej polanie, w środku lasu zwanego Uroczysko Wielki Bór, w lipcu 1987 roku mieszkaniec Gib zaczął kopać i wydobyl umieszczone płytko pod ziemią ludzkie kości. Pytany później, dlaczego akurat teraz i dlaczego akurat tam, odpowiedział, że miał sen. Przyśnił mu się aresztowany przez Rosjan ojciec: "Synu, jestem blisko ciebie, idź na Uroczysko Wielki Bór, a znajdziesz mój grób". Pytany raz jeszcze przyznał, że miejsce to wskazał mu nieżyjący sąsiad, ale nie zdradził jego nazwiska. Miejscowi znali tę polanę od dawna, mówią, że nigdy nie chciały się tam paść krowy.

Więść o znalezieniu zbiorowej mogiły błyskawicznie rozniosła się po okolicy. Furmankami, rowerami, samochodami zaczęli ściągać ludzie. Każdego dnia było ich więcej. Kopali w różnych miejscach polany, wydobywali pojedyncze kości, modlili się, mówili, że szukają grobów swoich bliskich, zabranych przez Sowietów w 1945 roku.

Władze zareagowały dopiero po jakichś dwóch tygodniach. Na miejsce zjechał m.in. prokurator, lekarz z zakładu medycyny sądowej /nota bene ten sam, który brał udział w sekcji zwłok ks. Popietuszkij/ i przedstawiciel... komisji do badania zbrodni hitler-

rowskich. Przyjechano bowiem z gotową wersją wydarzeń: w grobach spoczywają albo hitlerowcy, albo ich ofiary. Nie spodziewano się, że będzie tylu świadków ekshumacji. Kazano ludziom odsunąć się, ale ci napierali. W rezultacie wszystko odbyło się na oczach licznie zgromadzonej publiczności, w większości miejscowych, ale również ludzi z "Solidarności" z Warszawy i Suwałk. To nie bez znaczenia – gdyby nie ich obecność, władzy zapewne udało się przeforsować oficjalną wersję wydarzeń.

Wynajęci robotnicy odsłaniają pierwszy grób. Wskazując na kilka równo ułożonych szkieletów, przedstawiciel władzy mówi z ulgą: "Patrzcie, patrzcie, przecież to nie Rosjanie..." i wszyscy rozumieją, co chce powiedzieć: że nie tak leżą zwłoki ludzi rozstrzelanych w masowej egzekucji. Ale ktoś z miejscowych zauważa zburiałe resztki kozucha i zaraz wśród zgromadzonych pada nazwisko człowieka, któremu matka dała kozuch – choć był to środek lata – ze słowami: "Weź, pewnie cię biorą na Sybir". Przedstawiciel władz z wyraźną radością pokazuje znalezione w rozkopanym grobie: jedną blaszkę od wojskowego buta, kilka guzików od munduru Wehrmachtu, wreszcie pojedynczy znaczek identyfikacyjny niemieckiego żołnierza: "Patrzcie, patrzcie, tu leżą Niemcy". A ludzie na to, że w tamtych czasach wielu nosiło wojskowe buty i kurtki. Nie wiadomo, jak długo toczyłby się ten dialog władzy ze społeczeństwem nad zbiorową mogiłą, gdyby nie fakt, że kolejny ruch łopaty odsłonił dwa szkielety z rękami i nogami związanymi kablem. W tym momencie komisja przerwała pracę.

Parę dni później na konferencji prasowej dla dziennikarzy zagranicznych wysypano na stół sporą garść guzików i znaczków identyfikacyjnych, by oświadczyć, że sprawa jest zamknięta: to są groby niemieckich żołnierzy. Nabierze się na to nawet tak zwykle ostrożny "Tygodnik Mazowsze". Ale pełne tupetu słowa rzecznika nie zamknęły sprawy. Przeciwnie, dopiero wtedy rozwiązały się miejscowe języki. Przede wszystkim obserwatorzy ekshumacji zgodnie stwierdzili, że to była parodia, że na jej podstawie absolutnie nie można wnioskować, czyje kości spoczywają na leśnej polanie. Dalej: że z grobu wyciągnięto tylko jeden znaczek i kilka guzików. Wreszcie, że polana kryje jeszcze sporo nie odkopanych kości. Ale – co najważniejsze – zaczęli mówić o wydarzeniach sprzed lat.

Kiedy Armia Czerwona zajęła Suwalszczyznę, Rosjanie początkowo zachowywali się spokojnie, a nawet przyjaźnie. I nagle, jednego dnia, ruszyła oblawa. Żołnierze szli od wsi do wsi – wedle niepełnych danych było ich 31, wszystkie w pasie otaczającym Puszcze Augustowską – zabierając głównie mężczyzn, ale również kobiety do kilkunastu osób z każdej miejscowości. Do niektórych wsi przychodzili z listą, w innych brali wedle uznania. Jeśli nie zastali człowieka z listy, brali zakładników: całą rodzinę albo jedną osobę. Widać nie było jasnych instrukcji. Komu udało się uciec – ocalał. Nigdy nie wracali po raz drugi. Mówili, że chodzi o kontrolę dokumentów.

Żaden z rozmówców nie pamiętał dokładnej daty rozpoczęcia oblawy – taka nazwa funkcjonuje wśród miejscowej ludności – ale wedle znaków orientacyjnych, narodzin, chrzcin czy odpustów udało się ustalić, że był to 12 lipca. Toczyła się właśnie konferencja w Poczdamie, zapadały ostateczne ustalenia co do granic. Klucza, wedle którego co najmniej kilkadziesiąt osób podpadło NKWD i już nigdy nie dało żadnego znaku życia – dziś nie sposób odtworzyć. Stalin – mówią ludzie – chciał te ziemie oczyścić dla siebie z niepożądanych elementów. A inni, że to był prezent NKWD dla UB – władza komunistyczna była tu stabilna, partyzantka silna, więc Wielki Brat chciał wyręczyć polskich towarzyszy. Najbardziej fantastyczna hipoteza w ustach miejscowej ludności brzmi tak: "zabrali gąsiory, gęsi same pójdą precz" i dalej: że chodziło o wyludnienie tych ziem, aby połączyć Puszcze Augustowską z trzema wielkimi kompleksami leśnymi, które kiedyś, przed wiekami, stanowiły całość. Brzmi to jak bajka, ale jeśli się pamięta Biełomorkanał czy pomysł zawracania biegu syberyjskich rzek...

Najbardziej prawdopodobne wydaje się, że chciano po prostu zniszczyć zaplecze działającej tam partyzantki. Rzeczywiście, wśród zatrzymanych znalazł się na przykład szewc, który robił leśnym buty czy gospodarz, co podwiózł kilku AK-owców furgamanką do ich oddziału. Ale zabrano też młodego mężczyznę, który dopiero co wrócił z oflagu a może z robot, dość że nie mógł mieć nic wspólnego z miejscowym ruchem

oporu.

Przy niektórych nazwiskach widniały pseudonimy z lasu, czasami był tylko pseudonim. Miejscowi tłumaczą to tak: Rosjanie zrzucali na te tereny skoczków spadochronowych, którzy szli do lasu, do AK-owskiej partyzantki, bo innej nie było. Zaprzyżęcnili się tam z ludźmi, którzy podawali prawdziwe nazwiska i adresy. Jak dowódca oddziału był bardziej nieufny, albo wiedział co nieco o przyjaciółach ze Wschodu, zakazywał swoim ludziom dekonspiracji i Rosjanie znali ich tylko z pseudonimów. Ci ocalili, bo oczywiście w czasie oblawy żaden się nie przyznał do leśnego pseudonimu. Ale oblawa nie była wprost na AK-owców. W tym samym czasie złapano człowieka z bronią w ręku, aresztowano, skazano, po dwu latach wrócił z Workuty, a ci z oblawy – kamień w wodę.

W układaniu list pomagali również Polacy, najprawdopodobniej funkcjonariusze UB. Jak zwykle w takich wypadkach zdarzały się całkiem prywatne porachunki. Jakiś ubek zakapował chłopaka, który konkurował do tej samej dziewczyny. Polacy brali też udział w samej oblawie. Jeden z gospodarzy, po którego przyszli, spoił żołnierzy i ci w pijackim rozrzewnieniu poradzili mu, żeby uciekał. Ale uniemożliwili mu to – jak dziś opowiada żona – dwaj Polacy po cywilnemu. Jest ta relacja, jak jeden z zatrzymanych wsiadł do ciężarówki, a tam jakiś Polak wskazując na niego mówi "dobrze, to ten".

W kilku miejscowościach zajęto stodoły i inne budynki gospodarcze – tam spędzano zatrzymanych. Po dwu dniach część osób wypuszczono – też nie wiadomo wedle jakiego kryterium. Jeden z nich, podówczas młody chłopak, opowiada tak: "Podzielono nas na dwie grupy, w jednej sami młodzi ludzie, w drugiej sami starcy i ja. Pomyślałem, że młodzi jadą na roboty, a starzy na rozwałkę i próbowałem cichcem przemknąć do tych pierwszych. Nie udało się. Już myślałem, że po mnie. A tu nas wypuścili, co zaś z tamtymi się stało – jeden Pan Bóg wie".

W Gibach zajęto na taki przejściowy obóz stodołę i kurnik nieżyjącego od kilku lat piekarza Szarejki. Budynek otoczył podwójny pierścień żołnierzy, tak że nikomu nie udało się uciec. Piekarz też siedział w stodołę, ale go puścili. Kilkuletni synek donosił mu jedzenie, reszcie domowników zakazano opuszczać chałupę. Jakaś kobieta przyniosła dla męża krzyżyk i buty. Żołnierz wziął krzyżyk, a o butach mówi: "nie będą potrzebne". W piekarni urzędowało NKWD. Jak już puścili tych, co mieli puścić, ci co zostali wychodzili przed stodołę – ludzie widzieli to z daleka – i przy stoliku każdy coś podpisywał. Co to było: protokół zeznań? Wyrok śmierci? Zgoda na deportację? Nikt nie wie, bo z tych, co podpisali żaden nie ocalał.

Takich miejsc koncentracji było kilka – w Gibach właśnie, w Netcie koło Augustowa. Tam po raz ostatni widziano zatrzymanych. Wywożono ich ciężarówkami. Nie dowiedziono od żadnej linii kolejowej /w okolic, są tylko dwie/, to pewnie, bo krewni i bliscy od razu pytali kolejarzy. Próbowali też iść za śladami kół, ale zgubili trop. Kiedy potem wydreptywali ścieżki do polskich władz, te mówiły, że trzeba pytać u Sowieców. Tylko że Sowieci zaraz potem zabrali się z Suwalszczyzny i nie było kogo pytać. Jeden energiczny oficer, który w październiku wrócił spod Berlina, dopytując się o kogoś z rodziny dotarł do szefa UB w Suwałkach i ten mu powiedział: "wszystkich zabrała kontrrazwiedka 50-tej armii pod dowództwem Polikarpowa". Inny dobił się do prokuratury w Białymstoku, gdzie tłumaczono mu, żeby nie szukał krewnych, bo raczej są w ziemi niż w Rosji. Po 1956 roku zaczęli pisać do Czerwonego Krzyża, do Warszawy, do Moskwy, do Szwajcarii. Zawsąd nadchodziła ta sama odpowiedź: nic nie wiadzą. Niektórzy potracili nadzieję i tylko chcieliby znaleźć groby, inni wciąż wierzą, że bliscy żyją gdzieś na Syberii. Wszyscy chcieliby wiedzieć.

Komitet Poszukiwania Zaginionej Ludności Suwalszczyzny zbiera relacje od miejscowej ludności. Zgłaszają się też ludzie z Polski, którzy w czasie oblawy stracili rodziny. Władze w zasadzie nie reagują – kogoś tam przesłuchano, ostatnio członkowie Komitetu dostali wezwania w trybie administracyjnym w sprawie "niezarejestrowanego związku". Może w dobie gorbaczowowskiej głośności, w czasie, kiedy przebąkuje się, że wreszcie czas odsłonić prawdę o Katyniu byłoby niewygodne prześladować Komitet.

Faktem jest, że jak dotąd działa on bez przeszkód. Tyle że lokalna prasa wypisuje bzdury. A to że pod Gibami leżą ranni z niemieckiego lazaretu, a to że WIN-owcy, a to że rozstrzelani przez Niemców Polacy. To wszystko nie trzyma się kupy. W okolicy nie było żadnych polsko-niemieckich potyczek. Nie było też powodów, żeby transportować rannych w środek lasu. Zresztą Niemcy nigdy się w tamte strony nie zapuszczali, tam rządzą partyzanci. Do 1945 roku – mówią miejscowi – jak się szło tą drogą, to środkiem, nie zbaczając w las. Takie były wojenne obyczaje. Czyż zresztą Niemcy mieliby jakikolwiek powód, żeby maskować groby? Swoje, a choćby i polskie?

Na polanę prowadzą drogowskazy, składa się tam kwiaty i pali znicze. Ludzie mówią, że drugi grób jest w pobliżu Netty.

Feliks JANKOWSKI

Od Redakcji: "Tygodnik Powszechny" nr 39 z 27 września 1987 roku donosi w rubryce "Obraz tygodnia": "Urząd Wojewódzki w Suwałkach rozwiązał i zabronił dalszej działalności Obywatelskiemu Komitetowi Poszukiwań Mieszkańców Suwalszczyzny zaginionych w lipcu 1945 roku".

KRONIKA KULTURALNA

"Kultura", maj 1987

Maria Danilewicz Zielińska

GORZKIE ŻAŁE PRZYBYWAJCIĘ...

Różne "hańby domowe"

"Hańba domowa" z tytułu "rozmów z pisarzami" Jacka Trznadla /Paryż, Instytut Literacki, 1986/ dobrze określa sedno sprawy - zamyka ją jednak w ramach 1949-1955, tj. latach "błędów i wypaczeń" i hegemonii socrealizmu. Rozmówcy Trznadla /np. Andrzej Braun/ zwiężają ją nawet do trzech lat! W rzeczywistości schorzenie trwało o wiele dłużej i było istotniejsze w skutkach, niżby to z deklaracji niektórych rozmówców wynikało. Co więcej: hańba domowa nie wypełzła cichaczem z piekła i nie rozmyła się w odwilży. Miała i ma ciąg dalszy w twórczości Romana Bratnego czy Józefa Łozińskiego - jest chorobą endemiczną. W rozważaniach na temat "Polak jaki jest?" motyw hańby domowej powraca wielokrotnie - rysuje się on ostro w esejach Tomasza Łubieńskiego i powieściach Władysława Terleckiego. Nie zawahał się przed jej zilustrowaniem nawet Sienkiewicz, wielki krzepiciel serc; Targowica stała pod jej znakiem. Nawet w życiorysie "wielkiego Adama" dopatrzeć się można skaz, a w twórczości gorzkich żalów i usprawiedliwień.

"Hańba - domowa" z wiersza Norwida "Duch Adama i skandal" odnosiła się konkretnie do waśni emigracyjnych z lat 1850-tych i porachunków natury personalnej - i to ją do tych rozmiarów redukuje. Trznadel nadaje jej rangę wyższą: z niewolonego umysłu. W kilku wypowiedziach jego rozmówców tkwi w podtekście wskazówka, że prowodyrzy inspirujący młodych poetów i dziennikarzy mieli przed oczyma wyrażne wzory sowieckie - wyniki fachowego przeszkolenia. Ujawniała to także technika agitacji powrotowej, stosowana w Londynie jesienią 1945 roku. Nie bez kozery było kierowanie młodych rusycystów na studia do Moskwy - nie brano jednak pod uwagę ewentualności drastycznych przeobrażeń w ich pozornie tylko zniewolonych umysłach. "Hańba domowa" z rozmów z Trznadlem była wypadkową "domowych" błędów i wypaczeń, skutków wojny, izolacji od Zachodu, systematycznej dezinformacji, a nade wszystko umiejętnie dawkowanej indoktrynacji i psychologicznej wojny nerwów z niepokornymi Lachami. To więcej, niż potępienie odosobnionego bądź co bądź incydentu na pogrzebie Mickiewicza. Konflikt z inaczej myślącymi rodakami występuje w rozmo-

wach tylko drugoplanowo; od milczącej /szarej?/ większości odgradza ich "szklany mur" nieufności, osobliwa umiejętność zamykania oczu na otaczającą ich rzeczywistość – a później akceptowanie żalosnej prawdy, iż "trzeba było żyć", choćby kosztem zakłamania podszytego przeświadczeniem, że inaczej być nie może, że jakoś to będzie – albo i czarnowidztwa, bo światła w tunelu nie było widać i, jak się dziś ma-
wia – "zaciągnęło się".

Prehistoria socrealizmu

Przed słynnym zjazdem szczecińskim ZLP /1949/ sprawnie funkcjonowała już cenzura. W czambuł potępiano pisarzy emigracyjnych, szykanowano i likwidowano wydawnictwa prywatne usiłujące kontynuować linię przedwojenną, przemilczano poetów Podziemia, a na szerszym tle ludzie z lasu toczyli nierówną walkę o wolność i honor, o Lwów, Wilno i prawdę o Katyniu. Wcześniej była lwowska jesień 1939, we wstrząsający sposób przypomniana przez Aleksandra Wata w "Moim wieku" i Olę Watową w "To co najważniejsze", w rozmowach z Trznadłem. W czasie wojny Państwowe Wydawnictwo Mniejszości Narodów ZSSR i Związek Patriotów Polskich, nie obwijając swych intencji w bawełnę, produkowało w masowych nakładach literaturę propagandową przemieszaną z próbkami twórczości Mickiewicza i wiekopomnymi utworami tow. Wandy Wasilew. Jak bardzo była wstydliva twórczość skąpowanych przez nią pisarzy, świadczy fakt, że po roku 1945 nie przedrukowano nie tylko "Nowych Widnokręgów" /1941–1945/, ale nawet nie wydano poświęconej im monografii czy antologii wybranych tekstów.

Wydawane w Sowietach książki i broszury w języku polskim miały charakterystyczny, ujednolicony wygląd: szarobure okładki ze słabo odbijającym od tła, rozmażanym tytułem. Wczesne wydawnictwa krajowe, choć ukazujące się na ogół w nieco większym formacie, wyglądały tak do nich podobnie, ze w wczesnych latach powojennych czytelnicy Biblioteki Polskiej w Londynie, mający za sobą świeże daty przeżycia z ZSSR albo odrzucali je automatycznie, albo ostrożnie wypytywali, czy "Krata" Gojawiczyńskiej, "Najeżdźcy" Dobraczyńskiego, "Z kraju milczenia" Żukrowskiego itd. nie są przypadkiem wydawnictwami moskiewskimi. Odruchy te występowały nie tylko u tych, którzy świadomie przenosili kapitalistycznej gniot nad mgliste obietnice poniewolniczych gospodarstw na Ziemiach Odzyskanych, lecz u ogółu "dipisów" przeczucanych z kraju do kraju i z namiotów do "beczek śmiechu". Byli to rodzice pokolenia, które w latach 1960-tych objawiło się na wyższych uczelniach Zachodu – pokolenia mającego za sobą, jak świadczą książki Janiny Kowalskiej, trudne okresy aklimatyzacji, nie postawionego jednak przed "szklanym murem" mnogich form zakłamania. Ich krajowi rówieśnicy poddawani już byli wówczas na całego wypróbowany w siedemnastu republikach zabiegom deformacyjnym. O ich intensywności, tempie wdrażania i zakresie świadczą wymownie podręczniki szkolne, szparko podążające za aktualnymi wytycznymi, co rok poprawiane i uzupełniane. Gdy brakło odpowiednich tekstów polskich, sięgano do podręczników sowieckich, wylawiając z nich i tłumacząc takie np. wzruszające piosenki, jak przytoczona poniżej a wyjęta z ćwiczeń ortograficznych dla klasy czwartej szkoły podstawowej:

"Na dębie zielonym, hen, ponad przestwory,
Dwa jasne sokoły widły rozhowory,
A owe sokoły ludzie rozpoznali:
Pierwszy sokół – Lenin, drugi sokół – Stalin."

Niestrudzonymi i ślepo posłusznymi wykonawcami zaleceń partii stali się w "najgorszym okresie" Ryszard Matuszewski i J. Z. Jakubowski, których zwierzenia na ten temat byłyby niewątpliwie interesujące.

Szkłany mur Zbigniewa Kubikowskiego

Naiwne odruchy czytelników londyńskich są wczesną manifestacją oporu przeciw indoktrynacji. Pogląd, że są one charakterystyczne dla ogółu deportowanych do Rosji popiera Zbigniew Kubikowski /zm. 1985/, którego wypowiedź otwiera "Hańbę domową": "Pamiętajmy o jednej rzeczy – sformułował jasno swój pogląd – znakomita większość tych, którzy przeszli przez obozy sowieckie, przeszli przez tamtą stronę, w zasadzie została na Zachodzie. Był tutaj powien przedziwny podział: Polacy w Kraju mieli doświadczenie okupacji hitlerowskiej, natomiast w gruncie rzeczy nie mieli doświadczenia rosyjskiego" – "to byli ludzie, po których już przeszli ten ulec i już byli uformowani, przepuszczeni przez system" /str. 41/. Sądzi, że we wczesnym okresie to, co się stało, było jednak lepsze od okupacji niemieckiej dla "całej Wielkopolski, całej Kongresówki, całej zachodniej Galicji. Poza Krajem było inaczej: przemieszani w wojsku i w obozach cywilnych 'dipisili' cytowali się niekiedy, kto więcej przecierpiał, ale zasadniczo byli zgodni w ocenie metod sowieckich".

Kubikowski /1929-1985/, kolega Trznadła z Uniwersytetu Wrocławskiego, podjął ok. 1980 roku ambitną próbę całościowego opracowania problemów prozy polskiej w cyklu przerwanych chorobą i przedwczesnym zgonem artykułów drukowanych w latach 1983-1984 we wrocławskim miesięczniku "Odra" pod tytułem "Szkłany mur". Ogłaszane w piśmie, ukazującym się jawnie, są one poddane, sądząc z ilości znaków "Y..."/"pracowitym ingerencjom cenzury, tak licznym, że wyraźnie deformującym sens całych ustępów. Daje się to w szczególności odczuć w omówieniach twórczości pisarzy emigracyjnych, których Kubikowski starał się jak najszerzej uwzględnić w oparciu o dobrą znajomość tekstów.

Obraz lat 1945-1956 w ujęciu Kubikowskiego uzupełnia "Hańbę domową" w tym przede wszystkim sensie, że wydobywa na światło dzienne i hierarchizuje ogół czynnych w owym czasie pisarzy – a więc ogarnia znacznie większą ilość zjawisk i charakterystyce ich tło, podczas gdy Trznadł zmierzał do odtworzenia doświadczeń "typowych", że się tak wyrażę, pisarzy czynnych na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych.

Kubikowski sądził, że początki zabiegów indoktrynacyjnych wyglądały niewinnie. Wczesne numery "Kuźnicy" mogłyby ukazać się przed 1939 rokiem, a "Tygodnik Powszechny" był w początkach istnienia partnerem mającym prawo do "swoich poglądów"; sądzi jednak, iż owa pseudo-swoboda mieściła się w taktyce reorganizatorów życia kulturalnego i była tolerowana do czasu. Młodzi tego nie wyczuli, uważa jednak że pisarze wówczas 30-letni – "seniorzy" w stosunku do przyszłych "pryszczatych" – /a więc Kazimierz Brandys, Dygat, Żukrowski/ wiedzieli o czystkach, Jalcie, Katyniu, a przede wszystkim o przedwojennych powiązaniach polskich radykałów Lewicowych z ambasadą sowiecką w Warszawie, cichym finansowaniu pism literackich itd. – odsłania je Wat w "Moim wieku". Ale nawet "ludzie typu Żółtkiewskiego" sądzili, że "społeczeństwo będzie pluralistyczne" i nie narzucali współpracownikom redagowanych przez siebie pism postulatów uniformizacji. Inaczej, sądzi Kubikowski, myśleli zaprzędani już wtedy: Putrament, Jerzy Borejsza /"mądry enkawudysta"/ zapewne i Ważyk. Słowem: aktyw lwowski. Tu jednak strzec się trzeba uogólnień.

Aktyw lwowski

Rolę tzw. aktywu lwowskiego omówił znacznie obszerniej Bohdan Urbankowski w części I-szej "Rozdartego świata" w "Poezji" z marca 1986. Przypomina on, że we Lwowie działali m.in. Wanda Wasilewska, Fedeusz Boy-Żeleński, Elżbieta Szemplińska, Leon Pasternak, którzy weszli nawet do zarządu Związku Sowieckich Pisarzy Ukrainy, a także Melania Kierczyńska, Jerzy Borejsza, Adam Ważyk, Paweł

Hoffman, Paweł Hertz, Jerzy Putrament, Stanisław J. Lec, Mieczysław Jastrun, Adolf Rudnicki, Karol Kuryluk, Erwin Axer, Julian Przyboś, Włodzimierz Słobodnik i inni. Podobna strukturalnie, choć bardziej rozproszona grupa organizowała się wokół wychodzącego w Mińsku "Sztandaru Wolności", w którym pisywali m.in. Janina Broniewska, Jakub Berman /także jako Jan Brylak/, Juliusz Burgin, Stefan Wierbłowski, Wilhelm Billig, Feliks Papiński i in.". Urbankowski dodaje: "Artykuły i wiersze większości tych działaczy były tak egzaltowane, że czyta się je jak niezmiernie auto-parodie!". Pisano je wytrwale nawet po aresztowaniu we Lwowie Broniewskiego, Wata, Sterna, Parnickiego i Peipera. Urbankowski widzi w tym "klucz do tajemnicy owego lobby, które potem obejmie stanowiska w zarządzaniu polską kulturą, klucz do jego dyspozycyjności i do jego upartej wiary zamykającej oczy na fakty przeczące utopii".

Etapy wpadania w pułapkę

We wczesnej fazie wcielania w życie metod sowieckich na plan pierwszy wysuwa się dezinformacja i przemilczanie niewygodnych tematów. Dopiero w roku 1949/1950 – pisze Kubikowski – "zanknęły się jakieś żelazne drzwi i nagle znaleźliśmy się w normalnym lagrze" /str. 46/, "wpadliśmy w zasadzkę". Uznano, co Trznadel uważa za "świadomość cyniczną", że w systemie stalinowskim są dwa wyjścia: "albo brać udział, albo być przeciwnikiem tego wszystkiego". Kubikowski sądzi inaczej. Na przykładzie Żukrowskiego z okresu powstawania "Mądrych ziół" ilustruje etapy pogrążania się w stalinizm, "sterowania życiem", zgody na skreślenia cenzury, opanowanie "sztuki rezygnacji" z zakwestionowanych fragmentów. "Złamali go /tj. Żukrowskiego/ pewnie bez większego oporu" – i co więcej tak umiejętnie, że się dotąd z pułapki nie wydobył, sam sobą poniewierając.

Bardzo znamienne są wspomnienia studenckie Kubikowskiego o pisarzach, których uważano wówczas we Wrocławiu /ok. 1950 roku/ za "seniorów", a był już wśród nich prof. Jan Kott, dobrze wiedzący "co mamy robić" i co może przejść przez sita cenzury "w tym ustroju".

Taki tryb rozumowania narzucał przede wszystkim Stefan Żółkiewski, reprezentacyjny "zniewalacz", mistrz urządzania się, autor karykaturalnych interpretacji twórczości Mickiewicza, współtwórca języka IBL-owskiego.

Urbankowski /str. 22/ w refleksjach o początkach aplikowania socrealizmu, jako doktryny obowiązującej od IV /szczęcińskiego/ Zjazdu Literatów /20-23 stycznia 1949/ przytacza anegdotę /?/, związaną z ostrą krytyką poezji Gałczyńskiego. W toku dyskusji Żółkiewski porównał go "do drobnomieszczańskiego kanarka". Urbankowski pisze dalej: "Kiedy w profetycznym zapale miał wykrzyknąć 'należy ukreć leś temu kanarkowi', Gałczyński, równie proroczo, odpowiedział: 'wtedy zostanie wam już tylko klatka". Ważyk solidaryzował się z Żółkiewskim, określając Gałczyńskiego jako "apologetę drobnomieszczaństwa". Po tym wyroku – jak świadczy córka Gałczyńskiego, Kira /"Zdanie", 1985, nr 12/ – "Gałczyński mogli tylko sporadycznie drukować pojedyncze wiersze", "życie ojca w Polsce Ludowej trwało zaledwie siedem lat, z których zabrano mu półtora". Zmarł 6 grudnia 1953, częściowo ulaskawiony dzięki interwencji... Putramenta w dyskusji nad twórczością Konstantego Ildefonsa ocenianej na zebraniu Sekcji Poezji ZLP przez Hieronima Michalskiego. Czytając "Hańbę domową", trzeba stałe pamiętać o złowieszczym wpływie prowodyrów na otumanionych szkołą, radiem, prasą dwudziestolatków.

Izolacjonizm starszych pisarzy

Zatrzymać się warto przy starszych wiekiem pisarzach, szukających przyzwoitego modus vivendi, a więc np. pozornie zaabsorbowanej przykładem Pepsy'a Dąbrowskiej, rozpaczliwie pertraktujących z cenzurą członkach redakcji "Zeszytów Wrocławskich" /np. rozdwojonym na rzetelnego uczonego i władającego sprawnie językiem urzędowym

prof. Tadeuszu Mikułskim/.

Kubikowski powraca kilkakrotnie do analizy postaw zajętych przez seniorów, pamiętających zaborców pierwszą wojnę światową i ciągnące się długo po jej zakończeniu lata chaosu, "z których się przecież coś wyłoniło". Sądzi, że "tak długo być nie może", słowem stawiali na "przeczekanie". Podobne wrażenie odniósł później Wierzyński z rozmów z Marią Dąbrowską, która – jego zdaniem – przeceniała wagę oznaki rozluźnienia cenzury czy nieco większe swobody wyjazdów za granicę: "Przecież tu jestem", powtarzała najwiecej w czasie ukradkowych spotkań w Londynie, Paryżu czy Bernie... Rozumowanie takie tłumaczy zachowanie nie tylko Dąbrowskiej, ale i Parandowskiego, Staffa i Morstina. Zmечeni historią, postawili na biologiczne przetrwanie, milcząc, z rzadka korzystając z ograniczonych szans druku. Oni jednak – choć Kubikowski i Urbankowski tego nie wydobywają – zapisali się w prehistorii odwilży "Zegarem słonecznym" /1953!/, "Na wsi weselen" /1955/, lansowaniem tematów antycznych w okresie rugowania łaciny z programów nauczania. Konsekwencją tej postawy była ostrożność w udzielaniu rad debiutantom. Dobrym tego przykładem jest stosunek Anny Kowalskiej, redaktora "Zeszytów Wrocławskich" do "akowskiej" powieści Kubikowskiego. Odmowę umotywowano "kwestiami stylistycznymi", a nie tematem poprzednio zaakceptowanej do druku powieści. Kowalskiej "ani przez myśl nie przeszło, żeby powiedzieć, dlaczego naprawdę mi to /tj. maszynopis utworu/ oddaje". Jednak się z tym pogodził: "Trzeba było żyć".

Werbunek młodych pisarzy

We wczesnych latach powojennych gorączkowe zaspokajanie głodu słowa drukowanego otwierało szerokie możliwości debiutantom. W zestawieniu z dołą "dipisów" działo się im dobrze. Wieczory autorskie były wielkimi przygodami, zamieszkanie w Szczecinie, Wrocławiu czy na Wybrzeżu miało charakter "poczekalni" przed posadami w stolicy. Wylaniające się jak spod ziemi czasopisma i wydawnictwa dawały łatwe szanse druku i wręcz wabiły młodych pisarzy. Stąd mnogość debiutów, stąd idące w setki członków Sekcje Młodych ZLP, stąd laureaci najosobliwszych nagród, konkursy jednego wiersza, almanachy kreujące regionalne wiłki. Nie były to jednak wylęgarnie talentów, a raczej biura werbunkowe partii. Z tych szeregów wyszli chwalcy Stalina i Bieruta, autorzy produkcyjniaków i naśladowcy propagandowych wierszy i sztuk teatralnych sowieckich.

W rozliczeniach z socrealizmem niedostatecznie bierze się pod uwagę koszarne rozmiary ówczesnego wodolejstwa "okolicznościowego" – nie wystarczy tu stwierdzenie, że spłynęło i rozmydliło się, pozostawiając pustkę i pożalowania godną lukę. Pamiętać należy, że zdążyło zmanierować i wykoleić kilka, jeśli nie kilkanaście, roczników młodzieży. W brudnej mazi tandety zagubiły się zapewne także i obiecujące debiuty. Po roku 1956 spontanicznej dyskwalifikacji uległy całe połacie literatury. Ci spośród rozmówców Trznadla, którzy się dla literatury uratowali, nagrzyszywszy w młodości, mają za sobą nie tylko "szkielety w szafach", czy udział w "Wiośnie Sześciolatki", ale i trud odkrywania prawdy o sobie. Dla tych, którzy pozostali w Kraju i odżegnali się od własnej przeszłości, oznaczało to przezwytyczanie nieufności i krytyki i czytelników, szkodnicy cenzury i wydawców. Jak "seniorzy" w latach stalinowskich, tak i "piękni dwudziestoletni" szukali po roku 1956 tematów "neutralnych", prac edytorskich i przekładów. I oni docenili powaby języka ezopowego rodem z "Ciemności kryją ziemię" i "Bram raj" Andrzejewskiego.

Tropienie winowajców

W publikacjach dotyczących okresu stalinowskiego uwaga skupia się na ocalałych z pogromu pisarzach, oczekując od nich ujawnienia metod indoktrynacji. "Jak mogło do tego dojść?", "Jak wytłumaczyć tak daleko posuniętą zatrutą samokrytycyzm?" – to typowe pytania zadawane rozmówcom przez Torańską /"Oni"/ i Trznadla. Równo-

ległym torem idą analizy postaw tych odważnych a, niestety, nielicznych, których od kapitulacji ze zdrowego rozsądku ocaliła "potęga smaku". "Jak zdołaliście się przeciwstawić naporowi?".

W latach 1950-tych w licznych artykułach i notatkach omawiałam na łamach londyńskich "Wiadomości" /w rubryce pt. "Szkiełko i oko"/, w "Tekach Historycznych" a nadto w zeszytach specjalnych "Kultury" prace z zakresu historii literatury takie jak np. Stefana Żółkiewskiego "Badania nad literaturą polską. Dorobek, stan i potrzeby" /1954/ czy "klasyk" w tej dziedzinie, pracę zbiorową "O sytuacji w historii literatury polskiej. Wybór referatów wygłoszonych na Zjeździe Polonistów w dn. 8-12. V. 1950 /1956/. Z doświadczeń owych lat wyłania się, w moim pojęciu, nieco inne widzenie problemu młodych pisarzy, którzy ulegli w owych latach zaczadzeniu. Zgadzam się z Trznadłem, Herbertem i Tyrmandem, że powinniśmy znać całą prawdę o tym zjawisku. Ale - myślę - inni szatani byli tam czynni i na nich winna się koncentrować nasza uwaga. Ci, którzy dzielą się z nami refleksjami o latach 1950-tych i chcą rozmawiać na ten temat, a poddając się dobrowolnie indagacji mówią - po latach - to, co jest wynikiem wieloletnich rachunków sumienia i co zbliża się do prawdy, ale jest już jej komentarzem - ci, powtarzam, dać mogą tylko utłumkowy obraz sytuacji. Są to ponadto ci, którzy przeżyli /a zmarło zadiwiewająco wielu/ i nie są aktywnymi partycypantami jak Żukrowski czy Bratny. Jak reflektorem naświetlamy tych, którzy są w naszym zasięgu i nie uchylają się od szlachetnej wivisekcji! Na ławie oskarżonych zasiąść powinien, jako główny oskarżony, Stefan Żółkiewski, wstawiony zaiste mrówczą pracą nad aplikowaniem marksyzmu-leninizmu do historii literatury polskiej, autor słynnych potępień dorobku Wacława Borowego, Tadeusza Makowieckiego i Karola Zawodzińskiego, którego ataki, jak się wydaje, nie były bez wpływu na daty przedwczesnych zgonów tych uczonych. Żółkiewskiemu sekundowali i fachowo go pouczali Jakub Berman /zdaniem Ważyka "przemily staruszek"/, Jerzy Borejsza, Paweł Hoffman, Melania Kierczyńska, Jerzy Putrament, Adam Ważyk i z kolei, na niższym zapewne szczeblu wtajemniczenia a posłuszni ich zaleceniom, J. Z. Jakubowski, Henryk Markiewicz, Kazimierz Budzyk, Janusz Wilhelm - a nawet, co z przykrością wypada mi wymienić dla pełni obrazu - Kazimierz Wyka, Jan Kott i kolega z seminarium prof. Ujejskiego, kameleon Bogdan Suchodolski. Znaleźliby się i dalsi.

Technika tresury

"Architektki powojennej polityki literackiej i kulturalnej" mieli zadanie ułatwione. Wystarczyło sięgać do wzorów z takim powodzeniem wdrażanych przez socrealistycznych marksistów w ZSSR. Preliminaria procesu indoktrynacji nakreślił Stephen Richard Lee w "Trudnym przymierzu. Polska awangarda poetycka w kręgu idei lewicy /1918-1939/" /Warszawa 1982/, co świeżo przypomniał w "Poezji" Andrzej Zieniewicz w szkicu pod ironicznym tytułem "Wiersze z marmuru. O poezji piewców sześciolatki", ilustrującym dalsze etapy procesu zniewalania. Młodzi pisarze szkoleni byli umiejętnie w "oczyszczaniu poezji ze smaczków i pięknostek burżuazyjnych poetyki z czasów imperializmu, ze skłonności formalistycznych i tradycji zepsutego baroku" /Ważyk na V Zjeździe ZLP, 1950/. Praktyka oczyszczania nie tylko poezji ale i literatury "zastanej" znajdowała konkretny wyraz w słynnym odczytywaniu na nowo poszczególnych utworów przez znawców łączących znajomość literatury z wytycznymi polityki wydawniczej partii. Najbezwzględniej odniesiono się do pisarzy czynnych w 20-leciu, z Żeromskim łącznie. Z operacji przecen uratowało się tak niewiele utworów, że wypadło sięgać po lektury do cieszącego się szczególnymi łaskami pozytywizmu. Często, gdy utwór był "do przyjęcia", źle wypadła biografia autora, w sukurs przychodziły krytyczne wstępy i komentarze, w których dokonywano najosobliwszych łamańców. Studenci polonistyki byli nieświadomymi uczestnikami wielkich "programów", mających za zadanie wykrywanie właściwych tradycji. A pamiętać należy, że większość debutantów z lat 1950-tych ukończyła studia polonistyczne i pod czujnym okiem mentorów opanowywała technikę stosowania wytycznych zawartych we "Wstępie do teorii

marksizmu" Adama Schaffa /1949/ i Henryka Markiewicza "O marksistowskiej teorii literatury" /1952/. Gdy z kolei stawali się pracownikami naukowymi i recenzentami, okazywało się, że nauka nie poszła w las. Na tej glebie wyrosła kadra IBL-owców.

Monopoetyka

Gdy w okresie słynnej sześciolatki zatarła się granica między propagandą a pokorną dyspozycyjnością autorów, masowo pisano "wiersze z marmuru" i "produkcyj-maki" /powieści i reportaże/, starannie omijające tematy drażliwe i wręcz zakazane, jak zsytki, Książki, AK, Powstanie Warszawskie, pisarze emigracyjni. Najbardziej niebezpieczną formą represji w stosunku do tych ostatnich było przemilczanie, sięgające wstecz i ogarniające twórczość sprzed roku 1939 /nawet w bibliografiach/.

Kubikowski określił mianem "monopoetyki" programowe wytyczne owych lat – czytelisty eufemizm. Na pojęcie to składało się dzielenie literatury na postępową i wsteczną, popieranie i inicjowanie imprez agitacyjnych i dostarczanie nadających się do recytacji i druku w wydawnictwach rocznicowych utworów o "właściwym" zabarwieniu. Na tym szczeblu – pisze Zieniewicz – rysuje się wyraźna dyrektywa: "w poezji przede wszystkim Majakowski, Pasternak, romantyzm ze znacznymi ograniczeniami, jedynie w aspekcie rewolucyjno-wyzwoleńczym, bez mistycznego mętniactwa, bez Norwida – bo szkodliwy, a Młoda Polska znów bez Wyspiańskiego, bo barokowo-pokretny /ale miał słuszne momenty ludowości/, za to owszem Konopnicka, itd."

Mówi się dziś, że tak pojęta "monopoetyka" należy do przeszłości. Czy na pewno? Z półek księgarskich znikły od dawna zbiorowe wydania Krasińskiego i Wyspiańskiego, wykłady paryskie i korespondencja Mickiewicza – czytelnik krajowy włączany jest na nowo w zestawy literatury "właściwej". Jeśli w bibliotece publicznej na prowincji uchowa się egzemplarz atrakcyjnej a wyczerpanej książki, czytelnik "gubi" go i skwapliwie płaci oficjalną karę, uspokajając w ten sposób sumienie.

Podkreślić przy tym warto, że swoista selektywność występowała również w planach wydawniczych na odcinku przekładów z literatury obcych. Jak w latach 1950-tych, rynek księgarski zalewa lawina przekładów z "dzieł" i "tytułów" narodów ZSSR". Narzuca się pytanie: kiedy i w czym przekładzie – i w jakim nakładzie – ukaże się "Dr Żiwago"?

Pojęcie "właściwego" wyboru tematu odżyło w jaskrawej formie w niedawnych wypowiedziach oficjalnych Nawrockiego – Bratny i Łoziński doskonale wyczuli, skąd wiatr wieje, a Sokorski fabrykuje powieść po powieści. Pociężyć się można jedynie przedświadczeniem, że nie do pomyślenia byłby dziś wiersz tak wzruszający i sentymentalny, jak "Widokówka z miasta socjalistycznego" Ważyka ze słynną strofą o robotnicy smarującej parowóz:

"A jej tylko drgała warga,
gdy ranną porcją oliwy
maściła, czuła kolejarzka,
tłoki lokomotywy"

/1946/

"Jeśli któraś z umorusanych kolejarek – komentuje ten wiersz Urbankowski – przeczytała ten wiersz, to poeta mógł mówić o szczęściu, że nie spotkał jej na swojej drodze".

Zieniewicz ma rację, pisząc w "Wierszach z marmuru", że "... tamten okres wcale nie stał się 'minionym' epizodem /.../ opowieść nie rozwija się optymistycznie, jest to historia kamieni, którymi wybrukowano drogę do piekła. Intencji obracających się w swoje przeciwieństwo, nadziei lądujących w błocie, mechanizmów wypadających spod kontroli, przegrywanych życiorysów i fałszywych spowiedzi, samobójstw i apokstazji /.../ 'Mała apokalipsa' i 'Literatura', drugi obieg i bibuła – wszystko to tkwi korzeniami w tamtych czasach" /str. 20/.

Dokumentacja zniewolenia

28 września 1950 roku o godz. 17.15 Kazimierz Brandys otworzył inauguracyjne posiedzenie Sekcji Twórczości Poetyckiej Związku Literatów Polskich, a "kolega Jerzy Putrament" wyjaśnił jej przysługę członkom, że chodzi o zwalczanie tendencji do pisania wierszy "bezbrazowych, niewizualnych, tromtadrackich, używających gromkich słów pośpiesznie pisanych". Epoka ma wymagania, trzeba się do nich stosować. Związek pouczy, jak się to robi. O tym, jak zwalczano "schorzenia", dokuczające zresztą nie tylko poetom i nie tylko pisarzom, informuje zadziwiająco odważnie zredagowany, wiarygodny, ironiczny skrót protokołów sekcji z lat 1950-1954, oparty na paru tysiącach stron stenogramów, opublikowany w roku 1986 w "Poezji", a sygnowany inicjałami "bd". "sk", "jzb" i "bu".

W okresie pracowitego urzędowania sekcja, licząca ponad setkę członków, odbywała po kilka zebrań rocznie. Na pierwszym z nich Broniewski, "mając pewne doświadczenia ze Lwowa, wołał od razu wiedzieć, co ma robić, żeby było dobrze". W toku dyskusji ustalono, że sekcja ma oceniać niedrukowane wiersze z punktu widzenia artystycznego i społecznego, recenzować już wydane, omawiać problemy teoretyczne i sugerować tematy. "np. planujemy, że za 2-3 miesiące każdy przyniesie teksty pieśni masowych np. o rewolucji październikowej". W dalszym ciągu "prac" sekcji poruszano takie np. sprawy, jak "wydanie czy niewydanie" poezji Jasnórzewskiej-Pawlikowskiej, Ginczanki i "poetów zabitych podczas okupacji", co wypadło na ich niekorzyść. Na horyzoncie rysowały się wielkie wzory pod postacią wierszy Ważyka i Putramenta, którzy, jak to określił na podstawie stenogramu "bd", "zhumanizowali poezję polską, ponieważ była niehumanistyczna, a nie była humanistyczna ponieważ estetyzowała", wobec czego "rozkładowa liryka jako produkt rozkładowego procesu literatury burżuazyjnej domagała się jeśli nie eliminacji to przynajmniej oddziaływania ideowego". Jednych pouczano, innych, np. Gałczyńskiego, starano się "zaktywizować". Czasem chwalono, gdy np. u Tuwima dostrzeżono "pozytywny wysiłek ideologiczny", a u Miłosza pewne "elementy postępowe", co zauważył Ryszard Matuszewski /str. 29/. Uważano, że Różewiczowi jako obiecującemu poecie należy "pomóc w najtrudniejszym okresie zmagania się ze sobą" /str. 36/. Najcięższym przewinieniem Wirpszy /w "Stoczni"/ było wplatanie wieku XIX do teraźniejszości. Wirpsza wywinął się z opałów, tłumacząc, że wychował się w Gdańsku i stosunki panujące tam w roku 1948 przypominały mu wiek XIX, "bo były jeszcze pozostałości kapitalizmu w naszej epoce" - a wspomnienia jego są "realistyczne", choć mogą się wydawać "idealistyczne". Samokrytyka zadowolona zarząd sekcji, a Sandauer skwitował słowami "mniej sja z tym" smutny fakt, że Wirpsza postugiwał się heksametrem, rażącym uszy krytyka. Nie oszczędzono Przybosia; w roku 1953 okazało się, że "poeta jest dla polskiej krytyki zadaniem, które czeka na rozwiązanie od dawna". Naprzód popadł w "upojenie cywilizacyjne" - potem poraził go "triumfalny i optymistyczny witalizm". Referujący casus Przybosia Hieronim Michalski widział dla niego ratunek "w odrzuceniu uroszczeń antyrealistycznej epoki", co by to nie znaczyło. Przyboso wyczytał w tym postulat "sprozaizowania poezji" i zaapelował do zebranych: "Nie pomiatajcie fantazją twórczą, bo ona jest warunkiem poezji" /tu stenograf zaznaczył: "oklaski"/.

Przykładów takich można by wyliczyć wiele. Nie chodzi jednak o to, by bawić się cytatami i przykładać je do znanych pisarzy. Rzecz w tym, że sztukę poetycką potraktowano jako narzędzie działań partii, a twórców jak nieporadnych czeladników. Wszystkowiedzący a tajemniczy "oni", góra ZLP, nie byli i nadal nie są skłonni do rozmów z Torafską czy Trznadlem i jak mogą, zacierają ślady "minionego okresu", zrywając je jak Ważyk oceną "nieinteresującą". A przy tym - umierają, zamieniając się w odnowicieli "rewolucji zdradzonej". Wiele pisano o dwuznacznym sensie "Popiołu i diamentu"; o "Pamiętce z Celulozy" zamilczec wole, przypomnę tylko pro domo mea, że już 27 listopada 1955 omówiłam "Poemat dla dorosłych" w "Szkieleku i oku" pt. "Zażalenie drogą służbową" /"Wiadomości", Londyn/.

Na zebraniach sekcji młodzi poeci dowiadywali się - i to z ust Słonimskiego - że

Miłosz przypomina mu "oberzdrajcę generała Własowa", a zdaniem Jastruna Wyspiański w "Legionie!" nie może odróżnić Mickiewicza od Krasińskiego" /prot. z 1952, str. 79/. W pasjonującej dyskusji nad recepcją Majakowskiego padły jednak trafne, dla odmiany, uwagi, iż szedł on słynnymi schodkami wersów do górę, "a u nas wielu kolegów schodzi na dół".

Oddzielnego omówienia domagają się dyskusje nad włączaniem czy wyłączeniem wierszy do antologii czy wypisów szkolnych. Dość zacytować, że Słonimski wykrył, że w "Zarysie literatury polskiej", II /wydanym nota bene w nakładzie 180.000 egz./ słynny wiersz Staffa "O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny" umieszczono w dziale "Rozkład literatury burżuazyjnej". "Widać chodziło – orzekł Słonimski – o wywołanie wrażenia, że rozkład burżuazji odbywał się w czasie deszczu". Zaatakowany na zebraniu prof. Wyka, gdy go próby usprawiedliwienia zawiodły przyznał się, że on sam, po napisaniu równie przykładowego "podręcznika do romantyzmu, wydawał na parę miesięcy w szpitalu" /str. 104/.

Podsumowanie działalności sekcji

Od września 1950 do 19 maja 1954 odbyło się 58 zebrań, w tym 13 "monograficznych" i 3 specjalne, poświęcone pieśniom masowym. Wszystko byłoby dobrze – orzekł Pollak, gdyby nie "sekiarskie próby narzucania na ogół niesłusznych poglądów na poezję", zwłaszcza liryczną. Zbyt mało dyskutowano poezję radziecką, co tłumaczy wpadanie w "proletkult" i "rappowszczyznę", tj. spóźnione wpływy rozwiązane w 1932 roku RAPP-u, Rossijskiej Assocjacji Proletarskich Pisatielej. Ale już Pollak, oskarżając kolegów o fabrykowanie zbyt wielu wierszy okolicznościowych i "gładko pisanych z tzw. wydźwiękiem, który spełniał rolę gęstwy ochronnej", próbuje się bronić: Byliśmy niewinni.

Winni byli mityczni "oni". Stąd uchylanie się od nazywania winnych po imieniu, stąd: "narzucano nam", "stawiano bariery" itd. Nie godził się z nimi jednak Arnold Śluccki, tak wówczas zniewolony, iż uważał że "mówienie o istnieniu systemu, który by terroryzował naszą opinię literacką jest bardzo, bardzo przesadzone" /str. 115/. Sprawa "prób zglajchsztaltowania" i "terroru atmosfery" wracała jednak w dyskusji. I tak "bu" w omówieniu protokółów z 1954 roku cytuje wypowiedź Spiewaka /"młodego" poety/: "Prawie wszyscy mówili, że ci młodzi to nic wielkiego, ale byli jakby pieskami, które gryzły starszych kolegów, oni przestraszyli się i to pomogło starszym poetom do tego, by stać się bardziej rewolucyjnymi". Sposób niewątpliwie skuteczny i potwierdzający teorię, że warto trzymać w domu czujnego pieska, by porywał do akcji ospałego brytana.

Podsumowany dorobek "starych" i "młodych" z dziesięciolecia 1945–1955 Hieronim Michalski uznał za niewypał: 80 % wierszy stworzonych w Polsce Ludowej to wiersze "do powietrza". Nie to było winą krytyki, że "rzuciła kłody pod nogi" różnym słabym poetom, lecz to że "rzuciła ich za mało". Jednym z zarzutów było tolerowanie wierszy o przysłowiowej "gałązce bzu" /w juveniliach Iwaszkiewicza "kitce bzu"/, a nie o problemach socjalizmu. "Dojrzały pisarz – stwierdził Pollak – zawsze będzie pisał i o jednym i o drugim i zawsze będzie socjalistą".

"Kartki z dziennika" Bohdana Drozdowskiego z 1971–1972, z okresu obejmowania redakcji "Poezji" świadczą, że w "środowisku" niewiele się zmieniło, a technika "zglajchsztaltowania" weszła w krew.

Rozdarty świat Urbankowskiego

W marcowym numerze "Poezji" z 1986 jeden z współautorów relacji opartych o protokoły Sekcji Twórczości Poetyckiej ZLP Bohdan Urbankowski /"bu"/ opublikował pod tytułem "W rozdartym świecie" obszerny, esej, analizujący kolejne etapy wytycznych i osiągnięć poetyckich po roku 1945. Pełny tytuł brzmi: "Rozdarty świat /nie

tylko poezji!" I "Poeci i dworzanie", 11. "Trzydzieści lat w trzy lata / O złotym wieku pravicowo-nacjonalistycznych odchyleń" – łącznie 48 stron.

Wbrew porzekadłu Stachury, iż "wszystko jest poezją" Urbankowski kwestionuje uznawanie za poezję każdego tak określonego przez wydawców wyboru. O ile "wysoka" poezja bliska jest sacrum, o tyle masowo produkowane wiersze mieszczą się wygodnie w sferze profanum. Opracowując "Szkice o literaturze emigracyjnej" przemyślałam takie właśnie rozróżnienie między literaturą a szerzej pojętym piśmiennictwem o charakterze dokumentarnym. Urbankowski winuje poezję z prawdziwego zdarzenia bardzo wysoko, jest ona dla niego "bocznym wejściem w sacrum". Moc sakralizacji spokrewnia ją z religią, "rzecz zwykłą zamienia w magiczny rekwizyt, a ludzi zwykłych w bohaterów". I – o czym dobrze wie Miłosz – ocala.

Esej Urbankowskiego jest najbardziej kompetentną próbą podsumowania i charakterystyki zjawisk zachodzących w poezji polskiej w Kraju po roku 1945, gdyż:

A/ Podobnie jak Kubikowski uważa, iż trudno przecenić konsekwencje wojny, w wyniku której "zdzięsiatkowa została elita kulturotwórcza" a powojenni debiutanci wchodzili w życie w okresie masowych przemieszczeń i "patosu odbudowy". "Entuzjazm, który mógł pokonać zniszczenia i dźwignąć Polskę do poziomu czołowych państw Europy, został w zbrojniczy sposób zmarnowany". "Błędnym, złowrogim w skutkach decyzjom politycznym towarzyszył, niestety, głos poetów sakralizujący głupotę i kryjący przestępców w oparach kadzidlanego dymu". Oglądający budowy młodzi poeci "nie dostrzegali brudu, wazy, nieświeżego jedzenia – oni widzieli tylko 'Wiosnę Sześciolatki' i 'Świt nad Nową Hutą'". Kto wie – konkluduje Urbankowski – "może prawdziwa była przechadzka Bermiana, iż słynny 'Poemat dla dorosłych' powstał z jego sugestii, gdy uznał, że przyszła pora na ujawnienie części prawdy".

B/ Konsekwencją wojny jest także dla Urbankowskiego "zaniżenie poziomu życia i twórczości polskiej we wszystkich niemal dziedzinach". W tzw. "lukę pokoleniową" weszło "pokolenie zastępcze", na które – zdaniem Urbankowskiego – składali się: 1/ nieliczni z pokolenia Baczyńskiego, którzy przeżyli okupację /Bratny, Borowski, Różewicz, Szymborska, Białoszewski/, 2/ outsiderzy pokoleń przedwojennych /Słobodnik, Jan Wyka, Wygodzki, Pollak, Spiewak, Putrament, Pasternak i "La Passonaria", ostawiona Melania Kierczyńska /ur. 1888/ – tudzież członkowie Klubu Artystycznego "S": Jan Kott i Ryszard Matuzewski. Doszliśwal do nich: Hieronim Michalski, Józef Prutkowski i Wirpsza – odnajdujemy ich w roku 1950 w Sekcji Poezji w bliskim sąsiedztwie S.R. Dobrowolskiego i Ważyka. 3/ Trzecią grupę stanowili pisarze z "awansu społecznego", przedstawiciele "maś" i "dotów" /m.in. Tadeusz Nowak/, 4/ "pryszczaci", których Urbankowski określa niezbyt trafnie jako młodszych braci poetów okupacyjnego podziemia /Burda, Worosylski, Braun, Mandaliński, Sliwiak, Urgacz tudzież Leopold Lewin, "ojciec chrzestny" grupy, autor "Pieśni przodowników pracy" /"Nas postawiła Partia na czele / milionowego pochodu"/. Coś dla PRON-u.

Z czterech wymienionych wyżej grup na plan pierwszy wybiła się czwarta – "pryszczaci". Okazali się – jak pośrednio wykazała Alicja Lisiecka – najwygodniejszymi i najczynniejszymi poetami "dworskimi", wysługującymi się partii, posuwając się do tworzenia na zamówienie słynnych "wierszy telefonicznych".

W manifestacjach zbiorowych stawali na wezwanie jak jeden mąż, dostarczając wiersze "dworskie" o Bierucie czy Stalinie. Mają je na sumieniu Worosylski, Kubiak, Ficowski, Piętaś, Kamińska, Międzyrzecki, Ważyk, a nawet Słonimski i Iwaszkiewicz. Różewicz i Szymborska wygłupili się setnie w "Peanie /sic! / ku czci Prezydenta Bieruta". Na szczyty absurdu wspięli się autorzy wierszy tworzonych spontanicznie po śmierci Stalina, a przypomnianych przez K. A. Jeleńskiego w "Zbiegach okoliczności" /w "Notatkach o żałobie"/.

C/ Konsekwencją wojny – pisze Urbankowski – "było rozbięcie muru getta i wejście do kultury polskiej licznej grupy działaczy i twórców pochodzenia żydowskiego", którzy "stawali się najważniejszymi poetami polskimi /Leśmian, Tuwim, Jastrun/a nawet

programowo katolickimi /Brandstaetter/". Niepodobna się zgodzić ani z kryterium oceny, ani z opisem zjawiska. Przeczy temu znajomość 20-lecia z autopsji, roczniki "Wiadomości", poetycki autorytet Tuwima, członkostwo Akademii Literatury Leśmiana, kroniki Słonimskiego satyra i piosenka "masowa" itd. Porównanie polskich twórców pochodzenia żydowskiego z Bietzschem, Apollinaire'em czy Dostojewskim jest kompletnym niewypałem. Leśmian, Tuwim czy Jastrun, wręcz Urbankowskiemu, nie wchodzili do kultury polskiej ale szczególnie silnie wyczuleni na urodę polszczyzny byli jej produktem i współtwórcami. Przed rokiem 1939 pisarze, których Urbankowski upolował jako przykłady, nie byli grupą "widoczną, wręcz widowiskową społecznie". W oczy rzucał się raczej Boy, Franc Fiszer czy Gombrowicz. W literaturze 20-lecia, poza ONR-em, nie obowiązywał numerus clausus. Sandauer, na którego esej "O sytuacji pisarza polskiego pochodzenia żydowskiego XX wieku" powołuje się Urbankowski, wprowadził rozróżnienie asymilacji przedwojennej o charakterze kulturowym i powojennej o charakterze politycznym. Po wojnie - Urbankowski cytuje Sandauera /"Pisma zebrane", t. III, str. 497/ - "mimo okupacyjnej zagłady Żydzi zjawiają się nader licznie jako pełnomocnicy nowej władzy, która nie dość, że nie przeszkadza obejmowaniu przez nich wysokich stanowisk, lecz wręcz przeciwnie, faworyzuje ich, sugerując jedynie zmianę nazwisk. Złowrogie skutki tego marranismu dadzą znać o sobie w ćwierć wieku później". Wśród argumentów uzasadniających faworyzowanie Żydów wymienia Sandauer i to, że "byli mniej podejrzani o konszachty z rządem londyńskim". Dzielenie grzeszników z okresu stalinizmu według tych kryteriów jest zabiegiem zdecydowanie chybnym, kropłą dżdżu na wywodach Urbankowskiego.

D/ Konsekwencją wojny było także - dowodzi Urbankowski - "paradoksalne przesunięcie Polski w Europie geograficznie na Zachód, ustrojowo i ideowo na Wschód na sferę ówczesnego szczególnie zwulgaryzowanego marksizmu, jakże dalekiego od humanizmu socjalistycznego głoszonego przez Ossowskich, Chałasińskich, Sucho-dolskiego" "zwalczanych zaciekle przez Schaffa i Żółkiewskiego". Oni to, wspierani przez - zdaniem Urbankowskiego - ostatnich pisarzy, "stworzyli naturalną podściółkę, na której rozwinie się stalinizm".

E/ Jeszcze innym wykwitem stosunków powojennych było "zdominowanie przez politykę sfer tradycyjnie apolitycznych: gospodarki, kultury, sportu - "nawet poezję zaczęto rozpatrywać w kategoriach militarnych, szukać wrogów i agentów wroga". Berman tak to ujął w przemówieniu na naradzie poświęconej twórczości artystycznej /27-28.X.1951/: "Dosięgnijcie waszą ostrą bronią kulaka i spekulanta, szpiega i dywersanta, amerykańskiego podżegacza i neohitlerowca". Słowem - jak brzmiał tytuł słynnego artykułu Bermana w nrze 48, 1951 "Nowej Kultury" - "Pokażcie wielkość naszych czasów". "No i pokazywali, oj, pokazywali - potwierdza Urbankowski - Stucki w "Tantazjach antyimperialistycznych", Szymborska w "Robotniku mówiącym o imperialistach", Mandalian w "Wieczorze heroicznym". W rezultacie poeta utracił nie tylko romantyczny status 'wieszcz'a i 'przywódcy', ale nawet przedwojenny status 'cygana' i 'wolnego strzelca'. Miał zostać urzędnikiem. Urzędnikiem dworskim".

Nie mniej złudzeń, że wiele się zmieniło. Urbankowski zapłacił za "Rozdarty świątyni" usunięciem ze stanowiska zastępcy redaktora naczelnego "Poezji", a Bohdan Drozdowski, "naczelny" pisma, podał się do dymisji. Ataki w "Polityce" i "Trybunie Ludu" poprzedziły rugi. Cóż? - stalinizm nie wywietrzył z mózgów Nawrockiego, Mi-siornego, Żygulskiego, a ministra Krawczuka okres najgorszy zapewne "nie interesuje".

Postulaty

Rozrachunki z teraźniejszością w "Zdobyciu władzy" i "Zniewolonym umyśle" Mił-osza mają ciąg dalszy w oglądanym z dystansu dwudziestu lat "Moim wieku" Wata i rosnących na naszych oczach rozrachunkach z przeszłością, laickich spowiedziach z mniej lub więcej wyraźnymi ciągłotkami apologetycznymi. Bohaterami ich są albo nawróceni grzesznicy /u Trznadla/ - albo ryzykanci odważający się dać świadectwo

prawdzie we własnym dobrze przemyślanym ujęciu /"Oni" Torańskiej/. Poza nimi i poza rozszanymi po czasopiśmie wywiadami i wspomnieniami mgliście rysują się sylwety sprawców zła, prowodyrów, instygatorów. A przecież zasadnicze znaczenie miałyby cykl portretów tych właśnie winowajców, od Zółkiewskiego i Schaffa zaczynając. Mimo ingerencji cenzury w "Szklanym murze" Kubikowskiego i "Rozdartym świecie" Urbankowskiego problem reżyserów tragicznego widowiska, jakim był "okres błędów i wypaczeń" rysuje się wyraźnie. W opracowaniach krajowych "oni" rysują się jednak, jak przysłowiowy koń, który "jaki jest, każdy wie".

I jeszcze jedno: ujawnienie całej prawdy potrzebne jest nie tylko na odcinku literatury pięknej /?/, teorii i historii literatury. Ma szerokie ramifikacje: manipulacje tekstami, przemilczenia, wysokość nakładów, fałszowane biografie, luki w zestawieniach biograficznych, w obowiązkowych lekturach szkolnych i listach książek wprowadzanych do bibliotek publicznych.

Innym postulatem jest wyławianie z powodzi potępianych ryczałtem publikacji nie-licznych, ale przedstawiających trwałą wartość naukowych wydań tekstów pisarzy staropolskich, oświeceniowych, pozytywistycznych – słowem dowody przebijania się przez zapory "władzy" wydawców i historyków literatury, odważnie sobie poczynających nawet w osławionym IBL-u. Ale – pamiętając o reakcji na artykuł Urbankowskiego – powstrzymuj się od wycięzania nasuwających się pod pióro nazwisk.

Maria DANILEWICZ ZIELIŃSKA

28 lutego 1987

Feijó pod Lizboną

Źródła artykułu: Zbigniew Kubikowski: "Szklany mur", cykl artykułów drukowanych we wrocławskim miesięczniku "Odra" w nrach 10-12, 1983 i 1-6, 1984; Andrzej Zieleniewicz: "Wiersze z marmuru", "Poezja", 1986; relacje o działalności Sekcji Twórczości Poetyckiej ZLP w "Poezji", 1986 /"bd"/: Sekcja 1950; /"sk"/: 1952; /"jzb"/: 1953; Być albo nie być liryki; /"bu"/: 1954. Kluczem do inicjałów jest skład redakcji podany pod fotografią przy "Kartkach z dziennika" Bohdana Drozdowskiego z 1971; "Rozdarty świat" Bohdana Urbankowskiego, cz. I: Poeci i dworzanie /str. 3-24/. "Poezja", marzec 1986 i cz. II: Trzydzieści lat w trzy lata /O złotym wieku prawicowo-nacjonalistycznych odchyleń/ "Poezja", 1986, 4.

"Kultura", czerwiec 1987

Renata Gorczyńska

POLETKO ERSKINE'a CALDWELLA

Kiedy wiosną dziennik "International Herald Tribune" zamieścił obszerną sylwetkę Erskine Caldwell, jej ton kazał się domyślać, że o autorze "Poletka Pana Boga" będzie się już wkrótce pisać w czasie przeszłym. Sędziwy pisarz śmiertelnie chory na raka udzielił wówczas jednego z ostatnich wywiadów. Smutne to było pożegnanie, ponieważ dla wielu jego dawnych sympatyków niespodzianką był fakt, że ciągle jeszcze żył i pisał. Zmarł 11 kwietnia 1987 roku. Jeden z najpoczytniejszych w świecie pisarzy amerykańskich, wymieniany niegdyś jednym tchem z Faulknerem, Hemingwayem i Steinbeckiem, zdyskredytował swoją późną twórczością pojęcie "Wielkiej Czwórki" i stał się autorem niemal całkowicie pomijanym przez poważną krytykę. Jego los dowodzi, jak złąbłą rzeczą dla literata może być łatwość pisania. Począwszy od debiutu pod koniec lat dwudziestych Caldwell wydał około pięćdziesięciu książek – powieści, zbiorów opowiadań, dzienników podróży, reportaży oraz dwie autobiografie. Był do tego stopnia płodny, że nawet w czasach największej jego słą-

wy wydawcy zwlekali z publikacją wszystkich dostarczonych przezeń rękopisów, a niektórzy – jak Farrar, Straus & Giroux i Scribner – w ogóle wycofywali się z dalszej z nim współpracy, kwestionując poziom artystyczny jego dzieł. Przeżył dwa okresy ogromnej popularności: w czasach Wielkiego Kryzysu, kiedy przeróbka sceniczna "Drogi tytoniowej" zeszyła ze sceny na Broadwayu po 3182 przedstawieniach, oraz w czasie wojny i tuż po jej zakończeniu, kiedy żołnierze amerykańscy stacjonujący w Niemczech i w Japonii masowo pochłaniali jego powieści. W 1946 roku "Poetako Pana Boga" osiągnęło nakład 4,5 miliona egzemplarzy. W Związku Sowieckim, gdzie miał opinię lewicowego twórcy powieści społecznej, był wydawany już w latach trzydziestych. Łączny nakład jego książek tłumaczonych na kilkadziesiąt języków wynosi ponad 75 milionów, natomiast opracowania krytyczne tej imponującej ilościowo twórczości są coraz rzadsze, Faulkner nazwał go wiele lat temu "największym pisarzem amerykańskim XX wieku", co wspominał później z pewnym zażenowaniem. W recenzjach "Drogi tytoniowej" powtarzał się epitet "nowy Zola". Krytycy dopatrywali się w jego powieściach wpływów Sherwooda Andersona, Theodora Dreisera, Faulknera, a z klasyków europejskich – Balzaka i Maupassanta, także Freuda i D. H. Lawrence'a. Zwracano uwagę na element groteskowy i antyrealistyczny w jego najlepszych powieściach, na rabelaisowski gruby humor, na rybałtowską sprośność w stylu Chaucera, ale zarazem i na zasadniczo pesymistyczną wizję świata i losów białego proletariatu na Południu. Wnikliwi krytycy dawno już dostrzegli pewną sprzeczność tkwiącą w jego pisarstwie: z jednej strony naturalny dar opowiadania, z drugiej – pseudosocjologiczne ujęcie konfliktu. Caldwell był voyeur'em pragnącym zostać moralistą.

Gdy debiutował, w Stanach Zjednoczonych rozpoczął się złoty okres dla pisarzy Południa, nazwany później Południowym Renesansem, trwającym do połowy lat sześćdziesiątych, obfitujący w talenty takie jak Truman Capote, Tennessee Williams. Caldwell systematycznie spadał w tej hierarchii, aż w końcu nie pisano o nim nic – lub prawie nic. Paul Binding, brytyjski profesor literatury i miłośnik Południa, nie poświęca mu ani jednego zdania w żywej i wnikliwej książce "Separate Country; A Literary Journey Through the American South" /Osobny kraj; podróż literacka po amerykańskim Południu/ wydanej w 1979 roku. Zaznaczając na mapce Georgii miejsca urodzenia najwybitniejszych pisarzy tego stanu, nie stawia kropki w pobliżu Atlanty, gdzie w miejscowości White Oaks urodził się Erskine Caldwell, wedle jednych źródeł 17 grudnia 1903 roku, wedle innych – 1902 roku. Frederick Hoffman, autor książki "The Art of Southern Fiction" /Sztuka prozy Południa/ wydanej w 1967 roku jedynie napomknął, że ktoś taki jak Caldwell istnieje, pisze powieści społeczne i gorzej od Faulknera portretuje typy ludzkie. Nawet James Devlin, autor dość zycziwej pisarzowi biografii wydanej w popularnonaukowej serii Twyne Publishers /1984/ zastrzeżę, że nie jest jego bezkrytycznym zwolennikiem i że odpisuje na straty właściwie całą jego twórczość powojenną. Caldwell – pisze Devlin – stał się pisarzem zapomnianym w swoim kraju mimo masowych nakładów, a krytyka przestała się nim zajmować już w latach czterdziestych. Gdyby o wydawaniu książek decydowały względy artystyczne, nie rynkowe, ostatnim dziełem Caldwellu powinien być być "Chtopiec z Georgii", napisany w 1943 roku, może późniejszy o kilka lat "Palec boży". Tymczasem Caldwell pisał dalej przez czterdzieści lat. Pisał, bo taki sobie obrał zawód. Pisarstwo traktował przede wszystkim jako rzemiosło, a nie sferę ducha. Cenił nade wszystko doświadczenie. Uważał na przykład, że pisarz podejmujący tematykę wiejską musi znać wiele gospodarskich czynności, żeby móc je następnie opisać. Gdy, począwszy od lat chłopięcych, miał się różnych zawodów – miał ciągły kontakt z ludźmi, którzy stawali się dlań prototypami literackimi. W miarę gdy coraz częściej przesiadywał w pokojach hotelowych, pisząc intratne scenariusze filmowe dla Hollywoodu i zadowolając się odpowiedzialnym w kasynach i barach Newady, tracił związek z naturalnym podglebiem. Populista z instynktu i przekonania, zamieniał się tam stopniowo w plutokratę. Pisał na starość o urodzie Las Vegas – jednym z najbardziej kiczowatych miast Ameryki. Jego siłą był plebejski witalizm. Jego późne obrazki obyczajowe z wizerunkami ludzi miejskich, z wyraźnym tonem moralizatorskim, brzmiały nieprawdźliwe. Bohaterka jednej z jego ostatnich powieści, "Bretta", jest amerykańskim odpowiednikiem "Belle de jour", sportretowanym jednak bez cienia finezji i humoru. Wulgarnie okładki jego książ-

żek w kieszonkowych wydaniach dość uczciwie informują o ich zawartości. Caldwell opisuje w nich obyczaj erotyczny swoich rodaków z punktu widzenia wyzysku człowieka przez człowieka.

Nawet jego autobiografia "With All My Might" /Z całą mocą/ wydana w 1986 roku jest – wbrew tytułowi – dość bezbarwną i pozbawioną siły wyrazu relacją o życiu wypełnionym ciągłymi podróżami, ślubami, rozwodami i pracą. Caldwell nigdy nie czuł się dobrze w środowisku intelektualistów i nie starał się uchodzić za erudyte. Jednakże z mieszanymi uczuciami czyta się jego wyzwanie, że wzbraniał się przed zbyt rozległymi lekturami, bo nie chciał, aby miały wpływ na jego pisanie. Nie wiadomo, czy należy mu wierzyć, gdy pisze, że nie czytał nigdy Londona, Hawthorne'a i Marka Twaina'a. A jednak od tego ostatniego, jak można przypuszczać, oraz od Sherwooda Andersona przejął jeden z typowych dla siebie chwytów literackich: narratora naiwnego. Ze względu na dość wąty podkład akademicki stawał na intensywność odczucia i na wrażliwość. Te jednak, z braku bodźców, słabły z wiekiem.

W grudniu 1983 roku Caldwell obchodził w Paryżu osiemdziesiąte urodziny. Otrzymał wówczas order "Arts et des Lettres de la République" i został obsypany depeşami gratulacyjnymi od pisarzy i poetów amerykańskich. Był to jednak z ich strony raczej gest serdeczności wobec jubilatą niż dowód podziwu dla jego sztuki. Chłopiec z Georgii nie został Mędrcem z Georgii.



Był jedynym dzieckiem Ira'y Caldwell, pastora prezbiteriańskiego i Caroline Bell, kobiety na tyle wykształconej, by uczyć syna w domu do czternaściego roku życia. Caldwellowie pochodzili ze środowiska robotników najemnych na plantacjach bawełny i ich status społeczny pozostał skromny. Dzieciństwo przyszłego pisarza było naznaczone ciągłymi przeprowadzkami do kolejnych prowincjonalnych parafii w stanach Południa, nazywanych nie bez słuszności "Bible Belt" – pasem Biblii. W Georgii – największym, najludniejszym i najbogatszym stanie Południa, a także, zdaniem cytowanego Paula Bindinga, najbardziej fanatycznym religijnie zakątku świata, Caldwell spędził pierwszych sześć lat swego życia. Potem już tylko odwiedzał rodzinę e strony. Na Virginia University, gdzie warunkiem przyjęcia było pochodzenie w prostej linii od żołnierza armii konfederacyjnej, studiował socjologię i literaturę. Porzucił jednak studia, ożenił się młodo i przeprowadził do stanu Maine. Od tej pory nigdy już nie mieszkał na Południu. Jak wielu innych pisarzy amerykańskich, terminował z początku w dziennikarstwie – był reporterem, sprawozdawcą sportowym, wreszcie recenzentem książek. Artykuły przynosiły jednak tak skromne dochody, że jego żona założyła księgarnię, gdzie sprzedawała egzemplarze recenzyjne. W którymś momencie Caldwell zbuntował się: rzucił pisanie o książkach i postanowił zająć się wyłącznie pisaniem książek. Znalazł sobie agenta literackiego w Nowym Jorku, jadąc tam z walizką maszynopisów. Jego pierwsza powieść, "The Bastard", ukazała się w 1929 roku. W ciągu czterech następujących lat wyszły cztery jego książki, w tym "Droga tytoniowa", a towarzysząca jej aura skandalu /jako książka obsceniczna została wycofana ze sprzedaży w wielu stanach/ przyniosła autorowi sławę. W latach 1933–1936 Caldwell wydał pięć kolejnych książek, w tym "Poletko Pana Boga", zbiór nowel o życiu prostych ludzi w latach Depresji, tom reportaży z podróży po Ameryce. Nie od razu zdał sobie sprawę, że powinien zostać kronikarzem obyczajów Południa. W 1936 roku złożył projekt książki–albumu poświęconego pracy na plantacjach bawełny, ilustrowanej fotografiami. W ten sposób spotkał swoją następną żonę – Margaret Bourke-White, głośną fotoreporterkę tygodnika "Life". Wspólnie z nią ogłosił trzy książki dokumentarne, w tym cykl reportaży z Czechosłowacji pod tytułem "Na północ od Dunaju". Co wiązało się z jego pierwszą podróżą europejską latem 1938 roku. Margaret Bourke-White była też inicjatorką ich wspólnej wyprawy zawodowej do Związku Sowieckiego. Wydaje się dziś trudne do uwierzenia, że liberałowie amerykańscy tak byli zafascynowani "nowym" w Rosji, iż nie zwracali uwagi nawet na jej ówczesny socjalizm z Niemcami. Zaraz po przyjeździe obojga do Moskwy, nastąpiła inwazja Niemiec na ZSSR. Dzięki honorariom za sowieckie wydania swoich książek Caldwell miał zapewniony byt

/wspomina: szampan, kawior, wódka/ i zajmował się codziennymi doniesieniami dla Radia CBS. Jego żona dostąpiła zaszczytu sfotografowania Stalina na Kremlu. Przygodą moskiewska zakończyła się dla obojga w październiku 1941 roku; okrężną drogą dotarli do kraju. Plonem tej podróży dla Caldwell'a były dwie książki: cykl reportaży o doświadczeniu wojennym w Związku Sowieckim, wydany w 1942 roku pod tytułem "All Out on the Road to Smolensk" /Na drodze do Smoleńska/ oraz – zdaniem krytyków – najgorsza jego powieść, "All Night Long" /Przez całą noc/, której akcja toczy się w Związku Sowieckim. W czasach ostrej kampanii prosowieckiej w USA studio MKM zakupiło prawa do jej sfilmowania. Po powrocie do Stanów Caldwell zajął się pracą nad scenariuszem wedle sławetnej powieści "Mission to Moscow" /Z misją do Moskwy/ autorstwa ambasadora USA, Josepha Daviesa. Jak pisze w swojej autobiografii, znalazł się z tego powodu w centrum gwałtownego starcia między dwiema frakcjami politycznymi w Hollywoodzie. Tamtejsi komuniści zarzucali mu, że jego wersja scenariusza jest ukrytym atakiem na Związek Sowiecki. Film, jak wspomina sam Caldwell, miał jednoznaczne cele propagandowe i został nakręcony, by przekonać opinię publiczną, że w czasach wojny "konieczny jest sojusz demokratycznej Ameryki z komunistyczną Rosją". Ostatecznie jego nazwisko usunięto z czołówki filmu.

W 1942 roku pisarz przeprowadził się do Arizony i ożenił po raz trzeci. W Tucson napisał "Chłopca z Georgii". Jeden z producentów hollywoodzkich zgłosił wtedy dość niepoczytalny pomysł adaptacji filmowej tej powieści z Eleanor Roosevelt w roli matki bohatera. Na szczęście do realizacji filmu nie doszło. W czasie wojny Caldwell, jak wielu innych pisarzy, pisał na zamówienie armii krótkie apele patriotyczne nadawane w radiu. Po wojnie ogłosił pięciotomową sagę o życiu prostych ludzi na Południu, zła przyjętą przez krytykę. Zaproszony w 1948 roku na sesję naukową w Kansas, został gwałtownie zaatakowany przez środowisko akademickie za to, że stał się "konkubina gawiedzi". Był też atakowany za swoje poglądy. Caldwell, jak twierdzi, nigdy nie był fellow traveller, yaczej populistą i w związkach zawodowych widział szansę dla ubogiej ludności Południa. Toteż ku swemu zdumieniu znalazł wzmiankę o sobie w książce "The Red Network" /Czerwona siatka/ której autorka Elizabeth Dilling, przedstawiła listę znanych Amerykanów o komunistycznych lub komunizujących poglądach. Z równym zaskoczeniem przyjął wiadomość, że jego wieloletni agent literacki, Max Lieber, zbiegł do Meksyku w obawie przed komisją McCarthey'ego. Caldwell robi wrażenie człowieka mało świadomego zmian politycznych w swoim kraju. Jak zwykle pochłaniał go produkcja literacka. Z lat pięćdziesiątych pochodzą szkice autobiograficzne "Call It Experience" /Nazwijmy to doświadczeniem/, tom opowiadań "Opowieści z Zatoki Meksykańskiej", powieść "Zdarzenie w Palmetto". Po kolejnym rozwodzie ożenił się po raz czwarty i ostatni i przeniósł się do Kalifornii. W 1958 roku odnotował, że najbardziej pragnie "zwiezczać świat i pisać opowieści o obyczajach ludzi". Tak też się stało. Dzięki Serwisowi Informacyjnemu Stanów Zjednoczonych odbył pięć długich tur europejskich, odwiedził kilkakrotnie Związek Sowiecki /opisując przy okazji konieczny epizod pijacki w Moskwie ze Steinbeckiem/. Był też trzykrotnie w Polsce – po raz pierwszy w 1973 roku, i niewiele z tego pobytu pamięta. Mylą mu się stolice i zabytki, Most Karola umieszcza w Warszawie. W 1975 roku przyjechał tam po raz wtóry, na Targi Książki, i z dumą podkreślił, że podpisał wówczas 900 egzemplarzy. Zimą 1981 roku otrzymał telegram od swego tłumacza polskiego, Kazimierza Piotrowskiego, który poprosił go o przyjazd do Warszawy w związku z wydaniem "Zdarzenia w Palmetto". Oto komentarz Caldwell'a: "Nigdy nie byłam obojętną na tego rodzaju zaproszenia, tym bardziej, że w tym konkretnym przypadku interesowała mnie możliwość zapoznania się na miejscu z coraz bardziej popularnym ruchem robotniczym "Solidarność". Prestiż tej walki rzucał się w oczy od chwili naszego przybycia do Warszawy, ponieważ większość ludzi z jakimi mieliśmy kontakt nosiła opaski i znaczki "Solidarności". W Związku Literatów Polskich Caldwell otrzymał order zasługi, co odnotował z niekłamany zadowoleniem. Pod koniec życia nie szczędzono mu honorowych wyróżnień, ale milczenie krytyki amerykańskiej było zbyt wymowne, aby Caldwell mógł odejść syty sławy i zaszczytów. W jego autobiografii daje się zauważyć ton gorczy. Tyle napisał, ma miliony czytelników w świecie, a w Ameryce nie chcą go uznać za największego pisarza XX wieku?



W swoich najlepszych powieściach i nowelach wykazywał dar opowiadania charakterystyczny dla tradycji ustnych przekazów na Południu. Cechą jego pisarstwa był nie realizm typu stendhalowskiego, lecz, wedle terminologii amerykańskiej, "symboliczny materializm", typowy dla twórców Południowego Renesansu. Biologiczny determinizm łączył z romantyczną wiarą w zbawczą moc uczuć. Seks był dlań wyznacznikiem siłą, dowodem istnienia Boga w człowieku, podobnie jak u D. H. Lawrence'a. Caldwell miał też tendencje nihilistyczne. W każdym nihilistycznym kryje się jednak moralista. "Droga tytoniowa", bodaj najlepsza jego powieść, to studium gniewu, historia o tym, jaki świat nie powinien być. "Poletko Pana Boga" jest z kolei studium obserwacji, groźnej w skutkach, ale i twórczej. Caldwell, przynajmniej do pewnego czasu, wierzył, że praca i seks są najważniejszymi formami ekspresji człowieka. Ciekawość jest głównym motorem działania jego bohaterów. Postacie z jego opowiadań i powieści stale podglądają siebie nawzajem; to jedna z ich głównych czynności. W "Palcu bożym" gotowi są oglądać puste pole przez dziurę w płocie. Pasjonuje ich samo podglądanie, nawet nie to co widzą. Portretowani przez Caldwell'a ludzie są dziwkami, fanatykami, maniakami, i...orantami. Zabijają się wzajemnie i wykazują obojętność na cudze cierpienie, nie zdając sobie sprawy z własnego okrucieństwa. Czarny humor z jakim opisuje ich Caldwell należy do lokalnych specjalności Południa. Dosadność i zwięzłość jego dialogów, z charakterystycznymi powtórzeniami i powiedzonkami świadczy, że pisarz nie tylko podglądał, ale i pilnie podsłuchiwał swoich krajan.

Do tradycji literackiej Południa należy zarówno styl "wysoki", jakim z maestrią posługiwała się Edith Wharton, jak i styl "niski", plebejski. Caldwell uderzał od razu w fałszywy ton, gdy usiłował opisywać środowisko ludzi wykształconych. Nie miał tak szerokiej wizji jak Faulkner, który dokonywał cięcia przez wszystkie klasy społeczne i z równą łatwością wcielał się w pułkownika Sartorisa, co w bełkotliwego Murzyna z majątku Sutpena. Osiągnął jednak znaczną wiedzę o obyczajach "białej hołoty", jaką pogardliwie nazywają na Południu. Był też znawcą najdziwniejszych sekt religijnych w rodzaju Holly Rollers czy Snake Handlers. Poświęcił im całą książkę, a nawiedzeni kaznodzieje płci obojga często występują w jego prozie. Nigdy nie wiadomo do końca, czy są oszustami, czy też upadłymi aniołami.

Jak dziś, bez sentymentów, należałoby ocenić znaczenie Erskine Caldwell'a dla literatury amerykańskiej? Z pewnością jego zainteresowanie prostym człowiekiem zasługuje na uwagę. Gdy operuje przerysowaniem, groteską, jest dużo lepszy niż w "małym realizmie". Z jego rodzinnej Georgii pochodzi troje pisarzy, których należałoby postawić wyżej od niego w hierarchii: Carson McCullers, Flannery O'Connor i Marion Montgomery. Zasadniczą prawdę o doświadczeniu Południa potrafili przekazać lepiej i bardziej subtelnie środkami artystycznymi. Pisarze Południa, zdaniem cytowanego już Paula Bindinga, pragną zakomunikować światu, że stosunki między różnymi rasami nie są kwestią do rozwiązania przy pomocy kilku ustaw prawnych i zdają sobie sprawę z wagi tych słów. Dyktuje im takie przeświadczenie nie płytki szowinizm, nie potrzeba zachowania wątpliwego etycznie status quo, lecz zdobyta przez nich wiedza o skomplikowanej naturze ludzkiej. Pisarz Południa, zdaniem Fredericka Hoffmana, jest z natury tragikiem, nawet jeśli nakłada maskę błazna, bo tego go uczy historia tych ziem. W większym stopniu niż pisarz Północy posiadał wiedzę o granicach ludzkich marzeń i aspiracji. Wierzy jednak w ocalałą moc Łaski, bo choć ludzie są zdeprawowani, Bóg mimo wszystko ich zbawi.

Południe, znacznie bardziej niż uprzemysłowiona Północ, jest dla jego piewców przede wszystkim ziemią - zhańbioną i skrwawioną, ale nadal obszarem sacrum, gdzie należy dokonywać rytuału oczyszczenia. Północ, ciągłe w ruchu, pochłonięta jest heraklitemskim działaniem się; Południe w tradycji literackiej pozostaje hierarchiczną trwałością, gdzie czas stanął i gdzie słowo "wojna" nieodmiennie oznacza nie drugą wojnę światową, lecz wojnę secesyjną. Północ patrzy w przyszłość, Południe - ciągle w przeszłość. Jak to zauważył poeta Allan Tate, dokładna pamięć jest cechą

charakterystyczną wszystkich pokonanych. Literatura Południa odwołuje się przede wszystkim do archetypu, ujawnia skłonność do mistycznej reprezentacji życia, czego najdoskonalszym wcieleniem jest twórczość Williama Faulknera.

Dziś nie Caldwell, lecz przedwcześnie zmarłą Flannery O'Connor wymienia się wespół z Faulknerem jako najwybitniejszych pisarzy Południa. Jej opowiadania również zaludniają gwałtowni i opętani ludzie, których spotykają dopusty na miarę biblijnych. O'Connor - katoliczka śledząca najbardziej fanatyczne środowisko protestantów w świecie - zauważyła kiedyś w wywiadzie, że mieszkańcy głębokiego Południa są "nie tyle zaśrodkowani na Chrystusie, co czują się przez Niego nawiedzeni".

Przy wszystkich różnicach, istnieją odległe, ale wyraźne analogie między dwoma głównymi nurtami literatury amerykańskiej i dwiema zasadniczymi tradycjami literatury europejskiej - Wschodu i Zachodu, nie tylko dlatego, że pokonani piszą literaturę pamięci. Idąc dalej tym tropem, należałoby dodać, że dorobek literacki amerykańskiego Południa może się kojarzyć czytelnikowi polskiemu z literaturą kresową, a szczególnie tą, która wywodzi się z Wielkiego Księstwa Litewskiego - ziemi wybujałych indywidualistów, "oryginałów", a zarazem obszaru mistycznego, krainy ciągle żywego mitu, kultu ziemi i przodków, szczególnej religijności o silnych pierwiastkach pogańskich. Nie jest przypadkiem, że amerykański tłumacz "Doliny Issy" sięgnął po jedno z opowiadań Faulknera, szukając w nim odpowiedniego dla powieści idiomu w języku angielskim.

Paradoks Caldwell - nieznaną autor powieści wydawanych w masowych nakładach. Tak, bo jego czytelnicy pochłaniali akcję, nie zważając na nazwisko autora. Pozostałby może wajdelotą Południa, gdyby nie uległ pokusom rynkowym, nie ruszył się z Georgii i z rodzinnego powiatu Coweta uczynił mikrokosmos. Faulkner wybrał roztropniej - wrócił do Mississippi, uciekł z Hollywoodu.

Renata GORCZYŃSKA

"Kultura", l. 11 1987

Kamila Chylińska

ŁUDZKIE UCZUCIA W PIEKLE

W lutowy poranek 1942 roku młody lekarz niemiecki rusza w podróż do Krakowa. Za sobą ma habilitację na docenta w zakresie pediatrii i roczną służbę w Luftwaffe, przed sobą – dwie równoległe funkcje: kierownictwo szpitala dla dzieci polskich /powstałego w miejsce kliniki pediatrycznej Uniwersytetu Jagiellońskiego/ i zorganizowanie szpitala dla dzieci niemieckich. Żaden to awans, raczej cudowne ocalenie. Trzydziestoletniemu lekarzowi, zadenuncjowanemu przez kolegę, groził sąd wojenny za antyhitlerowskie uwagi, ale przełożony, urzędnik w ministerstwie lotnictwa, dawniej zwolennik, teraz nieprzejednany wróg hitlerysty, spowodował pięć przed dwunastą owo służbowe przeniesienie.

Przystępując do swych obowiązków zawodowych, dr Josef Ströder nie zdawał sobie jeszcze sprawy, jak wielką wartością moralną staną się lata krakowskie w jego życiu. W słowie wstępnym do książki pt. "Oskarżony o przyjaźń dla Polaków"^x przypomina, że w ciągu czterdziestu lat zwracano się doń wielokrotnie, zarówno ze strony polskiej jak niemieckiej, z prośbą o spisanie przeżyć i doświadczeń z tamtego czasu. W końcu i sam doszedł do przekonania, że "skromny przyczynek do informacji o nieszczęśliwym i ciężkim okresie najświeższej przeszłości" może służyć dobrej sprawie. Gdyż – sądzi autor, posiłkując się cytatem z Faulknera – "to co przeszło nie umiera nigdy, nawet nie przemija".

Niemiecki lekarz w okupowanym Krakowie, w dodatku pediatra – do dziś odczuwamy wewnętrzny skurcz na sam dźwięk tych słów. Toteż wypada chyba zacząć od końca.

Zaraz po zakończeniu wojny – rzecz niespotykana – Ströder otrzymuje zaproszenie do Krakowa, by objąć katedrę pediatrii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Pozostaje jednak we własnym kraju. Dalsza rzecz niespotykana: w okresie, kiedy na międzynarodowych kongresach naukowych Niemcy bywali zaledwie tolerowani, przyjaciel z lat okupacji, wielki pediatra polski, Franciszek Groer, zapewnia mu "pełnoprawny" status w pediatrii międzynarodowej, a Polskie Towarzystwo Pediatryczne wybiera go na członka honorowego. Od roku 1948 Ströder jest profesorem Uniwersytetu w Würzburgu. Do prowadzonej przez niego kliniki przyjeżdżają na specjalizację lub doktorantu-

^x Josef Ströder, "Angeklagt wegen Polenfreundschaft. Als Kinderarzt im besetzten Krakau". Verlag Herder, Freiburg im Breisgau 1985.

rę synowie i córki jego krakowskich współpracowników. Z biegiem czasu Uniwersytet w Würzburgu i Akademia Medyczna w Krakowie podpisują układ o współpracy. Uczelnia jagiellońska nadaje Ströderowi tytuł doktora honoris causa. Kiedy zaś w roku 1977 uczestniczy on w uroczystościach z okazji stulecia kliniki krakowskiej, otrzymuje pismo pamiątkowe /z podobizną budynku w jego pierwotnej postaci/ następującej treści:

Wielce Szanownemu i Drogiemu Panu Profesorowi Józefowi Ströderowi na pamiątkę uroczystości 100 lat krakowskiego Szpitala Dziecięcego, w którym wciąż bije jego serce.

Pediatrzy Krakowa

Teraz wiemy na pewno: wielkie musiało to być serce, skoro zdołało przeobrazić ów czas pogardy w czas takiej przyjaźni.

Na przyjaźń tę czyhało tysiąc niebezpieczeństw. Już przy wstępnej wizycie w okupacyjnym punkcie zarządzającym przedstawiono Ströderowi reguły gry: "Mamy tu tylko jeden cel - możliwie najszybciej wytepić ten naród. Im więcej polskich dzieci dziennie pan zamorduje, tym prędzej dostanie pan wojenną krzyż zasługi". W szpitalu dzieci polskie nie mają prawa do żadnych lekarstw, do żadnych produktów dietetycznych. Wszelki kontakt z personelem polskim - dotyczy to również lekarzy - należy ograniczyć do "niezbędnego minimum służbowego". Polakom - pouczano dalej Stródera - nieprzstrzeżenie tych przepisów może grozić śmiercią, a jemu samemu wysoce niebezpiecznymi następstwami.

Z takim bagażem gróźb na grzbiecie, Ströder przystąpił z miejsca do ratowania polskich dzieci. Przydziały żywności były i tak głodowe, cóż dopiero dla skazanych na wytepienie pacjentów. Toteż potajemnie, z ofiarną pomocą sióstr zakonnych, dostawiano żywność. Leki zdobywał Ströder podstępem. Do zorganizowanego tymczasem prowizorycznie oddziału niemieckiego przywożono bowiem często dzieci z chorobami zakaźnymi. W obawie przed zarażeniem innych, umieszczano je w oddziale polskim. A zatem przeniesienie tam wielkiej szafy, obficie załadowanej lekami nie budziło podejrzeń. Klucz do szafy oddał Ströder swojemu polskiemu zastępcy, który w nocy zapatrywał się we wszystko, co potrzebne było dzieciom polskim. W mieście rychło rozniósł się wieść, że Ströder traktuje pacjentów polskich na równi z niemieckimi, a więc szpital coraz bardziej się zapelniał. W obliczu niebezpieczeństw zawiązywała się przyjaźń między niemieckim szefem a polskim personelem lekarskim i pomocniczym. Nie od razu, ale w trybie szokowym: od podejrzliwości i przerażenia, kiedy Ströder zdecydował się błyskawicznie na zastrzyk do serca zagrożonego uduszeniem niemowlęcia - aż po zaufanie niemal bezgraniczne. Codziennym tematem rozmów było tragiczne niedożywienie polskich dzieci. Ströder nie krępował się, mówił głośno. Hitlerowską politykę żywnościową uważał za zbrodnię, a przysyłanych do polski urzędników za łotrów. Nie ulegało już wątpliwości - niemiecki szef i jego polscy podwładni mieli wspólny cel i wspólnego wroga. W administracji hitlerowskiej klinika zaczęła uchodzić za gniazdo opozycji.

Powstała sytuacja paradoksalna. Polscy koledzy /wszyscy prawie zaangażowani w działalność konspiracyjną/ nie tylko przekazywali Ströderowi bieżące wiadomości polityczne, zdobywane dzięki ukrytym w lokalach szpitalnych krótkofalówkom, ale - sami w jego sprawie wielokrotnie przesłuchiwanie - wzywali go do umiaru i ostrożności, nie kryli niepokoju o jego los, zbudowali wokół niego swoisty panczer ochronny. Plenili się przecież szpicle i donosiciele, toteż pęczniała teuczka z donosami na szefa kliniki. Dzięki misternie utkanej przez polski personel sieci informacyjnej Ströder zapoznał się w końcu z całym katalogiem zarzutów przeciw sobie: od częstych obecności na mszy w kościele Mariackim poprzez wymieniane co dzień ze swym polskim zastępcą uściski dłoni, wydawanie bez ograniczeń przepustek nocnych dla polskiego personelu, obraźliwe oświadczenia na temat narodowego socjalizmu i przywódcow państwa niemieckiego - przy jednoczesnym pełnym zrozumieniu dla ludności polskiej - aż po ukrywanie w zakamarkach szpitala żydowskich dzieci oraz obronę posądzonych o udział w konspiracji lekarzy polskich. Ponieważ zaś pewnego dnia Ströder wstał!

się osobiście w kierownictwie SS za aresztowanym lekarzem polskim, zamknął się łańcuszek poszlak. Sam był odtąd podejrzany o współpracę z polskimi ośrodkami walki konspiracyjnej.

Dla dopełnienia atmosfery trzeba dodać, że cała ta gehenna toczyła się w znanej scenerii okupacyjnej, wśród łapanek, strzałów nocnych i widoku trupów na plantach czy ulicach. "Zaprawdę – pisze Ströder – ziemia i bruki w tym mieście przesiąkły krwią".

Trapiony donosami, na przemian szantażowany Oświęciami, to znów traktowany łaskawiej /administracja hitlerowska stosowała wobec swych podwładnych metodę divide et impera/, ustawicznie ostrzegany przez przyjaciół w Polsce i w Niemczech, iż życiu jego zagraża niebezpieczeństwo, Ströder został w Krakowie do jesieni 1944 roku. Ostatnie miesiące wojny spędził w Jenie, by udać się następnie na życzenie amerykańskie do Buchenwaldu i zapewnić tamtejszym znów dzieciom opiekę lekarską. Wreszcie dotarł do Dusseldorfu, gdzie się habilitował przed skierowaniem go do Polski.

Ale na chwilę jeszcze popatrzmy wstecz. W swoim czasie zastępca Strödera i jego szczególnie już bliski wtedy przyjaciel, dr Nowak, usiłował odwieść go od interwencji w SS na rzecz owego zaaresztowanego lekarza polskiego. Twierdził, że ze swoją polityczną przeszłością, ze swoimi ciągłymi obciążeniami niczego przecież nie osiągnie, a sam się narazi. Kontrargumenty swoje przedstawia Ströder oto tak:

Nie dałem się przekonać, obstawałem raczej przy tym, że interwencja ta... jest sprawą mojej osobistej i zawodowej godności, i że w końcu również w oczach własnej rodziny honor zobowiązuje mnie do tego, by dotrzymać przyrzeczenia, danego polskiemu personelowi, że zawsze może liczyć na moją pomoc.

Te najprostsze słowa o ludzkiej godności określają w sposób dobitny pewien motyw stałe w książce obecny: potrzebę zgody ze sobą samym wśród otaczającego piekła.

Kamila CHYLIŃSKA

"Kultura", listopad 1987

Leszek Kołakowski

ILE ZABOBONÓW?

Nie pierwszy raz, ale drugi zdarza mi się oto pisma księdza Bocheńskiego omawiać. Poprzedni wypadek miał miejsce, jeżeli należycie pamiętam, w roku 1951, kiedy to napisałem, a także, niestety, wydrukowałem, ówczesne moje mniemanie o dwóch niemieckich książkach dotyczących marksizmu – Wettera i Bocheńskiego właśnie. Była to, wedle mej pamięci, studencka, niemądra i bezceremonialna napaść na owych autorów w duchu nieodmiennie słusznej i zwycięskiej stylistyki marksistowskiej, którą się posługiwałem ówczesnie, a którą do dziś posługuje się w Polsce i gdzie indziej umysłowy proletariata, nie mający nic do stracenia prócz własnych kajdán.

Tyle szczerzej i partyjnej samokrytyki złożywszy, nie mogę wszelako z tej racji – iż mianowicie kiedyś czcigodnego autora niesprawiedliwie poturbowałem /czym się on z pewnością nie przejął, jeśli w ogóle zauważył/ – uznać, iż jest teraz moim obowiązkiem pod wszystkimi względami z nim się zgadzać, co on sam niechybnie uznałby za postępowanie nierozumne, a więc, w jego pojmowaniu, zabobonne. Jakoż pamiętam, że w roku ubiegłym w Rapperswillu miałem honor wdać się z nim w dysputę publiczną /z udziałem księdza Tischnera, notorycznego prześmiewcy/ na temat Erazma, którego ja bardzo sobie cenię, a którego profesor Bocheński ma za gorszącego szkodnika, ile

że przyczynił się on wnie do ośmieszenia scholastyki, a tym samym do upadku kultury logicznej w Europie.

Otóż okazja do dysputy dzisiejszej na tym polega, że profesor Bocheński, styl swój wojowniczy i bezpardonowy nadal uprawiając, postanowił ogłosić krótką sumkę cudzych głupstw – czy raczej tego, co głupstwami mieni – i rzecz wyłożył w książeczce "Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów" /Instytut Literacki, 1937/. Liczba w tytule ma raczej sens "wiele", niż "sto", gdyż hasel w tym słowniku naliczyłem sto pięć, a większość z nich traktuje o kilku zabobonach, nie jednym tylko. Wszystko ma stron 118. Jest to pamflet zabawny, w czytaniu łatwy, żadnych filozoficznych wiadomości u czytelnika nie zakładający; właściwie, jak zauważam, jest to popularny wykład filozoficznych opinii autora ukazanych przez wykład wsł. y. tkiego, co im się sprzeciwia. Opinie te są zaś, jak styl pokazuje, bardzo stanowcze

Zabobon, wedle autora, to jakieś mniemanie jawnie fałszywe, a mimo to z wielką pewnością przez niektórych – przeważnie bardzo wielu – żywione. Niektóre hasła słownika wprost nazywają coś co zabobonem jest nieodmiennie /na przykład numerologia, komunizm, nacjonalizm/, inne podają słowa, które w pewnych swoich znaczeniach, ale nie we wszystkich, oznaczają zabobon /na przykład idealizm, intuicja, religia/, inne wreszcie mówią o zjawiskach realnych, wokół których różne zabobony wśród ludzi narodziły /młodzież, lud, śmierć, demokracja/.

W niektórych przypadkach, na przykład w uznaniu numerologii za zabobon, autor nie spotka się zapewne z wieloma sprzeciwami; pewne jego spostrzeżenia są nawet na tyle mało sporne, że ich wartość informacyjna wydaje się skromna /na przykład: "bełkot jest najzupełniej bezużyteczny wszędzie tam, gdzie chodzi o przekazanie informacji przedmiotowych, a więc w szczególności w nauce. Mniemanie, że może być do czegoś w tej dziedzinie przydatny, jest grubym zabobonem. Zabobonem jest także mniemanie, że filozof może, a nawet powinien posługiwać się bełkotem"/. W innych wypadkach, również tam, gdzie chodzi o filozoficzne doktryny, czytelnik może mieć trudności z wyszukaniem przykładów osób, które napiętnowały zabobon wyznają. Tak, na przykład, zabobon idealistyczny, w jednym ze znaczeń tego słowa, "polega na wierzeniu, że niczego nie ma poza myślami w naszej psychice /czy głowie/ – człowiek może poznać tylko własne myśli, idee". Nie wiem, kto mógłby sobie rozpoznać w tak sformułowanym idealizmie. Podobnie konwencjonalizm, czyli, wedle słownika "zabobonne mniemanie, że wszystko opiera się na umowie... jeśli mnie na przykład boli ząb, to dlatego, żeśmy się tak umówili. Od umowy zależy także, że skoro miałem sto dolarów i wydałem dwa razy po pięćdziesiąt, to nic mi już nie zostaje". Nie wiem również, kto jest wyznawcą konwencjonalizmu w tym sensie /w każdym razie nie Ajdukiewicz, o którego być może chodzi/. Gdzie indziej powstają wątpliwości co do poprawnego przekazania myśli filozofów z imienia nazwanych. Nie sądzę na przykład, żeby dokładnie było powiedzenie, iż idea, demitologizacji Boltmanna /profesor Bocheński mówi "entmitologizacja", co jest hybrydą nieudaną, bo przedrostek ent- nie ma po polsku żadnego znaczenia/ polega na tym, że "należy religię oczyścić z mitów, tak aby zostały z niej tylko zdania prawdziwe w dosłownym rozumieniu". Nie wydaje się także trafne to, co autor pisze o hermeneuetyce – przynajmniej w dzisiejszym rozumieniu słowa – albo o Heglu /wedle którego, jak czytamy, "przyroda dyskutuje sama z sobą"/.

Autor przyznaje się do racjonalizmu tylko w sensie takiego zalecenia: "aby człowiek postępował zawsze rozsądnie, zarówno w wyborze zdań, które uznaje za prawdziwe jak i w decyzjach dotyczących jego działalności. A "rozsądne" znaczy tu tyle co "spójnie", w sposób niesprzeczny i zarazem w sposób zgodny z przyjętymi w danej dziedzinie dyrektywami". Nie przyznaje się natomiast do pozytywizmu rozumianego jako przekonanie, iż nauki przyrodnicze mogą dać odpowiedź na wszystkie sensowne pytania, ani do scjentyzmu, który ponadto wierzy /w rozumieniu słownika/ w bezwzględną pewność wyników nauk przyrodniczych. Również pozytywizm tak pojęty wydaje mi się dzisiaj rzadkością, a "scjentyści" w sensie wyłożonym stanowią chyba wśród filozofów, a także uczonych, zbiór pusty. Autor uważa, że filozofia jest dziedziną nauki, ale nie odmawia sensowności ani wagi pytaniom nie-naukowym, więc nie-filozoficznym, dotyczącym na przykład wartości moralnych, świata jako całości, sensu życia,

nieśmiertelności, Boga. Są to, powiada, sprawy wiary, przy czym wiara nie ma być aktem bezrozumnym, bo "człowiek umysłowo zdrowy nie może uznać za prawdziwe, tj. uwierzyć w zdanie bez jakiejś racji, jakiegoś uzasadnienia". Wynikałoby z tego, że "wiara" jest aktem, w którym dodajemy pewność do pewnego przekonania, o którym wiemy skądinąd, że jest niepewne, ale ma za sobą jakieś, choćby wątpliwe, racje. Nasuwa się jednak pytanie /pomijając zgodność tego pojęcia wiary ze świętym Pawłem/, czy ów akt dodawania pewności do przypuszczeń niepewnych nie powinien uchodzić, wedle kryteriów autora, za czynność zabobonna /zabobonem jest wszakże nawet szukanie bezwzględnej pewności w naukach przyrodniczych/ i czy w ogólności jego zdroworozsądkowe refutacje pozytywizmu i scjentyzmu nie są w kolizji z jego ogólnymi założeniami. Zdrowy rozsądek, jak nas uczyła przynajmniej historia fizyki od XVII wieku do dzisiaj, nie zawsze jest doradcą niezawodnym. Pomysł, że Ziemia krąży wokół Słońca, był jaskrawo sprzeczny z oczywistą obserwacją. Nawet względność ruchu /którą profesor Bocheński, chyba przez przeoczenie, podaje za wynik teorii względności/, chociaż przecież fizyka Galileusza całkiem tu wystarcza/ urażała zdrowy rozsądek, a tym bardziej czyniła to względność równoczesności, nie mówiąc o dualizmie korpuskularno-falowym i o zasadzie nieoznaczoności. Rzeczy takich nie wypada mi bliżej wyjaśniać profesorowi Bocheńskiemu, który jest wybitnym autorytetem /w dozwolonym przezeń i nie-zabobonnym sensie słowa/ w logice i w historii logiki. Mam jednak podejście, że korzystając ze zdroworozsądkowych obserwacji, ułatwia sobie zadanie, gdy wola, na przykład, idealizm, behawioryzm, sceptycyzm, w nader uproszczonych wersjach, stawiając je na równi z oczywistymi absurdami, jak takie oto, że młodzież jest pod wszystkimi względami lepsza i mądrzejsza od dorosłych lub że Żydzi są niższą rasą.

Profesor Bocheński uważa nawet, że pomysł iż istnieje jakaś "filozofia chrześcijańska" w sensie dociekań, które zakładają doktrynę wiary, jest zabobonem, jako że byt taki jest wewnętrznie sprzeczny: filozofia mianowicie z natury rzeczy – również wedle św. Tomasza – jest niezawisła od jakichkolwiek poglądów na świat. Czy wolno jednak sądzić, że św. Tomasz, który w rzeczy samej odróżnił dość jasno wiarę od wiedzy i teologię od filozofii, prowadził faktycznie swoje rozważania w niezależności od swojej wiary i że po prostu tak mu wyszło, iż rezultaty tych rozważań okazały się zgodne /pomijając może drobne uchybienia/ z tym, co skądinąd przyjmował jako prawdę wiary? Byłoby to chyba intelektualistyczne złudzenie, niezgodne z tym, co wiemy o historycznych warunkach rozwoju filozofii. I czy o kimkolwiek wolno przypuszczać, że jest w swej pracy myślowej czystym wcieleniem transcendentalnie prawomocnych standardów logicznych?

I czy nie należy o tym pamiętać, że to, co profesor Bocheński – w zgodzie z rozpowszechnioną wśród uczonych interpretacją nowoczesnej fizyki – piętnuje jako zabobon, mianowicie determinizm, uchodziło pod koniec XIX wieku za oczywisty pewnik, a zabobonem było mniemanie przeciwnie? Wszystkie doktryny filozoficzne, które ubrały się w "szkoły" – jak to kartezjanizm, kantyzm, marksizm, empiryzm logiczny – jawiły się także wyznawcom jako prawdy oślepiająco oczywiste, o których szaleni tylko wątpią. Nie jest więc może bezużyteczne zastanawianie się nad tym, skąd się biorą wieczne jakoby standardy racjonalności i jakie są racje, aby się ich trzymać albo uważać za wieczne właśnie. A jednak takie refleksje często źle się kończą. Jeśli się uważa na przykład, jak profesor Bocheński, że "człowiek nie jest czymś szczególnym w świecie, ale po prostu częścią przyrody" /mimo że wolna wola ludzka jest dlań "oczywistym faktem"/, to nasuwa się przypuszczenie, wielokroć przez neutralistów wypowiedane, że również czynności intelektualne ludzkie są pewnym rodzajem reakcji biologicznej, przez co pytanie o "prawdę" w zwyczajnym sensie – w odróżnieniu od użyteczności – staje się bezprzedmiotowe /a to z kolei podważa wartość głównej przesłanki rozumowania/. Nie wydaje się bezpieczne lekceważenie takich kwestii w imię oczywistości zdrowego rozsądku.

Przewodnią intencją dziełka, o którym mowa, jest nie tylko zbożna i chwalebna, ale zgodna z ogromnie ważnymi potrzebami współczesnej kultury: chce ono wszakże głosić krytycyzm, poczucie odpowiedzialności umysłowej, potrzebę trzymania się re-

guł logicznych, zwalczać fanatyzmy oraz bałwochwalcze a bezmyślne uwielbienie ludu, państwa, narodu, intelektualistów, postępu. zwierząt i innych rzeczy, które zapewne są dobre, lecz nie absolutnie dobre.

Z drugiej strony, kiedy przeglądam w myśli filozofów żyjących /a o filozofii u Bocheńskiego głównie mowa, gdyż przypisuje jej, w pewnych odmianach, szczególnie złowrogą rolę w krzewieniu zabobonu/, znanych mi z lektur lub z osobistych spotkań, nie zauważam wśród nich ani jednego, który by nie wyznawał jakichś piętnowanych przez autora zabobonów. Ten jest scjentystą, ów socjalistą, inny jeszcze nie wierzy, by zło istniało realnie, jeden za dialektyka się podaje, drugi za behawiorystę itd. Nieodpartie tedy nasuwa się myśl, że profesor Bocheński jest jedynym żyjącym, który od zabobonów się uwolnił. Przypuszczenie to nie jest wewnętrznie sprzeczne; jest także empiryczne i zasadniczo daje się sprawdzić co do swej prawdziwości lub mylności. Jeśli jest prawdziwe, wydaje nader przygnębiające świadectwo rozwojowi ludzkiemu i potwierdza profesora Bocheńskiego żądanie, by kult człowieczeństwa napiętno- wać jako zabobon.

Leszek KOŁAKOWSKI

"Kultura", listopad 1987

M. Broński

MEMORANDUM ZDROWEGO ROZSĄDKU

Książeczka^x o. Józefa /Innocentego/ Bocheńskiego – dominikanina, emerytowanego profesora filozofii we Fryburgu szwajcarskim i światowego autorytetu w dziedzinie historii logiki formalnej – przywodzi na myśl dwie nieoczywiste prawdy. Po pierwsze: że zirytowanie bywa cnotą, bo sprzyja zwięzłości i soczystości stylu. Na przykład: "...czasy są takie, że kto może, ma dzisiaj... ścisły obowiązek walki z zabobonami. Tak dlatego, że dzisiaj właśnie tylu ludzi... korzy się we wstrętny sposób przed marksistowskimi zabobonami – i... w Polsce człowiek ma tak często wybór między dwoma rodzajami zabobonów, tymi głoszonymi przez partię i tymi, którym hołdują ciemni katolicy" /Przedmowa, str. 11/; "Rozpowszechniony dzisiaj zabobon głosi, że lud jest szczególnie mądry, cnotliwy i kulturalny... Otóż zdarza się wprawdzie, że człowiek z ludu jest rzeczywiście mądry... Ale z reguły jest przeciwnie: lud jako przeciwieństwo elity jest zespołem ludzi głupich, mało szlachetnych i prostackich" /hasło "lud", str. 63/. Po drugie: na mówienie zwięzłe i soczyste nie każdy może sobie pozwolić. Gdyby za autorem "Stu zabobonów" nie widniał autorytet takich pozycji jak "Europäische Philosophie der Gegenwart" czy "Précis de Logique Mathématique", jego refleksje zostałyby już w maszyniepisie skazane na niebyt oceną: "nadmierne uproszczenie". Wiedział o tym już Szekspir, gdy na liście niesprawiedliwości świata w sonecie 66 umieścił też simple truth, miscalled simplicity... Cieszymy się zatem i korzystamy z tego, że pozycja i temperament o. Bocheńskiego zaowocowały zbiorem niekonwencjonalnych uwag na temat filozofii, religii i życia społecznego, które to uwagi /lub podobne/ niejednemu cisną się często na usta, ale i zazwyczaj tam zamierają, ścięte mrozem stratosfery intelektualnej comme il faut i dezaprobatą zamomowionych w niej filozoficznych Picardów. By zachęcić innych do lektury tej obrazoburczej wypowiedzi, omówię tu krótko jej treść i zakres.

Książka o. Bocheńskiego jest zbiorem stu haseł ułożonych alfabetycznie i traktujących o pojęciach i teoriach składających się na współczesny "ogład" świata, przy czym – zdaniem autora – pojęcia te są wyraźnie fałszywe, demagogiczne lub też wewnętrznie

^x J.M. Bocheński, "Sto zabobonów. Krótki filozoficzny słownik zabobonów". Instytut Literacki, Paryż 1987 /"Biblioteka Kultury", tom 431/, str. 118.

sprzeczne. Zasada tworzenia tych hasła jest trochę nonszalancka, bo pewne z nich są nazwami przesądów tout court /np. "astrologia", "spirytyzm", "numerologia"/, inne zaś wskazują dziedzinę skądinąd szacowne /np. "patriotyzm", "religia", "nauka"/, ale dające asumpt do nieuzasadnionych uogólnień, mitów czy też przeinaczeń. Powodem tego jest fakt, iż w istocie mamy tu raczej do czynienia z traktatem /który z myślą o tradycji rodzinnej można by też nazwać "Dziejami głupoty w świecie współczesnym"/, niż ze słownikiem – forma ta jest właśnie tylko formą. "Czas średniowiecznych 'sum' minął bezpowrotnie – żyjemy w epoce encyklopedii", czytamy na str. 41, ale autor z lubością korzysta ze swobód doktora Johnsona czy Diderota i daje nam w istocie pewną sumę swoich poglądów. Spróbujmy zrekonstruować ich główne osie tematyczne.

Dominantą książki jest niechęć do poglądów skrajnych: o. Bocheński z równą pasją występuje przeciw anarchizmowi jak totalitaryzmowi, "scjentyzm" i "pozytywizm" są w równym stopniu jego bêtes noires jak "irracyonalizm" czy "intuicja". Autor "Stu zabobonów" jest w zasadzie nominalistą i – szczególnie gdy traktuje o filozofii niemieckiej – chętnie podkreśla, że wiele rozróżnień pojęciowych jest tylko różnica między słowami /np. w odniesieniu do Verstand vs. Vernunft/; z drugiej strony jednak również stanowczo oświadcza się za obiektywnym istnieniem takich bytów abstrakcyjnych jak cechy przedmiotów, relacje i wartości. Szczególnie niechęcią darzy marksizm i jego parafrazalia /por. hasła "dialektyka", "sprzeczność", "klasa", "rewolucja" i wiele innych/, a także filozofię nowożytną /ca od Kartezjusza aż po koniec XIX wieku/ – tu głównym zarzutem jest zaniedbywanie analizy pojęć i badań nad logiką na rzecz "syntez" i niesprawdzalnych systemów metafizycznych. Wyczuwa się, że o. Bocheński spogląda na czasy współczesne podobnie jak na nie ulubiane przezeń okresy Odrodzenia i oświecenia – oba te terminy, przeważnie opatrzone ironicznym cudzym słowem, są dlań synonimami dyletantyzmu i demagogii intelektualnej; w naszym epoce nosicielami tych zarazków zdają się być głównie "intelektualiści", "dziennikarze" i "literaci" /obacz odpowiednie hasła/. Jak zacytowana na wstępie uwaga o "zabobonnych ciemnych katolikach" sędzić pozwała, autor nie ma nadmiernej sympatii dla zbyt dosłownych interpretacji religii, w tym także katolicyzmu; szczególnie interesujące są pod tym względem hasła "dusza" i "nieśmiertelność": autor przeciwstawia się w nich pojmowaniu życia pozagrobowego jako rodzaju kontynuacji egzystencji ziemskiej w innym wymiarze i raczej zachęca do nader abstrakcyjnego traktowania tej koncepcji. Status duszy zdaje się nie różnić u niego wiele od statusu informacji selektywnej w cybernetyce – tak można traktować jego "odesłanie" tego zagadnienia do pojęcia treści ciała w sensie tomistycznym. W każdym razie autor z wyraźną niechęcią odnosi się do egipskiego wyobrażenia duszy ludzkiej "w postaci ptaszka z ludzką głową" /str. 30/, a więc przez ekstencję można przyjąć, że i inne paskopodobne koncepcje uważa za zabobon.

Niezwykłe cenne wydaje mi się podkreślenie przez o. Bocheńskiego negatywnego wpływu reakcji uczuciowych na rzekomo czysto rozumowe twierdzenia i teorie. Dotyczy to takich uczuć jak zadróść, stanowiąca silny aczkolwiek rzadko uwzględniany motyw koncepcji antyelitarnych, kolektywistycznych i w ogóle atakujących wszelką hierarchię i zróżnicowanie między ludźmi, oraz sentymentalizm, leżący u podłoża takich postaw jak pacyfizm, "altruizm" /w sensie nadmiernego rozczulania się nad przestępcami/ i np. negowanie prawa do doświadczeń na zwierzętach.

Książka o. Bocheńskiego napisana została ze stanowiska zdroworozsądkowego i konserwatywnego w sensie dodatnim: pretensjonalne nowinki – choćby tylko terminologiczne – budzą w nim awersję, jak łatwo przekonać się studiując np. hasło "dialog" /"... Bóg rozmawiał być może z Abrahamem i z prorokami, ale jako żywo nie rozmawia ze zwykłymi wierzącymi. Jeśli więc religia jest dialogiem, to chyba tego samego rodzaju, co rozmowa dżada z obrazem..." /str. 29/; przypuszczalnie wiele innych klisz "posoborowych" zostałyby potraktowanych podobnie, gdyby autor zajął się nimi szczegółowiej. Z prawdziwym żalem przyjąłem do wiadomości notatkę kończącą hasło "śmierć" na str. 105: "Druga część wywodów o śmierci, dotycząca pogrzebów, wywołała w rękopisie tak wielkie oburzenie zarówno pobożnych jak i bezpobożnych Czytelników, że musiała zostać skreślona przez autocenzurę". Jaka szkoda!

Zdrowy rozsądek jest pojęciem skrótowym i określa raczej postawę poznawczą,

niż w pełni określony zespół poglądów. "Sto zabobonów" jako manifest tej postawy ujawnia zarówno zalety jak i niedostatki. Naczelną poród tych pierwszych jest zaleta zwięzłości: dopiero pisząc niniejsze omówienie zorientowałem się, że pełne odwołanie sprawiedliwość wszystkim wypowiedziom autora – a więc ich rozwinięcie, wzajemna konfrontacja i zaznaczenie ich ewentualnych "przedłużeń" – doprowadziłoby do paradoksalnej sytuacji, w której recenzja musiałaby być dłuższa niż recenzowana praca. Ale kryje się tu też pewne niebezpieczeństwo i być może nawet brak. Wymogi zwięzłości powodują, że pewne obszary "pomiędzy" hasłami pozostają w półcieniu, a niekiedy nawet pojawiają się uskoki myślowe przypominające spręczność wewnętrzną. Do takich wątpliwych punktów należy stale akcentowany przez autora brak "postępu" w świecie /por. odpowiednie hasło/, a równocześnie akceptowanie przezeń i używanie terminu "kraje zacofane". Nie chodzi mi o łapanie za słowa, ale o podkreślenie, że termin "postęp" jest względny /wbrew filipice autora przeciw "relatywizmowi"/ i stosowanie go jako rodzaju absolutu – niezależnie czy się go przyjmuje czy odrzuca – jest również procedurą zabobonną. Myślę, że zaprzeczenie istnieniu postępu w świecie w pewnych określonych jego znaczeniach jest nieuzasadnione. Na przykład postęp techniki przycięcia gatunku ludzkiego jest bezsporny, a to pociąga za sobą zmiany w innych dziedzinach, m.in. moralnej – w powszechnym odczuciu zabijanie jednostek nieproduktywnych uchodzi dziś za niedopuszczalne, podczas gdy jeszcze 200 lat temu było to normalną procedurą na pewnych słabych ekonomicznie terenach /wyspy Oceanii/.

W związku z tym jeszcze jedna wątpliwość. O. Bocheński wielokrotnie pokreśla autonomiczność etyki i przeczy możliwości jej uzasadnienia "naukowo", czyli przez odniesienie do innych dziedzin obiektywnych. Z punktu widzenia logiki stosowanej "osobno" tak jest istotnie: nie ma logicznego przejścia od zdań sprawozdawczych do zdań modalnych. W efekcie takiego traktowania etyka staje się dziedziną quodlibet i przeważnie jest wcielana do problematyki dziedzin nie opartych na czymkolwiek; ostatnio na przykład modne jest łączenie jej z zachwytem nad mitami w taki sposób, by mit "uzasadniał" etykę, a etyka mit. Błąd polega chyba na tym, że etyka nie jest niezależnym absolutem, lecz stanowi zbiór reguł do osiągnięcia jakiegoś celu. Ujęcie to pozwala na ocenę różnych etyk z punktu widzenia ich celu. To co nazywamy zazwyczaj etyką naturalną i co zabrania nam na przykład mordować dzieci w kołysce jest po prostu szeregiem derywacji podstawowego celu obrony życia jednostki traktowanej jako przedstawicielki gatunku ludzkiego; inne "etyki", na przykład nazistowska, polpotowska itp. dopuszczają inne derywacje. Rzekłbym, że etyka naturalna ma uzasadnienie "naukowe", ponieważ 1 – jej konkurentki są oparte na naukowo bzdurnych przesłankach, 2 – zasada obrony życia jednostkowego jest inherentną cechą świadomości, czyli urzędzenia działającego w czasie: wbudowanie w świadomość zgody na przerwanie jej funkcjonowania /czyli odrzucenie trwania jako podstawowego elementu konstrukcyjnego/ stanowiłoby absurd inżynierski taki jak np. budowa samolotu bez skrzydeł. W terminach użytych przez o. Bocheńskiego nazwałbym tak traktowaną etykę naturalnym "patriotyzmem ludzkim" /por. hasło "patriotyzm"/.

Pozwoliłem sobie na te przydługie rozważania końcowe li tylko dla zademonstrowania, że "Sto zabobonów" jest pracą stymulującą. Jest to jeszcze jedną jej zaletą obok tego, że jest ona pouczająca – merytorycznie i metodologicznie – dowcipna i mądra. Ojciec Bocheński ma głęboko zakorzeniony wstręt do wszelkich guru /por. hasło "guru"/, ale – o paradoksie! – grozi mu niebezpieczeństwo zostania jednym z nich: jego "szara książeczka" ma wszelkie szanse na wszczęcie rewolucji filozoficznej szerokiej mas inteligentnych znudzonych sztaampą, pretensjonalnością i błagą.

M. BRŃSKI

LISTY DO REDAKCJI

"Kultura", listopad 1987

J. Boniecki

Drogi Panie Jerzy

Poprzedni numer "Kultury" /nr 9/480/ zawierał szereg artykułów i informacji o pomocy Zachodu dla opozycji w kraju. Jest to w tym sensie unikat; jeśli się nie mylimy - nigdy i nigdzie przedtem nie zostały w jednym wydawnictwie ogłoszone szczegóły tak wielu kanałów pomocy dla kraju.

Opublikowanie tych informacji zasługuje w pełni na pochwałę. Przede wszystkim naświetla otwartość prowadzonych akcji oraz legalne źródła zbieranej dla opozycji pomocy. Z faktu tej publikacji wynikają od razu dwa ważne następstwa:

/1/ Lepsze poinformowanie społeczeństwa polskiego w kraju i na emigracji na temat skali i form pomocy finansowej płynącej dla opozycji z Zachodu

oraz

/2/ Społeczny postulat rozliczania się z otrzymywanych pieniędzy.

Zapowiedzią przyszłych głosów społecznych o sprawozdanią, o wyliczenie się z otrzymywanych pieniędzy może być opublikowany w tymże wrześniowym numerze "Kultury" artykuł Bogdana Stasińskiego "Komitet Kultury Niezależnej - wątpliwości". Nie ulega kwestii, że tego rodzaju głosów będzie teraz coraz więcej. s

Pieniądze płynące do kraju stanowią bardzo poważne kwoty, nawet na stosunki zachodnie; w wymiarze krajowym są to sumy niekiedy astronomiczne. Ponieważ chodzi o pieniądze, trzeba się spodziewać postulatów skrupulatnej społecznej kontroli.

Jest rzeczą zrozumiałą, iż w warunkach konspiracji, która w takim czy innym stopniu musi towarzyszyć znacznej części działalności opozycyjnej, pełna kontrola społeczna w sensie publikowania rozliczeń z otrzymywanych dotacji nie jest możliwa. Z drugiej jednak strony fakt tej konspiracji nie może być wytłumaczeniem zupełnego braku takiej kontroli. Z kilkuletniego doświadczenia POLCUL FOUNDATION wiemy, że odbiorcy naszej pomocy w kraju bynajmniej nie pomagają nam w spełnieniu postulatów kontroli naszej działalności. W ciągu 7-miu lat istnienia naszej Fundacji przyznaliśmy około 350 wyróżnień, przekazując do kraju łączną sumę około US \$ 180.000. Wszystkie przekazywane przez nas pieniądze kwitowane są przez osoby odbierające

je /dla wyróżnionych/ w Paryżu. Bardzo rzadko niestety otrzymujemy pokwitowania – nie mówiąc już o podziękowaniach – samych wyróżnionych. Na 350 osób, które otrzymały od nas poważną sumę \$ 500 – wystarczającą przeciętnej rodzinie na całoroczną egzystencję – tylko około 40-tu osób tą czy inną drogą napisało do nas potwierdzając otrzymanie naszego wyróżnienia. Stanowi to zaledwie około 11 %!

Jest kilka aspektów tego – powszechnego niestety – braku indywidualnych potwierdzeń:

- a/ Sprawa czysto ludzkiego odruchu – nie rozumiemy, dlaczego tak mało osób potrafi się na taki odruch zdobyć;
- b/ Pełna kontrola, iż zabrane w Paryżu pieniądze zostały w całości i w terminie dostarczone. Nota bene: aczkolwiek korzystamy dla przewozu pieniędzy z osób zasługujących, naszym zdaniem, na pełne zaufanie – nie można zupełnie wykluczyć wszelkich uchybień czy nieprawidłowości. Mieliśmy już w tym sensie pewne uwagi krytyczne;
- c/ Brak możliwości wykazania naszym ofiarodawcom skuteczności naszej pomocy. Zarówno nasi ofiarodawcy indywidualni /osoby prywatne/, jak i instytucje /NED/ z pewnością oczekują osobistych relacji odbiorców, podkreślających wagę otrzymywanej pomocy. Tęgo rodzaju relacje odbiorców będą w przyszłości posiadały wielką wagę, a może nawet stanowiły warunek dla kontynuowania poparcia i pomocy.

Aczkolwiek czynimy wszelkie wysiłki zobowiązujące osoby przewożące pieniądze do nalegania na ich potwierdzenie, wyniki nasze są bardziej niż mierne, w zasadzie negatywne.

Zdecydowaliśmy się napisać do Pana i kilku innych osób niniejszy list z prośbą o radę, jak można poprawić ten stan rzeczy. Jesteśmy przekonani, iż – choć to niełatwy problem – wymaga on rozwiązania. W przeciwnym wypadku akcja uzyskiwania pomocy finansowej z Zachodu dla opozycji w kraju może w niedługiej przyszłości i napotkać na niespodziewane trudności.

Przesyłamy najlepsze pozdrowienia. Prosimy o wypowiedź.

J. BONIECKI
POLCUL FOUNDATION

S P I S R Z E C Z Y

Gustaw Herling-Grudziński	Dziennik pisany nocą	3
Sławomir Mrozek	Piła sprawa	8
Marek Nowakowski	Żydowski hrabia	9
Alicja Iwańska	Brazylijscy potomkowie Scarlett O'Hara	13
Konstanty A. Jeleński	Jak żołnierze w okopach... ..	16
Gustaw Herling-Grudziński	Dziennik pisany nocą	23
Gustaw Herling-Grudziński	Pożar w Kaplicy Sykstyńskiej A.D. 1998	31
Gustaw Herling-Grudziński	Dziennik pisany nocą	41

ARCHIWUM POLITYCZNE

Zbigniew Byrski	Sowiecki arsenał nuklearny	50
Leopold Unger	"Mourir pour Kiribati"	53
Zbigniew Byrski	Wielki terror roku 1967	60
Krzysztof Gawlikowski	Studenci a przyszłość chińskiej reformy	64
Leopold Unger	Abdallah - sługa boży	70
Alain Besançon	Papież, Polska i polityka	76
Wiktor Grotowicz	Austria	78
Zbigniew Byrski	Kongres i władza wykonawcza w USA	82
Leopold Unger	Polawiacze min czy polawiacze pereł	85
Krzysztof Gawlikowski	Trudna przyjaźń gigantów	92
Krzysztof Gawlikowski	Chiny a "starszy brat"	98

WYWIADY "KULTURY"

Robert Kostrzewa	Amerykańska polityka zagraniczna na rozdrożu	107
------------------	---	-----

O RELIGII BEZ NAMASZCZENIA

Dominik Morawski	Wizyta generała	117
Dominik Morawski	Watykan i Moskwa	119
-	Nowy wywiad Prymasa	122
Alain Besançon	Widzieć zło tam, gdzie ono jest... ..	123
Jan Józef Lipski	O wizycie Papieża	124

SĄSIEDZI

Adam Kruczek	W sowieckiej prasie	127
T. Maćków	Problem ukraińskiej państwowości w publicystyce polskiej	132
Bohdan Osadczuk	Sprawa Tatarów Krymskich	137
Adam Kruczek	W sowieckiej prasie	141
Adam Kruczek	W sowieckiej prasie	146
Adam Kruczek	W sowieckiej prasie	150

SPRAWY I TROSKI

Jerzy Boniecki	Czy tylko krzywe spojrzenie?	155
Zbigniew Byrski	Opozycja w kraju a emigracja	157
-	Nation's Endowment for Democracy	158
-	Pomoc finansowa dla NSZZ "Solidarność" z zagranicy	160
Małgorzata Dziewięcka	Najnowsza Polonia południowo-afrykańska ...	163

KRAJ

Tomasz Ierz
Feliks Jankowski

Twierdza nienawiści 176
Jeszcze jeden Katyń? 182

KRONIKA KULTURALNA

Maria Daniełowicz Zielińska
Renata Gerczyńska

Gorzkie zale przybywajcie... 186
Poletko Erskine'a Caldwell'a 197

KSIĄŻKI

Kamila Chylińska
Leszek Kołakowski
M. Broński

Ludzkie uczucia w piekle 203
Ile zabobonów? 205
Memorandum zdrowego rozsądku 208

LISTY DO REDAKCJI

J. Boniecki

..... 211

3750.1